

**ROBERT
LUDLUM
ERICK van LUSTBADER**

**DZIEDZICTWO
BOURNE'A**

PRZEKŁAD: JAN KRAŚKO, PAWEŁ MARTIN

Spis treści

<i>Spis treści</i>	2
<i>Prolog</i>	3
<i>Część 1</i>	11
<i>Rozdział 1</i>	12
<i>Rozdział 2</i>	21
<i>Rozdział 3</i>	28
<i>Rozdział 4</i>	33
<i>Rozdział 5</i>	43
<i>Rozdział 6</i>	53
<i>Rozdział 7</i>	59
<i>Rozdział 8</i>	66
<i>Rozdział 9</i>	76
<i>Rozdział 10</i>	80
<i>Część 2</i>	87
<i>Rozdział 11</i>	88
<i>Rozdział 12</i>	104
<i>Rozdział 13</i>	109
<i>Rozdział 14</i>	124
<i>Rozdział 15</i>	131
<i>Rozdział 16</i>	137
<i>Rozdział 17</i>	145
<i>Rozdział 18</i>	151
<i>Rozdział 19</i>	160
<i>Rozdział 20</i>	171
<i>Część 3</i>	176
<i>Rozdział 21</i>	177
<i>Rozdział 22</i>	184
<i>Rozdział 23</i>	188
<i>Rozdział 24</i>	204
<i>Rozdział 25</i>	213
<i>Rozdział 26</i>	222
<i>Rozdział 27</i>	239
<i>Rozdział 28</i>	250
<i>Rozdział 29</i>	261
<i>Rozdział 30</i>	267
<i>Rozdział 31</i>	271
<i>Epilog</i>	279

Prolog

Chalid Murat, przywódca czeczeńskich rebeliantów, nieruchomy jak kamień jechał w środkowym pojeździe konwoju przemierzającego zbombardowane ulice Groznego. BTR-60BP, opancerzone transportery bojowe piechoty, należały do wyposażenia rosyjskiej armii, dlatego konwój nie odróżniał się od innych, patrolujących miasto. Uzbrowieni po zęby żołnierze Murata tłoczyli się w dwóch pozostałych pojazdach, na czele i na końcu kolumny. Zmierzali do szpitala numer 9, jednej z sześciu czy siedmiu kryjówek, dzięki którym zawsze byli o trzy kroki przed ścigającymi ich Rosjanami.

Prawie pięćdziesięcioletni Murat miał posturę niedźwiedzia, ciemną brodę i gorejące oczy fanatyka. Już dawno temu przekonał się, że jedynym sposobem sprawowania władzy są rządy żelaznej ręki. Wraz z Dżoharem Dudajewem nadaremnie próbował wprowadzić szariat. Był świadkiem rzezi, do której doszło na samym początku, gdy panoszący się w Czeczenii watażkowie, wspólnicy Osamy bin Ladena, najechali na Dagestan i przeprowadzili serię zamachów bombowych w Moskwie i Wołgodońsku, zabijając ponad dwustu ludzi. Winą za czyny obcokrajowców niesłusznie obarczono czeczeńskich terrorystów i Rosjanie rozpoczęli zmasowane bombardowania Groznego, zamieniając większą część miasta w ruinę.

Zamglone niebo nad stolicą Czeczenii, wiecznie zaciągnięte chmurami pyłu i popiołu, nienaturalnie rozświetliła migotliwa luna, tak jaskrawa, że przypominała obłok radioaktywny. Na rozległym rumowisku jak okiem sięgnąć szalała podsycana ropą pożoga.

Konwój minął wypalony szkielet masywnej, pozbawionej dachu budowli, w której wnętrzu wciąż migotały języki ognia. Chalid Murat patrzył w okno. W pewnej chwili chrząknął, spojrzał na Hasana Arsienowa, swego zastępcę, i powiedział:

- Grozny to był kiedyś rodzinny dom zakochanych spacerujących szerokimi, wysadzanymi drzewami bulwarami, matek pchających wózki z dziećmi przez zielone skwery. Ten amfiteatr co noc wypełniali radośni, roześmiani ludzie, a architekci z całego świata przyjeżdżali tu jak pielgrzymi podziwiać wspaniałe gmachy, dzięki którym nasza stolica zdobyła sławę jednego z najpiękniejszych miast świata. - Ze smutkiem pokręcił głową i przyjacielskim gestem klepnął towarzysza w kolano. - Na Allaha, Hasanie! - wykrzyknął. - Spójrz, jak Rosjanie zniszczyli wszystko, co dobre i piękne!

Arsienow westchnął ciężko. Dziarski i energiczny, o dziesięć lat młodszy od Murata, był kiedyś mistrzem biathlonu i jak na urodzonego sportowca przystało, miał szerokie bary i wąskie biodra. Gdy Murat objął przywództwo, stanął u jego boku. Teraz wyciągnął rękę, wskazując okopconą skorupę budynku po prawej stronie.

- Przed wojną - odrzekł z powagą i skupieniem - gdy Grozny był wielkim ośrodkiem przemysłu naftowego, tam, w Instytucie Paliwowym, pracował mój ojciec. A teraz, zamiast czerpać zysk z naszych szybów, musimy patrzeć na pożary, które zatruwają powietrze i wodę.

Zamilkli przygnębieni widokiem zbombardowanych domów i opustoszałych ulic, którymi chyłkiem przemykali padlinożercy, zarówno zwierzęta, jak i ludzie. Po chwili spojrzeli na siebie oczami przepelnionymi bólem i cierpieniem ich ludu. Murat otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zamarł, słysząc charakterystyczny stukot kul rykoszetujących z brzękiem od poszycia pojazdu. Natychmiast poznał, że to pociski z broni małokalibrowej, zbyt słabe, żeby przebić gruby pancierz. Jak zawsze czujny Arsienow sięgnął po słuchawkę radionadajnika.

- Każę naszym otworzyć ogień. Murat pokręcił głową.

- Nie, Hasanie. Pomyśl tylko. Mamy na sobie rosyjskie mundury i jedziemy rosyjskimi wozami bojowymi. Ten, kto do nas strzela, jest najpewniej naszym przyjacielem, nie wrogiem. Zanim przelejemy krew niewinnego, musimy to sprawdzić.

Wziął słuchawkę i rozkazał tym z przodu zatrzymać konwój.

- Poruczniku Goczijajew, wyślijcie ludzi na rozpoznanie. Dowiedzcie się, kto do nas strzela, ale ich nie zabijajcie.

Jadący w pierwszym wozie Goczijajew kazał żołnierzom rozstawić się w tyralierę za zasłoną opancerzonych wozów. Ruszył za nimi na zasypaną gruzem jezdnię, kuląc się na przejmującym zimnie, i precyzyjnymi ruchami rąk dał im znak, żeby rozdzielili się na dwie grupy i przeszukali miejsce, skąd padły strzały.

Ludzi miał dobrze wyszkolonych; nisko pochyleni, żeby zminimalizować ryzyko trafienia, szybko i niemal bezszelestnie przesuwali się między poskręcanyimi stalowymi belkami i zwalami gruzu. Ale nie padło więcej strzałów. Żołnierze ruszyli naprzód wszyscy naraz, wykonując klasyczny manewr kleszczowy, który miał oskrzydlić przeciwnika i zmiążdżyć go krzyżowym ogniem z broni automatycznej.

Arsienow siedzący w środkowym transporterze uważnie obserwował ludzi, czekając na odgłos wystrzałów, których jednak nie usłyszał. W oddali zobaczył za to głowę i ramiona Goczijajewa. Porucznik stanął przodem do środkowego wozu i zatoczył ręką szeroki łuk, dając znak, że teren został zabezpieczony. Wtedy Murat wysiadł i bez wahania ruszył przez gruzy w stronę żołnierzy.

- Chalidzie! - krzyknął zaniepokojony Arsienow, biegnąc za dowódcą.

Murat spokojnie szedł w kierunku niskiego, rozpadającego się kamiennego muru, zza którego padły strzały. Wokoło wałały się sterty śmieci; na jednej z nich leżał woskowaty trup, dawno już odarty z ubrania. Smród rozkładających się zwłok bił w nozdrza nawet z tej odległości. Dogoniwszy dowódcę, Arsienow wyjął z kabury pistolet.

Żołnierze stali po obu stronach muru z bronią gotową do strzału. Dął porywisty wiatr, jęcząc i wyjąc między szkieletami domów. Stalowszare niebo pociemniało jeszcze bardziej i zaczął padać śnieg. Buty Murata szybko pokryła cienka warstwa białego puchu, a na jego skłębionej brodzie wykwitła śnieżna pajęczyna.

- Znaleźliście ich, poruczniku?

- Tak jest.

- Allah prowadził mnie zawsze i wszędzie. Poprowadził mnie i tym razem. Dajcie ich tu.

- Jest tylko jeden - powiedział Goczijajew.

- Jeden?! - wykrzyknął Arsienow. - Kto to? Wiedział, że jesteśmy Czeczenami?

- Jesteście Czeczenami? - powtórzył cieniutki głosik.

Za muru wychynęła blada twarzyczka najwyżej dziesięcioletniego chłopca. Był w brudnej wełnianej czapce, przetartym swetrze wciągniętym na cienką koszulę w kratkę, polatanych spodniach i w o wiele za dużych popękanych kaloszach, które pewnie zdjął zabitemu. Chociaż jeszcze dziecko, oczy miał dorosłego; patrzyły i obserwowały wszystko czujnie i nieufnie. Stał wyprostowany, strzegąc korpusu rosyjskiej rakiety, którą gdzieś wygrzebał i pewnie chciał sprzedać, żeby mieć na chleb dla głodującej rodziny. W lewej ręce ścisnął pistolet; prawa kończyła się na wysokości nadgarstka. Murat uciekł wzrokiem w bok, ale Arsienow nie odwrócił głowy.

- Mina przeciwpiechotna - powiedział chłopiec z rozdzierającą serce rzeczowością. - Ruskie szuje ją podłożyły.

- Chwała Allahowi! Cóż to za wspaniałe żołnierzyk! - zawołał Murat z jasnym, rozbrajającym uśmiechem. Ten uśmiech przyciągał do niego ludzi jak potężny magnes opilki. - Pojdz bliżej. - Kiwnął na chłopca palcem i uniósł do góry puste ręce. - Widzisz, jesteśmy Czeczenami, tak jak ty.

- To dlaczego jedziecie ruskimi pancerniakami? - spytał mały.

- A znasz lepszy sposób na ukrycie się przed rosyjskimi psami, he? - Murat zmrużył oczy i roześmiał się, widząc, że chłopak trzyma w ręku gjurzę. - No proszę, broń rosyjskich jednostek specjalnych! Taka odwaga wymaga nagrody, prawda?

Ukląkł przy chłopcu i spytał go o imię.

- Posłuchaj, Aznor - rzekł po chwili. - Wiesz, kim jestem? Nazywam się Chalid Murat i też pragnę uwolnić się spod rosyjskiego jarzma. Razem damy radę, tak?

- Nie wiedziałem, że jesteście Czeczenami; nigdy bym do was nie strzelał - odparł Aznor i okaleczoną ręką wskazał w stronę konwoju. - Myślałem, że to zaczistka. - Mówił o gigantycznych operacjach wojskowych, które Rosjanie przeprowadzali w poszukiwaniu rebeliantów. Zginęło podczas nich ponad dwanaście tysięcy Czeczenów, a dwa tysiące po prostu znikło; niezliczone rzesze innych, torturowanych i zgwałconych, odniosło rany lub zostało kalekami. - Ruscy zamordowali mojego tatę i moich wujków. Gdybyście byli Rosjanami, pozabijałbym was wszystkich. - Przez jego twarz przemknął skurcz wściekłości i rozpacz.

- Tak, na pewno - rzekł z powagą Murat i wyjął z kieszeni zwitek banknotów. Żeby je wziąć zdrową ręką, chłopiec musiał zatknąć pistolet za pasek u spodni. Murat nachylił się ku niemu i konspiracyjnym szeptem dodał: - Posłuchaj uważnie. Powiem ci, gdzie można kupić amunicję do twojej broni. Kiedy Rosjanie urządzą kolejną zaczistkę, będziesz przygotowany.

- Dziękuję - odparł Aznor i jego twarz rozjaśnił dziecięcy uśmiech. Murat poszeptał z nim jeszcze chwilę, wyprostował się i potargał mu włosy.

- Niechaj Allah towarzyszy ci zawsze i wszędzie, mały żołnierzu. Stał ze swoim zastępcą i patrzył, jak ściskając pod pachą niewybuch rakiety, chłopiec wspina się na gruzy. Potem wrócili do konwoju. Hasan mruknął coś niechętnie pod nosem i zatrzasnął opancerzone drzwi, odcinając ich od świata dzieci takich jak Aznor.

- Nie przeszkadza ci, że posłałeś go na śmierć? - spytał. - To jeszcze dziecko.

Murat zerknął na niego. Śnieg stopniał i z kropelkami wody na brodzie bardziej przypominał teraz Arseniowskiemu imama niż żołnierza i dowódcę.

- To dziecko musi karmić, ubierać i, co najważniejsze, chronić swoją rodzinę jak dorosły - odparł. - A ja dałem mu nadzieję, wyznaczyłem konkretny cel. Krótko mówiąc, nadałem jego życiu sens.

Twą rozgoryczonego Arseniowa stwardniała i zbladła, złowrogo zalsniły mu oczy.

- Rosyjskie kule rozerwą go na strzępy.

- Naprawdę tak myślisz, Hasanie? Naprawdę myślisz, że Aznor jest aż tak głupi albo, co jeszcze gorsze, tak nierozważny?

- To tylko mały chłopiec.

- Gdy ziarno zapuści korzenie, wykiełkuje nawet na najbardziej niegościnnej ziemi. Zawsze tak było i będzie. Wiara i odwaga nieustannie rośnie i się rozprzestrzenia, i wkrótce zamiast jednego człowieka jest ich dziesięciu, dwudziestu, stu, tysięcy!

- A tymczasem naszych mordują, gwałcą, biją i głodzą jak bydło w zagrodzie. A to nie wszystko, Chalidzie. Daleko do końca.

- Wciążnosisz w sobie niecierpliwość młodości, Hasanie. - Murat chwycił Arseniowa za ramię. - Ale cóż, chyba nie powinno mnie to dziwić, prawda?

Widząc wyraz współczucia w jego oczach, Arseniow zacisnął zęby i odwrócił głowę. Śnieg wirował na wietrze jak czeczeński derwisz w ekstatycznym transie. Murat wziął to za znak, za symbol doniosłości tego, co przed chwilą zrobił, i tego, co miał zaraz powiedzieć.

- Więcej wiary w Allaha, Hasanie - rzekł cichym, namaszczonym głosem. - W Allaha i tego odważnego chłopca.

Dziesięć minut później konwój zatrzymał się przed szpitalem. Arseniow spojrzał na zegarek.

- Już prawie pora - rzucił. Ze względu na wagę telefonu, na który czekali, wbrew zwykłym środkom ostrożności jechali we dwóch tym samym wozem.

Murat nachylił się i wcisnął guzik, wysuwając dźwiękoszczelne przepierzenie, odgradzając ich od siedzącego z przodu kierowcy i czterech żołnierzy obstawy, którzy dobrze wyszkoleni, patrzyli prosto przed siebie, w zabezpieczone kuloodporną szybą okno.

- Chwila prawdy już blisko, Chalidzie, powiedz zatem, jakie masz zastrzeżenia.

Murat uniósł krzaczaste brwi. Najwyraźniej nie rozumiał pytania.

- Zastrzeżenia?

- Czy nie pragniesz tego, co słusznie się nam należy, co, według Allaha, powinniśmy mieć?

- Krew burzy ci się w żyłach, mój przyjacielu. Znam to uczucie aż za dobrze. Wiele razy walczyliśmy ramię w ramię. Wiele razy zabijaliśmy i ratowaliśmy sobie życie, prawda? A więc posłuchaj. Serce mi krwawi na myśl o losie mojego ludu. Ich ból napętnia mnie wściekłością, którą ledwo potrafię w sobie zdusić. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale historia przestrzega nas, że powinniśmy zachować czujność w obliczu tego, czego najbardziej pragniemy. Konsekwencje tej propozycji...

- Konsekwencje naszych własnych planów!

- Tak, naszych własnych planów. Mimo to trzeba wziąć je pod uwagę.

- Ostrożność - prychnął z rozgoryczeniem Arsienow. - Zawsze ta ostrożność.

- Mój przyjacielu. - Murat z uśmiechem położył mu rękę na drugim ramieniu. - Nie chcę, żeby ktoś mnie zwiódł. Lekkomysłny przeciwnik to przeciwnik najłatwiejszy. Musisz nauczyć się cierpliwości. Cierpliwość jest cnotą.

- Cierpliwość! - warknął Arsienow. - Temu chłopcu nie kazałeś być cierpliwym. Dałeś mu pieniądze, powiedziałeś, gdzie kupić amunicję. Napuściłeś go na Rosjan. Dla niego i dla tysięcy takich jak on każdy dzień zwłoki zwiększa ryzyko śmierci. Nasz wybór ma zdecydować o przyszłości całej Czeczenii.

Murat potarł powieki obu kciukami kolistym ruchem.

- Są inne sposoby, Hasanie. Zawsze są inne sposoby. Może powinniśmy rozważyć...

- Nie ma czasu. Wydaliśmy oświadczenie, ustaliliśmy datę. Szejk ma rację.

- Tak, Szejk... - Chalid Murat pokręcił głową. - Zawsze ten Szejk. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Murat spojrzął na swego wiernego towarzysza i spokojnie włączył głośnik.

- Tak, Szejku - rzucił obojętnie. - Jesteśmy tu razem. Czekamy na twoje instrukcje.

Wysoko nad ulicą, na płaskim dachu wypalonego biurowca przykucnął samotny mężczyzna oparty łokciami o niską balustradę. Tuż pod balustradą leżał sako TRG-41, fiński karabin snajperski, jeden z wielu, które sam zmodyfikował. Dzięki aluminiowo-poliuretanowej kolbie broń była niezwykle lekka i śmiertelnie celna. Mężczyzna miał na sobie rosyjską panterkę - co nawet pasowało do jego azjatyckich rysów - na panterce zaś lekką kewlarową uprzęż, z której zwisała metalowa pętla. W prawej ręce trzymał małe czarne pudelko, nie większe od paczki papierosów: bezprzewodowy nadajnik radiowy z dwoma przyciskami. Wokół niego trwał dziwny bezruch, coś w rodzaju przerażającej ludzi aury. Jakby potrafił zrozumieć ciszę, jakby umiał przygarnąć ją ku sobie i wykorzystać jako broń.

W jego ciemnych oczach mieścił się cały świat, a ulica i budynki, na które patrzył, były tylko zwykłą sceną. Liczył Czeczenów, gdy wysiadali z pierwszego i ostatniego transportera. Osiemnastu. W obu wozach pozostali kierowcy, a w środkowym dowódca i co najmniej czterech żołnierzy obstawy.

Gdy rebelianci weszli do szpitala zabezpieczając teren, wcisnął górny przycisk nadajnika i odpalił ładunki C4, których wybuch zawałił wejście. Detonacja wstrząsnęła ulicą i zakolysała ciężkimi wozami na wielkich amortyzatorach. Czeczenowie znajdujący się na drodze fali uderzeniowej wybuchu zostali rozerwani na strzępy albo przygnieceni gruzami, jednak

mężczyzna wiedział, że co najmniej kilku z nich mogło już wejść do holu i przeżyć, ale uwzględnił to w swoich planach.

Nim opadł pył i przebrzmiało echo potężnego wybuchu, spojrzawszy w dół, wcisnął dolny przycisk. Ulica przed i za opancerzonymi wozami dźwignęła się w górę i eksplodowała, pochłaniając zrytą odłamkami jezdnię.

Podczas gdy Czeczenowie próbowali pozbierać się po rzezi, jaką im zgotował, z metodyczną, niespieszną precyzją ujął snajperkę. W jej magazynku tkwiły specjalne naboje z nierozpryskującymi się pociskami najmniejszego kalibru, jaki tylko do niej pasował. Przez lunetkę celownika radioelektronicznego widział trzech rebeliantów, którzy wyszli z opresji jedynie z lekkimi obrażeniami. Biegli w stronę środkowego wozu i krzyczeli, żeby siedzący w nim ludzie wysiedli, zanim wybuchnie kolejny ładunek. Otworzyli prawe drzwi; z transportera wyskoczył Hasan Arsienow i jeden z ochroniarzy. Oznaczało to, że w środku został kierowca, trzech żołnierzy i Chalid Murat. Gdy Arsienow się odwrócił, zamachowiec lekko przesunął lufę karabinu, wycelował w głowę i przez lunetkę zobaczył stanowczy wyraz jego twarzy - Czeczen wydawał jakieś rozkazy. Płynnym, precyzyjnym ruchem mężczyzna ponownie przesunął lufę, tym razem mierząc w udo. Powoli nacisnął spust. Arsienow krzyknął, chwycił się za lewą nogę i upadł. Jeden z żołnierzy odciągnął go na bok, za gruzy. Pozostali dwaj szybko ustalili, skąd padł strzał, przebiegli przez ulicę i weszli do budynku, na którego dachu ukrywał się zamachowiec.

Gdy bocznymi drzwiami ze szpitala wypadło trzech kolejnych bojowników, mężczyzna odłożył snajperkę i spojrzął na wycofujący się wóz Chalida Murata. Z tyłu i z dołu słyszał tupot nóg biegnących schodami Czeczenów. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Niespiesznie przypiął do butów tytanowo-korundowe szpikulce. Potem wziął zrobioną z kompozytów kuszę, wycelował w słup latarni za środkowym transporterem, wystrzelił linę, napiął ją mocno i przywiązał. Dobięł go krzyk żołnierzy. Rebelianci byli już na piętrze, tuż pod nim.

Środkowy wóz wciąż stał przodem do budynku, kierowca próbował ominąć wielkie kawały betonu, granitu i asfaltu, rozrzucone wokół przez podmuch eksplozji. Zamachowiec widział z dachu dwie połyskujące w świetle tafle przedniej szyby. No właśnie. Z tym problemem Rosjanie jeszcze się nie uporali: kuloodporne szkło było tak grube i ciężkie, że pokrycie nim całego okna wymagało dwóch szyb, dlatego jednym z najwrażliwszych i najbardziej narażonych na uszkodzenia miejsc każdego transportera był rozdzielający je pas metalu.

Zamachowiec podczepił do napiętej liny zwisającej z uprząży pętlę. Słyszał, jak rebelianci wyważają znaj dujące się trzydzieści metrów dalej drzwi, jak wpadają na dach. Dostrzegli go, natychmiast otworzyli ogień i ruszyli w jego stronę, potrącając biegnący tuż nad dachem, prawie niewidoczny cienki drut. Momentalnie pochłonęła ich ognista kula wybuchu ostatniego ładunku C4, który zainstalował tam poprzedniej nocy.

Nawet nie odwróciwszy głowy, żeby sprawdzić, czy któryś z nich nie ocalał z masakry, jeszcze raz sprawdził linę i skoczył w dół. Zsuwając się, podniósł nogi i wycelował nimi w metalowe złącze pośrodku przedniej szyby transportera. Teraz wszystko zależało od kąta, pod jakim miał w nie uderzyć. Gdyby uderzył pod zbyt małym lub zbyt dużym, złącze mogłoby wytrzymać, a wówczas połamałby sobie nogi.

Stopami, łydkami, udami i całym kręgosłupem targnął silny wstrząs. Tytanowo-korundowe szpikulce wbiły się w złącze, wygięły je jak ściankę metalowej puszki i pozbawione wspornika kuloodporne szyby zapadły się do środka. Impet uderzenia wyrwał je z ram z taką siłą, że ostra krawędź jednej z nich niemal obcięła głowę kierowcy. Zamachowiec wygiął się w lewo. Siedzący na przednim fotelu żołnierz był cały we krwi kierowcy. Już wydobył broń, lecz nim zdążył wystrzelić, zamachowiec chwycił go za głowę potężnymi rękami i skręcił mu kark.

Pozostali dwaj - siedzieli tuż za nim - otworzyli chaotyczny ogień, lecz napastnik zasłonił się ciałem martwego kierowcy, dokładnie wymierzył z jego pistoletu i każdemu z nich wpakował kulę w środek czoła.

Został tylko Chalid Murat. Czeczeński przywódca z wściekle wykrzywioną twarzą otworzył kopniakiem drzwi i krzyknął do swoich ludzi. Zamachowiec rzucił się na olbrzyma i potrzęsł nim bez wysiłku, jakby ten był małym szczurem wodnym. Murat zaatakował napastnika zębami - niewiele brakowało i odgryzłby mu ucho - lecz ten, spokojnie, metodycznie, niemal radośnie, chwycił go za gardło i patrząc mu prosto w oczy, zmiażdżył kciukiem chrząstkę w dolnej części krtani. Gardło Czeczena wypełniła krew, dławiąc go i pozbawiając sił. Murat zaczął bezładnie mlócić rękami. Trafił napastnika w twarz i w głowę, lecz nie odniosło to żadnego skutku. Słabł coraz bardziej. Topił się we własnej krwi. Zalała już płuca, więc oddychał teraz nierówno i chrapliwie. Zwymiotował czerwoną breję, przewrócił oczami i zwiotczał.

Zamachowiec upuścił bezwładne ciało, wrócił na przednie siedzenie, wypchnął z wozu ciało kierowcy, wrzucił bieg i zanim pozostali przy życiu rebelianci zdążyli zareagować, wciśnął pedał gazu. Opancerzony transporter skoczył do przodu jak wyścigowy koń startujący z bramki na torze, przetoczył się przez gruz i bryły asfaltu i zniknął w potężnej dziurze wyrwanej w jezdni przez wybuch.

Zabójca zmienił bieg i przyspieszył, pędząc kanałem burzowym, poszerzonym przez Rosjan, którzy zamierzali wykorzystać je do operacji szturmowych przeciwko czeczeńskim buntownikom. Stalowe burty i zderzaki ocierały się od czasu do czasu o betonowe ściany, wyrzucając w powietrze snop iskier. Ale zamachowiec był już bezpieczny. Jego starannie zaplanowana akcja zakończyła się tak, jak się rozpoczęła: z zegarmistrzowską precyzją.

Po północy trujące obłoki odplynęły, odsłaniając wreszcie księżyc. W przesiąkniętym pyłem powietrzu świecił czerwono, raz mocniej, raz słabiej, zależnie od intensywności blasku szalejących pożarów.

Pośrodku stalowego mostu stało dwóch mężczyzn. W płynącej pod nimi leniwej rzece odbijały się szkielety wypalonych domów, pozostałości niekończącej się wojny.

- Załatwione - powiedział jeden z nich. - Murat zginął tak, żeby to nimi wstrząsnęło.

- Nie oczekiwałem niczego innego, Chanie - odparł mu drugi. - Swoją nienaganną reputację zawdzięczasz w niemałej części zleceniom, które ode mnie otrzymujesz. - Barczysty i długonogi, był wyższy od zamachowca o dobre dziesięć centymetrów. Jego wygląd szpeciła jedynie dziwnie szklista i zupełnie bezwłosa skóra lewej części twarzy i szyi. Miał charyzmę urodzonego przywódcy, człowieka, z którym nie ma żartów.

Można było poznać, że równie dobrze czuje się na salonach władzy, forach publicznych, jak i w mrocznych zaułkach.

Chan wciąż rozkoszował się wyrazem oczu umierającego Murata. Wyraz ten był za każdym razem inny. Chan przekonał się o tym już dawno i dawno odkrył, że śmierć każdego jest procesem jedynym w swoim rodzaju, jak jedyne w swoim rodzaju jest życie każdego człowieka. I chociaż wszyscy grzeszyli, wywołane grzechem zepsucie różniło się tak samo, jak różni się od siebie płatki śniegu. A co zobaczył w oczach Murata? Na pewno nie strach. Zdumienie, tak, wściekłość też, lecz było w nich coś jeszcze, coś znacznie głębszego: smutek, że nie zdążył ukończyć dzieła swego życia. Analiza ostatniego spojrzenia jest zawsze niekompletna, pomyślał. Bardzo chciałby wiedzieć, czy w spojrzeniu tym była również świadomość zdrady. Czy Murat wiedział, kto kazał go zabić?

Chan spojrzał na Stiepana Spalkę, który podał mu wypchaną pieniędzmi kopertę.

- Twoje honorarium. I premia.

- Premia? - Chan momentalnie skupił uwagę na sprawach bieżących. - Nie było o tym

mowy.

Spalko wzruszył ramionami. W blasku czerwonego księżyca jego policzek i szyja zalsniły jak krwawa masa.

- Chalid Murat był twoim dwudziestym piątym zleceniem. Powiedzmy, że to jubileuszowy upominek.

- Jest pan bardzo hojny. - Chan schował kopertę, nie zaglądając do środka. Przeciwnie postępowanie świadczyłoby o bardzo złych manierach.

- Prosiłem, żebyś mówił mi po imieniu, tak jak ja tobie.

- Ja to co innego.

- Dlaczego?

Chan znieruchomiał, przygarniając ciszę. W ciszy robił się wyższy, szerszy w ramionach.

- Nie muszę się panu tłumaczyć.

- Daj spokój - odparł Spalko z pojednawczym gestem ręki. - Przecież nie jesteśmy sobie obcy. Łączą nas najintymniejsze tajemnice.

Cisza powoli tężała. Niebo na przedmieściach Groznego rozświetlił blask eksplozji. Doszedł stamtąd trzask wystrzałów, które brzmiały jak seria wybuchów dziecięcych petard. Chan odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- W dżungli nauczyłem się dwóch bardzo ważnych rzeczy. Po pierwsze, ufać można tylko sobie. Po drugie, trzeba uważnie obserwować i wychwytywać nawet najdrobniejsze cechy cywilizowanego świata, bo znajomość swego w nim miejsca jest jedyną rzeczą, jaka nas dzieli od panującej w dżungli anarchii.

Spalko przyglądał mu się bez słowa. W oczach Chana lśniła łuna pożaru, nadając jego twarzy wyraz nieokielznanej dzikości. Spalko wyobraził go sobie w dżungli, cierpiącego niedostatki, walczącego z zachłannością i nieposkromioną żądzą krwi. Dżungle południowo-wschodniej Azji to świat sam w sobie. To barbarzyńska, śmiertelnie niebezpieczna kraina rządząca się własnymi prawami. A Chan nie tylko w tej krainie przeżył, ale i rozkwitł. To, jak tego dokonał, było - przynajmniej według Spalki - jego największą tajemnicą.

- Biznesmen i klient? Wolalbym myśleć, że łączy nas coś więcej. Chan pokręcił głową.

- Śmierć ma specyficzny zapach. Pan pachnie śmiercią.

- Ty też. - Na twarzy Spalki powoli wykwitł uśmiech. - A więc zgadzasz się, że łączą nas szczególne więzy.

- Każdy z nas ma swoje tajemnice. Prawda?

- Obaj wyznajemy kult śmierci, obaj rozumiemy, jaką ma władzę. - Spalko pokiwał głową. - Mam dla ciebie to, o co prosiłeś. - Podał mu czarną kartonową teczkę.

Chan patrzył mu przez chwilę w oczy. Dzięki wrodzonej spostrzegawczości dostrzegł w nich przebłysk protekcyjnego lekceważenia i uznał to za niewybaczalną obrazę. Ale uśmiechnął się tylko, skrywając gniew pod nieprzeniknioną maską. Nauczył się tego już dawno temu. Była to kolejna lekcja, jakiej udzieliła mu dżungla: działanie porywcze, pod wpływem chwili, często prowadzi do nieodwracalnych błędów; źródłem udanej zemsty jest cierpliwe oczekiwanie, aż krew przestanie się burzyć. Dlatego spokojnie otworzył teczkę. Znalazł w niej pojedynczą kartkę papieru z trzema krótkimi akapitami i paszportowym zdjęciem przystojnego mężczyzny. Pod zdjęciem widniał napis: „David Webb”.

- Tylko tyle?

- Te informacje pochodzą z bardzo wielu źródeł. Nic poza tym o nim nie wiadomo.

Spalko powiedział to zbyt gładko. Chan był pewien, że musiał tę odpowiedź dokładnie przećwiczyć.

- Ale to on.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Żadnych wątpliwości...

Sądząc po rozszerzającej się łunie, walki na przedmieściach przybrały na sile. Zadudniły moździerze, zalewając ziemię ognistym deszczem pocisków. Księżyc poczerwieniał jeszcze bardziej.

Chan zmrużył oczy i z nienawiścią zacisnął pięść.

- *Szukałem go, ale nigdy nie natrafiłem na najmniejszy ślad. Myślałem, że nie żyje.*
- *Bo na swój sposób nie żyje.*

Patrzył, jak Chan idzie przez most. Sięgnął po papierosa, pstryknął zapalniczką, zaciągnął się dymem i niechętnie go wypuścił. Gdy Chan zniknął w ciemności, wyjął telefon komórkowy i wybrał zagraniczny numer.

- *Ma już teczkę - powiedział. - Wszystko przygotowane?*
- *Tak.*
- *To dobrze. Zaczniecie o północy waszego czasu.*

Część 1

Rozdział 1

David Webb, profesor lingwistyki na uniwersytecie w Georgetown, ginął za stertą prac semestralnych. Szedł cuchnącym stęchłą korytarzem olbrzymiego gmachu imienia Healy'ego, zmierzając do gabinetu Theodora Bartona, dziekana wydziału, a ponieważ był już spóźniony, postanowił pójść na skróty, wąskim, słabo oświetlonym korytarzem, o którego istnieniu wiedziało niewielu studentów, a który on odkrył już dawno temu.

Jego uniwersyteckie życie ściśle regulowały łagodne odpływy i przyptywy, zmienna intensywność pogodnego bytowania. Rok był podzielony na semestry. Rozpoczynająca go surowa zima niechętnie ustępowała miejsca ostrożnej wiosnie, a ta z kolei pod koniec ostatniego semestru przechodziła w upalne i wilgotne lato. Ale Webb miał w sobie coś, co sprzeciwiało się temu błogiemu spokojowi, coś, co uparcie kierowało jego myśli ku poprzedniemu życiu, ku czasom, gdy pracował w tajnych służbach rządowych, co kazało mu podtrzymywać przyjaźń z jego byłym zwierzchnikiem Alexandrem Conklinem.

Właśnie miał skręcić za róg, gdy usłyszał chrapliwe, podniesione głosy i szyderczy śmiech, i zobaczył złowieszcze cienie tańczące na ścianie.

- Ty w mordę jebany, jęzor czerepem ci wyjdzie!

Bourne rzucił stos niesionych prac i popędził za róg. Zobaczył trzech Murzynów w płaszczach do kostek, stojących półkręgiem wokół kulącego się pod ścianą Azjaty. Stali w charakterystyczny sposób, na lekko ugiętych nogach, z luźno zwisającymi, rozkołysanymi rękami, dzięki czemu ich ciała przypominały paskudną broń, tępą, lecz giętką i gotową do użycia. Ze zdumieniem stwierdził, że ich ofiarą jest Rongsey Siv, jeden z jego ulubionych studentów.

- Ty skurwysynu - wychrypiał stojący pośrodku Murzyn. Młody i dobrze zbudowany, miał pogardliwą, wyzywającą twarz i musiał być na ostrym głodzie. - Przyszliśmy po fanty na towar.

- Towaru nigdy dość, co nie? - dodał drugi, z wytatuowanym na policzku orłem, bawiąc się kwadratowym złotym sygnetem, jednym z wielu na palcach prawej ręki. - A może nie wiesz, co to jest towar, żółtku?

- Właśnie - wtrącił ten na głodzie, wybaluszając oczy. - Pewnie nie wiesz nawet, jak to, kurwa, wygląda.

- Żółtek chce nas powstrzymać - dodał ten z tatuażem, nachylając się ku Rongseyowi. - I co nam zrobisz? Zajebiesz nas na śmierć tym swoim pieprzonym kung-fu?

Zarechotali skrzekliwie, nieudolnie naśladowując stylizowane kopnięcia, i Rongsey skulił się jeszcze bardziej.

Trzeci Murzyn, krępy mięśniak, wyjął spod długiego płaszcza kij bejsbolowy.

- Podnieś łapy, żółtku - powiedział. - Połamiemy ci paluchy. - Klepnął kijem w otwartą dłoń. - Wolisz wszystkie naraz czy po jednym?

- Co ty, kurwa! - wykrzyknął ten na głodzie. - Nie będzie kutas wybierał. - Wyjął zza pazuchy własny kij i groźnie podszedł do Rongseya.

Gdy wziął zamach, Webb zaatakował. Podbiegł do nich tak cicho, a oni tak bardzo byli skupieni na swojej ofierze, że zauważyli go dopiero wtedy, gdy ich dopadł.

Chwycił lewą ręką kij opadający na głowę Rongseya i przytrzymał. Gość po prawej, z orłem na policzku, zaklął soczyście i zaciśniętą, najeżoną ostrymi sygnetami pięścią spróbował uderzyć Webba w bok.

W tym samym momencie nad Webbem przejęła kontrolę osobowość Bourne'a, ukryta w ciemnych zakamarkach mózgu. Zablokował cios przedramieniem, zrobił szybki krok do przodu i wbił łokieć w mostek napastnika. Murzyn upadł, trzymając się za pierś.

Trzeci narkoman, najwyższy i najlepiej zbudowany, zaklął, rzucił kij, wyciągnął sprężynowiec i runął na Webba, który błyskawicznie zszedł z linii ataku, zadając krótki, ostry cios w nadgarstek. Nóż zaklekotał na betonowej podłodze korytarza. Webb zahaczył lewą stopą o kostkę Murzyna i zwinnie go podciął. Napastnik upadł na plecy, obrócił się na brzuch, wstał i uciekł.

Bourne wyszarpnął kij z rąk tego na głodzie.

- Ty jebany skurwysynu - wybelkotał Murzyn. Miał zwężone źrenice i nie mógł skupić wzroku. Wyjął pistolet, tani saturday-night special, i wymierzył w Webba.

Ze śmiertelną precyzją Webb uderzył kijem, trafiając go między oczy. Murzyn zatoczył się do tyłu, przeraźliwie wrzasnął i wypuścił pistolet.

Za rogu wypadło dwóch szkolnych ochroniarzy, zaalarmowanych odgłosami walki. Minęli Webba i popędzili za bandziorami, którzy gnali na złamanie karku w stronę tylnych drzwi, podtrzymując półprzytomnego kolegę. Z depczącymi im po piętach ochroniarzami wybiegli na dwór, na popołudniowe słońce.

Mimo niespodziewanej interwencji ochroniarzy, Webb wyraźnie czuł, że Bourne ma wielką chęć puścić się w pogoń. Jak szybko ocknął się z drzemki, z jaką łatwością nad nim zapanował! Czyżby dlatego, że Webb tego chciał? Odetchnął głęboko, próbując nad sobą zapanować, i spojrzał na Rongseya.

- Panie profesorze! - Kambodżanin z trudem przełknął ślinę.- Nie wiem, jak... - urwał, owładnięty lękiem i zmęczeniem. Nosił okulary i jego duże czarne oczy wydawały się teraz jeszcze większe. Twarz miał jak zwykle nieprzeniknioną, lecz w owych wielkich oczach Webb dostrzegł ogromny strach.

- Już dobrze. - Webb otoczył mu ręką ramiona. Przez profesorski chłód i rezerwę jak zwykle przebijała czułość. Nic nie mógł na to poradzić. Rongsey, kambodżański uchodźca, pokonał wiele przeciwności losu. Podczas wojny stracił prawie całą rodzinę. Obydwaj byli w tej samej dżungli i chociaż Webb bardzo się starał, za nic nie mógł uciec z gąszczu jej gorącego, wilgotnego świata. Ten świat powracał do niego jak malaryczna gorączka. Był jak sen na jawie i z zimnym dreszczem Webb rozpoznał go i teraz.

- Loak soksapbae chea tay? - spytał po khmersku.

- Nie, nic mi nie jest - odrzekł Rongsey w tym samym języku. – Ale nie wiem... To znaczy, jak pan...

- Wyjdźmy stąd, dobrze? - zaproponował Webb. Spóźni się do Bartona, ale było mu wszystko jedno. Podniósł z podłogi nóż i pistolet. Gdy odciągnął zamek, pękła iglica. Wrzucił bezużyteczną broń do kosza na śmieci, ale nóż schował do kieszeni.

Za rogiem Rongsey pomógł mu pozbierać prace semestralne i razem zagłębili się w labirynt korytarzy, w których im bardziej zbliżali się do głównego holu, tym robiło się tłoczniej. Milczeli. Webb dobrze znał to milczenie, jego naturę, czuł wagę zastygłej w czasie chwili, gdy po wybuchu przemocy powraca się razem do normalności. Tak bywało podczas wojny, tam, w dżungli; dziwiło go i niepokoiło to, że doszło do tego w tym tętniącym życiem wielkowiejskim kampusie.

Wyszli z korytarza i dołączyli do tłumu studentów wchodzących frontowymi drzwiami do gmachu Healy'ego. Na posadzce głównego holu lśnił czcigodny herb uniwersytetu. Zdecydowana większość studentów omijała go szerokim łukiem, gdyż według krążącej od lat legendy ten, kto przejdzie po herbie, nigdy nie zrobi dyplomu. Do studentów tych należał także Rongsey, jednak Webb bez skrępowań przemaszerował środkiem holu.

Stanęli we wczesnowiosennym słońcu, patrzyli na drzewa i stary dziedziniec, wdychali powietrze przesycone słabym zapachem rozkwitających kwiatów. Tuż za nimi wznosił się ol-

brzymi gmach Healy'ego z imponującą fasadą z czerwonej cegły, z dziewiętnastowiecznymi mansardowymi oknami, pokrytym łupkowymi płytkami dachem i z sześćdziesięciometrową wieżą zegarową.

- Dziękuję, panie profesorze - powiedział Kambodżanin. - Gdyby nie pan...

- Rongsey - przerwał mu łagodnie Webb - chcesz o tym porozmawiać? Czarne oczy studenta były nieprzeniknione.

- O czym?

- To zależy od ciebie.

Rongsey wzruszył ramionami.

- Nic mi nie będzie. Naprawdę. Nie pierwszy raz mnie wyzywają.

Webb patrzył na niego przez chwilę i nagle ogarnęło go tak silne wzruszenie, że zapiekły go oczy. Chciał objąć Rongseya, przytulić, obiecać, że już nigdy nie przydarzy mu się nic złego. Ale Rongsey był buddystą i nie zaakceptowałby takiego gestu. Kto mógł wiedzieć, co się działo pod twardym jak stal pancierzem pozornego spokoju i opanowania? Webb widział wielu takich jak on, ludzi, których wojna i kulturowa nienawiść zmusiła do oglądania śmierci, do bycia świadkami upadku własnej cywilizacji, do przeżywania tragedii, których większość Amerykanów po prostu nie rozumiała. Łączyły ich silne więzy, emocjonalne pokrewieństwo zabarwione straszliwym smutkiem, świadomość wewnętrznych ran, które nigdy się nie zagoją.

Choć obaj dzielali te uczucia, ani jeden, ani drugi nie dawał im wyrazu. Ze słabym, niemal smutnym uśmiechem Rongsey znów oficjalnie podziękował profesorowi i pożegnali się.

Webb stał samotnie wśród tłumu biegnących studentów i profesorów, wiedząc, że tak naprawdę nie jest jednak sam. Mimo wysiłków agresywna osobowość Jasona Bourne'a po raz kolejny dała o sobie znać. Mocno skoncentrowany oddychał powoli i głęboko, stosując techniki terapeutyczne, które według jego psychiatry i przyjaciela, Mo Panova, miały zdusić w nim tę drugą osobowość. Najpierw skupił się na najbliższym otoczeniu, na błękitach i złocistości wiosennego popołudnia, na szarości i czerwieni budynków otaczających uniwersytecki dziedziniec, na przechodzących obok studentach, uśmiechniętych twarzach dziewcząt, śmiechu chłopców i poważnych głosach profesorów. Każdy z tych elementów chłonął jako niezależną całość, osadzając swoją osobowość w czasie i przestrzeni. Dopiero ustaliwszy to, zajął się w głąb siebie.

Przed laty pracował w służbie zagranicznej w Phnom Penh. Był wtedy żonaty, ale nie z Marie, swoją obecną żoną, tylko z Tajką o imieniu Dao. Mieli dwoje dzieci, Joshuę i Alysę, i mieszkali w domu nad brzegiem rzeki. Ameryka prowadziła wojnę z Wietnamem, wojna ta rozlała się i na Kambodżę. Pewnego popołudnia, gdy był w pracy, jego rodzina kapłała się w rzece i jakiś samolot ostrzelał ich i zabił.

Webb omal nie oszalał z rozpaczy. Porzucił Phnom Penh i przybył do Sajgonu - człowiek bez przeszłości i przyszłości. Alex Conklin zabrał na wół oszalałego Davida Webba z sajgońskiej ulicy i zamienił w znakomitego agenta służb specjalnych. W Sajgonie Webb nauczył się zabijać i zwrócił swoją wściekłość i nienawiść ku innym. Gdy jeden z członków zespołu Conklina - nie mogąca nigdzie zagrzeć kania nazwiskiem Jason Bourne - okazał się szpiegiem, to właśnie on go zlikwidował i przejął jego tożsamość. Nienawidził jej, chociaż często była jedyną drogą ratunku. Jason Bourne uratował mu życie więcej razy, niż mógł spać. Zabawna myśl, gdyby nie to, że była tak dosłowna.

Lata później, kiedy obaj wrócili do Waszyngtonu, Conklin wyznaczył mu długoterminowe zadanie. Webb został „spiochem”, uśpionym agentem, przyjmując nazwisko Jasona Bourne'a, człowieka od dawna już nieżyjącego i przez wszystkich zapomnianego. Przez trzy lata naprawdę był Bourne'em, bo żeby dopaść nieuchwytnego terrorystę, zmienił się w międzynarodowego zabójcę o światowej sławie.

Ale w Marsylii w jego misji nastąpił straszliwy zwrot. Został postrzelony, wpadł w ciemne wody Morza Śródziemnego i uznany za martwego. Gdy wyłowili go rybacy, trafił w

ręce lekarza alkoholika, który przywrócił go do zdrowia. Jedyнным problemem było to, że przeżycia te wywołały u niego szok tak silny, że stracił pamięć. To, co zdołał sobie przypomnieć, było wspomnieniami Bourne'a. Dopiero znacznie później, dzięki Marie, swojej przyszej żonie, dowiedział się, że jest Davidem Webbem. Jednakże zdążyła się już w nim zakorzenić osobowość Bourne'a, zbyt potężna i zbyt przebiegła, żeby na dobre umrzeć.

Tak więc był teraz dwiema osobami: Davidem Webbem, żonatym i dzieciatym profesorem lingwistyki, i Jasonem Bourne'em, wyszkolonym przez Conklina agentem. Od czasu do czasu, w krytycznych sytuacjach, Conklin prosił Bourne'a o pomoc i Webb niechętnie mu jej udzielał. Rzecz w tym, że jako Webb nie potrafił zapanować nad Bourne'em. To, co stało się przed chwilą z Rongseyem i trzema ulicznikami, było tego najlepszym dowodem. Mimo usilnej pracy Panova Jason zawsze potrafił wygrać z Davidem.

Chan, zerknąwszy na Webba, który po drugiej stronie dziedzińca rozmawiał z jakimś Kambodżaninem, wszedł do budynku naprzeciwko gmachu Healy'ego i wspiął się schodami na drugie piętro. Był ubrany jak student. Miał dwadzieścia siedem lat, ale ponieważ wyglądał dużo młodziej, nikt nie zwracał na niego uwagi. Spodnie khaki, dżinsowa kurtka, duży plecak i adidas - gdy szedł korytarzem, mijając po drodze drzwi do sal, prawie nie było go słychać. Przed oczami wciąż miał wyraźny obraz dziedzińca. Nieustannie obliczał i przeliczał kąty, biorąc pod uwagę rozłożyste drzewa, które mogłyby przesłonić cel.

Przystanął przed szóstymi drzwiami i wsłuchał się w dobiegający zza nich głos. Wykładowca mówił o etyce, co wywołało ironiczny uśmiech na twarzy Chana. Z doświadczenia - dużego i różnorodnego - wiedział, że etyka jest martwa i równie bezużyteczna jak łacina. Podszedł do drzwi sąsiedniej sali, która - jak zdążył wcześniej ustalić - była pusta, i wszedł do niej.

Szybko zamknął drzwi na klucz, stanął przed rzędem okien wychodzących na dziedzińiec, otworzył jedno z nich i wziął się do pracy. Z plecaka wyjął karabin wyborowy Dragunowa kaliber 7,62, rosyjską snajperkę ze składaną kolbą. Przymocował do niego lunetkę i oparłszy broń o parapet, odnalazł celownikiem Webba, który stał samotnie po drugiej stronie dziedzińca. Po jego lewej stronie były drzewa. Od czasu do czasu zasłaniał go przechodzący studenci. Chan wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Wycelował w środek czoła.

Webb potrząsnął głową, próbując wymazać z pamięci wspomnienia i wrócić do rzeczywistości. Na wzbierającym wietrze zaszumiały drzewa, połyskując zalanymi słońcem liśćmi. Kilka kroków dalej roześmiała się z jakiegoś dowcipu dziewczyna z książkami przy piersiach. Wraz z podmuchem powietrza dotarły do niego słabe dźwięki muzyki pop dochodzące z jakiegoś okna. Wciąż myśląc o tym, co chciałby powiedzieć Rongseyowi, już miał ruszyć w stronę gmachu Healy'ego, gdy usłyszał cichy trzask. Zareagował odruchowo i błyskawicznie, stając w cętkowanym cieniu drzew.

Strzelają do ciebie! - krzyknął aż nadto znajomy głos w zakamarkach świadomości Bourne'a. Ruszaj! Szybko! Ciało Webba posłuchało i w tej samej chwili kolejna kula, wystrzelona z karabinu z tłumikiem, rozłupała korę tuż koło jego policzka.

Snajper. Dobry jest. Pod wpływem zagrożenia fizycznego w mózgu Webba zaroilo się od myśli Bourne'a.

Oczy widziały normalny świat, lecz jego świat wewnętrzny, ten równoległy, świat Jasona Bourne'a - skryty, elitarny, uprzywilejowany i śmiertelnie niebezpieczny - płonął jak napalm. W ułamku sekundy Bourne wyrwał się z codziennego życia Davida Webba i odizolował od wszystkich i wszystkiego, co było mu bliskie i drogie. Nawet przypadkowe spotkanie z Rongseyem należało teraz do innego wymiaru. Stojąc za drzewem, poza zasięgiem wzroku snajpera, wyciągnął rękę i opuszkami palców wymacał w korze dziurę od kuli. Podniósł wzrok

i to właśnie on, Jason Bourne, ustalił trajektorię pocisku i stwierdził, że strzały padły z okna na drugim piętrze budynku stojącego po przeciwległej stronie dziedzińca.

Wokół niego krążyli studenci. Chodzili, rozmawiali, sprzeczali się i dyskutowali. Niczego nie zauważyli, a gdyby nawet przypadkiem coś usłyszeli, odgłos ten nic by im nie powiedział i szybko by o wszystkim zapomnieli. Wyszedł zza drzewa i dołączył do grupki studentów. Wmieszał się między nich spieszenie, lecz tak, żeby nikogo nie wyprzedzić. Oslaniali go teraz przed snajperem, byli jego najlepszą tarczą.

Zdawało się, że jest ledwo przytomny, niczym lunatyk, który śpiąc widzi i odczuwa wszystko z podwyższoną świadomością. Częścią tej świadomości była pogarda dla cywili zamieszkujących zwykły, normalny świat. Dla wszystkich, łącznie z Davidem Webbem.

Po drugim strzale skonsternowany Chan wycofał się za okno. Nie tego się spodziewał. Gorączkowo myśląc, ocenił to, co przed chwilą zaszło. Zamiast wpaść w panikę i jak przestraszona owca uciec do gmachu Healy'ego, Webb spokojnie stanął za drzewem, schodząc z linii strzału. Już to by wystarczyło - taka reakcja zupełnie nie pasowała do charakteru człowieka z dossier Spalki - ale chwilę potem na podstawie dziury, którą wyłupała w korze druga kula, Webb określił trajektorię pocisku. A teraz, pod osłoną studentów, szedł prosto do budynku, w którym był Chan. To nieprawdopodobne, lecz zamiast uciekać, atakował.

Lekko zdenerwowany nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń Chan spieszenie rozłożył karabin i schował go do plecaka. Webb wchodził już do gmachu. Zostało mu ledwie kilka minut.

Bourne odłączył się od grupy, szybko wszedł do holu i pokonując po kilka stopni naraz, wbiegł na drugie piętro. Tam skręcił w lewo. Siódme drzwi po lewej stronie: sala ćwiczeń. W korytarzu rozbrzmiewał wielojęzyczny gwar. Byli tu studenci z całego świata, Afrykańczycy, Azjaci, Latynosi i Europejczycy, lecz on zarejestrował i zapamiętał twarz każdego z nich, bez względu na to, jak krótko ją widział.

Ciche i głośne rozmowy oraz sporadyczne wybuchy śmiechu zdawały się przeczyć temu, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Podchodząc do drzwi, otworzył odebrany narkomanowi sprężynowiec i zacisnął go w dłoni w taki sposób, że ostrze wystawało jak szpikulec między drugim i trzecim palcem. Jednym płynnym ruchem pociągnął za klamkę, zwinął się w kłębek i wtoczył za ciężkie dębowe biurko stojące o dwa metry od drzwi. Nóż trzymał podniesiony, gotowy do użycia.

Ostrożnie wstał. Złośliwie spoglądała na niego pusta sala, wypełniona tylko kredowym pyłem i plamami słońca. Stał przez chwilę ze zwężonymi nozdrzami, jakby wchłaniając zapach snajpera, mógł wyczarować go z nicości. Podeszedł do okien. Czwarte od lewej było otwarte. Przystanął tam, patrząc na miejsce, gdzie przed kilkoma minutami rozmawiał z Rongseyem. Tak, przyczał się tutaj. Bourne wyobraził go sobie, jak opiera lufę karabinu o parapet, jak zbliża oko do lunetki, jak wodzi nią po dziedzińcu. Gra światła i cienia. Przechodzący student. Nagły wybuch śmiechu czy gniewne słowo. Palec na spuście. Powolny, równomierny nacisk. Puf! Puf! Jeden strzał i drugi.

Uważnie obejrzał parapet. Zerknął w prawo, podeszedł do tablicy i z biegnącej pod nią metalowej półeczki zgarnął trochę kredowego pyłu. Wrócił do okna i ostrożnie zdmuchnął go z ręki na parapet. Nie ukazał się ani jeden odcisk palca. Ktoś wytarł parapet do czysta. Ukląkł i powiódł wzrokiem po ścianie pod parapetem, następnie po podłodze. Nic. Ani zdradliwego niedopałka papierosa, ani zblakanych włosów, ani łusek. Pedantyczny zamachowiec zniknął z taką samą maestrią, z jaką się pojawił. Bourne'owi serce waliło jak młotem, w głowie wirowało od myśli. Kto chciał go zabić? Na pewno nikt z obecnego życia. Najbardziej wstrząsającym wydarzeniem, do jakiego w nim doszło, była zeszlotygodniowa sprzeczka z Bobem Drakiem, dziekanem wydziału etyki, którego zamilowanie do wiecznego przynudzania i filozofowania było tyleż legendarne, co denerwujące. Nie, to zagrożenie przyszło ze świata Jasona

Bourne'a. Nie ulegało wątpliwości, że wśród kandydatów na zamachowca, tych z przeszłości, mógł wybierać i przebierać, lecz ilu z nich zdołałoby ustalić, że Jason Bourne jest teraz Davidem Webbem? To pytanie poważnie go zaniepokoiło. Chociaż podświadomie chciał wrócić do domu i omówić to z Marie, wiedział, że jedyną osobą, która знаła jego drugie życie na tyle dobrze, żeby mu pomóc, był Alex Conklin, człowiek, który wyczarował go znikąd jak sztukmistrz.

Podszedł do ściennego telefonu, podniósł słuchawkę, wybrał kierunkowy na miasto, a potem prywatny numer. Conklin, wciąż pracujący na część etatu w CIA, powinien być w domu. Telefon był zajęty.

Zaczekać, aż Alex skończy rozmawiać - znał go i wiedział, że mogło to potrwać pół godziny, a nawet dłużej - czy do niego pojechać? Otwarte okno szydziło z niego i drwiło. Było świadkiem tego, co się tu stało, wiedziało więcej niż on.

Wyszedł z sali i ruszył w stronę schodów. Odruchowo ogarnął wzrokiem korytarz, szukając w tłumie studentów, których mijal w drodze do sali.

Spiesznie przeciął kampus i wszedł na parking. Już miał wsiąść do samochodu, gdy zmienił zdanie. Szybko, lecz dokładnie obejrzał karoserię, potem silnik i stwierdził, że nikt przy wozie nie grzebał. Zadowolony usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał na ulicę.

Alex Conklin mieszkał w wiejskiej posiadłości w Manassas w Wirginii. Gdy Webb dotarł na przedmieścia Georgetown, niebo nabrało silniejszego blasku i zapadła dziwna, stężala cisza, jakby cały krajobraz nagle wstrzymał oddech.

Obarczony osobowością Bourne'a Webb uwielbiał Conklina i nienawidził go zarazem. Conklin był ojcem, spowiednikiem, spiskowcem i wyzyskiwaczem. Był klucznikiem: dzierżył klucz do jego przeszłości. Webb musiał z nim teraz porozmawiać, ponieważ tylko on mógł wiedzieć, jakim sposobem ktoś, kto próbował wytropić Jasona Bourne'a, znalazł go w kampusie uniwersytetu w Georgetown.

Miasto zostało w tyle i zanim dotarł do Wirginii, jasne dotąd popołudnie poszarzało. Słońce przestłoniły zwały chmur, między zielonymi wzgórzami zaczął hulać wiatr. Webb wciśnął pedał gazu. Głośniejszy zamruczał silnik i samochód skoczył przed siebie jak koń spięty ostrogą.

Jadąc krętą autostradą, David nagle zdał sobie sprawę, że od przeszło miesiąca nie widział Mo Panova. Mo, polecony przez Conklina psycholog z CIA, próbował posklejać jego rozbitą psychikę, na dobre stłumić osobowość Bourne'a i pomóc mu odzyskać własne wspomnienia. Dzięki jego technikom kilka dużych, pozornie straconych już fragmentów pamięci wypłynęło na powierzchnię jego świadomego umysłu. Lecz była to praca znojna i wyczerpująca, dlatego pod koniec semestru, gdy uniwersytet ogarniało sesyjne szaleństwo, często przezywał terapię.

Skręcił w biegnącą na północny wschód dwupasmową asfaltówkę. Dlaczego akurat teraz pomyślał o Panowie? Zawsze ufał swoim zmysłom i przeczuciom. To, że nagle o nim pomyślał, musiało być jakąś wskazówką. Panov - co to mogło znaczyć? Pamięć, tak, na pewno, ale co jeszcze? Przebiegł myślą wstecz. Na ostatnim spotkaniu rozmawiali o ciszy. Według Mo, cisza była użytecznym narzędziem w walce o odzyskanie pamięci. Umysł musiał być stale zajęty, nie lubił ciszy. Jeśli świadomemu umysłowi uda się narzucić ciszę, możliwe, że wypełni ją stracona pamięć. Dobra, pomyślał, tylko dlaczego przyszło mi to do głowy akurat teraz?

Wpadł na to dopiero na długim, wygiętym we wdzięczny łuk podjeździe Aleksa. Żeby nie dać się namierzyć, snajper użył tłumika. Ale tłumik ma swoje wady. Zastosowany w karabinie, a snajper używał karabinu, znacząco wpływa na celność broni. Ten, kto do niego strzelał, powinien celować w korpus - korpus jest duży i masywny, dlatego prawdopodobieństwo tra-

fienia jest o wiele większe - tymczasem mierzył w głowę. To nielogiczne, zakładając, że próbował zabić. Ale gdyby chciał go tylko nastraszyć czy ostrzec - to już inna sprawa. Nieznajomy facet miał ego, ale się z tym nie obnosił; był naprawdę dobry, nie zostawił po sobie najmniejszych śladów. Miał też konkretny plan - to było całkiem jasne.

Bourne minął starą, wielką, powykrzywianą na wszystkie strony stodołę, kilka mniejszych budynków gospodarczych i szop na narzędzia. W oddali ukazał się budynek mieszkalny. Stał w kępie wysokich sosen, brzoź i cedrów, starych drzew, które posadzono tu przed blisko sześćdziesięciu laty, na długo zanim wybudowano sam dom. Kiedyś należał do nieżyjącego już generała, który maczał palce w tajnych i dość kompromitujących operacjach wojskowych. Dlatego w domu - i na terenie całej posiadłości - roilo się od różnych tuneli, zamaskowanych wejść i wyjść. Alex na pewno cieszył się, że mieszka w naszpikowanej tajemnicami rezydencji.

Na podjeździe Bourne zobaczył nie tylko bmw-7 Conklina, ale też stojącego obok jaguara Mo Panova. Idąc wysypaną błękitnoszarym żwirem ścieżką, poczuł, że lżej mu na sercu. Zastał tu dwóch najlepszych przyjaciół, a każdy z nich był na swój sposób strażnikiem jego pamięci. Razem rozwiążą tę tajemnicę, podobnie jak rozwiązali wiele innych. Wszedł na taras i wcisnął guzik dzwonka. Cisza. Przytknął ucho do wypolerowanych drzwi z tekowego drewna i usłyszał czyjś głos. Przekręcił gałkę. Drzwi były otwarte.

W głowie rozdzwoniły mu się dzwonki alarmowe i przez chwilę stał nieruchomo w na wpół otwartych drzwiach, wsłuchując się w odgłosy domu. Nieważne, że był na wsi, gdzie o przestępstwach praktycznie nie słyszano: stare zwyczaje nigdy nie umierają. Conklin miał bzika na punkcie bezpieczeństwa, dlatego zawsze zamykał drzwi, bez względu na to, czy był w domu, czy nie. Bourne otworzył sprężynowiec i przekroczył próg, zdając sobie aż nadto wyraźnie sprawę, że w środku może czyhać napastnik - nastlany na niego członek zespołu egzekucyjnego.

Ozdobiony żyrandolem hol kończył się szerokimi drewnianymi schodami, prowadzącymi na biegnącą w poprzek holu antresolę. Po prawej stronie znajdował się elegancko urządzony salon, po lewej pokój telewizyjny ze sprzętem grającym, barkiem i głębokimi skórzanymi sofami, a bezpośrednio za nim mniejsze, bardziej intymne pomieszczenie, gdzie Alex urządził gabinet.

Idąc za dźwiękiem głosu, Bourne wszedł do pokoju telewizyjnego. Wielki ekran, na ekranie hotel Oskjuhlid, przed hotelem telegeniczny komentator CNN. Nałożony napis i grafika: nadawali z Reykjaviku w Islandii.

- ...z delikatnego charakteru zbliżającego się szczytu antyterrorystycznego zdają sobie sprawę wszyscy.

W pokoju nie było nikogo, ale na stoliku koktajlowym stały dwie staro-dawne szklanki. Bourne podniósł jedną z nich i powąchał. Speyside, jednosłodowa whisky dojrzewająca w beczkach po sherry. Bogaty aromat ulubionego trunku Conklina zdezorientował go i obudził wspomnienia. Paryż. Jesień. Czerwone liście kasztanowców wirujące na Champs-Elysees. Patrzył przez okno jakiegoś gabinetu. Zmagał się z tą wizją, tak sugestywną, że wyrwała go z samego siebie i przeniosła do Francji, chociaż, co podpowiadała mu posępnie druga świadomość, wciąż był w Manassas w Wirginii, w domu Aleksa Conklina. Próbował zachować czujność, lecz sprowokowane zapachem whisky wspomnienie coraz bardziej przytłaczało go i wciągało, tak że w końcu zapragnął poznać prawdę, wypełnić lukę w pamięci. A więc Paryż. Gabinet. Ale czyj? Nie Conklina - Alex nigdy nie miał biura w Paryżu. I ten zapach: w gabinecie ktoś z nim był. Odwrócił głowę i przed oczami mignęła mu czyjaś na wpół zapomniana twarz.

Wyrwał się stamtąd, uciekł. Chociaż to, że dawne życie ożywało w nim jedynie krótkimi, gwałtownymi seriami wspomnień, doprowadzało go do

szaleń, same wydarzenia w kampusie i nawet dziwna sytuacja, jaką zastał w domu Aleksa, nie mogły go sprowokować do myślenia o przeszłości. Właśnie. Co mówił o tym Mo? Że

impulsem wyzwalającym wspomnienia może być widok, dźwięk, zapach, a nawet dotyk, że gdy pamięć jest dostatecznie sprowokowana, można je obudzić, powtarzając bodźce, dzięki którym kiedyś zapadły w pamięć. Ale nie teraz. Teraz musiał znaleźć Aleksa i Mo.

Spojrzał wokół. Na stoliku leżały notes. Otworzył go. Pierwsza kartka była wyrwana. Ale gdy podniósł notes do światła, na drugiej kartce dostrzegł płytkie wgniecenia. Ktoś - najprawdopodobniej Conklin - zapisał na niej dwa słowa: „NX 20”. Bourne schował notes do kieszeni.

- Odliczanie już się zaczęło. Za pięć dni dowiemy się, czy wstanie nowy dzień, czy na świecie zapanuje nowy ład, czy praworządne ludy i narody tego świata będą w stanie żyć ze sobą w zgodzie i pokoju. -Komentator mówił i mówił, wreszcie zamilkł; nadawano jakąś reklamę.

Bourne pstryknął pilotem i zapadła cisza. Możliwe, że Mo wyciągnął Conklina na spacer - lubił rozładowywać nadmiar energii spacerując i zawsze namawiał do tego Aleksa. Tak, ale te niezamknięte drzwi...

Bourne zawrócił do holu i przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł na górę. Oba pokoje gościnne były puste i nic nie wskazywało na to, żeby ktoś tam ostatnio mieszkał; w łazienkach też panował nienaganny porządek. Zajrzał do sypialni Conklina. Jak przystało na starego żołnierza, Alex sypiał w po spartańsku urządzonym pokoju. Wąskie, twarde łóżko przypominało pryczę i było niepościelone, co oznaczało, że tej nocy tu spał. Ale jako mistrz i władca tajemnic nie trzymał na wierzchu niczego, co mogłoby zdradzić jego przeszłość. Niczego z wyjątkiem oprawionego w srebrne ramki zdjęcia kobiety o długich falujących włosach, jasnych oczach i łagodnym, choć nieco kpiącym uśmiechu. Stała na tle kamiennych lwów wokół fontanny w Saint-Sulpice. W Paryżu. Bourne odstawił zdjęcie na miejsce i zajrzał do łazienki, lecz nie znalazł tam niczego interesującego.

Zegar w gabinecie wybił godzinę. Był to stary zegar okrętowy i jego dźwięczne uderzenia brzmiały jak dzwon pokładowy. Ale Bourne wychwycił w nich coś złowieszczonego. Przetoczyły się przez dom niczym czarna fala. Serce zabiło mu szybciej.

Zszedł na dół i przystanął w drzwiach kuchni. Na kuchence stał czajnik, lecz pokryte stalową blachą blaty były idealnie czyste. W lodówce mruczała maszyna do lodu. I wtedy to zobaczył: laska, wypolerowany jesion i srebrna gałka. Alex kulał - przeżył kiedyś wyjątkowo gwałtowną potyczkę - i na pewno nie poszedłby bez niej na spacer.

Gabinet mieścił się po lewej stronie. Był to wygodny, wyłożony boazerią narożny pokój z widokiem na ocieniony drzewami trawnik, kamienny taras z basenikiem pośrodku i na mieszany las, który zajmował większość posesji. Coraz bardziej zaniepokojony Bourne ruszył w stronę otwartych drzwi. W progu zamarł.

Nigdy dotąd tak bardzo nie zdawał sobie sprawy ze swojej podwójnej osobowości - część jego świadomości stała się nagle beznamiętnym, obiektywnym obserwatorem. Ten czysto analityczny fragment mózgu zarejestrował, że Alex Conklin i Mo Panov leżą na kolorowym perskim dywanie. Krew sącząca się z ran na ich głowach wsiąkała weń, miejscami spływając na drewnianą podłogę. Świeża, jeszcze błyszcząca krew. Zamglone oczy Conklina patrzyły w sufit. Jego twarz była zaczerwieniona, jakby nagle dał upust długo tłumionemu gniewowi. Mo miał przekrzywioną głowę - gdy go zaatakowano, próbował pewnie spojrzeć za siebie. Na jego twarzy zastygł wyraz strachu. Nie ulegało wątpliwości, że w ostatniej chwili dostrzegł nadchodzącą śmierć.

Alex! Mo! Chryste! O Chryste! Tama pękła i Bourne upadł na kolana. Z szoku i przerażenia zakręciło mu się w głowie. Widok ten wstrząsnął do głębi całym jego światem. Alex i Mo - mimo makabrycznych dowodów nie mógł w to uwierzyć. Nie mógł uwierzyć, że już nigdy z nimi nie porozmawia, nie skorzysta z ich bogatego doświadczenia. Przed oczami przesunęła mu się płatanina obrazów i wspomnień, spotkań, wspólnie spędzonych dni, momentów pełnych napięcia, niebezpieczeństw i gwałtownej śmierci, a potem błogich chwil odprężenia w

intymności, którą może zrodzić tylko wspólnie przeżyte zagrożenie. Dwa odebrane siłą życia nie pozostawiły po sobie nic oprócz gniewu i strachu. Drzwi do przeszłości zatrzasnęły się nieodwracalnie. Bourne i Webb pogrążyli się w rozpacz. Bourne z trudem wziął się w garść, odsuwając na bok historyczne emocje Webba i otarł łzy. Placz był luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić.

Ogarnął wzrokiem miejsce zbrodni, rejestrował każdy szczegół, próbując ustalić, jak do niej doszło. Podeszedł bliżej, ostrożnie, żeby nie wdepnąć w krew i niczego nie potrącić. Musiano ich zastrzelić z leżącego między nimi pistoletu. Każdego zabito jednym strzałem. To nie było zwykłe włamanie, lecz profesjonalnie przeprowadzona egzekucja. Alex ścisnął w rękę telefon komórkowy, jakby na chwilę przed śmiercią z kimś rozmawiał. Czyżby zamordowano ich, gdy Bourne próbował się do niego dodzwonić? Całkiem możliwe. Sądząc po krwi, po poszarzałej skórze ich twarzy i braku stężenia pośmiertnego palców rąk, do zabójstwa doszło nie dalej niż przed godziną.

Z zamyślenia wyrwał go dochodzący z oddali słaby dźwięk. Syreny! Wybiegł z gabinetu i stanął przy frontowym oknie. Migając światłami, drogą pędziło kilka radiowozów policji stanowej. Nakryli go w domu z dwoma trupami, bez wiarygodnego alibi. Wrobiono go. Poczul, że zaciskają się na nim kleszcze sprytnie zastawionej pułapki.

Rozdział 2

Części układanki wreszcie się dopasowały. Precyzyjnie oddane strzały w kampusie nie miały go zabić, tylko zwabić, zmusić do odwiedzenia Conklina. Ale Conklin i Mo już nie żyli. Ktoś tu był, ktoś go obserwował, gotów zadzwonić na policję, gdy tylko nadjedzie. Ten sam ktoś, kto strzelał do niego w kampusie?

Bez namysłu wyjął telefon z dłoni Aleksa, wpadł do kuchni, otworzył wąskie drzwi na strome schody do piwnicy i spojrzął w ciemną czeluść. Słyszał już potrzaskiwanie policyjnych radiostacji, chrzęst żwiru, łomotanie do frontowych drzwi. Zrzedliwe, podniesione głosy.

Otworzył jedną szufladę, drugą, poszperał w nich, znalazł latarkę, przekroczył próg, zamknął za sobą drzwi i pogrążył się w ciemności. Gdy silny, mocno skupiony promień latarki oświetlił schody, bezszelestnie zbiegł na dół. Doszedł go zapach betonu, starego drewna, lakieru i oleju opałowego. Teraz małe drzwiczki pod schodami. Wymacał je i pociągnął za uchwyt. Kiedyś, pewnego zimnego, śnieżnego popołudnia, Conklin pokazał mu zamaskowany tunel, którym generał, dawny właściciel posiadłości, przechodził do prywatnego lądowiska śmigłowców za stodolą. Zatrzeszczały deski nad głową. Policjanci byli w domu. Możliwe, że już odkryli zwłoki. Trzy samochody, dwa trupy - wiedział, że sprawdzenie tablic rejestracyjnych jego wozu potrwa zaledwie kilka minut.

Pochyliwszy się, wszedł do niskiego przejścia i zamknął za sobą drzwiczki. Za późno pomyślał o staromodnej szklance, którą podniósł ze stolika. Technicy zbadają ją i znajdą odciski palców. Chryste. Odciski palców, zaparkowany na podjeździe samochód...

Przestań o tym myśleć, nic ci to nie da! Uciekaj! Pochylony wszedł do niskiego, ciasnego tunelu. Już trzy metry dalej mógł się wyprostować, bo strop był tam wyższy. Powietrze przesycił nowy rodzaj wilgoci; gdzieś w pobliżu powoli kapłała woda. Ustalił, że minął już fundamenty domu. Przyspieszył kroku i niecałe trzy minuty później dotarł do kolejnych schodów. Te były metalowe, podobne do wojskowych. Wszedł na nie i naparł na strop ramieniem. Otworzyła się kłapa. Buchnęło świeże powietrze i łagodne światło kończącego się dnia, otoczyło go monotonne bzyczenie owadów. Był na skraju generalskiego lądowiska.

Po asfalcie walały się gałęzie i kawałki suchych konarów. Kilka metrów dalej rodzina szopów pracy szła niespiesznie w kierunku starej, krytej gontem szopy na brzegu lasu. Okolice była zaniedbana i opuszczona. Ale to nie lądowisko stanowiło cel jego wyprawy. Odwrócił się do niego tyłem i zanurzył w gęsty sosnowy las.

Zamierzał obejść posesję szerokim łukiem i ominąwszy policyjny kordon wokół domu, dotrzeć aż do autostrady. Jego najbliższym celem był strumień płynący przez posiadłość. Wiedział, że lada chwila policja sprowadzi psy. Wiedział też, że na suchej ziemi zostawi swój wyraźny zapach, a. w wartkiej wodzie psy łatwo zgubią trop.

Przepelznął przez kolczaste krzewy, pokonał niski skalisty grzbiet, stanął między dwoma cedrami i wycężył słuch. Musiał sobie przyswoić i posegregować naturalne odgłosy lasu, żeby natychmiast rozpoznać te obce, wydawane przez intruza. Zdawał sobie sprawę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa wróg jest blisko. Morderca jego przyjaciół, jedynych ludzi, którzy łączyli go z dawnym życiem. Pragnienie zemsty walczyło w nim z przymusem ucieczki przed policją - chociaż bardzo chciał zapolować na zabójcę, wiedział, że w tej chwili najważniejsze jest wydostanie się poza policyjny kordon, że musi to zrobić, zanim wrobiają go ostatecznie.

Chan wszedł do gęstego lasu na terenie posiadłości Conklina i natychmiast poczuł się w nim jak w domu. Nad jego głową zamknął się ciemnozielony baldachim i zapadł przedwczesny zmierzch. Przez gałęzie na czubkach drzew sączyły się promienie słońca, ale tu, na dole, panował posępny mrok, w którym łatwiej było tropić zwierzynę. Śledził Webba od uniwersytetu aż do domu Conklina. Tak, znał to nazwisko, słyszał o Alexandrze Conklinie, legendarnym asie wywiadu. Zaskoczyło go tylko, że Webb tu przyjechał. Po co? Skąd w ogóle go znał? I dlaczego zaraz po jego przyjeździe w domu Conklina zaroilo się od policji?

Usłyszał dobiegające z oddali szczekanie i domyślił się, że gliniarze spuścili psy. Przed sobą miał Webba, który biegł przez las, jakby znał na pamięć każde rosnące tu drzewo. Kolejna zagadka bez jednoznacznej odpowiedzi. Przyspieszył kroku, zastanawiając się, dokąd Webb zmierza. Usłyszał szum strumienia i zrozumiał, co on chce zrobić.

Ruszył biegiem i pierwszy dotarł do strumienia. Założył, że pójdzie z jego biegiem, aby jak najdalej od tropiących go psów. Przystanął i jego uwagę przykuła olbrzymia wierzba. Uśmiechnął się szeroko. Duże, mocne drzewo z płataniną rozłożystych gałęzi było dokładnie tym, czego teraz potrzebował.

Czerwonawe promienie słońca przeszywały drzewa niczym ogniste igły, na krawędziach liści lśniły szkarłatne plamy.

Po drugiej stronie grzbietu teren był bardziej stromy i skalisty. Cicho bulgotała woda w pobliskim strumieniu. Potok przybrał od topniejących śniegów i wczesnowiosennych deszczów. Bourne bez wahania wszedł do zimnej wody i ruszył z jego biegiem. Wiedział, że im dłużej pozostanie w wodzie, tym lepiej, ponieważ zdezorientowane psy stracą trop, a im dalej wyjdzie na brzeg, tym trudniej będzie im go podjąć.

Chwilowo bezpieczny, pomyślał o Marie. Musi się z nią skontaktować. Powrót do domu nie wchodził w rachubę; wracając, naraziłby swych bliskich na niebezpieczeństwo. Ale musiał ją uprzedzić, musiał ją ostrzec. Ludzie z CIA będą szukali go w domu, na pewno zatrzymają i przesłuchają Marie, zakładając, że zna miejsce pobytu męża. Istniała też przerażająca możliwość, że ten, kto próbował go zrobić, zagrozi również jego rodzime. Złany potem i zdenerwowany wyjął telefon Conklina i wysłał do niej SMS-a. Tylko jedno słowo: Diament. Było to ich umówione hasło, którego mieli użyć jedynie w razie wielkiego niebezpieczeństwa. Oznaczało, że Marie ma natychmiast zabrać dzieci, wyjechać do ich kryjówki i czekać tam w odosobnieniu, aż Bourne wyśle jej sygnał, że już wszystko w porządku. Komórka zapiszczała i na ekranie pojawił się napis: „Proszę powtórzyć”. Marie odpowiedziała niezgodnie z ustaloną sekwencją. I nagle zrozumiał, co ją tak zaskoczyło: zamiast swojego, użył telefonu Aleksa. Powtórzył wiadomość i tym razem napisał ją wielkimi literami: DIAMENT. Cekał, wstrzymując oddech. Z ulgą wypuścił powietrze, gdy Marie wreszcie odpisała: KLEPSYDRA. Zrozumiała go, wiedziała już, że nikt się pod niego nie podszywa. Za chwilę ubierze dzieci, wsadzi je do samochodu i wyjedzie, nie zabierając nawet bagażu.

Mimo to wciąż był zdenerwowany. Czułby się o wiele lepiej, gdyby usłyszał jej głos, gdyby mógł jej wyjaśnić, co się stało, powiedzieć, że nic mu nie jest. Człowieka, którego znała - Davida Webba - ponownie zdominował Jason Bourne. Marie nienawidziła i bała się Bourne'a. Wcale się jej nie dziwił. Całkiem możliwe, że pewnego dnia tylko on zostanie z osobowości uwięzionej w ciele Davida Webba. I komu miał za to podziękować? Alexandrowi Conklinowi.

To, że kochał tego człowieka i nienawidził zarazem, było rzeczą zdumiewającą i zgoła nieprawdopodobną. Jakże tajemniczy jest ludzki umysł, skoro umiał radzić sobie z dwoma tak skrajnie różnymi, sprzecznymi uczuciami, skoro potrafił zaakceptować czyjeś złe cechy tylko dlatego, by móc darzyć kogoś uczuciem. Bourne wiedział, że potrzeba kochania i bycia kochanym jest tym, bez czego żaden człowiek nie może się obejść.

*Myślał o tym, brnąc w migotliwej, niezwykle czystej wodzie. Spod nóg pierzchały prze-
razone ryby. Raz czy dwa dostrzegł srebrzystego pstrąga, jego kościsty, lekko otwarty pysz-
czek, którym jakby czegoś szukał. Doszedł do zakrętu, do wielkiej wierzby z nagimi, chciwie
poszukującymi wody korzeniami i rozłożystymi, nisko zwisającymi gałęziami. Wytężył słuch i
wzrok, wypatrując najmniejszych oznak nadciągającego pościgu, lecz jego umysł nie zareje-
strował niczego oprócz szumu strumienia.*

*Zaatakowano go z góry. Bezszelestnie, gdyż dostrzegł jedynie zmianę w grze światła i
cienia, i poczuł, jak jakiś ciężar przygniata go i wypycha pod wodę. Coś zmiażdżyło mu brzuch
i żebra, coś wycisnęło z płuc powietrze. Napastnik uderzył jego głową w oślizgłe kamienie na
dnie strumienia, grzmotnął pięścią w nerki i całkowicie pozbawił go tchu.*

*Zamiast napiąć mięśnie i zacząć się bronić, Bourne zwiotczał. Jednocześnie przyciągnął
do siebie łokcie i w chwili, gdy wszystkie mięśnie były maksymalnie rozluźnione, odbił się łok-
ciami od dna, wygiął ciało w łuk i zadał cios kantem dłoni. Przygniatający pierś ciężar znik-
nął i wreszcie mógł nabrać powietrza. Woda zalewała mu oczy i całą twarz, tak że widział je-
dynie niewyraźną sylwetkę napastnika. Uderzył po raz drugi, lecz ręka przecięła tylko powie-
trze.*

Wróg zniknął równie szybko, jak się pojawił.

*Chan nie mógł złapać tchu i zbierało mu się na wymioty. Biegając chwiejnie strumie-
niem, próbował wciągnąć powietrze między spazmatycznie zaciśnięte mięśnie gardła i nadwe-
rżone chrząstki grdyki. Oszolomiony i rozwścieczony, wszedł w nadbrzeżne zarośla, a potem
w gęsty las. Cały czas zmuszał płuca do pracy, cały czas delikatnie masował miejsce, w które
uderzył go Webb. To nie był przypadkowy cios, lecz starannie obmyślony i wprawnie prze-
prowadzony kontratak. Chana przeszedł dreszcz strachu. Webb był niebezpieczny - tak nie-
bezpieczny nie miał prawa być żaden pracujący na uczelni naukowiec. Musiano do niego
strzelać już przedtem; potrafił ustalić trajektorię kuli, dobrze czuł się w lesie, umiał walczyć
wręcz. I przy pierwszych oznakach kłopotów przyjechał do Alexandra Conklina. Kim on wła-
ściwie jest? Jedno było pewne: już nigdy go nie zlekceważy. Wytropi go ponownie i odzyska
nad nim przewagę. Chciał, żeby przed nieuchronną śmiercią Webb zaczął się go bać.*

*Martin Lindros, wicedyrektor CIA, przyjechał do domu Alexandra Conklina dokładnie
sześć minut po osiemnastej. Na spotkanie wyszedł mu wysoki rangą detektyw wirgińskiej poli-
cji stanowej, zagoniony łysiejący mężczyzna nazwiskiem Harris, który próbował załagodzić
terytorialny spór między funkcjonariuszami policji stanowej, urzędem szeryfa i agentami FBI,
wszyscy oni bowiem, ustaliliwszy tożsamość zamordowanych, natychmiast zaczęli się kłócić,
kto powinien prowadzić śledztwo. Gdy Lindros wysiadł z samochodu, naliczył przed domem
dwanaście radiowozów i kilkudziesięciu ludzi. Musiał nadać im wszystkim poczucie celu i za-
prowadzić tu porządek. Uścisnął rękę Harrisowi, spojrział mu prosto w oczy i oświadczył:*

*- Wylączęm z tego FBI. Mamy tu podwójne morderstwo. Popracujemy nad nim we
dwóch.*

*- Tak jest - odparł dziarsko Harris. Był wysoki i, jakby dla przeciw wagi, lekko przy-
garbiony, co w połączeniu z dużymi, wodnistymi oczami i ponurą twarzą wyglądało tak, jakby
już dawno opadł z sił. - Dzięki. Bałem się, że...*

*- Niech pan nie dziękuje. Mogę panu zagwarantować, że to paskudna sprawa. - Lin-
dros wysłał asystenta, żeby ten pozbył się FBI i szeryfa. - Namierzylisście tego Webba? - Połą-
czywszy się z FBI, dostał wiadomość, że na podjeździe przed domem Conklina znaleziono jego
samochód. Ale to nie był samochód Webba, tylko Bourne'a. I właśnie dlatego dyrektor CIA
kazał mu osobiście poprowadzić śledztwo.*

- Jeszcze nie, ale wypuściliśmy już psy.
- Dobrze. Teren zabezpieczony i obstawiony?
- Właśnie miałem to zrobić, ale ci z FBI... - Harris pokręcił głową. - Mówiłem im, że liczy się każda minuta.

Lindros zerknął na zegarek.

- Pierwszy kordon: osiemset metrów od domu. Drugi: czterysta. Do tego drugiego niech pan da swoich ludzi. Może coś znajdą. Jeśli będzie trzeba, niech pan ściągnie posiłki,

Harris pstryknął przełącznikiem walkie-talkie i zaczął wydawać rozkazy. Lindros otaksował go spojrzeniem.

- Jak panu na imię? - spytał, gdy detektyw skończył rozmawiać. Harris lekko się zmieszał.

- Harry.

- Aha, Harry Harris. To taki żart?

- Nie, panie dyrektorze. Obawiam się, że nie.

- Jezu, o czym myśleli pańscy rodzice?

- Chyba wcale nie myśleli.

- Dobra, Harry. Rozejrzyjmy się trochę. - Żwawy, bystry, jasnowłosy Lindros dobiegał czterdziestki. Po studiach - ukończył uniwersytet z Ivy League - zwerbowała go placówka CIA w Georgetown. Jego ojciec, człowiek zdeterminowany i uparty, zawsze mówił to, co myślał, i robił wszystko po swojemu. Zaszczepił tę niezależność młodemu Martinowi i właśnie dzięki niej - przynajmniej według samego Lindrosa - oraz dzięki poczuciu obowiązku względem kraju zauważył go dyrektor CIA.

Harris poprowadził go do gabinetu, lecz zanim tam weszli, Lindros zauważył dwie stromodne szklanki na stoliku koktajlowym w pokoju telewizyjnym.

- Ktoś ich dotykał?

- O ile wiem, nie, panie dyrektorze.

- Mów mi „Martin”. Musimy się szybko poznać. - Lindros posłał mu dla zachęty lekki uśmiech. Umiał wykorzystywać swój autorytet. Odcinając od sprawy pozostałe agencje, przeciągnął Harrisa na swoją stronę. Coś mu mówiło, że będzie mu potrzebny ktoś posłuszny i spolegliwy. - Niech twoi ludzie zdejmą z nich odciski palców, dobra?

- Natychmiast.

- A teraz chodźmy pogadać z koronerem.

Na krętej drodze biegnącej szczytem skalistego grzbietu na granicy posesji stał krępy mężczyzna, obserwując Bourne'a przez silną, wyposażoną w noktowizor lornetkę. Miał szeroką, typowo słowiańską twarz i zażółcone czubki palców lewej ręki; nieustannie palił, dużo i nałogowo. Tuż za nim, w niewielkiej zatoczce widokowej, parkował czarny wóz terenowy. Każdy postronny obserwator wziąłby go za zwykłego turystę. Mężczyzna przesunął lornetkę i namierzył przedzierającego się przez las Chana. Nie spuszczał go z oczu, otworzył pokrywkę komórki i wybrał numer.

Odebrał Stiepan Spalko.

- Pułapka zadziałała - zameldował przysadzisty Słowianin. - Cel ucieka. Wymknął się policji i Chanowi.

- Niech to szlag! Co ten Chan knuje?

- Mam się tego dowiedzieć? - spytał Słowianin obojętnie.

- Nie, trzymaj się od niego z daleka. Najlepiej natychmiast stamtąd odjedź.

Wyszedłszy chwiejnie ze strumienia, Bourne usiadł i odgarnął mokre włosy. Bolało go całe ciało, płuca płonęły żywym ogniem. Przed oczami migotały mu czerwone plamy, rozblyski eksplozji, które przeniosły go do dżungli Tam Quan, gdzie na rozkaz Aleksa Conklina David Webb wykonywał misje zatwierdzone przez dowództwo Sajgonu, misje, od których generałowie umywali potem ręce, zadania tak szalenie trudne i niebezpieczne, że oficjalnie nie można ich było zlecić żadnemu amerykańskiemu żołnierzowi.

Siedząc w gasnącym świetle wiosennego wieczoru, Bourne wiedział, że znalazł się teraz w podobnej sytuacji. Był w czerwonej strefie, na obszarze kontrolowanym przez nieprzyjaciela. Kłopot w tym, że nie miał pojęcia, kim ten nieprzyjaciel jest i co zamierza. Czy, podobnie jak w kampusie, znowu próbował go gdzieś zapędzić, czy też przeszedł do nowej fazy planu?

Z oddali dobiegało ujadanie psów, tuż za nim, niepokojąco blisko, trzasnęła gałązka. Zwierzę czy człowiek? Miał już teraz inny cel. Musiał nie tylko wymknąć się z policyjnej sieci, ale jeszcze odwrócić sytuację, zdobyć przewagę nad polującym na niego napastnikiem, a przede wszystkim znaleźć go, zanim on znajdzie jego. Jeśli ma do czynienia z tym samym człowiekiem co przedtem, jest to nie tylko świetny strzelec, ale i ekspert od walk w dżungli. Świadomość, że jednak coś o nim wie, podniosła Bourne'a na duchu. Zaczynał poznawać przeciwnika. A teraz nie może dać się zabić, zanim pozna go na tyle, by go zaskoczyć...

Słońce znikło za horyzontem i niebo przybrało barwę gasnącego ognia. Powiał zimny wiatr i siedzący w mokrym ubraniu Bourne zdrzął. Wstał i ruszył przed siebie, żeby się ogrzać i rozprostować zeszytywniałe nogi. Las tonął w ciemnoniebieskim mroku, lecz on wciąż czuł się tak widoczny, jakby był na bezdrzewnej równinie pod bezchmurnym niebem.

Wiedział, jak poradziłby sobie w dżungli Tam Quan: znalazłby jakąś kryjówkę, miejsce, gdzie spokojnie przeanalizowałby sytuację i obmyślił jakiś plan. Sęk w tym, że znalezienie kryjówki w czerwonej strefie było bardzo trudne, gdyż zwykle roiło się w niej od pułapek. Szedł powoli i uważnie, omiatając wzrokiem mijane po drodze pnie drzew i wreszcie znalazł to, czego szukał. Dzikie wino, wirgiński winobluszcz. Jeszcze nie kwitł - było za wcześnie - lecz ktoś by nie rozpoznał tych błyszczących pięciopłatkowych liści? Otworzył nóż sprężynowy i ostrożnie uciął kilkanaście długich, mocnych pędów.

Skończył, czujnie nadstawił uszu i podążając za słabym odgłosem, wkrótce dotarł do małej polany. To tu. Jeleń, średniej wielkości kozioł. Podniesiony łeb, falujące czarne nozdrza. Zwiertzył go? Nie. Próbował tylko znaleźć...

Jeleń odbiegł, a on ruszył za nim. Lekko i bezszelestnie biegł przez las równoległe ze zwierzęciem. Gdy zmienił się wiatr, musiał skorygować trasę, żeby pozostać na zawietrznej. Pokonali kilkaset metrów i jeleń wreszcie zwolnił. Teren był tu bardziej stromy, ziemia twardsza i zbita. Znajdowali się daleko od strumienia, na samym skraju posiadłości. Jeleń zwinnie przeskoczył kamienny murek w jej północno-zachodnim narożniku. Bourne wspiął się na niego i stwierdził, że zwierzę zaprowadziło go do lizawki. Lizawka to skały, skały to jaskinie. Przypomniawszy sobie, że Conklin wspominał, iż na północno-zachodnim krańcu działki roi się od pieczar, poprzetykanych naturalnymi pionowymi kominami, które gotujący nad ogniskiem Indianie wykorzystywali kiedyś jako szyby wentylacyjne. Tego właśnie szukał: tymczasowej kryjówki, najlepiej takiej z dwoma wyjściami, żeby nie utknąć w niej jak w pułapce.

Teraz go mam, pomyślał. Webb popełnił wielki błąd: wszedł do jaskini z jednym wejściem. Chan wyczołgał się zza krzewów, bezszelestnie przeciął polankę i ostrożnie wsunął się do czarnej pieczary.

Pelznąąc przed siebie, wyczuwał w ciemności obecność ofiary. Wiedział, że jaskinia jest płytka i krótka. Nie miała tego ostrego zapachu zgnilizny, jaki wypełniał pieczary długie i głębokie.

Webb zapalił latarkę. Za chwilę zobaczy, że nie ma tu ani komina, ani drugiego wyjścia. Teraz! Chan rzucił się naprzód i uderzył go celnie w twarz.

Bourne upadł. Latarka trzasnęła w skalną ścianę, światło zatańczyło jak oszalałe. Doszedł go podmuch powietrza wzbudzony rozpedzoną pięścią. Przyjął uderzenie i gdy ramię napastnika wyprostowało się na całą długość, kantem dłoni zadał silny cios w odsłonięty biceps, po czym rzucił się naprzód, wbijając mu ramię w mostek. Mężczyzna grzmotnął go kolaniem we wnętrze uda, prosto w nerw, i Bourne'a przeszył paraliżujący ból. Chwycił go za koszulę i cisnął na ścianę. Napastnik odbił się jak piłka, uderzył go głową w brzuch i zwałił z nóg. Mocując się jak zapaśnicy, potoczyli się po ziemi. Bourne słyszał posapywanie wroga, odgłos absurdalnie intymny, jak oddech śpiącego Obok dziecka.

Zwarty z przeciwnikiem w pierwotnej walce, czuł jego zapach, który bił z ciała jak odór nagrzanego słońcem trzęsawiska. Znowu pomyślał o wietnamskiej dżungli i w tej samej chwili szyję zmiażdżył mu metalowy pręt czy rura. Napastnik powlókł go do tyłu, w stronę wejścia do jaskini.

- Nie zabiję cię - szepnął mu do ucha. - Jeszcze nie teraz.

Bourne chciał uderzyć go łokciem i w zamian otrzymał cios w już i tak obolałe nerki. Zgiąłby się wpół, lecz nie mógł, bo gardło nadal ugniatał mu pręt.

- Mogłbym cię zabić już teraz, ale nie zabiję. Tu jest za słabe światło. Kiedy będziesz umierał, chcę patrzeć ci w oczy.

- Chcesz mnie zabić? - wycharczał Bourne. - I tylko dlatego zamordowałeś dwóch niewinnych ludzi?

- O czym mówisz?

- O tych, których zastrzeleliś w domu.

- To nie ja. Nie zabijam niewinnych. - Napastnik zachichotał. - Z drugiej strony nie wiem, czy kogoś, kto zadaje się z Alexandrem Conklinem, można uważać za niewinnego.

- Ale zwabiłeś mnie tutaj. Strzelałeś do mnie. Uciekłem do Conklina, a ty...

- Bzdura. Tylko cię śledziłem.

- W takim razie skąd wiedziałeś, gdzie wysłać gliniarzy? - Po co miałbym ich wysłać?

Chociaż ta informacja zaskoczyła i zaniepokoiła Bourne'a, słuchał tylko jednym uchem. Korzystając z rozmowy, rozluźnił mięśnie i odchylił się lekko do tyłu, dzięki czemu między prętem i tchawicą powstało trochę luzu. Obrócił się na piętach, jednocześnie opuścił jedno ramię, żeby tamten musiał poprawić pręt, i zadał mu błyskawiczny cios tuż poniżej ucha. Napastnik runął ciężko na ziemię, pręt zadźwięczał głucho.

Bourne wziął kilka głębokich oddechów, żeby szybciej otrzeźwieć, mimo to z braku tlenu wciąż był lekko zamroczony. Złapał latarkę, oświetlił miejsce, gdzie upadł mężczyzna, ale nikogo już tam nie było. Gdy uniósł latarkę nieco wyżej, doszedł go cichy odgłos, coś jakby szepot, i na tle wejścia do pieczary zobaczył jego sylwetkę. Światło sprawiło, że mężczyzna odwrócił głowę i przez ułamek sekundy Bourne widział jego twarz. Zaraz potem obcy zniknął między drzewami.

Bourne puścił się w pogoń i po chwili usłyszał cichy trzask i stłumiony świst. W górze wyczuł jakiś ruch i przedarłszy się przez krzewy, dobiegł do miejsca, gdzie zastawił pułapkę, z wirgińskiego wielobluszcza uplótł sieć i przywiązał ją do młodego drzewka, które przedtem mocno wygiął i napiął. Napastnik musiał w nią wpaść. Myśliwy stał się zwierzyną. Gotów stawić czoło zabójcy, Bourne podszedł do drzewa i przeciął sieć. Ale sieć była pusta.

Pusta! Zebrał ją i zobaczył dziurę, którą tamten wyciął w jej górnej części. Szybki był, sprytny i przygotowany; teraz trudniej go będzie zaskoczyć.

Zadął głowę i zatoczył latarką szeroki łuk, oświetlając płataninę gałęzi. Wbrew sobie, odczuwał podziw dla zmyślności i przebiegłości przeciwnika. Zgasił latarkę i zanurzył się w

noc. Krzyknął lelek, a potem, po dłuższej ciszy, gdzieś z porośniętych sosnami wzgórz odpowiedziała mu żalobnie sowa.

Bourne odchylił do tyłu głowę i głęboko odetchnął. Na wewnętrznym ekranie oczu utrwaliła się płaska twarz i ciemne źrenice kogoś, kogo -przez chwilę był tego całkowicie pewny - minął w drodze do sali wykładowej, z której strzelał snajper.

Nareszcie znał zarówno twarz, jak i głos napastnika.

„Mógłbym cię zabić już teraz, ale nie zabiję. Tu jest za słabe światło. Kiedy będziesz umierał, chcę patrzeć ci w oczy”.

Rozdział 3

Główna siedziba Humanistas Ltd., międzynarodowej organizacji obrony praw człowieka, mieściła się na soczystozielonym zachodnim zboczu Wzgórza Gellerta w Budapeszcie. Patrząc w wielkie panoramiczne okno, Stiepan Spalko wyobraził sobie Dunaj i leżące u stóp wzgórza miasto.

Wyszedł zza biurka, żeby usiąść w wyścielanym fotelu naprzeciwko czarnoskórego kenijskiego prezydenta. Przy drzwiach, ze splecionymi /, tyłu rękami, stali jego osobiści ochroniarze z kamiennym wyrazem twarzy i z niewidzącym wzrokiem, tak powszechnym wśród rządowych goryli. Na ścianie nad nimi widniała płaskorzeźba przedstawiająca zielony krzyż na dłoni, znany na całym świecie znak organizacji. Prezydent Jomo pochodził z Kikuju, największego kenijskiego plemienia, i był - w prostej linii - potomkiem Jomo Kenyatty, pierwszego prezydenta republiki. Tak jak jego słynny dziadek, był Mzee, co w języku swahili oznacza godnego szacunku członka starszyny. Na stoliku między nimi stał srebrny serwis z osiemnastego wieku. W filiżankach czekała herbata, a na bogato zdobionej owalnej tacy kruche ciasteczka i artystycznie ułożone, kunsztownie przystrojone małe kanapki. Spalko i prezydent rozmawiali spokojnym, przyciszonym tonem.

- Doprawdy nie wiem, od czego zacząć i jak mam dziękować za hojność, jaką pan i pańska organizacja nam okazali - mówił Jomo. Siedział sztywno wyprostowany, nie dotykając plecami wygodnego pluszowego oparcia. Czas i przeżycia odebrały jego twarzy całą żywotność, jaka gościła na niej w młodości. Jego skóra była wciąż lśniąca, ale szarawa. Rysy miał ściągnięte, zastygłe jak lawa od znoju i wytrwałej walki na przekór wszystkim i wszystkiemu. Wyglądał jak wojownik ze zbyt długo obleganej twierdzy. Nogi, zgięte w kolanach dokładnie pod kątem prostym, trzymał razem. Na kolanach spoczywała długa błyszcząca szkatuła z bogatego w słoje drewna bubinga. Niemal wstydliwie podał ją Spalce. - Ze szczerym, płynącym z serca błogosławieństwem od ludów Kenii, panie dyrektorze.

- Dziękuję, panie prezydencie. Jest pan zbyt uprzejmy - powiedział Spalko.

- Nie, to panu należą się podziękowania za uprzejmość i życzliwość. - Jomo z zainteresowaniem patrzył, jak Spalko otwiera szkatułę. W środku spoczywał płaski nóż i prawie owalny, nieco spłaszczony kamień.

- Boże, to chyba nie... githathi!

- Tak, to prawdziwy githathi - odparł z wyraźnym zadowoleniem Jomo. - Pochodzi z mojej rodzinnej wioski, z kiama, do której wciąż należę.

Prezydent mówił o radzie starszych. Dla członków szczepu githathi był wprost bezcenny. Ilekroć wśród starszyny doszło do sporu, którego nie można było załagodzić, wszyscy składali przysięgę na ten właśnie kamień. Spalko wyjął ze szkatuły nóż z rękojeścią z rzeźbionego krwawnika. Nóż też miał znaczenie rytualne. Gdy spór dotyczył sprawy życia lub śmierci, jego ostrze rozgrzewano i kładziono na języku wszystkich, którzy się kłócili, a oznaką winy lub niewinności był stopień i rozległość doznanych poparzeń.

- Ciekawi mnie - rzucił figlarnie Spalko - czy ten githathi pochodzi z kiama czy z njamai. Jomo wybuchnął gromkim śmiechem. Śmiał się tak głośno, tak serdecznie, że trzęsły mu się uszy. Rzadko miał ku temu okazję. Nie pamiętał, kiedy śmiał się tak ostatni raz.

- Widzę, że słyszał pan o naszych tajnych naradach. Pańska wiedza o zwyczajach i tradycjach Kenii jest doprawdy zadziwiająca.

- Historia waszego kraju jest długa i krwawa, panie prezydencie. Mocno wierzę, że to właśnie ona udziela nam najważniejszych lekcji.

Jomo kiwnął głową.

- Ma pan rację. Muszę po raz kolejny powtórzyć, że nie wiem, w jakim stanie byłaby nasza republika, gdyby nie pańscy lekarze i ich szczepionki.

- Przeciwno AIDS szczepionki nie ma - odrzekł Spalko łagodnie, lecz stanowczo. - Dzięki mieszkankom lekarstw współczesna medycyna jest w stanie zmniejszyć cierpienie i liczbą zgonów, ale rozprzestrzenianie się tej choroby może powstrzymać tylko surowy nakaz stosowania prezerwatyw lub całkowita wstrzeźliwość.

- Oczywiście, oczywiście... - Jomo oblizal wargi. Nie znośił prosić o wsparcie do człowieka, który tyle już dla nich zrobił, lecz jaki miał wybór? Epidemia AIDS dziesiątkowała ludność kraju. Jego rodacy cierpieli, umierali. - Chodzi o to, że potrzebujemy więcej lekarstw. Zrobił pan bardzo dużo, żeby mój lud nie cierpiał, ale na pomoc czekają jeszcze tysiące.

- Panie prezydencie. - Nachylili się ku sobie i głowę Spalki zalały wpadające przez okna promienie słońca, nadając jej niemal nadprzyrodzony blask. Światło zalało również lśniąca, nienaturalnie gładką i pozbawioną porów skórę lewej strony jego twarzy. Widok ten wstrząsnął Kenijczykiem i zbił go z tropu. - Humanistas jest gotowa wrócić do pańskiego kraju z dwukrotnie większą liczbą lekarzy i dwukrotnie większą ilością lekarstw. Ale pan i pański rząd musicie zrobić... swoje.

Jomo zrozumiał, że Spalko proponuje coś więcej niż promowanie bezpiecznego seksu i rozdawanie prezerwatyw. Gwałtownie odwrócił głowę i odprawił ochroniarzy.

- W tych niebezpiecznych czasach to smutna konieczność - powiedział, gdy zniknęli za drzwiami. - Ale ciągle towarzystwo czasem nuży.

Spalko odpowiedział mu lekkim uśmiechem. Wiedza o historii i plemiennych zwyczajach Kenijczyków nie pozwalała mu lekceważyć prezydenta, jak czasem robili inni. Jomo miał wielkie potrzeby, lecz nie należał do tych, którzy pozwoliliby się wykorzystać. Dla Kikuju, ludzi bardzo dumnych, duma była tym ważniejsza, że poza nią nie mieli nic cennego.

Spalko nachylił się jeszcze bardziej, otworzył skrzynkę, poczęstował gościa kubańskim cygarem i wziął jedno dla siebie. Wstali, zapalili i podeszli do okna wychodzącego na spokojny, zalany słońcem Dunaj.

- Piękny widok - rzucił Spalko.

- Tak, rzeczywiście - odparł Kenijczyk.

- Taki pogodny. - Spalko wypuścił błękitny kłęb aromatycznego dymu. - Trudno to pogodzić z ogromem cierpienia w innych częściach świata. - Spojrzał na Jomo. - Panie prezydencie, oddałby mi pan wielką osobistą przysługę, udzielając naszej organizacji siedmiodniowego pozwolenia na nieograniczony dostęp do przestrzeni powietrznej pańskiego kraju.

Nieograniczony? - powtórzył Jomo.

Starty, lądowania i tak dalej. Bez odprawy celnej i paszportowej, bez inspekcji, bez niczego, co by nas spowolniło.

Jomo uśmiechnął się, że się zastanawia. Myślał, zawzięcie pykał z cygara, lecz Spalko wiedział, że ta propozycja jest mu nie w smak.

Mogę to załatwić, ale tylko na trzy dni - odparł wreszcie. - Nie na dłużej, ludzie zaczęliby gadać.

- Zatem muszą nam wystarczyć trzy dni. - Spalko niczego więcej nie chciał. Mógłby uprzeć się przy tygodniu, ale w ten sposób odarłby Jomo z resztek dumy. Głupi i prawdopodobnie bardzo kosztowny błąd, zważywszy na to, co miało się niebawem stać. Ostatecznie był ambasadorem dobrej woli, a nie niesnasek. Wyciągnął rękę i Kenijczyk uściśnął ją suchą, stwardniałą dłonią. Dłoń ta bardzo się Spalce podobała. Była to ręka robotnika, kogoś, kto nie bał się jej ubrudzić.

Po wyjściu prezydenta nadeszła pora na Ethana Hearna, nowego pracownika. Spalko chciał pokazać mu biuro. Mógłby to zlecić któremuś z asystentów, ale szczyił się tym, że nowych zawsze oprowadzał sam. Hearn był młodym, bystrym entuzjastą i pracował przedtem w klinice Eurocenter Bio-I po drugiej stronie miasta. Znakomicie radził sobie z gromadzeniem funduszy i miał znajomości wśród bogaczy i europejskiej elity. Spalko stwierdził, że jest to człowiek elokwentny, miły w obyciu i stanowczy, krótko mówiąc, urodzony filantrop, ktoś, kogo potrzebował do utrzymania wyśmienitej reputacji Humanistas Ltd. Poza tym szczerze go lubił. Hearn przypominał mu jego samego sprzed lat, sprzed wypadku, w którym stracił w ogniu połowę twarzy.

Oprowadził go po sześciu piętrach gmachu, gdzie mieściły się pracownie, wydziały statystyczne niezbędne do gromadzenia funduszy - najżywotniejszy organ wszystkich organizacji charytatywnych - księgowość, zaopatrzenie, kadry, biura ekspedycyjne oraz wydziały techniczne, zajmujące się utrzymaniem flotyli należących do organizacji pasażerskich samolotów odrzutowych, samolotów transportowych, statków i śmigłowców. Ostatnim przystankiem był wydział badawczo-rozwojowy, gdzie na Hearna czekał nowy gabinet. Był jeszcze pusty, jeśli nie liczyć biurka, fotela obrotowego, komputera i konsoli telefonicznej.

- Resztę mebli wstawią za kilka dni - powiedział Spalko.
- Nie ma problemu, panie dyrektorze. Wystarczy mi komputer i telefon.
- Małe ostrzeżenie - uśmiechnął się Spalko. - Pracujemy tu długo, często całymi nocami, Ale nie jesteśmy nieludźcy. Nasze sofy się rozkładają i można na nich spać.
- Proszę się nie martwić - odrzekł także z uśmiechem Hearn. - Zdążyłem do tego przywyknąć.
- Mów mi Stiepan. - Spalko uścisnął mu rękę. - Jak wszyscy.

Gdy zadzwonił telefon, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej lutował ramię cynowego żołnierza z okresu wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, Postanowił, że do diabła z tym, nie odbierze, i przekornie pozwolił mu dzwonić, chociaż dobrze wiedział, kto czeka na drugim końcu linii. Nie podniósł słuchawki pewnie dlatego, że nie chciał słyszeć, co Lindros ma mu do powiedzenia. Myślał, że wysłano go na miejsce przestępstwa, bo zabici byli ludźmi ważnymi dla firmy. I rzeczywiście byli. Ale tak naprawdę zlecił mu to, bo sam nie miał serca tam pojechać. Nie zniósłby widoku twarzy martwego Conklina.

Siedział na stolku w swoim piwnicznym warsztacie, ciasnym, maleńkim, idealnie uporządkowanym pomieszczeniu pełnym szuflad i przegródek, w klitce, która była światem samym w sobie, światem, do którego żona i dzieci, kiedy jeszcze z nimi mieszkały, nie miały wstępu.

Za otwartych drzwi wychynęła głowa Madeleine.

- Kurt, telefon.

Przecież słyszał, nie był głuchy.

Z drewnianej skrzyneczki pełnej żołnierskich kończyn, głów i korpusów wyjął rękę i uważnie ją obejrzał. Miał dużą głowę, lecz grzywa zaczesanych do góry białych włosów i szerokie, wysoko sklepione czoło nadawały mu wygląd mędrca, jeśli nie wieszca. Oczy były wciąż jeszcze zimne, niebieskie i wyrachowane, ale coraz głębsze kurze łapki ściągały skórę w dół, dlatego robił wrażenie człowieka wiecznie skwaszonego.

- Kurt, słyszysz mnie?
- Nie jestem głuchy. - Palce cynowego żołnierza były lekko zakrzywione, jakby sięgały po coś nienazwanego i niewiadomego.
- Odbierzesz czy nie?
- Nie twoja sprawa, do ciężkiej cholery! - wrzasnął. - Idź spać. - Chwilę później z zadowoleniem usłyszał cichy szmer zamykanych drzwi.

Dlaczego nie może zostawić mnie w spokoju? - pomyślał. Zwłaszcza teraz. Trzydzieści lat po ślubie. Powinna mnie znać.

Czerwone do czerwonego... Na powrót zajął się pracą, dopasowując rękę do ramienia, ustalając jej ostateczne ułożenie. Właśnie tak radził sobie z sytuacjami, nad którymi nie panował. Zabawiał się w Boga ze swoimi żołnierzami: kupował je, ciął na kawałki, a potem składał tak, jak mu to odpowiadało. Bo tu, w stworzonym przez siebie świecie, panował nad wszystkim i nad wszystkimi.

Telefon dzwonił i dzwonił, mechanicznie i monotonicznie, a on zacisnął zęby, jakby ten dźwięk go irytował. Jakich cudownych czynów dokonywali w młodości z Alekssem! Misja w Rosji, kiedy to omal nie wylądowali na Łubiance. Przerzuty przez mur berliński. Tajemnice szpicli ze Staasi. Przesłuchanie radzieckiego uciekiniera w wiedeńskiej kryjówce, rzekomego funkcjonariusza KGB, który okazał się podwójnym agentem. Śmierć Bernda, ich wieloletniego łącznika, współczucie, z jakim zapewniali jego żonę, że zajmą się ich synem Dieterem, zabiorą go do Stanów i zapiszą do szkoły. Dotrzymali słowa i dostali nagrodę za swoją hojność. Dieter nie wrócił do matki. Wstąpił do agencji i przez wiele lat, aż do tego koszmarnego wypadku motocyklowego, był dyrektorem wydziału naukowo-technicznego.

Gdzie podziało się tamto życie? Złożono je do grobu, najpierw Bernda, potem Dietera, a teraz Aleksa. Jak to się stało, że pamiętał tylko przebłyski? Okaleczył go czas i obowiązki, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Był już stary. Pod pewnymi względami miał teraz większą władzę, ale wszystkie śmiałe wyczyny, wigor, z jakim on i Alex zdobywali tajemnice tego świata, odmieniając los narodów, wypaliły się na popiół i już nigdy nie wrócą.

Grzmotnął młotkiem i zrobił z żołnierza kalekę. Dopiero wtedy podniósł słuchawkę.

- Tak, Martin.

Lindros momentalnie wyczuł, że szef jest nie w humorze.

- Wszystko w porządku, panie dyrektorze?

- Nie, do ciężkiej cholery, nic nie jest w porządku! - Tego właśnie potrzebował: kolejnej okazji. Musiał dać upust gniewowi i frustracji. - W tych okolicznościach?

- Przykro mi.

- Wcale nie - odparł jadowicie dyrektor. - Nie jest ci przykro. Nie masz pojęcia, jak to jest. - Patrzył na zmiażdżonego cynowego żołnierza, wciąż mając w myślach minioną chwałę.

- Czego chcesz?

- Miałem informować pana na bieżąco.

- Tak? - Dyrektor podparł głowę ręką. - Tak, chyba tak. No i co tam?

- Ten trzeci samochód przed domem Conklina należy do Davida Webba. Czułe ucho dyrektora wychwyciło charakterystyczną nutkę w jego głosie.

- Ale?

- Ale Webba tu nie ma.

- Pewnie, że nie ma.

- Ale był. Psy powęszyły w jego wozie, doszły do lasu i zgubiły trop nad brzegiem strumienia.

Dyrektor zamknął oczy. Alexander Conklin i Morris Panov zabici, a Jason Bourne przepada bez śladu na pięć dni przed antyterrorystycznym szczytem w Reykjavíku, najważniejszym międzynarodowym spotkaniem w tym stuleciu. Zadrzał. Nie znosił niedokończonych spraw, ale Roberta Alonzo-Ortiz, prezydencka doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego, która reżyserowała całe to przedstawienie, nie znosiła ich jeszcze bardziej.

- Co mówią ci z dochodzeniówki? Spece od balistyki?

- Nic. Wypowiedzą się dopiero jutro rano. Wcześniej się nie da.

- Jeśli chodzi o FBI i pozostałe agencje...

- Już to załatwiłem. Mamy wolną rękę.

Dyrektor westchnął. Cieszył się, że Lindros przejawia inicjatywę, ale nie lubił, kiedy mu przerywano.

- Wracaj do pracy - mruknął i odłożył słuchawkę.

Przez długi czas patrzył na drewnianą skrzyneczkę z częściami cynowych żołnierzy, wsłuchując się w oddech domu. Dom oddychał jak starzec. Na górze trzasnęły deski i zabrzmiało to jak głos starego przyjaciela. Madeleine robiła sobie gorącą czekoladę, jak zwykle przed snem. Zaszczekał pies sąsiada i nie wiedzieć czemu w szczekaniu tym dyrektor CIA usłyszał żalobną nutę, nutę smutku i zawiedzionych nadziei. W końcu sięgnął do skrzyneczki, wyjął z niej ubrany w szary mundur korpus i zaczął robić nowego żołnierza.

Rozdział 4

Pewnie miał pan jakiś wypadek - zagadnął go Jack Kerry. - Niezupełnie - odrzekł swobodnie Bourne. - Nie miałem zapasowego koła, a potem o coś się potknąłem, chyba o korzeń, i na łeb, na szyję stoczyłem się do strumienia. - Pogardliwie machnął ręką i ciężko westchnął. - Zawsze miałem kłopoty z koordynacją ruchów.

- Witaj pan na pokładzie. - Kerry, rosty, grubokościsty mężczyzna o podwójnym podbródku i wydatnym brzuchu, zabrał go niecałe dwa kilometry wcześniej. - Kiedyś żona poprosiła mnie, żebym włączył zmywarkę, i naląłem do niej szamponu do włosów. Jezu, szkoda, że pan tego nie widział. - Roześmiał się dobrodusznie.

Noc była ciemna jak atrament, bez księżycy i gwiazd. Zaczął padać drobny deszcz i Kerry włączył wycieraczki. Bourne drżał z zimna w wilgotnym ubraniu. Wiedział, że musi się skoncentrować, lecz ilekroć zamykał oczy, widział Aleksa i Mo, sączącą się krew, kawałki kości i rozbryzgnięty mózg. Zacisnął pięści.

- Gdzie pan pracuje, panie Little?

Przedstawił się jako Little. Wyglądało na to, że Kerry jest dżentelmenem w starym stylu i przykłada wielką wagę do subtelności towarzyskiej rozmowy.

- Jestem księgowym.

Ja projektuję zakłady utylizacji odpadów nuklearnych. Bardzo dużo podróżuję. - Kerry zerknął na niego, błyskając okularami. - Przepraszam, że to mówię, ale nie wygląda pan na księgowego. Bourne roześmiał się sztucznie.

- Wiem, wszyscy tak mówią. W college'u grałem w futbol.

- I nie przytył pan jak większość byłych sportowców - zauważył Kerry. Poklepał się po brzuchu. - Nie to co ja. Ale ja nie uprawiałem sportu. Raz zagrałem w futbol. Nie wiedziałem, gdzie biec. Trener wrzeszczał na mnie i wrzeszczał. No a potem tak mi przyłożyli, że Jezu. - Pokręcił głową. - To mi wystarczyło. Wolę się kochać, niż walczyć. - Zerknął na Bourne'a. - Ma pan rodzinę?

Bourne lekko się zawahał.

- Żonę i dwoje dzieci.

- Szczęśliwy pan, co?

Za oknem mignęła kępa czarnych drzew, pochylony przez wiatr słup telefoniczny, opuszczona szopa, cała w koleczastym bluszczu - upomniała się o nią natura. Bourne zamknął oczy.

- Bardzo szczęśliwy.

Wjechali na długi, łukowaty zakręt. Jedno musiał przyznać: Kerry był świetnym kierowcą.

- Ja jestem rozwiedziony. Fatalnie było. Zabrała mojego chłopaka i odeszła. Dziesięć lat temu. - Zmarszczył czoło. - Dziesięć? A może już jednaście? Syn miał wtedy trzy lata i od tamtej pory go nie widziałem.

Bourne gwałtownie otworzył oczy.

- Nie utrzymuje pan kontaktu z synem?

- Próbowałem, jasne - odparł zrzędlawie Kerry, jakby odpierał atak. - Przez jakiś czas co tydzień dzwoniłem, pisałem listy, wysyłałem pieniądze na rzeczy, które chciałby mieć, na rower i takie tam. Ale ani razu nie odpowiedział.

- Dlaczego nie pojechał go pan odwiedzić? Kerry wzruszył ramionami.

- Bo w końcu coś do mnie dotarło: chłopak nie chce mnie widzieć.

- *To pańska żona nie chce, żeby go pan widywał. On jest jeszcze dzieckiem, nie wie, czego chce. Bo niby skąd ma wiedzieć? Prawie pana nie zna.*

- *Łatwo panu mówić - burknął Kerry. - Ma pan dom i szczęśliwą rodzinę, do której może pan codziennie wrócić.*

- *Tylko dlatego, że wiem, jak cenne są dzieci - odparł Bourne. - Na pańskim miejscu walczyłbym do upadłego, żeby go poznać, żeby stać się ważny w jego życiu.*

Wjechali na teren gęściej zaludniony, minęli motel, ciąg zamkniętych sklepów. W oddali błysnęło czerwone światło, jedno, potem drugie. Blokada, na pierwszy rzut oka duża. Naliczył osiem radiowozów, dwa rzędy po cztery w każdym; stały pod kątem czterdziestu pięciu stopni do szosy, żeby zapewnić maksymalne bezpieczeństwo czuwającym w nich policjantom i w razie potrzeby łatwiej zewrzeć szyki. Wiedział, że nie da rady jej pokonać, a już na pewno nie otwarcie, siedząc obok Kerry'ego. Będzie musiał obmyślić jakiś inny sposób.

Z ciemności wychynął neon całodobowego sklepu ogólnospożywczego.

- *Chyba tu wysiądę.*

- *Na pewno? Pusto tu jakoś.*

- *Proszę się o mnie nie martwić. Żona po mnie przyjedzie. Mieszkamy niedaleko.*

- *To może podrzucę pana do domu?*

- *Nie, dziękuję, naprawdę.*

Kerry zjechał na pobocze i zatrzymał się za sklepem. Bourne wysiadł.

- *Dziękuję za podwiezienie.*

- *Nie ma sprawy - odrzekł z uśmiechem Kerry. - A ja dziękuję panu za radę. Przemyszę to sobie.*

Gdy odjechał, Bourne ruszył w stronę sklepu. Od jaskrawych fluorescencyjnych świateł zapiekły go oczy. Sprzedawca, pryszczaty wyrostek o długich włosach i przekrwionych oczach, palił papierosa i czytał książkę w miękkiej okładce. Gdy Bourne stanął w drzwiach, podniósł na chwilę wzrok, obojętnie kiwnął głową i wrócił do lektury. W głębi sklepu grało radio. Jakaś piosenkarka śpiewała Yesterday 's Gone smutnym, znużonym głosem, jakby specjalnie dla Bourne'a.

Jeden rzut oka na półki uświadomił mu, że od lunchu nic nie jadł. Wziął plastikowy słoik masła orzechowego, paczkę krakersów, kilka paczek suszonej wołowiny w plasterkach, sok pomarańczowy i wodę. Potrzebował dużo protein i witamin. Kupił też podkoszulek, koszulę w paski, maszynkę, krem do golenia i kilka innych drobiazgów, które - o czym wiedział z doświadczenia - mogły mu się przydać.

Podszedł do lady i sprzedawca odłożył książkę. Dhalgreen Samuela R. Delany'ego. Powieść halucynacyjna jak sama wojna; pamiętał, że czytał ją po powrocie z Wietnamu. I znowu powróciły fragmenty dawnego życia: krew, śmierć, ślepa furia i bezładne zabijanie, które miało stłumić niekończący się ból po tym, co zaszło nad brzegiem rzeki w Phnom Penh. „Ma pan dom i szczęśliwą rodzinę, do której może pan codziennie wrócić”. Słowa Kerry'ego. Gdyby wiedział wszystko...

- *Coś jeszcze? - spytał pryszczaty sprzedawca. Bourne zamrugnął i wrócił do rzeczywistości.*

- *Ma pan ładowarki do komórek?*

- *Niestety, wyszły.*

Bourne zapłacił gotówką, wziął papierową torbę z zakupami i ruszył do drzwi. Dziesięć minut później był już przed motelem. Na podjeździe parkowało tylko kilka samochodów. Nieco dalej stał traktor z przyczepą i wielka chłodnia z przysadzistą sprężarką na dachu. Gdy stanął przed ladą, zza biurka w pokoju za recepcją wy człapał chudy, rachityczny mężczyzna, który oglądał coś na ekranie starego biało-czarnego telewizora. Bourne podał mu fałszywe nazwisko i zapłacił za pokój gotówką. Zostało mu dokładnie sześćdziesiąt siedem dolarów.

- Cholernie dziwny wieczór, co? - wychrypiał recepcjonista.
- Dlaczego?

Tamtemu zapłonęły oczy.

- Nie słyszał pan o morderstwach? Bourne pokręcił głową.
- Trzydzieści parę kilometrów stąd. - Chudzielec pochylał się nad ladą. Jego oddech cuchnął kawą i żółcią. - Dwóch facetów. Dwóch facetów, którzy pracowali dla rządu. Chwyta pan? Cicho sza, nikt nic nie wie, nikt nic nie mówi, a wie pan, jak to jest: te wszystkie sekreciki, tajni wspólni pracownicy, zamaskowani szpiegowie. Cholera ich wie, co tam knuli. Niech pan włączy telewizor, mamy kablówkę. - Podał mu klucz. - Dałem panu pokój daleko od Guya. Guy jest kierowcą; pewnie widział pan jego ciężarówkę na podjeździe. Jeździ w dalekie trasy, z Florydy aż do Waszyngtonu. Wstaje o piątej, więc po co ma pana budzić, nie?

Pokój był matowobrazowy, mocno zniszczony. Nawet zapach silnych środków czyszczących nie mógł całkowicie zabić odoru stęchlizny. Bourne włączył telewizor, przerzucił kanały. Wziął słoik z masłem, otworzył paczkę krakersów i zaczął jeść.

- Nie ma wątpliwości, że ta odważna, wizjonerska inicjatywa prezydenta ma szansę zbudować pomost ku bardziej pokojowej przyszłości - mówiła komentatorka CNN. W górnej części ekranu widniał jaskrawoczerwony napis, który z subtelną londyńską brukowca krzyczał: SZCZYT ANTYTERRORYSTYCZNY. - Oprócz prezydenta Stanów Zjednoczonych do Reykjavíku przybędzie prezydent Rosji oraz przywódcy największych państw arabskich. Przebieg szczytu komentować będziemy z Wolfem Blitzerem, specjalistą od spraw polityki amerykańskiej, członkiem ekipy prezydenckiej, i Christiane Amanpour, znawczynią problemów rosyjskich i arabskich. Ten szczyt ma wszelkie zadatki, żeby stać się wydarzeniem roku. A teraz najnowsze doniesienia ze stolicy Islandii...

Przebitka na hotel Oskjuhlid, gdzie za pięć dni miał odbyć się szczyt. Poważny - aż zbyt poważny - reporter CNN przeprowadzał wywiad z Jamiem Hullem, szefem amerykańskiej ochrony. Bourne patrzył na jego kwadratową szczękę, obcięte najeża włosy, rude wąsy, na zimne, niebieskie oczy i w głowie rozdzwoniły mu się dzwonki alarmowe. Hull pracował w CIA - zajmował wysokie stanowisko w centrum antyterrorystycznym - i nieraz darł koty z Conklinem. Był sprytnym zwierzęciem politycznym i lizał tyłek każdemu, kto się liczył. Rzecz w tym, że trzymał się regulaminu nawet wtedy, gdy sytuacja wymagała bardziej elastycznego podejścia. Conklin dostał pewnie apopleksji, dowiedziawszy się, że Hulla mianowano szefem ochrony w Reykjavíku.

Bourne myślał o Hullu, tymczasem na pasku przesuwającym się w dół ekranu wyświetlano już kolejną wiadomość: śmierć Alexandra Conklina i doktora Morrisa Panova, wysokich urzędników rządowych. Szybka zmiana scenografii, plansza z napisem: NOWE WIADOMOŚCI, a potem kolejna z nagłówkiem: PODWÓJNE MORDERSTWO W MANASSAS i wielkim, zajmującym prawie cały ekran zdjęciem Davida Webba. Spikerka przedstawiła najnowsze wiadomości na temat brutalnych zabójstw.

- Obaj zginęli od pojedynczego strzału w głowę - czytała z posępną rozkoszą, typową dla wszystkich dziennikarzy telewizyjnych - co świadczy, że morderca jest zawodowcem. Głównym podejrzanym jest ten człowiek, David Webb alias Jason Bourne. Według dobrze poinformowanych źródeł rządowych, Webb jest chory psychicznie i może być bardzo niebezpieczny. Nie wolno się do niego zbliżać. Jeśli państwo go zauważą, proszę natychmiast zadzwonić pod widoczny na ekranie numer...

Bourne wyłączył dźwięk. Chryste. Gównem trafiło w wentylator, i to celnie. Stąd ta dobrze zorganizowana blokada: to robota agencji, nie miejscowej policji.

Musiał szybko zabrać się do pracy. Strząsnął okruszki z kolan i wyjął telefon komórkowy Conklina. Pora dowiedzieć się, z kim Alex rozmawiał, gdy go zastrzelono. Wcisnął redial i

przytknął telefon do ucha. Kilka sygnałów i automatyczna sekretarka, ale firmowy. To był numer służbowy. Lincoln Fine Tailors. Myśl, że w chwili śmierci Conklin rozmawiał ze swoim krawcem, była przygnębiająca. As wywiadu nie powinien tak umierać.

Sprawdził ostatnie połączenie przychodzące: ktoś dzwonił do niego poprzedniego wieczoru. Dyrektor CIA. Ślepy zaulek. Bourne wstał. Rozebrał się i poszedł do łazienki. Długo stał pod gorącym prysznicem, celowo nie myśląc o niczym, splukiwał z siebie brud i pot. Ciepło i czystość - miłe uczucie. Gdyby miał jeszcze świeże ubranie... Poderwał głowę. Serce zabiło mu szybciej. Intensywnie myśląc, przetarł oczy. Conklin ubierał się w Old World Tailors przy M Street; bywał tam od lat. Dwa razy do roku jadał nawet kolację z właścicielem zakładu, rosyjskim imigrantem.

Wytarł się gorączkowo, ponownie sięgnął po telefon Aleksa i zadzwonił na informację. Zapisawszy adres firmy - mieściła się w Alexandrii - usiadł na łóżku, gapiąc się w pustkę. Lincoln Fine Tailors. Zastanawiał się, czy kroją tylko i zszywają materiał, czy robią też coś jeszcze.

Hasan Arsienow cieszył się z przyjazdu do Budapesztu, choć Chalid Murat by tego nie rozumiał. Podczas kontroli paszportowej podzielił się tą myślą z Ziną Gasijewą.

- Biedny Murat - odrzekła. - Odważna dusza, dzielny bojownik o wolność i niepodległość, lecz myślał jak dziewiętnastowieczny strateg. - Zina, prawa ręka Arsienowa i jego kochanka, była drobna, gibka i wysportowana jak on sam. Długie czarne włosy nosiła upięte w kok, jak koronę. Szerokie usta i ciemne błyszczące oczy upodabniały ją do Cyganki, lecz umysł miała chłodny i wyrachowany jak adwokat; była też nieustraszona.

Wsiadając do limuzyny, Arsienow jęknął z bólu. Snajper oddał idealnie celny strzał i kula przeszła tylko mięsień uda, wychodząc drugą stroną. Bolało jak wszyscy diabli, lecz warto było, pomyślał. Nie padły na niego najmniejsze podejrzenia, nawet Zina nie wiedziała, że machał palce w zabójstwie Chalida. Ale jaki miał wybór? Murat robił się coraz bardziej nerwowy, coraz bardziej niepokoiły go konsekwencje planu Szejka. Nie miał jego wizji, jego monumentalnego poczucia niesprawiedliwości społecznej. Cały świat pogardliwie odwrócił się do nich tyłem, a on chciał tylko wyzwolić Czeczenię z rąk Rosjan. To za mało. Za mało.

Dlatego gdy Szejk zapoznał ich ze swoim śmiałym, wręcz zuchwałym planem, Arsienow doznał olśnienia. Wyraźnie ujrzał przyszłość, którą Szejk podawał im jak dojrzały owoc. Owładnięty niebiańską wprost iluminacją poszukał aprobaty u Murata i dostrzegł gorzką prawdę. Chalid nie potrafił sięgnąć wzrokiem poza granice ojczyzny, nie potrafił zrozumieć, że jej odzyskanie jest w sumie celem drugorzędnym. Arsienow zdał sobie sprawę, że Czeczeni muszą nie tylko zrzucić jarzmo rosyjskich niewiernych, ale i zapewnić sobie trwale miejsce w islamskim świecie, zdobyć szacunek pozostałych krajów muzułmańskich. Czeczeni byli sunnitami, przyjęli nauki mistycznych sufich, których uosobieniem jest zikr, pamięć Boga, grupowy rytuał obejmujący śpiewną modlitwę i wprowadzający w trans taniec - wówczas zebrany ukazuje się oko samego Boga.

Sunnici, wyznający religię równie monolityczną jak inne, brzydzili się, bali i dlatego nienawidzili wszystkich tych, którzy choćby w najmniejszym stopniu odchodzili od doktryny. Mistycyzm, boski czy jakikolwiek inny, obłożony był anatema. Dziewiętnastowieczny sposób myślenia, pomyślał z rozgoryczeniem Arsienow. Tak, to prawda. Pod każdym względem prawda.

Od dnia zabójstwa Murata, od tej wytęsknionej chwili, gdy został nowym przywódcą czeczeńskich bojowników, żył jak w gorączce, jak w świecie pełnym omamów. Spał dobrze, głęboko, lecz niespokojnie, gdyż śniły mu się koszmary, w których bezskutecznie próbował znaleźć coś lub kogoś w labiryncie ruin. Dlatego był wiecznie zdenerwowany i pokrzykiwał na podwładnych, nie tolerując żadnych wymówek czy usprawiedliwień. Tylko Zina potrafiła go

uspokoić. Jej alchemiczny dotyk pozwalał mu wyjść z tej dziwnej otchłani, w którą bez niej się zapadał.

Ból przywrócił go do rzeczywistości. Spojrzał w okno, na stare ulice, i niemal z zapiekłą zawiścią patrzył przez chwilę na ludzi, którzy chodzili swobodnie i bez cienia strachu. Nienawidził ich, wszystkich razem i każdego z osobna, bo żyjąc tym wolnym, łatwym życiem, nie poświęcali ani jednej myśli rozpaczliwej walce, jaką jego lud toczy już od osiemnastego wieku.

- Co się stało, kochany? - Zina z troską zmarszczyła czoło.

- Nic. Bolą mnie nogi. Męcę się siedząc.

- Znam cię. Wciąż myślisz o tragedii Murata, mimo waszej zemsty - w odwecie za jego śmierć poszło do ziemi trzydziestu pięciu rosyjskich żołnierzy.

- Nie tylko za jego śmierć - odparł Arsienow. - I za śmierć naszych ludzi. Zdrada rosyjskich szubrawców kosztowała nas życie siedemnastu żołnierzy.

- Zdemaskowałeś zdrajcę i osobiście rozstrzelałeś go na oczach podkomendnych.

- Żeby wiedzieli, co czeka każdego, kto zdradzi naszą sprawę. Wyrok zapadł szybko, kara była najwyższa. Nasz lud wyplakał już wszystkie łzy. Spójrz na nas. W górach Kaukazu ukrywa się w zagubieniu i rozproszeniu ponad sto pięćdziesiąt tysięcy czeczeńskich uchodźców.

Znów powracał do bolesnej historii ojczyzny, lecz Zina go nie powstrzymywała. Opowieści te trzeba było powtarzać jak najczęściej, gdyż innych podręczników do historii ich naród nie miał.

Arsienow zacisnął pięści tak mocno, że zbieleły mu kłykcie, a na dłoniach wykwitły krwawe półksiężycy paznokci.

- Ach, żebyśmy mieli broń bardziej śmiertcionośną niż AK-47, potężniejszą niż plastik!

- Już wkrótce, kochany, już wkrótce - zamruczała Zina głębokim, melodyjnym głosem. - Szejk udowodnił, że jest naszym największym przyjacielem. Spójrz, jak wielkiej pomocy udzielił nam w samym tylko ubiegłym roku, ile pisała o nas międzynarodowa prasa.

- Mimo to wciąż dźwigamy rosyjskie jarzmo - burknął Arsienow. - I wciąż ginemy tysiącami.

- Szejk obiecał nam broń, która to wszystko zmieni.

- Obiecał nam cały świat. - Arsienow wyjął ziarenko piasku z oka. - Czas obietnic minął. Pora zobaczyć dowody naszego przymierza.

Limuzyna, którą Szejk po nich wysłał, zjechała z autostrady i skręciła w bulwar Kalmana, by zaraz potem wjechać na most Arpada nad Dunajem pełnym ciężkich barek i oszalałymi kolorowych statków turystycznych. Zina zerknęła w dół. Po jednej stronie ciągnął się szereg olśniewających gotyckich gmachów parlamentu, po drugiej widać było Wyspę Małgorzaty i luksusowy hotel Dunabius Grand, gdzie czekały na nich bielutkie prześcieradła, pikowane kapy i grube kołdry. Zina, za dnia twarda jak stalowy pancierz, uwielbiała budapeszteńskie wieczory w luksusie wielkiego hotelowego łóża. Nie traktowała tego jak zdrady ascetycznego stylu życia i w rozpuście tej widziała jedynie krótkie wytchnienie od trudów i poniżenia, małą nagrodę, coś w rodzaju czekoladki pod językiem, która roztapia się potajemnie w obłoku ekstazy.

Limuzyna wjechała na podziemny parking pod gmachem Humanistas Ltd. Zina odebrała od szofera duży prostokątny pakunek. Umundurowany strażnik porównał zdjęcia w paszportach z tymi w komputerowej bazie danych, wydał im zalaminowane identyfikatory, po czym skierował do wspaniałej windy, całej w brązie i w szkłe.

Spalko przyjął ich w swoim gabinecie. Słońce stało już wysoko, zmieniając rzekę w płynną miedź. Objął ich oboje, spytał, czy mieli dobry lot, jak jechało im się z lotniska Feriehy i o ranę w nodze Arsienowa. Po wymianie uprzejmości przeszli do sąsiedniego pokoju,

wyłożonego boazerią z tekowego drewna w kolorze miodu, gdzie czekał zastany białym obrusem stół ze srebrną zastawą. Spalko kazał podać zachodnie potrawy: stek, homar, trzy rodzaje ulubionych przez Czeczenów warzyw i ani jednego ziemniaka pod żadną postacią; często zdarzało się, że przez wiele tygodni Zina i Arsienow nie jedli nic oprócz kartofli. Zina położyła pakunek na wolnym krześle i usiedli.

- Szejku - powiedział Arsienow - twoja gościnność jak zwykle nas oszałamia.

Spalko lekko pochylił głowę. Szejk - podobało mu się imię, które nadał sobie w ich świecie. Święty, przyjaciel Boga. Pobrzmiewała w nim nuta nabożnej czci i lęku, jak w imieniu najwyższego pasterza, przewodnika wiernej trzody.

Wstał, otworzył butelkę mocnej polskiej wódki i napełnił trzy kieliszki. Podniósł swój jak do toastu, a oni podnieśli swoje.

- Za Chalida Murata, wielkiego przywódcę, wspaniałego wojownika i zawziętego przeciwnika - zaintonował na czeczeńską modłę. – Niechaj Allah obdarzy go chwałą, na którą zasłużył krwią i odwagą. Niechaj opowieści o jego męstwie, którego dowiódł jako przywódca i jako mężczyzna, będą przekazywane z pokolenia na pokolenie przez wszystkich wiernych. - Jednym haustem wypił palący gardło trunk.

Arsienow wstał i ponownie napełnił kieliszki.

- Za Szejka, przyjaciela Czeczenów, który nas poprowadzi i zapewnimy należne miejsce w nowym porządku świata. - Wypili.

Zina chciała wstać, najpewniej po to, żeby też wnieść toast, lecz Arsienow położył jej rękę na ramieniu. Gest ten nie uszedł uwagi Spalki. Najbardziej ciekawiło go to, jak zareaguje nań Zina. Przeniknął wzrokiem jej kamienne oblicze, dotarł aż do kipiącego gniewem serca. Wiedział, że w świecie jest wiele niesprawiedliwości, i to na każdą skalę. Uważał, że to dziwne i może trochę przewrotne, iż ludzi oburzają niesprawiedliwości duże, wielkie, podczas gdy na te małe, które codziennie trapią dosłownie wszystkich, nikt nie zwraca uwagi. Zina walczyła ramię w ramię z mężczyznami - w takim razie dlaczego? Dlaczego nie mogła wnieść własnego toastu? Była zła, wręcz wściekła. Spalce bardzo się to podobało. Umiał wykorzystywać gniew innych.

- Towarzysze, przyjaciele - powiedział z przekonującym błyskiem w oczach. - Za spotkanie smutnej przeszłości, pełnej rozpaczliwej teraźniejszości i jasnej przyszłości. Stoimy u progu nowego jutra!

Zaczęli jeść, rozmawiając o sprawach ogólnych i mało ważnych, jak na oficjalnej kolacji. Mimo to w pokoju jakby ukradkiem zapanowała atmosfera niecierpliwego wyczekiwania, lęgnięcej się zmiany. Patrzyli w talerze albo na siebie, jakby teraz, gdy chwila ta była już blisko, nie chcieli dostrzec zbierającej się burzy. Wreszcie skończyli jeść.

- Już pora - powiedział Szejk.

Arsienow i Zina wstali. Arsienow pochylił głowę.

- Ten, kto umiera z miłości do rzeczy materialnych, umiera jako hipokryta. Ten, kto umiera z miłości do przyszłego życia, umiera jako asceta. Ale ten, kto umiera za prawdę, umiera jako sufi.

Spojrzał na Zinę. Otworzyła pakunek, który przywieźli ze sobą z Groznego. W środku były trzy szaty. Jedną podała Arsienowowi, który ją włożył. Ona włożyła swoją. Trzecią szatę Arsienow podał Szejkowi.

- Cherqeh jest honorową szatą derwiszów. Symbolizuje boską naturę i jej atrybuty.

- Uszyto ją igłą poświęcenia i nicią bezinteresownej pamięci o Bogu - dodała Zina.

Szejk pochylił głowę.

- La illaha Ul Allah. Nie ma innego Boga oprócz Boga, który jest jeden.

- La illaha Ul Allah - powtórzyli chórem Czeczeni i Arsienow narzucił szatę na ramiona Szejka.

- Większość ludzi zadowala się życiem zgodnym z zasadami szarijatu, prawa islamu -

powiedział Arsienow. - Ludzie ci poddają się woli bożej, umierają w chwale i idą do raju. Ale są wśród nich i tacy, którzy łakną boskości już tu i teraz, których miłość do Boga zmusza pozostałych do poszukiwania wewnętrznej drogi. Jesteśmy sufimi.

Spalko poprawił szatę i czując jej ciężar, odrzekł:

- „W ten sposób wynagradza Bóg bogobojnych! - tych, których wezwą aniołowie, kiedy oni byli dobrymi, i którym powiedzą: »Pokój wam! Wejdźcie do Ogrodu za to, co czyniliście!«¹

Poruszony werselem Arsienow wziął Zinę za rękę, ukłękli przed Szejkiem i w liczącej trzysta lat modlitwie wyrecytowali uroczystą przysięgę posłuszeństwa. Spalko podał im nóż. Oboje nacięli sobie dłonie i w kielichu na długiej nóżce ofiarowali mu swoją krew. Tym sposobem stali się muridami, jego uczniami, związanymi z nim słowem i czynem.

Potem, chociaż bolało go udo, Arsienow usiadł ze skrzyżowanymi nogami naprzeciwko nich, jak sufi Nakszibandi, i odprawili zikr, rytuał ekstatycznego pojednania z Bogiem. Położyli prawą rękę na lewym udzie, lewą ręką przytrzymując jej nadgarstek. Arsienow zaczął zataczać głową płynny półokrąg, a Zina i Spalko poszli w jego ślady, wsłuchując się w słowa cichej, rytmicznej, niemal zmysłowej recytacji.

- Uchroń mnie, Panie, od złego oka zazdrości i zawiści, które spoczęło na pięknych dachach Twoich. - Zatoczyli łuk głowami w przeciwną stronę. - Ustrzeż mnie, Panie, abym nie wpadł w ręce swawolnych dzieci tej ziemi i aby nie wykorzystali mnie w swych zabawach. Mogliby ze mną igrać, a potem złamać mnie i zniszczyć, jak niszczą zabawki. - Ruch głowami w lewo i w prawo, w lewo i w prawo. - Uchroń mnie, Panie, od ran, jakie zadać może rozgoryczenie wroga j nieświadomość ukochanych przyjaciół.

Rytmicznie skandowana modlitwa i nieustanny ruch zjednoczył ich w ekstatyczną jedność w obliczu Boga...

Dużo później Spalko poprowadził ich bocznym korytarzem do małej stalowej windy, którą zjechali do piwnicy wydrążonej w skale pod fundamentami gmachu.

Weszli do wysoko sklepionego pomieszczenia poprzecinanego żelaznymi rozporami. Słychać tam było jedynie cichy syk klimatyzatora. Przy ścianie stały skrzynie. Spalko podał Arsienowowi łom i z zadowoleniem patrzył, jak Czeczen otwiera najbliższą i patrzy na rząd błyszczących karabinków automatycznych AK-47. Zina wyjęła jeden z nich i obejrzała go dokładnie. Kiwnęła głową i Arsienow otworzył kolejną skrzynię, w której leżały ręczne wyrzutnie raketowe.

- Najbardziej zaawansowana broń w rosyjskim arsenale – powiedział Spalko.

- Ale ile to wszystko kosztuje? - spytał Arsienow. Spalko rozłożył ręce.

- Ile byście zapłacili, gdyby ta broń pomogła wam odzyskać wolność? Arsienow zmarszczył czoło.

- Czy da się wycenić wolność?

- Właśnie, Hasanie. Wolność jest bezcenna. Płaci się za nią krwią i nieugiętością ludzi takich jak wy. - Popatrzył na Zinę. - Cała zgromadzona tu broń należy do was. Użyjcie jej do obrony granic, tak jak uznacie to za stosowne. Niechaj wasi ludzie ją zauważą.

Zina podniosła głowę. Spotkali się wzrokiem i chociaż wyraz ich twarzy nie uległ zmianie, coś między nimi zaiskrzyło.

- Nawet tak dobra broń nie umożliwi nam wejścia na szczyt w Reykjavíku. Spalko kiwnął głową. Kąciki jego ust powędrowały do góry.

- To prawda. Obowiązujące tam środki bezpieczeństwa są zbyt ścisłe. Bezpośredni szturm oznaczałby pewną śmierć. Mam jednak pewien plan, dzięki któremu nie tylko wejdziemy do hotelu Oskjuhlid, ale i bez narażania się na ryzyko zabijemy wszystkich tam obecnych. Kilka godzin później to, o czym od wieków marzyliście, będzie należało do was.

¹ Koran, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986.

- Chalid Murat bał się przyszłości. Bał się tego, co my, Czeczeni, możemy zdobyć. - Twarz Arsienowa gorzała fanatyzmem. - Świat za długo nas ignorował. Rosjanie mordują nas i miażdżą, tymczasem ich towarzysze broni, Amerykanie, przypatrują się temu z założonymi rękami. Miliardy amerykańskich dolarów płyną na Bliski Wschód, a do Czeczenii ani jeden rubel!

Spalko przybrał minę zadowolonego profesora, który widzi, że jego najlepszy student robi coraz większe postępy. Złowrogo zalsniły mu oczy.

- To wszystko się zmieni. Za pięć dni będziecie mieli u stóp cały świat. Zdobędziecie władzę i szacunek tych, którzy was opluwali i porzucili.

Szacunek Rosji, islamskiego świata i całego Zachodu, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych!

- Zmienimy cały świat! - Arsienow prawie krzyczał.

- Ale jak? - spytała Zina. - Jak to możliwe?

- Za trzy dni spotkamy się w Nairobi - odparł Spalko. - Zobaczycie sami.

Nad jego głową zamyka się woda, ciemna, głęboka, rojąca się od niewypowiedzianych koszmarów. Idzie na dno. Bez względu na to, jak bardzo się szamocze, jak rozpaczliwie próbuje wypłynąć na powierzchnię, kręcąc się wkoło, opada coraz niżej i niżej, jakby miał ołów u nóg. Spogląda w dół, dostrzega śliski od wodorostów gruby sznur obwiązany wokół lewej kostki. Nie widzi, co jest na jego końcu, bo sznur znika w czarnej otchłani. Ale cokolwiek to jest, musi być bardzo ciężkie, gdyż pociąga go za sobą, mocno napinając sznur. Rozpaczliwym ruchem sięga w dół, napuchniętymi palcami szarpie węzeł i Budda odpływa, obracając się powoli, znika w niezgłębionym mroku...

Chan obudził się gwałtownie, jak zwykle miotany poczuciem potwornej straty. Łóżko. Zmięte, wilgotne prześcieradła. Przez jakiś czas przed oczami przewijał mu się znajomy koszmar. Sięgnął w dół i pomacał kostkę u nogi, żeby się upewnić, że nie ma tam sznura. Potem, ostrożnie, nieufnie, niemal z nabożną czcią, przesunął palcem po napiętych mięśniach brzucha, po piersi i wreszcie dotknął małego rzeźbionego Buddy na złotym łańcuszku. Nigdy go nie zdejmował, nawet przed snem. Był tam. Oczywiście, że tam był, jak zawsze. Jego talizman, chociaż próbował sobie wmówić, że nie wierzy w talizmany.

Zdegustowany mruknął coś pod nosem, wstał, poszedł do łazienki i ochlapał sobie głowę zimną wodą. Zapalił światło i szybko zamrugał. Zbliżył twarz do lustra i przyjrzał się swemu odbiciu, jakby widział je pierwszy raz w życiu. Chrząknął, oddał mocz, wrócił do pokoju, zapalił lampkę, usiadł na brzegu łóżka i jeszcze raz przeczytał skąpe dossier, które dał mu Spalko. Nie było w nim absolutnie niczego, co wskazywałoby, że David Webb posiadał umiejętności, jakimi się przed nim wykazał. Dotknął siniaka na gardle i pomyślał o jego sprytnie zastawionej sieci ze splecionych pnączy. Wyjął z teczki kartkę i porwał ją na strzępy. Akta były beзуżyteczne, więcej niż beзуżyteczne, bo zmyliły go i sprawiły, że nie docenił przeciwnika. Nasuwał się też inny, równie niepokojący wniosek: Spalko dostarczył mu fałszywych albo niekompletnych informacji.

Podjejrzał, że dobrze wie, kim jest David Webb. Musiał teraz sprawdzić, czy czegoś nie knuł. Co do Webba miał swoje własne plany i nie chciał, żeby ktoś - nawet sam Stiepan Spalko - wszedł mu w drogę.

Westchnął ciężko, zgasił światło i położył się, lecz jego umysł nie był gotowy do snu. Całe ciało wibrowało od domysłów i spekulacji. Do chwili zawarcia ostatniej umowy ze Spalkiem nie wiedział nawet, że Webb istnieje, że w ogóle żyje. I pewnie nie przyjąłby tego zlecenia, gdyby Spalko nie pomachał mu nim przed nosem jak marchewką. Musiał wiedzieć, że nie oprze się pokusie. Współpracując z nim, od jakiegoś czasu czuł się bardzo nieswojo. Spalko myślał, że go kupił, ale Spalko jest megalomanem.

W dżunglach Kambodży, gdzie musiał radzić sobie jako dziecko i młody chłopak, poznał wielu megalomanów. Upał, wilgoć, chaos wojny, niepewność jutra - wszystko to razem sprawiało, że ludzie popadali w obłąd. We wrogim środowisku słabi umierali, silni przeżywali, a każdy jakoś się zmieniał.

Leżąc na plecach, przesunął palcami po swoich bliznach. Było to coś w rodzaju rytuału, może nawet przesądu, była to ucieczka przed złem. Nie przed przemocą, jaką dorosły stosuje przeciwko dorosłemu, tylko przed narastającym, nienazwanym strachem, jaki odczuwa dziecko w środku nocy. Budząc się z koszmaru, dzieci biegną do rodziców, wpełzają do ich ciepłego, bezpiecznego łóżka i szybko zasypiają. Ale on nie miał rodziców, nie miał nikogo, kto mógłby go pocieszyć! Przeciwnie, wciąż musiał uciekać przed oglupiałymi dorosłymi, dla których był jedynie źródłem pieniędzy lub seksu. Zarówno biali, jak i Azjaci, których miał nie szczęście spotkać, przez wiele lat traktowali go jak niewolnika. Nie należał do ich świata i dobrze o tym wiedzieli. Jako mieszaniec był obrzucany obelgami, przeklinany, bity, wykorzystywany i poniżany tak, jak tylko można poniżyć człowieka.

Mimo to wytrwał. Przetrwanie z dnia na dzień stało się jego jedynym celem. Gorzkie doświadczenie nauczyło go jednak, że sama ucieczka nie wystarczy, że ci, którzy chcą go zniewolić, zawsze będą go ścigać i surowo karać. Dwukrotnie omal nie umarł. I dopiero wtedy zrozumiał, że przetrwanie to za mało. Że albo zaczniesz zabijać, albo ktoś zabije jego.

Tuż przed piątą rano oddział antyterrorystyczny, ściągnięty z blokady na szosie, po ciemku stanął przed motelem. O obecności Jasona Bourne'a zawiadomił ich recepcjonista, który, obudziwszy się z drzemki po silnym środku uspokajającym, na ekranie telewizora zobaczył jego twarz. Uszczypnął się, żeby sprawdzić, czy nie śni, wypił kieliszek taniej żytniówki i zadzwonił na policję.

Dowódca oddziału rozkazał, żeby zgaszono światła przed motelem, gdyż u tak po ciemku był pewniejszy i bezpieczniejszy. Ale gdy zaczęli zajmować pozycje, zawarczał silnik stojącej na podjeździe chłodni i rozbłyśły silne reflektory. Dowódca rozpaczliwie zamachał rękami, podbiegł bliżej i kazał kierowcy się wynosić. Widząc uzbrojonych po zęby agentów, kierowca wybałuszył oczy i natychmiast posłuchał: zgasił światła, wyjechał z parkingu i skręcił na szosę.

Dowódca dał znak podwładnym i ruszyli prosto do pokoju Bourne'a. Na bezgłośny rozkaz dwóch agentów pobiegło na tyły motelu. Dowódca dał im dwadzieścia sekund, żeby zdążyli dotrzeć na miejsce, po czym kazał ludziom włożyć maski przeciwgazowe. Dwóch z nich uklękło i przez otwarte okno odpaliło ładunki z gazem łzawiącym. Wtedy dowódca dał znak ręką: wyważyli drzwi i z gotową do strzału bronią wpadli do pokoju. W środku syczał pojemnik z gazem i mrugał ekran telewizora z wyłączonym dźwiękiem. Leciąły wiadomości CNN i z ekranu gapiała się na nich twarz poszukiwanego. Na łóżku nie było pościeli, na przetartej wykładzinie wały się resztki jedzenia. Bourne zniknął.

Owinąwszy się prześcieradłem, kocem i narzutą, legł między sięgającymi sufitu stertami skrzyń wypełnionych plastikowymi koszykami. W koszykach były truskawki. Udało mu się znaleźć miejsce metr nad podłogą, w ciasnym kominie z drewnianych skrzyń. Wszedłszy do chłodni, zamknął za sobą drzwi; wszystkie chłodnie miały w środku klamki, a raczej długie dźwignie na wypadek, gdyby ktoś się w nich zatrzasnął. Zapalił latarkę i zobaczył przejście szerokie na tyle, że mógł się nim precyzyjnie. Na prawej ścianie, tuż pod sufitem, było zakratowane ujście przewodu wentylacyjnego.

Nagle zeszytniał. Ciężarówka zwalniała i w końcu się zatrzymała. Blokada. Nadeszła krytyczna, najniebezpieczniejsza chwila.

Przez pięć minut panowała całkowita cisza, a potem drzwi gwałtownie się otworzyły. Usłyszał czyjś głos.

- Zabierał pan jakichś autostopowiczów?

- Nie. - Kierowca był wystraszony.

- Niech pan spojrzy na zdjęcie. Może widział pan tego faceta gdzieś przy drodze?

- Nie, nie widziałem. Co on zrobił?

- Co pan wiezie? - Głos innego policjanta.

- Świeże truskawki - powiedział Guy. - Jezu, ludzie, miejcie serce. Przy otwartych drzwiach zaraz mi sflaczeją. Jak zaczną gnić, zabulę za nie z własnej pensji.

Ktoś chrząknął, ktoś inny burknął. Światło silnej latarki omiotło przejście i podłogę, musnęło rząd skrzyń, między którymi pólleżał Bourne.

- Dobra, zamykaj pan.

Światło zgasło, drzwi się zatrzasnęły.

Bourne odczekał, aż ciężarówka nabierze prędkości, i dopiero wtedy wstał. W głowie mu huczało. Policjanci musieli pokazać kierowcy to samo zdjęcie, które widział w CNN.

Przez pół godziny jechali gładko i bez przystanków, potem zaczęli skręcać, zatrzymywać się na światłach i znowu ruszać. Miasto, pora wysiadać. Bourne podszedł do drzwi i pchnął dźwignię. Ani drgnęła. Spróbował jeszcze raz, tym razem silniej. Zaklął i zapalił latarkę z domu Conklina. Jasny krąg światła, w świetle zakleszczony zamek. Zatrzaśnięto go na amen.

Rozdział 5

Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej był na porannej odprawie z Roberta Alonzo-Ortiz, doradczynią prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Spotkali się w Pokoju Sytuacyjnym, okrągłej sali w trzewiach Białego Domu. Kilka pięter nad nimi ciągnęły się rzędy wyłożonych boazerią, pięknie ozdobionych wnętrz, które kojarzyły się większości z tym historycznym budynkiem, ale tutaj, na dole, mieścił się ośrodek władzy oligarchów z Pentagonu. Tak jak wielkie starożytne świątynie, Pokój Sytuacyjny zbudowano tak, żeby przetrwał wieki. Wyżłobiony pod starymi piwnicami, miał onieśmielające proporcje, jak przystało na pomnik niezwykniętych.

Alonzo-Ortiz, on - dyrektor CIA, ich sztaby oraz wybrani agenci Secret Service po raz setny analizowali plan ochrony szczytu antyterrorystycznego w Reykjavíku. Na ekranie wyświetlono szczegółowy plan hotelu Oskjuhlid, schemat uwzględniający wszystkie wejścia, wyjścia, windy, dach, okna i temu podobne. Uruchomiono bezpośrednie teletęcze, żeby Jamie Hull, obecny tam przedstawiciel CIA, mógł wziąć udział w odprawie.

- Nie będę tolerowała absolutnie żadnych błędów, nawet najmniejszych – mówiła Alonzo-Ortiz. Była budzącą respekt kobietą o kruczoczarnych włosach i bystrych, jasnych oczach. - Wszystko musi przebiegać bez najmniejszych zakłóceń, jak w zegarku. Każde naruszenie systemu bezpieczeństwa, bez względu na to, jak małe, może mieć katastrofalne skutki. Zniszczyłoby to, co prezydent budował przez półtora roku wraz z czołowymi islamskimi przywódcami. Chyba nie muszę wyjaśniać, że; w ich przypadku pod fasadą współpracy czai się wrodzona nieufność do zachodnich wartości, do etyki judeochrześcijańskiej i wszystkiego tego, co etyka ta sobą reprezentuje. Najmniejsze podejrzenie, że prezydent ich oszukał, będzie miało groźne i natychmiastowe konsekwencje. - Powiodła wzrokiem wokół stołu. Jednym z jej szczególnych darów było to, że gdy przemawiała do grupy ludzi, każdy słuchacz miał wrażenie, że mówi wyłącznie do niego. - Spójrzmy prawdzie w oczy, panowie. Mówimy tu o wojnie globalnej, o dżihadzie na skalę, jakiej do tej pory nie widzieliśmy i jakiej najpewniej nie umiemy sobie wyobrazić.

Już miała oddać głos Jamiemu Hullowi, gdy do sali wszedł cicho młody szczupły agent z zapieczętowanym listem dla szefa CIA.

Dyrektor natychmiast rozciął kopertę i chociaż serce biło mu dwa razy szybciej niż przedtem, z kamienną twarzą przeczytał wiadomość.

- Bardzo przepraszam, pani doktor - powiedział. Pani Ortiz nie lubiła, gdy przerywano jej odprawę. Doskonale wiedząc, że patrzy na niego groźnie, dyrektor odsunął krzesło i wstał.

Pani Ortiz zacisnęła usta i posłała mu uśmiech tak fałszywy, że jej wargi niemal zniknęły.

- Wychodzi pan tak nagle, na pewno to coś pilnego.

- Owszem, bardzo. - Dyrektor, stary wyga i pan samego siebie, nie zamierzał zadzierać z najbardziej zaufanym człowiekiem prezydenta. Zachował dobre maniery, chociaż nie znosił tej wstrętnej baby, która pozbawiła go tradycyjnych wpływów, jakie dyrektor CIA zawsze miał u prezydenta, i za to, że była babą. Wykorzystał jednak resztki swojej władzy i nie zdradził jej tego, co najbardziej chciała wiedzieć: dlaczego wychodzi tak nagle.

Pani Ortiz jeszcze mocniej zacisnęła usta.

- Oczekuję, że bezzwłocznie złoży mi pan pełny raport w sprawie tego niespodziewanego kryzysu.

- Oczywiście - odparł, spieszenie wychodząc. Gdy zamknęły się za nim grube drzwi, dodał szyderczo: - Wasza wysokość.

Agent, który przyniósł mu list, parsknął śmiechem.

Niecały kwadrans później dyrektor był już w kwaterze głównej, gdzie czekali na niego szefowie wydziałów. Temat narady: zabójstwo Alexandra Conklina i doktora Morrisa Pavana. Główny podejrzany: Jason Bourne. Jego zastępcy byli to bladzi jak ściana faceci w nie-nagannie skrojonych klasycznych garniturach, rypsowych krawatach i butach z naszywanym, ozdobnie dziurkowanym noskiem. Nie dla nich koszule w paski i kolorowe kołnierzyki, przelotne kaprysy mody. Od lat chadzali korytarzami najwyższej władzy i byli równie niezmienni jak ich garderoba. Byli konserwatystami po konserwatywnych uniwersytetach, potomkami starych rodzin, skierowanymi przez swoich ojców do pracy w odpowiednich urzędach i dla odpowiednich ludzi, przywódców z wizją i energią, którzy umieli załatwiać sprawy. Zespół, jaki tworzyli, był światem samym w sobie, najtajniejszym i najbardziej zamkniętym, jednak wybiegające z tego świata macki sięgały dosłownie wszędzie.

Gdy tylko wszedł do sali konferencyjnej, zgaszono światło, Na ekranie ukazały się zdjęcia zamordowanych zrobione na miejscu zbrodni.

- Na miłość boską, precz z tym! - krzyknął. - To obrzydliwość. Tych ludzi nie powinno się tak oglądać.

Martin Lindros wcisnął guzik i ekran zgasł.

- Chciałbym poinformować - powiedział - że wczoraj potwierdziliśmy ostatecznie, iż na podejździe przed domem Conklina stał samochód Davida Webba. Webb... - urwał, bo Stary niecierpliwie odchrząknął.

- Nazywajmy rzeczy po imieniu. - Dyrektor nachylił się i położył zaciśnięte pięści na błyszczącym blacie stołu. - Świat zna go jako Davida Webba, ale dla nas jest Jasonem Bourne'em. I tego nazwiska będziemy używać.

- Tak jest - odrzekł służbiście Lindros, nie chcąc denerwować już i tak rozwścieczonego szefa. Nie musiał nawet zaglądać do notatek, tak świeże i plastyczne miał wspomnienia. - Webb... Bourne... mniej więcej godzinę przed morderstwami był na uniwersyteckim kampusie. Świadek widział, jak szybko szedł do samochodu. Można założyć, że pojechał prosto do domu Conklina. W chwili morderstwa, tuż przed lub tuż po, na pewno tam był. Na szklance ze szkocką w pokoju telewizyjnym znaleźliśmy jego odciski palców.

- Co z pistoletem? - spytał dyrektor. - To z niego strzelano? Lindros kiwnął głową.

- Balistycy twierdzą, że na sto procent.

- To pistolet Bourne'a? Na pewno?

Lindros zerknął na skserowane notatki i podsunął je dyrektorowi.

- Jego rejestracja. Broń należy do Davida Webba. Naszego Davida Webba.

- A to sukinsyn! - Staremu zadrżały ręce. - I są na nim jego odciski palców?

- Nie - odparł Lindros, zaglądając do notatek z innego pliku. - Został dokładnie wytarty. Brak jakichkolwiek odcisków.

- Zawodowiec, cholera... - mruknął dyrektor. Nielatwo stracić stare go przyjaciela.

- Tak jest, bez dwóch zdań.

- No i...? Co z tym... Bourne'em? - Wydawało się, że ból sprawia mu już samo to, że musi wypowiedzieć jego nazwisko.

- Dziś o świcie dostaliśmy cynk, że zaszył się w motelu w Wirginii, niedaleko jednej z naszych blokad. Natychmiast otoczyliśmy teren i wyślaliśmy tam grupę szturmową. Jeśli naprawdę tam był, musiał prześlizgnąć się jakoś przez kordon. Zniknął bez śladu.

- Niech to szlag! - Staremu poczerwieniały policzki.

Do sali wszedł cicho asystent Lindrosa i podał mu kartkę papieru. Lindros zerknął na nią i podniósł wzrok.

- Wysłałem ludzi do jego domu, na wypadek gdyby się tam pojawił albo próbował skontak-

tować się z żoną. Dom był zamknięty i pusty. Ani śladu żony i dzieci. Dalsze śledztwo wykazało, że żona przyjechała do szkoły i bez słowa wyjaśnienia zabrała dzieci z lekcji.

- No to mamy dowód! - Dyrektor wyglądał, jakby miał dostać apopleksji. - Wyprzedza nas o krok, bo zaplanował te morderstwa już dawno temu! - Podczas krótkiej jazdy do Langley znowu uległ emocjom, Śmierć Aleksa i rozmowa z panią Alonzo-Ortiz rozjuszyły go do tego stopnia, że wkroczył do sali, kipiąc wściekłością. A teraz, gdy przedstawiono mu namacalne dowody, gotów był skazać Bourne'a bez sądu. – To oczywiste, że Bourne oszalał. - Wciąż stał. Stał i trząsał się. – Alexander Conklin był moim starym, zaufanym przyjacielem. Trudno zliczyć, ile razy narażał swoją reputację, a nawet życie, dla agencji i kraju. W każdym znaczeniu tego słowa był prawdziwym patriotą, człowiekiem, z którego nie bez powodu byliśmy dumni.

Lindros z kolei nie umiałby powiedzieć, ile razy dyrektor ciskał gromy na brawurową taktykę działania Conklina, na zbyt śmiało, wprost szaleńcze akcje i skrywane przed szefostwem plany. Wychwalać zmarłych? Jasne, można i trzeba, ale ignorować niebezpieczne skłonności agentów byłych i obecnych? To czysta głupota. W tym agentów takich jak na przykład Jason Bourne, „śpioch”, a więc najgorszy z możliwych, człowiek, który nie w pełni nad sobą panował. Lindros wiedział o nim niewiele i postanowił, że zaraz po zebraniu naprawi ten błąd.

- Jeśli Alexander Conklin miał jakąś słabość, jeśli nie potrafił czegoś dostrzec, tym czymś, a raczej kimś, był tylko Jason Bourne - mówił dalej Stary. - Podczas ataku w Phnom Penh, na wiele lat przed tym, gdy poznał i poślubił swoją obecną żonę Marie, Bourne stracił całą rodzinę, żonę Tajkę i dwoje dzieci. Dręczony wyrzutami sumienia, szalał z bólu, gdy Alex zgarnął go z sajgońskiej ulicy i skierował na szkolenie. Od tamtych dni upłynęło dużo czasu i mimo usilnej pomocy Morrisa Panova z trudem udawało nam się nad nim zapanować, chociaż Morris twierdził co innego. Jakimś cudem on też znalazł się pod jego wpływem. Wielokrotnie ostrzegałem Aleksa, namawiałem go, żeby przekazał Bourne'a w ręce naszych specjalistów, ale on zawsze mówił „nie”. Niech spoczywa w pokoju, ale uparty był z niego człowiek. Wierzył w Bourne'a do samego końca.

Ze spoconą twarzą, szeroko otwartymi oczami powiódł wokół stołu.

- I z jakim rezultatem? Obaj zginęli zastrzeleni jak psy przez agenta, nad którym próbowali zapanować. Tymczasem prawda jest oczywista: nad Bourne'em nie da się zapanować. Jest jak śmiertelnie niebezpieczna jadowita żmija. - Grzmotnął pięścią w stół. - Nie pozwolę, żeby te odrażające, popełnione z zimną krwią zbrodnie uszły mu na sucho. Niniejszym nakładam na niego najwyższe sankcje. Nasi agenci, ci w kraju i na całym świecie, mają go natychmiast zlikwidować.

Przeszedł go zimny dreszcz. Zadrżał. Spojrzał w górę i oświetlił zakratowany otwór szybu wentylacyjnego pod sufitem. Stanął w przejściu, wszedł na stertę skrzyń po prawej stronie i powoli się tam doczołgał. Otworzył nóż i grzbietem ostrza odkręcił śruby. Do chłodni wpadło łagodne, rozmyte światło: wstawał świt. Otwór był na tyle duży, że powinien się nim przecisnąć. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Skurczył się, skulił i włożył głowę do otworu. Głowa, ramiona - przez kilkadziesiąt centymetrów wszystko szło dobrze, lecz nagle przestało. Spróbował się poruszyć, ale nie mógł. Utknął jak korek w butelce. Wypuścił z płuc całe powietrze, rozluźnił mięśnie i odepchnął się stopami. Kratka spadła, lecz on przesunął się do przodu o kilka centymetrów. Opuścił nogi, wymacał nimi skrzynię, zaparł się skrzyżowanymi piętami i odepchnął ponownie. Powtórzył ten manewr kilka razy, powoli i ostrożnie, i wreszcie zdołał przepchnąć przez otwór głowę i ramiona. Spojrzał w górę i zamrugnął. Cukierkowo różowe niebo, kilka zwiewnych, pierzastych

obłoków. Wyciągnął ręce, chwycił się biegnącej wzdłuż burty krawędzi, wypelzł z otworu i wszedł na dach.

Na najbliższych światłach zeskoczył. Spadł na wysunięte ramię, przekoziolkował, wstał, wszedł na chodnik i otrzepał ubranie. Gdy chłodnia zniknęła w kłębach sinych spalin, zasalutował niczego niepodejrzewającemu Guyowi i ruszył przed siebie.

Był na ubogich przedmieściach Waszyngtonu. Opustoszała ulica, coraz jaśniejsze niebo - świt uciekał już przed wschodzącym słońcem - w oddali szum ulicznego ruchu i zawodzenie policyjnych syren. Wziął głęboki oddech. W zapachu miejskich spalin było coś świeżego: radość z wolności odzyskanej po całonocnych zmaganiach o pozostanie w ukryciu.

Kilka minut później zobaczył wypłowiałe czerwono-biało-niebieskie proporce powiewające na słabym wietrze. Zamknięty na noc parking. Podszedł do pierwszego z brzegu samochodu, odkręcił tablice rejestracyjne, zamienił je na tablice wozu stojącego tuż obok, wylał zamek, otworzył drzwiczki, odpalił na krótko silnik i wyjechał na ulicę.

Zaparkował przed tanią restauracją, której wyłożona chromowanymi płytami fasada pochodziła jeszcze z lat pięćdziesiątych. Na dachu stała gigantyczna filiżanka, neon dawno się przepalił. W środku było duszno i parno. Z każdego centymetra kwadratowego ściany bił zapach kawy i smażonego tłuszczu. Po lewej stronie stała lada z laminatu i kilka obitych winylem stołków na chromowanych nogach; po prawej, pod oknami, przez które nieśmiało wpadały smużki porannego słońca, ciągnął się rząd boksów z szafami grającymi, takimi po ćwierć dolara od piosenki.

Na dźwięk dzwonka u drzwi bez słowa odwróciły się ku niemu wszystkie twarze. On był biały, oni czarni. Uśmiechnął się, lecz nikt nie odpowiedział mu uśmiechem. Jedni potraktowali go z zupełną obojętnością, inni jak zły omen.

Czując na sobie wrogie spojrzenia, usiadł w wolnym boksie. Kelnerka z pomarańczowymi, mocno kręconymi włosami i twarzą Earthy Kitt rzuciła na stół poplamione tłuszczem menu i naląła mu gorącej kawy. Miała jasne, za mocno umalowane oczy, zniszczoną troskami twarz i przyglądała mu się przez chwilę z ciekawością i chyba ze współczuciem.

- Nie przejmuj się, zlotko, niech sobie patrzą- szepnęła. - Oni się ciebie boją.

Zjadł jajka na bekonie i frytki, popijając kawą. Kawa była kwaśna, ale żeby choć na chwilę zapomnieć o zmęczeniu, potrzebował protein i kofeiny.

Kelnerka dołąła mu kawy, więc pił ją niespiesznie, czekając, aż ci z Lincoln Fine Tailors otworzą zakład. Ale nie próżnował. Wyjął notatnik, który zabrał z pokoju telewizyjnego Aleksa, i jeszcze raz obejrzał odcisk na wierzchniej kartce. NX 20. Brzmiało to jak nazwa jakiegoś eksperymentu, jak coś złowieszczonego, ale równie dobrze mogła to być nazwa nowego modelu komputera.

Od czasu do czasu zerkał na siedzących w lokalu gości, na okolicznych mieszkańców, którzy wchodzili do restauracji i wychodzili, jedli coś i pili, rozmawiając o talonach z opieki społecznej, o narkotycznych długach, o policyjnych pobiciach, o nagłej śmierci członków rodziny, o chorobie przyjaciela w więzieniu. To było ich życie, życie bardziej mu obce niż to w Azji czy w Mikronezji. Atmosfera zgęstniała od gniewu i żalu.

Ulicą sunął policyjny radiowóz, powoli, czujnie, niczym rekin polujący na rafie. Ruch w restauracji momentalnie zamarł, jak na zdjęciu.

Bourne popatrzył na kelnerkę. Obserwowała samochód, dopóki jego tylne światła nie zniknęły za rogiem. Przez salę przetoczyło się westchnienie ulgi. On też odczuł ulgę. Wyglądało na to, że mimo wszystko był w towarzystwie kolegów, podróżników po mrocznych zakamarkach cienia.

Pomyślał o ścigającym go mężczyźnie. Miał azjatycką twarz, choć nie do końca. I było w niej coś znajomego, może śmiała linia zupełnie nieazjatyckiego nosa czy kształt bardzo azjatyckich ust. Czyżby przybył tu z jego przeszłości, z Wietnamu? Nie, to niemożliwe. Sądząc z wyglądu, mógł mieć najwyżej trzydzieści lat, co oznaczałoby, że kiedy Bourne tam mieszkał,

chłopak miał najwyżej pięć, sześć lat. W takim razie kim był i czego chciał? Pytania te nie dawały mu spokoju. Gwałtownie odstawił kubek. Kawa zaczynała wypalać mu dziurę w żołądku.

Niedługo potem wrócił do skradzionego samochodu, włączył radio, znalazł stację nadającą audycję o szczycie antyterrorystycznym, wysłuchał relacji z Reykjavíku, a potem krótkiego przeglądu miejscowych wiadomości. Na pierwszym miejscu podano wiadomość o zabójstwie Aleksa Conklina i Mo Panova, ale, co dziwne, nie uzupełniono jej o najświeższe doniesienia.

- Więcej o tym za chwilę, ale najpierw ważna informacja – powiedział spiker.

„...ale najpierw ważna informacja”. Gabinet z oknami wychodzącymi na Pola Elizejskie i na Łuk Triumfalny wspomnienie powróciło jak burza, momentalnie zacierając obraz restauracji i jej gości. Obity czekoladową skórą fotel, z którego właśnie wstał. W jego prawej ręce kryształowa szklanka, do połowy wypełniona bursztynowym płynem. Głos, głęboki i dźwięczny, melodyjny. Mówił, że załatwienie „tego wszystkiego” wymaga czasu. „Ale nie martw się, przyjacielu. To dla ciebie ważna informacja”.

Odwrócił się w duchu i wyteżył wzrok, żeby zobaczyć jego twarz, lecz zobaczył tylko nagą ścianę. Wspomnienie pierzchło, ulotniło się jak zapach whisky. Mijały minuty, a on wciąż siedział za kierownicą, gapiąc się posępnie w brudne okna restauracji.

W napadzie furii Chan chwycił telefon i zadzwonił do Spalki. Trochę to trwało i wymagało pewnego wysiłku, ale w końcu go połączyli.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - Spalko lekko przeciągał samo głoski i Chan domyślił się, że pił. O swoim zleceniodawcy wiedział dużo więcej, niż Spalko przypuszczał, jeśli w ogóle coś przypuszczał. Wiedział na przykład, że lubi dobre trunki, papierosy i kobiety - chociaż nie koniecznie w tej kolejności - że pod tym względem ma olbrzymi apetyt.

Gdyby teraz był choć w połowie tak pijany, jak na to wyglądało, Chan miałby nad nim pewną przewagę, co zdarzało się niezmiernie rzadko.

- Akta, które mi pan dał, są fałszywe albo niekompletne.

- Co cię skłoniło do tak pesymistycznego wniosku? - Głos Spalki momentalnie stwardniał, jak zmieniająca się w lód woda. Chan za późno uświadomił sobie, że mówi zbyt agresywnie. Spalko mógł być intelektualistą - może nawet wizjonerem, za którego się niewątpliwie uważał - ale zawsze reagował odruchowo, instynktownie. Dlatego momentalnie wyrwał się z alkoholowego zamroczenia i na agresję odpowiedział agresją. Miał wybuchowy temperament, co stało w sprzeczności z jego starannie opracowanym wizerunkiem publicznym. Z drugiej strony, pod słodkim jak sacharyna codziennym obliczem ukrywał tak dużo, że nie wiadomo było, jaki jest naprawdę.

- Nietypowe zachowanie Webba - odrzekł spokojnie Chan.

- Coś podobnego... - W głosie Spalki znowu zabrzmiała bełkotliwa nuta rozleniwienia. - Dlaczego „nietypowe”?

- Bo nie pasowało do zachowania profesora college'u.

- Zastanawiam się, dlaczego to takie ważne. Jeszcze go nie zabiłeś?

- Nie, jeszcze nie. - Siedząc w samochodzie, Chan obserwował autobus, który zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Z cichym westchnieniem otworzyły się drzwi i wysiedli pasażerowie: starzec, dwóch nastolatków i matka z małym synkiem.

- Widzę, że zmieniłeś plany, prawda?

- Wiedział pan, że najpierw zechcę się z nim pobawić.

- Oczywiście, pytanie tylko, jak długo?

Rozgrywali słowną partię szachów, ostrożnie, powoli, jednocześnie gorączkowo i Chan mógł się jedynie domyślać jej charakteru. O co chodziło z tym Webbem? Dlaczego Spalko po-

stanowił wrobić go w morderstwo Conklina i Panova? I w ogóle dlaczego kazał ich zabić? Chan nie miał wątpliwości, że to jego dzieło.

- Dopóki nie będę gotowy. Dopóki Webb nie zrozumie, kto na niego poluje.

Śledził wzrokiem matkę. Postawiła chłopczyka na chodniku i gdy ten zrobił kilka kroków, roześmiała się serdecznie. Chan odchylił do tyłu głowę i też się roześmiał, naśladując jej radosny odruch. Wzięła malca za rękę.

- Czyżbyś miał jakieś... wątpliwości?

W tym pytaniu Chan wychwycił lekkie napięcie, coś jakby cień niepewności, i doszedł do wniosku, że Spalko może być zupełnie trzeźwy. Zastanawiał się, czy nie spytać, dlaczego to, czy zabił już Webba, jest takie ważne, ale po namyśle zrezygnował, bojąc się, że pytanie to go zdradzi.

- Nie, żadnych - oparł.

- W głębi duszy jesteście tacy sami, Chan, ty i ja. Zapach śmierci rozszerza nam nozdrza.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, pogrążony w zadumie Chan zamknął kłapkę telefonu. Wystawił rękę na zewnątrz i przez rozchylone palce patrzył, jak kobieta idzie z synem ulicą. Robiła małe kroki, próbując dostosować ich długość do chwiejnych kroków malca.

Spalko kłamie, tyle wiedział na pewno. Tak samo jak on okłamywał jego. Na chwilę oczy zaszyły mu mgłą i znowu znalazł się w dżungli. Przez ponad rok mieszkał u wietnamskiego przemytnika broni, związany, zamknięty w budzie jak wściekły pies, bity i głodzony. Po trzeciej próbie ucieczki wiedział już, co zrobić, i szpadlem, którego używał do kopania latryn, rozbił głowę nieprzytomnego przemytnika na krwawą miazgę. Przez dziesięć dni żył, jak się dało, a potem przygarnął go amerykański misjonarz Richard Wick. Wykąpał go, dał mu jedzenie, ubranie i czyste łóżko. W zamian za to on musiał uczyć się angielskiego. Gdy już umiał czytać, misjonarz dał mu Biblię i kazał nauczyć się jej na pamięć. Po jakimś czasie Chan zrozumiał, że według Wicka był na dobrej drodze nie do zbawienia, tylko do ucywilizowania. Parę razy próbował wyjaśnić mu, na czym polega buddyzm, ale był zbyt młody i nie potrafił ująć w słowa rzeczy, których nauczone go we wczesnym dzieciństwie. Zresztą Wieka to nie interesowało. Nie interesowała go żadna religia, która nie uznawała Boga i Jezusa Zbawiciela.

Gwałtownie skupił wzrok. Matka z dzieckiem przechodziła przed restauracją z chromowaną fasadą i wielką neonową filiżanką na dachu, przez błyszczącą w słońcu samochodową szybę zobaczył człowieka, którego znał jako Davida Webba. Musiał oddać mu sprawiedliwość: uciekając z domu Conklina, Webb dał mu niezły wycisk. Wiedział, że ktoś ich obserwuje; widział mężczyznę na drodze biegnącej szczytem skalnego grzbietu. Zanim dotarł tam po ucieczce ze sprytnie zastawionej sieci, mężczyzna zdążył już odjechać, ale on przez silną lornetkę wypatrzył Webba i śledził go aż do szosy, do chwili, gdy ten złapał okazję. Obserwował go, wiedząc to, co od dawna wiedział Spalko: że Webb jest bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Ktoś taki jak on nie bał się wejść do restauracji i jako jedyny biały wśród czarnych zjeść tam śniadanie. Robił wrażenie samotnego, choć nie wiedzieć czemu Chan wyczuwał, że samotność jest mu obca. Przeniósł wzrok na matkę z dzieckiem. Doszedł go ich śmiech, nierzezywisty jak sen.

Do Lincoln Fine Tailors w Alexandrii przyjechał piątą po dziewiątej. Zakład wyglądał jak wszystkie inne prywatne zakłady na starówce, to znaczy miał kolonialną fasadę. Wszedł na ceglany chodnik i pchnął drzwi. Część zakładu dostępna dla klientów była podzielona na pół przez sięgającą do pasa ladę po lewej i stoły do krojenia materiału po prawej stronie. Maszyny do szycia turkotały parę kroków za ladą i gdy wszedł, siedzące przy nich trzy Latynoski nawet nie podniosły głów. Stojący między maszynami chudy mężczyzna w koszuli i rozpiętej kamizelce w paski patrzył na coś ze zmarszczonymi brwiami. Miał wysokie czoło, jasnobrązową grzywkę, obwisłe policzki, mętne oczy, okulary na czubku głowy i orli nos, którego grzbiet co chwilę ścisnął. Na otwierające się drzwi nie zwrócił uwagi, ale gdy Bourne podszedł do lady, spojrzał na niego wyczekująco i spytał:

- Czym mogę służyć?

- Pan Leonard Fine? Widziałem pańskie nazwisko na szyldzie.

- Tak, to ja.

- Przysyła mnie Alex.
Krawiec zamrugał.

- Kto?

- Alex Conklin - powtórzył Bourne. - Nazywam się Jason Bourne. - Rozejrzał się wokoło. Nikt na nich nie patrzył. Od ciągłego turkotu maszyn powietrze iskrzyło i musowało.
Fine powoli opuścił okulary na wąski grzbiet nosa. Przyglądał się Bourne'owi długo i w napięciu.

- Jestem jego przyjacielem - dodał Bourne, wyczuwając, że musi zachęcić go do rozmowy.

- Conklin? Nie mam tu nic dla żadnego Conklina.

- Bo nie zostawił tu chyba żadnego ubrania.
Fine znów ścisnął sobie nos.

- Powiada pan, że to pański przyjaciel?

- Od wielu lat.
Fine bez słowa otworzył drzwiczki w kontuarze.

- Porozmawiajmy u mnie - rzucił i weszli do brudnego korytarza, cuchnącego klejoneką i krochmalem.

W biurze, a raczej ciasnej pakamerze z dziurawym, porysowanym linoleum, z nagimi rurami biegnącymi od podłogi aż po sufit, zniszczonym metalowym biurkiem, fotelem obrotowym, dwiema tanimi metalowymi szafkami na akta i stertami kartonów pod ścianą, unosił się silny zapach pleśni. Za biurkiem było małe kwadratowe okno, zarośnięte brudem.

Fine otworzył szufladę.

- Napije się pan?

- Chyba trochę za wcześnie, nie sądzi pan?

- Taaa... - mruknął krawiec. - Ma pan rację. - Wyjął z szuflady pistolet i wycelował Bourne'owi w brzuch. - Ta kula pana nie zabije, ale Wykrwawi się pan na śmierć, żałując, że nie zdechl pan od razu.

- Nie ma powodu tak się ekscytować - odparł spokojnie Bourne. - Wprost przeciwnie. - Fine miał blisko osadzone oczy i wyglądał, jakby był zezowaty. - Conklin nie żyje i mówią, że to pan go zamordował. - Nieprawda.

- Wszyscy tak twierdzą. Zaprzeczać, zaprzeczać i jeszcze raz zaprzeczać. Jak to rządowcy. - Uśmiechnął się chytrze. - Niech pan siada, panie Webb, Bourne, czy jak się pan tam dzisiaj nazywa. - Pan pracuje w agencji?

- Bynajmniej. Jestem całkowicie niezależny. Jeśli Alex nic im nie powiedział, nikt od nich nie wie nawet, że istnieję. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Dlatego do mnie przyszedł. Bourne kiwnął głową. - Chciałbym, żeby pan mi o tym opowiedział.

- No jasne, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości! - Fine podniósł słuchawkę telefonu. - Kiedy wpadnie pan w łapy swoich koleżków, będzie pan zbyt zajęty, żeby myśleć o czym innym.

- Niech pan tego nie robi - rzucił ostro Bourne. Ręka ze słuchawką zawisała w powietrzu.

- Dlaczego? Niech pan da mi choć jeden powód. - Nie zabiłem Aleksa. Próbuję ustalić, kto to zrobił. - Zabił go pan. Czytałem wiadomości. Kiedy go zastrzelono, był pan w jego domu. Widział pan tam kogoś jeszcze? - Nie, ale kiedy przyjechałem, Alex i Mo Panov już nie żyli. - Gówno prawda. Ciekawe, dlaczego go pan zabił. Fine zmrużył oczy. - Pewnie przez doktora Schiffera. - Nie znam żadnego Schiffera. Krawiec roześmiał się ochryple.

- Akurat. Nie zna pan Schiffera i pewnie nie słyszał pan o AZPO. - O AZPO? Oczywiście, słyszałem. Agencja Zaawansowanych Projektów Obronnych. To tam pracuje ten Schiffer?

- Mam tego dość - mruknął zdegustowany Fine. Gdy przeniósł wzrok na tarczę telefonu, żeby wybrać numer, Bourne rzucił się na niego.

Dyrektor rozmawiał przez telefon z Jamiem Hullem. Do przestronnego narożnego gabinetu wpadały przez okno promienie słońca, malując na dywanie ogniste klejnoty. Lecz wspa-
niała gra kolorów nie robiła na Starym żadnego wrażenia. Wciąż był w parszywym nastroju i
posepnie patrzył na wiszące na ścianach zdjęcia. On z prezydentem w Gabinetcie Ovalnym,
on z zagranicznymi przywódcami w Paryżu, Bonn i w Dakarze, z artystami w Los Angeles i
Las Vegas, z ewangelicznymi kaznodziejami w Atlancie i Salt Lake City, a nawet, co absur-
dalne, z wiecznie uśmiechniętym dalajlamą w szafranowych szatach podczas jego wizyty w
Nowym Jorku. Zamiast poprawiać humor, fotografie jeszcze dobitniej uświadomiły mu, że la-
ta płyną; były jak ciężąca na ramionach zbroja.

- To prawdziwy koszmar, panie dyrektorze - mówił Hull. - Po pierwsze, praca z Rosjanami
i Arabami przypomina uganianie się za własnym ogonem. Przez pół dnia nie wiem, o czym, u
diabła, mówią, przez drugie pół nie ufam tłumaczom, naszym i ich, bo nie wiem, czy dokład-
nie tłumaczą.

- Trzeba było uczyć się języków, Jamie. Na nic nie zważaj i rób swoje. A jak chcesz, pode-
ślę ci innych tłumaczy.

- Naprawdę? Niby skąd pan ich weźmie? Przecież wykosiliśmy wszystkich arabistów.

Stary westchnął. Tak, to był problem. Niemal wszystkich znających arabski oficerów
wywiadu uznano za ludzi sympatyzujących z muzułmanami, bo ciągle zakrzykiwali jastrzębi,
zwolenników rozwiązań siłowych, próbując im wmówić, że większość islamistów kocha pokój.
Niech to powiedzą Izraelczykom.

- Pojutrze z Centrum Studiów Wywiadowczych przyjeżdża cała grupa
nowych. Natychmiast paru ci przysłę.

- Ale to nie wszystko.

Stary nachmurzył czoło, zły, że w głosie Hulla nie usłyszał wdzięczności.

- Nie? - warknął. A gdyby tak wyrzucić w cholerę wszystkie zdjęcia? - pomyślał. Czy po-
prawiliby to tę żalobną atmosferę?

- Nie chcę narzekać, ale robię, co można, żeby zorganizować ochronę w kraju, który nie
jest sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Nie udzielamy im pomocy, więc nie są od nas zależ-
ni. Powołuję się na prezydenta i jak reagują? Tępo się na mnie gapią. To cholernie utrudnia
mi pracę. Jestem obywatelem najpotężniejszego mocarstwa na świecie. O ochro-
nie wiem więcej niż wszyscy Islandczycy razem wzięci. Gdzie szacunek, jaki powinni...

Zabuczał interkom i Stary z satysfakcją kazał Hullovi zaczekać.

- Co jest? - warknął do mikrofonu.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie dyrektorze - zameldował oficer dyżurny - ale wła-
śnie odezwał się ktoś na specjalnej linii Alexandra Conklina.

- Co takiego?! Przecież on nie żyje. Na pewno?

- Tak, panie dyrektorze. Jeszcze jej nie zlikwidowaliśmy. - No i...?

- Słyszałem jakiś hałas, odgłosy szamotaniny, czyjś głos i nazwisko, coś jakby Bourne...

Stary wyprostował się. Zły nastrój przeszedł równie szybko, jak nadszedł.

- Bourne. To nazwisko słyszałeś, synu?

- Chyba tak. Ten sam głos powiedział jeszcze „Zabiję cię” albo coś w tym rodzaju.

- Skąd dzwoniło?

- Połączenie zostało przerwane, ale namierzyłem numer. Należy do zakładu krawieckie-
go Leonard Fine Tailors w Alexandrii. - Dobra robota, chłopcze! - Stary wstał. Lekko drżała
mu ręka, w której ścisnął słuchawkę. - Natychmiast wyślij tam dwa zespoły. Powiedz im, że
Bourne wyplłynął. Mają go zlikwidować, szybko i bez ostrzeżenia.

Fine nie zdążył oddać ani jednego strzału. Odebrawszy mu pistolet, Bourne pchnął go na brudną ścianę tak mocno, że spadł z niej kalendarz. Potem wcisnął widelki telefonu i przez chwilę nasłuchiwał, czy szwaczki nie usłyszały odgłosów krótkiej szamotaniny. - Już tu jadą - powiedział Fine. - Już po tobie. - Wątpię. - Bourne intensywnie myślał. - Dodzwonił się pan do centrali, a ci z centrali z nikim pana nie połączyli.

Fine uśmiechnął się szyderczo i pokręcił głową.

- Ta linia omija centralę. Telefon zadzwonił na biurku oficera dyżurnego w biurze dyrektora. Conklin kazał mi zapamiętać ten numer i dzwonić tam tylko w razie niebezpieczeństwa.

Bourne potrząsnął Fine'em tak mocno, że zadzwoniły mu zęby.

- Idiota! Coś ty zrobił?

- Spłaciłem dług Aleksowi.

- Mówiłem ci, że go nie zabiłem. - Bourne zamarł. Nagle przyszło mu coś do głowy i w ostatniej rozpaczliwej próbie przeciągnięcia Fine'a na swoją stronę i zdobycia czegoś, co powiedziałoby mu, co knuł Conklin i dlaczego

go zamordowano, dodał: - Udowodnię panu, że to on mnie przysłał.

- Akurat. Już za późno...

- Wiem o NX 20.

Fine znieruchomiał i zaszokowany wytrzeszczył oczy. Zwiotczała mu twarz.

- Nie - wychrypiał. - Nie, nie, nie!

- Powiedział mi. Alex mi powiedział. Dlatego mnie tu przysłał.

- Nikt by go do tego nie zmusił. Nikt! - Szok powoli mijał i do Fine'a zaczęło docierać, że popełnił straszliwy błąd.

Bourne kiwnął głową.

- Przychodzę jako przyjaciel. Znamy się z Alekssem od Wietnamu. Próbowałem to panu powiedzieć.

- Boże święty, dzwonił do mnie, gdy... gdy to się stało. - Fine przytknął rękę do czoła. - Słyszałem wystrzał!

Bourne chwycił go za kamizelkę.

- Weź się w garść, Leonardzie! Nie ma czasu na powtórkę. Krawiec spojrzał mu prosto w oczy. Zareagował na dźwięk swego imienia, jak większość ludzi.

- Tak. - Obliznął usta. Wyglądał jak ktoś budzący się ze snu. - Tak, rozumiem...

- Zaraz będą tu ci z agencji. Nie mogą mnie tu zastać.

- Tak, tak, oczywiście... - Zrozpaczony Fine potrząsnął głową. - Niech pan mnie puści, proszę... - Poprawił kamizelkę, ukląkł pod oknem i zdjął kaloryfer, za którym w ścianę wbudowano nowoczesny sejf. Pokręcił gałką, otworzył ciężkie drzwiczki i wyjął małą żółtą kopertę. Zamknął sejf, zamocował kaloryfer i podał kopertę Bourne'owi.

- Przesyłka dla Aleksa. Przyszła przedwczoraj wieczorem. Wczoraj rano Alex zadzwonił do mnie i spytał, czy już jest. Miał ją odebrać.

- Przesyłka od kogo?

Z głębi korytarza doszły ostre, rozkazujące głosy.

- Już są - powiedział Bourne.

- O Boże! - Ze ściągniętej twarzy Fine'a odpłynęła cała krew.

- Jest tu drugie wyjście?

Krawiec kiwnął głową i szybko wskazał mu drogę.

- Niech pan już idzie - szepnął. - Jakoś ich zatrzymam.

- Proszę wytrzeć twarz - rzucił Bourne.

Fine otarł zlane potem czoło i wyszedł do agentów, tymczasem Bourne pobiegł cicho brudnym korytarzem. Miał nadzieję, że krawiec wytrzyma, że agenci mu uwierzą, w przeciwnym razie byłby skończony. Wpadł do łazienki, dużo większej, niż się spodziewał. Po lewej stronie stary porcelanowy zlew, pod zlewem kilka puszek z farbą z przerdzewiałymi pokrywkami. Pod ścianą muszla klozetowa, obok muszli prysznic. Wszedł do kabiny, odszukał zamaskowane kafelkami wyjście, otworzył je, przecisnął się przez otwór i zamknął drzwiczki.

Podniósł rękę, pociągnął za starodawny łańcuszek do zapalania światła i gdy zapłonęła żarówka, stwierdził, że jest w wąskim przejściu, chyba już w sąsiednim budynku. Cuchnęło tam jak na wysypisku. Między toporne drewniane słupy powtykano czarne worki ze śmieciami, pewnie zamiast izolacji. Między workami przemykały szczury, nażarte gnijącymi resztkami wysypującego się na podłogę jedzenia.

W słabym świetle nagiej żarówki zobaczył metalowe drzwi wychodzące na zaułek za zakładem. Gdy ruszył w ich stronę, gwałtownie się otworzyły i wbiegło dwóch agentów z wyceLOWANYMI w niego pistoletami.

Rozdział 6

Dwie pierwsze kule świsnęły mu tuż nad głową, gdyż zdążył ukucnąć, błyskawicznie wstał i mocno kopnął w plastikowy worek, który trafił w nich i pękł na szwie. Zasypani śmierdzącymi odpadkami agenci cofnęli się, kaszląc, zasłaniając twarze i mrużąc łzawiące oczy.

Bourne roztrzaskał żarówkę i wąskie przejście pogrążyło się w ciemności. Zawrócił, pstryknął latarką, lecz w jej świetle zobaczył tylko nagą ścianę na drugim końcu korytarza. Gdzie ta kłapa? Przecież była tam kłapa! Jakim cudem...

Wtedy ją zobaczył i natychmiast zgasił latarkę. Agenci krzyczeli coś do siebie, próbowali odzyskać równowagę. Dobiegł do końca przejścia, ukląkł i wymacał metalowe kółko, które kilkanaście sekund wcześniej widział w mdłym świetle żarówki. Wsunął w nie zakrzywiony palec, pociągnął i kłapa się otworzyła. Uderzył go zapach stęchłego, wilgotnego powietrza.

Bez chwili wahania spuścił w dół nogi, natrafił na szczebel drabiny, zszedł niżej i zamknął kłapę. Doszedł go smród środka na karaluchy i ponownie zapaliwszy latarkę, zobaczył chropowatą cementową podłogę, usłaną ich ciałami jak poskręcanymi liśćmi. Poszperał w kartonach i skrzyniach, znalazł łom, podbiegł do drabiny i zablokował nim kłapę. Blokada ledwo trzymała - uchwyty były za luźne - ale nic lepszego nie mógł zorganizować. Stąpając z chrzęstem po martwych karaluchach, wiedział, że potrzebuje tylko jednego: czasu na znalezienie zsypu czy szybu dostawczego, które były w większości budynków komunalnych.

Tamci dwaj zaczęli gwałtownie szarpać kłapą. Wiedział, że łom nie wytrzyma, zaraz puści. Ale on dobiegł już do szybu, już był na krótkich schodach, które do niego prowadziły. Usłyszał głośny trzask i kłapa się otworzyła. Gdy agenci zeskoczyli z drabiny, zgasił latarkę.

Był w pułapce. Gdyby spróbował dźwignąć podwójną kłapę wmontowanych w strop drzwi, do środka wpadłoby światło i tamci zastrzeliliby go, zanim zdążyłby wyjść na chodnik. Dlatego zawrócił i po cichu zszedł na dół. Słyszał, jak kręcą się tam, szukając włącznika. Porozumiewali się półgłosem, krótkimi, urywanymi zdaniem, jak doświadczeni zawodowcy. Krok za krokiem poszedł przed siebie wśród walających się w piwnicy śmieci. On też szukał czegoś konkretnego.

Zapłonęło światło. Agenci już się rozdzielili i stali teraz naprzeciwko siebie.

- Ale chlew - mruknął jeden.
- Chuj z tym - odparł drugi. - Gdzie ten Bourne?

Z nijakimi, beznamiętnymi twarzami nie rzucali się w oczy. Jednakowe garnitury, jednakowe twarze - Bourne dobrze znał ludzi, jakich werbuje agencja. Wiedział, jak myślą i reagują. Chociaż dzieliła ich odległość kilku metrów, poruszali się jak bliźniacy. Zamiast zastanawiać się, gdzie jest, podzielili piwnicę na ćwiartki, które zamierzali metodycznie przeszukać. Nie mógł przed nimi uciec, ale mógł ich zaskoczyć.

Na jego widok zareagowałiby błyskawicznie. Na to właśnie liczył, dlatego szybko zajął odpowiednią pozycję, wchodząc do najbliższej skrzyni. Uderzył go silny, piekący zapach środków do dezynfekcji. Nie zważając na łzawiące oczy, pomacał wokół ręką. Wierzchem dłoni dotknął czegoś obłego i zacisnął na tym palce. Puszka. Musiała wystarczyć.

Słyszał tylko bicie swego serca i cichutkie skrobanie siedzącego na skrzyni szczura. Agenci skrupulatnie przeczesywali piwnicę. Bourne czekał, cierpliwie i w napięciu. Szczur, jego czujka, nagle ucichł. Któryś z agentów musiał być tuż-tuż.

Zapadła martwa cisza. Nagle poczuł leciutki podmuch powietrza i usłyszał szelest materiału tuż nad głową. Mocno pchnął wieko. Zaskoczony agent gwałtownie się cofnął, jego kolega błyskawicznie odwrócił głowę. Tego stojącego bliżej Bourne chwycił lewą ręką za koszulę i szarpnął. Agent odruchowo zaparł się nogami, a wówczas Bourne runął na niego całym

ciałem, przygniatając go z impetem do ściany. Agent przewrócił oczami, zwiotczał i nieprzytomny osunął się na podłogę. Na skrzyni zapiszczał szczur.

Drugi agent zrobił dwa kroki w ich stronę i uznawszy, że lepiej nie wdawać się w walkę wręcz, podniósł pistolet. Bourne rzucił w niego puszką, a gdy agent zrobił unik, dopadł go jednym skokiem i uderzył kantem dłoni w szyję. To wystarczyło.

Chwilę później wbiegł na betonowe schody i pchnął podwójną klapę zsypu. Błękitne niebo, świeże powietrze. Zamknął klapę i spokojnym, niespiesznym krokiem doszedł do Rosemont Avenue. Tam wmieszał się w tłum.

Kilkaset metrów dalej, upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, wszedł do restauracji. Usiadł przy stole i powiódł wzrokiem po twarzach gości, szukając czegoś, co rzucaloby się w oczy, udawanej nonszalancji czy ukradkowych spojrzeń. Zamówił tost z boczkiem, salatą i pomidorem oraz kawę, potem wstał i poszedł do toalety na końcu sali. Sprawdził, czy nikogo w niej nie ma, zamknął się w kabinie i otworzył kopertę od Fine'a.

W środku był bilet lotniczy do Budapesztu na nazwisko Conklina i klucz do pokoju w hotelu Dunabius Grand na Wyspie Świętej Małgorzaty. Zastanawiał się przez chwilę, po co Alex chciał tam lecieć i czy miało to coś wspólnego z jego śmiercią.

Wyjął z kieszeni jego telefon i wybrał numer. Budapeszt. Wiedział już mniej więcej, dokąd zmierza, i poczuł się lepiej. Deron odebrał po trzecim sygnale.

- Pokój, miłość i zrozumienie. Bourne parsknął śmiechem.

- To ja. Jason. - Deron witał rozmówców przeróżnymi hasłami, wybierając je na chybił trafił. Był artystą w swoim fachu, artystą fałszerzem; cóż, tak się przypadkiem złożyło. Zarabiał na życie kopiowaniem obrazów starych mistrzów. Kopie były tak wierne, tak ludzko podobne do oryginałów, że często trafiały na aukcje albo do muzeów. Czasami, ot, dla zabawy, podrabiał również dokumenty.

- Głośno o tobie - powiedział z lekkim brytyjskim akcentem. - A w tym, co mówią, porzmięwa nader złowieszczy ton.

- Coś ty, nie gadaj. - Otworzyły się drzwi i Bourne zamilkł. Stanął na muszli klozetowej i ostrożnie wyjrzał znad drzwi. Lekko utykając, do pisuaru szedł siwowłosy, brodaty mężczyzna w krótkiej zamszowej kurtce i czarnych spodniach. Niby nic takiego, mimo to Bourne poczuł się jak w potrzasku i musiał poskromić w sobie chęć natychmiastowej ucieczki.

- Ja pierdołę. Znowu ktoś siedzi ci na dupie? - Wulgaryzmy i przekleństwa w wykonaniu człowieka kulturalnego i wykształconego brzmiały bardzo ciekawie.

- Siedział, dopóki go nie zgubiłem.

Bourne wyszedł z toalety i wrócił na salę, lustrując wzrokiem każdą twarz. Na stole czekała kanapka, ale kawa zdążyła już wystygnąć. Poprosił kelnerkę, żeby podała mu nową, i gdy odeszła, ponownie przytknął telefon do ucha.

- Posłuchaj - rzucił cicho. - Potrzebuję tego co zwykle, paszportu i soczewek kontaktowych; receptę masz. I to szybko, na wczoraj.

- Narodowość?

- Pozostaniemy przy amerykańskiej.

- Jasne, kapuję. Nie będą się tego spodziewali.

- Powiedzmy. Aha, paszport na nazwisko Alexander Conklin. Deron cicho zagwizdał.

- Jak chcesz, twoja wola. Daj mi dwie godziny.

- A mam jakiś wybór?

Deron zachichotał, krótko i dziwnie, jak to on.

- Pewnie, mógłbyś odejść z pustymi rękami. Mam twoje zdjęcia. Które chcesz?

Bourne powiedział mu które.

- Na pewno? - spytał Deron. - Jesteś na nim prawie łysy, zupełnie niepodobny do sie-

bie.

- Przebiorę się i będę podobny. Agencja wciągnęła mnie na listę ludzi do skasowania.
- Pewnie jesteś na pierwszym miejscu. Gdzie się spotkamy? Bourne podał mu namiary.
- Dobra, posłuchaj. - Deronowi nagle spowaźniał głos. - Musiało ci być ciężko. Widziałeś ich, tak?

Bourne patrzył na talerz. Po co zamawiał kanapkę? Pomidory jak krwawa masa.

- Tak, obu. - Gdyby mógł cofnąć czas i ich ożywić! To by dopiero była sztuczka. Ale przeszłość pozostała przeszłością, z każdym dniem coraz bardziej odległą i zamgloną.

- To nie Butch Cassidy

Deron ciężko westchnął. Bourne nie odpowiedział.

- Ja też ich znałem.

- Wiem, to ja was sobie przedstawiłem. - Zamknął klapkę telefonu.

Siedział i myślał. Coś nie dawało mu spokoju. Gdy wychodził z toalety, w głowie rozdzwoniły mu się dzwonki alarmowe, ale rozmowa z Deronem trochę go rozproszyła i nie zwrócił na to uwagi. Dlaczego? Co to było? Jeszcze raz powiódł wzrokiem po sali, powoli i metodycznie. I nagle... Tak, to musiało być to: kulejący brodacze w zamszowej kurtce zniknął. Może już skończył jeść? Z drugiej strony, widząc go w toalecie, Bourne poczuł się bardzo nieswojo. Facet miał w sobie coś takiego, że...

Rzucił na stół pieniądze i ruszył w stronę drzwi. Dwa wychodzące na ulicę okna rozdzielala szeroka mahoniowa kolumna. Stanął za nią i wyjrzał. Najpierw przechodnie: każdy, kto szedł nienaturalnie powolnym krokiem, kto włóczył się bez celu, czytał gazetę, stał za długo przed wystawą sklepową po drugiej stronie ulicy, dyskretnie obserwując w oknie wejście do restauracji. Nie zauważył niczego podejrzanego, ale... W parkujących przy krawężniku samochodach siedziały trzy osoby, kobieta i dwaj mężczyźni. Nie widział ich twarzy. Inni mogli czekać w samochodach stojących z boku, poza zasięgiem jego wzroku.

Bez namysłu wyszedł na ulicę. Było już przedpołudnie i tłum trochę zgęstniał, co mu odpowiadało. Przez dwadzieścia minut obserwował najbliższą okolicę, sprawdzając drzwi, bramy, witryny sklepowe, przechodniów, pojazdy, okna i dachy. Upewniwszy się, że nie czekają tam ludzie z firmy, wszedł do sklepu monopolowego po drugiej stronie ulicy i poprosił o butelkę speyside, jednosłodowej whisky, ulubionego trunku Conklina. Gdy sprzedawca po nią poszedł, spojrzął w okno. Restauracja i samochody parkujące po lewej i prawej stronie drzwi. W samochodach nikogo. Jeden z mężczyzn, z wozu stojącego tuż przed drzwiami, wszedł do apteki. Ani nie kulał, ani nie miał brody.

Do spotkania z Deronem zostały mu dwie godziny i chciał je dobrze wykorzystać. Znowu powróciło wspomnienie, na wpół zamazana twarz z paryskiego gabinetu, głos, wszystko to, co pochłonięty ostatnimi wydarzeniami umysł zepchnął w najciemniejsze zakamarki. Według Mo Pa-nova stymulacja pamięci wymagała bodźca, w tym przypadku zapachu szkockiej. Miał nadzieję, że tym sposobem przypomni sobie, kim ten człowiek jest i dlaczego w ogóle o nim pomyślał. Dlatego że powąchał szklanekę po whisky w domu Aleksa? A może z zupełnie innego powodu?

Zapłacił kartą kredytową - uznał, że w monopolowym może, nikt jej tu raczej nie namierzy - i wyszedł. Minął samochód z kobietą w środku i małym dzieckiem na fotelu pasażera. Ponieważ firma nigdy nie zatrudniała dzieci jako obserwatorów, pozostał mu tylko mężczyzna w drugim samochodzie. Zawrócił i ruszył przed siebie, nie oglądając się przez ramię ani nie stosując żadnych technik mających na celu zgubienie ewentualnego obserwatora. Jednocześnie cały czas śledził wzrokiem wszystkie mijane po drodze samochody.

Dziesięć minut później wszedł do parku. Usiadł na żelaznej ławce i przez chwilę patrzył na gołębie, które nadlatywały i odlatywały, zataczając kręgi na błękitnym niebie. Sąsiednie ławki były prawie puste. Do parku wszedł starzec; miał papierową torbę z okruszkami, zmiętą

i pomarszczoną jak jego twarz. Gołębie chyba na niego czekały, bo natychmiast wylądowały i zaczęły krążyć wokół jego stóp, gruchając i opychając się poczęstunkiem.

Bourne otworzył butelkę. Elegancki, aromatyczny zapach... Momentalnie mignęła mu przed oczami twarz Aleksa, ściekająca na podłogę krew. Łagodnie, niemal z nabożną czcią odsunął obraz na bok i wypił maleńki łyk whisky, rozprowadzając ją językiem po podniebieniu, czując, jak paruje, jak pobudza ulotną pamięć. Widok na Pola Elizejskie. Kryształowa szklanka w ręku. Kolejny łyk - tu w parko r. i podniósł szklankę do ust tam, w Paryżu. Ten głos. Znowu ten egzaltowany głos. I gabinet. Musiał tam wrócić, musiał cofnąć się w czasie.

I wtedy po raz pierwszy ujrzał luksusowe wnętrze, kremowy sufit w jaskrawym blasku dnia, lśniące ciemnozielone ściany, obraz Raoula Dufy'ego, elegancki jeździec na koniu w Laszku Bulońskim. Dalej, powtarzał sobie w duchu. Dalej! Wzorzysty dywan, dwa wyściełane krzesła, ciężkie, błyszczące biurko w stylu Ludwika XIV, a za biurkiem uśmiechnięty przystojny mężczyzna o mądrych oczach, długim galijskim nosie i przedwcześnie posiwiiałych włosach. Jacques Robbinet, francuski minister kultury.

Tak! To jest to! Skąd go znał, jak zostali przyjaciółmi i w pewnym sensie współpracownikami, tego jeszcze nie wiedział, ule wiedział przynajmniej, że ma tam sojusznika, kogoś, na kogo mógł i może liczyć. Uradowany postawił butelkę pod ławkę - podarunek dla tego włóczęgi, który zauważył ją pierwszy - i dyskretnie się rozejrzył. Starzec zniknął, zniknęły też prawie wszystkie gołębie; zostało tylko kilku największych, z napuszczoną piersią, krążyły wokół, dziobiąc okruszki i broniąc swego terytorium. Na pobliskiej ławce całująca się paru; sprośnie pokrzykując, przebiegło obok nich trzech wyrostków z wielkim radiomagnetofonem. Zmysły miał wyostrzone jak nigdy dotąd. Coś było nie tak. Coś mu nie pasowało, tylko jeszcze nie wiedział co.

Zdawał sobie sprawę, że zbliża się pora spotkania z Deronem, że zaraz będzie musiał odejść, jednak instynkt mówił mu, że nie może, że najpierw musi sprawdzić, co to takiego. Kulawy brodac? Nie, tu go nie było, ale... Na ławce po przekątnej siedział mężczyzna ze złożonymi rękami i łokciami na kolanach. Obserwował młodego chłopca, któremu ojciec właśnie dał loda w wafelku. Bourne'a zainteresowało to, że był w krótkiej, zamszowej kurtce i czarnych spodniach. Włosy miał czarne, nie siwe, poza tym nie miał brody i sądząc po ustawieniu zgiętych nóg, na pewno nie kulał.

Jako mistrz kamuflażu, Bourne dobrze wiedział, że jedną z najlepszych metod zmylenia przeciwnika jest zmiana sposobu chodzenia, zwłaszcza jeśli ma się do czynienia z zawodowcem. Amator zauważyłby tylko to, co najbardziej rzuca się w oczy, kolor włosów i ubranie, ale sposób poruszania się i chodzenia jest dla wyszkolonego agenta tym, czym dla specy od daktyloskopii odciski palców. Spróbował przywołać obraz mężczyzny z toalety. Nosił perukę i sztuczną brodę? Możliwe, choć niekoniecznie. Ale na pewno miał na sobie zamszową kurtkę i czarne spodnie. Z tego miejsca nie widział jego twarzy, lecz było oczywiste, że mężczyzna jest dużo młodszy od kulawego z restauracji.

I miał w sobie coś jeszcze, tylko co? Bourne przyjrzał się jego profilowi i wreszcie na to wpadł. Przed oczami mignęła mu twarz człowieka, który zaskoczył go w lesie Conklina. Ten sam kształt uszu, taka sama małżowina.

Nagła myśl, straszna i dezorientująca: to człowiek, który do niego strzelał, który omal nie zabił go w jaskini! Jakim cudem go znalazł, skoro on, Bourne, zdołał umknąć wszystkim agentom i policjantom w okolicy? Przeszedł go zimny dreszcz. Chryste, kto to jest?

Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Doświadczenie podpowiadało mu, że aby sprawdzić umiejętności naprawdę groźnego przeciwnika, trzeba zrobić coś, czego ten najmniej się spodziewa. Mimo to zawahał się. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z kimś tak niebezpiecznym. Wpłynął na niezbadane wody.

Wstał, niespieszonym, lecz zdecydowanym krokiem podszedł do ławki i usiadł obok mężczyzny o - teraz widział to dokładnie - azjatyckich rysach twarzy. Musiał oddać mu sprawie-

dliwość: Azjata ani drgnął, niczym nie dał po sobie poznać, że jest zaskoczony. Cały czas obserwował chłopca z lodem. Lód zaczął się topić i ojciec pokazał synkowi, jak obrócić wafelek, żeby łatwiej było lizać.

- Kim jesteś? Dlaczego chcesz mnie zabić?

Mężczyzna wciąż patrzył przed siebie, jakby go nie usłyszał.

- Błoga rodzinna scenka. - Powiedział to z gniewną nutą w głosie. - Ciekawe, czy ten mały wie, że ojciec może go w każdej chwili porzucić.

Dziwny głos w tym otoczeniu. Bourne poczuł się tak, jakby z głębokiego cienia wychynął na zamieszkały świat.

- Żebyś nie wiem jak bardzo chciał mnie zabić, nie zrobisz tego tu, w parku.

- Ten chłopiec ma ile? Sześć lat? Jest za mały, żeby pojąć, czym jest życie. O wiele za młody, żeby zrozumieć, dlaczego ojciec może go zostawić.

Bourne pokręcił głową. Rozmowa wymykała mu się spod kontroli.

- Dlaczego tak myślisz? Dlaczego miałby go zostawiać?

- Ciekawe pytanie w ustach ojca dwojga dzieci. Jamiego i Alison, prawda?

Bourne wytrzeszczył oczy, jakby tamten wbił mu nóż w bok. Ogarnął go strach i gniew, ale to gniew wziął górę.

- Nie spytam, skąd tyle o mnie wiesz, ale powiem ci jedno: grożąc mojej rodzinie, popełniasz wielki błąd.

- Och, skąd te brzydkie myśli? Twoje dzieci mnie nie interesują. Zastanawiałem się tylko, jak poczuje się Jamie, kiedy nie wrócisz do domu.

- Nigdy nie zostawię syna. Zrobię wszystko, żeby do niego wrócić.

- Dziwne, że tak bardzo zależy ci na obecnej rodzinie, skoro zawiodłeś Dao, Joshuę i Alyssę.

Bourne zeszywniał. Teraz górę wziął w nim strach. Boleśnie waliło mu serce, w piersi czuł ostry ból.

- O czym ty mówisz? Co ci przyszło do głowy?

- Zostawiłeś ich na łasce losu, prawda? Bourne zaczynał tracić poczucie rzeczywistości.

- Jak śmiesz! Oni zginęli! Odebrano mi ich, ale nigdy o nich nie zapomniałem!

Kąciki ust tamtego lekko się uniosły, jakby uśmiechnął się triumfalnie, przeciągnąwszy Bourne'a na drugą stronę niewidzialnej bariery.

- Nawet kiedy ożeniłeś się z Marie? Nawet kiedy urodzili się Jamie i Alison? - Mówił teraz spiętym głosem, jakby coś w sobie tłumił. - Próbowaleś powielić Joshuę i Alyssę, zastąpić ich nowymi dziećmi. Nawet ich imiona zaczynają się na te same litery.

Jason czuł się jak po ciężkim nokaucie. Szumiało mu w uszach.

- Kim jesteś? - powtórzył chrapliwie.

- Mówią na mnie Chan. Ale kim jest pan, panie Webb? Profesor lingwistyki może czuć się dobrze w dziczy, ale na pewno nie umie walczyć wręcz. Nie umie też zrobić wietnamskiej siatki-pułapki ani kraść samochodów. Ale przede wszystkim nie umiałby ukryć się przed tymi z CIA.

- W takim razie wciąż niewiele o sobie wiemy.

Na ustach Azjaty błędził ten sam enigmatyczny uśmiezek. Bourne poczuł, że stają mu dęba włosy na karku, że coś próbuje wypłynąć na powierzchnię jego roztrzaskanej pamięci.

- Tak, wmawiaj to sobie - odparł jadownicę Chan. - Mógłbym cię zabić tu i teraz, w tym parku. - Uśmiech zniknął tak szybko, jak obłok zmienia kształt, i brązowa skóra jego szyi lekko zadrżała, jakby wyrzucił z siebie długo tłumiony gniew. - I powinienem cię zabić, ale gdybym to zrobił, namierzyłoby mnie dwóch agentów CIA, którzy właśnie weszli do parku północną bramą.

Nie obracając głowy, Jason spojrzał w tamtą stronę. Rzeczywiście. Dwóch mężczyzn w jednakowych garniturach przyglądało się twarzom spacerujących w pobliżu ludzi.

- Pora iść. - Azjata wstał. - Sprawa jest prosta: albo pójdziesz ze mną, albo cię zgarną.

Ramię w ramię wyszli z parku. Chan szedł między Bourne'em i agentami, i robił to celowo. Po raz kolejny zaimponował Bourne'owi doświadczeniem i umiejętnością myślenia w trudnych sytuacjach.

- Dlaczego to robisz? - Lekki wybuch gniewu Azjaty nie uszedł jego uwagi; był jak przytłumiony żar, tajemniczy i niepokojący.

Chan nie odpowiedział.

Wkrótce wmieszali się w tłum przechodniów na chodniku. Chan widział czterech agentów CIA, gdy wchodzili do zakładu krawieckiego Fine'a, i zapamiętał ich twarze. Nie miał z tym żadnych trudności; w dżungli, gdzie się wychował, natychmiastowa identyfikacja zagrożenia często oznaczała różnicę między życiem i śmiercią. Poza tym, w przeciwieństwie do Webba, wiedział, gdzie tamci są, i wypatrywał dwóch pozostałych, bo prowadził swoją ofiarę do ustronnego miejsca i nie chciał, żeby mu przeszkadzano.

Nic dziwnego, że szybko wyłowił ich z tłumu. Szli klasyczną formacją, po obu stronach ulicy, zmierzając prosto w ich stronę. Spojrzał na Webba, żeby go ostrzec, i stwierdził, że jest sam. Webb zniknął, rozplynął się jak dym.

Rozdział 7

Głęboko w trzewiach gmachu Humanistas Ltd. mieściła się supernowoczesna stacja nasłuchowa, monitorująca wymianę tajnych informacji największych sieci wywiadowczych świata. Ludzkie ucho nie było w stanie ani ich usłyszeć, ani zrozumieć, a tym bardziej analizować. Analiza zakodowanych sygnałów wymagała zastosowania wielu skomplikowanych programów komputerowych, opartych na heurystycznych algorytmach, dzięki którym programy te posiadały zdolność uczenia się. Dla każdej sieci opracowano indywidualny program, gdyż każda wykorzystywała inny system kodowania.

Ponieważ zespół zatrudnionych w Humanistas informatyków zdołał większość tych kodów złamać, Spalko wiedział, co dzieje się na świecie. Do złamania kodów należały między innymi szyfry stosowane przez CIA, dlatego już kilka godzin po wydaniu rozkazu zlikwidowania Bourne'a Spalko przeczytał o tym w wewnętrznym biuletynie.

- Znakomicie - powiedział. - Wszystko idzie zgodnie z planem. - Odłożył biuletyn i na ekranie monitora wyświetlił plan Nairobi. Wędrował wirtualnymi ulicami, aż znalazł się na przedmieściach, gdzie prezydent Jomo wyznaczył miejsce dla jego zespołu medycznego, który miał nadzorować kwarantannę chorych na AIDS.

Zadzwoił telefon. Spalko podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę i spojrzał na zegarek.

- Powinniśmy zdążyć rzucił. Dobra robota.

Wsiadł do windy i pojechał na górę, do gabinetu Ethana Hearn. Po drodze wykonał jeden telefon, w ciągu kilku minut załatwiając to, co niektórzy mieszkańcy Budapesztu na próżno próbowali załatwić przez wiele tygodni: zarezerwował bilet na wieczorny spektakl w Magyar Allami Operahaz.

Hearn, najnowszy nabytek Humanistas Ltd., pracował na komputerze, lecz natychmiast wstał. Zgodnie z przewidywaniami Spalki, wyglądał świeżo i schludnie.

- Po co ta służbistość, Ethan? To nie wojsko.
- Tak, panie dyrektorze. Dziękuję. - Hearn rozprostował plecy. - Siedzę tu od siódmej rano.
- Jak radzisz sobie z funduszami?
- Na początku przyszłego tygodnia jestem umówiony na kolację z dwoma potencjalnymi darczyńcami. Wysłałem panu e-mail z propozycją listu, który chcę im wręczyć.
- Dobrze, bardzo dobrze... - Spalko rozejrzał się po gabinecie, jakby sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. - Ethan, masz smoking?
- Oczywiście, panie dyrektorze. Bez smokingu nic mógłbym pracować.
- Świetnie, a więc idź do domu i włóż go.
- Nie rozumiem... - Zaskoczony Hearn zmarszczył brwi.
- Idziesz do opery.
- Dzisiaj? Jakim cudem załatwił pan bilet?
- Wiesz, lubię cię, Ethan - odrzekł ze śmiechem Spalko. - Założę się, że nie ma już ludzi tak szczerych i prostolinijnych jak ty.
- Są, panie dyrektorze, choćby pan.

Widząc, jak bardzo Hearn jest skonsternowany, Spalko roześmiał się ponownie.

- Tylko żartowałem - powiedział. - No, idź już. Szkoda czasu.
- Ale... Mam tu jeszcze sporo pracy. - Hearn wskazał komputer.
- Twoje wyjście do opery to też swego rodzaju praca. Będzie tam ktoś, kogo chciałbym zwerbować. - Spalko mówił swobodnie i z nonszalancją, dlatego Hearn niczego nie podejrzewał. - Ten ktoś nazywa się Laszko Molnar.

- Nigdy o nim nie słyszałem.
- Bo nie mogłeś. - Spalko zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Jest bardzo bogaty, ale nie chce, żeby ktoś się o tym dowiedział; ma na tym punkcie obsesję. Nie ma go na listach darczyńców, tego możesz być pewien, i jeśli zrobisz jakąkolwiek aluzję do jego bogactwa, możesz od razu zapomnieć, że z nim rozmawiałeś.
- Dobrze, oczywiście.
- Jest swego rodzaju koneserem, chociaż w dzisiejszych czasach to słowo niewiele znaczy.
- Tak, panie dyrektorze. - Hearn kiwnął głową. - Rozumiem.
- Spalko wiedział, że Hearn nic nie rozumie, bo po prostu nie może, i z lekkim żalem pomyślał, że kiedyś - wydawało się, że przed stu laty - on też był naiwny i łatwowierny.
- Molnar uwielbia operę. Od lat ma karnet na wszystkie spektakle.
- Umie postępować z trudnymi klientami. - Hearn wprawnym ruchem poprawił marynarkę. - Może pan na mnie liczyć.
- Wiem, Ethan - odrzekł z uśmiechem Spalko. - A więc posłuchaj. Kiedy już go urobisz, pójdziesz do Undergroundu. Znasz ten klub?
- Oczywiście. Tylko że będzie już późno, na pewno po północy. Spalko przytknął palec do ust.
- Kolejna tajemnica: Molnar to nocny marek. Powie, że nie chce, że nie pójdzie, bo lubi, jak się go prosi. Nie możesz mu odpuścić. Rozumiesz?
- Doskonale.
- Spalko podał mu karteczkę.
- Numer jego miejsca. Idź i baw się dobrze. - Pchnął go lekko w stronę drzwi. - Powodzenia.

Imponująca fasada gmachu Magyar Allami Operahaz, Węgierskiej Opery Narodowej, tonęła w blasku reflektorów, a wysoką na trzy piętra salę widowiskową, całą w złocie i czerwieni, przesywały tysiące świetlistych strzał z kryształowego żyrandola, zwisającego z ozdobionego freskami kopulastego sufitu jak gigantyczny dzwon.

Tego wieczoru wystawiano Hary Janosa Zoltana Kodalya, jedną z popularnych oper narodowych, którą grano tu od 1926 roku. Ethan Hearn wszedł do wielkiego marmurowego foyer, gdzie rozbrzmiewały gwar głosów śmietanki towarzyskiej Budapesztu. Miał na sobie dobrze skrojony smoking z doskonalej wełny czesankowej, lecz nie był to strój znanej marki. To, jak się ubierał i w co, było w jego zawodzie niezmiernie ważne. Skłaniał się ku ubraniom eleganckim i stonowanym, nigdy nie nosił rzeczy krzykliwych czy zbyt kosztownych. Gdy prosiło się kogoś o darowiznę, najistotniejsza była skromność i pokora.

Nie chciał się spóźnić, mimo to zwolnił kroku, nie chciał też bowiem przegapić tej elektryzującej chwili tuż przed podniesieniem kurtyny. Serce waliło mu wtedy jak młotem.

Przez długi czas pracowicie poznawał zainteresowania budapeszteńskiej socjety i uważał się za miłośnika opery. Lubił Hary Janosa i ze względu na węgierską muzykę ludową, i ze względu na libretto, opowieść starego wiarusa Janosa o tym, jak uratował córkę cesarza, awansował na generała i w pojedynkę pokonał Napoleona, by w końcu zdobyć serce wybranki. Była to słodka naiwna bajka na motywach krwawej historii Węgier.

Przyszedł późno, lecz okazało się, że tak jest lepiej, gdyż dzięki numerowi miejsca z karteczki dyrektora mógł zidentyfikować interesujący go obiekt. Podobnie jak większość widzów, Laszlo Molnar siedział już na sali. Był mężczyzną w średnim wieku i średniego wzrostu, o nieco wystającym brzuchu, głowie w kształcie grzyba i gładko zaczesanych do góry czarnych włosach. Z uszu sterczały mu szczeciniaste włosy; porastały mu również dłonie o krótkich, grubych palcach. Nie zwracał uwagi na siedzącą obok kobietę, która stanowczo za głośno rozmawiała z towarzyszącą jej koleżanką. Fotel po prawej stronie był wolny: Molnar przy-

szedł sam. Tym lepiej, pomyślał Hearn, siadając w środkowym rzędzie. Chwilę później zgasty światła, zagrała orkiestra i kurtyna poszła w górę.

Podczas przerwy kupił filiżankę czekolady i wmieszał się w elegancki tłum. Oto jak przebiega ewolucja ludzi. W przeciwieństwie do świata zwierząt, samica w świecie ludzi była barwniejsza niż samiec. Kobiety miały na sobie długie suknie z szantungu, weneckiej mory i marokańskiego atlasu, które ledwie miesiąc wcześniej demonstrowano na wybiegach w Paryżu, Mediolanie i Nowym Jorku. Ubrani w smokingi mężczyźni zadowalali się krążeniem wokół zbitych w grupki towarzyszek i donoszeniem im szampana czy czekolady, jeśli wyraziły taką chęć. Poza tym robili wrażenie straszliwie znudzonych.

Pierwsza połowa opery bardzo się Hearnowi podobała i nie mógł się już doczekać finału. Nie zapomniał jednak o swojej misji i podczas przedstawienia zastanawiał się, jak podejść Molnara. Nie lubił tego planować i sposób podejścia opracowywał zwykle na miejscu, w zależności od wizualnej oceny potencjalnego darczyńcy. Miał dobre oko i dużo potrafił ustalić. Czy obiekt dba o swój wygląd? Czy lubi jeść, czy też nie? Czy pije lub pali? Czy jest człowiekiem kulturalnym, czy nieokrzesany? Zawsze uwzględniał te i wiele innych czynników.

Dlatego zagadał go z całkowitym przekonaniem, że nie odejdzie z kwitkiem.

- Bardzo pana przepraszam - zaczął skromnie. - Jestem miłośnikiem opery i zastanawiałem się właśnie, czy pan też.

Molnar był w smokingu od Armaniego, który podkreślał jego szerokie ramiona i wyszczupłał w pasie. Z bliska uszy miał jeszcze większe i bardziej włochate niż z daleka.

- Opera to moja pasja - odparł powoli i - co natychmiast wychwycił wyostrzony słuch Hearna - nieufnie.

Ethan uśmiechnął się czarująco, spojrzał mu prosto w oczy i Molnar jakby się uspokoił.

- Szczerze mówiąc - ciągnął - całkowicie mnie pochłania.

Idealnie pasuje do tego, co mówił o nim Spalko, pomyślał Ethan.

- Mam karnet - rzucił swobodnie. - Bywam tu od kilku lat i zauważyłem, że pan też ma wykupione miejsce. - Roześmiał się cicho. - Niezbyt często mam okazję spotkać prawdziwych wielbicieli opery. Moja żona woli jazz.

- Moja kochała operę.

- Jest pan rozwiedziony?

- Nie, jestem wdowcem.

- Bardzo mi przykro.

- Żona zmarła już jakiś czas temu. - Zdradziwszy ten intymny sekret, Molnar stał się nieco serdeczniejszy. - Ogromnie mi jej brak, dlatego postanowiłem zatrzymać jej miejsce.

Hearn wyciągnął rękę.

- Ethan Hearn.

Z lekkim wahaniem Molnar chwycił ją swoją włochatą łapą.

- Laszłó Molnar. Bardzo mi miło pana poznać. Hearn uprzejmie skłonił głowę.

- Napije się pan ze mną czekolady?

- Dziękuję, z przyjemnością. - Zaproszenie wyraźnie przypadło Molnarowi do gustu.

Idąc przez tłum, rzucali tytułami ulubionych oper i nazwiskami ulubionych kompozytorów. Węgier zaczął pierwszy i oczywiście okazało się, że Hearn przepada za tym samym co on - Molnar był z tego bardzo zadowolony. Tak jak zauważył Spalko, Hearn był człowiekiem szczerym i otwartym, czego nie mogło nie dostrzec nawet najbardziej cyniczne oko. Po prostu umiał zachowywać się naturalnie nawet w najbardziej fałszywych sytuacjach i właśnie ta szczerowość sprawiła, że Molnar przestał się mieć na baczności. - Podoba się panu przedstawienie? - spytał, gdy pili czekoladę.

Bardzo - odparł Hearn. - Ale ta opera jest tak przepojona uczuciami, że podobałoby mi się jeszcze bardziej, gdybym widział wyraz twarzy głównych bohaterów. To smutne, ale kiedy wykupywałem miejsce, nie mogłem pozwolić sobie na lepsze, bliżej sceny.

Węgier długo milczał i Ethan zaczynał się już bać, że nie chwyci przynety. Nagle, jakby po namyśle, powiedział:

- Może zechce pan usiąść obok mnie, na miejscu mojej żony?
- Jeszcze raz- powiedział Hasan Arsienow. - Musimy przeciwiczyć każdy najdrobniejszy fragment ciągu wydarzeń, które doprowadzą nas do wolności.
- Przecież znam je tak dobrze jak twoją twarz - zaprotestowała Zina.
- Na tyle dobrze, żeby przejść całą trasę z zawiązanymi oczami?
- Nie bądź śmieszny - prychnęła drwiąco.
- Po islandzku, Zina. Teraz mówimy tylko po islandzku.

Na dużym biurku w ich pokoju leżały plany hotelu Oskjuhlid w Reykjaviku. W zapraszającym świetle lampki nocnej widać było każdy szczegół każdego pietra, od fundamentów, systemu kanalizacyjnego i klimatyzacyjnego poczynając, na dokładnym rozkładzie pokojów i rozstawieniu ochroniarzy kończąc. Na wszystkich szkicach widniały starannie wypisane wskazówki, strzałki kierunkowe i uwagi dotyczące elementów systemu ochrony wniesione przez państwa biorące udział w szczycie antyterrorystycznym. Wywiad Spalki działał nienagannie.

- Od chwili przedarcia się przez hotelowy system bezpieczeństwa- mówił Arsienow - zostanie nam bardzo mało czasu na osiągnięcie celu. Niestety, nie wiemy dokładnie ile czasu i będziemy mogli to sprawdzić dopiero podczas próby na miejscu. Dlatego absolutnie najważniejsze jest zdecydowanie i bezbłądność. Nie możemy pomylić ani jednego skrętu!

Wziął szarfę, zaprowadził Zinę na koniec pokoju i mocno zawiązał jej oczy.

- Weszliśmy do hotelu. - Puścił jej rękę. - Przejdź całą trasę. Będę mierzył czas. Ruszaj!

Dwie trzecie drogi pokonała bez najmniejszego błędu, ale potem, na skrzyżowaniu dwóch korytarzy, skręciła w lewo zamiast w prawo.

- Już po tobie - warknął i gwałtownym ruchem zdjął szarfę. - Nawet gdybyś zawróciła, nie zdążyłabyś na czas. Ochroniarze, Amerykanie, Rosjanie i Arabowie, dopadliby cię i zastrzelili.

Zina trzęsła się ze złości na siebie i na niego.

- Znam tę minę, Zino - powiedział. - Zapomnij o gniewie. Emocje utrudniają koncentrację, a teraz musisz być maksymalnie skoncentrowana. Skończymy dopiero wtedy, kiedy przejdziesz całą trasę z zawiązanymi oczami.

Godzinę później, wykonawszy zadanie, Zina powiedziała:

- Chodź, połóż się, miły.

Arsienow, ubrany teraz w czarną muślinową szatę z pasem, pokręcił głową. Stał przed wielkim oknem wychodzącym na ciemny Dunaj, w którym skrzyły się światła Budapesztu.

Zina roześmiała się gardłowo.

- Hasan, dotknij tego. - Leżała naga na kanapie i przesuwiała po prześcieradle dłońmi z długimi, szeroko rozchylonymi palcami. - Czysta egipska bawełna, jaka cudowna...

Arsienow odwrócił się na pięcie. Pociemniała mu twarz.

- I właśnie o to chodzi. - Wskazał na wpół pustą butelkę na stoliku nocnym. - Koniak, gładkie prześcieradła i kanapa. Nie dla nas te luksusy.

Zina szeroko otworzyła oczy i wydeła wargi.

- Ale dlaczego?
- Czy to, czego przed chwilą cię nauczyłem, wleciało ci do głowy jednym uchem i wyleciało drugim? Dlatego że jesteśmy bojownikami i wyrzekliśmy się wszystkich dóbr doczesnych.
- Czy wyrzekłeś się broni, Hasanie? Potrząsnął głową. Oczy miał harde i zimne.
- Nasza broń ma swoje przeznaczenie.
- Te gładkie, mięciutkie rzeczy też. Dają mi szczęście. Arsienow mruknął gardłowo z dezaprobatą.

- Nie chcę ich mieć na własność, Hasanie - dodała Zina. - Chcę się tylko nimi nacieszyć, chociaż przez dwie noce. - Wyciągnęła do niego rękę. - Nie możesz choć na chwilę zapomnieć o swoich zasadach? Ciężko dzisiaj pracowaliśmy, zasługujemy na krótki odpoczynek.

- Mów za siebie - uciął. - Ja nie dam się skusić luksusom. Brzydzi mnie i oburza, że ty im uległaś.

- Nie wierzę, że wzbudzam w tobie obrzydzenie. - W ciemnych oczach Hasana dostrzegła coś w rodzaju samowyrzeczenia, które mylnie wzięła za przejaw jego ascetycznego charakteru. - No dobrze. Jeśli tylko do mnie przyjdiesz, rozbiję butelkę po koniaku i zaścielę łóżko szkłem.

- Mówiłem ci, Zino - odparł ponuro. - Z tych spraw się nie żartuje. Usiadła i na kolanach podeszła bliżej. Jej piersi zakołysały się zmysłowo w złotawym świetle lampki.

- Mówię zupełnie poważnie. Jeśli chcesz kochać się ze mną na łożu boleści, czyż śmiałabym ci się sprzeciwić?

Długo patrzył na nią bez słowa. Nie przyszło mu nawet do głowy, że może z niego szydzić.

- Czy ty nic nie rozumiesz? - Zrobił krok w jej stronę. - Obraliśmy drogę. Jest nią Tariquat, duchowa droga do Allaha.

- Nie rozpraszaaj mnie, Hasanie. Wciąż myślę o twojej broni. - Chwyciła go za szatę i przyciągnęła bliżej. Jej druga ręka delikatnie musnęła bandaż na udzie, w które go postrzelono. Musnęła i powędrowała wyżej.

Kochali się dziko i gwałtownie, jakby walczyli ze sobą. Wynikało to zarówno z potrzeby fizycznej, jak i z tego, że wzajemnie pragnęli sprawić sobie ból. Sądząc po tych zapasach, głębszych jękach i uwieńczonych zaspokojeniem ruchach, miłość nie odgrywała w tym akcie żadnej roli. Arsienow wolałby kochać się na łożu zasłanym szkłem, tak jak zażartowała Zina, dlatego gdy go objęła, szarpnął się do góry, a wtedy ona przytrzymała go i rozorała mu paznokciami plecy. Był tak gwałtowny, że ją ugryzł, więc odsłoniwszy zęby, ona ugryzła jego, w potężnie umięśnione ramię, w rękę i pierś. Dopiero gdy dotarli do granicy bólu i rozkoszy, Arsienow wyrwał się z tego dziwnego, przypominającego halucynację stanu.

Uważał, że za to, co zrobił Chalidowi Muratowi, swemu towarzyszkowi i przyjacielowi, powinna spotkać go kara. To nic, że zrobił to po to, by jego naród mógł przetrwać i rozkwitnąć. Ileż razy powtarzał sobie, że Chalida Murata trzeba było poświęcić na ołtarzu przyszłości Czeczenii? Mimo to, niczym grzesznika i wyrzutka, dręczyły go wątpliwości i strach, odczuwał też silną potrzebę kary. A teraz, w chwili półśmierci, jakim jest fizyczne spełnienie, pomyślał: Czyż nie jest tak ze wszystkimi prorokami? Czyż te tortury nie są kolejnym dowodem, że obrana przeze mnie droga jest słuszna?

Zina leżała w jego ramionach. Była daleko, bardzo daleko, lecz jej głowę też wypełniały myśli proroków. Konkretnie rzecz biorąc, jednego proroka. Ten współczesny prorok zdominował jej duszę, odkąd wciągnęła Hasana do łóżka. Była wściekła, że Hasan nie potrafi rozkoszować się otaczającym ich luksusem, dlatego nie o nim myślała, kiedy ją obejmował, a gdy w nią wszedł, wyobraziła sobie, że wszedł w nią Stiepan Spalko, za którym wodziła oczami. A gdy w momencie spełnienia zagryzła) wargi, zagryzła je nie z rozkoszy, jak myślał Hasan, tylko ze strachu, że może wykrzyknąć jego imię. Bardzo chciała to zrobić, choćby tylko po to, żeby dopieć do żywego Hasanowi, który - nie miała co do tego żadnych wątpliwości - bardzo ją kochał. Miłość ta była niema, nieświadoma i infantylna jak niemowlę wyciągające rączki do matczynej piersi. On szukał w niej ciepła, schronienia i szybkiego powrotu do łona. Na myśl o takiej miłości cierpła jej skóra.

Tymczasem ona pragnęła...

Hasan poruszył się, westchnął i myśli pierzchły. Sądziła, że zasnął, tymczasem on nie spał albo coś go obudziło. Musiała zaspokoić jego zachcianki, nie miała czasu na myślenie. Poczula jego męski zapach, który ogarnął ją jak mgła przed świtaniem. Oddychał trochę szybciej.

- Myślałem, co to znaczy być prorokiem - szepnął. - I czy pewnego dnia mój lud tak mnie nazwie.

Zina nie odpowiedziała, wiedząc, że Hasan chce, by milczała i tylko go wysłuchała. Znowu musiał utwierdzić się w przekonaniu, że wybrał dobrą drogę - była to jego słabość, o której nikt nie wiedział i którą znała jedynie ona. Zastanawiała się, czy nie podejrzewał go o nią przebiegły Murat. I była niemal pewna, że wyczuwają Spalko.

- Koran mówi, że każdy prorok jest ucieleśnieniem boskiej cechy - mówił Arsienow. - Mojżesz jest objawieniem najwyższego aspektu rzeczywistości, ponieważ rozmawiał z Bogiem bez pośrednika. W Koranie Pan mówi do niego tak: „Nie obawiaj się! Ty będziesz tym, który weźmie górę!” Jezus jest objawieniem proroctwa jako takiego. Jako małe dziecko zawołał: „Bóg dał mi Księgę i wyniósł mnie między proroki”. Ale Mahomet jest duchowym wcieleniem i objawieniem wszystkich imion Bożych. Sam powiedział: „Najpierw Pan stworzył moje światło. Byłem prorokiem, kiedy Adam wędrował jeszcze między wodą i ziemią”.

Zina odliczyła kilka uderzeń serca, żeby się upewnić, czy skończył perorować. Potem, z ręką na jego powoli podnoszącej się i opadającej piersi, zadała mu pytanie, na które czekał:

- A jaka jest twoja boska cecha, mój proroku?

Arsienow odwrócił głowę. Twarz Ziny tonęła w cieniu, lecz w blasku stojącej na stoliku lampki zobaczył świetlisty zarys jej policzka, długą malarską kreskę, i wówczas przyszła mu do głowy myśl, którą zawsze od siebie odpędzał. Nie wiedział, co zrobiłby bez jej siły i żywotności. Jej łono było dla niego symbolem nieśmiertelności, świętym miejscem, które zrodzi jego synów, dając początek wiecznemu rodowi. Jednak zdawał sobie sprawę, że bez pomocy Spalki marzenie to nigdy się nie spełni.

- Zino, gdybyś tylko wiedziała, co Spalko dla nas robi, kim pomoże nam się stać.

Położyła mu głowę na ramieniu.

- Powiedz.

W kącikach jego ust błędził lekki cień uśmiechu. Popęłniłbym błąd. Dlaczego?

Dlatego że nie chcę cię uprzedzać. Musisz sama zobaczyć zniszczenie, jakiego dokonała ta broń.

Patrząc mu w oczy, poczuła, że przesywa ją potężny dreszcz sięgający samego serca, gdzie rzadko śmiała zajrzeć. Może przeczuwała już następstwa straszliwego kataklizmu, jaki miał rozpętać się w Nairobi za j trzy dni. Lecz umiejętność jasnowidzenia, którą Bóg obdarza czasem kochanków, podszeptała jej, że Hasana najbardziej ciekawi strach, jaki ten rodzaj śmierci wywoła. Było oczywiste, że właśnie strachem zamierza władać. Lękiem przed mieczem sprawiedliwości, dzięki któremu Czeczeni odzyskają wszystko to, co stracili przez stulecia krzywd, wysiedleń i rozlewu krwi.

Strach znała już od dzieciństwa. Jej ojciec, osłabiony i umierający z rozpaczyc szalejącej w Czeczenii niczym zaraza, który jak na prawdziwego mężczyznę przystało utrzymywał kiedyś całą rodzinę, ze strachu nie wychodził teraz nawet na ulicę, obawiając się, że dopadną go Rosjanie. Jej matka, kiedyś piękna i młoda, w ostatnich latach życia wyglądała jak stara wiedźma o zapadniętych policzkach, przerzedzonych włosach, złym wzroku i szwankującej pamięci. Gdy po całym dniu grzebania w śmietnikach wracała do domu, musiała iść trzy kilometry do najbliższej studni, stać przez parę godzin w kolejce, a potem dźwigać pełne wiadro z powrotem i wnosić je na piąte piętro do ich brudnego pokoiku.

Ta woda! Nawet teraz Zina budziła się czasem, dławiąc się od obrzydliwego smaku terpentyny w ustach.

Pewnego wieczoru matka usiadła i już nie wstała. Miała wówczas dwadzieścia osiem lat, ale wyglądała dwa razy starzej. Od dymu z podsycanych ropą pożarów płuca miała pełne sadzy. Gdy młodszy brat Ziny poskarżył się na pragnienie, staruszka podniosła głowę i powiedziała:

- Nie mogę wstać. Nie mogę wyjść, nawet po wodę. Nie daję już rady...

Zina przewróciła się na bok i zgasiła lampkę. Okno wypełnił niewidoczny dotąd księżyc. Na wąskiej talii, tuż pod szczytem krągłej piersi, gdzie spoczywała ręka Hasana, wykwitła mała plama zimnego światła. Za brzegami plamy był tylko czarny mrok.

Długo leżała z otwartymi oczami, wsłuchując się w regularny oddech kochanka i czekając na sen. Strach. Czy ktoś znał go lepiej niż Czeczeni? Twarz Hasana była księgą bolesnej historii ich ludu. Nieważna śmierć, nieważne zniszczenie - cel był jeden: zemsta i rehabilitacja Czeczenii. Z ciężkim z rozpaczy sercem wiedziała, że muszą skupić na sobie uwagę świata. Istniał na to tylko jeden sposób. Hasan miał rację: śmierć musi nadejść jak coś potwornego, niewyobrażalnego. Lecz jaką cenę będą musieli za to zapłacić, tego przewidzieć nie umiała.

Rozdział 8

Jacques Robbinet lubił spędzać poranki z żoną, pijąc cafe au lait, czytając gazety i rozmawiając z nią o gospodarce, dzieciach i przyjaciółach. Nigdy nie rozmawiali o jego pracy.

Nigdy też nie przychodził do biura przed południem - przestrzegał tego jak surowej zasady. Gdy już przyszedł, przez godzinę przeglądał dokumenty i międzywydziałowe okólniki, w razie konieczności odpowiadał na e-maile. Telefony odbierała sekretarka, która łączyła go tylko wtedy, gdy uznawała sprawę za naprawdę ważną. Sporządzała też listy dzwoniących i przyjmowała wiadomości. Wszystko, co robiła dla Robbineta, robiła wzorowo. Szef dobrze ją wyszkolił, poza tym miała bezbłędny instynkt.

Jej najważniejszą cechą była dyskrecja. Oznaczało to, że Robbinet mógł jej powiedzieć, gdzie tego dnia je lunch ze swoją kochanką, a jadał go zwykle u niej albo w bistrze w czwartej dzielnicy. Rzecz niezmiernie ważna, bo ich lunche trwały bardzo długo, nawet jak na francuskie zwyczaje. Rzadko wracał do biura przed czwartą, z drugiej jednak strony często przesiadywał tam do pierwszej, drugiej w nocy, wymieniając informacje ze swoim odpowiednikiem w Stanach. Dzierżył tekę ministra kultury, lecz w rzeczywistości był szpiegiem postawionym tak wysoko, że odpowiadał jedynie przed prezydentem Francji.

Tego wieczoru wyszedł dopiero na kolację - dzień był tak gorączkowy i męczący, że musiał przełożyć schadzki na późniejszą godzinę. W południe wstrząsnęła nim pewna wiadomość. Amerykańscy przyjaciele zawiadomili go o międzynarodowej obławie na człowieka, którego nazwisko zmroziło mu krew w żyłach. Jason Bourne.

Poznał go przed kilku laty, żeby było zabawniej, w hotelu zdrojowym pod Paryżem, dokąd wyjechał na weekend, żeby spotkać się ze swoją ówczesną kochanką, drobnutką ślicznotką o nienasyconym apetycie; była baletnicą i wciąż z lubością wspominał jej cudownie giętkie ciało. Tak czy inaczej, poznali się w łaźni. Wszczęli rozmowę i po jakimś czasie Robbinet z głębokim niepokojem odkrył, że Bourne przyjechał tam w poszukiwaniu podwójnego agenta, a raczej agentki. Wytropił ją i zabił, w czarne gdy on siedział akurat w wannie pełnej - o ile nie myliła go pamięć - zielonego błota. Dobrze się stało, ponieważ udająca terapeutkę agentka miała zabić jego, a czyż jest się gdzieś bardziej bezbronny niż na stole do masażu? W podziękę mógł tylko zaprosić Bourne'a na wspólną kolację. Tamtego wieczoru, przy foie gras, cielejących nerczkach w sosie musztardowym, tarte Tatin i trzech butelkach najprzedniejszego bordeaux wyjawili sobie swoje sekrety i zostali przyjaciółmi.

To właśnie Bourne poznał go z Alexandrem Conklinem i to właśnie Conklin zaproponował mu współpracę, dzięki której Amerykanie wiedzieli niemal wszystko o tajnych operacjach Interpolu i Quai d'Orsay.

Jason Bourne miał szczęście, że Robbinet bezgranicznie ufał swojej sekretarce, w przeciwnym razie ta nie zadzwoniłaby do szefa, gdy wraz z Delphiną siedzieli w Chez Georges przy kawie i rozpustnie dekadentckim millefeuille. Lubił tę restaurację zarówno dlatego, że serwowano tam pyszne jedzenie, jak i z powodu lokalizacji. Mieściła się naprzeciwko Bourse, francuskiego odpowiednika nowojorskiej giełdy, i bywali tam niemal wyłącznie brokerzy oraz biznesmeni, ludzie o wiele dyskretniejsi niż rozplotkowani politycy, z którymi musiał się od czasu do czasu zadawać.

- Ktoś czeka na linii, panie ministrze - powiedziała sekretarka; na szczęście monitorowała jego telefony z domu, nawet te po godzinach pracy. - Mówi, że to pilne.

Robbinet uśmiechnął się do Delphiny. Kochanka była elegancką, dojrzałą kobietą, całkowitym przeciwieństwem jego żony, z którą spędził trzydzieści lat życia. Właśnie prowadzili rozkoszną rozmowę o Aristidzie Maillocie, którego zmysłowe rzeźby zdobiły Ogrody Tuileries,

oraz o Julesie Massenecie i jego Manon, operze, ich zdaniem, bardzo przereklamowanej. Za nic nie potrafił zrozumieć obsesji Amerykanów na punkcie nastoletnich dziewcząt. Myśl, że można pójść do łóżka z kobietą w wieku jego córki, napawała go przerażeniem, nie wspominając już o tym, że nie widział w tym żadnego sensu. O czym, u licha, rozmawialiby przy kawie i millefeuille?

- Przedstawił się? - spytał.

- Tak. To pan Jason Bourne.

Serce zaczęło walić mu jak młotem.

- Połącz go - rozkazał natychmiast. Ponieważ uważał, że rozmową przez telefon w obecności kochanki jest czymś niewybaczalnym, przeprosił Delphinę i czekając, aż w uchu zabrmi mu głos starego przyjaciela, wyszedł na lekko zamgloną paryską ulicę.

- Jason, mój drogi. Ileż to już lat?

Dudniący głos Robbineta podniósł Bourne'a na duchu. Nareszcie rozmawiał z kimś, kto - przynajmniej taką miał nadzieję! - nie próbował go zabić. Właśnie jechał stołeczną obwodnicą, samochodem, który ukradł w drodze na spotkanie z Deronem.

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

- Nie do wiary, taki szmat czasu... Ale musisz ci powiedzieć, że dzięki Aleksowi zawsze wiedziałem, co porabiasz.

Początkowe obawy minęły i Bourne nieco się odprężył.

- Jacques, chyba słyszałeś, co się stało.

- Słyszałem, mon ami. Dyrektor CIA zorganizował na ciebie między narodową obławę. Ale ja w to nie wierzę. Nie mogłeś go zamordować. Wiesz, kto to zrobił?

- Właśnie próbuję się dowiedzieć. W tej chwili wiem na pewno tylko tyle, że może to być robota niejakiego Chana.

Robbinet długo nie odpowiadał.

- Jacques? Jesteś tam?

- Tak, mon ami. Po prostu mnie zaskoczyłeś. - Robbinet wziął głęboki oddech. - Widzisz, ten Chan... Znamy go. To płatny zabójca najwyższej klasy. Wiemy, że dokonał kilkunastu zamachów na całym świecie.

- Na kogo?

- Głównie na polityków, zabił choćby prezydenta Mali, ale od czasu do czasu poluje również na znanych przemysłowców. Zdołaliśmy ustalić, że nie robi tego ani z motywów politycznych, ani ideologicznych. Przyjmuje zlecenia wyłącznie dla pieniędzy. W nic więcej nie wierzy.

- Najgorszy z możliwych.

- Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, mon ami. Podejrzewasz, że to on zamordował Aleksa?

- Możliwe. Spotkałem go zaraz po tym, gdy znalazłem zwłoki. Niewykluczone, że to on zawiadomił policję, bo przyjechali, zanim zdążyłem zwać.

- Klasyczna pułapka.

Bourne milczał przez chwilę, myśląc o Chanie, który mógł go zabić już w uniwersyteckim kampusie albo pod wierzbą nad strumieniem w lesie Aleksa. To, że tego nie zrobił, dużo mu mówiło. Najwyraźniej nie było to zwykłe zlecenie, tylko coś osobistego, jakaś zemsta, wendeta, której źródła tkwiły w dżunglach południowo-wschodniej Azji. Najlogiczniejsze byłoby to, że zabił kiedyś jego ojca i że syn szuka teraz zemsty. Bo jak inaczej wytłumaczyć tę obsesję na punkcie jego rodziny? Po co Chan pytałby go o Jamiego? Ta hipoteza pasowała jak ulał.

- Wiesz o nim coś jeszcze?

- *Prawie nic - odrzekł Robbinet. - Jeśli nie liczyć tego, że ma dwadzieścia siedem lat.*
- *Wygląda młodziej. I jest mieszkańcem, pół-Azjata.*
- *Podobno pół-Kambodżaninem, ale wiesz, jak to bywa z plotkami.*
- *Pół Kambodżaninem, pół kim?*
 - *Nie mam pojęcia, tak samo jak ty. Jest samotnikiem. Nie znamy jego słabostek, nie wiemy, gdzie mieszka. Wypłynął sześć lat temu, zabijając premiera Sierra Leone. Przedtem jakby nie istniał.*
- *Bourne zerknął w lusterko.*
- *A więc pierwsze zabójstwo, o którym wiecie, popełnił w wieku dwudziestu jeden lat.*
- *Piękny debiut, co? - rzucił oschle Robbinet. - Posłuchaj, Jason, nam prawdę nie przesadzam: to bardzo niebezpieczny człowiek. Jeśli jest w to w jakiś sposób zamieszany, musisz zachować wielką ostrożność.*
- *Mówisz tak, jakbyś się go bał.*
- *Bo się boję, mon orni. Kiedy chodzi o Chana, to nie wstyd. Ty też powinieneś się bać. Zdrowa dawka strachu zwiększa ostrożność, a wierz mi, ostrożność bardzo ci się teraz przyda.*
- *Będę o tym pamiętał- odparł Bourne. Szukając zjazdu, skręcił na prawy pas. - Alex nad czymś pracował i chyba właśnie dlatego zginął Nie wiesz przypadkiem, co to było?*
- *Widziałem się z nim pół roku temu w Paryżu. Poszliśmy na kolację, Odniosłem wrażenie, że jest czymś bardzo pochłonięty. Ale wiesz, jaki był. Zawsze milczał jak grób. - Robbinet westchnął. - Jego śmierć to wielka strata dla nas wszystkich.*
- *Bourne skręcił na szosę numer 123 i pojechał w kierunku Tyson Corner.*
- *NX 20. Mówi ci to coś?*
- *Tylko tyle? NX 20?*
 - *Centrum handlowe Tyson Corner, parking na poziomie „C”.*
 - *Mniej więcej. Doktor Felix Schiffer. - Bourne przeliterował nazwisko. - Możesz go sprawdzić? Pracuje w Agencji Zaawansowanych Projektów Obronnych.*
 - *Nareszcie coś konkretnego. Zobaczę, co da się zrobić.*
 - *Wysiadając, Bourne dał mu swój numer telefonu.*
 - *Posłuchaj, Jacques. Lecę do Budapesztu, ale zabrakło mi pieniędzy.*
 - *Nie ma sprawy. Odbiór tak jak zwykle?*
 - *Bourne nie wiedział, o czym Robbinet mówi, ale nie miał wyboru i musiał przytaknąć.*
 - *Bon. Ile?*
 - *Schody ruchome za Aviary Court.*
 - *Sto tysięcy powinno wystarczyć. Zatrzymam się w Dunabius Grand na Wyspie Świętej Małgorzaty pod nazwiskiem Aleksa. Zaznacz, że przesyłka ma na mnie poczekać.*
 - *Mais oui, jak sobie życzysz. Mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze?*
 - *Nie, w tej chwili nie. - Przed sklepem Dry Ice stał Deron. - Dzięki, Jacques, za wszystko.*
 - *Pamiętaj o ostrożności, mon ami. Z Chanem nigdy nic nie wiadomo.*

Deron zauważył go i zwolnił kroku. Drobny, o cerze koloru kakao, miał mocno zarysowane kości policzkowe i bystre oczy. W lekkim płaszczu, dobrze skrojonym garniturze i z błyszczącą skórzaną dyplomatką w ręku wyglądał jak biznesmen w każdym calu. Gdy Bourne go dogonił, uśmiechnął się i rzucił:

- *Miło cię widzieć, Jason.*
 - *Szkoda, że w takich okolicznościach.*
 - *W innych cię nie widuję! - odparł ze śmiechem Deron.*
- Podczas rozmowy Bourne nieustannie sprawdzał twarze przechodniów, planował trasę ewentualnej ucieczki, oceniał, jak może przebiegać linia wzroku obserwatorów.*

Deron otworzył dyplomatkę i dał mu cienką kopertę.

- *Paszport i soczewki.*
- *Dzięki. - Bourne schował kopertę do kieszeni. - Forsę dostaniesz w ciągu tygodnia.*
- *Nieważne. - Deron machnął ręką, a rękę miał artysty, z długimi palcami. - Jesteś wiarogodnym kredytobiorcą. - Wyjął z dyplomatki coś jeszcze. - Groźna sytuacja wymaga zastosowania skutecznych środków.*

Pistolet. Bourne zważył go w rękę.

- *Bardzo lekki. Z czego?*
- *Materiały ceramiczne i plastik - odrzekł nie bez dumy Deron. - Pracowałem nad nim przez dwa miesiące. Na dużą odległość mało przydatny, ale z bliska to zabójcza broń.*
- *I nie wykryją jej na lotnisku.*

Deron kiwnął głową.

- *Amunicji też nie. - Podał Bourne'owi małe tekturowe pudełko. - Pociski o ceramicznym wierzchołku; rekompensują mały kaliber. I jeszcze coś. Widzisz te szczeliny na lufie? Wyłumiają huk eksplozji w komorze. Ta broń jest prawie bezgłówna.*

Bourne zmarszczył brwi.

- *Nie zmniejsza to mocy powalającej?*

Deron wybuchnął śmiechem.

- *Stara szkoła balistyki, co? Wierz mi, staruszkule, jeśli kogoś z tego trafisz, to już nie wstanie.*
- *Widzę, że jesteś człowiekiem wielu niezwykłych talentów.*
- *Bo muszę. - Falszerz ciężko westchnął. - Tak, kopiowanie starych mistrzów ma w sobie coś czarującego. Nie uwierzysz, ile się nauczyłem, badając ich techniki malarskie. Z drugiej strony świat, który przede mną otworzyłeś, świat, o którym ze wszystkich obecnych tu ludzi wiemy tylko my dwaj... To jest dopiero coś. - Wzmógł się wiatr, zwiastun zmian, i Deron postawił kołnierz płaszcza. - Tak, przyznaję, że kiedyś chciałem zarabiać na życie, sprzedając swoje produkty ludziom takim jak ty. - Pokręcił głową. - Ale już nie. Robię to tylko dla zabawy.*

Przed sklepem przystanął mężczyzna w płaszczu. Zapalił papierosa, lecz zamiast pójść dalej, zaczął oglądać buty na wystawie. Sęk w tym, że buty były damskie. Jason dał Deronowi znak i skęcili w lewo, oddalając się od sklepu. Chwilę później zerknął w okno wystawowe jakiegoś butik. Mężczyzna w płaszczu zniknął.

Bourne jeszcze raz zważył pistolet w rękę.

- *Ile? - spytał.*

Deron wzruszył ramionami.

- *To prototyp. Sprawdzisz go i zaproponujesz cenę w zależności od tego, jak się sprawi. Ufam, że będziesz uczciwy.*

Kiedy Ethan Hearn przyjechał do Budapesztu, dopiero po dłuższym czasie zrozumiał, że Węgrzy są ludźmi zarówno rzeczowymi i dokładnymi, jak i sprytnymi. Dlatego bar Underground mieścił się w Peszcie przy ulicy Terez Koruta 30, w podziemiach kina. To, że znajdował się w podziemiach, było również dowodem na ich ekscentryzm, bo nazwa klubu stanowiła swoisty hołd złożony filmowi Emira Kusturicy pod tym tytułem. Hearn uważał, że lokal jest postmodernistyczny w najgorszym tego, słowa znaczeniu. Przez poprzecinany stalowymi belkami sufit biegł rząd olbrzymich fabrycznych wentylatorów, które miały przesycone dymem powietrze i spychały je w dół, prosto na pijących i tańczących gości. Ale podobała mu się muzyka, głośna, kakofoniczna mieszanka żalosnego garażowego rocka i słodkiego funku.

To dziwne, ale Molnarowi nie przeszkadzało ani wystrój lokalu, ani panujący w nim hałas. Wyglądało na to, że woli zostać wśród rozkołysanego tłumu, niż wracać do domu. W jego

zachowaniu, w krótkim, irytującym śmiechu, w tym, że nieustannie się rozglądał, nie zatrzymując na nikim wzroku, jakby tuż pod skórą chował jakąś mroczną tajemnicę, było coś oschłego i kruchego zarazem. Hearn widywał wielu bogaczy i nie pierwszy raz zastanawiał się, czy to przypadkiem nie bogactwo ma ta niszczący wpływ na ludzką psychikę. Może właśnie dlatego nigdy nie pragnął wielkich pieniędzy.

Molnar stawiał. Zamówił polewaczkę - tak to się nazywało - obrzydliwie słodki koktajl z whisky, gazowanego napoju imbirowego, likieru pomarańczowego i cytryny. Znaleźli wolny stolik w ciemnym kącie, gdzie ledwo można było przeczytać krótkie menu, i tam kontynuowali rozmowę o operze, co, biorąc pod uwagę miejsce, w którym się znaleźli, było dość absurdalne.

Po drugim drinku Hearn zauważył Spalkę, który stał w nikotynowej mgłę na końcu sali. Gdy spotkali się wzrokiem, Ethan przeprosił Molnara i ruszył w jego stronę. Spalce towarzyszyli dwaj mężczyźni. Nie wyglądali na gości Undergroundu, ale cóż, nie pasowali tu również ani on, ani Molnar. Spalko poprowadził go ciemnym korytarzem, oświetlonym tylko maleńkimi, przypominającymi gwiazdy lampkami. Otworzył wąskie drzwi i weszli do jakiegoś pomieszczenia; Hearn pomyślał, że to pewnie gabinet kierownika klubu. W gabinecie nie było nikogo.

- Dobry wieczór, Ethan. - Spalko uśmiechnął się i zamknął drzwi. - Wygląda na to, że pracowałeś na swoją pensję. Dobra robota!

- Dziękuję, panie dyrektorze.

- Teraz moja kolej - rzekł dobrodusznie Spalko. - Zastąpię cię.

Ściany zadygotały od dudniących elektronicznych basów.

- Nie uważa pan, że byłoby lepiej, gdybym został i go panu przedstawił?

- Zapewniam cię, że to niekonieczne. Pora, żebyś trochę odpoczął. - Spalko spojrzął na zegarek. - A ponieważ jest już bardzo późno, masz jutro wolne.

- Ale panie dyrektorze - zachnął się Hearn. - Nie mogę,...

- Możesz, Ethan - przerwał mu ze śmiechem Spalko. - Możesz.

- Przecież uprzedzał mnie pan, że...

- Ethan, w tej firmie to ja ustalam warunki pracy i to ja mogę je zmieniać. Kiedy będziesz musiał przespać się w biurze, zrobisz, co zechcesz, ale jutro masz wolny dzień.

- Tak, panie dyrektorze. - Hearn uśmiechnął się nieśmiało i skłonił głowę. Wolnego dnia nie miał od trzech lat. Poranek w łóżku z grzanką z dżemem i gazetą... czysta rozkosz. - Dziękuję, jestem bardzo wdzięczny.

- A więc uciekaj. Zanim pojawisz się w biurze, przeczytam pewnie twój list. - Z dusznego gabinetu wyprowadził go na korytarz, a gdy Hearn wszedł na schody prowadzące do głównych drzwi, dał znak dwóm towarzyszącym mu mężczyznom. Ruszyli przez hałaśliwy, rozedrgany bar.

Mrużąc oczy od dymu i jaskrawych, migoczących świateł, Laszlo Molnar wypatrywał swego nowego przyjaciela. Gdy Hearn odszedł, pochłonęły go rozkołysane pośladki młodej dziewczyny w mini, lecz po jakimś czasie stwierdził, że Ethana nie ma dłużej, niż się spodziewał. Zdębiał, gdy przysiedli się do niego dwaj nieznajomi, jeden z jednej, drugi z drugiej strony.

- Co jest? - wychrypiał łamiącym się ze strachu głosem. - Czego chcecie?

Mężczyźni nie odpowiedzieli. Ten po prawej chwycił go i przytrzymał tak mocno, że Molnar skrzywił się z bólu. Był zbyt zdumiony, żeby krzyknąć, ale nawet gdyby zachował tyle przytomności umysłu, by to zrobić, jego wołanie zagłuszyłby nieustanny hałas. Siedział więc jak sparaliżowany, gdy człowiek po lewej wbił mu pod stołem igłę w udo. Wszystko odbyło się tak szybko i dyskretnie, że nikt nie mógł tego zauważyć.

Narkotyk zaczął działać trzydzieści sekund później. Molnar przewrócił oczami i zwiotczał. Przygotowani na to mężczyźni wzięli go pod pachy, wstali i weszli w tłum.

- Ma słabą głowę - rzucił jeden z nich do tańczącej w pobliżu dziewczyny. - Co z takimi robić?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, nie przerywając tańca. Gdy wprowadzali Molnara z klubu, nikt nie zwrócił na nich uwagi.

Spalko czekał w długim, smukłym BMW. Mężczyźni wrzucili nieprzytomnego Molnara do bagażnika i wskoczyli do samochodu, jeden za kierownicę, drugi na przednie siedzenie.

Noc była jasna i pogodna. Nad horyzontem wisiał księżyc w pełni. Spalko pomyślał, że jednym pstryknięciem palca mógłby potoczyć go po czarnym nieboskłonie jak szklaną kulę.

- Jak poszło? - spytał.

- Jak po maśle - odparł kierowca i zapalił silnik.

Bourne uciekł z Tyson Corner jak najszybciej. Chociaż uważał, że jest tam dość bezpiecznie, bezpieczeństwo było teraz bardzo względnym pojęciem. Pojechał do Wal-Martu przy New York Avenue. Wal-Mart to serce miasta, miejsce na tyle ruchliwe, że mógł tam zachować pewną anonimowość.

Samochód zostawił na parkingu między Dwunastą i Trzynastą ulicą. Zaczynało się chmurzyć, niebo na południowym horyzoncie złowieszczo pociemniało. Wszedł do środka, wybrał kilka ubrań, przybory toaletowe, ładowarkę do komórki i kilka innych drobiazgów. Potem poszukał plecaka, który by to wszystko pomieścił. Czekał w kolejce, przesuwając się noga za nogą do przodu i czuł, że jest coraz bardziej spięty. Zdawało się, że na nikogo nie patrzy, tymczasem nieustannie zerkał wokół, czy ktoś nie zwraca na niego nadmiernej uwagi.

Myślał o zbyt wielu rzeczach naraz. Był uciekinierem i firma wyznaczyła nagrodę za jego głowę. Polował na niego dziwny młody człowiek o wielu niezwykłych talentach, jeden z najwytrawniejszych i najlepiej wyszkolonych zabójców świata. Stracił dwóch najlepszych przyjaciół i wyglądało na to, że jeden z nich był zamieszany w coś zdecydowanie niebezpiecznego i wykraczającego poza normalną pracę naukowo-badawczą.

Myśli te tak pochłonęły Bourne'a, że nie zauważył podążającego za nim ochroniarza, którego wczesnym rankiem agent CIA poinformował, że ścigają uciekiniera. Dał mu też zdjęcie - to samo, które poprzedniego wieczoru pokazywano w telewizji - i prosił o zachowanie wzmożonej czujności. Wyjaśnił, że jego wizyta jest częścią zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań, że inni agenci odwiedzają wszystkie większe sklepy, kina i teatry, zawiadamiając ochronę, że ścigany Jason Bourne powinien być ich celem numer jeden. Dumny i nieco przerażony ochroniarz wszedł do swojej pakamery, podniósł słuchawkę i wybrał otrzymany od agenta numer.

Gdy odkładał słuchawkę, Bourne był już w toalecie. Elektryczną maszynką ściął włosy niemal do samej skóry. Potem włożył dzinsy, kowbojską koszulę w biało-czerwoną kratę z perłowymi guzikami i sportowe buty do biegania. Stanąwszy przed lustrem wiszącym nad rzędem umywalk, wyjął kilka słoiczków, które kupił w dziale kosmetycznym, i obficie wysmarował sobie twarz ich zawartością, przyciemniając cerę. Potem pogrubił sobie brwi, nadając im wydatniejszy kształt, i soczewkami kontaktowymi od Derona zmienił kolor oczu z szarego na ciemnobrązowy. Od czasu do czasu musiał przerywać, bo ktoś wchodził do toalety, ale przez większość czasu był sam.

Skończywszy, spojrzął w lustro. Nie do końca zadowolony z nowego wyglądu, przykleił sobie pieprzyk na samym czubku kości policzkowej. Teraz przemiana była kompletna. Włożył plecak, wrócił do sklepu i ruszył w stronę przeszklonego wyjścia.

Martin Lindros był wciąż w Alexandrii, w zakładzie krawieckim Leonarda Fine'a. Właśnie próbował dojść do siebie po nieudanej akcji swoich podwładnych, gdy zadzwonił do niego szef ochrony Wal-Martu przy New York Avenue. Tego ranka Lindros postanowił, że on i

detektyw Harry Harris rozdzielił się i że każdy z nich obstawi teren swoimi ludźmi. Wiedział, że Harris jest o kilka kilometrów bliżej niż on, bo ledwie dziesięć minut wcześniej z nim rozmawiał. No i miał teraz dylemat. Wiedział, że szef obędzie go żywcem ze skóry za klapę u Finne'a. Gdyby się jeszcze dowiedział, że on, Lindros, dał się wyprzedzić detektywowi policji stanowej, która pierwsza przyjechała na miejsce, gdzie po raz ostatni widziano Jasona Bourne'a, natychmiast urwałby mu łeb. Fatalnie, pomyślał, dodając gazu. Fatalnie.

Ale najważniejsze to dorwać Bourne'a. I nagle podjął decyzję. Do diabła z zazdrością i międzywydziałowymi tajemnicami. Wyjął telefon, zadzwonił do Harrisa i podał mu adres Wal-Martu.

- Słuchaj uważnie, Harry, macie tam podejść po cichu, na paluszkach. Masz zabezpieczyć teren i dopilnować, żeby Webb nie uciekł, nic więcej. Pod żadnym pozorem nie pokazujcie mu się ani nie próbujcie go zatrzymać. Jasne? Za dziesięć minut będę.

Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam, pomyślał Harry Harris, podając adres sklepu dowódcom trzech podlegających mu jednostek patrolowych. A już na pewno nie taki głupi, za jakiego ma mnie Lindros. Miał więcej niż spore doświadczenie z federalnymi i wcale mu się nie podobali. Uważali się za kogoś lepszego, jakby pozostałe siły policyjne nie miały pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, jakby działały po omacku. Lindros nie chciał wysłuchać jego teorii przedtem, dlaczego więc miałby zawracać sobie głowę i dzielić się nimi teraz? Miał go za tępego muła, za wołu roboczego, kogoś tak niezmiernie wdzięcznego za to, że został wybrany do współpracy z CIA, że powinien bez szemrania wykonywać wszystkie rozkazy. Teraz było już jasne, że Lindros chciał wyłączyć go z gry. Bourne'a widziano w Alexandrii, a on celowo mu o tym nie powiedział i gdyby nie przypadek... Skręcając na parking przed Wal-Martem, postanowił, że weźmie sprawy w swoje ręce, dopóki ma jeszcze okazję. Podjąwszy decyzję, chwycił nadajnik i zaczął wydawać rozkazy.

Bourne właśnie dochodził do drzwi, gdy na ulicę wpadły trzy policyjne radiowozy z wyczącymi syrenami. Cofnął się i skulił w cieniu. Nie było wątpliwości, że jadą prosto do Wal-Martu. Namierzili go, ale jakim cudem? Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Musiał opracować plan ucieczki.

Radiowozy zatrzymały się z piskiem opon, blokując ruch, i natychmiast buchnął krzyk zirytowanych kierowców. Dlaczego policja stanowa przeprowadza akcję poza obszarem swojej jurysdykcji? Bourne'owi przychodził do głowy tylko jeden powód: stanówka współpracuje z CIA. Gdyby dowiedzieli się o tym ci z policji stołecznej, wpadliby w furję.

Wyjął z kieszeni telefon Aleksa i wybrał numer alarmowy.

- Detektyw Morran z wirgińskiej policji stanowej - powiedział. - Połączcie mnie z dowódcą okręgu stołecznego.

- Dowódca trzeciego okręgu stołecznego Burton Philips, słucham - odrzekł hardy głos.

- Philips? Mielicie trzymać się od nas z daleka, tak? Przed Wal-Martem na New York Avenue widzę wasze radiowozy i zaraz szlag mnie trafi, bo...

- Jesteś w centrum naszego okręgu, Morran. Co wy tam, do diabła, robicie? Jakim prawem włączacie na moje podwórko?

- Nie twoja sprawa - warknął Bourne. - Weź ich za dupę i niech stąd zjeżdżają.

- Morran, nie wiem, coś ty za kutas, ale nie ze mną te numery. Przysięgam, będę tam za trzy minuty i osobiście wyrwę ci jaja!

Na ulicy zaroilo się od policjantów. Zamiast cofnąć się w głąb sklepu, Bourne usztywnił lewą nogę w kolanie i spokojnie pokuśtykał przed siebie wraz z innymi klientami. Do sklepu wpadło kilku mundurowych pod dowództwem wysokiego detektywa o podkrążonych oczach i

pochylonych ramionach; biegnąc, przyglądali się twarzom wychodzących. Kilkunastu policjantów rozstawiło się na parkingu. Kilkunastu innych zabezpieczało New York Avenue między Dwunastą i Trzynastą ulicą. Pozostali pilnowali, żeby wjeżdżający na parking klienci nie wysiadali z samochodów, i z walkie-talkie w ręku kierowali ruchem.

Zamiast pójść do samochodu, Bourne skręcił w prawo, za róg, i znalazł się na zapleczu. Kilkadziesiąt metrów dalej, na rampach dostawczych, rozładowywano trzy czy cztery wielkie ciężarówki. Po przekątnej leżał Franklin Park. Bourne ruszył w tamtym kierunku.

Ktoś za nim krzyknął. Jason szedł dalej, jakby tego nie słyszał. Zawyły syreny. Spojrzał na zegarek. Policja stołeczna, Burton Philips i jego chłopcy. W samą porę. Znowu czyjś krzyk, tym razem bardziej stanowczy i rozkazujący. Zaraz potem kilka podniesionych, chrapliwych głosów i wiązanka przekleństw: klótnia.

Zerknął przez ramię i zobaczył detektywa o pochylonych ramionach z rewolwerem w dłoni. Tuż za nim biegł srebrzystowłosy, potężnie zbudowany Philips z pociemniałą z gniewu twarzą. Jak każdemu dygnitarzowi, towarzyszyło mu dwóch osiłków, którzy łypali spode łba na wszystko i wszystkich. Ręce trzymali na kaburach, gotowi roznieść w pył każdego, kto ośmieli się sprzeciwić rozkazom szefa.

- Pan dowodzi tymi ze stanówki?! - zawołał Philips.

- Z wirgińskiej policji stanowej, tak - odparł detektyw, marszcząc brwi na widok mundurów policji stołecznej. - Co wy tu, do diabła, robicie? Wchodzicie mi w paradę!

- My wam?! - Philips omal nie dostał apopleksji. - Zjeżdżaj stąd, wieśniaku pierdolony, ale już!

Ze szurzej twarzy detektywa odpłynęła krew.

- Jak mnie nazwałś? Jak mnie nazwałś?

Bourne ruszył dalej. Park odpadał; zauważono go i musiał teraz poszukać innego sposobu ucieczki. Dotarł do końca budynku i szedł wzdłuż rzędu stojących tam ciężarówek, dopóki nie znalazł takiej, którą już rozładowano. Wsiadł do szoferki i przekreślił tkwiący w stacyjce kluczyk. Ryknął silnik, wóz ruszył.

- Hej! A ty dokąd?

Kierowca, olbrzym o szyi jak trzy dębowe pniaki i takich samych ramionach, wskoczył na stopień, otworzył drzwiczki, sięgnął na półkę i chwycił dubeltówkę z obciętą lufą. Bourne grzmotnął go pięścią w nasadę nosa. Buchnęła krew, oczy olbrzyma zaszyły mgłą, dubeltówka wypadła mu z ręki.

- Przepraszam, staruszk. - Jason przyłożył mu jeszcze raz i wielki jak wół kierowca stracił przytomność. Bourne wciągnął go za pasek na fotel pasażera, zatrzasnął drzwiczki i wrzucił jedynekę.

W tym samym momencie zauważył, że na scenę wydarzeń wkroczy ktoś nowy. Klódcących się policjantów próbował rozdzielić trzydziestokilkuletni mężczyzna. Bourne znał go: Martin Lindros, zastępca dyrektora CIA. A więc to on. To on na niego polował z upoważnienia Starogo. Kiepsko. Bardzo kiepsko. Alex twierdził, że Lindros jest wyjątkowo bystry. Nielatwo go będzie przechytryzić, czego najlepszym dowodem była sieć, którą umiejętnie zarzucił na starówce.

Ale teraz rzecz była bezprzedmiotowa, bo Lindros zauważył wyjeżdżającą z parkingu ciężarówkę i machał do niego ręką.

- Stać! - krzyczał. - Stać!

Bourne wcisnął pedał gazu. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na bezpośrednią konfrontację. Nie z nim. Lindros był doświadczonym agentem i mógłby go rozpoznać mimo przebrania.

Lindros dobył broni. Wrzeszcząc i wymachując rękami, biegł w stronę stalowej bramy, którą Bourne musiał przejechać.

Wypełniając jego rozkazy, dwóch policjantów ze stanowki pospiesznie ją zamykało, a ulicą pędził samochód, który przebiwszy się przez blokadę na New York Avenue, wyraźnie chciał przeciąć mu drogę.

Bourne wcisnął pedał jeszcze mocniej i jak ranne zwierzę ciężarówka szarpnęła do przodu. Policjanci odskoczyli na bok. W ostatniej chwili, bo ułamek sekundy później maszyna grzotnęła w bramę i wyrwała ją z zawiasów, tak że skrzydła poszybowały w górę i spadły z hukiem na chodnik. Jason zmienił bieg, ostro skręcił w prawo i zwiększył prędkość.

Zerknął w wielkie lusterko wsteczne. Jadący za nim samochód zwolnił. Otworzyły się drzwiczki od strony pasażera, Lindros wskoczył do środka i wóz pomknął przed siebie jak rakietą, bez trudu doganiając ciężarówkę. Bourne wiedział, że im nie ucieknie tym powolnym wozem, ale choć masa ciężarówki uniemożliwiała osiągnięcie dużej prędkości, sam wóz miał wiele innych zalet.

Policjanci bez ostrzeżenia przyspieszyli i jechali teraz po jego lewej stronie. Jason zobaczył Lindrosa. Skupiony, z zaciśniętymi ustami, mierzył do niego z pistoletu, który ścisnął jedną ręką i przytrzymał drugą. W przeciwieństwie do aktorów filmowych, umiał strzelać z szybko jadącego pojazdu.

Już miał pociągnąć za spust, gdy Bourne gwałtownie skręcił w lewo. Huknęło, metal zagrzytał o metal i Lindros zgiął rękę. Ich kierowca próbował zapanować nad samochodem, żeby nie wpaść na wozy parkujące przy krawężniku.

Chwilę później udało mu się wyrównać i Lindros otworzył ogień. Strzelał z niewygodnego kąta i bardzo nim rzucalo, mimo to Jason musiał skręcić w prawo. Jedna z kul roztrzaskała boczną szybę, dwie inne przebiły siedzenie i utkwily w boku nieprzytomnego kierowcy.

- Niech cię szlag, Lindros - mruknął Bourne. Sytuacja była niebezpieczna, ale nie chciał mieć na rękach krwi Bogu ducha winnego człowieka. Pędził na zachód: szpital Waszyngtona przy Dwudziestej Trzeciej ulicy był już niedaleko. Skręt w prawo, potem w lewo, w K Street. Wcisnął klakson. Kierowca na Osiemnastej pewnie zasnął za kierownicą, bo przegapił ostrzeżenie i jego wóz wbił się w prawą burtę ciężarówki. Gwałtowne szarpnięcie, ciężarówka niebezpiecznie zarzuciła. Bourne wyrównał, wrócił na środek jezdni i popędził dalej. Lindros siedział mu na ogonie - nie mógł go teraz wyprzedzić, bo rozdzielona pasem zieleni K Street była za wąska.

Skrzyżowanie z Dwudziestą; Bourne już widział wjazd do tunelu pod rondem Waszyngtona.. Szpital był ulicę dalej. Zerknął w lusterko - samochód Lindrosa zniknął. Dwudziesta Druga ulica. Właśnie miał skręcić, gdy zobaczył, że pędzą nią tamci, dostrzegł wychylonego z okna Lindrosa, który strzelał do niego metodycznie i celnie.

Wdepnął pedał gazu. Nie miał wyboru, musiał przejechać pod rondem i dotrzeć do szpitala z innej strony. Kilkadziesiąt metrów przed zjazdem do tunelu spostrzegł jednak, że coś jest nie tak. Tunel pod rondem był zupełnie ciemny, jakby go zaślepiono. Mogło to oznaczać tylko jedno: po drugiej stronie ustawiono blokadę, gęsty rząd dużych pojazdów w poprzek jezdni.

Wjechał do tunelu pełną prędkością, zredukował bieg i gdy pochłonęła go ciemność, mocno wcisnął pedał hamulca. Przerażliwy pisk opon odbił się echem od kamienia i betonu. Jason szarpnął kierownicą w lewo. Z trzaskiem, zgrzytem i oghuszającym piskiem ciężarówka uderzyła w barierka i znieruchomiała pod kątem prostym do ściany tunelu. W tej samej chwili Bourne wyskoczył z szoferki i kryjąc się za ostatnim samochodem, który zdążył tamtędy przejechać, popędził do betonowej ściany. Samochód zwolnił, kierowca chciał przyjrzeć się wypadkowi i przyspieszył, gdy nadjechały radiowozy. Ciężarówka blokowała obie jezdnie K Street. Jason dopadł wmurowanej w ścianę stalowej drabinki - używała jej obsługa techniczna tunelu - i zaczął wspinać się po szczeblach. Zapłonęły policyjne reflektory. Bourne odwrócił głowę, zamknął oczy i przyspieszył. Kilka sekund później, gdy reflektory oświetliły ciężarówkę i jezdnię, i gdy był już prawie pod stropem, dostrzegł Lindrosa z walkie-talkie w rękę.

W tej samej chwili buchnął snop światła z przeciwnego kierunku: wzięli ciężarówkę w kleszcze. Z obu stron nadbiegali policjanci z bronią gotową do strzału.

- Ktoś jest w szoferce - zameldował jeden z agentów, podchodząc bliżej. - Ranny, mocno krwawi.

W krąg światła wpadł spięty Lindros.

- To Bourne?

Jason dotarł do wjazdu w stropie. Trzasnął rygłem, pchnął klapę, wystawił głowę i zobaczył drzewa zdobiące rondo Waszyngtona. Wokół niego, w niekończącej się kawalkadzie zamazanego ruchu, pędziły samochody.

Ranny kierowca jechał już karetką do pobliskiego szpitala. Nadeszła pora, żeby i on pomyślał o sobie.

Rozdział 9

Webb zniknął, przepadł jak kamień w wodę, a Chan miał dla niego zbyt dużo szacunku, żeby go szukać w kłębiącym się na starówce tłumie. Zamiast tego skupił uwagę na agentach CIA i podążył za nimi aż do zakładu krawieckiego Fine'a, gdzie spotkali się z Martinem Lindrossem na przykryj odprawie po nieudanej obławie. Widział, jak rozmawiają z krawcem. Zgodnie ze standardowymi procedurami onieśmiania i zastraszania, wyciągnęli go z zakładu i bez słowa wyjaśnienia wpełchnęli na tylne siedzenie samochodu, między dwóch rosyjskich kolegów o kamiennych twarzach. Jak zdołał podsłuchać, niczego się od niego nie dowiedzieli. Krawiec twierdził, że ludzie Lindrosa przyjechali tak szybko, że Webb nie zdążył mu powiedzieć, po co przyszedł. Agenci sugerowali, żeby go wypuścić. Lindros zgodził się, ale kiedy Fine wrócił do zakładu, wystawił czujką w nieoznakowanym samochodzie po drugiej stronie ulicy, na wypadek gdyby Webb spróbował ponownie skontaktować się z Fine'em.

Dwadzieścia minut po odjeździe Lindrosa siedzący w samochodzie agenci zaczęli się nudzić. Zjedli wszystkie pączki, wypili całą colę i przeklinali na czym świat stoi, że muszą tu sterczeć, podczas gdy ich koledzy uganiają się za Davidem Webbem.

- Żadnym tam Webbem - mruknął tęższy z nich. - Stary kazał używać jego nazwiska operacyjnego. Za Jasonem Bourne'em.

Chan, który wciąż był na tyle blisko, żeby słyszeć każde słowo, zeszywniał. Oczywiście słyszał o Bournie. Przez wiele lat Jason Bourne uchodził za najlepszego międzynarodowego zabójcę. Znając swój fach, uważał, że połowa krążących o nim opowieści jest zmyślona, a druga przesadzona. Było po prostu niemożliwe, żeby zwykły śmiertelnik miał odwagę, doświadczenie i zwierzęcą przebiegłość, jaką mu przypisywano. Wątpił nawet, czy Jason Bourne w ogóle istnieje.

A tu proszę. Tajniacy twierdzili, że Webb to Bourne! Chan poczuł się tak, jakby za chwilę miała pęknąć mu głowa. Był do głębi wstrząśnięty. David Webb nie był profesorem lingwistyki, jak wyczytał z akt Spalki, tylko jednym z najszlachetniejszych płatnych zabójców. Człowiekiem, z którym on, Chan, przez dwa dni bawił się w kotka i myszkę. Nareszcie wyjaśniło się tyle rzeczy, jak choćby to, jakim cudem Bourne namierzył go w parku. Zmiana koloru włosów, wyglądu twarzy czy nawet sposobu chodzenia była dobra dla innych, ale nie dla niego. Miał do czynienia z Jasonem Bourne'em, agentem, którego legendarne zdolności kamuflażu dorównywały zapewne jego zdolnościom, z człowiekiem, który nie da się zwieść zwykłymi sztuczkami, choćby najsprytniejszymi. Chan zrozumiał, że jeśli chce wygrać, musi przejść na bardziej zaawansowany poziom gry.

Zastanawiał się przez chwilę, czy Spalko znał prawdziwą tożsamość Webba, przekazując mu to mocno ocenzurowane dossier. Tak, chyba musiał ją znać. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że zorganizował wszystko tuk, aby zabójstwo Conklina i Panova przypisano Bourne'owi? Przecież to klasyczna zagrywka dezinformacyjna. Dopóki ci z CIA wierzyli, że morderstwa dokonał Bourne, dopóty nie mieli powodu szukać prawdziwego mordercy - ani powodu, ani też szans na odkrycie prawdy. Spalko próbował wykorzystać ich w jakiejś rozgrywce - jego i Bourne'a - i Chan musiał się dowiedzieć, co knuł. Nie zamierzał być niczym pionkiem.

Żeby poznać prawdę o śmierci Conklina i Panova, musiał porozmawiać z Fine'em. Nie ważne, co Fine powiedział agentom. Długo śledził Webba - było mu trudno przestawić się na to drugie nazwisko - i wiedział, że krawiec miał mnóstwo czasu, żeby wszystko wyśpiewać. Gdy jeszcze siedział w samochodzie między agentami, w pewnej chwili odwrócił głowę i Chan skorzystał z okazji, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Spojrzał i wyczytał z nich, że jest to człowiek dumny i uparty. Jako buddysta uważał, że duma jest cechą niepożądaną, ale w tej situa-

cji była bardzo przydatna, bo im bardziej tamci napierali, tym głębiej Fine się okopywał. Nie, CIA nic by z niego nie wyciągnęła, lecz on wiedział, jak złagodzić zarówno dumę, jak i upór.

Zdjął zamszową marynarkę i rozerwał podszewkę na tyle mocno, żeby czuwający w samochodzie agenci wzięli go za zwykłego klienta.

Przebiegł ulicę i wszedł do zakładu, potrącając drzwiami melodyjny dzwoneczek. Jedna z Latynosek podniosła głowę znad komiksu i plastikowej miseczki z resztkami ryżu z fasolą. Podszedła do lady i spytała, w czym może pomóc. Jej figura, szerokie czoło i czekoladowe oczy były bardzo zmysłowe. Powiedział, że rozdarł swoją ulubioną marynarkę i chce rozmawiać z panem Fine'em. Latynoska kiwnęła głową, zniknęła na zapleczu, chwilę później wróciła i bez słowa usiadła tam gdzie przedtem.

Zanim pojawił się Leonard Fine, minęło kilka minut. Po długim i bardzo nieprzyjemnym poranku wyglądał fatalnie. Bliskość agentów CIA wyssała z niego całą energię.

- Czym mogę służyć? Podobno chce pan zacerować marynarkę. Chan rozłożył ją na ladzie podszewką do góry.

Fine dotknął rozdarcia z delikatnością lekarza, który bada pacjenta.

- To tylko podszewka. Ma pan szczęście. Zamsz jest praktycznie nie do naprawy.

- Nieważne - odrzekł Chan szeptem. - Przychodzę z polecenia Jasona Bourne'a, jako jego wysłannik.

Fine wykazał się godnym podziwu opanowaniem, bo nie drgnęła mu nawet powieka.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Jason dziękuje panu za pomoc w ucieczce - kontynuował Chan, jakby tego nie słyszał. - Chce panu przekazać, że w dalszym ciągu obserwuje pana dwóch tajniaków.

Fine lekko się skrzywił.

- Tak myślałem. Gdzie są? - Guzowatymi palcami nerwowo ugniatał marynarkę.

- Po drugiej stronie ulicy, w białym fordzie taurusie.

Fine był sprytny. Nawet nie zerknął w okno.

- Mario - rzucił cicho - czy po drugiej stronie ulicy stoi biały ford taurus?

Latynoska odwróciła głowę.

- Tak, panie kierowniku.

- Czy ktoś w nim siedzi?

- Dwóch mężczyzn - odrzekła Maria. - Wysokich, krótko ostrzyżonych. Bardzo podobnych do Dicka Tracy'ego, jak ci, co tu byli.

Fine zaklął pod nosem i spojrzał na Chana,

- Proszę powiedzieć panu Bourne'owi „z Bogiem”. Proszę mu to powtórzyć.

Chanowi nie drgnął ani jeden mięsień twarzy. Uważał amerykański zwyczaj wzywania Boga przy każdej okazji za obrzydliwy.

- Potrzebuję kilku informacji - odparł.

- Oczywiście. - Fine usłużnie kiwnął głową. - Czego tylko pan sobie życzy.

„Żółć się w nim zagotowała”. Martin Lindros w końcu zrozumiał, co to znaczy. Bourne uciekł mu po raz drugi. Jak teraz spojrzeć w oczy Staremu?

- Nie posłuchałeś moich rozkazów! - wrzasnął na całe gardło. - Co ty sobie, do diabła, myślisz?

Mechanicy ze stołecznego wydziału ruchu wciąż zmagali się z ciężarówką i w tunelu pod rondem Waszyngtona rozbrzmiewało halaśliwe echo.

- To ja zauważyłem, jak wychodził z Wal-Martu!

- Tak, i pozwoliłeś mu zwiać!

- Nie ja, tylko ty! Ja miałem na karku tego palanta z miejskiej!

- No właśnie! - wrzasnął Lindros. - Co on tam, kurwa, robił?

- To ty mi powiedz, panie mądry, bo to ty spieprzyłeś akcję w Alexandrii, nie ja! Gdybyś mnie uprzedził, pomógłbym wam obstać starówkę. Znam ją jak własną kieszeń. Ale nie, ty jesteś federalny, ty wszystkim wiesz lepiej, bo to ty tu rządzisz, nie?

- A żebyś wiedział, że ja! Moi ludzie dzwonią już na lotniska, stacje kolejowe, dworce autobusowe i do wypożyczalni samochodów. Wyrwę tego sukinsyna choćby spod ziemi!

- Nie bądź śmieszny. Nawet gdybyś nie związał mi rąk, nie mam takich pełnomocnictw. Ale moi chłopcy też przeczesują teren i nie zapominaj, że to nasz rysopis Bourne'a rozesłano na wszystkie przejścia graniczne.

Harris miał rację, mimo to Lindros nie przestał się pieniść.

- Chcę wiedzieć, po jaką cholere wciągnąłeś w to tych z miejskiej. Jeśli potrzebowałeś wsparcia, powinienes przyjść z tym do mnie!

Niby dlaczego? Dasz mi chociaż jeden dobry powód? Dasz? Kim ty jesteś? Moim kumplem? Współpracownikiem? Takiego wała. - Harris tytał na niego ponuro i z odrazą. - I jeszcze jedno, dla wyjaśnienia: to nic ja wezwałem miejską. Już ci mówiłem, facet wsiadł na mnie, jak tylko przyjechał, i z pianą na gębie wyzwał mnie od najgorszych, bo niby wlałem na jego podwórko.

Lindros prawie go nie słyszał. Zawyla syrena i migająca światłami karetka wreszcie odjechała, wioząc postrzelonego kierowcę do szpitala. Zabezpieczenie terenu, oznakowanie miejsca wypadku i wydostanie rannego z szoferki zajęło im prawie czterdzieści pięć minut. Przeżyje czy umrze? Lindros wołał o tym nie myśleć, przynajmniej nie teraz. Łatwo byłoby powiedzieć, że kierowca został ranny przez Bourne'a; wiedział, że na pewno powie tak Stary. Ale Stary miał skórę złożoną z dwóch warstw pragmatyzmu i warstwy goryczy, dlatego on, Lindros, nie miał do niego startu. I dzięki Bogu. Bez względu na to, jaki los czekał kierowcę, całą odpowiedzialność ponosił on, i ta świadomość jeszcze bardziej go nakręcała. Fakt, nie miał skóry Starego, ale nie zamierzał też zdręzczać się czymś, czego już nie można naprawić. Nie pozostawało mu nic innego, jak upuścić trochę jadu.

- Czterdzieści pięć minut! - burknął, gdy karetka przebiła się przez zakorkowany wjazd do tunelu. - Ten biedny sukinsyn mógł w tym czasie dziesięć razy umrzeć.

- Urzędasy na państwowej posadce!

- O ile mnie pamięć nie myli, ty też jesteś na państwowej posadzie - odparł zgryźliwie Lindros.

- A ty nie?

Lindros omal nie udławił się żółcią.

- Posłuchaj, kutasie, ja to nie ty, jasne? Ja jestem z innej gliny. Moje wykszolenie...

- Wykszolenie gównu ci dało! Dwa razy miałeś Bourne'a w rękę i dwaj razy ci zwał!

- A co ty zrobiłeś, żeby mi pomóc?

Chan patrzył, jak się kłóć. Nikt go nie zaczepiał, nikt nie spytał nawet, co tu robi. W kombinezonie mechanika wyglądał jak ci z miejskiego wydziału ruchu drogowego. Stał tuż obok nich, przed ciężarówką, udając, że ogląda miejsce, gdzie uderzył w nią samochód. Po chwili w głębokim cieniu na ścianie tunelu zauważył żelazną drabinkę. Ciekawe, dokąd prowadzi. Czy Bourne też się nad tym zastanawiał, czy po prostu wiedział? Chan rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy w jego stronę, i szybko wskoczył na drabinkę, znikając z oczu tym na dole. Znalazł właz w stropie i bez zdziwienia stwierdził, że rygiel jest otwarty. Pchnął kłapę i wyszedł z tunelu.

Stanąwszy na rondzie, zaczął powoli obracać się w prawo, uważnie lustrując okolicę. Twarz smagał mu porywisty wiatr. Niebo jeszcze bardziej pociemniało, jakby posiniaczył je przytłumiony odległością grzmot burzy przetaczającej się nad głębokimi kanionami ulic i szerokimi alejami miasta. Na zachodzie były autostrady Rock Creek Parkway, Whitehurst Freeway i Georgetown. Na północy widniały strzeliste gmachy ciągu hoteli: ANA, Grandu, Park Hyatta, Marriotta i Rock Creeka. Na zachód od nich, między placem McPhersona i Parkiem

Franklina, biegła K Street. Na południu był Foggy Bottom, Uniwersytet Jerzego Waszyngtona i masywny gmach Departamentu Stanu. Nieco dalej, w miejscu gdzie skracający na wschód Potomac rozszerza się, tworząc spokojne rozlewisko Tidal Basin, zobaczył srebrzysty punkcik, znieruchomiały na tle nieba samolot, który błyszczał jak lustro nad pokrywą gęstniejących chmur. Samolot schodził do lądowania.

Chanowi zadrgały nozdrza, jakby zwęszył zdobycz. Lotnisko. Bourne spróbuje dostać się na lotnisko. Był tego pewien, bo na jego miejscu zrobiłby to samo.

David Webb i Jason Bourne to jedna i ta sama osoba: złowieszczy cud. Ten cud nie dawał mu spokoju, odkąd mu się objawił. Myśl, że on i Bourne wykonywali ten sam zawód, była zniewagą, pogwałceniem wszystkiego, co z takim trudem dla siebie zbudował. Bo to on - i tylko on - zdołał wyrwać się z bagien azjatyckich dżungli. Cudem było już samo to, że przeżył w nich tyle nienawistnych lat. Ale przynajmniej tamte dni należały wyłącznie do niego. To, że musiał teraz podzielić się sceną, którą tak bardzo chciał zawładnąć, że musiał podzielić się nią akurat z Davidem Webbem, było okrutne i do cna niesprawiedliwe. Było błędem, który musiał naprawić, im szybciej, tym lepiej. Nie mógł się już doczekać, kiedy stanie z nim twarzą w twarz, kiedy powie mu prawdę, kiedy spojrzy mu w oczy, wiedząc, że zanim Bourne wykrwawi się na śmierć, ta prawda go zniszczy.

Rozdział 10

Hala odlotów międzynarodowego lotniska w Waszyngtonie, wszędzie szkło i chrom. Bourne stał w cieniu. Tłumy biznesmenów z laptopami i dyplomatami, rodziny z ciężkimi walizkami, dzieci, plecaki z Myszka Miki, Power Rangersami i misiami, staruszki na wózkach, grupy mormońskich misjonarzy w drodze do krajów Trzeciego Świata, objęci kochankowie z biletami do rajów - prawdziwy dom wariatów. Ale mimo kłębiących się tłumów na lotniskach panowała swoista pustka, dlatego Bourne dostrzegał jedynie puste spojrzenia pochłoniętych sobą ludzi, które są instynktowną obroną przed straszliwą nudą.

Paradoksalnie na lotniskach, gdzie oczekiwanie urastało do rangi instytucji, czas stał w miejscu. Ale nie dla niego. Dla niego liczyła się każda minuta, bo każda minuta groziła mu śmiercią z rąk tych, dla których niegdyś pracował.

Dotarł tu przed kwadransiem i przez ten czas zdążył zauważyć kilkunastu podejrzanych osobników. Jedni snuli się bez celu po hali, paląc, pijąc coś z dużych papierowych kubków i próbując nie rzucić się w oczy. Rzecz w tym, że większość z nich kręciła się w pobliżu stanowisk odprawy bagażowej i obserwowała twarze pasażerów stojących w kolejce po kartę pokładową. Bourne niemal natychmiast stwierdził, że nie wszędzie na pokład zwykłego samolotu rejsowego. Jaki więc pozostawał mu wybór? Musiał jak najszybciej dostać się do Budapesztu.

Był w luźnych brązowych spodniach, tanim płaszczu przeciwdeszczowym, czarnym golfie i zamszowych butach zamiast adidasów, które wychodzą z Wal-Martu, wrzucił do kosza na śmieci wraz z resztą ubrania, Ponieważ go tam rozpoznano, musiał jak najszybciej zmienić wygląd, lecz oceniwszy sytuację w hali odlotów, nie był z siebie zadowolony.

Unikając agentów, wyszedł w deszczową noc i wszedł do autobusu jadącego do terminalu towarowego. Usiadł tuż za kierowcą i wszczął z nim rozmowę. Kierowca miał na imię Ralph, a on przedstawił się jako Joe. Gdy autobus zahamował przed przejściem dla pieszych, uścisnęli sobie ręce.

- W magazynie On Time czeka na mnie kuzyn - mówił Bourne - a ja, jak ten kretyn, zgubiłem kartkę z namiarami i nie wiem, gdzie to jest.

- Gdzie pracuje? - spytał Ralph, skręcając na pas szybkiego ruchu.

- Kuzyn? Jest pilotem. - Bourne przysunął się bliżej. - Bardzo chciał latać w Americanie albo w Delcie, ale wiesz, jak to jest.

Ralph ze współczuciem kiwnął głową.

- Bogaci się bogacą, biedni biednieją. - Miał guzikowaty nos, strzechę włosów na głowie i podkrążone oczy. - Mnie nie musisz tego mówić.

To jak? Powiesz mi, gdzie to jest?

Nie tylko powiem. - Ralph zerknął w długie lusterko i puścił do niego oko. - Kończę tam zmianę. Zawiozę cię pod sam magazyn.

Chan stał na deszczu w krystalicznych światłach lotniska i intensywnie myślał. Bourne wyczułby tajniaków z CIA, zanim by ich spostrzegł. On sam naliczył ponad pięćdziesięciu, co oznaczało, że na całym lotnisku może ich być trzy razy tyle. Bourne wiedział, że nie wejdzie na pokład rejsowego samolotu bez względu na rodzaj i wyrefinowanie przebrania. Rozpoznali go w Wal-Marcie, wiedzieli już, jak wygląda - Chan podsłuchiwał ich rozmowę w tunelu.

Czuł, że jego ofiara jest blisko. Siedział obok Bourne'a na ławce w parku, znalazł jego wagę, ułożenie kości i mięśni, widział grę światła na jego twarzy. Tak, wiedział, że tu jest. Bo właśnie jego twarzy przypatrywał się ukradkiem podczas tych kilku krótkich spotkań. Zdawał sobie sprawę, że musi zapamiętać każdy jej szczegół, każdy rys, każdą jego zmianę. Czego w niej wypatrywał, spostrzegłszy, że Bourne wykazuje wielkie zainteresowanie jego słowami?

Potwierdzenia? Uzasadnienia? Nawet on tego nie wiedział. Wiedział tylko, że twarz Bourne'a stała się częścią jego świadomości. Że na dobre czy złe Bourne nim zawładnął. Że wpadli w matnię własnych żądz, z której uwolni ich dopiero śmierć.

Rozejrzył się jeszcze raz. Bourne chciał wydostać się z miasta, może nawet z kraju. CIA będzie przydzielala do tej sprawy coraz więcej agentów, rozszerzając poszukiwania i zaciskając pętlę. Na jego miejscu on też chciałby uciec z kraju, dlatego wszedł do hali przylotów, staną przed wielkim, kolorowym planem lotniska i poszukał najlepszej drogi do terminalu towarowego. Przy tak ścisłych środkach bezpieczeństwa samoloty pasażerskie zdecydowanie odpadały, jeśli więc Bourne zamierzał uciec z tego właśnie lotniska, ucieknie samolotem towarowym. Najważniejszy był teraz czas. Tajniacy zorientują się wkrótce, że człowiek, na którego polują, nie wsiądzie do maszyny pasażerskiej, i rozszerzą obserwację na przewoźników towarowych.

Wyszedł na deszcz. Ustalił już, jakie samoloty odlatają w ciągu najbliższej godziny, i - jeśli rozumował poprawnie - pozostawało mu jedynie wypatrzeć Bourne'a i zabić go. Nie miał złudzeń, wiedział, że czeka go trudne zadanie. Zdumiony, rozgoryczony i upokorzony odkrył, że przeciwnik jest przebiegły, zdeterminowany i pomysłowy. Zranił go, zastawił na niego skuteczną pułapkę, kilka razy zdołał mu uciec. Chan zdawał sobie sprawę, że jeśli tym razem chce go dorwać, musi go zaskoczyć, gdyż Bourne będzie wypatrywał właśnie jego. Znowu wzywała go dżungla, znowu słyszał zew śmierci i zniszczenia. Koniec długiej drogi był już bliiski. Tym razem przechytrył Bourne'a i go zabije.

Zanim dojechali na miejsce, oprócz nich w autobusie nie było już nikogo. Deszcz się wzmógł, zapadł wczesny zmrok. Ciemnoszare niebo wyglądało jak tablica, na której można zapisać przyszłość.

- Magazyny On Time są w piątce, zaraz przy magazynach FedExu i Lufthansy. - Ralph zatrzymał autobus i wyłączył silnik. Wysiedli i pobiegli przez deszcz w kierunku wielkich brzydkich budynków o płaskich dachach, ciągnących się rzędem na skraju lotniska. - To tutaj, chodź.

Weszli do środka i Ralph otrząsnął się z deszczu. Choć wysoki i tęgi, miał zadziwiająco małe stopy i delikatne dłonie. Wskazał w lewo.

- Widzisz urząd celny? Dwa budynki dalej jest magazyn On Time'u. Tam znajdziesz kuzyna.

- Wielkie dzięki - odpowiedział Bourne. Ralph uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie ma za co. - Uścisnęli sobie dłonie. - Cieszę się, że mogłem pomóc.

Gdy kierowca odszedł z rękami w kieszeniach, Bourne ruszył w stronę magazynu. Ale wcale nie zamierzał tam iść, przynajmniej nie w tej chwili. Zawrócił i poszedł za Ralphem do drzwi z tabliczką: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU. Wyjął kartę kredytową i patrzył, jak kierowca wkłada do czytnika identyfikator. Gdy drzwi się otworzyły i Ralph zniknął w środku, Bourne podbiegł bliżej i szybkim ruchem wsunął kartę w szparę. Drzwi się zamknęły, tak jak powinny, ale karta zablokowała zamek. Jason odliczył w duchu do trzydziestu i założywszy, że Ralph już odszedł, pchnął je i schował kartę do kieszeni.

Szatnia. Białe kafelki na ścianach i gumowa siatka na betonowej podłodze, żeby wracający spod prysznic nie zamoczyli sobie nóg. Osiem rzędów metalowych szafek, zamkniętych na kłódki z prostym zamkiem szyfrowym. Po prawej stronie otwarte drzwi do pomieszczenia z prysznicami i umywalkami. Nieco dalej toalety i kilka pisuarów.

Bourne ostrożnie wyjrzał zza występu ściany. Do jednej z kabin wszedł Ralph. W kabine bliżej drzwi namydlął się jakiś kierowca czy mechanik. Jason spojrział w lewo i natychmiast zobaczył szafkę Ralpha. Jej drzwiczki były lekko uchylone, kłódka otwarta. Oczywiście. Kto ich mógł okraść w tak bezpiecznym miejscu? Otworzył drzwiczki. Metalowa półka, na półce podkoszulek, na podkoszulku identyfikator. Tego właśnie szukał. Sąsiednia szafka, należąca zapewne do kąpiącego się mężczyzny, też była otwarta. Zamienił kłódki i zamknął tę na

szafce *Ralph*a. Powinno upłynąć trochę czasu, zanim kierowca się zorientuje, że skradziono mu identyfikator.

Z wózka z ubraniami do prania wyjął kombinezon mechanika i sprawdziwszy, czy pasuje, szybko się przebrał. Potem, z identyfikatorem *Ralph*a na szyi, ruszył do urzędu celnego, gdzie poprosił o rozkład wieczornych lotów. Do *Budapesztu* nie leciał żaden samolot, ale za osiemnaście minut z terminalu towarowego numer cztery odlatywała maszyna *Rush Service*, lot sto trzysta do *Paryża*. Kolejny lot zaplanowano dopiero za półtorej godziny, ale *Paryż*, wielki europejski węzeł komunikacyjny, jak najbardziej mu odpowiadał. Stamtąd bez trudu dostanie się do *Budapesztu*.

Wyszedł na mokry asfalt. Lalo teraz jak z cebra, lecz burza ustała, nie słyszał nawet grzmotów. To dobrze, bo nie chciałby, żeby opóźniono lot. Przyspieszył kroku.

Terminal numer trzy. Zanim tam doszedł, przemókł do suchej nitki. Popatrzył w lewo, potem w prawo i ruszył do magazynu *Rush Service*. Mało ludzi, to niedobrze; łatwiej jest wmieszać się w tłum. Drzwi dla personelu. Wsunął identyfikator do czytnika i drzwi otworzyły się z miłym dla ucha kliknięciem. Labirynt korytarzy, ściany z szarych pustaków, pomieszczenia zastawione pod sufit skrzyniami, wszędzie przytłaczający zapach żywicznego drewna, trocin i kartonu. Panowała tu atmosfera nietrwałości i ulotności, lęk przed błędem, mechanicznym czy ludzkim, poczucie życia w nieustannym ruchu, regulowanym przez rozkłady, harmonogramy i pogodę. Nigdzie nie było ani jednego krzesła, niczego, na czym można by usiąść i odpocząć.

Patrząc prosto przed siebie, szedł pewnym, zdecydowanym krokiem z miną człowieka upoważnionego. Po chwili zobaczył kolejne drzwi, tym razem stalowe, z okienkiem na wysokości głowy. Za drzwiami znajdowała się płyta lotniska i rząd załadowywanych i rozładowywanych samolotów. Ładownia samolotu *Rush Service* była otwarta. Na mokrym asfalcie leżał wąż paliwowy biegnący do stojącej tuż obok cysterny. Przy wlewie czuwał zakapturzony pompier w płaczu przeciwdeszczowym. Pilot i drugi pilot sprawdzali listę startową.

Już miał wsunąć identyfikator do czytnika, gdy w kieszeni zadzwoniła komórka *Aleksa Robbinet*.

- Jacques, wygląda na to, że zaraz wyruszę w drogę. Możesz wyjść po mnie na lotnisko za jakieś sześć, siedem godzin?

- Mais oui, mon amis. Zadzwoni, kiedy wylądujesz. - Podał *Bourne*'owi numer. - Cieszę się, że wkrótce się zobaczymy.

Bourne wiedział, co *Robbinet* chciał powiedzieć. Cieszyło go to, że *Bourne*'owi udało się wymknąć z sieci pod samym nosem agentów. Jeszcze nie, pomyślał, ale już niedługo. Tymczasem...

- Jacques, dowiedziałeś się czegoś o tym *NX 20*?

- Niestety, przyjacielu. Nikt o czymś takim nie słyszał. *Bourne* podupał na duchu.

- A o *Schifferze*?

- Tu miałem trochę szczęścia. Doktor *Felix Schiffer* pracuje w Agencji Zaawansowanych Projektów Obronnych, a przynajmniej pracował. *Jason* poczuł się, jakby dostał cios w brzuch.

- To znaczy?

Szelest papieru w słuchawce. *Robbinet* przekładał kartki z informacjami wywiadowczymi z waszyngtońskich źródeł.

- Bo już nie pracuje. Odszedł trzy miesiące temu.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Zniknął? - spytał z niedowierzaniem *Bourne*. - Tak po prostu?

- Na to wygląda, chociaż w dzisiejszych czasach to nieprawdopodobne.

Bourne zamknął oczy.

- Nie, nie, to niemożliwe. On musi gdzieś być.

- W takim razie...

- Schiffer nie zniknął - przerwał mu Bourne. - „Zniknęli go”. Zawodowcy.

Musi znaleźć się w Budapeszcie możliwie jak najszybciej. Jedynym tropem był teraz klucz do pokoju w hotelu Dunabius Grand na Wyspie Świętej Małgorzaty.

Zerknął na zegarek. Czas uciekał. Trzeba działać. Już zaraz. Teraz.

- Jacques, dzięki, że nadstawiałeś za mnie karku.

- Przykro mi, że zdołałem się dowiedzieć tylko tyle. - Robbinet jakby się zawahał. - Jason...

- Tak?

- Bonne chance.

Bourne schował telefon do kieszeni, otworzył stalowe drzwi i wyszedł na płytę lotniska. Chmury były ciemne i niskie, padający deszcz wyglądał na tle jaskrawych świateł jak srebrzysta kurtyna, zagłębieniami w asfalcie płynęły błyszczące strugi wody. Lekko pochylony ruszył pod wiatr zdecydowanym krokiem człowieka, który zna się na swojej robocie i chce ją wykonać szybko, sprawnie i dokładnie. Obszedł nos samolotu, kilka metrów dalej zobaczył otwartą ładownię. Pompierz właśnie skończył tankowanie i wyjął dyszę z wlewu.

Kątem oka Jason dostrzegł jakiś ruch z lewej strony. Drzwi do terminalu numer cztery otworzyły się gwałtownie i wypadło z nich kilkunastu pracowników ochrony lotniska z bronią gotową do strzału. Ralph musiał otworzyć kłódkę - czasu było coraz mniej. Nie zwalniając kroku, Bourne spokojnie szedł w tym samym kierunku. Był już prawie przy luku ładowni, gdy usłyszał głos pompierza:

- Hej, stary, która jest? Zegarek mi stanął.

Jason odwrócił głowę i momentalnie rozpoznał azjatyckie rysy twarzy człowieka w kapturze. Chan trysnął mu w oczy strumieniem lotniczego paliwa. Dławiąc się i krztusząc, oślepiony Bourne odruchowo podniósł rękę.

Chan pchnął go na śliską burtę samolotu, zadał dwa silne ciosy, jeden w splot słoneczny, drugi w skroń, i gdy pod Jasonem ugięły się nogi, wepchnął go do ładowni.

Szedł ku niemu ładunkowy. Chan podniósł rękę.

- Zamykam! -krzyknął.

Miał szczęście, bo w rzęsimym deszczu trudno było rozpoznać kombinezon, mundur czy twarz. Ładunkowy podziękował mu gestem ręki i zawrócił, ciesząc się, że może wreszcie uciec pod dach. Chan zatrzasnął i zaryglował luk, wskoczył do szoferki i odprowadził cysternę nieco dalej, żeby nie wzbudzała podejrzeń.

Ochroniarze, których zauważył Bourne, szli wzdłuż rzędu samolotów. Dawali znaki pilotom. Chan skrył się za kadłubem transportowca, otworzył luk i wszedł do środka. Bourne stał już na czworakach ze zwieszoną głową. Zaskoczony tym, że tak szybko doszedł do siebie, Chan mocno kopnął go w żebra. Bourne jęknął głucho, upadł i chwycił się za bok.

Azjata wyjął kawalek kabla. Przycisnął głowę Bourne'a do podłogi i związał mu z tyłu rękę. W szumie deszczu usłyszał krzyk ochroniarzy, którzy kazali pilotom pokazać identyfikatory. Zostawiwszy unieruchomionego Bourne'a, Chan szybko zamknął luk.

Przez kilka minut siedział po turecku w ciemnej ładowni. Bębnienie deszczu w kadłub samolotu przypominało mu dźwięk tam-tamów w dżungli. Ilekroć je słyszał, robiło mu się nie-dobrze. W jego trawionym gorączką mózgu odgłos ten brzmiał jak ryk samolotowych silników, jak szaleńczy świst powietrza wypadającego z dysz podczas stromego lotu nurkowego. Napawał go przerażeniem, bo budził wspomnienia, które z takim trudem zepchnął na samo dno świadomości. Mocno gorączkował i wszystkie zmysły miał wyostrzone do granicy bólu. Zdawał sobie sprawę, że dżungla znowu ożyła, że złowieszczą formacją w kształcie klina ostrożnie zmierzają ku niemu mroczne sylwetki ludzi. Ostatnim świadomym ruchem zdjął z szyi rzeźbionego Buddę, schował go w płytkim, pospiesznie wygrzebanym dołku i przykrył liśćmi. Usłyszał czyjeś głosy i zrozumiał, że o coś go pytają. Wytężył wzrok, żeby zobaczyć ich

w szmaragdowym świcie, ale tamci zawiązali mu piekące od potu oczy. Niepotrzebnie. Gdy dźwignęli go z miękkich liści i gałęzi, natychmiast stracił przytomność. Dwa dni później odzyskał ją w obozie Czerwonych Khmerów.

Gdy jeden z nich, niski, trupioblady mężczyzna o zapadniętych policzkach i łzawiącym oku, uznał, że Chan jest zdrowy, rozpoczęło się przesłuchanie.

Wrzucili go do głębokiego dołu, gdzie roilo się od stworzeń, których nie rozpoznałby nawet dzisiaj. W ciemność ciemniejszą od wszystkiego, co znał. I właśnie ta ciemność, wszechogarniająca i uciskająca skronie niczym złowrogi, stale rosnący ciężar, napawała go największym przerażeniem.

Ciemność podobna do tej w brzuchu transportowca.

„I modlił się Jonasz do Pana, swojego Boga, z wnętrzości ryby,

Mówiąc: Wzywałem Pana w mojej niedoli i odpowiedział mi, z głębi krainy umarłych. Wołałem o pomoc i wysłuchał mojego głosu. Wrzucił mnie na głębię pośród morza i porwał mnie wir; wszystkie twoje bałwany i fale przeszły nade mną..”²

Wciąż pamiętał ten fragment z wystrzępionej, poplamionej księgi, której misjonarz kazał mu nauczyć się na pamięć. Potworne! Potworne! Potworne, bo krwiożerczy Khmerzy wrzucili go w głąb piekła, bo modlił się - jeśli myśli lęgnące się w nieukształtowanym umyśle można uznać za modlitwę - o zbawienie. Było to, zanim podetknięto mu pod nos Biblię, zanim zrozumiał nauki Buddy, gdyż od samego początku otaczał go bezkształtny chaos. Pan usłyszał wołanie Jonasa krzyczącego w brzuchu wieloryba, ale jego nie usłyszał nikt. Był w ciemności zupełnie sam, a gdy tamci uznali, że już zmiękł, wyciągnęli go i powoli, z zimnym wyrachowaniem, którego nauczył się dopiero wiele lat później, zaczęli go dręczyć.

Zapalił latarkę i siedząc nieruchomo, spojrzał na Bourne'a. Nagle wyprostował nogę i kopnął go w ramię tak mocno, że Jason przetoczył się na bok, twarzą do niego. Jęknął i zatrzepotał powiekami. Sapnął, zadrzał, wziął głęboki oddech, wciągnął do płuc haust cuchnącego lotniczym paliwem powietrza, gwałtownie drgnął i zwymiotował na podłogę, gdzie leżał, skrecając się z palącego bólu, i gdzie siedział spokojny jak Budda Chan.

- „Zstąpiłem do stóp gór, zawory ziemi na zawsze się za mną zamknęły. Lecz Ty wydo-
byłeś z przepaści moje życie” - powiedział Azjata. Nie odrywał wzroku od czerwonej, opuchniętej twarzy Jasona. - Wyglądasz ohydnie.

Bourne z trudem podparł się na łokciu. Chan z zimną krwią kopnął go w przedramię. Bourne upadł i spróbował wstać. Chan kopnął go ponownie. Ale gdy Bourne spróbował wstać po raz trzeci, Azjata nie wykonał żadnego ruchu i Jason usiadł na podłodze twarzą do niego.

Na ustach Chana błdził irytująco tajemniczy uśmiech, lecz w jego oczach pojawił się nagle ognisty błysk.

- Witaj, ojczu. Dawno się nie widzieliśmy i już zaczynałem myśleć, że w ogóle się nie spotkamy.

Bourne lekko potrząsnął głową.

- O czym ty mówisz?
- Jestem twoim synem.
- Mój syn ma dziesięć lat.

Oczy Chana gorzały upiornym blaskiem.

- Nie tym. Jestem synem, którego zostawiłeś w Phnom Penh. Bourne poczuł się nagle jak człowiek, którego zbezczeszczone.

- Jak śmiesz! Nie wiem, kim jesteś, ale mój syn Joshua nie żyje. - Wypowiedzenie tych słów dużo go kosztowało, bo znowu nawdychał się benzynowych oparów. Zgiął się wpół i byłby zwymiotował, gdyby miał czym.

² Wszystkie cytaty biblijne z: Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1990.

- Nie umarłem - odrzekł niemal czule Chan. Nachylił się i posadził Bourne'a prosto. Gdy to zrobił, na jego bezwłosej piersi zakołysał się mały rzeźbiony Budda. - Jak sam widzisz.

- Joshua nie żyje! Sam składałem ich do grobu, jego, Dao i Alyssę! Ich trumny były owinięte amerykańską flagą.

- Kłamstwo, kłamstwo i jeszcze raz kłamstwo! - Chan przytrzymał Buddę ręką i pokazał go Bourne'owi. - Spójrz na to i przypomnij sobie.

Jason zaczynał tracić poczucie rzeczywistości. Dudniło mu w uszach, jakby chciała go porwać wielka fala. To niemożliwe! Po prostu niemożliwe!

- Skąd... skąd to masz?

- Wiesz, co to jest, prawda? Budda zniknął pod zagiętymi palcami ręki Chana. - Poznałeś w końcu swego dawno zaginionego Joshuę?

- Ty nie jesteś Joshua! - Jason wpadł we wściekłość. Twarz mu po ciemniała, odsłonił zęby jak zwierzę. - Którego azjatyckiego dyplomatę zabiłeś, żeby mu to zabrać? - Roześmiał się ponuro. - Tak, wiem o tobie więcej, niż myślisz.

- To smutne, ale bardzo się mylisz. Ten Budda jest mój. Rozumiesz? - Chan otworzył dłoń i jeszcze raz pokazał mu ciemny posążek, błyszczący od potu z jego palców. - Mój!

- Łżesz! - Bourne zaatakował, runął na niego całym ciałem. Gdy Chan wiązał mu ręce, napiął mięśnie, a gdy przeciwnik napawał się swoim triumfem, nieustannie poruszał nadgarstkami, poluzniając kabel, by wreszcie go zsunąć.

Zaskoczył Chana, nieprzygotowanego na atak głową. Bourne przewrócił się na niego. Latarka potoczyła się po podłodze, oświetlając to ich twarze, to nabrzmiałe bicepsy. W upiornej ciemności, poprzecinanej świetlistymi pasami i pocętkowanej jaskrawymi plamami, tak podobnej do ciemności, jaką obaj znali z azjatyckiej dżungli, zmagali się ze sobą jak dzikie bestie, dysząc, sapiąc, walcząc o przewagę.

Bourne zacisnął zęby i w oszalałym ataku zadawał cios za ciosem. Chan zdołał chwycić go za udo i ucisnąć biegnący tam nerw. Chwilowo sparaliżowana noga ugięła się w kolanie i Jason szarpnął się do tyłu. W tym samym momencie Chan trafił go mocno w podbródek i Bourne zatoczył się jeszcze dalej. Potrząsnął głową i wyjął nóż, lecz Chan zadał mu kolejny cios i sprężynowiec zaklekotał na podłodze. Chan podniósł go i otworzył.

Stanął nad Bourne'em, chwycił go za koszulę i przytrzymał. Lekko zadrżał, jak drży przewód, gdy zaczyna płynąć nim prąd.

- Jestem twoim synem. Przybrałem nowe imię, tak samo jak David Webb przybrał nowe nazwisko.

- Nie! - krzyknął Jason w narastającym ryku silników. - Mój syn zginął wraz z resztą rodziny w Phnom Penh!

- Nazywam się Joshua Webb - odparł Chan. - Porzuciłeś mnie. Zostawiłeś mnie w dżungli na pewną śmierć.

Czubek noża krążył chwiejnie tuż nad gardłem Jasona.

- Ile razy omal nie umarłem. Umarłbym na pewno, gdybym cały czas nie myślał o tobie.

- Jak śmiesz wypowiadać jego imię! Joshua nie żyje! - Bourne'owi posiniała twarz. Oczy przestłoniła mu czerwona mgła.

- Może i nie żyje. - Ostrze noża musnęło skórę. Jeszcze milimetr i utoczyłoby pierwszą kroplę krwi. - Teraz jestem Chanem. Joshua, ten, którego znałeś, umarł. Wróciłem, żeby się zemścić, ukarać cię za to, że mnie porzuciłeś. W ciągu ostatnich kilku dni mogłem cię zabić wiele razy, ale powstrzymałem się, bo chciałem, żebyś wiedział, co mi zrobiłeś. - W kącikach ust zebrała się mu odrobina śliny. - Dlaczego mnie zostawiłeś? Jak mogłeś uciec?

Samolot gwałtownie szarpnął i ruszył. Popłynęła krew. Nóż przeciął skórę i zniknął w ciemności, bo Chan stracił równowagę. Bourne wykorzystał to i uderzył go pięścią w bok, lecz Azjata zahaczył nogą o jego nogę i błyskawicznie ją podciął. Samolot zwolnił na początku pasa.

- Nie uciekłem! - krzyknął Jason. - Joshua zginął!

Błysnął nóż, Chan zaatakował. Bourne zrobił unik i ostrze śmignęło kilka centymetrów poniżej jego prawego ucha. Pamiętał o ceramicznym pistolecie na prawym biodrze, ale nie mógł go wydobyć, nie odsłaniając się i nie narażając na śmiertelny atak. Walczyli z napiętymi mięśniami i twarzami wykrzywionymi z wściekłości i wysiłku. Z ich na wpół otwartych ust dobywał się świszczący Oddech, oczy nieustannie wypatrywały luki w obronie przeciwnika. Atakowali, parowali kontrataki i atakowali ponownie. Pasowali do siebie, wprawdzie nie wielkim, ale szybkością, siłą i sprytem. Jakby czytali sobie w myślach, jakby jeden potrafił przewidzieć każdy kolejny ruch drugiego i uniemożliwić mu zdobycie przewagi. Walczyli zawzięcie i z pasją, dlatego żaden nie wspiął się na szczyt swoich możliwości. To gwałtowne starcie obnażyło wszystkie emocje, wypłukało je z głębi duszy i wypchnęło wyżej, do pokładów świadomego umysłu, gdzie zaległy jak olej na powierzchni wody.

Samolot szarpnął, zadygotał, ruszył i Bourne stracił równowagę. Chan zrobił zwód lewą ręką i ponownie zaatakował nożem, lecz Jason skontrolował i kantem dłoni trafił go w wewnętrzną stronę nadgarstka. Nóż błysnął ponownie; żeby nie oberwać, Bourne skoczył w bok, niechcący odblokowując rygiel luku. Maszyna powoli zadzierała pysk i luk się otworzył.

Żeby nie wypaść na uciekający pod nimi pas, Bourne rozczapierzył ręce, mocno chwycił się ramy i utknął w otwartych drzwiach jak rozgwiazda. Uśmiechając się dziko, Chan podniósł rękę i zatoczył nożem płytki luk, który miał przeciąć go wpół.

Zaatakował w chwili, gdy maszyna oderwała się od ziemi. W ostatnim momencie Jason puścił prawą rękę i siła grawitacji wypchnęła go za burtę z tak wielką siłą, że omal nie wyrwała mu ramienia ze stawu. Tam gdzie jeszcze przed chwilą było jego ciało, ziała teraz czeluść i Chan w nią wpadł. Bourne zerknął w tamtą stronę, lecz zobaczył tylko szarą kulę na czarnym pasie, nic więcej.

Maszyna była już w powietrzu, a on wisiał, objijając się o poszycie kadłuba. Walczył. Deszcz smagał go jak stalową kolczugą, ale oplukał też zaczerwienione, palące od paliwa oczy, oczyścił z trucizny skórę. Wiatr pozbawił go tchu, lecz zdarł mu z twarzy resztki cuchnącej benzyny. Samolot skręcił w prawo. Latarka Azjaty potoczyła się po podłodze, wypadła i zniknęła w przepaści. Bourne wiedział, że jeśli w kilka najbliższych sekund nie wciągnie się na pokład, będzie po nim. Koszmarne bolała go ręka i czuł, że dłużej nie wytrzyma.

Wziął zamach lewą nogą i zdołał zaczepić kostką o próg. Potem zebrał wszystkie siły, szarpnął się potężnie w bok i zahaczył kolanem o próg. Teraz mógł obrócić się twarzą do kadłuba. Prawą ręką chwycił się gumowej uszczelki, podciągnął i powoli wpełzł do środka. Potem wystarczyło już tylko zamknąć luk.

Obolały, krwawiący i posiniaczony runął bezwładnie na podłogę. W wibrującej, targanej wstrząsami ciemności znowu ujrzał małego rzeźbionego Budę, którego on i jego pierwsza żona dali Joshui na czwarte urodziny. Dao pragnęła, żeby jego duch towarzyszył synkowi od najwcześniejszych lat. Synkowi, który wraz z nią i małą siostrzyczką zginął w rzece, gdy zaatakował ich nurkujący samolot.

Joshua nie żył. Dao, Alyssa, Joshua - nie żyli, zginęli, wszyscy troje. Ich ciała rozerwał grad kul. Joshua nie mógł przeżyć, po prostu nie mógł. Sama myśl, że przeżył, doprowadziła by go do obłądzenia. Kim więc był Chan i dlaczego grał z nim w tę okrutną grę?

Nie umiał na to odpowiedzieć. Samolot opadał, wznosił się i opadał ponownie, nabierając wysokości przelotowej. Bardzo pochłodziło, Bourne'owi z ust i nosa szła para. Kiwając się do przodu i do tyłu, skulił ramiona. To niemożliwe. Niemożliwe!

Wydał zwierzęcy krzyk, ulegając bólowi i bezdennej rozpacz. Zwiesiwszy głowę, zapłakał gorzkimi łzami gniewu, niedowierzania i smutku.

Część 2

Rozdział 11

Jason spał, lecz w jego podświadomości znowu przewijało się życie, które niegdyś pogrzebał. W snach roilo się od obrazów, uczuć, widoków i dźwięków, od wszystkiego, co przez wiele lat spychał w najgłębsze zakamarki duszy.

Co się stało tamtego gorącego letniego dnia w Phnom Penh? Nikt tego nie wiedział, a przynajmniej nikt z żywych. Fakty były takie: znudzony i zniecierpliwiony, siedział na nara-dzie w klimatyzowanej sali gmachu Amerykańskiej Służby Zagranicznej, a jego żona Dao ką-pała się z dziećmi w szerokiej, mulistej rzece przed ich domem. Wrogi samolot pojawił się do-słownie znikąd. Spadł skosem z nieba i ostrzelał miejsce, gdzie chlapała się i bawiła jego ro-dzina.

Ileż to razy wyobrażał sobie ten straszny widok? Czy Dao zauważyła nurkującą maszy-nę? A może samolot nadleciał bezszelestnie, z wyłączonymi silnikami, jak szybowiec? Jeśli go jednak dostrzegła, na pewno przygarnęła do siebie dzieci, wepchnęła je pod wodę i zasłoniła własnym ciałem. Na próżno. Mimo potwornego bólu i świadomości, że umiera, musiała sły-szeć krzyk, ich krew zbryzgała jej twarz. Tak przynajmniej myślał, tak mu się to śniło. Dopro-wadzało go to do oblędu, bo z walącym sercem i pulsującą w uszach krwią noc w noc słyszał krzyk, który słyszała też przed śmiercią Dao. Te sny wypędziły go z domu, zmusiły do porzu-cenia wszystkiego, co było mu najdroższe, bo widok znajomych rzeczy i kątów był jak dźgnię-cie noża w brzuch. Uciekł do Sajgonu i tam zajął się nim Conklin.

Gdyby tylko mógł pozostawić za sobą dręczące go koszmary. W wilgotnych dżunglach Wietnamu powracały do niego codziennie jak rany, które musiał i chciał nieustannie rozgrze-bywać. Bo od prawdy uciec nie zdołał: nie mógł sobie wybaczyć, że go tam nie było, że nie obronił swojej żony i dzieci.

Dziewięć tysięcy metrów nad wzburzonym Atlantykiem lkał w bolesnym śnie, po raz ty-sięczny zadając sobie to samo pytanie: co z niego za mąż i ojciec, skoro nie potrafił ochronić swojej rodziny?

O piątej nad ranem Starego obudził telefon od doradczynie prezydenta do spraw bezpie-czeństwa narodowego, która za godzinę chciała widzieć go w swoim biurze. Kiedy ta zdzira sypia? zastanawiał się, odkładając słuchawkę. Usiadł na brzegu łóżka tyłem do Madeleine. Jej, cholera, nic nie obudzi, pomyślał z goryczą. Nauczyła się spać mimo telefonów dzwo-niących o każdej porze nocy i dnia.

- Obudź się! - mruknął i potrząsnął ją za ramię. - Muszę jechać, a bez kawy nie pojadę. Bez słowa protestu wstała, włożyła szlafrok i kapcie, i powlokła się do kuchni.

Stary przetarł twarz, wszedł do łazienki i zamknął drzwi. Siedząc na muszli, zadzwonił do swego zastępcy. Dlaczego miałby spać, skoro jego przełożony nie śpi? Ale ku jego kon-stertacji, Lindros był już na nogach.

- Przez całą noc siedziałem w archiwum czterdziestki - powiedziała; miał na myśli ści-śle tajne akta pracowników CIA. - Wiem już chyba wszystko o Conklinie i Bourne.

- Świetnie, to mi go znajdź.

- Współpracowali ze sobą tak ściśle, tyle razy nadstawiali jeden za drugiego karku, że moim zdaniem to wysoce nieprawdopodobne, by Bourne go zamordował...

- Przed chwilą wezwała mnie Alonzo-Ortiz - burknął Stary z irytacją. - Mam jej to po-wtórzyć? Teraz? Po tej wpadce pod rondem Waszyngtona?

- No nie, ale...

- Słusznie, mój chłopcze, nie. Muszę jej przedstawić konkretne fakty, zanieść dobre wiadomości.

Lindros odchrząknął.

- W tej chwili nie mam żadnych. Bourne zniknął.

- Zniknął? Jezu Chryste, co ty tam robisz?

- Ten facet to magik.

- To człowiek z krwi i kości, tak samo jak my - zagrzmiał dyrektor. - Cholera jasna, jakim cudem znowu się wam wyślizgnął? Mielicie być przygotowani na wszystko!

- I byliśmy. On po prostu...

- Zniknął, wiem. Tyle dla mnie masz? Ta baba urwie mi łeb i położy go sobie w kuchni na talerzu, ale najpierw ja urwę łeb tobie!

Przerwał połączenie, otworzył drzwi i rzucił telefon na łóżko. Ledwie wziął prysznic, ubrał się i wypił tyk kawy, którą posłusznie przyniosła mu żona, przed dom zajechał służbowy samochód.

Wsiadł i przez kuloodporną szybę spojrzął na swój dom. Fasada z ciemnoczerwonej cegły, kamienne węgly, w każdym oknie działające okiennice. Kiedyś dom należał do słynnego rosyjskiego tenora, Maksima jakiegoś tam, a jemu spodobał się dlatego, że miał w sobie coś matematycznie eleganckiego, coś arystokratycznego, czego na próżno szukać w budynkach z młodszych roczników. Ale najbardziej przypadło mu do gustu poczucie prywatności, swoiste go odosobnienia, jakie zapewniało wyłożone kamiennymi płytami podwórze za szpalerem bujnych topoli i ogrodzeniem z ręcznie kutego żelaza.

Rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu lincolna i patrzył na śpiący Waszyngton. Chryste, pomyślał. O tej porze nie śpią tylko pieprzone sikorki. Czy nie przysługuje mi przywilej wieku? Czy po tylu latach służby nie mógłbym pospać chociaż do szóstej?

Wpadli na Arlington Memorial Bridge. Potomac był stalowoszary i płaski jak pas startowy na lotnisku. Na drugim brzegu, nad doryckim - mniej więcej doryckim - mauzoleum Lincolna górował pomnik Waszyngtona, ciemna, posępna iglica podobna do włóczni, jakimi Spartanie przeszywali kiedyś serca swoim wrogom.

Ilekróć zamyka się nad nim woda, słyszy melodyjny dźwięk, jakby dzwoneczki mnichów rozbrzmiewające echem między porośniętymi lasem turniami. Mnichów, na których polował, kiedy był u Czerwonych Khmerów. Czuje też zapach... czego? Co to jest? Cynamon. Tak, czuje zapach cynamonu. Wroga, klębiąca się woda jest przesycona dochodzącymi nie wiadomo skąd odgłosami i przejmującym aromatem. Wciąga go, a on znowu tonie. Bez względu na to, jak desperacko walczy, jak rozpaczliwie wyciąga ręce ku powierzchni, czuje, że obracając się wokół własnej osi, opada coraz niżej i niżej, jakby obciążono go ołowiem. Chwyta grubym sznur przywiązany do kostki u lewej nogi, ale sznur jest tak śliski, że nie może zacisnąć na nim palców. Co jest na jego końcu? Patrzy w cienistą głębinę. Koniecznie musi wiedzieć, co chce go zabić, jakby ta wiedza mogła go uratować przed jakąś bezimienną potwornością. Wciąż opada, wiruje i opada w mrok, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego znalazł się w tym rozpaczliwym położeniu. Na końcu napiętego sznura dostrzega zamazany kształt - kształt czegoś, co pcha go w ramiona śmierci. Emocje zatykają mu usta jak garść pokrzyw i gdy próbuje dociec, czym ten kształt jest, ponownie, tym razem wyraźniej, słyszy ów melodyjny dźwięk. Nie, to nie dzwoneczki, to coś innego, coś intymniejszego i prawie zapomnianego. W końcu rozpoznaje wciągający go w głębinę kształt: to ludzkie ciało. I nagle zaczyna szlochać...

Chan obudził się gwałtownie z głuchym, zdławionym skowytem. Mocno zagryzł wargę i rozejrzał się po ciemnej kabinie. Okno, za oknem czarna noc. Zasnął, chociaż przysiągł sobie, że tego nie robi, żeby uniknąć powracających koszmarów. Wstał, poszedł do toalety, papierowym ręcznikiem wytarł spoconą twarz i ręce. Był bardziej zmęczony niż przed startem. Gdy

patrzył w lustro, pilot ogłosił, że na lotnisku Orly wylądują za cztery godziny i pięćdziesiąt minut. Dla niego była to cała wieczność.

Gdy wyszedł, przed drzwiami stała kolejka. Wrócił na miejsce. Według tego krawca, Finne'a, Bourne gdzieś się wybierał. I miał przy sobie tę przesyłkę od Conklina. Zechce się za niego podać? To możliwe. Na jego miejscu Chan by tak zrobił.

Spojrzał w czarne okno. Wiedział tylko tyle, że Bourne go wyprzedza, że jest już pewnie w Paryżu, lecz nie miał wątpliwości, że Paryż to tylko przystanek na jego drodze. Dokąd zmierzał? Tego Chan musiał się dopiero dowiedzieć.

Asystentka doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego dyskretnie odchrząknęła. Stary zerknął na zegarek. Ta suka, Roberta Alonzo-Ortiz, kazała mu czekać prawie czterdzieści minut. Tu, w waszyngtońskim świecie władzy, tego rodzaju gierki były czymś normalnym, ale Jezu Chryste, przecież to nie facet, tylko baba! A on też jest członkiem Krajowej Rady Bezpieczeństwa. Tak, ale ją mianował prezydent. Mianował i słuchał jak nikogo innego. I gdzie jest teraz Brent Scowcroft, do ciężkiej cholery? Za Forda i Busha był. Był i się zmył. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem Stary odwrócił się od okna, w które patrzył, myśląc o stu rzeczach naraz.

- Może pan wejść - zagruchała słodko asystentka. - Właśnie skończyła rozmawiać z prezydentem.

Ta zdzira nie przepuści żadnej okazji, pomyślał dyrektor. Musi, po prostu musi mi pokazać, kto tu rządzi.

Roberta Alonzo-Ortiz okopała się za biurkiem, olbrzymim antycznym grzmiotem, który przywiozła tu na własny koszt. Stary uważał, że jest absurdalnie wielkie, zwłaszcza że nie było na nim nic oprócz brązowego kompletu na pióra, który dostała od prezydenta w dniu nominacji. Nie ufał ludziom, którzy mieli czyste biurka. Za biurkiem był stojak, a w stojaku - jakżeby inaczej? - amerykańska flaga i flaga z prezydenckim orłem. Między flagami znajdowało się okno z widokiem na Park Lafayette'a. Przed biurkiem stały dwa wyściełane krzesła z wysokim oparciem. Stary posłał w ich stronę tęskne spojrzenie.

Doradczynie tryskała energią. Miała na sobie granatowy kostium i białą jedwabną bluzkę, a w uszach złote klipsy z amerykańską flagą.

- Właśnie rozmawiałam z prezydentem - zaczęła bez wstępów. Nie powiedziała nawet: „Dzień dobry” czy „Zechce pan usiąść”.

- Wiem. Pani asystentka mi mówiła.

Pani Alonzo-Ortiz hupnęła na niego spode łba. Nie znosiła, kiedy jej przerywano.

- Rozmawialiśmy o panu.

Dyrektor poczerwieniał z gniewu, chociaż bardzo tego nie chciał.

- W takim razie powinienem chyba przy tym być.

- Owszem, nie byłoby to niestosowne - odparła doradczynie i żeby nie zdążył odpowiedzieć na ten słowny policzek, dodała szybko: - Do otwarcia szczytu w Reykjaviku zostało pięć dni. Wszystko jest zapięte na ostatni guzik, dlatego boli mnie, że po raz kolejny muszę powtórzyć, iż stąpamy po wyjątkowo cienkim lodzie. Szczyt musi przebiec spokojnie, bez najmniejszych zakłóceń, a już na pewno nie może go zakłócić obłąkany morderca z CIA. Prezydent chce, żeby spotkanie w Reykjaviku zakończyło się pełnym sukcesem. Zamierza wykorzystać ten sukces w kampanii wyborczej, licząc na reelekcję. Co więcej, ma nadzieję, że szczyt w Reykjaviku będzie jego spuścizną. - Położyła ręce na błyszczącym blacie. - Powiem bez ogródek: ten szczyt jest moim absolutnym priorytetem. Jeśli wszystko się uda, będą nas podziwiał przyszłe pokolenia.

Gadała, a Stary wciąż stał, bo nie poprosiła go, żeby usiadł. Reprimenda miała oczywisty podtekst i była tym bardziej poniżająca. Pogrożki, zwłaszcza te zawołowane, miał gdzieś. Ale czuł się jak uczeń, któremu za karę kazano zostać po lekcjach w szkole.

- Musiałam go zawiadomić o nieudanej akcji pod rondem Waszyngtona. - Powiedziała to tak, jakby dyrektor kazał jej wylać kubel gówna w Gabinetie Ovalnym. - Każda porażka ma swoje konsekwencje. Tej musi pan wbić kolek w serce, żeby można było jak najszybciej o niej zapomnieć. Rozumie pan?

- Doskonale.

- A pamięć jeszcze nigdy mnie nie zawiodła...

Stary czuł, że na skroni pulsuje mu żyłka. Miał ochotę przygrzmocić babie.

Powiedziałem, że rozumiem.

Przez chwilę taksowała go wzrokiem, jakby zastanawiała się, czy można mu zaufać. W końcu spytała:

- Gdzie jest Jason Bourne?

- Uciekł z kraju. - Dyrektor zacisnął pięści tak mocno, że zbielały mu kłykcie. Nie mógł, po prostu nie mógł jej powiedzieć, że Bourne zniknął, nic przeszłoby mu to przez gardło. Ale gdy tylko zobaczył jej minę, zrozumiał, że popełnił błąd.

- Uciekł? - powtórzyła. - Dokąd?

Stary milczał.

- Rozumiem. Jeśli ten człowiek pojawi się w Reykjavíku albo gdzieś w pobliżu...

- W Reykjavíku? Po co miałby tam jechać?

- Nie wiem. Jest obłąkany. Już pan o tym zapomniał? To odszczepieniec i buntownik. Dobrze wie, że gdyby udało mu się tam dotrzeć mimo ścisłych środków bezpieczeństwa, Stany Zjednoczone skompromitowałyby się jak nigdy dotąd. - Trzęsła nią furia i pierwszy raz w życiu Stary zaczynał się jej bać. - Bourne ma umrzeć - dodała twardym jak stal głosem. - Czy to jasne?

- Absolutnie. - Dyrektor był zły. - Zabił dwóch ludzi, w tym mojego starego przyjaciela.

Doradczyni wstała i wyszła zza biurka.

- Chce tego sam prezydent. Zbuntowany agent, a - nie oszukujmy się - zwłaszcza Bourne, to koszmar koszmarów. Ten człowiek musi zginąć. Czy wyrażam się jasno?

Stary kiwnął głową.

- Proszę mi wierzyć, on już nie żyje - odrzekł. - Zniknął, jakby nigdy się nie narodził.

- Bóg wszystko słyszy. A prezydent widzi. - Pani Alonzo-Ortiz zakończyła audiencję nagle i arogancko, tak jak ją zaczęła.

Poranne niebo było zachmurzone, padał smętny kapuśniaczek. Paryż, miasto światła, nie wyglądał najlepiej w deszczu. Mansardowe dachy były szare i zamazane, a zwykle wesole i rojne kafejki posępne i opustoszałe. Choć przytłumione, życie toczyło się dalej, lecz samo miasto w niczym nie przypominało słonecznej metropolii, gdzie niemal na każdym rogu rozbrzmiewa gwar rozmów i śmiechy.

Bourne, wyczerpany fizycznie i psychicznie, prawie przez cały lot leżał zwinięty w kłębek. Spał. Sen, choć często przerywany mrocznymi koszmarami, przyniósł mu tak potrzebne wytchnienie i złagodził ból, który dręczył go przez pierwszą godzinę po starcie. Budził się, zmarznięty i zeszywniały, myśląc o posążku Buddy na szyi Chana. Zdawało się, że Budda z niego drwi, uśmiecha się szydlerczo, jakby ukrywał przed nim jakąś tajemnicę. Wiedział, że jest wiele takich posążków - w sklepie, w którym wybierali go z Dao, było ich co najmniej kilkanaście! Wiedział też, że nosi je wielu Azjatów, na szczęście i dla ochrony.

Oczami wyobraźni znowu ujrzał twarz Chana, na której malował się wyraz wyczekiwania i nienawiści, znowu usłyszał jego głos. „Wiesz, co to jest, prawda?” I pełne pasji: „Ten

Budda jest mój. Rozumiesz? Mój!" Nie, to niemożliwe, myślał. Chan nie jest Joshua. Jest inteligentny, tak, lecz okrutny: to wielokrotny morderca. Nie może być moim synem.

Mimo silnych bocznych wiatrów nad wschodnim wybrzeżem Stanów samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku Charles'a de Gaulle'a mniej więcej o czasie. Bourne miał ochotę uciec z lądowni, gdy jeszcze kołowali, ale się powstrzymał.

Coś za nimi lądowało. Gdyby wyskoczył już teraz, byłby jak na widelcu i zauważono by go w miejscu, gdzie nie powinien przebywać nawet personel naziemny. Dlatego cierpliwie czekał, aż maszyna podkołuje bliżej terminalu.

Kiedy zwołniła, uznał, że już pora; silniki wciąż pracowały, wciąż byli w ruchu i wiedział, że teraz nie podejdzie do niej żaden mechanik. Otworzył luk i wyskoczył na asfalt w chwili, gdy tuż obok powolutku przejeżdżała cysterna. Stanął na tylnym stopniu i natychmiast go zemdlilo, bo odór lotniczego paliwa obudził wspomnienie niespodziewanego ataku Chana. Zeskoczył na ziemię szybko, lecz bez pośpiechu i ruszył w stronę terminalu.

W przejściu zderzył się z bagażowym. Przytknął rękę do czoła, przeprosił go wylewnie po francusku, skarżąc się na migrenę, skrzył za róg korytarza i skradzionym bagażowemu identyfikatorem otworzył dwoje drzwi do hali głównej, która - ku jego konsternacji - okazała się zwykłym, trochę tylko przerobionym hangarem. Kręciło się tam kilka osób, ale udało mu się przynajmniej ominąć odprawę celną i paszportową.

Przy pierwszej okazji wrzucił identyfikator do kosza na śmieci; bagażowy zameldował już pewnie o jego utracie i Jason nie chciał, żeby złapano go z dowodem rzeczowym w rękę. Stanął pod wielkim zegarem i przestawił godzinę. W Paryżu było po szóstej. Potem zadzwonił do Robbineta i powiedział mu, gdzie jest.

Minister był nieco zaskoczony.

- Przyleciałeś czarterem? - spytał.

- Nie, transportowcem.

- Bon, to by wyjaśniało, dlaczego jesteś w starym terminalu numer trzy. Pewnie skierowano was tam z Orly. Nigdzie się nie ruszaj, zaraz przyjadę. - Robbinet zachichotał. - Tymczasem witaj w Paryżu, mon ami. Niechaj ci, co cię ścigają, mają pecha. Niechaj ogarnie ich zamęt i konfuzja.

Bourne poszedł się umyć. W toalecie spojrzął w lustro i zobaczył wymizerowaną twarz, udreżone oczy i zakrwawioną szyję człowieka, którego ledwo rozpoznał. Oblał wodą głowę, zmywając pot, brud i resztki makijażu; wilgotnym papierowym ręcznikiem przetarł ranę na szyi. Mu- 3 siał jak najszybciej postarać się o antybiotyk w kremie.

Czuł gulę w żołądku i chociaż nie był głodny, wiedział, że powinien coś zjeść. Co jakiś czas pojawiał mu się w ustach smak paliwa przywołujący mdłości tak silne, że Bourne'owi do oczu napływały łzy. Żeby o tym nie myśleć, przez pięć minut rozciągał się i przez pięć kolejnych gimnastykował, rozprostowując zeszywniałe ręce i nogi. Bolały go wszystkie mięśnie, lecz nie zwracał na to uwagi. Koncentrował się na oddechu, równym i głębokim.

Gdy wyszedł z toalety, Robbinet już czekał, wysoki, dobrze zbudowany i wysportowany, w ciemnym garniturze w jodełkę, błyszczących butach z naszywanymi noskami i stylowym tweedowym płaszczu. Trochę się postarzał i posiwiiał, ale poza tym dokładnie odpowiadał Robbinetowi z okruchów pamięci Bourne'a.

Natychmiast go zauważył i uśmiechnął się szeroko, lecz zamiast do niego podejść, dyskretnym ruchem głowy wskazał w prawo. Bourne spojrzął w tamtą stronę i od razu zrozumiał. Do hangaru weszło kilku funkcjonariuszy Police Nationale - przesłuchiwali personel, bez wątpienia szukając człowieka, który ukradł bagażowemu identyfikator. Jason ruszył przed siebie swobodnym, naturalnym krokiem. Był już niemal w drzwiach, gdy zauważył dwóch policjantów, którzy z przewieszonymi przez pierś pistoletami maszynowymi uważnie przypatrywali się twarzom wchodzących i wychodzących z terminalu ludzi.

Jacques też ich zobaczył. Zmarszczywszy czoło, szybko wyprzedził Bourne'a i zajął ich rozmową. Gdy się przedstawił, powiedzieli mu, że są na akcji, szukają podejrzanego domniemanego terrorysty - który ukradł bagażowemu identyfikator. Pokazali mu jego zdjęcie.

Nie, minister go nie widział. Nie widział, lecz nagle przybrał zaleźniony wyraz twarzy. Może - czy to w ogóle możliwe? - ten terrorysta poluje na niego. Czy byliby tak uprzejmi i odprowadzili go do samochodu?

Gdy tylko się oddalili, Jason szybko wyszedł na spowity szarą mgiełką parking. Zobaczył, jak policjanci podchodzą z Robbinetem do jego peugeota, i skręcił w przeciwną stronę. Jacques wsiał do samochodu, posłał mu ukradkowe spojrzenie i podziękował policjantom, którzy zawrócili do drzwi terminalu.

Robbinet zatoczył łuk i skręcił w kierunku wyjazdu. Znalazłszy się poza zasięgiem wzroku tamtych, zwolnił i opuścił boczną szybę.

- Niewiele brakowało, mon ami.

Jason chciał wsiąść, ale Jacques pokręcił głową.

- Postawili na nogi całe lotnisko, na pewno jest ich więcej. - Pociągnął za dźwignię i otworzył bagażnik. - Wskakuj. Niezbyt tam wygodnie, ale bezpieczniej niż tu.

Bez słowa sprzeciwu Bourne wszedł do bagażnika, zatrzasnął klapę i pojechali. Jacques miał rację; zanim opuścili teren lotniska, musieli zaliczyć blokadę obsadzoną przez funkcjonariuszy Police Nationale i drugą, gdzie czuwali agenci Quai d'Orsay, francuskiego odpowiednika CIA. Robbinet był ministrem, więc nie mieli żadnych kłopotów, ale dwa razy pokazywano mu zdjęcie Bourne'a i pytano, czy go nie widział.

Skręcili na A1 i dziesięć minut później przystanęli w zatoczce. Jason przesiał się na przedni fotel, Jacques dodał gazu i ruszyli na północ.

- To on! - Bagażowy postukał palcem w zdjęcie. - To on ukradł mi identyfikator.

- Jest pan tego pewien, monsieur? Niech pan dobrze się przyjrzy. - Inspektor Alain Savoy podsunął bagażowemu zdjęcie pod nos. Byli w betonowym pomieszczeniu, w terminalu numer trzy, gdzie Savoy postanowił założyć tymczasową kwaterę główną. Miejsce wybrał paskudne, bo cuchnęło tam pleśnią i środkami dezynfekcyjnymi. Wydawało mu się, że zawsze bywał w takich miejscach.

- Tak - powiedział bagażowy. - Wpadł na mnie, mruknął, że boli go głowa. Dziesięć minut później, kiedy chciałem otworzyć drzwi, identyfikatora już nie było. To on mi go ukradł.

- Tak, wiemy - przerwał mu Savoy. - Od chwili zaginięcia system monitoringu wykrył go w dwóch miejscach. - Oddał bagażowemu identyfikator. Savoy nie grzeszył wzrostem i był na tym punkcie przewrażliwiony. Miał wymiętą twarz, za długie, rozczochrane ciemne włosy i wiecznie ściągnięte usta, jakby nawet podczas wypoczynku nie przestawał dzielić ludzi na winnych i niewinnych. - Znaleźliśmy go w koszu na śmieci.

- Dziękuję, panie inspektorze.

- Będzie pan musiał zapłacić grzywnę; potrąca panu dniówkę.

- To oburzające. Poskarżę się w związku. Zorganizujemy demonstrację.

Savoy westchnął. Przywykł do takich pogroźek. Związkowcy ciągle organizowali demonstracje.

- Ta kradzież. Pamięta pan coś jeszcze?

Bagażowy pokręcił głową i inspektor go odprawił. Westchnął jeszcze raz i popatrzył na zdjęcie, które przysłano mu faksem. Obok zdjęcia widniały namiary agenta CIA prowadzącego sprawę. Savoy wyjął trzyczakresową komórkę i wybrał numer.

- Martin Lindros, wicedyrektor CIA.

- Mówi inspektor Alain Savoy z Quai d'Orsay. Znaleźliśmy waszego zbiega.

- Co takiego?!

Na nieogolonej twarzy inspektora zagościł lekki uśmiech. Quai d'Orsay od zawsze trzymało się fartuszka CIA. Sytuacja wreszcie się odwróciła, co sprawiło Savoyowi dużą przyjemność, nie wspominając już o tym, że -jak na prawdziwego francuskiego patriotę przystało - odczuwał z tego powodu wielką dumę.

- Tak. Jason Bourne wylądował na lotnisku Charles'a de Gaulle'a o szóstej rano naszego czasu. - Lindros głośno sapnął i Savoyowi zrobiło się ciepłej na sercu.

- Macie go? Zatrzymaliście go?

- Niestety nie.

- Jak to nie? To gdzie on jest?

- No właśnie, w tym cała tajemnica. - Zapadło milczenie, tak długie, że inspektor poczuł się zobligowany je przerwać. - Monsieur Lindros? Jest pan tam?

- Jestem, jestem, przeglądam notatki... - Znowu cisza, tym razem krótsza. - Alex Conklin miał w waszym rządzie współpracownika, niejakiego Jacques'a Robbineta. Zna go pan?

- Certainement. Monsieur Robbinet jest ministrem kultury. Nie chce pan chyba powiedzieć, że tak wysoko postawiony urzędnik państwowy jest w zмовie z tym szaleńcem?

- Ależ skąd. Rzecz w tym, że Bourne zamordował już monsieur Conklina i jeśli jest w Paryżu, logiczne by było, że może teraz zapolować na monsieur Robbineta.

- Chwileczkę, proszę się nie rozłączać. - Robbinet. Savoy był pewien, że tego dnia widział albo słyszał gdzieś to nazwisko. Dał znak podwładne mu i ten podał mu plik dokumentów. Inspektor przejrzał szybko protokoły z przesłuchań przeprowadzonych na lotnisku de Gaulle'a przez policję i służby bezpieczeństwa. Miał rację, nazwisko tam było. Podniósł telefon. - Monsieur Lindros? Tak się składa, że pan minister dzisiaj tu był.

- Na lotnisku?

- Tak. Co więcej, przesłuchano go w tym samym terminalu, w którym Bourne ukradł identyfikator jednemu z bagażowych. Minister zdenerwował się, słysząc jego nazwisko. Poprosił policjantów, żeby odprowadzili go do samochodu.

- To tylko potwierdza moją teorię. - Z podniecenia i niepokoju Lindrosowi zaczynało brakować tchu. - Panie inspektorze, musi pan go znaleźć, i to jak najszybciej.

- Nie widzę problemu. Po prostu zadzwonię do ministerstwa i...

- Nie, proszę tego nie robić - przerwał mu Lindros. - Ta operacja musi być całkowicie tajna i stuprocentowo zabezpieczona.

- Przecież Bourne nie może...

- Monsieur, w trakcie tego krótkiego śledztwa skutecznie oduczyłem się używać tych słów, bo proszę mi wierzyć, że Bourne może. To niezwykle inteligentny i niebezpieczny morderca. Każdemu, kto się do niego zbliży, grozi śmierć. Jasne?

- Pardon, monsieur?

Lindros spróbował mówić trochę wolniej.

- Bez względu na to, jak będzie pan szukał ministra Robbineta, musi pan to robić po cichu, nieoficjalnie. Jeśli uda się panu go zaskoczyć, istnieją szansę, że zaskoczy pan również Bourne'a.

- D'accord. - Savoy wstał i poszukał wzrokiem płaszcza,

- Proszę posłuchać, panie inspektorze - zakończył Lindros. - Obawiam się, że ministrowi grozi bardzo poważne niebezpieczeństwo. Teraz wszystko zależy od pana.

Mijali betonowe bloki, biurowce i lśniące fabryki, w porównaniu z amerykańskimi, wszystkie niskie, przysadziste i tym brzydsze, że niebo było zaciągnięte posępnyymi chmurami. Skręcili w CD47 i pojechali na zachód, na spotkanie nadciągającej burzy.

- Jacques, dokąd my właściwie jedziemy? - spytał Bourne. - Muszę jak najszybciej być w Budapeszcie.

- *D 'accord* - odrzekł Robbinet. Od czasu do czasu zerkał w lusterko, wypatrując policji. Obaj wiedzieli, że *Quai d'Orsay* to zupełnie inna sprawa; ich agenci jeździli nieoznakowanymi samochodami, co kilka miesięcy zmieniając markę i model. - Zarezerwowałem ci bilet na samolot, który odleciał pięć minut temu, ale zanim wylądowałeś, układ pionków na szachownicy uległ zmianie. Firma głośno domaga się twojej krwi i to wołanie słychać w każdym zakątku świata, wszędzie tam, gdzie CIA ma wpływy czy zna ludzi takich jak choćby ja.

- Przecież musi być jakieś wyjście...

- Oczywiście, *mon ami* - przerwał mu z uśmiechem Robbinet. - Wyjście jest zawsze: nauczył mnie tego niejaki Jason Bourne. - Ponownie skręcili na północ, na NI7. - Kiedy odpoczywałeś w bagażniku, ja nie próżnowałem. O szesnastej z Orly odlatuje wojskowy samolot.

- Dopiero o czwartej? Nie lepiej dojechać do Budapesztu samochodem?

- Zbyt niebezpieczne, za dużo policji. Poza tym twoi rozwścieczeni przyjaciele z CIA postawili na nogi całą *Quai d'Orsay*. - Robbinet wzruszył ramionami. - Wszystko załatwione. Mam dla ciebie dobre papiery. Jako wojskowy nie będziesz rzucił się w oczy, zresztą lepiej odczekać, aż policja zapomni o incydencie na lotnisku. - Wyprzedzili kilka wolno jadących samochodów. - Do tego czasu musisz przywarować.

Jason spoglądał na ponury krajobraz za oknem. Po ostatnim spotkaniu z Chanem czuł się jak po zderzeniu z wylatującym z szyn pociągami. Ani przez chwilę nie przestał zgłębiać istoty dręczącego go bólu, podobnie jak uciska się chory ząb, żeby sprawdzić, jak daleko ten ból sięga. Zawzięcie dociekliwa część jego umysłu ustaliła już, że Azjata nie powiedział nic takiego, co dowodziłoby, że naprawdę wie wszystko o nim i jego zmarłym synu. Robił aluzje, insynuował, tak, ale do czego się to sprowadzało?

Czuąc na sobie wzrok Robbineta, odwrócił głowę. Ten, źle interpretując jego milczenie, powiedział:

- Nie bój się, *mon ami*. O szóstej wieczorem będziesz już w Budapeszcie.

- *Merci, Jacques*. - Jason odpędził od siebie smutne myśli. - Dzięki, że zechciałeś mi pomóc. Co teraz?

- Alors, teraz jedziemy do *Goussainville*. Nie jest to najpiękniejsza wieś we Francji, ale znam tam kogoś, kto na pewno cię zainteresuje.

Robbinet zamilkł i długo się nie odzywał. Miał rację. *Goussainville* było jedną z wiosek, które ze względu na bliskość wielkiego lotniska przekształcono w nowoczesne miasta przemysłowe. Przygnębiającą brzydotę bloków, szklanych biurowców i gigantycznych marketów, bardzo podobnych do *Wal-Martu*, tylko nieznacznie łagodziły ronda i chodniki wysadzone rzędami kolorowych kwiatów.

Pod deską rozdzielczą był skaner, pewnie ministerialnego szofera, i gdy zajechali na stację benzynową, Bourne spytał Robbineta o częstotliwość policji i *Quai d'Orsay*. Jacques poszedł zatankować, a on włączył skaner i przez chwilę słuchał komunikatów, lecz nie było w nich informacji o incydencie na lotnisku ani w ogóle niczego, co mogłoby go zainteresować.

Obserwował przyjeżdżające i odjeżdżające samochody. Jakaś kobieta spytała Robbineta o lewe przednie koło jej wozu. Bała się, że jest za słabo napompowane. Nadjechał samochód z dwoma młodymi mężczyznami. Obaj wysiedli. Jeden oparł się o zderzak, drugi wszedł do sklepu. Ten przy zderzaku popatrzył na ich *peugeot*a, a potem na nogi wracającej do samochodu kobiety.

- Mówią coś? - Jacques wszedł.

- Nic.

- To dobrze.

Ruszyli. Brzydkie domy i ulice - Bourne zerkał w lusterko, żeby sprawdzić, czy nie jadą za nimi tamci dwaj.

- *Goussainville* ma stare, królewskie korzenie - powiedział Robbinet. - Należało niegdyś do *Clotaire*, żony *Clovisa*, króla Francji z szóstego wieku. Ponieważ Franków uważano wtedy

za barbarzyńców, Clovis przeszedł na katolicyzm, dzięki czemu uznali nas Rzymianie. Cesarz mianował go konsulem. Koniec z barbarzyństwem, zostaliśmy obrońcami wiary.

- Nigdy bym się nie domyślił, że to średniowieczne miasto. Jacques zaparkował przed rzędem bloków.

- We Francji - powiedział - historia często kryje się w najbardziej nie oczekiwanych miejscach.

Jason spojrzął w okno.

Tu mieszka twoja aktualna przyjaciółka? Kiedy przedstawiłeś mi ostatnią, musiałem udawać, że jest moją dziewczyną, bo do kawiarni weszła twoja żona.

- I o ile pamiętam, nieźle się wtedy bawiłeś. - Robbinet pokręcił głową. - Ale nie, Delphine, z tym jej Dior to, Yves Saint Laurent tamto, wolałaby chyba podciąć sobie żyły, niż zamieszkać w Goussainville.

- W takim razie co tu robimy?

Jacques długo milczał, patrząc na deszcz.

- Parszywa pogoda - powiedział w końcu.

- Jacques?

Robbinet wyrwał się z zamyślenia.

- Wybacz, mon ami, odpłynąłem. Alors, zabieram cię na spotkanie z Mylene Dutronc. Znasz to nazwisko?

Jason pokręcił głową.

- Tak myślałem. Cóż, Alex już nie żyje, więc chyba mogę ci powiedzieć. Mylene była jego kochanką.

Bourne'a nagle olśniło.

- Czekał, niech zgadnę... jasne oczy, długie kręcone włosy i lekki ironiczny uśmiech.

- Powiedział ci o niej?

- Nie, widziałem zdjęcie. W sypialni nie miał prawie żadnych rzeczy osobistych, tylko jej fotografię. - Odczekał chwilę. - Ona wie?

- Zadzwoiłem do niej, gdy tylko się dowiedziałem.

Ciekawe, dlaczego nie zawiadomił jej osobiście, pomyślał Bourne. Tak byłoby przyzwyczajenie.

- No, dość gadania. - Robbinet wziął torbę z tylnego siedzenia. - Idziemy.

Wysiedli i wysadzaną kwiatami ścieżką doszli do krótkich cementowych schodów. Jacques wcisnął guzik i chwilę później zabrzączał elektryczny zamek.

W środku blok wyglądał równie nijako jak od zewnątrz. Weszli na czwarte piętro i skręcili w korytarz z rzędem identycznych drzwi po obu stronach. Na dźwięk ich kroków jedne z nich otworzyły się i w progu stała Mylene Dutronc.

Była dziesięć lat starsza niż na zdjęciu. Musi dobiegać sześćdziesiątki, pomyślał Jason, ale wygląda dużo, dużo młodziej. Wciąż miała ten sam błysk w jasnych oczach, ten sam tajemniczy uśmiech. Była w butach na płaskim obcasie, w dżinsach i szytej na miarę bluzce, bardzo kobiecym stroju, który podkreślał jej pełną figurę. Włosy, naturalne, popielatoblond, ściągnęła do tyłu.

- Bonjour, Jacques. - Nadstawiła mu policzek do pocałowania, jeden i drugi, ale już patrzyła na Jasona.

A on dopiero teraz dostrzegł szczegóły, których zdjęcie nie ujawniło. Kolor jej oczu, rzeźbione nozdrza, biel zębów. Jej twarz wyrażała jedno-cześnie siłę i czułość.

- Pan Bourne, prawda? - Szare oczy spojrzały na niego chłodno.

- Przykro mi z powodu Aleksa - powiedział Jason.

- Dziękuję. To był szok dla wszystkich, którzy go znali. - Zrobiła im przejście. - Proszę, wejdźcie.

Bourne rozejrział się po pokoju. Panna Dutronc mieszkała w środku szarego blokowi-
ska, lecz jej mieszkanie bynajmniej nie było szare. W przeciwieństwie do wielu ludzi w jej
wieku, nie otaczała się starymi meblami, relikami przeszłości. Jej meble były nowoczesne, ale
i wygodne. Kilka krzeseł, dwie identyczne sofy stojące naprzeciwko siebie przed kominkiem,
wzorzyste zasłony. Z takiego mieszkania nie chce się wychodzić, pomyślał Jason.

- Pewnie miał pan długi lot - powiedziała. - Musi pan umierać z głodu. - Ani słowem nie
wspomniała o jego tragicznym wyglądzie, za co był jej wdzięczny. Posadziła go przy stole w
jadalni i przyniosła jedzenie z typowo europejskiej kuchni, małej i ślepej. Potem usiadła na-
przeciwko niego, położyła ręce na stole i mocno splótła palce. Bourne zauważył, że płakała.

- Umarł... szybko? - spytała. - Nie cierpiał? Często o tym myślę.

- Nie - odrzekł szczerze Jason. - Na pewno nie.

- To zawsze coś... - szepnęła z ulgą. Odchyliła się do tyłu i ruch ten zdradził Bourne'o-
wi, jak bardzo jest spięta. - Dziękuję, Jason. - Podniosła głowę i nie ukrywając uczuć, popa-
trzyła mu w oczy. - Mogę ci mówić po imieniu?

- Oczywiście.

- Dobrze go znałeś, prawda?

- Na tyle, na ile można było go znać.

Spojrzała na Robbineta. Właściwie tylko zerknęła, ale to wystarczyło.

- Muszę zadzwonić. - Jacques już wyjął komórkę. - Nie pogniewacie się, jeśli na chwilę
zostawię was samych?

Patrzyła posepnie, jak wychodzi do saloniku. Potem spojrzała na Bourne'a.

- Jason, powiedziałeś to jak prawdziwy przyjaciel. Nawet gdyby Alex mi o tobie nie
mówił, powiedziałabym to samo.

- Opowiadał pani o mnie? - Bourne pokręcił głową. - Alex nie rozmawiał o pracy z cy-
wilami.

Znowu ten uśmiech, tym razem aż nadto ironiczny.

- Widzisz, rzecz w tym, że ja nie jestem, jak to ująłeś, cywilem. - Trzymała w ręku pacz-
kę papierosów. - Przeszkadza ci dym?

- Nie.

- Wielu Amerykanom przeszkadza. Macie na tym punkcie obsesję, prawda?

Nie czekała na odpowiedź; więc Bourne nie odpowiedział. Patrzył, jak Mylene przypala
papierosa, głęboko zaciąga się dymem i wypuszcza go powoli, z wyraźną przyjemnością.

- Nie, nie jestem cywilem. - Dym kłębił się i wirował. - Pracuję w Quai d'Orsay.

Bourne znieruchomiał. Ukrytą pod stołem ręką wymacał rękojeść ceramicznego pistole-
tu Derona. Jakby czytając w jego myślach, Mylene pokręciła głową.

- Spokojnie, Jason. Jacques nie wciągnął cię w zasadzkę. Jesteś między przyjaciółmi.

- Nie rozumiem - odparł chrapliwie. - Jeśli pracuje pani w Quai d'Orsay, Alex tym
bardziej nie rozmawiałby z panią swojej pracy. Nie chciałby stawiać pani w niezręcznej sytu-
acji.

- To prawda. Było tak przez wiele lat - Mylene zaciągnęła się i wypuściła dym nosem.
Ilekcroć to robiła, zawsze podnosiła głowę. Wyglądała wtedy jak Marlena Dietrich. - A potem,
całkiem niedawno, coś się stało. Nie wiem co. Nie chciał powiedzieć, chociaż bardzo go pro-
siłam.

Przez kilka sekund przyglądała mu się przez siny dym. Każdy agent służb wywiadow-
czych musi zachowywać kamienną twarz, nie ujawniając myśli ani uczuć, lecz Bourne czytał
w jej oczach i widział, że opuściła gardę.

- Czy jako jego wieloletni przyjaciel pamiętasz, żeby kiedykolwiek się czegoś bał?

- Nie. Alex nie bał się niczego. Nigdy.

- A jednak tamtego dnia się bał. Dlatego błagałam go, żeby mi powiedział, o co chodzi.
Chciałam mu pomóc, a przynajmniej namówić, żeby nie mieszał się w nic złego.

Jason nachylił się do przodu, spięty tak jak ona.

- Kiedy to było?

- Dwa tygodnie temu.

- I co? Powiedział pani coś?

- Nie. Wymienił tylko jedno nazwisko: Felix Schiffer. Bourne'owi szybciej zabiło serce.

- Schiffer pracował w Agencji Zaawansowanych Projektów Obronnych.

Mylene zmarszczyła czoło.

- Alex mówił, że w Wydziale Taktycznych Broni Obezwładniających.

- Czyli w CIA... - szepnął Bourne ni to do siebie, ni do niej. Puzzle zaczynały do siebie pasować. Czy Alex namówił Schifferra do porzucenia pracy w projektach obronnych i przejścia do WTBO? Ktoś taki jak on mógł bez trudu „zniknąć” Schifferra. Tylko po co? Dlaczego? Jeśli kłusował na terenach łowieckich Departamentu Obrony, na pewno poradziłby sobie z leśniczymi i nie musiałby nikogo ukrywać. Ale Schifferra ukrył. Musiał mieć ku temu inne powody, tylko jakie? - Dlatego się bał? Chodziło o Schifferra?

- Nie chciał nic powiedzieć, ale czy mogło być inaczej? Tego dnia, w ciągu zaledwie paru godzin, otrzymał i wykonał mnóstwo telefonów. Był straszliwie spięty i domyśliłam się, że ma w terenie ludzi, prowadzą jakąś operację. Kilka razy wymienił nazwisko Schifferra. Przypuszczam, że to on był celem akcji.

Inspektor Savoy siedział w Citroenie, wsłuchując się w chrobot wycieraczek. Nie znośił deszczu. Padało w dniu, kiedy odeszła od niego żona, padało, gdy córka wyjechała na studia do Ameryki, żeby już nigdy nie wrócić do kraju. Żona wyszła za pedantycznego bankiera i mieszkała teraz w Bostonie. Miała troje dzieci, dom, majątek, wszystko, czego tylko chciała, tymczasem on siedział w tym zasnętym miasteczku - Goussain? Guoassain? Nie, Goussainville - ogryzając do krwi paznokcie.

Ale dziś było trochę inaczej, bo próbował namierzyć człowieka, którego CIA umieściła na liście najbardziej poszukiwanych przestępców. Gdy dopadnie tego Bourne'a, nareszcie zrobi karierę. Tak jest, złapie go, i winda! Może nawet zwróci na niego uwagę sam prezydent. Spojrzał na drugą stronę ulicy, na samochód ministra Robbineta.

Quai d'Orsay podało mu markę, model i numer rejestracyjny. Od kolegów dowiedział się, że opuściwszy lotnisko, minister skręcił w Al i pojechał na pomoc. Wpadł do centrali, sprawdził, kto nadzoruje pomocne sektory, i pamiętając o ostrzeżeniu Lindrosa, że łączność radiowa może być niepewna, zaczął do nich metodycznie wydzwaniać. Żaden z jego rozmówców nie zauważył jednak ministerialnego peugeota i Savoy zaczynał się denerwować, gdy skontaktowała się z nim Justine Berard, która widziała Robbineta na stacji benzynowej i nawet z nim rozmawiała. Pamiętała, że minister był zdenerwowany i opryskliwy.

- Uznała pani, że to dziwne? - spytał Savoy.

- Tak - odparła Berard. - Wtedy o tym nie myślałam, ale teraz tak.

- Był sam?

- Nie jestem pewna. Lał deszcz, szyba była podniesiona. Szczerze mówiąc, patrzyłam tylko na pana ministra.

- Przystojniak z niego. - Inspektor powiedział to bardziej oschle, niż zamierzał. Berard bardzo mu pomogła. Widziała, w jakim kierunku minister odjechał, i zanim Savoy dotarł do Goussainville, zdążyła odnaleźć jego samochód przed jednym z bloków.

Mylene spojrzała na szyję Bourne'a i zgasiła papierosa.

- Znowu krwawisz - powiedziała. - Chodź. Trzeba to opatrzyć.

Zaprowadziła go do łazienki wyłożonej zielonymi i kremowymi kafelkami. Przez wychodzące na ulicę okno wpadało szare światło. Kazała mu usiąść i przemyła mydłem zaczerwienioną przęgę na gardle.

- Zrobione. - Posmarowała ranę antybiotykiem. - To nie jest przypadkowe skaleczenie. Bileś się z kimś.

- Miałem trudności podczas odprawy celnej.

- Jesteś skryty jak Alex. - Odsunęła się o krok, jakby chciała lepiej mu się przyjrzeć. - I smutny. Bardzo smutny.

- Panno Dutronc...

- Mów mi po imieniu. - Przykryła ranę sterylną gazą i zakleiła plastrem. - Co trzy dni będziesz zmieniał opatrunek. Dobrze?

- Tak. - Uśmiechnęła się, a on odpowiedział jej uśmiechem. - Merci, Mylene.

Łagodnie pogłaskała go po policzku.

- Bardzo smutny... Wiem, że byliście sobie bliscy. Alex uważał cię za syna

- Powiedział ci to?

- Nie musiał. Zawsze mówił o tobie ze szczególnym wyrazem twarzy. - Jeszcze raz obejrzała opatrunek. - Stąd wiem, że nie tylko mnie boli serce.

Pod wpływem impulsu chciał jej wszystko powiedzieć, wyznać, że chodzi nie tylko o śmierć Aleksa i Mo, ale i o spotkanie z Chanem. Zacisnął zęby i nie powiedział nic. Mylene ma własny krzyż do dźwigania.

- O co tu chodzi z tobą i Jakiem? - spytał. - Zachowujecie się, jakbyście się nienawidzili.

Uciekła wzrokiem w bok i popatrzyła na ociekającą deszczem szybę.

- To, że cię tutaj przywiózł, świadczy o jego odwadze, a to, że poprosił mnie o pomoc, dużo go kosztowało. - Odwróciła się i spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Śmierć Aleksa musiała wstrząsnąć nią tak mocno, że wydarzenia z przeszłości wypłynęły na powierzchnię wzburzonego oceanu wydarzeń teraźniejszych. - Na świecie jest tyle smutku... - Pojedyncza łza stoczyła się na policzek, zadrgała i spłynęła na koszulę. - Widzisz, przed Alekssem był Jacques.

- Byliście... kochankami?

- Jacques nie był jeszcze żonaty. Kochaliśmy się jak wariaci, a że byliśmy młodzi, zaśzłam w ciążę.

- Masz dziecko?

Mylene wytarła ręką policzek.

- Non, nie chciałam. Nie kochałam go. Dopiero wtedy spadły mi łuski z oczu. Jacques mnie kochał, a on jest bardzo... wierzący.

Roześmiała się smutno i Bourne'owi przypomniała się opowieść o Goussainville, o tym, jak barbarzyńscy Frankowie zostali obrońcami wiary. Przejście na katolicyzm było bardzo mądrym posunięciem, lecz Clovisowi chodziło chyba o przetrwanie i politykę, a nie o religię jako taką.

- Nigdy mi tego nie wybaczył. - Jej wyznanie było tym bardziej poruszające, że nie wyglądało na uzalanie się nad sobą.

Bourne nachylił się i delikatnie pocałował ją w oba policzki, a ona -z krótkim, zdławionym szlochem - przytuliła go na chwilę.

Gdy po prysznicu wyszedł z kabiny, znalazł w łazience starannie wyprasowany mundur. Ubierając się, spoglądał w okno. Wiatr targał gałęziami drzew. Z parkującego na ulicy samochodu wysiadła ładna, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta. Wysiadła i podeszła do citroena, w którym -obsesyjnie obgryzając paznokcie - siedział mężczyzna o trudnym do ustalenia wieku. Kobieta otworzyła drzwiczki od strony pasażera i wsiadła.

W scenie tej nie byłoby nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że Bourne widział tę kobietę na stacji benzynowej. Pytała Robbineta o koło samochodu.

Quai d'Orsay!

Szybko wrócił do saloniku, gdzie Jacques wciąż wisiał na telefonie. Gdy zobaczył minę Bourne'a, natychmiast przerwał rozmowę.

- Co się stało, mon ami?
- Namierzyli nas.
- Niemożliwe! Jakim cudem?
- Nie wiem, ale w czarnym citroenie po drugiej stronie ulicy siedzi dwóch agentów Quai d'Orsay.

Z kuchni wyszła Mylene.

- Dwóch innych obserwuje ulicę od tyłu, ale spokojnie, nie wiedzą nawet, że jesteś w tym bloku i...

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Jason wyjął pistolet, ale Mylene zgromiła go wzrokiem. Jeden ruch głowy i obaj zniknęli w korytarzyku. Mylene otworzyła drzwi. W progu stał inspektor Savoy, rozczochrany i w wymiętym płaszczu.

- Alain? Bonjour...

- Przepraszam za najście - powiedział Savoy z wstydliwym uśmiechem - ale siedziałem tam i siedziałem, i nagle przypomniało mi się, że pani tu mieszka.

- Wejdzie pan? Może zrobić kawę?

- Nie, dziękuję, nie mam czasu.

- Siedzi pan na ulicy? - spytała Mylene. - Przed moim domem? Co pan tam robi?

- Szukamy Jacques'a Robbineta.

Mylene wytrzeszczyła oczy.

- Ministra kultury? Co minister kultury robiłby w Goussainville?

- Nie mam pojęcia, ale przed blokiem stoi jego samochód.

- Wygląda na to, że pan inspektor nas przechytrzył. - Robbinet wszedł do saloniku, zapijając kosztelę. - Nie ma co, nakrył nas.

Mylene odwróciła się plecami do Savoya i przeszła Jacques'a wzrokiem. 'Minister posłał jej swobodny uśmiech, podszedł bliżej i musnął ustami jej usta.

Inspektor poczuł, że pieką go policzki.

- Panie ministrze, nie wiedziałem... Nie miałem pojęcia, że... Nie chciałem państwu przeszkadzać...

Robbinet podniósł rękę.

- Przepraszam, ale dlaczego mnie szukacie?

Z demonstracyjną ulgą Savoy pokazał mu zdjęcie Bourne'a.

- Szukamy tego człowieka. To były agent CIA, groźny morderca. Mamy powody podejrzewać, że chce pana zabić.

- To straszne, Alain! - zawołała wstrząśnięta Mylene.

Bourne, który obserwował tę komedię z mrocznego korytarza, musiał przyznać, że odegrała to nader wiarygodnie.

- Nie znam go - odparł Robbinet. - Nie wiem, dlaczego miałby dybać na moje życie. Cóż, kto zgłębi duszę mordercy? - Wzruszył ramionami, wziął od Mylene marynarkę i płaszcz. - Ale tak, oczywiście, natychmiast wracam do Paryża.

- Pod naszą eskortą - oznajmił stanowczo Savoy. - Pojedzie pan ze mną, a mój kolega poprowadzi pański wóz. - Wyciągnął rękę. - Pozwoli pan?

- Jak pan sobie życzy. - Jacques podał mu kluczyki do peugeota. - Jestem w pańskich rękach, inspektorze.

Objął Mylene. Savoy dyskretnie się wycofał, mówiąc, że zaczeka przed drzwiami.

- Zabierz Jasona na parking - szepnął Jacques. - Weź moją dyplomatkę i daj mu, wiesz co. - Podał jej szyfr zamka.

Mylene podniosła głowę i mocno pocałowała go w usta.

- Powodzenia, Jacques.

Robbinet oniemiał, rozszerzyły mu się oczy. Potem wyszedł i Mylene zamknęła drzwi.

- Jason! - zawołała cicho. - Jacques kupił nam trochę czasu, musimy to wykorzystać.

Bourne kiwnął głową.

- D'accord.

Mylene wzięła dyplomatkę.

- Chodźmy. Szybko!

Wyjrzała na korytarz i upewniwszy się, że nikogo tam nie ma, poprowadziła go schodami na dół, do podziemnego parkingu. Przystanęła przed metalowymi drzwiami ze zbrojoną drutem szybką.

- Czysto - szepnęła. - Chyba czysto, ale musisz uważać, nigdy nic nie wiadomo.

Otworzyła dyplomatkę.

- Masz tu pieniądze, o które prosileś, i papiery. Nazywasz się Pierre Montefort, jesteś kurierem i wiesz ściśle tajne dokumenty dla attache wojskowego w Budapeszcie. Musi je otrzymać najpóźniej o szóstej miejscowego czasu. - Wcisnęła mu do ręki kluczyki. - Trzymaj. Na przedostatnim miejscu w trzecim rzędzie stoi wojskowy motocykl.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Bourne otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale uprzedziła go:

- Pamiętaj, Jason, życie jest za krótkie, żeby czegoś żałować.

Pchnął drzwi i sztywno wyprostowany, żołnierskim krokiem wyszedł na szary, betonowy parking z poplamioną smarami podłogą. Minął dwa rzędy samochodów, skręcił w prawo i chwilę później natknął się na motocykl, srebrzysty voxan VB-1 z olbrzymim, prawie litrowym silnikiem V2. Żeby dyplomatka rzuciła się w oczy tym z Quai d'Orsay, przypiął ją pasami do bagażnika. Włożył kask, schował czapkę do sakwy, wyprowadził motor, wsiadł, odpalił silnik i wyjechał na deszcz.

Gdy zadzwonił inspektor Savoy, Justine Berard rozmyślała o swoim synu. Ostatnio jedyną metodą kontaktu z Ives'em były gry wideo, na to przynajmniej wyglądało. Kiedy pierwszy raz wygrała z Ives'em w Grand Theft Auto, spojrzal na nią i naprawdę zobaczył w niej żywą istotę, a nie irytującego potwora, który gotował i prał mu skarpetki. Od tamtego czasu prosił ją, żeby zabrała go na przejażdżkę służbowym samochodem. Jak dotąd skutecznie się opierała, ale nie było cienia wątpliwości, że niedługo pęknie nie tylko dlatego, że była dumna ze swojego opanowania stylu jazdy, ale i dlatego, że rozpaczliwie chciała, żeby Yves był dumny z niej.

Wykonując rozkazy Savoya, który powiadomił ją, że znalazł Robbineta i że eskortują go do Paryża, natychmiast puściła maszynę w ruch: zdjęła ludzi ze stanowisk obserwacyjnych i skierowała ich do obstawy, a gdy Savoy wyszedł z ministrem z bloku, dała znak mundurowemu z Police Nationale, żeby poszedł za nimi. Jednocześnie cały czas obserwowała ulicę, na wypadek gdyby nagle się pojawił obłąkany Jason Bourne.

Cieszyła się. Wiedziała, że teraz, gdy dzięki sprytowi, przebiegłości i odrobinie szczęścia inspektor znalazł Robbineta w betonowym labiryncie, jej notowania pójdą ostro w górę, bo właśnie ona go tu zaprowadziła i to ona będzie z nim do samego końca, do chwili gdy dostarczy ministra do Paryża, całego i zdrowego.

Savoy i Robbinet przeszli na drugą stronę ulicy pod czujnym okiem falangi policjantów z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi. Otworzyła drzwiczki samochodu inspektora i gdy ją mijali, Savoy dał jej kluczyki do ministerialnego peugeota.

Robbinet nachylił się, żeby wsiąść, i w tej samej chwili usłyszała stłumiony ryk potężnego motocyklowego silnika. Dobiał z podziemnego parkingu pod blokiem, w którym Savoy znalazł Robbineta. Przekrzywiła głowę, wyteżyła słuch i rozpoznała warkot voxana VB-1. Voxan VB-1 - wojskowy motocykl.

Kilka sekund później, widząc wyjeżdżającego z parkingu kuriera, szybko wyjęła komórkę. Wojskowy kurier w Goussainville? Co on tu robi? Nie zdając sobie z tego sprawy, ruszyła

w stronę peugeota. Podala kod autoryzacyjny Quay d'Orsay i poprosila o polaczenie z wojskowymi sluzba- mi lacznosciowymi. Doszla do peugeota, otworzyla drzwiczki i usiadla za kierownica. Ogloszono czerwony alarm, wiec zdobycie interesujacych ja informacji nie trwało długo: w pobliżu Goussainville nie było w tej chwili żadnego kuriera.

Odpalila silnik, wrzucila bieg. Krzyk zdezorientowanego Savoya utonął w przeraźliwym pisku opon, bo wdepnela pedał gazu i już pędzila za voxanem. Domyślila się, że Bourne wytropił Robbineta, doszedł do wniosku, że lada chwila może wpaść w pułapkę, i postanowił dać nogę.

Pilny biuletyn CIA, który uważnie przeczytala, podkreślal, że Bourne zadziwiająco szybko potrafi zmieniać tożsamość i wygląd. Jeżeli to on był kurierem - a na dobrą sprawę, czy istniała inna możliwość? - jego zatrzymanie albo zlikwidowanie pchnęłoby jej karierę na zupełnie nowe tory. Oczami wyobraźni widziala już, jak wstawia się za nią sam minister, wdzięczny za uratowanie mu życia, jak proponuje jej stanowisko szefowej ochrony, jak...

Przedtem jednak musiala dopaść tego przebierańca. Na szczęście peugeot ministra bardzo się różnił od standardowych peugeotów. Podrasowany silnik zareagował jak złoto, gdy wcisnąwszy pedał gazu, skręciła ostro w lewo, na czerwonym świetle śmignęła przez skrzyżowanie i wyprzedzila z prawej wielką, powolną ciężarówkę. Nie zważala na klaksony. Widziala tylko uciekający motocykl i robila wszystko, żeby nie stracić go z oczu.

Bourne początkowo nie mógł uwierzyć, że tak szybko go namierzili, ale peugeot cały czas siedzial mu na ogonie, musial więc założyc, że coś poszło nie tak. Widzial, jak agenci Quai d'Orsay zabierają Robbineta, wiedzial, że jeden z nich ma poprowadzić jego wóz. Wiedzial też, że wojskowy mundur już mu się na nic nie przyda - musial zgubić ogon, i to na dobre. Pochylil się mocniej nad kierownica, kluczył między pojazdami, zmienil prędkość i wyprzedzal wolniej jadące samochody. Skręcal pod bardzo ostrym kątem, chociaż zdawal sobie sprawę, że w każdej chwili może stracić równowagę i upaść. Ponownie zerknął w lusterko. Peugeot wciąż tam był. Gorzej, wygladalo na to, że go dogania.

Chociaz voxan nieustannie zmienial pasy ruchu, a jej wóz był mniej zwrotny, powoli zbliżala się do niego. Ministerialny peugeot mial specjalny przełącznik i gdy nim pstryknęła, zaczęły migać reflektory i tylne światła, dzięki czemu co czujniejsi kierowcy ustępowali jej drogi. Przez głowę przemknął jej ciąg coraz bardziej skomplikowanych i mrożących krew w żyłach scenariuszy z Grand Theft Auto. Uciekające w tył ulice, śmigające za oknem domy, pojazdy, które musiala wyprzedzić lub ominąć, były zdumiewająco podobne. Raz, żeby nie stracić voxana z oczu, musiala wjechać na chodnik. Przechodnie rozpierzchali się na boki.

Nagle dostrzegła w oddali wjazd na A1 i już wiedziala, dokąd tamten pędzi. Na autostradzie musiala dogonić go przedtem, potem jej szansę mocno zmaleją. Maksymalnie skupiona, zagryzając dolną wargę, wycisnęła z peugeota, co tylko się dalo. Motocykl był zaledwie o dwa samochody przed nią. Skręciła na prawy pas i wyprzedzila jeden z nich, a kierowcę drugiego, przerażonego migającymi światłami i jej agresywnym stylem jazdy, zmusila do gwałtownego hamowania.

Nie należala do tych, którzy marnują okazję. Zbliżali się do wjazdu, więc teraz albo nigdy. Ostro w lewo, do krawężnika. Na chwilę zniknęła mu z oczu i żeby sprawdzic, gdzie jest, Bourne musialby spojrzeć w jej stronę, a przy tej prędkości po prostu nie mógł tego zrobić. Kopnęła pedał gazu, opuściła szybę i samochód skoczyl w siekający deszcz.

- Stój! - krzyknęła. - Quay d'Orsay! Stój, bo strzelam!

Kurier ją zignorował. Wyjęta pistolet i wymierzyła mu w głowę. Wyprostowana ręka, lekko ugięty i usztywniony łokieć - gdy głowa znalazła się tuż nad muszką, pociągnęła za spust.

Ale w tym samym momencie voxan skręcił w lewo, przemknął tuż przed samochodem jadącym sąsiednim pasem, przeskoczył wąską betonową barierkę i wylądował na zjeździe z autostrady.

- Chryste! - sapnęła Berard. - Jedzie pod prąd!

Hamulec, sprzęgło, szarpnięcie kierownicą - gwałtownie zawróciła, by zobaczyć, jak motocykl przebija się przez gęszcz pojazdów. Piszczwały opony, trąbiły klaksony, przerażeni kierowcy klęli i wygrażali pięściami. Ale ona widziała to tylko kątem oka. Całą uwagę skupiła na jeździe zablokowaną ulicą. Przejechała przez pas zieleni, przecięła sąsiednią jezdnię i skręciła na zjazd z autostrady.

Na szczycie zjazdu napotkała mur samochodów. Wysiadła, pobiegła przez deszcz i zobaczyła, jak voxan przyspiesza, jak pędzi pod prąd między rzędami samochodów i ciężarówek. Bourne prowadził po mistrzowsku, ale jak długo mógł kontynuować te akrobacje?

Motocykl zniknął za srebrzystym owalem wielkiej cysterny. Sąsiednim pasem mknęła olbrzymia osiemnastokołowa ciężarówka i Berard wstrzymała oddech. Usłyszała przenikliwy zgrzyt i pisk hamulców pneumatycznych. Voxan uderzył prosto w potężną chłodnicę osiemnastokołowca! Rozległ się ogłuszający huk i na autostradzie buchnęły oleiste płomienie.

Rozdział 12

Jason dostrzegł coś, co zwykł nazywać szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Pędził pod prąd żółtą linią rozdzielającą dwa pasy jezdni. Po prawej stronie miał cysternę, po lewej, nieco z przodu, potężną osiemnastokołową ciężarówkę. Wybór? Instynktowny: nie było czasu do namysłu. Skupił całą uwagę, rozluźnił mięśnie.

Podniósł obie nogi i przez chwilę balansował na siedzeniu motocykla, przytrzymując się kierownicy lewą ręką. Skręcił prosto na ciężarówkę, puścił kierownicę, prawą ręką chwycił szczebel metalowej drabinki na i okrągłym boku cysterny, co momentalnie zerwało go z motocykla. Drabinka była mokra od deszczu i palce omal nie ześlizgnęły mu się ze szczebla. Nie wiele brakowało, żeby pęd powietrza zdmuchnął go jak suchą gałązkę. Łzawiły mu oczy i potwornie bolało ramię, które nadwerżył, zwisając z luku samolotowej ładowni. Chwycił szczebel drugą ręką, mocno zacisnął palce i w chwili, gdy całym ciałem przywarł do drabinki, voxan wpadł na rozpędzoną ciężarówkę.

Cysterna zadygotała, zakołysała się na potężnych amortyzatorach, prze-mknęła przez kulę ognia i popędziła dalej. Jechali na południe, w kierunku Orły. Ku wolności.

Na to, że Martin Lindros zrobił szybką karierę, wspinając się po śliskim zboczku na sam szczyt piramidy CIA, by w końcu zostać jej wicedyrektorem, złożyło się wiele czynników. Był inteligentny, ukończył właściwe szkoły i nie tracił zimnej krwi w trudnych sytuacjach. Co więcej, dzięki niemal fotograficznej pamięci potrafił kierować agencją gładko i bez kłopotów. Nie ma wątpliwości, że były to same plusy, niezbędne w przypadku kogoś, kto chce odnosić sukcesy jako wicedyrektor firmy. Ale Stary wybrał go z o wiele ważniejszego powodu: Lindros nie miał ojca.

Dyrektor dobrze go znał. Przez trzy lata służyli razem w Rosji i Europie Wschodniej - dopóki Lindros senior nie zginął w zamachu bombowym. Martin miał wtedy dwadzieścia lat i przeżył wstrząs. To właśnie na pogrzebie, obserwując jego bladą, ściągniętą twarz, Stary doszedł do wniosku, że warto zarzucić na niego tę samą sieć, która tak bardzo zafascynowała jego ojca.

Łatwo go podszedł Martin przeżywał ciężkie chwile. Poza tym jak zwykle bezbłędny instynkt podszeptał Staremu, że chłopak pała żądzą zemsty. Dlatego gdy młody Lindros ukończył Yale, namówił go na studia w Georgetown. Zrobił to z dwóch powodów. Po pierwsze, dzięki temu pociągnięciu Lindros znalazł się w orbicie jego wpływów, po drugie, Stary mógł teraz pokierować jego karierą. Osobiście zwerbował go do firmy, osobiście nadzorował każdą fazę jego szkolenia. A ponieważ chciał przywiązać go do siebie na stałe, umożliwił mu dokonanie zemsty, której Martin tak desperacko szukał: podał mu nazwisko i adres terrorysty, konstruktora bomby, która zabiła jego ojca.

Martin wypełnił jego rozkazy co do joty, demonstrując podziwu godne opanowanie, z jakim wpakował kulę między oczy terrorysty. Czy na pewno on skonstruował tę bombę? Tego nie wiedział nawet sam Stary. Ale co to za różnica? Ostatecznie facet był terrorystą i swego czasu podłożył wiele bomb. Teraz, gdy już nie żył jednego sukinsyna mniej - Martin mógł wreszcie spokojnie spać, wiedząc, że pomścił ojca.

- Wyruchał nas na cacy. - Lindros westchnął ciężko. - To on zadzwonił do miejskiej, kiedy zobaczył wasze radiowozy. Wiedział, że nie macie prawa tam być, chyba że z ramienia firmy.

- Taak... - Detektyw Harris z wirgińskiej policji stanowej pokiwał głową i pociągnął łyk whisky. - Ale namierzyły go żabojady. Może będą mieli więcej szczęścia.

- Żabojady to żabojady - mruknął ponuro Lindros.
- Nawet oni coś potrafią, nie?

Siedzieli w barze przy Pennsylvania Avenue, o tej porze pełnym studentów Uniwersytetu Waszyngtona. Od ponad pół godziny Martin gapił się na nagie brzuchy, poprzekluwane kolczykami pępki, minispódniczki i jędrne pośladki dziewcząt prawie dwadzieścia lat młodszych od niego. W życiu każdego faceta, myślał, przychodzi taka chwila, że patrzysz w lusterko wsteczne i nagle zdajesz sobie sprawę, że jesteś już stary. Żadna z tych dziewczyn nawet by na niego nie spojrziała. Nie wiedziały nawet, że istnieje.

- Dlaczego nie można być młodym przez całe życie?

Harris parsknął śmiechem i zamówił następną kolejkę.

- Uważasz, że to zabawne?

Przestali na siebie wrzeszczeć, przestali lodowato milczeć, przestali obrzucać się zgryźliwymi docinkami. Powiedzieli: do diabła z tym, i poszli się upić.

- Cholernie - odparł Harris, robiąc miejsce na nowe kieliszki. - Siedzisz tu, marzysz o młodych cipkach, myślisz, że przeżyłeś już całe życie. Tu nie chodzi o cipki, Martin, chociaż powiem ci, że nigdy nie przepuściłem okazji, żeby sobie pociupciać.

- No dobra, panie mądry, to o co chodzi?

- O to, że przegapiliśmy, staruszk. Zagraliśmy z Bourne'em i od soboty orznął nas sześć razy. Chyba zresztą miał powód.

Lindros wyprostował się i zapłacił za to lekkim zawrotem głowy. Przyłożył dłoń do skroni.

- O czym mówisz?

Harris miał zwyczaj płukać sobie usta whisky, jak po umyciu zębów. A gdy ją przetykał, coś strzelało mu w gardło.

- Moim zdaniem to nie Bourne zamordował Conklina i Panova.

Lindros jęknął.

- Jezu, nie zaczynaj.

- Będę to powtarzał, aż posinieję. I nie wiem, czemu nie chcesz mnie wysłuchać.

Lindros podniósł głowę.

- No dobra. Wal. Powiedz, dlaczego Bourne jest niewinny.

- Po co mam mówić?

- Bo cię proszę?

Harris rozważał to przez chwilę. W końcu wzruszył ramionami i wyjął z portfela jakąś karteczkę. Rozłożył ją na stole.

- Dlatego.

Lindros wziął karteczkę i przeczytał.

- Mandat? Felix Schiffer? - Skonsternowany potrząsnął głową.

- Zaparkował w niedozwolonym miejscu - wyjaśnił Harris. - Nic bym o tym nie wiedział, ale w tym miesiącu nasi sprawdzali wszystkich, którzy nie zapłacili, i nie mogli go w żaden sposób znaleźć. - Postukał palcem w mandat. - Zajęło to trochę czasu, ale dowiedziałem się wreszcie dlaczego. Całą korespondencję tego Schifferra odsyłano do Aleksa Conklina.

- No to co?

- To, że kiedy przepuściłem tego Feliksa Schifferra przez komputer, natrafiłem na mur.

Lindros poczuł, że przejaśnia mu się w głowie.

- Jaki mur?

- Zbudowany przez rząd Stanów Zjednoczonych. - Harris dopił whisky jednym haustem, przepłukał sobie gardło i przelknął. - Doktor Schiffer przepadł, wyparował. Nie wiem, co robił w tym Conklin, ale ukryli to tak głęboko, że nie wiedzieli o tym nawet jego najbliżsi współpracownicy. Nie, Martin. To nie szalony Bourne go zabił. Daję za to głowę.

Jadąc prywatną windą w gmachu Humanistas Ltd., Stiepan Spalko był niemal w doskonałym humorze. Jeśli nie liczyć nieoczekiwanego wybryku Chana, wszystko wróciło do normy. Czeczeni, inteligentni, nieustraszeni i gotowi umrzeć za sprawę, byli jego. Arsienow, oddany i zdyscyplinowany przywódca, też. Wierność i dyscyplina: właśnie ze względu na te cechy Spalko namówił go do zdrady. Murat mu nie ufał; umiał wyczuć fałsz i dwulicowość. Ale Murat już nie żył i Spalko nie miał żadnych wątpliwości, że Czeczeni wypełnią jego rozkazy co do joty. A na drugim froncie? Ten przeklęty Conklin też już nie żyje, a CIA jest przekonana, że zamordował go Bourne. Dwa zajęcia za jednym strzałem. Pięknie. Została tylko sprawa broni i doktora Schiffera, i bardzo mu to ciążyło. Czas uciekał, a tyle jeszcze było do zrobienia.

Wysiadł na antresoli, dostępnej wyłącznie za pomocą magnetycznego klucza, który miał tylko on. Wszedł do zalanego słońcem apartamentu, stanął przed rzędem okien z widokiem na Dunaj, na soczystozieloną Wyspę Świętej Małgorzaty i rozciągające się za nią miasto. Popatrzył na gmach Parlamentu, myśląc o przyszłości, o czasach gdy będzie dysponować niewyobrażalną wprost władzą. Na średniowiecznych fasadach, lukach przyporowych, kopułach i wieżach igrały promienie słońca. Tam ważni politycy codziennie odbywali swoje bzdurne narady. Ale tylko on wiedział, gdzie leży źródło prawdziwej potęgi tego świata. Wyciągnął rękę, zacisnął pięść. Inni też się dowiedzą, już niebawem. Wszyscy - amerykański prezydent w Białym Domu, rosyjski prezydent na Kremlu i arabscy szejkowie w swoich luksusowych pałacach. Wkrótce poznają smak prawdziwego strachu.

Wszedł nago do przestronnej, luksusowej łazienki wyłożonej błękitnymi kafelkami i stanąwszy pod ośmiordzowym prysznicem, szorował się dopóty, dopóki nie zaczerwieniła mu się skóra. Potem wytarł się do sucha wielkim tureckim ręcznikiem, włożył dżinsy i dżinsową koszulę.

Podszedł do barku z błyszczącej nierdzewnej stali, nalał sobie kawy z ekspresu, posłodził i dodał śmietanki z wbudowanej w barek lodówki. Przez kilka minut stał, pił gorący napój i nie myślał o niczym, czując, jak narasta w nim rozkoszne podniecenie. Tego dnia czekało go tyle cudownych rzeczy!

Odstawił filiżankę, włożył rzeźniczy fartuch, a wyczyszczone na błysk buty zmienił na zielone kalosze.

Upił jeszcze łyk wyśmienitej kawy i podszedł do wyłożonej boazerią ścianę. Pod ścianą stał stolik z pojedynczą szufladą. Otworzył ją, wyjął z pudełka lateksowe rękawiczki i nucąc weselo pod nosem, wcisnął guzik. Ściana rozsunęła się; wszedł do sąsiedniego, nader dziwnego pomieszczenia. Czarne betonowe ściany, dźwiękoszczelny sufit, białe kafelki na podłodze, pośrodku wielki odpływ ściekowy - na jednej ze ścian wisiał gumowy wąż. Stał tu tylko drewniany stół, mocno porysowany i poplamiony czarną, zaschniętą krwią, przerobiony według jego wskazówek fotel dentystyczny oraz trójkołowy wózek, na którym leżały błyszczące, najedzone złowieszczymi końcówkami narzędzia, proste, zakrzywione i w kształcie korkociągu.

W fotelu, z rękami i nogami przykutymi do podłokietników i podnóżka siedział Laszłó Molnar, nagi, jak go Pan Bóg stworzył. Poraniony, posiniaczony i opuchnięty, miał podkrążone, głęboko zapadnięte i zrozpaczone oczy.

Spalko wszedł do pomieszczenia żwawym krokiem, jak prawdziwy dentysta.

- Mój drogi Laszłó, muszę powiedzieć, że wyglądasz coraz gorzej. - Stanął tuż przy nim, żeby Molnar mógł poczuć aromatyczny zapach kawy. - No cóż, nic dziwnego. Masz za sobą ciężką noc. Nie tego się spodziewałeś, idąc do opery, prawda? Ale spokojnie, nie martw się, to jeszcze nie koniec tych podniecających wrażeń. - Postawił filiżankę tuż przy jego łokciu i sięgnął po narzędzia. - Zaczniemy chyba od... tego. Prawda?

- Co... co pan chce zrobić? - wychrypiął Molnar głosem cienkim jak pergamin.

- Gdzie jest doktor Schiffer? - spytał Spalko pogodnie.

Molnar szarpnął głową w lewo i w prawo. Zacisnął zęby, jakby nie chciał, żeby wymknęło mu się choć jedno słowo. Spalko dotknął palcem czubka ostro zakończonego narzędzia.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego się wahasz, Laszłó. Mam już broń i chociaż doktor Schiffer...

- Uciekł ci sprzed nosa - dokończył szeptem Molnar.

Spalko uśmiechnął się i włożył mu narzędzie do ust. Węgier zawył z bólu. Spalko cofnął się o krok i wypił łyk kawy.

- Jak już bez wątpienia wiesz, to pomieszczenie jest całkowicie dźwiękoszczelne. Nikt cienie usłyszcy. Nikt nie przybędzie ci na ratunek, a już na pewno nie Vadas. Vadas nie wie nawet, że zniknąłeś.

Wziął z wózka kleszcze.

- Jak sam widzisz, nie ma żadnej nadziei, przyjacielu - kontynuował. - Chyba że powiesz mi to, co chcę wiedzieć. Tak się złożyło, że jestem twoim jedynym przyjacielem. Tylko ja mogę cię uratować. - Chwycił go za podbródek i pocałował w zakrwawione czoło. - Tylko ja naprawdę cię kocham.

Molnar zacisnął powieki i potrząsnął głową.

Spalko spojrział mu prosto w oczy.

- Nie chcę zrobić ci krzywdy, Laszłó. Przecież wiesz, prawda? - Jakby na przekór temu, co robił, jego głos cały czas był cichy i łagodny. - Ale martwi mnie twój upór. - Otworzył mu usta i wsunął w nie kleszcze. - Zastanawiam się, czy rozumiesz całą powagę swego położenia. Ten ból to dzieło Vadasa. Bo to on wpędził cię w ten ślepy zaułek. On i oczywiście Conklin, ale Conklin już nie żyje.

Molnar wydał potworny krzyk. W miejscach, gdzie jeszcze niedawno miał zęby, ziały teraz głębokie, krwawe dziury.

- Zapewniam cię, że robię to wyjątkowo niechętnie - powiedział w skupieniu Spalko; ważne było, żeby nawet mimo bólu Węgier dobrze go zrozumiał. - Jestem tylko narzędziem twojego uporu. Nie dociera do ciebie, że to Vadas powinien za to zapłacić?

Zrobił krótką przerwę. Krew zbryzgała mu rękawiczki i oddychał tak ciężko, jakby wbiegł schodami na trzecie piętro. Przesłuchanie mimo całej przyjemności bynajmniej nie jest łatwą sztuką. Molnar zakwilił.

- Po co zwracasz sobie tym głowę, Laszłó? Modlisz się do Boga, który nie istnieje, który nie może ci pomóc ani cię ustrzec. Jak mówią Rosjanie: „Módl się do Boga, wiosłuj do brzegu”. - Spalko uśmiechnął się przyjacielsko. - A Rosjanie wiedzą, co mówią, prawda? Ich historia jest spisana krwią. Najpierw carowie, potem pierwsi sekretarze i aparatczycy, jakby partia była lepsza niż ten czy inny despota!

Powiem ci coś, Laszłó. Owszem, Rosjanie zawiedli na całego w polityce, ale do religii podeszli jak trzeba. Bo widzisz, wszystkie religie są fałszywe. Są złudą słabych i strachliwych, mirażem owieczek tego świata, które nie umiając przewodzić, chcą, żeby nimi przewodzone. Nieważne, że idą na rzeź. - Spalko pokręcił głową jak zasmucony mędrzec. - Nie, nie, jedyną rzeczywistością jest władza, Laszłó. Pieniądze i władza. Liczy się tylko to, nic więcej.

W czasie tej tyrady, wygłoszonej swobodnym tonem głosu rozmowy, która miała przekonać go do Spalki, Molnar jakby się odprężył, ale gdy oprawca znowu zaczął mówić, ogarnięty paniką, wytrzeszczył oczy.

- Tylko ty możesz sobie pomóc. Powiedz, gdzie Vadas ukrył doktora Schiffera.

- Niech pan przestanie! - wysapał Węgier. - Proszę!

- Nie mogę, Laszłó. Chyba już to rozumiesz. To ty jesteś panem sytuacji - I żeby mu to zademonstrować, Spalko znowu otworzył mu usta. - Tylko ty możesz mnie powstrzymać!

Molnar potoczył wokoło dzikim wzrokiem, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Spalko zauważył to od razu. Więźniowie często reagowali tak pod koniec udanego przesłuchania. Chcąc zdradzić swoje tajemnice, nie podchodzili do konfesjonatu krok po kroku, tylko zatrzymywali się i stali w miejscu, dopóki mogli wytrzymać. Tak nakazywał im umysł. W pewnym momencie jednak umysł, niczym napięta gumowa taśma, rozciągał się do granic możliwości i pękając, wkraczał w nową rzeczywistość, po mistrzowsku zaaranżowaną przez przesłuchującego.

- Ja nie...

- Mów, Laszlo - kusił Spalko aksamitnym głosem, głaszcząc więźnia po spoconym czole. - Mów. Powiedz, gdzie jest Schiffer, i wszystko skończy się jak zły sen.

Molnar przewrócił oczami.

- Obiecuj pan? - spytał jak małe dziecko.

- Zaufaj mi, jestem twoim przyjacielem. Chcę tego samego co ty. Chcę, żebyś przestał cierpieć.

Molnar się rozplakał. Oczy wezbrały mu wielkimi łzami, które spływając po policzkach, mętniały i różowiały. Potem zaczął łkać, jak nie łkał, odkąd był dzieckiem.

Spalko milczał. Wiedział, że to krytyczny moment. Teraz albo nigdy: albo Molnar skoczy w przepaść, na której skraj sprytnie go zwabiono, albo pogrąży się w bólu.

Ciałem Węgra wstrząsała burza uwolnionych przez Spalka uczuć. Odchylił do tyłu głowę. Twarz miał szarą i straszliwie ściągniętą; szkliste i wciąż zalawione oczy zapadły się jeszcze głębiej. Po czerstwych policzkach miłośnika opery, podstępnie znarkotyzowanego w Undergroundzie, nie pozostało ani śladu. Zmienił się. Był do cna wypalony.

- Boże, przebacz mi... - wychrypiał. - Doktor Schiffer jest na Krecie. - Belkotliwym głosem podał adres.

- Grzeczny chłopczyk - powiedział łagodnie Spalko. Zdobył ostatni kawałek układanki. Jeszcze tego wieczoru jego „ekipa” wyruszy w drogę. Znajdą Schifferra i wyciągną z niego wszystko to, co niezbędne do przeprowadzenia ataku na hotel Oskjuhlid.

Gdy rzucił kleszcze na wózek, Molnar zaskomlał jak zwierzę i przewrócił nabiegłymi krwią oczami. Wyglądało na to, że zaraz znowu się rozplacze.

Czułym, powolnym gestem Spalko przytknął mu do ust filiżankę i z całkowitą obojętnością patrzył, jak Węgier zachłannie pije słodką, gorącą kawę.

- Wybawienie. Nareszcie. - Nie wiadomo, czy powiedział to do siebie czy do niego.

Rozdział 13

Gmach Parlamentu wyglądał wieczorem jak wielka tarcza, jedna z tych, którymi Węgrzy odpierali niegdyś ataki nieprzyjacielskich hord. Przeciętnemu turyście, zafascynowanemu jego ogromem i pięknem, wydawał się trwały, ponadczasowy i niezniszczalny. Ale dla Jasona, który przybył tu z Waszyngtonu po przerażającej podróży przez Paryż, był tylko pałacem z bajek dla dzieci, budowlą z nieziemsko białego kamienia i wyblakłej miedzi, która mogła la-
da chwila runąć pod naporem ciemności.

W ponurym nastroju wysiadł z taksówki przed lśniąca kopułą centrum handlowego Mammut, gdzie zamierzał kupić sobie nowe ubranie. Przekroczył granicę jako Pierre Montefort, francuski kurier wojskowy, dlatego poddano go jedynie pobieżnej kontroli. Przed przybyciem do hotelu, gdzie chciał zameldować się jako Alexander Conklin, musiał jednak pozbyć się munduru.

Kupił sztruksowe spodnie, bawełnianą koszulę, czarny golf, czarne buty z cienką podszewką i czarną skórzaną kurtkę. Chodząc po sklepach i stopniowo chłonąc energię tłoczących się w nich ludzi, po raz pierwszy od wielu dni poczuł, że jest naprawdę wolny. Zdawał sobie sprawę, że to nagłe polepszenie nastroju wynika z rozwiązania zagadki Chana. Chan nie był Joshua. Oczywiście, że nie: był tylko znakomitym aktorem. Ktoś -albo sam Chan, albo ludzie, którzy go wynajęli - chciał go poruszyć, chciał nim wstrząsnąć, żeby się zdekoncentrował i zapomniał o śmierci Aleksa Conklina i Mo Panova. Nie zdołali go zabić, więc chcieli przynajmniej, żeby zaczął ścigać cień swojego zmarłego syna. Skąd Chan lub ci, którzy go wynajęli, tyle o nim wiedział, to zupełnie inna sprawa. Najważniejsze, że teraz, gdy początkowy szok ustąpił miejsca racjonalnemu myśleniu, jego logiczny umysł mógł podzielić rzeczywistość na niezależne części, przeanalizować je i opracować plan działania.

Potrzebne mu były informacje, których mógł dostarczyć tylko Chan. Musiał odwrócić role i wciągnąć go w zasadzkę. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że wiedząc, dokąd leci transportowiec Rush Service, Chan też poleciał do Paryża. Niewykluczone, że słyszał nawet o jego „śmierci” na autostradzie A1. Jeśli umiał tyle co on, a na pewno umiał, był również kameleonem, mistrzem kamuflażu. Gdzie więc tych informacji szukać? Na jego miejscu Bourne zacząłby od Quay d'Orsay.

Dwadzieścia minut później złapał taksówkę, z której wysiadł akurat pasażer, i wkrótce potem stanął przed imponującym kamiennym portykiem hotelu Dunabius Grand na Wyspie Świętej Małgorzaty. Portier w liberii wprowadził go do środka.

Zmęczony, jakby nie spał od tygodnia, Jason przeciął marmurowe foyer, podszedł do kontuaru i przedstawił się jako Alexander Conklin.

- Aaa, pan Conklin! Czekaliśmy na pana. Zechce pan chwilę poczekać.

Recepcjonista zniknął na zapleczu i kilkanaście sekund później wrócił z dyrektorem hotelu.

- Witamy szanownego pana, witamy! Nazywam się Hazas i jestem do pańskiej dyspozycji. - Niski, przysadzisty i ciemnowłosy dyrektor miał cieniutki wąsik i czesał się z przedziałkiem. Wyciągnął do niego rękę, ciepłą i suchą. - Bardzo mi miło. Zechce pan pójść za mną.

Zaprowadził go do biura, otworzył sejf, wyjął z niego pudełko wielkości i kształtu pudełka do butów i kazał mu pokwitować odbiór. Na pudełku widniał napis: ALEXANDER CONKLIN. PRZESYŁKA CZEKA NA ODBIÓR. Stemple? Stempli nie było.

- Ktoś nam ją przyniósł- odparł dyrektor, gdy Bourne zapytał go o stemple.

- Kto?

Hazas bezradnie rozłożył ręce.

- *Obawiam się, że nie wiem.*

Jason wpadł w gniew.

- *Co to znaczy? Nie prowadzicie żadnych ksiąg czy rejestrów?*

- *Ależ oczywiście, że prowadzimy. Jesteśmy bardzo dokładni we wszystkim. Nie wiem dlaczego, ale w tym szczególnym przypadku w księdze nie ma żadnego wpisu.* - *Wzruszył ramionami i uśmiechnął się dobrodusznie.*

Po trzech dniach nieustannej walki o życie, po wszystkich wstrząsających przeżyciach, Bourne wyczerpał cały zapas cierpliwości. Gniew zastąpiła ślepa furia. Kopnął drzwi, chwycił Hazasa za wykrochmaloną koszulę i pchnął go mocno na ścianę.

- *Panie... Conklin!* - *wyjął dyrektor; oczy wyszły mu z orbit.* - *Naprawdę...*

- *Gadaj!* - *krzyknął Bourne.* - *Ale już!*

Przerażony dyrektor był bliski płaczu.

- *Ja nic nie wiem!* - *Kołkowane palce drżały.* - *Tam jest księga! Niech pan sam zobaczy!*

Jason go puścił Hazasa, który osunął się na podłogę, bo natychmiast ugięły się pod nim nogi. Nie zwracając na niego uwagi, Bourne podszedł do kontuaru i otworzył księgę. Wszystkie rubryki pracowicie wypełniały dwa wyraźnie różniące się od siebie charaktery pisma, najpewniej kierownika zmiany dziennej i nocnej. Ze zdziwieniem stwierdził, że umie czytać po węgiersku. Lekko przesunął księgę i uważnie powiódł wzrokiem po kartce, szukając śladów wymazywania, zacierania oryginalnych wpisów. Nie znalazł niczego.

Odwrócił się na pięcie, ponownie chwycił Hazasa za kołnierz i dźwignął go z podłogi.

- *Dlaczego nic tu nie ma?*

- *Panie Conklin, sam tu wtedy byłem.* - *Dyrektor zbladł jeszcze bardziej. Miał wytrzeszczone oczy i lepką od potu skórę.* - *Miałem wtedy dyżur. Przysięgam, przesyłka pojawiła się na ladzie nie wiadomo skąd. Nie widziałem, kto ją przyniósł, nie widział tego nikt z personelu. Było południe, koniec doby hotelowej, mnóstwo ludzi. Pewnie ktoś zostawił ją i odszedł, nie chcąc, żeby go zauważono. To jedyne sensowne wytłumaczenie.*

Ma rację, pomyślał Bourne. Oczywiście, że ma rację. Wściekłość nagle minęła. Co ja robię? Dlaczego napadam na Boga ducha winnego człowieka? Cofnął ręce.

- *Przepraszam. Miałem ciężki dzień, trudne negocjacje...*

- *Nie szkodzi.* - *Drżącymi rękami Hazas poprawił marynarkę i krawat, nie spuszczając Bourne'a z oczu, jakby bał się, że znów się na niego rzuci.* - *Tak bywa. Interesy wywołują wielki stres.* - *Zakaszłał, powoli dochodząc do siebie.* - *Proponuję kurację odświeżającą w naszym centrum odnowy. Nie ma to jak łaźnia parowa i wanna z masażem. Pomoże panu odzyskać równowagę wewnętrzną.*

- *To bardzo miło z pańskiej strony, może później.*

- *Centrum zamykamy o dziewiątej* - *odparł Hazas; szalenie wypowiedział pierwsze rozsądne zdanie, więc wyraźnie mu ulżyło.* - *Ale wystarczy zatelefonować i na pewno na pana zaczekają.*

- *Innym razem, bardzo dziękuję* - *odrzekł Bourne, otwierając drzwi.* - *Może pan przysłać mi na górę pastę i szczoteczkę do zębów? Zapomniałem zabrać ze sobą.*

Po wyjściu Bourne'a Hazas otworzył szufladę i trzęsącymi się rękami wyjął butelkę wódki. Nalewając, uрониł kilka kropel na otwartą księgę. Miał to gdzieś. Wychylił kieliszek jednym haustem i odczekał, aż palący trunek dotrze do żołądka. Trochę spokojniejszy, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

- Przyjechał dziesięć minut temu - powiedział; nie musiał się przedstawiać. - Wrażenia? To wariat. Jak to? Tak to: nie chciałem mu powiedzieć, kto przyniósł paczkę, i omal mnie nie uduślił.

Sluchawka wyslizgiwała mu się ze spoczonej dłoni, więc przelożył ją do drugiej ręki i nałapał sobie wódki na dwa palce.

- Ależ skąd, oczywiście, że mu nie powiedziałem, a w księdze nie ma żadnego wpisu. Osobiście tego dopilnowałem. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, że dokładnie to sprawdził... Tak, pojechał na górę. Na pewno.

Wcisnął widelki, wybrał kolejny numer i przekazał tę samą wiadomości komuś innemu, znacznie bardziej przerażającemu. Potem opadł ciężko na fotel i zamknął oczy. Dzięki Bogu, że mam już to za sobą, pomyślał,

Jason wjechał windą na ostatnie piętro. Otworzył kluczem podwójne drzwi z tekowego drewna i wszedł do dużego, luksusowo urządzonego apartamentu. Za oknem był stuletni park, gęsty i ciemny. Wyspa Świętej Małgorzaty... W trzynastym wieku Małgorzata, córka króla Beli IV, wstąpiła do klasztoru sióstr dominikanek, którego jaskrawo oświetlone ruiny widać było na wschodnim brzegu. Rozbierając się po drodze, Bourne od razu ruszył do lśniącej czystości łazienki. Do paczki nawet nie zajrzał. Rzucił ją na łóżko.

Przez dziesięć błogich minut stał pod strumieniem niemal wrzącej wody, a potem namydlił się dokładnie, żeby zmyć z siebie brud i pot. Ostrożnie pomacał żebra i mięśnie piersi, oceniając wyrządzone przez Chana szkody. Bardzo bolało go prawe ramię, więc przez dziesięć minut ostrożnie je rozciągał i delikatnie masował. Gdy chwycił się szczebla drabinki na cysternie, omal nie wyskoczyło mu ze stawu i bolało jak wszyscy diabli. Pewnie pozrywał sobie ścięgna, ale w tej chwili nic nie mógł na to poradzić. Musiał po prostu uważać na rękę.

Potem trzy minuty lodowatego prysznicu i wyszedł z kabiny. Wytarł się, włożył gruby, mięciutki szlafrok, usiadł na łóżku i otworzył paczkę. W środku był pistolet i naboje.

Długo siedział nieruchomo i patrzył. Pistolet miał w sobie coś złowrogiego, sączącą się z lufy ciemność... I nagle zdał sobie sprawę, że ta ciemność wypływa z jego podświadomości. W mgnieniu oka zrozumiał, że prawdziwa rzeczywistość nie ma nic wspólnego z tym, co wyobrażał sobie w centrum handlowym, że nie jest ani starannie poukładana, ani racjonalna, jak matematyczne równanie. W prawdziwym świecie panował chaos, a racjonalność była jedynie systemem, w który ludzie próbowali ująć przypadkowe zdarzenia, żeby stworzyć choćby pozory ładu. Zrozumiał ze zdziwieniem, że tam, na dole, nie wściekł się na Hazasa, tylko na Chana. Chan śledził go, prześladował i w końcu go dopadł. A on nie pragnął niczego więcej, jak tylko zmiażdżyć mu twarz, rozetrzeć ją na proch i wymazać z pamięci.

Rzeźbiony posążek Buddy. Oczami wyobraźni ujrzał czteroletniego Joshuę. W Sajgonie zapadał zmierzch i niebo lśniło zielonozłotym blaskiem. Gdy wrócił z pracy, Joshua biegł nad brzegiem rzeki. Webb - David Webb - wziął go w ramiona, zakręcił nim dokoła i ucałował w oba policzki, chociaż chłopiec bardzo się wzbraniał. Nie lubił, jak ojciec go całuje.

Potem utulił go do snu. Za oknami grały świerszcze i kumkały żaby, a po przeciwną stronę pokoju sunęły światła płynących rzeką barek. Czytał bajkę, a Joshua słuchał. W sobotę rano wziął rękawicę, którą przywiózł aż ze Stanów, i zagrali w bejsbol. W promieniach słońca niewinna twarz syna emanowała świetlistym blaskiem.

Szybko zamrugał i wbrew sobie ujrzał Buddę na szyi Chana. Zerwał się z łóżka, z gardłowym krzykiem zrzucił ze stołu lampę, bibularz, podkładkę i kryształową popielniczkę, i zaciśniętymi pięściami zaczął okładać się po głowie. Z rozpaczliwym jękiem upadł na kolana i jak osierocone dziecko kiwał się do przodu i do tyłu, dopóki nie otrzeźwił go dzwonek telefonu.

Znieruchomiał. Z trudem zebrał myśli. Telefon wciąż dzwonił. Przez chwilę miał ochotę nie odbierać. Mimo to odebrał.

- Mówi Janos Vadas. - Cichy, zachrypnięty od papierosów głos. - Kościół Świętego Macieja. Punktualnie o północy, ani sekundy później. - Zanim Jason zdążył cokolwiek powiedzieć, Vadas się rozłączył.

Jason Bourne zginął. Jason Bourne nie żyje - Chan poczuł się tak, jakby wywrócono go na drugą stronę, jakby w jednej chwili odslonięta wszystkie nerwy i wystawiono je na działanie żrącego powietrza. Dotknął ręką czoła, żeby się upewnić, czy w środku nie płonie.

Był na Orly, rozmawiał z Quay d'Orsay. Zdobycie informacji okazało się śmiesznie łatwe: udął reportera z „Le Monde”. Legitymację kupił od paryskiego współpracownika, za horrendalną cenę. Cena była bez znaczenia - pieniędzy miał w bród - ale czekanie trochę go zdenerwowało. Mijały minuty, godziny, nadszedł wieczór i cierpliwość, którą zawsze się chlubił, w końcu się wyczerpała. W chwili gdy zobaczył Davida Webba - a raczej Jasona Bourne'a - czas zmienił bieg i przeszłość stała się nagle terażniejszością. Znowu zacisnął pięści, znowu poczuł, że pulsują mu skronie. Odkąd go namierzył, ileż to razy omal nie postradał zmysłów? Najgorsze chwile przeżył, siedząc na ławce w parku na starówce i rozmawiając z nim jakby nigdy nic, jakby przeszłość nie miała znaczenia, jakby chodziło o życie kogoś, kogo Chan tylko sobie wyobraził. Nierzeczywistość tego spotkania - chwila, o której marzył od lat, o którą się modlił - zupełnie go wypatroszyła, rozorala mu wszystkie nerwy, wywlekła na wierzch wszystkie uczucia, które przez tyle lat próbował okiełznać i stłumić - niewiele brakowało i by zwymiotował. A teraz to. Wiadomość o śmierci Bourne'a uderzyła go jak obuchem. Zamiast zniknąć, wypełniająca go otchłań stała się jeszcze większa, jeszcze głębsza, jakby chciała go wessać i pożreć. Nie mógł tego znieść, musiał stąd uciec.

Z notatnikiem w ręku rozmawiał z rzecznikiem prasowym Quai d'Orsay, a już w następnej chwili jakaś niewidzialna siła cisnęła go w gąszcz wietnamskiej dżungli, do bambusowej chaty misjonarza Richarda Wicka, wysokiego, szczupłego, ponurego mężczyzny, który znalazł go na bagnach po ucieczce od przemytnika broni. Mimo swego wyglądu Wick lubił się śmiać, a w brązowych oczach miał coś łagodnego i współczującego. Nawracał Chana - Chana barbarzyńcę - próbował zrobić z niego chrześcijanina i był srogim nauczycielem, ale w chwilach bardziej intymnych, jak choćby przy czy po kolacji, był miły i łagodny, i w końcu zdobył jego zaufanie.

Chan zaufał mu do tego stopnia, że pewnego wieczoru postanowił opowiedzieć mu o swojej przeszłości, odslonić przed nim duszę. Chciał zostać uleczony, uzdrowiony, chciał zwymiotować ropień, który sączył w niego śmiertelny jad i nieustannie się rozrastał. Pragnął wyrzucić z siebie wściekłość za to, że go porzucono, wyzbyć się jej do samego końca, bo wreszcie zrozumiał, że jest więźniem najsłabszych uczuć i emocji.

Bardzo chciał mu to wszystko opisać, powiedzieć, co go dręczy, lecz nie znalazł okazji. Wick był za bardzo zajęty niesieniem słowa bożego na tych „zapomnianych przez Boga bagniskach”. Dlatego założył i prowadził kilka grup studiujących Pismo Święte i zapisał go na wszystkie zajęcia. Miał też swoją ulubioną rozrywkę: kazał mu stawać przed grupą i recytować z pamięci fragmenty Biblii. Chan czuł się wtedy jak skretyniały mędrzec, którego pokazują za pieniądze w lunaparku.

Nienawidził tego, te występy go upokarzały. Dziwne, ale im bardziej Wick był z niego dumny, tym upokorzenie było większe. Któregoś dnia trafił do nich nowy chłopiec, sierota, syn znajomych Wicka, w dodatku biały, i pewnie dlatego misjonarz przelał na niego całą miłość i uwagę, której Chan tak bardzo łaknął i której - dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę - nigdy tak naprawdę nie miał. Mimo to odrażające występy przed grupą nie ustały, a nowy siedział bez słowa i przyglądał mu się, wolny od wstydu i upokorzenia.

Chan nigdy tego Wickowi nie wybaczył i dopiero w dniu ucieczki pojął głębię jego zdrady. Jego dobroczyńca i opiekun wcale się nim nie interesował; chodziło mu wyłącznie o powiększenie kolekcji nawróconych, o podarowanie Bogu jeszcze jednej owieczki.

Do strasznej rzeczywistości przywrócił go dzwonek telefonu. Spojrzał na wyświetlacz, przeprosił rzecznika i odszedł na bok, szukając anonimowości w tłumie dziennikarzy.

- *Cóż za niespodzianka.*
- *Gdzie jesteś? - rzucił krótko Spalko, jakby miał na głowie za dużo spraw.*
- *Na Orły. Właśnie dowiedziałem się, że Webb nie żyje.*
- *Ach tak?*
- *Podobno wpadł motocyklem na ciężarówkę. - Chan czekał na reakcję, ale Spalko milczał.*
- *Nie cieszy się pan? Nie tego pan chciał?*

- Nie oblewaj jego śmierci przedwcześnie, Chan - odparł oschle Spalko. - Mój człowiek z hotelu Dunabius Grand doniósł mi właśnie, że wprowadził się do nich niejaki Conklin. Alexander Conklin.

Chan doznał tak silnego wstrząsu, że ugięły się pod nim nogi i musiał oprzeć się o ścianę.

- *Webb?*
- *A któżby? Duch Conklina?*

Chan stwierdził z rozdrażnieniem, że czoło ma zlane zimnym potem.

- *Skąd pewność, że to on?*
- *Mój człowiek go opisał, widziałem policyjne zdjęcie.*

Chan zacisnął zęby. Czuł, że rozmowa źle się skończy, mimo to nieubłaganie parł na przód.

- Wiedział pan, że David Webb to Jason Bourne. Dlaczego nie powiedział mi pan prawdy?

- Nie widziałem powodu- odparł beznamiętnie Spalko. - Chciałeś Webba, dałem ci Webba. Nie mam zwyczaju czytać w czyichś myślach. Ale pochwalam twoją rzutkość i przedsiębiorczość.

Chanem wstrząsnął spazm gniewu. Z trudem zapanował nad głosem.

- *Jak pan myśli, skoro Bourne dotarł aż do Budapesztu, jak szybko pana wytropi?*
- *Przedsięwziąłem już kroki, żeby do tego nie doszło - odrzekł Spalko. - Ale pomyślałem sobie, że nie musiałbym tego robić, gdybyś zabił sukinsyna wtedy, kiedy miałeś okazję.*

Chan, nie ufając człowiekowi, który go okłamał i który próbował grać nim jak pionkiem na szachownicy, poczuł jeszcze silniejszy gniew. Spalko chciał, żeby to on zabił Bourne'a, ale dlaczego? Zanim dokona swojej prywatnej zemsty, musi się tego dowiedzieć. Stracił resztkę opanowania, więc głos miał szorstki i ostry.

- Dobrze, zabiję go - powiedział. - Ale na moich warunkach i według mojego, nie pańskiego kalendarza.

Humanistas Ltd. miała trzy hangary na lotnisku Ferihegya. W jednym z nich, przy małym samolocie odrzutowym z firmowym logo na burcie - ludzka dłoń, na dłoni zielony krzyż - stała ciężarówka z kontenerem. Umundurowani mężczyźni kończyli załadunek skrzyń z bronią, które liczył i porównywał z listą stojący obok Hasan Arsienow. Gdy odszedł na chwilę, żeby z kimś porozmawiać, Spalko spojrzął na Zinę i powiedział:

- Za kilka godzin lecę na Kretę. Chcę, żebyś poleciała ze mną.

Zina szeroko otworzyła oczy.

- Mam wrócić z Hasanem do Czeczenii, żeby dokończyć przygotowania do naszej misji.

Spalko spojrzął na nią przenikliwie.

- Hasan cię tam nie potrzebuje. Co więcej, uważam, że poradzi sobie lepiej, jeśli... nie będziesz go rozpraszała.

Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Chcę, żeby wszystko było zupełnie jasne, Zino. - Arsienow wracał do nich. - To nie rozkaz. Decyzja należy wyłącznie do ciebie.

Mimo dwuznacznej sytuacji i pośpiechu mówił powoli i wyraźnie, żeby dotarło do niej każde słowo. Dawał jej szansę - z czego nie zdawała sobie sprawy - lecz było oczywiste, że jest to przełomowa chwila jej życia, że cokolwiek postanowi, nie będzie odwrotu; powiedział to tak, że musiała zrozumieć. Decyzja należała do niej, tak, ale Zina czuła, że jeśli powie „nie”, coś się dla niej na zawsze skończy. Rzecz w tym, że wcale nie chciała odmówić.

- Zawsze chciałam zobaczyć Kretę - szepnęła; Arsienow był tuż-tuż.

Spalko kiwnął głową i spojrzał na Hasana.

- Wszystko się zgadza?

Czeczén spojrzał na nich znad podkładki z klipsem.

- Jakżeby inaczej, Szejku? - Zerknął na zegarek. - Za godzinę wracamy do kraju.

- Zina poleci na Kretę - odparł swobodnie Spalko. - Na Wyspach Owczych przetrucamy broń na kuter rybacki, potem płyniemy do Islandii i chcę, żeby ktoś z was tam było. Ty musisz wracać do oddziału. Na pewno wypożyczysz mi ją na kilka dni - dodał z uśmiechem.

Arsienow zmarszczył czoło, zerknął na Zinę, która - jak na bystrą kobietę przystało - odpowiedziała mu obojętnym spojrzeniem, i kiwnął głową.

- Oczywiście, jak sobie życzysz, Szejku.

Spalko skłamał i Zina stwierdziła, że to ją interesuje. Wciągnął ją do swego małego spi-sku, dlatego była podniecona i zdenerwowana. Widziała minę Hasana i przez chwilę miała wyrzuty sumienia, ale zaraz potem pomyślała o czekającej ją tajemnicy i o słodkim jak miód głosie Szejka. „Za kilka godzin lecę na Kretę. Chcę, żebyś poleciała ze mną”.

Spalko wyciągnął rękę i Arsienow uściskał ją jak rzymski wojownik.

- La illaha Allah.

- La illaha Allah - odrzekł Hasan, lekko pochylając głowę.

- Przed hangarem czeka limuzyna. Odwiezie cię do terminalu. Do zobaczenia w Reykjaviku, przyjacielu. - Spalko odszedł, żeby porozmawiać z pilotem; Zina musiała się pożegnać ze swoim aktualnym kochankiem.

Chanem miały zupełnie nieznanne emocje. Czekał na lotnisku już od czterdziestu minut, mimo to wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku, jaki przeżył na wieść, że Bourne żyje. Z twarzą ukrytą w dłoniach na próżno próbował doszukać się w świecie jakiegoś sensu. Ktoś taki jak on, człowiek, którego przeszłość nieustannie mieszała się z teraźniejszością, nie potrafił ująć go w żaden sensowny wzór. Przeszłość była tajemnicą, a jego pamięć dziwką podświadomości, ladacnicą, która zniekształcała fakty i wydarzenia lub całkowicie je pomijała, wiernie służąc wezbranemu jademu wrzodowi, który w nim rósł.

Ale te emocje były jeszcze gwałtowniejsze i bardziej niszczące. O tym, że Bourne żyje, dowiedział się od Spalki, i to doprowadzało go do furii., Co się stało z jego wyostrzonymi zmysłami? Dlaczego niczego nie sprawdził? Czy ktoś tak dobrze wyszkolony jak Bourne wpadłby motocyklem na ciężarówkę? I gdzie były zwłoki? Czy je zidentyfikowano? Rzecznik powiedział, że wciąż przeszukują rozbitą samochód: eksplozja i ogień dokonały tak wielkich zniszczeń, że znalezienie czegokolwiek w poskręcany i całkowicie wypalonym wraku może potrwać wiele godzin, a nawet dni, i że nawet wtedy może nie wystarczyć im materiału do przeprowadzenia stuprocentowo pewnej identyfikacji. Zderzenie - na jego miejscu zrobiłby to samo; przed trzema laty opracował nawet identyczny wariant ucieczki podczas akcji w do-kach Singapuru.

Ale wciąż nie dawało mu spokoju inne pytanie i chociaż próbował o nim zapomnieć, uporczywie powracało. Co poczuł w chwili, gdy dowiedział się, że Bourne żyje? Radość? Strach? Gniew? Rozpacz? Czy może wszystko to naraz, mdlącą mieszaninę nieokielzanych emocji, gamę odczuć na klawiaturze podświadomości?

Wywołano jego lot i wciąż oszołomiony stanął w kolejce do odprawy.

Zamyślony Spalko minął wejście do kliniki Eurocenter Bio-I przy Hattyu utca 75. Wyglądało na to, że ma problem: Chana. Chan był pożyteczny, owszem. Nie ulegało wątpliwości, że jako znakomicie wyszkolony zabójca eliminował wyznaczone cele sprawniej od innych, ale nawet ten wyjątkowy talent bladł w porównaniu z zagrożeniem, jakie teraz stwarzał. Nie dawało mu to spokoju od chwili, gdy Chan po raz pierwszy zawiódł, pozwalając Bourne'owi uciec. Było w tym coś nieprawidłowego, obcego, coś, co tkwiło mu w gardle jak ość. Próbował ją odkrztusić, próbował przelknąć, ale nie mógł. Podczas ostatniej rozmowy z Chanem uzmysłowił sobie, że trzeba go niezwłocznie zlikwidować. Nie mógł dopuścić, żeby któryś z nich przeszkodził mu w akcji w Reykjavíku. Bourne czy Chan, teraz to już wszystko jedno. Obaj byli równie niebezpieczni.

Wszedł do kawiarni za rogiem brzydkiego nowoczesnego gmachu kliniki i uśmiechnął się do mężczyzny, który powitał go lekkim skinieniem głowy.

- Przepraszam, Peter. - Usiadł przy stoliku.

Doktor Peter Sido uspokoił go gestem ręki.

- Nie ma za co, Stiepanie. Wiem, że jesteś bardzo zajęty.

- Ale nie na tyle, żeby zrezygnować z poszukiwań doktora Schiffera. - I dzięki Bogu! - Sido dodał śmietanki do kawy. - Naprawdę nie wiem,

co bym zrobił bez ciebie i twoich kontaktów. Kiedy odkryłem, że zniknął, omal nie postradałem zmysłów!

- Spokojnie, z każdym dniem jesteśmy coraz bliżej. Zaufaj mi.

- Ufam ci całkowicie. - Sido miał nijaką twarz i w ogóle był nijaki. Średniego wzrostu i wagi, miał powiększone przez okulary oczy koloru błota i krótkie brązowe włosy, które układały mu się na głowie, jak chciały. Był w tweedowym garniturze w jodelkę, lekko przetartym na rękawach, w białej koszuli i brązowo-czarnym krawacie, który wyszedł z mody co najmniej przed dziesięciu laty. Wyglądał jak komiwojażer albo przedsiębiorca pogrzebowy, ale pod tą nieciekawą powierzchownością krył się niezwykle umysł.

- A teraz chcę cię spytać, czy zdążyłeś - powiedział Spalko.

Sido musiał się tego pytania spodziewać, bo odpowiedział bez wahania:

- Wszystko jest zsyntetyzowane i gotowe do użycia.

- Masz to tutaj?

- Tylko próbkę. Reszta czeka w chłodni, pod kluczem. A o próbkę się nie martw. Jest tu, w pojemniku mojej własnej konstrukcji. Produkt końcowy jest bardzo wrażliwy. Do chwili użycia musi być przechowywany w temperaturze minus trzydzieści dwa stopnie Celsjusza. Pojemnik ma integralny system chłodzący, który utrzyma tę temperaturę przez czterdzieści osiem godzin. - Sięgnął pod stół i wyjął małe metalowe pudełko wielkości grubej książki. - Dwie doby. Wystarczy?

- Na pewno, bardzo ci dziękuję. - Spalko wziął pudełko. Było cięższe, niż myślał, pewnie ze względu na wewnętrzny układ chłodzenia. - Jest w fiolce? Dokładnie według moich wskazań?

- Naturalnie. - Sido westchnął. - Ale wciąż nie rozumiem, po co ci tak groźne zarazki.

Spalko przyglądał mu się przez chwilę. Zapalił papierosa. Wiedział, że zbyt szybka odpowiedź zepsułaby cały efekt, a podczas rozmowy z Sidem efekt był wszystkim. Sido był genialnym mikrobiologiem i specjalistą od zarazków przenoszonych drogą powietrzną, lecz jego

znajomość natury ludzkiej pozostawiała wiele do życzenia. Nie różnił się bardzo od innych zapatrzonych w siebie naukowców, ale w tym przypadku jego naiwność doskonale odpowiadała potrzebom Spalki. Sido chciał odzyskać przyjaciela i nie liczyło się nic więcej, dlatego słuchał go tylko jednym uchem. Chciał mieć czyste, spokojne sumienie, to wszystko.

- Jak już wspomniałem - powiedział w końcu Spalko - skontaktowało się ze mną dowództwo amerykańsko-brytyjskiej jednostki antyterrorystycznej.

- Będą na tym szczycie?

- Oczywiście - zełgał Spalko; amerykańsko-brytyjska jednostka antyterrorystyczna istniała tylko w jego wyobraźni. - Są u progu przełomowego odkrycia. Chodzi o zagrożenie bioterroryzmem, a jak dobrze wiesz, bioterroryzm to nie tylko substancje chemiczne, ale i zarazki przenoszone drogą powietrzną. Muszą to coś wypróbować, dlatego skontaktowali się ze mną i dlatego zawarliśmy tę umowę. Ja znaję doktora Schifferra, ty dasz im to, czego chcą.

- Tak, wiem, już mi to tłumaczyłeś... - Sido umilkł i zaczął nerwowo postukiwać łyżeczką w serwetkę, aż Spalko kazał mu przestać.

- Przepraszam - mruknął Sido, poprawiając okulary. - Ale wciąż nie rozumiem, co oni chcą z tym zrobić. Mówiłeś, że jakieś testy, ale...

Spalko pochylał się do przodu. Nadeszła decydująca chwila: musiał mu to sprzedać. Rozejrzał się ukradkiem i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Posłuchaj uważnie, Peter. Powiedziałem ci więcej, niż powinienem. To ściśle tajne, rozumiesz?

Sido też się nachylił i bez słowa kiwnął głową.

- Mówiąc ci to, co powiedziałem, naruszyłem już warunki umowy, którą podpisałem z nimi.

- Boże! - szepnął żałośnie naukowiec. - Naraziłem cię na ryzyko...

- Spokojnie, nie martw się, nic mi nie grozi. Chyba że komuś o tym powiesz...

- Coś ty, nigdy.

- Wiem. - Spalko uśmiechnął się. - Wierzę ci.

- Dziękuję, Stiepanie. Jestem ci bardzo wdzięczny.

Spalko musiał zagryźć wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Co za komedia! Brnął dalej:

- Nie wiem, na czym polega ten test, bo tego mi nie powiedzieli - szepnął tak cicho, że Sido musiał nachylić się jeszcze bardziej i prawie stykali się teraz nosami. - A ja nawet nie pytałem.

- Oczywiście.

- Ale wierzę, i ty też musisz w to wierzyć, że ci ludzie robią co w ich mocy, żeby żyło nam się bezpieczniej na tym coraz bardziej niebezpiecznym świecie. - Spalko uważał, że jak zawsze sprowadzało się to do zaufania. Ale żeby ryba, w tym wypadku Sido, połknęła przynętę, musiała uwierzyć, że wędkarz też darzy ją zaufaniem. Potem można było wyciągnąć ją z wody, a ona nie wiedziała nawet, kim jest wędkarz. - Moim zdaniem, bez względu na to, co chcą zrobić i po co, trzeba im pomóc. Powiedziałem im tak, gdy tylko się ze mną skontaktowali.

- Ja też bym tak powiedział. - Sido wytarł spoconą wargę. - Wierz mi, jeśli możesz na coś liczyć, to na to na pewno.

Obserwatorium Astronomiczne Amerykańskiej Marynarki Wojennej na skrzyżowaniu Massachusetts Avenue i Trzydziestej Czwartej ulicy jest oficjalnym źródłem czasu dla wszystkich stref czasowych w Stanach Zjednoczonych i jednym z nielicznych miejsc, gdzie nieustannie obserwuje się księżyc, gwiazdy i planety. Największy zamontowany tam teleskop ma ponad sto lat i nadal jest wciąż używany. To właśnie dzięki niemu doktor Asaph Hall odkrył księżycy Marsa. Ujrzał je po raz pierwszy w 1877 roku i nadał im imiona Deimos (Lęk) i Phobos

(Strach). Stary nie miał pojęcia, dlaczego akurat tak je nazwano, wiedział jednak, że ilekroć dopada go melancholia, tylekroć ciągnie go do obserwatorium. Właśnie dlatego kazał tam sobie urządzić biuro, ukryte w głębi gmachu, niedaleko teleskopu Halla.

Właśnie rozmawiał przez wideotelefon z Jamiem Hullem, szefem ochrony w Reykjavíku, gdy odwiedził go Martin Lindros.

- Tymi z Fejd al-Saud się nie martwię - mówił Hull z wyższością w głosie. - Dzisiejsze systemy ochrony to dla Arabów ciemna magia, więc chętnie nas słuchają. - Pokręcił głową. - Drażni mnie tylko Rusek, Borys Iljicz Karpow. Szlag by to, wszystko kwestionuje. Mówię białe, on czarne. Co za skurwiel. Lubi się kłócić.

- Nie umiesz sobie poradzić z jednym głupim analitykiem, w dodatku Rosjaninem?

- Słucham?! - Zaskoczony Hull wytrzeszczył oczy; rude wąsy pod skoczyły mu do góry i opadły. - Nie, panie dyrektorze, wcale nie...

- Bo jeśli nie umiesz, w każdej chwili mogę wysłać tam kogoś innego - dodał Stary z nutką okrucieństwa w głosie.

- Nie, nie...

- I wierz mi, że to zrobię. Nie jestem w nastroju do...

- To nie będzie konieczne, panie dyrektorze. Poradzę sobie z Karpowem.

- Oby. - Starego ogarnęło znużenie i Lindros miał nadzieję, że Jamie widzi to na ekranie swego odbiornika. - Musimy stworzyć zwarty front przed, podczas i po wizycie prezydenta. Jasne?

- Tak jest.

- A Bourne? Rozumiem, że się nie pokazał.

- Nie, panie dyrektorze. Byliśmy i jesteśmy wyjątkowo czujni.

Widząc, że Stary dowiedział się już wszystkiego, czego chciał, Lindros dyskretnie odchrząknął.

- Mam spotkanie, Jamie - powiedział dyrektor, nie odwracając głowy. - Porozmawiamy jutro. - Pstryknął przełącznikiem, zetknął dłonie czubkami palców i spojrzał na duże zdjęcie Marsa i jego dwóch nienadających się do zamieszkania księżyców.

Lindros zdjął płaszcz i usiadł obok szefa. Gabinet był ciasny i przegrzany nawet teraz, w samym środku zimy. Na ścianie wisiał portret prezydenta. Po przeciwnej stronie było pojedyncze okno, a za oknem wysokie sosny, czarno-białe w jaskrawym świetle otaczających gmach reflektorów systemu bezpieczeństwa.

- Dobre wiadomości z Paryża. Bourne nie żyje.

Stary podniósł głowę i jego martwa przed chwilą twarz lekko się ożywiła.

- Dopadli go? Mam nadzieję, że zdychał w bólu.

- Prawdopodobnie tak. Zginął na autostradzie A1 na północny zachód od miasta. Wpadł motocyklem na osiemnastokolową ciężarówkę. Widziała to agentka Quai d'Orsay.

- Mój Boże - sapnęła Stary. - Została z niego mokra plama... - Zmarszczył brwi. - Na pewno?

- Dopóki go nie zidentyfikują, zawsze istnieje cień wątpliwości - odparł Lindros. - Wysłaliśmy im rentgen jego zębów i próbkę DNA, ale Francuzi mówią, że to był straszny wybuch, ogień mógł strawić nawet kości. Przekopanie zgliszcz zajmie im co najmniej dwa dni. Obiecali, że jak tylko coś znajdą, natychmiast nas powiadomią.

Dyrektor kiwnął głową.

- Robbinet wyszedł z tego cało - dodał Lindros. - Jest bezpieczny.

- Kto?

- Jacques Robbinet, francuski minister kultury, przyjaciel i współpracownik Conklina. Bał się, że może być następnym celem Bourne'a.

Umilkli i długo siedzieli w ciszy. Stary się zamyślił. Może o Conklinie, a może zastanawiał się, jaką rolę odgrywa we współczesnym świecie lęk i strach, i podziwiał Hulla za jego

umiejętność przewidywania. Pracę w tajnych służbach wywiadowczych rozpoczynał z mylnym przekonaniem, że pomoże ten strach złagodzić, tymczasem jeszcze bardziej go podsycił. Mimo to nigdy nie pomyślał o odejściu z firmy. Nie potrafił sobie wyobrazić innego życia. To, kim był i czego dokonał w tym niewidzialnym dla cywili świecie, określało jego istotę.

- Panie dyrektorze, już późno.

Stary westchnął.

- Co ty powiesz, Martin, co ty powiesz...

- Pora wracać do domu, do Madeleine - dodał cicho Lindros.

Dyrektor przetarł ręką twarz. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

- Maddy pojechała do siostry do Phoenix. Dom jest dziś ciemny.

- Mimo to.

Lindros wstał.

- Martin. - Stary odwrócił głowę. - Ta sprawa z Bourne'em... To jeszcze nie koniec.

Lindros zamarł z płaszczem w ręku.

- Nie rozumiem.

- Bourne nie żyje, ale przed śmiercią zdążył zrobić z nas durniów.

- Panie dyrektorze...

- Wystawił nas na pośmiewisko, nie możemy na to pozwolić. Jesteśmy na świeczniku. Zadają nam trudne pytania i jeśli je zignorujemy, będą poważne konsekwencje. - Staremu zabłyśły oczy. - Trzeba zamknąć tę przykrą sprawę; niech trafi do lamusa historii. Brakuje nam tylko jednego elementu.

- To znaczy?

- Kozła ofiarnego, Martin, kogoś, kogo wysmarują gównem, podczas gdy my będziemy pachnieć jak róże w maju. - Przeszył Lindrosa ostrym spojrzeniem. - Znasz kogoś takiego?

Lindros poczuł, że w żołądku narasta mu zimna gula lęku.

- No, Martin? - rzucił szorstko Stary. - Mów coś.

Lindros patrzył na niego bez słowa. Zdawało się, że nie może rozewrzeć szczęk.

- Znasz - warknął Stary. - Oczywiście, że znasz.

- Pan to uwielbia, prawda?

Lindros oskarżał go, dyrektor wzdrygnął się w duchu. Nie pierwszy raz cieszył się, że jego ludzie nie mogą wejść mu w drogę, bo gdyby weszli, musiałby ich zniszczyć. Nie, nikt go nie przerośnie, dobrze o to dbał.

- Nie znasz? To ci go przedstawię: detektyw Harris.

- Nie możemy tego zrobić - odparł Lindros. Gniew wzbierał w nim jak cola w otwartej puszcze.

- My? A kto tu mówi o nas? To było twoje zadanie. Od samego początku stawiałem sprawę jasno: za wszystko odpowiadasz ty i tylko ty. Dlatego teraz musisz zrzucić na niego winę.

- Harris nie zrobił nic złego.

Stary uniósł brwi.

- Wątpię, ale nawet jeśli, kogo to obchodzi?

- Mnie.

- Dobrze, Martin. W takim razie to ty weźmiesz na siebie winę za wpadkę na starym mieście i pod rondem Waszyngtona.

Lindros zacisnął zęby.

- Mam wybierać?

- A kto? Ta zdzira pożre mnie żywcem tak czy inaczej, więc jeśli muszę kogoś poświęcić, wolę, żeby to był podstarzały detektyw z policji stanowej niż mój zastępca. Wiesz, jak bym wyglądał, gdybyś wpakował sobie w brzuch własny miecz?

- Chryste! - syknął Lindros, kipiąc gniewem. - Klębowisko żmij. Jak pan to wytrzymuje?

Stary wstał i wziął płaszcz.

- A kto powiedział, że wytrzymuję?

Kamienny gotycki gmach: kościół Świętego Macieja. Bourne dotarł tam o jedenastej czterdzieści i przez dwadzieścia minut uważnie obserwował okolicę. Niebo było czyste, powietrze chłodne i rześkie, ale tuż nad horyzontem zbierały się gęste chmury i odświeżający wiatr niósł wilgotny zapach deszczu. Nocne odgłosy i widok kościoła uwolniły okruchy pamięci: już tu był, na pewno był, ale kiedy i po co, tego nie wiedział. Zajrzawszy w otchłań straty i tęsknoty, znowu pomyślał o Aleksie i Mo, pomyślał tak intensywnie, że jeszcze chwila i mógłby ich zmaterializować.

Zacisnął usta i potrząsnął głową. Musiał sprawdzić, czy teren jest czysty, czy nikt go nie obserwuje.

Punktualnie o północy ruszył w stronę kościoła zwieńczonego osiemdziesięciometrową kamienną wieżą najeżoną gargulcami. Na najniższym stopniu schodów stała młoda, najwyżej trzydziestopięcioletnia kobieta, wysoka, szczupła i uderzająco piękna. Jej długie rude włosy lśniły w świetle latarni. Za nią, nad głównymi drzwiami, widniała czternastowieczna płasko-rzeźba Marii Dziewicy. Kobieta spytała go o nazwisko.

- Alex Conklin.

- Paszport poproszę - rzuciła oschłym głosem urzędniczki z lotniska.

Podał jej paszport. Obejrzała go dokładnie i pomacała. Miała interesujące palce, szczupłe, długie i silne, o krótko obciętych paznokciach. Palce pianistki.

- Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się pan podaje? - spytała.

- Znikąd - odparł. - Czasem wystarczy wiara.

Prychnęła pogardliwie.

- Pana imię?

- Tam jest napisane.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Prawdziwe. To, z którym się pan urodził.

- Aleksiej. - W ostatniej chwili przypomniał sobie, że Conklin był rosyjskim emigrantem.

Kiwnęła głową. Pięknie rzeźbione rysy twarzy, węgierskie oczy, duże, zielone, przesłonięte długimi rzęsami, i szerokie, wydatne usta – miała w sobie coś poważnego i oficjalnego, ale i też coś staromodnie zmysłowego, co w zakamuflowany sposób mówiło o czasach bardziej niewinnych, gdy ważniejsze od słów często bywało to, co niewypowiedziane.

- Witamy w Budapeszcie. Nazywam się Annaka Vadas. – Podniosła kształtną rękę. - Proszę tędy.

Przeszli przez placyk i skręcili w ciemną uliczkę tuż za kościołem. Były tam ledwo widoczne drzwi, małe, drewniane, ze starymi żelaznymi okuciami. Kobieta zapaliła latarkę i wyjęła z torebki starodawny klucz. Włożyła go do zamka, przekręciła w prawo, potem w lewo. Drzwi się otworzyły.

- Ojciec czeka w środku - powiedziała. Weszli do kościoła i silne światło latarki zatańczyło na ozdobionych kolorowymi malowidłami ścianach. Freski węgierskich świętych. - W tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym Buda wpadła w ręce Turków i na sto pięćdziesiąt lat kościół stał się głównym meczetem miasta. - Poświeciła wyżej, potem w bok. - Turcy wyrzucili całe wyposażenie, zamalowali wapnem freski. Ale teraz wszystko wygląda tak jak w trzynastym wieku.

W głębi kościoła paliło się mdłe światło. Poszli dalej, mijając po drodze kilka kaplic. W kaplicy tuż przy prezbiterium na kamiennych sarkofagach spoczywały w upiornym bezruchu posągi króla Węgier Beli III i jego żony Anny z Chatillon. W mrocznej krypcie za rzędem średniowiecznych figur ktoś stał. Janos Vadas.

Wyciągnął rękę i gdy Bourne chciał ją uścisnąć, z cienia wyszło trzech ponuro spoglądających mężczyzn. Jason sięgnął po pistolet, lecz Vadas tylko się uśmiechnął.

- Niech pan spojrzy na iglicę, panie Bourne. Myśli pan, że dałbym panu sprawną broń? Annaka wymierzyła do niego z pistoletu.

- Aleksiej był moim starym przyjacielem - mówił dalej Vadas. – Poza tym piszą o panu w gazetach. - Miał zimną, wyrachowaną twarz, groźnie zmarszczone ciemne brwi, ostro zarysowaną szczękę i błyszczące oczy. Dawno już przekroczył sześćdziesiątkę i pośrodku głowy zamiast włosów miał teraz błyszczącą trójkątną plamę. - Zamordował pan Aleksiej a i tego drugiego, Panova. Już za samego Aleksieja mógłbym kazać pana zabić, tu i teraz.

- Alex był i moim przyjacielem. Przyjacielem i nauczycielem.

Vadas westchnął ze smutną, zrezygnowaną miną.

- A pan go zdradził, bo tak jak tamci, chce pan pewnie wyciągnąć wszystko z Schiffera.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Oczywiście - odparł sceptycznie Vadas. - Oczywiście...

- Skąd bym znalazł jego prawdziwe imię? Alex i Mo Panov byli moimi przyjaciółmi.
- W takim razie zabicie ich byłoby aktem czystego szaleństwa.
- Właśnie.
- Hazas uważa, że jest pan obłąkany - powiedział spokojnie Vadas. - Pamięta go pan, dyrektora hotelu, którego omal pan nie pobił? Mówi, że zachowywał się pan jak wariat.
- Więc to on zawiadomił pana, że przyjechałem. Fakt, może trochę przesadziłem, ale wiedziałem, że kłamie.
- Kłamał dla mnie - odrzekł z dumą Vadas.

Pod czujnym wzrokiem Annaki i trzech goryli z obstawy Bourne podszedł krok bliżej i podał Vadasowi bezużyteczny pistolet. Gdy mężczyzna wyciągnął rękę, Jason objął go mocno, błyskawicznie obrócił, wyszarpnął zza paska ceramiczny pistolet Derona i przytknął mu lufę do skroni.

- Naprawdę myślał pan, że użyłbym obcego pistoletu, nie rozebrawszy go przedtem na części? - Spojrzał na Annakę. - Rzuć to – powiedział spokojnie. - Inaczej mózg twojego ojca zbryzga pięć wieków waszej historii. Nie patrz na niego! Rób, co mówię!

Annaka położyła pistolet na podłodze.

- Kopnij go w moją stronę.

Kopnęła.

Goryle nie ruszyli się i chociaż teraz na pewno nie wykonaliby żadnego ruchu, Jason cały czas miał ich na oku. Zabrał pistolet i puścił Vadasa.

- Mógłbym pana zabić.
- Ale wtedy ja zabiłabym ciebie - syknęła Annaka.
- Na pewno byś próbowała - odparł Bourne. Podniósł do góry broń, pokazując im, że nie ma zamiaru jej użyć. - Ale musielibyśmy być wrogami, bo zabijanie jest aktem nienawiści.
- Podniósł z podłogi pistolet i ręką do przodu podał Annace.
- Wzięła broń bez słowa i ponownie wymierzyła.
- Co pan z niej zrobił, panie Vadas? - odezwał się Bourne. – Zabiłaby dla pana, tak, ale za szybko i bez powodu.
- Vadas stanął między nimi, spojrzał na córkę i popchnął w dół jej uzbrojoną rękę.
- Dość już mam wrogów - szepnęła.
- Annaka opuściła broń, lecz w jej błyszczących oczach wciąż czaił się gniew.
- Jak już mówiłem, zabicie Aleksieja byłoby aktem szaleństwa, a pan nie wygląda na obłąkanego. Wprost przeciwnie.
- Wrobiono mnie - oparł Bourne. - Żeby odwrócić uwagę od prawdziwych morderców.
- Ciekawe. Dlaczego?
- Przyjechałem się tego dowiedzieć.
- Vadas długo przyglądał mu się bez słowa, potem popatrzył wokół i podniósł rękę.
- Gdyby żył, spotkalibyśmy się tutaj, w tym kościele. Widzi pan, to bardzo ważne miejsce. Tu u progu czternastego wieku stanął pierwszy kościół parafialny w Budzie. Te wielkie organy, które widzi pan na chórze, grały na ślubie króla Macieja. Tu koronowano dwóch ostatnich królów Węgier, Franciszka Józefa I i Karola IV. Tak, otacza nas historia, a my chcieliśmy ją zmienić.
- Wy i doktor Schiffer, tak?

Vadas nie zdążył odpowiedzieć. W kościele zadudniło echo i runął do tyłu z rozpostartymi rękami. Z dziury na jego czole popłynęła krew. Bourne pchnął Annakę na podłogę. Ochroniarze rozpięchli się na wszystkie strony, szukając schronienia i odpowiadając ogniem. Jeden oberwał natychmiast: potknął się i runął na gładki marmur. Drugi był już przy ławkach i rozpaczliwie próbował się za nimi ukryć, ale upadł ze strzaskanym kulą kręgosłupem. Wygiął się w łuk; pistolet zaklekotał na podłodze.

Bourne zerknął na trzeciego ochroniarza i przeniósł wzrok na Vadasa leżącego na brzuchu w kałuży krwi. Nie poruszał się i chyba nie oddychał. Znowu huknęły strzały. Jason spojrzął na ochroniarza, który prostował się właśnie, mierząc w górę, w kierunku organów na chórze. Wypalił kilka razy, szeroko rozrucił ramiona i na jego koszuli wykwitła czarna plama. Chciał przytknąć tam rękę, lecz nie zdążył; przewrócił oczami i upadł.

Jason spojrzął w stronę tonących w mroku organów, dostrzegł tam niewyraźny cień, wycelował i pociągnął za spust. Trysnęła fontanna kamiennych odłamków. Chwycił latarkę Annaki, oświetlił balkon i pobiegł do spiralnych schodów. Annaka, która dopiero teraz doszła do siebie, zobaczyła ojca i krzyknęła przeraźliwie.

- Wracaj! - ryknął Bourne. - On tam jest!

Nie zważając na ostrzeżenie, Annaka uklękła przy ojcu.

Bourne chciał ją osłonić i kilka razy wypalił w stronę chóru, lecz snajper nie odpowiadał ogniem na ogień. Nic dziwnego, osiągnął swój cel i pewnie już uciekał.

Nie tracąc czasu, Jason wskoczył na schody. Zobaczył łuskę - jedną, drugą- i popędził dalej. Balkon. Nikogo. Kamienna podłoga, wyłożona rzeźbioną boazerią ściana. Zajrzał za organy, ale tam też było pusto. Uważnie obejrzał posadzkę, potem ścianę. Krawędź jednej ze starych rzeźbionych desek różniła się nieco od pozostałych, a sama deska była kilka milimetrów szersza...

Pomacał opuszkami palców i odkrył, że to nie ściana, tylko zamaskowane drzwiczki. Otworzył je i znalazł się na wąskich, krętych schodach. Z gotowym do strzału pistoletem pokonał kilkanaście stopni i stanął przed kolejnymi drzwiami. Pchnął je - wychodziły na dach. Wystawił głowę i w tym samym momencie padł strzał. Jason cofnął się, lecz tuż przedtem zobaczył sylwetkę biegnącego po dachu człowieka. Dach był bardzo stromy, a że właśnie zaczął padać deszcz, snajper niebezpiecznie ślizgał się po dachówkach. To dobrze; był zbyt zajęty, żeby strzelać.

Bourne natychmiast stwierdził, że zelówki jego nowych butów są do niczego. Zdjął buty, rzucił za parapet i na czworakach wszedł na dach. Trzydzieści metrów niżej, na dnie przepastnej otchłani, w świetle starych latarni lśnił placyk przed kościołem. Przytrzymując się palcami i stopami, Jason powoli sunął za snajperem. Nie wiedzieć czemu podejrzewał, że ściga Chana, ale jakim cudem Chan mógłby przyjechać do Budapesztu przed nim i dlaczego miałby strzelać do Vadasa, a nie do niego?

Podniósł głowę - tamten zmierzał do południowej wieży - i przyspieszył, żeby go nie zgubić. Dachówki były bardzo stare i zmurzałe. Jedna z nich pękła na pół, wyslizgując mu się z ręki, i przez chwilę balansował niebezpiecznie w prawo i w lewo. Odzyskał równowagę i odrzucił dachówkę na bok. Roztrzaskała się na płaskim dachu kaplicy trzy metry niżej.

Starał się planować naprzód. Wiedział, że będzie mu grozić poważne niebezpieczeństwo, gdy snajper dotrze do wieży, bo jeśli nie zdąży zejść z dachu, tamten zdejmie go jednym strzałem. Padało coraz mocniej. Ręce ześlizgiwały się z dachówek, oczy zalewała woda. Wieża majaczyła piętnaście metrów dalej.

Pokonał już trzy czwarte drogi, gdy wtem usłyszał brzęk metalu o kamień. Momentalnie rozplaszczyl się na dachu. Kula świsnęła mu tuż koło ucha i roztrzaskała dachówkę, o którą opierał się prawym kolanem. Zaczął zsuwać się w dół, prosto na dach kaplicy.

Odruchowo rozluźnił mięśnie, spadł na prawe ramię i zwinięty w kłębek, przetoczył się po dachu, rozpraszając energię uderzenia. Wstał i całym ciałem przywarł do okna witrażowego, schodząc z linii strzału.

Zadarł głowę. Południowa wieża była niedaleko. Kilkadziesiąt kroków w prawo strzelała w niebo druga, nieco niższa od tamtej. Miała wąskie, typowo średniowieczne okna bez szyb. Nie tracąc ani chwili, przecisnął się przez najbliższe, wszedł na dach i stanął przed kamiennym parapetem prowadzącym do południowej wieży.

Musiał dostać się na drugą stronę i nie wiedział, czy snajper go zauważy. Zauważy czy nie? Wziął głęboki oddech i wbiegł na parapet. Dostrzegł jakiś ruch w mroku, kilkanaście metrów dalej i w chwili gdy huknął strzał, upadł na prawe ramię, przetoczył się, wstał i głową naprzód dał nura w otwarte okno wieży.

Drugi strzał, trzeci - posypały się kamienne odpryski. Bourne wpadł na kręte schody i popędził na górę. Znow usłyszał metaliczny szczęk - snajperowi skończyła się amunicja. Biegł, pokonywał po trzy stopnie naraz, żeby wykorzystać tę chwilową przewagę. Nagle usłyszał kolejny szczęk i zobaczył staczającą się po schodach łuskę. Ugiął nogi w kolanach, jeszcze mocniej pochylił głowę. Strzały nie padły, co zwiększyło jego szanse.

Ale szanse to za mało - musiał mieć pewność. Podniósł latarkę, pstryknął włącznikiem i natychmiast dostrzegł niewyraźny cień na schodach, cień, który momentalnie skoczył w bok. Zgasił latarkę i przyspieszył kroku, żeby tamten nie zdążył go namierzyć.

Byli prawie na samym szczycie wieży, osiemdziesiąt metrów nad ziemią. Snajper nie miał dokąd uciec. Żeby wydostać się z pułapki, musiał go zabić. Będzie zdesperowany, więc nieostrożny i niebezpieczny. Bourne musi to wykorzystać.

Schody kończyły się kilkadziesiąt stopni wyżej okrągłym podestem pod arkadami, w których hulał deszcz i wiatr. Wiedział, że jeśli pójdzie dalej, zasypie go grad kul. Ale tu też nie mógł zostać. Położył latarkę kilka stopni wyżej, ustawił ją pod kątem, przywarł do schodów, opuścił głowę i maksymalnie wyciągnąwszy rękę, pstryknął włącznikiem.

Ogłuszający huk, grad kul, dudniące echo. Zerwał się na równe nogi i popędził na górę, ryzykownie zakładając, że desperat opróżnił cały magazynek.

Wypadł z kłębow kamienno pyłu, uderzył go w brzuch i razem runęli na ścianę. Snajper zadał mu cios w krzyż i Jason upadł na kolana, opuszczając głowę i odsłaniając kark - cel aż nazbyt kuszący - lecz gdy tamten wziął zamach, Bourne zrobił unik, chwycił go za rękę i wykorzystując impet napastnika, mocno szarpnął. Zabójca upadł, ale tuż przedtem Jason zdążył zadać mu cios w nerki.

Snajper błyskawicznie wyprostował nogi, zahaczył kostkami o jego kostki, gwałtownie rzucił w prawo i gdy Bourne upadł na plecy, runął na niego jak kafar. Mocowali się w migotliwym świetle latarki i kłębach pyłu. Zabójca miał szczupłą, pociągłą twarz, jasne włosy i jasne oczy. Jason zdębiał. Cały czas myślał, że to Chan.

Nie chciał go zabić; chciał zadać mu kilka pytań. Chciał - musiał! - się dowiedzieć, kim ten człowiek jest, kto go nasłał i dlaczego chce zabić Vadasa. Ale zabójca walczył z desperacją straceńca. Zadał mu potężny cios w prawe ramię, które momentalnie zwiotczało, i zanim Bourne zdążył zmienić pozycję, rzucił się do ataku. Jeden cios, drugi, trzeci - ciśnięty siłą uderzenia Jason wpadł między filary kamiennego łuku i oparł się plecami o balustradę. Tamten zrobił krok do przodu. W dłoni ścisnął nienabity pistolet.

Próbując zapomnieć o bolącym ramieniu, Bourne potrząsnął głową. Zabójca stał tuż przed nim, już brał zamach - w słabym świetle latarni lśniła ciężka rękojeść. Miał minę mordercy, odsłonięte jak zwierzę zęby. Zamach był krótki i płytki, lecz silny i nie ulegało wątpliwości, że pistolet ma roztrzaskać Jasonowi czaszkę. Teraz! W ostatniej chwili Bourne odsunął się na bok i pociągnięty siłą rozpędu snajper przeleciał przez barierkę.

Bourne odruchowo sięgnął w dół i chwycił go za rękę, lecz mokra od deszczu skóra była śliska jak mydło i palce Jasona nie wytrzymały. Snajper krzyknął przeraźliwie i runął w osiemdziesięciometrową przepaść.

Rozdział 14

Przybył do Budapesztu późnym wieczorem. Złapał taksówkę, pojechał do hotelu Dunabius Grand i zameldował się jako Heng Raffarin, reporter paryskiego „Le Monde”. Pod tym nazwiskiem przekroczył granicę, lecz miał też przy sobie dokumenty inspektora Interpolu, które kupił, podobne jak tamte.

- Przyleciałem z Paryża na wywiad z panem Conklinem - powiedział. - Jestem strasznie spóźniony. Mógłby mu pan przekazać, że wreszcie jestem? Obaj mamy bardzo napięty plan dnia.

Zgodnie z przewidywaniami, recepcjonista odruchowo zerknął przez ramię na przegródki na korespondencję oznaczone złotymi numerami pokoiów.

- Pana Conklina w tej chwili nie ma. Chce pan zostawić wiadomość?

- Chyba nie mam wyboru. Cóż, zaczniemy jutro z samego rana. - Udał, że coś pisze, zakleił kopertę i podał ją recepcjoniście. Biorąc klucz, kątem oka zobaczył, jak ten wkłada ją do przegródki z napisem: APARTAMENT 3. O to mu właśnie chodziło. Wsiadł do windy. Miał pokój na przedostatnim piętrze, bezpośrednio pod apartamentami.

Umył się, z malej torby wyjął narzędzia i wszedł schodami piętro wyżej. Długo stał w korytarzu, nasłuchując i przyzwyczajając się do odgłosów hotelu. Znieruchomiał jak kamieniny posąg i czekał na coś, co powiedziałoby mu, czy iść dalej, czy się wycofać, na jakiś dźwięk, wibrację, podszept zmysłów.

Ale nie usłyszał i nie wyczuł nic, więc ostrożnie ruszył przed siebie, nieustannie wypatrując w korytarzu czegoś, co mogłoby mu zagrozić, upewniając się, że przynajmniej chwilowo jest bezpieczny. W końcu stanął przed błyszczącymi drzwiami z tekowego drewna. Apartament numer trzy. Wyjął wytrych i chwilę później drzwi były otwarte.

Ponownie zamarł, wdychając zapach pokoju. Instykt mówił mu, że nikogo w nim nie ma. Mimo to bał się zasadzki. Chwiejąc się lekko z niewyspania i wzbierających w nim emocji, rozejrzał się wokół, lecz oprócz otwartej paczki na łóżku nic nie wskazywało na to, że ktoś tu mieszka. A samo łóżko? Zasłane, nikt w nim nie spał. Gdzie Bourne? Dokąd poszedł?

Wszedł do łazienki i zapalił światło. Plastikowy grzebień, pasta w tubce, szczoteczka do zębów, buteleczka płynu do płukania ust, hotelowe mydło, szampon i krem do rąk. Odkręcił tubkę, wycisnął do umywalki trochę pasty i zmył ją wodą. Wyjął z kieszeni spinacz do papieru i małe srebrzyste pudełko. W pudełeczku były dwie kapsułki powleczone szybko rozpuszczającą się żelatyną, jedna czarna, druga biała.

- Po jednej serduszko ci pika, po drugiej przestaje; pigułki tatusia na wszystkie chorób rodzaje... - zanucił, wyjmując z pudełka białą kapsułkę.

Już miał włożyć ją do otworu tubki i wepchnąć głębiej spinaczem, gdy nagle coś go powstrzymało. Odliczył do dziesięciu, zakręcił tubkę i położył ją na umywalce dokładnie tak, jak leżała.

Stał przez chwilę skonsternowany, patrząc na kapsułki, które sam przygotował w oczekiwaniu na lot do Budapesztu. Wtedy nie miał żadnych wątpliwości: czarna, napelniona jadem kraita, miała Bourne'a sparaliżować, nie pozbawiając go świadomości. Bourne wiedział o planach Spalki więcej niż Chan - musiał, przecież dotarł aż do kwatery Spalki w Budapeszcie. Dlatego Chan chciał, żeby przed śmiercią wszystko wyśpiewał. Przynajmniej tak to sobie wtedy wyobrażał.

Ale nie mógł już dłużej zaprzeczać, że w jego umyśle, od dawna trawionym żądzą zemsty, zaległy się również inne myśli. Zaległy się i chociaż próbował je odpędzić, uporczywie wracały. Ba! im gwałtowniej je odpędzał, tym gwałtowniej atakowały.

Czuł się jak ostatni głupiec: stał w pokoju swojego wroga i nie mógł zrealizować planu, który tak starannie opracował. Zamiast działać, cały czas miał przed oczami wyraz jego twarzy w chwili, gdy pokazał mu posążek Buddy na złotym łańcuszku. Dotknął go i teraz: jego gładkość i nie- zwykły kształt jak zawsze przyniosły mu ukojenie i poczucie bezpieczeństwa. Co się z nim dzieje?

Mruknął gniewnie i ruszył do drzwi. Na korytarzu wyjął telefon i wybrał numer. Dwa sygnały i głos:

*- Tak? - Ethan Hearn.
- No i jak tam? - rzucił Chan.
- Nawet mi się podoba.
- A nie mówiłem?
- Skąd dzwonicz?
- Stąd, z Budapesztu.
- Cóż za niespodzianka! Myślałem, że jesteś w Afryce.
- Nie, odrzuciłem zlecenie. - Chan był już w holu; szedł do głównych drzwi. - Właściwie to na jakiś czas się wycofałem.*

*- Musiało cię tu przyznać coś ważnego.
- Twój szef. Masz coś dla mnie?
- Nic konkretnego, ale coś się święci, i to dużego.
- Tak myślisz? Dlaczego?
- Po pierwsze, gości u siebie dwoje Czeczenów. Pozornie wszystko jest cacy, bo ruszamy w Czeczenii z dużą akcją pomocy. Ale to dziwne, cholernie dziwne, bo chociaż ubierają się po europejsku - on jest bez brody, ona bez chusty na głowie - rozpoznałem ich, a przynajmniej jego. To Hasan Arsenow, przywódca czeczeńskich rebeliantów.*

- Mów dalej - ponaglił go Chan, dochodząc do wniosku, że wydatek opłacił się po stokroć: tak dobrego kreta jeszcze nie miał.

- Dwa dni temu kazał mi iść do opery i nawiązać kontakt z potencjalnym klientem, niejakim Laszlo Molnarem.

*- Co w tym dziwnego?
- Po pierwsze, w połowie wieczoru Spalko go przejął. Osobiście. I kazał mi wziąć wolny dzień. Po drugie, Molnar zniknął.*

*- Zniknął?
- Dosłownie. Wyparował, przepadł jak kamień w wodę. Spalko ma mnie za naiwniaka i myśli, że tego nie sprawdziłem. - Hearn roześmiał się cicho.*

- Nie bądź zbyt pewny siebie, nie popełnij błędu. I pamiętaj, co ci powiedziałem: nie lekceważ go. Zlekceważysz, i już po tobie.

*- Wiem, nie jestem głupi.
- Gdybyś był, nie zapłaciłbym ci ani centa. Wiesz, gdzie mieszka ten Molnar?*

Hearn podał mu adres.

- Dobrze. Pamiętaj, głowa opuszczona, oczy i uszy szeroko otwarte.

Melduj o wszystkim, co tylko wykopiesz.

Patrzył, jak Annaka wychodzi z kostnicy, gdzie policja zawiozła ją, by zidentyfikowała zwłoki ojca i trzech zastrzelonych w kościele mężczyzn. Ponieważ snajper spadł na twarz, identyfikacja na podstawie rentgena zębów nie wchodziła w grę. Pewnie policja przepuściła jego odciski palców przez europejską bazę danych. Z tego, co zdołał podsłuchać w kościele, rozumiał, że zastanawiali się - i słusznie - dlaczego zawodowy zabójca polował na Janosa Vadasa, ale ponieważ Annaka nie potrafiła tego wyjaśnić, w końcu ją wypuścili. Oczywiście nie mieli pojęcia, że maczał w tym palce Bourne. Trzymał się od nich z daleka - ostatecznie ścigano go międzynarodowym listem gończym - mimo to trochę się obawiał. Nie wiedział - bo skąd miał wiedzieć? - czy może zaufać córce Vadasa, zwłaszcza że jeszcze nie tak dawno

chciała wpakować mu kulę w łeb. Miał jednak nadzieję, że to, co zrobił potem, przekonało ją o jego dobrych zamiarach.

Chyba tak, bo nie wspomniała o nim policji. Znalazł swoje buty w kapliczce, którą mu wskazała; leżały między sarkofagiem króla Beli III i Anny z Chatillon. Potem dał suty napiwek taksówkarzowi, pojechał za nią na posterunek, a z posterunku do kostnicy. Teraz patrzył, jak mundurowi salutują jej na pożegnanie. Zaproponowali, że podrzucają do domu, ale podziękowała i wyjęła komórkę, pewnie żeby zadzwonić po taksówkę.

Upewniwszy się, że jest sama, wysunął się z cienia i szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Zobaczyła go i schowała telefon. Jej przerażona mina osadziła go w miejscu.

- Jak pan mnie znalazł? - Rozejrzała się wokół z paniką w oczach. - Śledził mnie pan?

- Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- W porządku? Zastrzelono mojego ojca, a pan pyta, czy wszystko w porządku?

Stali pod latarnią. Cel i bezpieczeństwo - nocą zawsze myślał tymi kategoriami, nie potrafił inaczej.

- Tutejsza policja bywa trudna.

- Naprawdę? Skąd pan wie? - Odpowiedź najwyraźniej jej nie interesowała, bo ruszyła przed siebie, postukując obcasami po bruku.

- Annaka, potrzebujemy siebie nawzajem.

Miała sztywno wyprostowane plecy i wysoko podniesioną głowę.

- To bzdura.

- Nie, to prawda.

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Prawda jest taka, że przez pana zginął mój ojciec.

- I pani twierdzi, że to ja mówię bzdury? - Pokręcił głową. - Nie. Pani ojciec zginął dlatego, że współpracował z Alexandrem Conklinem. Conklina zamordowano w jego własnym domu, dlatego tu jestem.

Prychnęła pogardliwie. Była opryskliwa, lecz Bourne ją rozumiał. Ktoś, być może ojciec, wypchnął ją na scenę zdominowaną przez mężczyzn i teraz prowadziła swoistą wojnę, a przynajmniej próbowała się bronić.

- Nie chce pani wiedzieć, kto go zabił?

- Szczerze? Nie. - Oparła rękę na biodrze i zacisnęła pięść. - Chcę go pochować i zapomnieć, że kiedykolwiek słyszałam o Conklinie i Schifferze.

- Nie mówi pani tego poważnie!

- Skąd pan to wie, panie Bourne? Słyszał pan o mnie cokolwiek? - Lekko przekrzywiła głowę i uważnie mu się przyjrzała. - Chyba nie. Błądzi pan jak ślepiec. Dlatego przyjechał pan tutaj, udając Conklina. Głupi podstęp, prymitywna sztuczka. Zawałił pan, polala się krew, więc uznał pan, że pora się dowiedzieć, co zamierzali, mój ojciec i Aleksiej, że to pański obowiązek.

- Tak dobrze mnie pani zna?

Uśmiechnęła się szyderczo i podeszła krok bliżej.

- O tak, znam pana doskonale. Widziałam wielu takich jak pan. Pojawiali się i znikali, a na chwilę przed śmiercią każdy z nich myślał, że jest lepszy i sprytniejszy od swego poprzednika.

- W takim razie kim jestem?

- Myśli pan, że nie wiem? Wiem aż za dobrze. Jest pan kotem z kłębkim wełny w pazurach i chce pan tylko jednego: rozsuptać ten kłębek za wszelką cenę, nawet po trupach. Nic innego się nie liczy. Określa pana tajemnica, którą próbuje pan rozwikłać. Bez niej byłby pan nikim.

- Myli się pani.

- Nie, nie myślę się - odparła z jeszcze szerszym uśmiechem. - Właśnie dlatego nie może pan pojąć, czemu nie chcę mieć z tym nic wspólnego, nie chcę z panem współpracować ani dowiedzieć się, kto zabił mojego ojca. Po co? Czy to go przywróci do życia? On nie żyje, panie Bo-

urne. Jest tylko trupem, który czeka, aż czas skończy to, co zaczął. – Odwróciła się. Zastukały obcasy.

- Annako...

- Niech pan mi da święty spokój. Nie interesuje mnie pańskie zdanie.

Przyspieszył kroku.

- Jak pani może tak mówić? Zamordowano sześciu ludzi, a pani...

Spojrzała na niego i zobaczył, że ma łzy w oczach.

- Błagałam ojca, żeby się w to nie mieszał, ale wie pan, jak to jest: starzy przyjaciele, urok tajemnicy. Ostrzegałam go, że to się źle skończy, ale on zbywał mnie śmiechem, tak, śmiechem. Mówił, że jako jego córka na pewno tego nie zrozumie. Cóż, pokazał mi, gdzie moje miejsce, prawda?

- Annako, poszukuję mnie za podwójne morderstwo, którego nie popełniłem. Zastrzelono moich dwóch najlepszych przyjaciół, a winę zrzucano na mnie. Nie rozumie pani, że...

- Chryste, nie słyszał pan, co powiedziałam? Wpadło jednym uchem, wypadło drugim.

- Sam nie dam rady. Potrzebuję pani pomocy. Nie mam się do kogo zwrócić. Moje życie jest w pani rękach. Proszę opowiedzieć mi o Schifferze. Opowie mi pani i przysięgam, że już nigdy mnie pani nie zobaczy.

Mieszkała przy Fo utca 106/108 w Vizivaros, małej dzielnicy wzgórz i zastępujących ulice schodów, wciśniętej między Wzgórze Zamkowe a Dunaj. Z jej okien widać było plac Bema. To tam na kilka godzin przed wybuchem powstania w 1956 roku zebrały się tłumy ludzi wymachujących narodowymi flagami, z których powycinano sierpy i młoty, to stamtąd powstańcy ruszyli na Parlament.

Mieszkanie było ciasne, głównie dlatego, że prawie połowę saloniku zajmował wielki fortepian. Sięgające sufitu półki ugięły się pod ciężarem książek, czasopism muzycznych, biografii kompozytorów, dyrygentów i artystów.

Usiadł i spojrzał na nuty rozłożone na fortepianie. Chopin, pierwszy nokturn b-moll z opusu dziewiątego. Musi być dobra, pomyślał.

Okno wykuszowe w saloniku wychodziło na bulwar i domy naprzeciwko. Prawie wszystkie okna były ciemne. Słychać było jazz z lat pięćdziesiątych - Thelonious Monk. W ciemności zaszczekał pies. Od czasu do czasu uliczką przejeżdżał z hurkotem samochód.

Zapaliła światło i poszła do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę. Z żółto-złotego kredensu wyjęła naczynia, wlała trochę wódki do filiżanek.

Otworzyła lodówkę.

- Chce pan coś zjeść? Mam ser i kielbasę. - Powiedziała to jak do starego przyjaciela.

- Nie, nie jestem głodny.

- Ja też nie. - Westchnęła i zamknęła drzwiczki. Zachowywała się, jakby zdecydowała się zaprosić go do siebie, straciła całą zadziorność. Nie wspominali już o jej ojcu ani o jego bezowocnym pościgu za snajperem. Tak było lepiej.

Podala mu herbatę, przeszli do saloniku i usiedli na starej sofie.

- Ojciec współpracował z zawodowym negocjatorem Laszlo Molnarem - zaczęła bez wstępow. - To on ukrył pańskiego Schiffera.

- Ukrył? - Bourne pokręcił głową. - Nie rozumiem.

- Schiffera uprowadzono.

Jason zrobił się czujny.

- Kto go uprowadził?

Pokręciła głową.

- Ojciec wiedział, ja nie. - Zmarszczyła brwi. - Dlatego skontaktował się z nim Aleksiej. Chciał, żeby ojciec pomógł mu wywieźć Schiffera i schować go w bezpiecznym miejscu.

Bourne'owi przypomniały się słowa Mylene Dutronc: „Tego dnia, w ciągu ledwie paru godzin, otrzymał i wykonał mnóstwo telefonów. Był zdenerwowany i domyśliłam się, że ma w

terenie ludzi, że prowadzą jakąś operację. Kilka razy wymienił nazwisko Schiffera. Przypuszczam, że to on był celem akcji".

- I udało mu się.

Annaka kiwnęła głową. W świetle lampki jej włosy lśniły jak miedź. Oczy i połowa twarzy ginęły w mroku. Siedziała ze złączonymi nogami, lekko pochylona, ogrzewając dłonie filiżanką herbaty.

- Natychmiast przekazał go Molnarowi. Zrobił to ze względów bezpieczeństwa. On i Aleksiej bardzo bali się ludzi, którzy go uprowadzili.

To pasuje do tego, co mówiła Mylene, pomyślał Bourne, że tamtego dnia się bał.

- Annako, żeby to wszystko nabrało sensu, musi pani zrozumieć, że ojca wystawiono na odstrzał. Gdy przyszedliśmy do kościoła, snajper już czekał. Znał jego zamiary.

- Jak to?

- Zabił go, żeby pani ojciec nie zdążył mi nic powiedzieć. Ktoś bardzo nie chce, żebym znalazł tego Schiffera, i jest dla mnie oczywiste, że pani ojciec i Alex bali się tych samych, którzy uprowadzili doktora.

- W takim razie Molnarowi grozi niebezpieczeństwo.

- Czy ci tajemniczy ludzie mogli wiedzieć, że pani ojciec z nim współpracował?

- Wątpię. Ojciec był niezwykle czujny, zawsze pamiętał o ostrożności... - Spojrzała na Jasona wystraszonymi oczami. - Ale z drugiej strony ktoś wiedział o spotkaniu w kościele.

Bourne pokiwał głową.

- Wie pani, gdzie ten Molnar mieszka?

Zawiozła go na Różane Wzgórze. Budapeszt ukazał się mu jako urokliwe zbiorowisko kamienic przypominających tort urodzinowy, z pięknie rzeźbionymi nadprożami i gzymsami, brukowanych uliczek, kwiatów na balkonach z ręcznie kutego żelaza, kawiarenek z kunsztownymi żyrandolami i ich cytrynowym światłem, z czerwonawą boazerią na ścianach, jaskrawych rozbłysków w oknach, zwykłych, witrażowych i wytrawionych w secesyjne wzory. Ale Budapeszt to, podobnie jak Paryż, przede wszystkim kręta rzeka, która dzieli miasto na połowy, i spinające jej brzegi mosty. To miasto rzeźbionego kamienia, gotyckich wież, szerokich schodów, oświetlonych latarniami wałów obronnych, miedzianych kopuł, porośniętych dzikim winem murów, monumentalnych pomników i błyszczących mozaik. I miasto parasoli, bo gdy padał deszcz, rozkwitały nad Dunajem tysiącami, jak żagle.

Bourne był głęboko poruszony. Czuł się, jakby wrócił do miasta zapamiętanego z kolorowego snu, snu, który z niezwykłą, właściwą snom jasnością wypływał z jego podświadomości. Pamięć zalewała go strzępami wspomnień, ale nie potrafił wychwycić z nich niczego konkretnego.

Annaka musiała to wyczuć, bo spytała:

- Co się stało?

- Już tu byłem- odparł. - Pamięta pani? Powiedziałem, że tutejsza policja bywa trudna.

- Co do tego ma pan całkowitą rację. I nie wie pan, skąd pan o tym... wie?

Oparł głowę o zagłówek.

- Wiele lat temu miałem straszny wypadek. Nie, właściwie to nie był wypadek. Strzelano do mnie na trawlerze, wypadłem za burtę. Omal nie umarłem z szoku, utraty krwi i z zimna. Zaopiekował się mną pewien francuski lekarz. Wyjął kulę, opatrzył mnie... Wróciłem do zdrowia, ale tylko fizycznego. Przez jakiś czas straciłem pamięć, a potem powoli, żmudnie, krok po kroku zacząłem ją odzyskiwać. Ale nie całkowicie i chyba jej już nie odzyskam. Muszę żyć, jak żyję.

Annaka patrzyła prosto przed siebie, wyraźnie poruszona.

- Nie wiem, kim jestem - dodał. - Trudno to sobie wyobrazić, nie można wytłumaczyć. Człowiek czuje się wtedy jak...

- Dryfująca łódź.

Aż zadrżał.

- Tak.

- *Wokoło morze, ani śladu lądu. Nie ma gwiazd, księżyca ani słońca, które wskazałoby drogę do domu.*

- *Tak, coś w tym rodzaju. - Był zaskoczony. Chciał spytać, skąd o tym wie, ale parkowali już przed dużą, bogato zdobioną kamienicą.*

Wysiedli i weszli do przedsionka. Annaka pomacała ręką po ścianie i zapłonęło słabe światło. Mozaikowa podłoga, rząd przycisków, pod przyciskami nazwiska lokatorów, w tym Molnara. Zadzwoiła. Odpowiedziała im cisza.

- *To nic nie znaczy. - Annaka pokręciła głową. - Pewnie jest u Schiffera.*

Bourne podszedł do szerokich, w połowie przeszkłonych drzwi.

- *Zaraz się przekonamy.*

Pochylił się, pomajstrował przy zamku i drzwi puściły. Annaka zapaliła światło. Palilo się przez trzydzieści sekund, w tym czasie krętymi schodami weszli na pierwsze piętro.

Mieszkanie Molnara. Zamek w końcu ustąpił, choć tym razem trwało to dłużej. Annaka chciała wejść do środka, lecz Bourne powstrzymał ją gestem ręki. Wyjął pistolet i lekko pchnął drzwi. Światło. W mieszkaniu paliło się światło, lecz panowała w nim głucha cisza. Salon, sypialnia, łazienka, kuchnia - wszędzie idealny porządek, ani śladu walki. I ani śladu Molnara.

- *Niepokoi mnie to światło. - Bourne schował pistolet. - Nie, nie mógł wyjść do Schiffera.*

- *W takim razie zaraz wróci. Zaczekajmy.*

Na półce w salonie stało kilka oprawionych w ramki zdjęć.

- *To on? - spytał Jason, wskazując krępego mężczyznę z zaczesanymi do góry gęstymi czarnymi włosami.*

- *Tak, on. - Annaka rozejrzała się wokoło. - W tym domu mieszkali moi dziadkowie i jako dziecko często bawiłam się tu z koleżankami. Znałyśmy wszystkie przejścia i kryjówki...*

Bourne powiódł palcami po grzbietach starych płyt gramofonowych w stojaku obok kosztownej aparatury stereo.

- *Miłośnik opery i audiofil.*

- *Nie ma kompaktu?*

- *Ludzie tacy jak on uważają, że muzyka cyfrowa pozbawia nagranie ciepła i subtelności.*

Na biurku stał laptop, podłączony do prądu i do zewnętrznego modemu. Ekran był czarny, lecz obudowa ciepła. Bourne wcisnął klawisz i komputer natychmiast ożył; był tylko w trybie uśpienia - nikt go nie wyłączył.

Annaka zajrzała mu przez ramię.

- *Wąglik, argentyńska gorączka krwotoczna, kryptokok, dzuma płuc na... Boże święty, co on robił na tej stronie? Skutki działania... Czego? Patogenów?*

- *Zarazków. Nie wiem. Wiem tylko, że kluczem do tajemnicy jest Schiffer. Najpierw pracował w Agencji Zaawansowanych Projektów Obronnych Pentagonu; wtedy skontaktował się z nim Alex. Rok później przeszedł do Wydziału Taktycznych Broni Obezwładniających. Zaraz potem zniknął. Nie wiem, nad czym pracował, ale to coś spowodowało, że Conklin go ukrył, nie zważając na szefów CIA, wściekłych, że stracili wybitnego naukowca.*

- *Może Schiffer jest bakteriologiem albo epidemiologiem. - Annaka zadrżała. - Ta strona jest... okropna.*

Poszła do kuchni napić się wody. Bourne przejrzał stronę z nadzieją, że znajdzie tam coś, co mu powie, czego Molnar szukał. Nie znalazł nic. Otworzył pasek adresu, żeby sprawdzić, jakie strony odwiedzał, i kliknął na adres ostatniej. Czat forum naukowego. Wszedł do archiwum i okazało się, że Laszlo 1647M załogował się mniej więcej przed czterdziestoma ośmioma godzinami. Z mocno bijącym sercem przez kilka minut czytał jego ostatnią rozmowę.

- Niech pani spojrzy! - zawołał. - Wygląda na to, że Schiffer nie jest ani bakteriologiem, ani epidemiologiem. Jest specjalistą w dziedzinie badania zachowań nietrwałych kolonii bakteryjnych.

- Panie Bourne? Niech pan lepiej tu przyjdzie - odparła. - Szybko.

Powiedziała to tak dziwnym głosem, że wprost wymiotło go z pokoju.

Jak zahipnotyzowana stała przed umywalką. Rękę ze szklanką zatrzymała w połowie drogi do ust. Była bardzo blada i gdy go zobaczyła, nerwowo oblizła wargi.

- Co się stało?

Wskazała siedem czy osiem powleczonych plastikiem płytek ze zbrojonego szkła, starannie ułożonych między kuchennym blatem i lodówką.

- Co to, u diabła, jest? - spytał.

- Półki. Ktoś wyjął je z lodówki. Po co?

- Może Molnar czeka na nową lodówkę.

- Przecież ta jest nowa.

Jason podszedł bliżej.

- Jest podłączona, sprężarka pracuje. Nie zaglądała pani do środka

- Nie.

Pociągnął za uchwyt, otworzył drzwiczki. Annaka głośno sapnęła.

- Chryste - mruknął.

Patrzyły na nich martwe, niewidzące oczy. W lodówce leżały zwinięte w kłębek zwłoki Laszlo Molnara.

Rozdział 15

Z szoku wyrwało ich zawrozenie syren. Bourne podbiegł do okna, spojrzął w dół i zobaczył pięć czy sześć opłi astra i skód felicii z migającymi kogutami na dachu. Z samochodów wysypali się policjanci. Znowu! Znowu go wrobiono! Scenariusz wyda żeń był identyczny jak w domu Conklina i nie ulegało już wątpliwości, że stoi za tym ta sama osoba. Powiedziało mu to dwie ważne rzeczy: po pierwsze, ktoś obserwował jego i Annakę. Tylko kto? Chan? Raczej nie. Chan zmierzał do konfrontacji, tak, ale do konfrontacji bezpośredniej. Po drugie, prawdopodobnie Chan mówił prawdę, twierdząc, że to nie on zamordował Aleksa i Mo. Teraz Bourne nie widział już żadnych powodów, dla których Azjata miałby kłamać. Pozostawał więc ów tajemniczy ktoś, kto wezwał policję do domu Conklina. Czyżby wykonywał rozkazy przychodzące stąd, z Budapesztu? Wiele za tym przemawiało. Do Budapesztu wybierał się Alex. W Budapeszcie bywał Schiffer, mieszkali tu Vadas i Molnar. Wszystkie drogi prowadziły właśnie tu, do stolicy Węgier.

Gorączkowo myśląc, krzyknął do Annaki, żeby wytarła szklanę i kran. Chwycił komputer Molnara, przetarł adapter i klamkę u drzwi, i wybiegli z mieszkania.

Na schodach tupotały już buty policjantów. Na pewno byli też w windzie, więc ta droga odpadała.

- Nie mamy wyboru - rzucił. - Musimy iść na górę.

- Ale dlaczego przyjechali właśnie teraz? Skąd mogli wiedzieć, że tu jesteśmy?

- Nie mogli. - Wpadli na schody. - Chyba że cały czas nas obserwowali. - Na górę Wcale mu się to nie podobało. Aż za dobrze pamiętał, jak skończył snajper z kościoła Świętego Marcieja. Ten, kto wejdzie za wysoko, często spada, i to z tragicznym skutkiem.

Byli na przedostatnim piętrze, gdy Annaka pociągnęła go z; rękę.

- Tędy!

Skręcili w korytarz. Kroki na schodach dudniły coraz głośniejsze - policjanci deptali im po piętach z zawziętością ludzi ścigających odrażającego mordercę. Pokonali trzy czwarte długości korytarza i stanęli przed drzwiami, które wyglądały jak zwykłe drzwi na schody ewakuacyjne. Annaka nacisnęła klamkę i znaleźli się w krótkim, najwyżej trzymetrowym korytarzyku z poobijanymi metalowymi drzwiczkami na końcu. Bourne ruszył przodem.

Drzwiczki, na drzwiczkach dwie zasuwki, jedna na górze, druga na dole. Otworzył obie, pociągnął za klamkę i zobaczył... zimną jak grób ceglaną ścianę.

- Coś takiego! - powiedział detektyw Csilla, nie zwracając uwagi na młodego policjanta, który właśnie zwymiotował na jego wypolerowane buty. Słabo ich szkolą, to nie to, co kiedyś, pomyślał, przyglądając się stężałej ofierze.

- W mieszkaniu nie ma nikogo - zameldował jeden z policjantów. Csilla, krzepki jasnowłosy mężczyzna o inteligentnych oczach i złamanym nosie, wciąż patrzył na otwartą lodówkę.

- Nie szkodzi - rzucił. - Poszukajcie odcisków palców. Wątpię, czy sprawca był na tyle głupi, żeby je zostawić, ale nigdy nie wiadomo. - Wyciągnął rękę. - Widzisz te ślady? Przypalano go. I te nakłucia. Są bardzo głębokie.

- Ktoś go torturował - odrzekł sierżant, młody mężczyzna o wąskich, chłopięcych biodrach. - Zawodowiec.

- Nie tylko - mruknął Csilla, nachylając się i wachając ofiarę, jakby była nadpsutą tuszą wołową. - On to lubi.

- Informator twierdził, że morderca jest w mieszkaniu. Csilla podniósł głowę.

- Jeśli tu go nie ma, musi być w budynku. - Odszedł na bok, ustępując miejsca członkom ekipy daktyloskopowej, którzy weszli do kuchni z walizeczkami i aparatami. - Niech nasi przeczeszą dom.

- Już to robią- odparł sierżant, delikatnie dając mu do zrozumienia, że nie chce do końca życia pozostać sierżantem.

- Nic tu po nas - mruknął Csilla. - Chodźmy do nich.

Gdy szli korytarzem, sierżant dodał, że winda i piętra poniżej są już zabezpieczone.

- Może uciekać tylko do góry.

- Poślij snajperów na dach - rzucił Csilla.

- Już tam są. Pojechali windą, gdy tylko rozpoczęliśmy akcję. Csilla kiwnął głową.

- Ile to pięter? Trzy?

- Nad nami? Tak, trzy.

Pokonywali po dwa stopnie naraz.

- Jeśli dach jest obstawiony, nie musimy się spieszyć.

Wkrótce stanęli przed drzwiami do krótkiego korytarzyka.

- Dokąd prowadzi to przejście?

- Nie wiem - odparł sierżant, zły, że nie zna odpowiedzi.

Weszli do środka i zobaczyli zniszczone metalowe drzwi.

- I co? - rzucił Csilla. - Ślepy zaułek? - Pochylił się nad dolną zasuwę. - Ktoś je niedawno otwierał, metal błyszczy... - Wyjął pistolet, pociągnął za klamkę i zobaczył nagą ścianę.

- Facet musiał się ostro wkurzyć - mruknął sierżant.

Csilla przyjrzał się cegłom, sprawdzając, czy któraś nie jest przypadkiem świeżo położona. Potem zaczął ich kolejno dotykać. Szósta od góry lekko drgnęła. Sierżant już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Csilla zatkał mu usta ręką i przeszył ostrzegawczym spojrzeniem.

- Weź trzech ludzi i przeczeszcie sąsiedni budynek - szepnął mu do ucha.

Bourne wyczuł słuch, żeby wychwycić najcichszy odgłos w wilgotnej, gęstej jak smoła ciemności, którą dzielili jedynie ze szczurami. Cichy chrobot cegły o cegłę. Po chwili znowu. I znowu.

- Znaleźli naszą kryjówkę - szepnął, chwytając Annę za rękę. - Idziemy.

Przejście między ścianami miało nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów szerokości, od góry ograniczała je nieskończona ciemność. Stali na metalowych rurach. Tego rodzaju podłoga nie należała do najbezpieczniejszych i Bourne wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby rury nie wytrzymały, i jaka rozwarłaby się pod nimi otchłań.

- Wie pani, jak stąd wyjść? - szepnął.

- Chyba tak.

Ruszyła przed siebie, wiodąc po ścianie obiema rękami. Potknęła się i zachwiała.

- To gdzieś tutaj...

Szli powoli, stopa za stopą. Nagle jedna z rur pękła i lewa noga Bourne'a utknęła w głębokiej dziurze. Stracił równowagę i uderzył ramieniem w ścianę, wypuszczając laptop Molnara. Próbował go złapać, lecz komputer trafił kantem w rurę, wpadł w szczelinę i zniknął w czeluści.

Annaka pomogła Jasonowi wyciągnąć nogę.

- Nic się panu nie stało?

- Nie, nic - mruknął ponuro. - Ale nie mamy już laptopa...

Nagle zamarł. Oddech. Usłyszał czyjś oddech. Ktoś za nimi szedł. Latarka. Położył palec na włączniku i przytknął usta do ucha Anny.

- Już tu są. Od tej chwili ani słowa. - Poczul zapach jej skóry, cytrusy i piżmo. Kiwnęła głową.

Cichy brzęk. Ten, kto za nimi szedł, potknął się o rury, o gruby łącznik. Znieruchomieli. Bourne słyszał tylko bicie swego serca. Kilka sekund później ręka Annaki odnalazła jego rękę i przytknęła ją do ściany w miejscu, gdzie tynk nagle się kończył, jakby odpadł albo jakby celowo go odłupano.

Teraz wyniknął kolejny problem. Gdyby wypchnęli fragment ściany, do środka wpadłaby smuga światła i nawet gdyby było słabe, idący za nimi policjant natychmiast by ich zobaczył. Zobaczył i odkrył, dokąd idą. Bourne postanowił zaryzykować. Przyłożył usta do ucha Annaki i szepnął:

- Uprzedź mnie, kiedy pchniesz.

Ścisnęła go za rękę. Gdy ścisnęła po raz drugi, wycelował latarkę za siebie, pstryknął włącznikiem i z nadzieją, że rozbłysk jaskrawego światła osłepi policjanta, naparł na ścianę.

Ustała, lecz w tym samym momencie rury zadygotały, a sekundę później policjant zadał mu potężny cios w brzuch.

Oślepiony Csilla zmrużył oczy i potrząsnął głową. Tamten kompletnie go zaskoczył, co doprowadziło go do wściekłości, bo uważał, że jest przygotowany na wszystko. Potrząsnął głową jeszcze raz, lecz ślepotą nie ustąpiła. Wiedział, że jeśli będzie czekał, aż światło zgaśnie, morderca zdąży uciec, dlatego wykorzystując element zaskoczenia, postanowił zaatakować mimo to. Stęknął z wysiłku, rzucił się głową naprzód i uderzył w brzuch.

W ciasnej, ciemnej przestrzeni wzrok na nic się nie przydaje, dlatego -jak uczono go w szkole policyjnej - uderzał pięściami, kantem dłoni i obcasami twardych butów. Zawsze wierzył w skuteczność ataku z zaskoczenia. Wiedział, że zabójca się tego nie spodziewa, dlatego żeby wykorzystać zaskoczenie, zadał mu tyle ciosów, ile tylko zdołał.

Tamten był silny, dobrze zbudowany. Co gorsze, znakomicie się bił i Csilla natychmiast zdał sobie sprawę, że w dłuższej walce na pewno by z nim przegrał. Dlatego próbował zakończyć starcie jak najszybciej i najskuteczniej. Niestety, popełnił fatalny błąd, odsłaniając szyję. To dziwne, lecz zamiast bólu poczuł jedynie silny ucisk. Gdy ugięły się pod nim nogi, był już nieprzytomny.

Bourne przeszedł otworem na drugą stronę i pomógł Annace zasunąć fragment ściany.

- Co się tam stało?

- Nic. Gliniarz był bystrzejszy, niż myślałem.

Krótki korytarzyk. Zza drzwi, z holu sąsiedniego budynku sączyło się ciepłe światło ze szklanych kinkietów na ścianach oklejonych kwiecistymi tapetami. Tu i tam stały ciemne drewniane ławki.

Annaka wcisnęła już przycisk windy, lecz gdy kabina podjechała wyżej, zobaczyli w niej dwóch policjantów z bronią gotową do strzału,

- Cholera jasna! - Bourne pociągnął ją w stronę schodów, lecz na schodach dudniły już ciężkie kroki: tamtędy też nie mogli uciec. Policjanci otworzyli drzwi windy. Byli w holu, już ku nim biegli. Jason i Annaka popędzili na górę. Bourne wyjął wytrych, jednym ruchem otworzył pierwsze drzwi po lewej stronie i zamknął je, zanim policjanci zdążyli skrócić w korytarz.

W mieszkaniu panowała ciemność i cisza. Nie wiedzieli, czy ktoś w nim jest. Bourne podszedł do okna, otworzył je i wyjrzał na wąski zaułek z dwoma wielkimi pojemnikami na śmiecie pod ścianą domu. Zaułek, rozmyte światło odległej latarni i metalowe schody przeciwpożarowe trzy okna dalej.

- Chodź - rzucił, wchodząc na parapet.

Annaka wytrzeszczyła oczy.

- *Zwariowałeś?*
- *Chcesz, żeby cię złapali? - Popatrzył na nią spokojnie. - To nasza jedyna szansa.*

Annaka głośno przełknęła ślinę.

- *Mam lęk wysokości.*
- *Tu nie jest wysoko. - Wyciągnął do niej rękę i pokiwał palcem. - Chodź, nie ma czasu.*

Wzięła głęboki oddech, stanęła na parapecie, zamknęła okno, spojrzała w dół i byłaby spadła, gdyby jej nie przytrzymał, przyciskając do ściany budynku.

- *Chryste, to ma być niewysoko?*
- *Bo nie jest.*

Zagryzła wargę.

- *Zabiję cię za to, zobaczysz.*
- *Już próbowałaś. - Ścisnął ją za rękę. - Idź za mną, a nic ci się nie stanie, obiecuję.*

Powolutku przesuwali się wąską ceglana półką. Nie chciał jej popędzać, ale powodów do pośpiechu było aż nadto wiele. W domu roilo się od policjantów, którzy lada chwila mogli obstawić uliczkę.

- *Musisz puścić moją rękę - powiedział i zobaczywszy, co Annaka chce zrobić, szybko dodał: - Nie, nie patrz w dół! - Mówił ostrym, surowym tonem, żeby przykuć jej uwagę. - Jeśli zakręci ci się w głowie, popatrz na ścianę. Skup wzrok na czymś małym, na cegle, jakimś pęknięciu, wszystko jedno. Zajmij czymś myśli, wtedy strach minie.*

Kiwnęła głową. Bourne stanął na końcu parapetu, prawą ręką chwycił się okapu nad sąsiednim oknem i przeniósł ciężar ciała z lewej nogi na prawą, zwinnie przeskoczył na parapet półtora metra dalej. Odwrócił się, uśmiechnął i wyciągnął rękę.

- *Teraz ty.*
- *Nie. - Błada jak śmierć Annaka gwałtownie pokręciła głową. - Nie dam rady.*
- *Dasz. Zrób tylko pierwszy krok, reszta pójdzie jak z płatka. Po prostu przenieś ciężar ciała z lewej nogi na prawą.*

Milczała, uparcie kręcąc głową.

Bourne nie przestawał się uśmiechać, chociaż zaczynał ogarniać go strach. Tu, na ścianie domu, byli całkowicie odsłonięci i gdyby teraz zobaczyli ich policjanci, to po nich. Musieli dotrzeć do schodów, i to szybko.

- *Jedna noga. Wystaw prawą nogę.*
- *Chryste. - Stała na skraju parapetu. - A jak spadnę?*
- *Nie spadniesz.*
- *Ale...*
- *Złapię cię, przytrzymam. - Uśmiechnął się. - No chodź.*

Gdy postawiła nogę na sąsiednim parapecie, pokazał jej okap, a ona bez wahania go chwyciła.

- *Teraz przenieś ciężar ciała na prawą nogę i podnieś lewą.*
- *Nie mogę się ruszyć.*

Wiedział, że zaraz spojrzy w dół.

- *Zamknij oczy - rzucił. - Trzymam cię. Czujesz moją rękę? - Kiwnęła głową, jakby się bała, że straci równowagę od dźwięku własnego głosu. - Przenieś ciężar ciała na prawą nogę, wystarczy jeden ruch... O tak, dobrze. Teraz podnieś lewą...*
- *Nie.*

Objął ją wpół.

- *W takim razie tylko podnieś nogę.*

Gdy to zrobiła, mocno szarpnął i przyciągnął ją ku sobie. Przywarła do niego całym ciałem, drżąc ze strachu i ulgi.

Jeszcze tylko dwa okna. Stanął na końcu parapetu i wszystko zaczęło się od nowa - wiedział, że im szybciej przejdą dalej, tym lepiej. Drugi i trzeci parapet Annaka pokonała sprawniej, może dlatego, że nabrała odwagi, a może zupełnie się wyłączyła, ślepo wykonując jego rozkazy.

Wreszcie schody - ruszyli na dół. Dochodziło tu światło ulicznej latarni i w zaułku zalegały długie cienie. Jason miał ochotę roztrzaskać latarnię kulą, ale nie śmiał. Nie, wystarczy, że się pospieszą.

Byli już na podeście prowadzącym do drabinki kończącej się kilkadziesiąt centymetrów nad poziomem jezdni, gdy wtem kątem oka dostrzegł zmianę w grze światła. W zaułku coś się poruszyło, drgnął jakiś cień. Dwóch policjantów. Jeden z lewej, drugi z prawej strony.

Gdy tylko namierzyli uciekiniera, sierżant wysłał na ulicę jednego ze swoich. Wiedział już, że bandyta jest w sąsiednim budynku. Udało mu się zbiec z miejsca zbrodni i było bardzo wątpliwe, żeby dał się zaskoczyć na klatce schodowej. Oznaczało to, że musi wyjść z budynku, więc sierżant postanowił obstawić wszystkie możliwe punkty ewakuacji. Na dachu miał snajperów, od frontu i od tyłu. Pozostawał zatem zaułek. Nie przypuszczał, żeby zbieg mógł tam dotrzeć, ale nie chciał ryzykować.

Miał szczęście, bo skręcając z ulicy, zobaczył na schodach przeciwpożarowych zarys ciemnej sylwetki, a w świetle latarni dostrzegł podwładnego, który wchodził do zaułka z przeciwnej strony. Sierżant podniósł rękę, wskazując schody. Wyjął pistolet i właśnie ruszył do drabinki, gdy wtem sylwetka drgnęła i jakby się... rozdzieliła! Sierżant zdębiał. Na podeście schodów było dwóch ludzi. Nie jeden, tylko dwóch!

Wycelował i pociągnął za spust. Huk, brzęk rykoszetującej kuli i snop iskier. Jeden z cieni na podeście odbił się, skoczył, wylądował, zwinął w kłębek i zniknął między pojemnikami na śmierci. Policjant puścił się biegiem, dopadł pojemnika, przykucnął i powoli ruszył w jego stronę.

Sierżant czekał. Podniósł głowę i poszukał wzrokiem drugiego cienia, ale chociaż w słabym świetle trudno było dostrzec szczegóły, szybko stwierdził, że podest jest pusty. Gdzie się sukinsyn podział?

Popatrzył na policjanta, lecz policjant też zniknął. Podeszedł trochę bliżej i zawołał go po nazwisku. Cisza. Wyjął walkie-talkie, żeby wezwać posiłki, i w tym samym momencie coś na niego spadło. Zachwiał się, upadł, ukląkł na jedno kolano i oszołomiony potrząsnął głową. Wtedy spomiędzy pojemników coś wyszło. Coś czy ktoś? Zanim zdał sobie sprawę, że to jednak nie policjant, otrzymał silny cios i stracił przytomność.

- To było głupie. - Jason nachylił się, żeby pomóc wstać Annace. Odtrąciła jego rękę i wstała o własnych siłach.
- Myślałem, że masz lęk wysokości.
- Jeszcze bardziej boję się śmierci - warknęła.
- Zwiewajmy stąd, zanim się zbiegną. Ty prowadzisz.

W oczach tańczyło mu światło latarni. Wybiegli z zaułka i chociaż nie widział twarzy, momentalnie rozpoznał sylwetkę i sposób chodzenia Bourne'a. Obecność towarzyszącej mu kobiety tylko odnotował. Jego też uderzyło podobieństwo wydarzeń, jakie tu zaszły, do sytuacji w domu Conklina w Manassas. Spalko. To jego robota. Sęk w tym, że w przeciwieństwie do Manassas, gdzie od razu namierzył jego człowieka, podczas starannego przeszukania okolic domu Molnara nikogo takiego nie zauważył. W takim razie kto wezwał policję? Ktoś musiał tu być, ktoś musiał widzieć, jak Bourne wchodzi z kobietą do budynku.

Odpalił silnik wypożyczonego samochodu i pojechał za nimi. Bourne wsiadł do taksówki, kobieta poszła dalej. Znał Bourne'a i wiedział, że będzie kluczył, zmieniał taksówki, dlatego jechał za nim jak po sznurku.

Minęli Fo utca. Cztery ulice za wspaniałymi kopułami Łaźni Kiralya Bourne wysiadł i wszedł do domu oznaczonego numerem 106/108.

Chan zwolnił i zaparkował naprzeciwko domu, kilkadziesiąt metrów przed wejściem. Wyłączył silnik i zgasił światła. Alex Conklin, Jason Bourne, Laszlo Molnar, Hasan Arsienow... I Spalko. Ciekawe, pomyślał, ludzie pozornie ze sobą niezwiązani, a jednak związani. Była w tym pewna logika, jak zawsze, jeśli tylko umiało się ją dostrzec.

Pięć czy sześć minut później przed dom zajechała taksówka i wysiadła z niej młoda kobieta. Wyteżył wzrok, lecz zanim zniknęła za ciężkimi drzwiami, zdołał dostrzec tylko jej rude włosy. Czekał, obserwując fasadę budynku. Od odjazdu pierwszej taksówki w oknach nie zapaliło się ani jedno światło, co oznaczało, że Bourne czeka na nią w holu, że tu jest jej mieszkanie. Istotnie, niecałe trzy minuty później w oknie na trzecim, najwyższym piętrze zapłonęło światło.

Wiedział już, gdzie są, i chciał zapaść w zasnienie, lecz po godzinie bezowocnych prób oczyszczenia umysłu zrezygnował. Siedział po ciemku, dotykając swego Buddy. I niemal natychmiast głęboko zasnął, spadł jak kamień w koszmar powracającego snu.

Błękitno-czarna woda burzy się i wiruje, jakby drzemiała w niej zła energia. Próbuje wypłynąć na powierzchnię, wyciąga się tak mocno, że trzeszczy mu kości. Mimo to wciąż tonie, wciąż pogrąża się w mrocznej otchłani ze sznurem u nogi. Zaczynają palić go płuca. Brakuje mu tchu, ale wie, że gdy tylko otworzy usta, wpadnie do nich woda i zabije go.

Sięga w dół, chce rozwiązać więzy, lecz sznur jest śliski, a on nie może go chwycić. Wie, że w otchłani czeka na niego coś przerażającego, i czuje się tak, jakby poraził go prąd. Kleszcze strachu zaciskają się coraz mocniej, robi wszystko, żeby nie zacząć bełkotać. Nagle słyszy dochodzący z głębin dźwięk, pobrzękiwanie dzwonek, monotonne głosy mnichów zawodzących jakąś pieśń na oczach Czerwonych Khmerów, którzy szykują się do masakry. Dźwięk przechodzi w końcu w pojedynczy głos, w czysty tenor, który rytmicznie skanduje jakieś słowa - brzmi to jak modlitwa.

I wtedy, patrząc w głębinę, dostrzega przywiązany do sznura kształt, to co wciąga go w otchłań. Widzi swoje fatum i czuje, że ta modlitwa, ta pieśń dobywa się właśnie stamtąd. Bo on ten kształt dobrze zna, dobrze wie, kto wiruje w potężnym prądzie wody - przecież zna go jak swoją własną twarz i ciało. Ale zaraz potem doznaje potwornego wstrząsu, gdyż zdaje sobie sprawę, że jednak nie, że ów dźwięk dochodzi skądś indziej, bo to, co wciąga go w otchłań, nie żyje, jest martwe.

Pieśń narasta, jest coraz głośniejsza i czystsza, i wtedy uświadamia sobie, że to jego głos, że dobywa się z jego piersi. Ta modlitwa, ta pieśń porusza każdą cząstkę jego ciała.

- Lee-Lee! Lee-Lee! - woła i chwilę później... umiera.

Rozdział 16

Spalko i Zina przybyli na Kretę przed wschodem słońca. Wylądowali na lotnisku Kazantzakis, na przedmieściach Iraklionu. Towarzyszył im chirurg i trzech innych mężczyzn, którym Zina zdążyła się przyjrzeć dokładnie podczas lotu. Spalko nie wybrał szczególnie postawnych - chyba po to, by nie wyróżniali się z tłumu. Kiedy - tak jak teraz - nie występował jako Stiepan Spalko, prezes Humanistas Ltd., lecz jako Szejk, zachowywał nadzwyczajną ostrożność. Tego samego wymagał od swego personelu. Już sam bezruch mężczyzn dawał Zinie pojęcie o ich sile. Doskonale panowali nad swoimi ciałami, kiedy się poruszali, robili to z gracją i pewnością siebie joginów. W ich ciemnych oczach widziała ten rodzaj koncentracji, jakiej nabywa się po latach ciężkiego treningu. Nawet gdy uśmiechali się do niej z szacunkiem, wyczuwała czającą się groźbę, która niczym ściśnięta ostra sprężyna cierpliwie czeka na uwolnienie.

Kreta, największa wyspa Morza Śródziemnego, stanowi bramę między Europą a Afryką. Przez stulecia wygrzewała się w śródziemnomorskim słońcu południowym wybrzeżem zwrócone ku Aleksandrii w Egipcie i Benghazi w Libii. To dogodne położenie czyniło z niej oczywiście łakomy kąsek. Historia leżącej na skrzyżowaniu kultur wyspy musiała być krwawa. Jej brzegi omywały nie tylko wody morza, ale fale kolejnych najeźdźców z różnych krain, którzy lądowali na kretańskich plażach i skałach, przywożąc ze sobą własną kulturę, język, architekturę i religię.

Starożytny Heraklejon założyli Arabowie w 824 roku n.e. Miasto nazwane Chandax, co stanowiło zniekształconą wersję arabskiego słowa kandak, a oznaczało wykopaną wokół grodu fosę. Arabscy piraci rządili miastem przez sto czterdzieści lat, w końcu przegrywając walkę o władzę z Bizantyjczykami. Wcześniej korsarze zdążyli jednak odnieść tak oszałamiające sukcesy, że trzeba było trzystu statków, by wywieźć zgromadzone przez nich łupy do Bizancjum.

Podczas okupacji weneckiej miasto nosiło miano Kandia. Pod rządami Wenecjan stało się centrum kulturalnym wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Położyła temu kres pierwsza inwazja Turków.

Gdziekolwiek spojrzeć, widać było ślady tej burzliwej historii: masywną bryłę weneckiej fortecy chroniącej port przed inwazjami, ratusz w weneckiej loggii, turecką fontannę-kawiarnię w pobliżu dawnego kościoła Zbawiciela, przekształconego przez Turków w meczet...

W gwarnym, nowoczesnym mieście nie pozostało niestety nic z kultury minojskiej - pierwszej i z punktu widzenia archeologów najważniejszej z kretańskich cywilizacji. Poza miastem wznosiły się ruiny pałacu w Knossos, ale tylko historycy zwracali uwagę na fakt, że Arabowie wybrali to miejsce na założenie Chandax, gdyż właśnie tu tysiące lat wcześniej znajdował się główny port Krety.

Kreta pozostała jednak wyspą owianą mitem. Nie można było postawić stopy na lądzie, nie przypominając sobie jego legendarnych początków. Wieki przed pojawieniem się Arabów, Wenecjan czy Turków Kreta wyłoniła się z mgieł legendy. Minos, pierwszy kretański król, był półbogiem. Jego ojciec, Zeus, przybrawszy postać byka, porwał jego matkę, Europę - i w ten sposób byk stał się symbolem wyspy.

Tocząc bój o panowanie nad Kretą z dwoma braćmi, Minos zaniósł modły do Posejdonu, obiecując władcy mórz wieczne poddaństwo w zamian za pomoc. Posejdon wysłuchał jego modlitw i z morskiej piany wyłonił się śnieżnobiały byk. Zwierzę miało zostać złożone przez Minosa w ofierze, w dowód jego oddania Posejdonowi, jednak chciwy król zatrzymał byka dla

siebie. Rozwścieczony Posejdon sprawił, że żona Minosa zakochała się w zwierzęciu. W tajemnicy poleciła Dedalowi, ulubionemu architektowi Minosa, by zbudował pustą w środku krowę, w której ukryła się, aby odbyć miłosny akt z bykiem. Owocem tego zbliżenia był Minotaur - potwór o ludzkim ciele, z głową i ogonem byka -siejący na wyspie taką grozę, że Minos rozkazał Dedalowi wznieść ogromny labirynt, tak zagmatwany, by Minotaur nie mógł się z niego wydostać.

Stiepan Spalko rozmyślał o tej legendzie, jadąc ze swymi ludźmi stromymi ulicami miasta. Pociągały go greckie mity, mówiące o gwałtach, kazirodztwie i rozlewie krwi. W wielu z ich bohaterów widział odbicie własnej osobowości, bez trudu mógł więc uwierzyć, że sam jest półbogiem.

Jak wiele śródziemnomorskich wyspiarskich miast, Iraklion został wybudowany na zboczu góry, kamienne mury domów wznosiły się przy stromych ulicach, po których pracowicie pięły się taksówki i autobusy. Wzdłuż całej wyspy ciągnął się łańcuch górski, zwany Białymi Górami.

Dom pod adresem, który Spalko uzyskał od przesłuchiwanego Laszła Molnara, stał w połowie zbocza. Był własnością architekta, niejakiego Istosa Dedaliki, który, jak się okazało, był postacią równie mityczną jak jego imiennik. Ludzie Spalki ustalili, że dom został wydzierżawiony przez przedsiębiorstwo związane z Molnarem. Dotarli na miejsce, nim nocne niebo rozwarło się niczym lupina orzecha, z której wylania się krwawe jądro śródziemnomorskiego słońca.

Po krótkim rekonesansie założyli małe słuchawki, łącząc się przez sieć bezprzewodową. Sprawdzili broń - kompozytowe kusze snajperskie, pozwalające zachować idealną ciszę. Spalko zsynchronizował zegarki z dwoma spośród swych ludzi, po czym kazał im obstać tylne wyjście, w czasie gdy on z Zina podejda do frontowych drzwi. Ostatni ochroniarz miał stać na warcie, by ich ostrzec, gdyby działo się coś podejrzanego -lub gdyby zjawiała się policja.

Ulica była pusta i cicha, ani żywego ducha. Dom stał nieoświetlony, jednak Spalko niczego innego się nie spodziewał. Zerknął na zegarek i zaczął odliczać do mikrofonu, podczas gdy wskazówka sekundnika sunęła ku pełnej minucie.

W domu panowało zamieszanie, najemnicy krzatali się, szykując do wyprowadzki. Za kilka godzin znów zmienią miejsce pobytu. Co trzy dni przenosili doktora Schiffera w inne miejsce na Krecie - szybko i dyskretnie, w ostatniej chwili decydując dokąd. Względem bezpieczeństwa wymagały, by kilku z nich zostało i upewniło się, że wszelkie dowody ich obecności zostały zabrane lub zniszczone.

W tym momencie najemnicy byli rozproszeni po całym domu. Jeden przyrządził sobie w kuchni mocną turecką kawę, drugi był w łazience, trzeci włączył telewizor. Przez chwilę gapił się bezmyślnie na ekran, potem podszedł do frontowego okna, odsunął zasłonę i wyjrzał na ulicę. Wszystko wydawało się w porządku. Przeciągnął się niczym kot, wyginając ciało w jedną i drugą stronę. Wreszcie przypiął do ramienia kaburę i ruszył na poranny obchód.

Odryglował frontowe drzwi, otworzył - i natychmiast dosięgnęła go strzała Spalki, wystrzelona prosto w serce. Runął do tyłu z rozpostartymi ramionami i spojrzeniem utkwionym w suficie, martwy, zanim upadł na podłogę.

Spalko i Zina weszli do holu, a w tej samej chwili ludzie Spalki wdarli się do domu przez tylne drzwi. Najemnik w kuchni upuścił kubek z kawą, sięgnął po broń i zdążył zranić jednego z ludzi Spalki, nim sam został zastrzelony.

Spalko skinął głową Zinie i pobiegł do góry, przeskakując po trzy stopnie.

Na odgłos strzałów dobiegających z łazienki Zina wysyłała jednego z ich ludzi na podwórze z tyłu domu. Kolejnemu kazała wylamać drzwi do łazienki. Zrobił to cicho i skutecz-

nie. Ale strzały umilkły i łazienka była okazala się pusta. Zobaczyli tylko otwarte okno, przez które wydostał się najemnik. Zina przewidziała taką możliwość i dlatego wysłała człowieka na tył domu.

Chwilę później usłyszała świst wystrzeliwanego beltu, a po nim ciężkie stęknienie, jakby ktoś upadł.

Spalko, pochylony, przeszukiwał kolejne pokoje na piętrze. Pierwsza sypialnia była pusta, ruszył więc do drugiej. Kiedy mijał łóżko, dostrzegł jakiś ruch w lustrze nad toaletką po lewej. Coś poruszyło się pod łóżkiem. Ukląkł i wystrzelił. Strzała wzbija pokład kurzu i łóżko uniosło się do góry. Ktoś zaczął rzucać się po podłodze, jęcząc.

Nadal klęcząc, Spalko założył kolejny belt i właśnie celował z kuszy, gdy ktoś zwałił go z nóg. Coś uderzyło go w głowę, usłyszał rykoszetujący pocisk i poczuł walący się na niego ciężar. Rzucił kuszę, wydobył nóż myśliwski i pchnął w górę. Wbił ostrze po rękojęść i przekreślił, zgrzytając zębami z wysiłku, póki nie zalała go krew przeciwnika.

Z wysiłkiem zrzucił z siebie ciało zabitego, wyszarpnął nóż i wytarł ostrze o łóżko. Podniósł kuszę i wystrzelił w łóżko drugą strzałę. W powietrze poleciały kawałki materaca. Walenie o podłogę gwałtownie ustało.

Sprawdził pozostałe pokoje i zszedł na dół, do pokoju gościnnego cuchnącego kordytem. Jeden z jego ludzi wchodził właśnie przez otwarte tylne drzwi, taszcząc ostatniego z najemników, którego poważnie ranil. Szturm trwał niecałe trzy minuty, dokładnie tyle, ile Spalko zaplanował; im mniej uwagi ściągną na dom, tym lepiej.

Ani śladu doktora Feliksa Schiffera. A jednak Spalko wiedział, że Laszló Molnar go nie okłamał. Najemnicy należeli do oddziału wynajętego przez Molnara, gdy wraz z Conklinem opracowywali ucieczkę Schiffera.

- Jakież ofiary? - zapytał swoich ludzi.

- Marco jest lekko ranny. Kula przeszła mu na wylot przez lewe ramię - oznajmił jeden z nich. - Dwóch przeciwników nie żyje, jeden jest poważnie ranny.

Spalko kiwnął głową.

- I dwa trupy na górze.

- Ten tutaj długo nie pociągnie bez lekarza - dodał podwładny Spalki, wskazując lufą pistoletu maszynowego ostatniego żywego najemnika.

Spalko spojrział na Zinę. Podeszła do rannego, uklękła i odwróciła go na plecy. Jęknął, gdy ruch wywołał upływ krwi.

- Jak się nazywasz? - spytała po węgiersku.

Spojrział na nią oczami zamroczonymi bólem i świadomością nadchodzącej śmierci. Wyjęła pudełko zapalek.

- Jak się nazywasz? - powtórzyła, tym razem po grecku. Nie doczekawszy się odpowiedzi, rzuciła do ludzi Spalki:

- Przytrzymajcie go.

Dwóch mężczyzn wykonało rozkaz. Najemnik walczył przez chwilę, lecz wkrótce uległ. Patrzył na nią obojętnie - w końcu był zawodowym żołnierzem.

Zapaliła zapalną. Płomień wzbudził ostry zapach siarki. Kciukiem i palcem wskazującym rozchyliła mu powieki jednego oka i zbliżyła płomień do gałki ocznej.

Drugie oko najemnika zamrugało w panice, oddech stał się chrapliwy. Płomień, odbity w szklistej krzywiźnie, zbliżał się coraz bardziej. Zina widziała, że mężczyzna boi się, choć do końca nie wierzy, że ona spełni swą niemą groźbę. Żalotne, ale dla niej nie robiło to żadnej różnicy.

Najemnik zawył i jego ciało wygięło się w łuk mimo wysiłków przytrzymujących go mężczyzn. Zwijał się i wyl z bólu nawet wówczas, gdy wypalona, dymiąca zapalną upadła na jego pierś. Zdrowe oko obracało się w oczodole, jakby szukając kryjówki.

Zina spokojnie zapaliła kolejną zapalną i wtedy najemnik momentalnie zwymiotował. Nie zniechęciło to jej. Najważniejsze było to, by zrozumiał, że powstrzyma ją tylko jedna odpowiedź. Nie był głupi, wiedział, jaka to odpowiedź. Żadne pieniądze nie zrekompensują mu tych tortur. Przez lzy w jego zdrowym oku dojrzała chęć kapitulacji, mimo to nie zamierzała pozwolić mu wstać, póki nie powie, dokąd zabrali Schiffera.

Obserwujący całą scenę Stiepan Spalko musiał przyznać, że zrobiła na nim wrażenie. Nie miał pojęcia, jak zareaguje Zina na wyznaczone jej zadanie przesłuchania. Na swój sposób było sprawdzianem, ale i czymś więcej - chciał poznać ją w ten intymny sposób, który tak lubił.

Jako człowiek, który każdego dnia używał słów do manipulowania ludźmi i zdarzeniami, Spalko żywił do nich wrodzoną nieufność. To oczywiste, że ludzie kłamią. Niektórzy, aby coś zyskać, inni nieświadomie, chroniąc się przed docieklivością, jeszcze inni okłamują samych siebie. Tylko w działaniu, zwłaszcza w ekstremalnych okolicznościach lub pod przymusem, ujawnia się prawdziwa ludzka natura, wtedy nie da się kłamać, można spokojnie wierzyć w to, co rozgrywa się przed oczami.

Teraz znał prawdę o Zinie, o tym, czego nie mógł wiedzieć przedtem. Wątpił, czy wiedział to Hasan Arsienow, wątpił nawet, czy uwierzyłby, gdyby mu powiedziano. W głębi duszy Zina była twarda niczym skała, twardsza niż sam Arsienow. Patrząc, jak wydobywa informacje od bezbronnego najemnika, rozumiał, że mogłaby żyć bez Arsienowa, choć Arsienow nie mógł żyć bez niej.

Bourne'a obudził dźwięk gam i zapach kawy. Przez moment zawisł między snem a jawą. Wiedział, że leży na sofie Annaki Vadas, przykryty puchową pikowaną kołdrą, z poduszką z pierza pod głową. Natychmiast rozbudził się zupełnie w słonecznym mieszkaniu Annaki. Odwróciwszy się, zobaczył ją siedzącą przy lśniąącym fortepianie, obok którego parował duży kubek kawy.

- Która godzina?

Dalej grała, nie unosząc głowy.

- Minęło południe.

- Chryste!

- Tak, to czas moich ćwiczeń i twojej pobudki. - Zaczęła grać melodię, której nie potrafił rozpoznać. - Myślałam, że wróciłeś do hotelu, zanim się obudziłam, ale potem weszłam tu - i znalazłam cię śpiącego słodko jak dziecko. Więc zrobiłam kawę. Chcesz?

- No jasne.

- Wiesz, gdzie jest.

Podniosła głowę i, nie odwracając jej, obserwowała, jak odkrywa kołdrę i wkłada sztruksy i koszulkę. Poszedł do łazienki, a po skończeniu toalety do kuchni. Kiedy nalewał sobie kawę, oznajmiła:

- Masz ładne ciało, choć pełne blizn.

Bezskutecznie szukał śmietanki - najwyraźniej wolała pić czarną.

- Blizny dodają mi uroku.

- Nawet ta na szyi?

Zajęty szperaniem w lodówce, nie znalazł odpowiedzi. Zamiast tego odruchowo przycisnął dłoń do rany i znów poczuł współczujący dotyk Mylene Dutronc.

- Ta jest nowa - zawyrokowała. - Co ci się stało?

- Spotkałem pewnego postawnego i bardzo zagniewanego osobnika.

Nagle zaczęła sprawiać wrażenie niespokojnej.

- Kto próbował cię udusić?

W końcu znalazł śmietankę. Wlał trochę do kawy, wsypał dwie łyżeczki cukru i upił łyk. Wrócił do salonu.

- *W gniewie wiele można, nie wiedziałas?*
- *Skąd miałabym wiedzieć? Nie należę do twojego okrutnego świata.*
- Popatrzył na nią spokojnie.*
- *Ale próbowałaś mnie zastrzelić, nie pamiętasz?*
- *Niczego nie zapominam - ucięła.*

Coś, co powiedział, zaniepokoiło ją, choć nie umiał wskazać co. Chyba puszczały jej nerwy. Może to tylko szok spowodowany gwałtowną śmiercią ojca. W każdym razie zdecydował się zmienić taktykę.

- *W twojej lodówce nie ma nic jadalnego.*
- *Zazwyczaj jem na mieście. Pięć przecznic stąd jest sympatyczna kafejka.*
- *Sądziś, że moglibyśmy tam pójść? Umieram z głodu.*
- *Jak tylko skończę. Nasza nocna przygoda wszystko opóźniła.*

Przysunęła się do fortepianu, szurając stołkiem po podłodze. Wkrótce przez pokój popłynęły pierwsze dźwięki nokturnu b-moll Chopina, wirując niczym złote jesienne liście. Z zaskoczeniem stwierdził, że słuchanie muzyki sprawia mu przyjemność. Po chwili wstał, podszedł do sekretarzyka i włączył jej komputer.

- Nie ruszaj, proszę - zaprotestowała Annaka, nie spuszczając oczu z nut. - To mnie rozprasza.

Bourne wrócił na miejsce i spróbował się odprężyć przy dźwiękach wspaniałej muzyki.

Zanim przebrzmiały ostatnie dźwięki nokturnu, Annaka wstała i poszła do kuchni. Usłyszał wodę uderzającą o dno zlewu. Dziewczyna odkręciła kran i czekała, aż woda się ochłodzi. Wydawało się, że płynie tak dłuższy czas. Wreszcie wróciła ze szklanką wody, którą wypila duszkiem. Bourne obserwował jej smukłą białą szyję, na którą opadały pojedyncze miedziane kędzioły.

- *Dobrze się spisałaś zeszłej nocy - powiedział.*
- *Dzięki za pomoc w zejściu z gzymsu. - Odwróciła wzrok, jakby niechętna komplementom.*
- *Nigdy w życiu tak się nie bałam.*

Siedzieli w kawiarni, pod żyrandolami z rżniętego szkła, na wyściełanych aksamitem krzesłach, przy kinkietach z mlecznego szkła wiszących na ścianach obitych wiśniową boazerią. Zajmowali miejsca po przeciwnych stronach stołu przy oknie wychodzącym na pusty ogródek kawiarni; widać było jeszcze za chłodno, by wysiadywać w bladym blasku słońca.

- *Martwi mnie to, że mieszkanie Molnara było pod obserwacją - zauważył Bourne. - Inaczej nie da się wyjaśnić, dlaczego policja przybyła tak szybko.*
- *Ale po co ktoś miałby je obserwować?*
- *Żeby się przekonać, czy przyjdziemy. Odkąd przyjechałem do Budapesztu, ktoś przeszkadza mi w moim dochodzeniu.*

Annaka zerknęła nerwowo za okno.

- *A teraz? Ciarki przechodzą mnie na myśl, że ktoś obserwuje moje mieszkanie... i nas.*
- *Upewniłem się, że nikt nas nie śledził po drodze z twojego mieszkania. - Urwał, bo podano im jedzenie. Kiedy kelner odszedł, podjął wątek: - Pamiętasz, jakie środki ostrożności podjąłem zeszłej nocy, kiedy uciekliśmy policji? Wzięliśmy dwie różne taksówki, dwa razy je zmienialiśmy, kluczaliśmy...*

Kiwnęła głową.

- *Byłam zbyt zmęczona, by kwestionować te twoje dziwaczne instrukcje.*
- *Nikt nie wie, dokąd żeśmy pojechali... ani nawet, że teraz jesteśmy razem.*
- *Tak, to wielka ulga! - westchnęła.*

Kiedy Chan zobaczył Bourne'a i kobietę wychodzących z budynku, w którym mieszkała, przemknęła mu przez głowę tylko jedna myśl: mimo zapewnień Spalki, że Bourne go nie znajdzie, facet zataczał wokół niego coraz ciasniejszy krąg. W jakiś sposób dowiedział się o Laszlo Molnarze - człowieku, którym interesował się Spalko. Co więcej, ustalił adres Molnara i prawdopodobnie to on był w jego mieszkaniu, gdy zjawiała się policja. Dlaczego Bourne interesował się Molnarem? Chan musiał się tego dowiedzieć.

Obserwował, jak Bourne'a oddala się wraz z kobietą. Potem wysiadł z wynajętego samochodu i ruszył do bramy domu przy Fo utca 106/108. Otworzył wytrychem zamek i wszedł do holu. Wjechał windą na ostatnie piętro, znalazł schody prowadzące na dach. Drzwi były zabezpieczone alarmem, ale dla niego była to tylko kwestia wywołania spięcia w obwodzie. Wylączył alarm, wydostał się na dach i od razu pobiegł do krawędzi od frontu.

Trzymając się kamiennego parapetu, wychylił się i natychmiast zobaczył luk okna wykuszowego na trzecim piętrze, tuż pod nim. Przeskoczył przez parapet i opuścił się na gzyms pod oknem. Pierwsze okno było zamknięte, ale kolejne - już nie. Otworzył je i wszedł do mieszkania.

Z przyjemnością rozejrzałby się po nim, nie wiedział jednak, kiedy wrócić, nie mógł więc ryzykować. Najpierw obowiązek, potem przyjemność. Rozejrzał się za odpowiednim miejscem, uniósł wzrok i zobaczył lampę z przydymionego szkła zwisającą ze środka sufitu. Nie najgorsze miejsce... a nawet jedno z lepszych, ocenił.

Przyciągnął stołek od fortepianu pod lampę i wspiął się na niego. Wyjął z kieszeni miniaturową elektroniczną pluskwę i upuścił ją do misy z przydymionego szkła. Potem zeskoczył ze stołka, włożył do ucha słuchawkę i aktywował pluskwę.

Słyszał odgłos przesuwania stołka na miejsce i własne kroki rozbrzmiewające na lśniącej podłodze, kiedy podchodził do sofy, gdzie leżała poduszka i kołdra. Wziął do rąk poduszkę, powąchał. Pachniała Bourne'em, a ten zapach rozbudził pogrzebane w umyśle wspomnienie. Gdy wróciło do życia, rzucił poduszkę, jakby rozgorzała płomieniem. Opuścił szybko mieszkanie tą samą drogą, ale tym razem z holu przeszedł na tył budynku i skorzystał z tylnego wyjścia. Nigdy za wiele ostrożności.

Annaka zabrała się do śniadania. Wpadające przez okno promienie słońca oświetlały jej cudowne palce. Jadła tak, jak grała - trzymała sztućce tak, jakby były instrumentem

- Gdzie się nauczyłaś grać na fortepianie? - zagadnęła.

- Podobało ci się?

- O tak. Bardzo.

- Czemu?

Spojrzał na nią pytająco.

- Jak to, czemu?

Pokiwała głową.

- Tak. Czemu ci się podobało, co takiego w tym usłyszałaś?

Bourne zastanowił się przez chwilę.

- Chyba jakąś żalobną nutę.

Odłożyła nóż i zanuciła fragment nokturnu.

- Widzisz, to nierozwiązane dominanty septymowe. Dzięki nim Chopin mógł przekroczyć ogólnie przyjęte granice w zakresie dysonansu i tonacji. - Znów zanuciła dźwięcznie. - Taka muzyka jest jednocześnie zwycięska i żalobna - wszystko za sprawą nierozwiązanych dominant septymowych.

Urwała, piękne białe dłonie zawisły nad stołem, długie palce wygięły się w delikatne łuki, jakby wciąż przesycone energią kompozytora.

- Coś jeszcze?

Zastanowił się chwilę, po czym potrząsnął głową.

Wzięła nóż i widelec i wróciła do jedzenia.

- Matka nauczyła mnie grać. Byłą nauczycielką gry na pianinie. Nauczyła mnie grać Chopina, gdy tylko poczuła, że jestem gotowa. Był jej ulubionym kompozytorem, ale jego muzykę bardzo trudno grać - nie tylko ze względów technicznych. Trzeba oddać właściwe emocje.

- Czy twoja matka nadal gra?

Annaka potrząsnęła głową.

- Była chorowita, jak Chopin. Umarła na gruźlicę, gdy miałam osiemnaście lat.

- Niedobrze jest stracić matkę w tym wieku.

- To na zawsze zmieniło moje życie. Oczywiście byłam zrozpaczona, ale też, ku własnemu zaskoczeniu i zawstydzeniu, wściekła na nią.

- Wściekła?

Kiwnęła głową.

- Czulałam się opuszczona, jak statek pozbawiony kompasu na pełnym morzu, który nie może znaleźć drogi do domu.

Nagle Bourne pojął, dlaczego potrafiła zrozumieć, jak trudny jest dla niego brak pamięci.

- Ale najbardziej żałuję tego, jak podle ją traktowałam. Kiedy zaproponowała mi lekcje gry, najpierw się zbuntowałam.

- Oczywiście - powiedział łagodnie. - W końcu to była jej chęć. Więcej, to był jej zawód. - Poczul jakieś wewnętrzne drżenie, jakby właśnie zagrała jeden ze słynnych dysonansów Chopina. - Kiedy namawiałem syna do gry w bejsbol, nie chciał i wybrał piłkę nożną. - Zawsze kiedy wspominał Joshuę, jego oczy umykały w głąb. - Wszyscy jego koledzy grali w nogę, ale było jeszcze coś. Jego matka była Tajką i od małego wychowywaliśmy go w buddyźmie, zgodnie z jej życzeniem. To, że jest w połowie Amerykaninem, go nie interesowało.

Annaka skończyła posiłek i odsunęła talerz.

- A ja sądzę przeciwnie, że ta amerykańskość cały czas tkwiła mu w głowie - powiedziała. - Jakżeby inaczej? Nie uważasz, że przypominanemu o tym codziennie w szkole?

Nie wiadomo skąd pojawił się obraz Joshui w bandażach, z podbitym okiem. Kiedy spytał o to Dao, powiedziała mu, że upadł w domu, lecz następnego dnia odprowadziła Joshuę do szkoły i została tam przez kilka godzin. Więcej jej o to nie pytał - a jednocześnie był zbyt zajęty pracą, żeby to poważnie przemyśleć.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy - odparł.

Annaka wzruszyła ramionami.

- A czemu miałyby przyjść? Jesteś Amerykaninem. Cały świat należy do ciebie - oznajmiła nie bez ironii.

Skąd ta nagła niechęć? Czy to po prostu niedawno wskrzeszony powszechny strach przed paskudnymi Amerykanami? Zamówiła u kelnera drugą kawę.

- Ty przynajmniej możesz to wynagrodzić swemu synowi - stwierdziła. - A moja matka... - Wzruszyła ramionami.

- Mój syn nie żyje - uciął Bourne. - Jego siostra i matka też. Zabili ich w Phnom Penh, dawno temu.

- O. - Chyba w końcu naruszył puklerz jej pozornej obojętności i chłodu. - Przykro mi.

Odwrócił wzrok. Każda rozmowa o Joshui była jak sól sypana na ranę.

- Na pewno pogodziłaś się z matką, zanim umarła.

- Mam nadzieję. - Annaka wpatrywała się w kawę ze skupieniem. - Dopiero kiedy nauczyła

mnie grać Chopina, zrozumiałam w pełni, jaki otrzymałam dar. Uwielbiałam grać nokturny, nawet gdy jeszcze nie byłam w tym dobra.

- *Nie powiedziałaś jej tego?*
- *Byłam nastolatką... właściwie nie rozmawialiśmy. - Oczy pociemniały jej ze smutku. - Teraz, gdy jej nie ma, żałuję tego.*
- *Miałaś ojca.*
- *Oczywiście. Miałam.*

Rozdział 17

Siedziba Wydziału Taktycznych Broni Obezwładniających mieściła się w kilku niepozornych budynkach z czerwonej cegły porośniętych bluszczem, niegdyś należących do żeńskiej szkoły z internatem. Agencja uznała, że bezpieczniej będzie przejąć już istniejący budynek, niż budować nowy gmach. Dzięki temu mogli całkowicie przekształcić wewnętrzną strukturę i stworzyć labirynt potrzebnych laboratoriów, pokoi konferencyjnych i pomieszczeń doświadczalnych, korzystając z pomocy własnego wykwalifikowanego personelu, a nie zewnętrznych podwykonawców.

Chociaż Lindros okazał identyfikator, zaprowadzono go do białego, pozbawionego okien pokoju, gdzie go sfotografowano, zdjęto mu odciski palców i zeskanowano siatkówkę. Potem czekał w samotności. W końcu, po jakichś piętnastu minutach, wszedł ubrany w garnitur agent CIA.

- Panie Lindros, dyrektor Driver oczekuje pana - powiedział.

Lindros bez słowa wyszedł za nim z pokoju. Kolejne pięć minut szli niczym nie różniącymi się od siebie korytarzami, w których nie można było zlokalizować źródła światła. Miał wrażenie, że chodzą w kółko.

Wreszcie zatrzymali się przed drzwiami, które wydały się Lindrosowi identyczne z wszystkimi, które mijali. Podobnie jak inne drzwi, nie były niczym oznaczone. Ani na nich, ani obok nich nie było żadnego znaku rozpoznawczego prócz dwóch żaróweczek. Jedna z nich świeciła głęboką czerwienią. Agent zastukał trzy razy. Chwilę później czerwona lampka zgasła, a druga zaświeciła się na zielono. Agent otworzył drzwi i cofnął się, przepuszczając Lindrosa.

Po drugiej stronie pokoju rezydował dyrektor Randy Driver. Był to mężczyzna o jasnych włosach, obciętych po żołniersku, prostym nosie i wąsko osadzonych niebieskich oczach, które nadawały mu wygląd podejrzliwego. Miał muskularny tors i szerokie bary, którymi nieco za bardzo lubił się popisywać. Siedział na nowoczesnym obrotowym krześle, za biurkiem z przydymionego szkła i nierdzewnej stali. Ściany z białego metalu zdobiły reprodukcje obrazów Marka Rothko, przedstawiających coś na kształt zwojów kolorowych bandaży na otwartej ranie.

- Cóż za niespodzianka - powitał go Driver z lekkim uśmiechem, który przeczył jego słowom. - Przyznaję, że nie nawykłem do niespodziewanych inspekcji. Wolalbym, żeby raczył mnie pan uprzedzić.

- Proszę wybaczyć - odparł Lindros - to nie jest inspekcja. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa.

- Morderstwa Alexandra Conklina, jak sądzę.

- Istotnie. Muszę przesłuchać jednego z waszych ludzi. Niejakiego doktora Feliksa Schiffera.

Wydawało się, jakby Lindros odpalił pocisk z gazem paralizującym. Driver z zastygłym na twarzy uśmiechem zamarł za biurkiem. W końcu odzyskał mowę.

- Ale po co?

- Właśnie panu powiedziałem - odparł Lindros. - To część toczącego się właśnie śledztwa.

Driver rozłożył ręce.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek.

- Nie musi pan - uciął Lindros. Przez Drivera musiał czekać jak uczeń w oślej ławce, teraz więc mógł się odegrać. Nie będzie się z nim patyczkował. - Musi mi pan tylko powie-

dzieć, gdzie jest doktor Schiffer.

Uśmiech na dobre znikł z twarzy Drivera.

- Od chwili, w której przekroczył pan ten próg, jest pan na moim terytorium. - Wstał. - Kiedy dopełniał pan naszych procedur identyfikacyjnych, pozwoliłem sobie zadzwonić do dyrektora CIA. W jego biurze nie mają pojęcia, czemu pan tu jest.

- Oczywiście, że nie - powiedział Lindros, wiedząc, że już przegrał potyczkę. - Składam raport dyrektorowi na koniec dnia.

- Nie obchodzi mnie pański sposób działania, panie dyrektorze, ale nikt nie może przesłuchiwać moich pracowników bez wyraźnego pisemnego upoważnienia dyrektora CIA.

- Dyrektor upoważnił mnie do prowadzenia tego dochodzenia w sposób, jaki uznaję za konieczny.

- Mam na to tylko pańskie słowo. - Driver wzruszył ramionami. - Chyba pan rozumie mój punkt widze...

- Prawdę powiedziawszy, nie - przerwał Lindros. Wiedział, że dalsza rozmowa nic mu nie da. Co gorsza, była nierozważna, ale Randy Driver wkurzył go i nie mógł się powstrzymać. - Z mojego punktu widzenia utrudnia mi pan śledztwo swoim uporem.

Driver pochylił się i uderzył kłykciami palców o biurko.

- Pański punkt widzenia jest tu bez znaczenia. Ponieważ nie dysponuje pan oficjalnymi podpisanymi dokumentami nie mam panu nic więcej do powiedzenia. Żegnam.

Agent musiał podsłuchiwać rozmowę, bo w tej samej chwili otworzył drzwi, gotów odprowadzić gościa.

Detektyw Harris doznał olśnienia podczas pościgu za przestępcą. Odebrał zgłoszenie wysłane do wszystkich radiowozów. Dotyczyło białego mężczyzny w nowym czarnym pontiacu GTO na numerach rejestracyjnych z Wirginii, który przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle na przedmieściach Falls Church i kierował się na południe drogą 649. Harris, który z niewyjaśnionych powodów został odsunięty przez Martina Lindrosa od sprawy morderstw Conklina i Panova, był właśnie w Sleepy Hollow, kiedy dostał wezwanie, i badał okoliczności napadu i morderstwa w sklepie całodobowym. Właśnie przy drodze 649.

Zawrócił gwałtownie radiowóz, włączył koguta i syrenę i ruszył na północ. Niemal za chwilę ujrzał czarnego GTO ściganego przez trzy radiowozy policjantów stanowych z Wirginii.

Przeciął pas zieleni przy akompaniamencie klaksonów i pisku opon nadjeżdżających z drugiego pasa samochodów i ruszył prosto na pontiaca. Kierowca spostrzegł go, zmienił pas, a kiedy Harris ruszył w jego kierunku przez labirynt samochodów, zjechał na pobocze.

Harris wyliczył tor, tak by przeciąć drogę umykającemu GTO i zmusić go do skrętu na podjazd stacji benzynowej. Gdyby się nie zatrzymał, uderzyłby w dystrybutory.

Kiedy GTO zahamował z piskiem opon, kołysząc się na wielgachnych resorach, Harris wypadł się z samochodu z rewolwerem w dłoni i ruszył ku kierowcy.

- Wsiądź z wozu z rękami do góry! - rozkazał.

- Panie oficerze...!

- Stul pysk i rób, co mówię! - ryknął Harris i zbliżył się powoli, pilnie wypatrując jakiegokolwiek broni.

Kierowca wysiadł z samochodu w chwili, gdy nadszedły pozostałe radiowozy. Miał nie więcej niż dwadzieścia dwa lata i był chudy jak szczapa. W samochodzie znaleźli flaszkę alkoholu i pistolet pod przednim siedzeniem.

- Mam na niego pozwolenie! - powiedział chłopak. - Sprawdźcie w schowku!

Faktycznie, broń była legalna. Młody człowiek był przewoźnikiem diamentów. Inna sprawa, czemu pił - ale tym Harris nie był szczególnie zainteresowany.

Po powrocie na posterunek postanowił przyjrzeć się bliżej pozwoleniu na broń. Coś mu w nim nie pasowało. Zadzwoił do sklepu, który jakoby sprzedawał młodzieńcowi pistolet. Usłyszał męczyznę z cudzoziemskim akcentem, który przyznał, że sprzedawał taką broń, Harrisowi jednak nie spodobał się jego głos. Przejechał się więc do sklepu - i stwierdził, że takowy nie istnieje. Na miejscu znalazł tylko Rosjanina przy komputerze. Aresztował go i skonfiskował serwer.

Kiedy wrócił na posterunek, wyszukał w bazie danych pozwolenia na broń za ostatnie pół roku. Wpisał nazwę lipnego sklepu z bronią i ku swemu zdumieniu odkrył trzysta fałszywych transakcji, na których podstawie wydawano pozwolenia. Jeszcze większa niespodzianka czekała wśród plików na skonfiskowanym serwerze. Gdy zobaczył ten wpis, chwycił telefon i zadzwonił na komórkę Lindrosa.

- Cześć, tu Harry.
- O... cześć - odezwał się Lindros z roztargnieniem.
- Co jest? - spytał Harris.
- Rzucają mi kłody pod nogi, gorzej, dostałem kopa w dupę i teraz zastanawiam się, czy mam z czym iść do Starego.
- Słuchaj, Martin, wiem, że oficjalnie zabrano mi tę sprawę...
- Jezu, Harry, miałem o tym z tobą pomówić.
- Mniejsza o to - przerwał mu Harris. Pokrótce opisał pościg za kierowcą GTO, sprawę jego pistoletu oraz szwindel z pozwoleniami na broń. - Rozumiesz, jak to działa - ciągnął. - Goście mogą mieć broń z dowolnego źródła.
- No i...? - Lindros nie wykazywał specjalnego entuzjazmu.
- Mogą wpisać na pozwoleniu dowolne imię i nazwisko. Na przykład David Webb.
- Niezła teoria, ale...
- To nie teoria! - Harris niemal krzyknął do słuchawki. Wszyscy wokół oderwali się od zajęć, zaskoczeni jego podniesionym głosem. - To fakt!
- Co?!
- A tak. Ta sama szajka „sprzedała” pistolet niejakiemu Davidowi Webbowi... tyle że Webb wcale go nie kupił, bo figurujący na pozwoleniu sklep nie istnieje.
- No dobra, ale skąd wiemy, że Webb nie skorzystał z usług tej szajki, żeby nielegalnie zdobyć broń?
- Właśnie to jest najlepsze - oznajmił Harris. - Mam ich elektroniczną księgę rachunkową. Każda sprzedaż została skrupulatnie odnotowana. Należność za broń, którą rzekomo kupił Webb, została przelana z Budapesztu.

Klasztor zawisł na szczycie górskiego grzbietu. Na stromych tarasach u jego stóp rosły pomarańcze i oliwki, ale tu, na górze, opodal budynku wrosniętego w skałę, znaleźć można było tylko oset i męczennicę. Kri-kri, wszędołybskie kreteńskie kozy, były jedynymi stworzeniami zdolnymi przetrwać na tej wysokości.

Starodawna budowla z kamienia od dawna stała zapomniana. Laikowi trudno było powiedzieć, którzy mieszkańcy wyspy go wybudowali. Tak jak i sama Kreta, przechodził z rąk do rąk, będąc niemyim świadkiem modłów, ofiar i rozlewu krwi. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest wiekowy.

Od zarania dziejów kwestia bezpieczeństwa stanowiła główny przedmiot troski zarówno wojowników, jak i mnichów, dlatego też klasztor umiejscowiono na szczycie góry. Na jednym zboczach przycupnęły tarasy z gajami owocowymi, w drugie wznosił się głęboko wąwóz, jakby wycięty saraceńską szablą.

Po tym jak napotkali opór ze strony zawodowców podczas ataku na dom w Iraklionie, Spalko zaplanował szturm klasztoru z wielką starannością. Atak za dnia był wykluczony. Bez

względu na to, z której strony by uderzyli, na pewno zostaliby strąceni w dół na długo przedtem, nim zdolaliby dojść do grubych, zwieńczonych blankami murów klasztoru. Toteż kiedy ludzie Spalki zabrali rannego towarzysza do odrzutowca, by zajął się nim chirurg, sam Spalko wraz z Zina wypożyczyli motocykle i wybrali się na rekonesans okolic klasztoru.

U wlotu wąwozu porzucili jednoślady i pieszo zeszli na dół. Niebo miało kolor głębokiego błękitu, który zdawał się przesycać wszystkie inne kolory. Ptaki krążyły wysoko, a bryza przyniosła ze sobą słodki zapach kwiatów pomarańczy. Zina od czasu, gdy wsiadła na pokład prywatnego odrzutowca Spalki, cierpliwie oczekiwała momentu, gdy dowie się, dlaczego chciał zostać z nią sam na sam.

- Do klasztoru prowadzi podziemne przejście - oznajmił Spalko, kiedy schodzili skalistym osypiskiem ku wylotowi wąwozu, leżącemu najbliżej budowli. Rosnące na krawędzi kasztanowce ustąpiły miejsca po skręcanym cyprysom. Idąc po stromiznie, chwyтали się ich giętych gałęzi.

Zina mogła się tylko domyślać, skąd Szejka miał takie informacje. Było oczywiste, że miał ogólnościową siatkę współpracowników, mogących uzyskać niemal każdą informację, której potrzebował.

Zatrzymali się i oparli o głaz, by odpocząć. Minęło południe. Zjedli posiłek złożony z oliwek, pity i niewielkiej porcji ośmiornicy, marynowanej z czosnkiem w oliwie i occie winnym.

- Powiedz mi, Zino - odezwał się Spalko - brakuje ci Chalida Murata?

- Bardzo. - Zina otarła usta wierzchem dłoni i odgryzła kawałek pity. - Ale teraz naszym przywódcą jest Hasan. Wszystko się zmieniało. To, co go spotkało, to tragedia, ale można było się tego spodziewać. Wszyscy jesteśmy celem bestialskiego rosyjskiego reżimu..., i musimy z tym żyć.

- A gdybym ci powiedział, że Rosjanie nie mieli nic wspólnego ze śmiercią Chalida Murata? - spytał Spalko.

Zina przestała jeść.

- Nie rozumiem. Wiem, co się wydarzyło. Każdy to wie.

- Nie - łagodnie zaprotestował Spalko - wiesz tylko to, co powiedział ci Hasan Arsienow.

Spojrzała na niego i zrozumiała. Poczula, jak uginają się pod nią kolana.

- Ale skąd...? -Z emocji głos odmówił jej posłuszeństwa. Odchrząknęła i zaczęła raz jeszcze, mimo że nie chciała znać odpowiedzi na pytanie, które zadaje: - Skąd o tym wiesz?

- Wiem o tym - oznajmił spokojnie Spalko - gdyż Arsienow skontaktował się ze mną, by zlecić zabójstwo Chalida Murata.

- Ale dlaczego?

Spalko przeszył ją spojrzeniem.

- Ależ ty to wiesz, Zino, że wszystkich ludzi ty właśnie, jego kochanka, ty, która znasz go lepiej niż ktokolwiek inny, wiesz to dobrze.

Taka też była prawda - Zina wiedziała, w końcu Hasan mówił jej o tym wiele razy. Chalid Murat był częścią starego porządku. Według Hasana nie wybiegał myślami poza granice Czeczenii, obawiał się wystąpić przeciw reszcie świata, nie widział sposobu na powstrzymanie rosyjskich niewiernych.

- Niczego nie podejrzewałaś?

Pomyślała, że najbardziej irytujące jest to, że istotnie tego nie podejrzewała - ani przez chwilę. Wierzyła w każde słowo Hasana. Chciała okłamać Szejka, aby lepiej wypaść w jego oczach, ale pod jego spojrzeniem rozumiała, że przejrzy jej kłamstwa, uzna, iż nie można jej ufać - i skończy z nią.

Upokorzona, potrząsnęła głową.

- Zwiódł mnie.

- Jak i wszystkich innych odparł obojętnie. - Mniejsza o to. - Uśmiechnął się nieoczekiwanie. - Jednak teraz znasz prawdę i widzisz, jaką ona daje ci moc.

Stała przez moment, opierając się plecami o rozgrzany słońcem głaz, ocierając dłonie o uda.

- Nie rozumiem jednak - odezwała się - dlaczego wybrałeś mnie na swoją powierniczkę.

Spalko usłyszał w jej głosie strach i niepewność. Uznał, że odpowiada to jego oczekiwaniom, wiedziała bowiem, że stoi na skraju przepaści. Wedle jego oceny, podejrzewała już coś od momentu, kiedy zaproponował jej, by pojechała z nim na Kretę, a już na pewno od chwili, w której poparła go, gdy okłamał Arsienowa.

- Tak - rzekł - zostałeś wybrana.

- Ale w jakim celu? - spytała z drżeniem.

Zbliżył się do niej. Zasłaniając słońce, obdarzył ją promiennym uśmiechem. Czula jego zapach, tak jak wtedy w hangarze. Męski zapach sprawił, że poczuła, jak robi jej się mokro.

- Zostałeś wybrana, by dokonać wielkich rzeczy. - Gdy się zbliżył, jego głos przycichł, lecz zyskał na intensywności. - Zino - wyszeptał - Hasan Arsienow jest słaby. Wiem o tym od chwili, w której przyszedł do mnie z tym swoim planem zabójstwa. Zastanowiło mnie, po co mu byłem potrzebny. Mocarny wojownik, który uważa, że jego przywódca nie może już przewodzić, sam go morduje, a nie wynajmuje kogoś sprytnego i cierpliwego, kto któregoś dnia wykorzysta jego słabość przeciw niemu.

Zina zadrżała pod wpływem jego słów oraz bliskości. Poczula, że skóra ją piecze. W ustach jej wyschło, gardło miała ściśnięte.

- Skoro Hasan Arsienow jest słaby, jaki mogę mieć z niego pożytek? - Spalko położył dłoń na jej piersi, a Zinie rozszerzyły się nozdrza. - Powiem ci. - Zina zamknęła oczy. - Misja, którą wkrótce rozpoczniemy, jest najeżona niebezpieczeństwami. - Delikatnie ścisnął jej pierś, nieskończenie wolno prac w górę. - Na wypadek, gdyby coś miało pójść nie tak, rozsądnie byłoby mieć przywódcę, który niczym magnes przyciągnie uwagę wrogów, ściągnie ich na siebie, by nie przeszkadzili w wykonywaniu zadania. - Przycisnął ciało do jej ciała i poczuł, jak wzbiera w niej spazm, którego nie była w stanie powstrzymać. - Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak - wyszeptwała.

- To ty jesteś silna, Zino. Gdybyś chciała obalić Chalida Murata, nie przyszlabyś z tym do mnie. Sama odebrałabyś mu życie, uważając to za błogosławieństwo dla siebie samej i dla swego ludu. - Drugą rękę zbliżył do jej krocza. - Prawda?

- Tak - westchnęła. - Ale mój lud nigdy nie zaakceptowałby przywódczyni. To nie do pomyslenia.

- Dla nich, lecz nie dla nas. - Przesunął jej nogę. - Pomyśl, Zino. Jak tego dokonać?

Trudno jasno myśleć, czując napływ hormonów. Zdała sobie sprawę, że o to chodzi. Nie tylko o to, że chciał wziąć ją tu, na nagiej skale, pod otwartym niebem, ale jak wcześniej w domu architekta, poddawał ją testowi. Jeśli się teraz całkiem zatraci, jeśli się nie skupi, jeśli požądanie zaćmi jej umysł tak, że nie będzie mogła odpowiedzieć na pytania - wówczas skończy z nią i znajdzie kogoś innego na jej miejsce.

Nawet wtedy, gdy rozpiął jej bluzkę i dotknął rozpalonej skóry, zmusiła się do przypomnienia sobie, jak to było z Chalidem Muratem, jak po wyjściu doradców słuchał tego, co ona miała do powiedzenia - i często szedł za jej radą. Nigdy nie ośmieliła się powiedzieć Hasanowi, jaką odgrywała rolę, obawiając się, że padnie ofiarą jego brutalnej zazdrości.

Jednak teraz, rozplaszczona na skale pod naporem ciała Szejka, postanowiła znów się uciec do tego sposobu. Chwyliła Szejka za szyję, przyciągnęła do siebie i wyszeptwała prosto do ucha:

- Znajdę kogoś, kogoś budzącego respekt, kogoś, czyja miłość do mnie uczyni uległym. Będę władać za jego pośrednictwem. Czeczeni ujrzą jego twarz i usłyszą głos, ale on będzie robić tylko to, co mu rozkażę.

Odchylił się od niej na chwilę. Spojrzała mu w oczy i ujrzała w nich podziw, równie intensywny, jak pożądanie. Przeszył ją dreszcz ekstazy. Wiedziała już, że przeszła drugi test. Uległa mu, a on natychmiast w nią wszedł, aż wydała z siebie długi, pełen rozkoszy pomruk.

Rozdział 18

Zapach kawy wciąż unosił się w mieszkaniu. Wrócili zaraz po posiłku, nie tracąc czasu na kawę i deser, jak nakazywałaby tradycja. Bourne miał za dużo na głowie, ale chwila wytchnienia, choć krótka, nieco go ożywiła. Podświadomość zaczęła przetwarzać uzyskane informacje.

Weszli do mieszkania, trzymając się blisko siebie. Aromat cytrusów i piżma otaczał Annę niczym mgła i Bourne nie mógł się powstrzymać przed wdychaniem go głęboko. Chcąc się skupić, skierował myśli na bardziej przyziemne kwestie.

- Zwróciłaś uwagę na oparzenia i rany na ciele Laszła Molnara?

Wzdrygnęła się.

- Nie przypominaj mi tego.

- Torturowano go przez wiele godzin... może nawet kilka dni.

Spojrzała na niego pytająco spod zmarszczonych brwi.

- A to znaczy - wyjaśnił - że mógł zdradzić kryjówkę doktora Schiffera.

- Mógł też nie zdradzić - zaoponowała. - To też byłby powód, by go zabić.

- Nie sądzę, byśmy mogli sobie pozwolić na takie założenie.

- Co masz na myśli, mówiąc „my”?

- Tak, wiem, od teraz jestem zdany tylko na siebie.

- Próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy? Zapomnij o tym, nie interesuje mnie odnalezienie doktora Schiffera.

- ...Nawet gdyby to, że wpadnę w niewłaściwe ręce, groziło ogólną światową katastrofą?

- O co ci chodzi?

Siedzący w wynajętym samochodzie Chan wcisnął słuchawkę głębiej do ucha. Słyszał wyraźnie każde słowo.

- Alex Conklin był świetnym fachowcem. W planowaniu i realizowaniu skomplikowanych misji był chyba najlepszy ze wszystkich ludzi, których znałem. Jak już ci mówiłem, tak bardzo potrzebował doktora Schiffera, że wylowił go ze ściśle tajnego programu Departamentu Obrony, przeniósł do CIA, a zaraz potem sprawił, że zniknął. Zatem to, nad czym pracował Schiffer, było tak istotne, że Aleksowi zależało na jego ukryciu. I słusznie, jak się okazało, bo Schiffera ktoś porwał. W wyniku operacji, którą przeprowadził dla Aleksa twój ojciec, udało się go odbić i ukryć w jakimś miejscu znanym tylko Laszłowi Molnarowi. Teraz twój ojciec nie żyje - tak jak Molnar. Jediną różnicą jest to, że Molnara torturowano, a dopiero potem zabił to.

Chan wyprostował się na siedzeniu, serce biło mu szybko. „Twój ojciec?” Czy to możliwe, żeby kobietą, z którą był Bourne - tą, na którą do tej pory nie zwracał uwagi - była Anna?

Annaka stała w smudze słonecznego światła padającego przez wykuszowe okno.

- Jak sądzisz, nad czym pracował doktor Schiffer, że interesuje to wszystkich tych ludzi?

- Myślałem, że ciebie nie interesuje Schiffer - odparł Bourne.

- Daruj sobie. Po prostu odpowiedz na pytanie.

- Schiffer jest światowej klasy ekspertem w dziedzinie badania zachowania nietrwałych kolonii bakteryjnych. Tyle się dowiedziałem z serwisu www, który odwiedzał Molnar. Mówiłem ci o tym, ale byłaś zbyt zajęta znajdowaniem ciała biedaka.

- Niewiele mi to mówi.
- Pamiętasz, co było w tym serwisie?
- Wąglik, argentyńska gorączka krwotoczna...
- Kryptokokoza, dżuma płucna... Myślę, że nasz doktorek mógł pracować nad tymi - lub jeszcze gorszymi - śmiertelnymi zarazkami.

Annaka przyglądała mu się przez chwilę, po czym potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- Sądzę - ciągnął Bourne - że Alex był tak podekscytowany - i wystraszony - bo ten cały Schiffer wynalazł urządzenie, którego można użyć jako broni biologicznej. Jeśli tak, to ma w rękach Świętego Graala terrorystów.

- O Boże! Ale... to tylko twoje domysły. Jak możesz się upewnić, że się nie mylisz?
- Muszę po prostu dalej szperać. Nadal jest ci obojętne, gdzie znajduje się doktor Schiffer?
- A jak my mielibyśmy go znaleźć? - Odwróciła się i podeszła do fortepianu, jakby był amuletem, który ochroni ją przed złem.
- Czyżbyś powiedziała „my”?
- To przejęzyczenie.
- Najwyraźniej Freudowskie przejęzyczenie.
- Przestań! - rzuciła ostro.

Poznał ją już na tyle, by wiedzieć, że mówi poważnie. Podeszedł do sekretarzyka i usiadł przed komputerem. Spostrzegł kabel sieciowy łączący laptop z Internetem.

- Mam pomysł - zaczął, lecz właśnie wtedy ujrzał zadrapania. Słońce padało na wypolerowaną powierzchnię stołka od fortepianu, ujawniając świeże ślady. Ktoś był w mieszkaniu podczas ich nieobecności. Ale po co? Rozejrzał się za innymi oznakami czyjejs bytności.

- Co jest? - spytała Annaka. - Co się stało?
- Nic - odparł. Zauważył jednak, że poduszka leży w nieco innej pozycji, niż ją zostawił, trochę przesunięta w prawo.
- Jaki masz pomysł? - nalegała, wsparłszy rękę na biodrze.
- Najpierw muszę coś zabrać z hotelu - zaimprovizował. Nie chciał jej zaalarmować, ale musiał zrobić możliwie dyskretne rozpoznanie. Bardzo prawdopodobne, że ktoś, kto tu był, nadal kręci się w pobliżu. W końcu ktoś ich śledził w mieszkaniu Laszlo Molnara. Ale jak, u licha, trafił tutaj za nimi? Przecież zachował najwyższą ostrożność. Istniała jedna prosta odpowiedź: to Chan go znalazł.

Bourne złapał skórzaną kurtkę i ruszył do wyjścia.

- Zaraz wracam, słowo. Jeśli chcesz mi pomóc, wejdź tymczasem na tę stronę www, może odkryjesz coś więcej.

Jamie Hull, szef amerykańskiej ochrony szczytu antyterrorystycznego w Reykjavíku, miał obsesję na punkcie Arabów. Nie lubił ich i nie ufał im. Oni nawet nie wierzą w Boga - przynajmniej w tego właściwego - a co dopiero w Chrystusa Zbawiciela, myślał cierpko, przemierzając hol ogromnego hotelu Oskjuhlid.

Był jeszcze jeden powód, by ich nie lubić: kontrolowali trzy czwarte światowych złóż ropy. Bo w końcu gdyby nie to, nikt nie zwracałby na nich uwagi, a oni sami wyróżniliby się nawzajem w rozmaitych wojnach plemiennych. Nic dziwnego, że powołano odrębne zespoły ochrony dla delegacji każdego z obecnych na szczycie krajów arabskich. Na szczęście pracę wszystkich koordynował Fejd al-Saud.

Jak na Araba Fejd al-Saud nie był taki zły. Był Saudyjczykiem... czy może sunnitą? Hull potrząsnął z rezygnacją głową. Nie miał pojęcia. No proszę, kolejny powód, by ich nie lubić, nigdy nie wiadomo, kim, do diabła, są i komu odrąbaliby rękę, gdyby dać im sposobność. Jednak Fejd al-Saud odebrał nawet zachodnią edukację - gdzieś w Londynie, w Oksfordzie... a może w Cambridge? Zresztą bez różnicy! Rzecz w tym, że można z nim było rozmawiać po angielsku, a on nie patrzył na człowieka, jakby mu właśnie wyrosła druga głowa.

I wydawał się Hullowi rozsądny - ktoś, kto zna swoje miejsce. Kiedy szło o potrzeby i zachcianki prezydenta, prawie we wszystkim ustępował Hullowi, czego nie można było powiedzieć o tym komunistycznym sukinsynu Borysie Iljiczu Karpowie. Gorzko żałował, że poskarżył się na niego Staremu i został złajany, ale Karpow był najbardziej irytującym skurwielem, z jakim Hull miał nieszczęście pracować.

Wszedł do sali konferencyjnej, w której miał odbyć się szczyt. Pomieszczenie było idealnie owalne, sufit pokrywały niebieskie faliste panele stanowiące ekran akustyczny. Za panelami znajdowały się ogromne przewody wentylacyjne, doprowadzające powietrze przefiltrowane przez skomplikowany system klimatyzacji, całkowicie niezależny od klimatyzacji hotelu. Ściany wykonano z polerowanego drzewa tekowego, fotele miały niebieską tapicerkę, a blaty wykonano albo z brązu, albo z przydymionego szkła.

To tu właśnie każdego ranka spotykał się ze swymi dwoma partnerami w celu omówienia szczegółów organizacyjnych ochrony szczytu. Po południu zaś każdy z nich spotykał się z kolei na odprawie ze swym personelem i przekazywał mu informacje o najnowszych procedurach. Odkąd przybyli, hotel był zamknięty dla gości, by można było go przeszukać i upewnić się, że jest odpluskwiony i całkowicie bezpieczny.

Kiedy wszedł do jasno oświetlonego forum, ujrzał swoich odpowiedników: Fejda al-Sauda, szczupłego i ciemnookiego, z orlim nosem, o niemal królewskiej postawie, i Borysa Iljicza Karpowa, szefa elitarniej jednostki Alfa należącej do KGB, krzepkiego niczym byczek, o szerokich ramionach i wąskiej talii. Jego płaska tatarska twarz pod grubymi brwiami i gęstymi ciemnymi włosami emanowała brutalną siłą. Hull nigdy nie widział, żeby Karpow się uśmiechał, a jeśli chodzi o Fejda al-Sauda, to chyba nie wiedział nawet, jak to się robi.

- Dzień dobry, koledzy - odezwał się Borys Iljicz Karpow ze śmiertelną powagą, przywołującą Hullowi na myśl spikera z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. - Zostały zaledwie trzy dni do rozpoczęcia szczytu, a przed nami jeszcze wiele pracy. Możemy zaczynać?

- Jak najbardziej - odparł Fejd al-Saud, zajmując swoje zwykłe miejsce na podwyższeniu, gdzie już niedługo przywódcy czołowych państw arabskich mieli zasiąść ramię w ramię z mieszkańcami Stanów Zjednoczonych i Rosji, aby wypracować pierwszą wspólną arabsko-zachodnią inicjatywę przeciwdziałania międzynarodowemu terroryzmowi. - Otrzymałem instrukcje od moich kolegów reprezentujących pozostałe narody islamskie i z przyjemnością wam je przedstawię.

- Chyba żądania - warknął Karpow. Wciąż nie mógł się pogodzić z decyzją, by spotkania prowadzić po angielsku, ale został w tej kwestii prze głosowany dwa do jednego.

- Dlaczego masz do wszystkiego takie negatywne podejście? - zaprotestował Hull.

Karpow się najeżył. Hull wiedział, że Rosjanin nie znosi amerykańskiej bezpośredniości. - Żądania mają charakterystyczny smród, panie Hull- oznajmił, znacząco stukając palcem w czubek czerwonego nochala. - I właśnie go czują.

- Dziwi mnie, że możesz cokolwiek wyczuć po tyłu latach picia wódki.

- Picie wódki robi z nas prawdziwych mężczyzn! - Karpow drwiąco skrzywił usta. - Nie takich jak wy, Amerykanie.

- Myślisz, że będę cię słuchał, Borys? Ciebie, Rosjanina? Twój kraj to obraz nędzy i rozpaczy. Komunizm okazał się tak przeżarty korupcją, że wasze imperium zawałiło się pod własnym ciężarem. Jesteście duchowy mi bankrutami!

Karpow poderwał się z miejsca z policzkami płonącymi czerwienią równie intensywną jak nos i usta.

- Mam dość twoich obelg!

- Szkoda. - Hull wstał gwałtownie, przewracając krzesło i całkiem zapominając o przestro-
gach dyrektora CIA. - Bo ja się dopiero rozgrzewam.

- Panowie, panowie! - Fejd al-Saud rozdzielił przeciwników, przemawiając spokojnym, wyważonym głosem. - Klóćcie się jak dzieci. To nam nie pomoże wykonać powierzonych za-
dań - strofował ich, spoglądając to na jednego, to na drugiego. - Każdy z nas wiernie służy
głowie swojego państwa, prawda? Musimy służyć im najlepiej, jak potrafimy. - Nie odpuścił,
póki obaj nie przyznali mu racji.

Karpow usiadł i założył ręce na piersi. Hull uniósł krzesło, przystawił je oparciem do
stołu i opadł na nie z cierpkim wyrazem twarzy.

- Możemy się nie lubić, ale musimy nauczyć się współpracować - oznajmił Fejd al-Saud.

Hull niejasno zdawał sobie sprawę, że prócz agresywnego nieprzejednania coś jeszcze
drażniło go w Karpowie. Musiał się chwilę zastanowić, aby odkryć źródło tej irytacji, ale w
końcu zrozumiał. Karpow, ze swym bezczelnym samozadowoleniem, przypominał mu Davida
Webba - albo raczej Jasona Bourne'a, jak kazano go nazywać wszystkim pracownikom agen-
cji. To Bourne stał się chłoptasiem Aleksa Conklina, mimo wszystkich demagogicznych sztu-
czek i subtelnych intryg, których próbował Hull, nim wreszcie dał sobie spokój i przeszedł do
Centrum Antyterrorystycznego. Na swoim nowym stanowisku bez wątpienia odniósł sukces,
nigdy jednak nie zapomniał, co stracił przez Bourne'a. Conklin był w agencji legendą. Praca z
nim stanowiła jedyne marzenie Hulla, od kiedy wstąpił do CIA dwadzieścia lat temu. Dziecię-
ce marzenia łatwo porzucić. Ale marzenia dorosłego to całkiem inna sprawa. Dla Hulla go-
rycz niespełnienia nigdy nie minęła.

Prawdę powiedziawszy, ucieszył się, kiedy Stary go poinformował, że zdrajca mógł dą-
żyć do Reykjavíku. Na myśl, że Bourne zwrócił się przeciw swemu mentorowi i wszedł na dro-
gę zbrodni, aż krew mu zawrzała. Gdyby Conklin wybrał mnie, pomyślał, żyłby do dziś. Świa-
domość, że to on mógłby wykonać wydany przez agencję wyrok na Bourne'a, dodawała mu
sił. Ale wkrótce otrzymał wiadomość o śmierci Bourne'a i jego euforia zmieniła się w rozczar-
owanie. Stał się niezwykle drażliwy, irytowali go nawet agenci operacyjni Secret Service, z
którymi musiał utrzymywać bliskie relacje. Teraz, z braku innego celu, wbił mordercze spoj-
rzenie w Karpowa, a Rosjanin odpowiedział mu tym samym.

Wyszedłszy z mieszkania Annaki, Bourne nie wsiadł do windy, tylko wspiął się po krót-
kich schodach awaryjnych prowadzących na dach. Dotarł na górę i szybko i skutecznie pora-
dził sobie z systemem alarmowym.

Silny wiatr przygnał ciemnoszare chmury, przysłaniając popołudniowe słońce. Bourne
popatrzył na południe, ku czterem kopułom tureckiej Łaźni Kiralya. Podeszedł do parapetu i
wychylił się niemal w tym samym miejscu, które niecałą godzinę wcześniej zajmował Chan.

Ze swego punktu obserwacyjnego przepatrywał ulicę, sprawdził, czy ktoś nie stoi w
podcieniu bramy i czy któryś z przechodniów nie porusza się zbyt powoli albo nie stoi. Zau-
ważył spacerujące razem dwie młode kobiety, matkę z wózkiem oraz starca, któremu przyjrzał
się szczególnie uważnie, pamiętając, że Chan to prawdziwy mistrz kamuflażu.

Nie dostrzegłszy niczego podejrzanego, skupił uwagę na zaparkowanych samochodach,
szukając czegokolwiek niezwykłego. Wszystkie samochody wypożyczane na Węgrzech muszą
mieć nalepkę identyfikacyjną. W dzielnicy takiej jak ta wynajęty samochód byłby czymś po-
dejrzanym.

I rzeczywiście - czarna wypożyczona skoda stała przecnicę dalej, po drugiej stronie
ulicy. Dokładnie przyjrzał się jej pozycji. Osoba siedząca za kierownicą miałaby dobry widok

na bramę domu pod numerem 106/ 108. Jednak w tej chwili ani za kierownicą, ani na innym siedzeniu samochodu nie było nikogo.

Odwrócił się i ruszył z powrotem przez dach.

Chan, przyczajony na klatce schodowej, obserwował, jak Bourne zbliża się do niego. Wiedział, że teraz ma szansę. Jego przeciwnik, bez wątpienia zajęty sprawdzaniem okolicy, niczego nie podejrzewał. Niczym we śnie - we śnie, który śnił przez dziesiątki lat - zobaczył, jak zamyślony Bourne idzie prosto w jego kierunku. Chana ogarnął gniew. Oto człowiek, który siedział obok niego i nie rozpoznał go, który nawet wówczas, gdy Chan powiedział mu, kim jest, nie chciał w to uwierzyć. To tylko umocniło w nim przekonanie, że Bourne nigdy go nie chciał, umiałby uciec i zostawić go na pastwę losu.

Dlatego gdy poderwał się z miejsca, wezbrała w nim furia. Kiedy Bourne wszedł w podcień bramy, Chan uderzył czołem w grzbiet jego nosa. Popynęła krew. Zaatakowany zatoczył się do tyłu. Chan, wykorzystując swą przewagę, ruszył na niego, lecz Bourne odpowiedział kopniakiem.

- Cze-sa! - wydyszał.

Chan sparował uderzenie i przycisnął lewe ramię do jego tułowia, zamykając w kleszczach kostkę Bourne'a. I wtedy Bourne go zaskoczył. Zamiast stracić równowagę, zaparł się plecami i pośladkami o stalowe drzwi i boleśnie kopnął prawą stopą w prawy bark Chana, zmuszając go do puszczenia kostki.

- Mi-sa! - krzyknął cicho.

Ruszył na Chana, który udął, że zwija się z bólu, by po sekundzie wyprowadzić cios wyprostowaną dłoń w splot słoneczny Bourne'a. Natychmiast chwycił głowę Jasona i uderzył nią o drzwi na dach. Bourne'owi oczy zasły mgłą.

- Co kombinuje Spalko? - rzucił ostro Chan. - Wiesz, prawda? Bourne'owi od bólu i szoku zakręciło się w głowie. Próbował jednocześnie skupić wzrok i oczyścić umysł.

- Kim jest... Spalko? - Zdawało mu się, że jego głos dobiega gdzieś z oddali.

- Przecież wiesz.

Bourne potrząsnął głową i poczuł, jak przenikają ją sztylety bólu. Pod jego wpływem zacisnął powieki.

- Myślałem... myślałem, że chcesz mnie zabić.

- Słuchaj mnie!

- Kim jesteś? - wyszeptał ochryple Bourne. - Skąd wiesz o moim synu? Skąd wiesz o Jos-hui?

- Słuchaj mnie! - Chan zbliżył głowę do głowy Bourne'a. - Stiepan Spalko to facet, który zlecił zabójstwo Aleksa Conklina, facet, który cię wrobił... który wrobił nas obu. Czemu to zrobił, Bourne? Ty to wiesz, a ja się muszę dowiedzieć!

Bourne poczuł się, jakby uwiązł między krami lodu. Wszystko wokół poruszało się nieskończenie powoli. Nie mógł zebrać myśli. Nagle coś zobaczył. Zaskakujący widok wyrwał go z bezwładu. Coś tkwiło w prawym uchu Chana. Co to jest? Udając straszliwy ból, przechylił lekko głowę i dostrzegł miniaturową słuchawkę.

- Kim jesteś? - wykrztusił. - Kim jesteś, do cholery?!

Wydawało się, że prowadzą jednocześnie dwie rozmowy, niczym ludzie z dwóch różnych światów, żyjący odrębnym życiem. Mówili coraz głośniejszymi głosami, krzykali pod wpływem emocji - a im bardziej krzykali, tym bardziej się od siebie oddalali.

- Przecież ci powiedziałem! - Ręce Chana pokryte były krwią z nosa Bourne'a, która już krzepła mu w nozdrzach. - Jestem twoim synem!

Te słowa przelamały impas i ich światy znów się zderzyły. Wściekłość, podobna do tej, jaką Bourne poczuł podczas rozmowy z dyrektorem hotelu, sprawiła, że krew znów zadudniła mu w uszach. Z krzykiem rzucił się na Chana, spychając go ku drzwiom i dalej na dach.

Nie bacząc na przeraźliwy ból głowy, zahaczył Chana nogą i podciął go. Chan padając, pociągnął go za sobą. Uderzając plecami o dach, uniósł stopy, ściął z nóg Bourne'a i mocnym kopniakiem odrzucił go od siebie.

Bourne zwinął się i przetoczył przez bark, tłumiąc impet uderzenia. Obaj jednocześnie zerwali się i wyciągnęli przed siebie rozczapierzone dłonie. Bourne błyskawicznie opuścił ręce i uderzył Chana w nadgarstki, wytrącając go z równowagi. Potem rąbnął go czołem w splot nerwowy pod uchem. Lewa strona ciała Chana zwiotczała. Korzystając z chwilowej przewagi, Bourne wtłoczył mu pięść w twarz.

Pod Chanem ugięły się kolana, ale jak bokser zamroczony ciosem, starał się nie upaść. Bourne, niczym rozjuszony byk, zasypywał go uderzeniami, coraz bardziej spychając na krawędź dachu. W zapamiętałej furii popełnił jednak błąd, dopuścił Chana zbyt blisko i przeciwnik zaskoczył go, gdy zamiast cofnąć się pod kolejnym ciosem, zaatakował, rzucając się do przodu i w pół drogi przenosząc cały ciężar ciała na drugą nogę. Uderzył Bourne'a tak mocno, że zadzwoniły mu zęby i stracił grunt pod nogami.

Jason padł na kolana, a Chan walnął go nad żebrami. Przewróciłby się, ale Chan złapał go za gardło i ścisnął.

- Gadaj - warknął. - Gadaj, co wiesz.

- Idź do diabła! - wydyszał Bourne.

Chan uderzył go w szczękę kantem dłoni.

- Cemu mnie nie słuchasz?

- Spróbuj bić trochę mocniej - powiedział Bourne.

- Oszalałeś!

- To jest twój plan, prawda? - Bourne z niedowierzaniem pokręcił głową. - Ta chora historia, że jesteś Joshua...

- Jestem twoim synem!

- Posłuchaj siebie samego - nie potrafisz nawet wymówić jego imienia. Daruj sobie tę farsę, już nic w ten sposób nie osiągniesz. Jesteś światowej klasy zabójcą nazwiskiem Chan. Nie chcę cię zaprowadzić do tego Spalki, czy kogo tam chcesz dorwać. Nie chcę, żeby ktokolwiek mną manipulował.

- Nie wiesz, co robisz. Nie wiesz... - Chan urwał, gwałtownie potrząsając głową i zmienił taktykę. Wolną ręką podsunął Bourne'owi przed nos mały posążek Buddy wyrzeźbiony w kamieniu. - Spójrz na to! - Wypluwał słowa, jakby były zatrute. - Spójrz!

- Każdy może kupić taki talizman w południowo-wschodniej Azji...

- Ale nie ten. Ty mi go dałeś. Tak, ty. - W oczach Chana rozgorzały płomienie, a w głosie dało się słyszeć drżenie, którego nie potrafił opanować. - A potem mnie porzuciłeś, żebym zginął w dżungli...

Kula z pistoletu odbiła się rykoszetem od dachówek, tuż obok jego prawej nogi. Chan puścił Bourne'a i odskoczył. Druga kula niemal trafiła go w bark, ale zdołał się ukryć za ceglana ścianą szybu windy.

Bourne odwrócił głowę i zobaczył Annę, która przykucnęła u szczytu schodów, ściskając oburącz broń. Ostrożnie ruszyła do przodu, rzucając przelotne spojrzenie w kierunku Bourne'a.

- Wszystko w porządku? - spytała.

Kiwnął głową, ale w tym samym momencie Chan, dojrawszy dogodną sposobność, wyskoczył z kryjówki, podbiegł do krawędzi dachu i przeskoczył na dach sąsiedniego budynku. Zamiast strzelać, Anna opuściła broń i odwróciła się do Bourne'a.

- Jak to wszystko w porządku, skoro jesteś cały we krwi?! - spytała.

- To tylko rozbity nos. - Usiadł, ale poczuł silny zawrót głowy, i jakby w odpowiedzi na jej powątpiewające spojrzenie, dodał: - Wygląda okropnie, ale to nic takiego.

Znów zaczął krwawić, więc przyłożyła mu do nosa zwitek chusteczek.

- Dziękuję.

- Mówiłeś, że potrzebujesz czegoś z hotelu - przerwała mu ostro. - Po co tu przyszedłeś?

Powoli wstał z jej pomocą.

- Zaraz, zaraz... - Spojrzała w kierunku, w którym uciekł Chan, i znów odwróciła się do Bourne'a, jakby ją olśniło. - To ten, który nas obserwował, prawda? To on zadzwonił na policję, kiedy byliśmy w mieszkaniu Laszlo Molnara.

- Nie wiem.

Potrząsnęła głową.

- Nie wierzę ci. To jedyne rozsądne wytłumaczenie tego, że mnie okłamałeś. Nie chciałeś mnie zaalarmować i powiedziałeś, że tu jesteśmy bezpieczni. Co się stało?

Zawahał się, ale wiedział, że nie ma wyboru - musi powiedzieć prawdę.

- Kiedy wróciliśmy z kawiarni, zauważyłem świeże zadrapania na stolku od fortepianu.

- Nie rozumiem? - Otworzyła szeroko oczy i pokręciła głową.

Bourne przypomniał sobie o słuchawce w uchu Chana.

- Chodź do mieszkania. Pokażę ci.

Ruszył ku otwartym drzwiom, ale Annaka się zawahała.

- No nie wiem...

Odwrócił się.

- Czego nie wiesz? - zapytał znużonym głosem.

Jej twarz stężała i pojawił się na niej wyraz rezygnacji.

- Okłamałeś mnie.

- Chciałem cię chronić, Annako.

Ogromne oczy dziewczyny nabiegły łzami.

- Jak mogę ci teraz zaufać?

- Annako...

- Powiedz mi, naprawdę chcę to wiedzieć. - Nie ruszyła się z miejsca, a on wiedział, że nie zrobi nawet kroku w kierunku schodów. - Potrzebuję odpowiedzi, w którą mogłabym uwierzyć.

- Ale co mam powiedzieć?

Uniosła ramiona i pozwoliła im opaść w geście rezygnacji.

- Widzisz, co robisz? Przez cały czas odwracasz sens tego, co mówię. - Potrząsnęła głową.

- Gdzie się tego nauczyłeś? Sprawiasz, że człowiek czuje się jak śmieć.

- Nie chciałem, żeby ci się coś stało - powtórzył. Głęboko go zraniła i podejrzewał, że choć stara się zachować kamienną twarz, wiedziała o tym. - Myślałem, że postępuję właściwie. Nadal tak uważam, choćby to oznaczało, że muszę na chwilę ukryć przed tobą prawdę.

Przyglądała mu się w milczeniu. Wiatr rozwiął jej miedziane włosy na podobieństwo ptasiego skrzydła. Z ulicy dały się słyszeć głosy ludzi, którzy chcieli wiedzieć, co to za hałas - strzelający gaźnik czy coś innego? Nie otrzymawszy odpowiedzi, ucichli i w końcu słychać było tylko szczekanie psa.

- Myślałeś, że sobie poradzisz ze wszystkim... że poradzisz sobie z nim.

Bourne na sztywnych nogach podszedł do parapetu i wychylił się, by spojrzeć w dół. Wypożyczony samochód nadal stał pusty. Może nie należał do Chana, a może Chan go porzucił. Bourne wyprostował się z trudem. Ból przeszywał go falami, coraz mocniej wbijając się w świadomość, w miarę jak mijało działanie endorfin uwolnionych przez szok. Zdawało mu się, że boli go każda kostka, ale najbardziej szczeka i żebra.

W końcu odpowiedział szczerze:

Myślę, że tak.

Odgarnęła włosy z policzka. - Kto to jest, Jasonie?

Pierwszy raz wymówiła jego imię, ale prawie nie zwrócił na to uwagi. Bezskutecznie próbował znaleźć odpowiedź, która i jego by zadowoliła.

Chan rozplaszczyl się na schodach budynku, na którego dach przeskoczył, i bezmyślnie wpatrywał się w sufit klatki schodowej. Czekał, aż Bourne po niego przyjdzie. Jego myśli błędziły bezładnie. A może, zastanawiał się, czekam, aż Annaka Vadas wyceluje we mnie pistolet i pociągnie za spust? Powinienem już być w samochodzie i odjeżdżać - a jednak tkwię tu, jak mucha w sieci pająka.

W głowie huczało mu echo straconych szans. Powinien zabić Bourne'a, gdy ten po raz pierwszy znalazł się w zasięgu jego wzroku, ale wówczas miał plan, sensowny plan, skrupulatnie ułożony, by wyrzucić - tak wtedy uważał! - najokrutniejszą z zemst. Powinien zabić Bourne'a w ładowni samolotu lecącego do Paryża. Przecież chciał to zrobić, tak jak teraz.

Łatwo było powiedzieć sobie, że przeszkodziła mu Annaka Vadas, ale prawda była inna, miał sposobność to zrobić, zanim pojawiła się scenie, to on sam postanowił nie wywierać zemsty.

Dlaczego? Nie miał zielonego pojęcia.

Jego myśli, zwykle spokojne jak tafla jeziora, błędziły wśród wspomnień, jakby terazniejszość była nie do zniesienia. Przypomnił sobie norę, w którym trzymał go wietnamski przemytnik broni, i krótkie chwile na swobodzie, zanim przygarnął go Richard Wick, misjonarz. Pamiętał dom Wicka i poczucie wolności, które z wolna tracił, wraz z okropnościami, jakie niósł czas Czerwonych Khmerów.

Najgorsze - wciąż próbował o tym zapomnieć - że początkowo pociągała go ich filozofia. Jak na ironię, ruch założyła grupka młodych kambodżańskich radykałów wykształconych w Paryżu, a jego etos oparty był na francuskim nihilizmie. „Przeszłość umarła! Zniszczyć wszystko, by stworzyć nową przyszłość!” - to była mantra Czerwonych Khmerów, powtarzana tak długo, póki nie stłamsiła wszystkich innych punktów widzenia i poglądów.

Trudno się dziwić, że ich światopogląd początkowo przyciągał Chana —w końcu sam był niedobrowolnym uchodźcą, porzuconym i zmarginalizowanym, wyrzutkiem z przypadku, nie z wyboru. Dla Chana przeszłość istotnie była martwa - jak w jego powracającym koszmarze. Ale jeśli nauczył się od nich niszczenia, to tylko dlatego, że najpierw oni zniszczyli jego.

Nie chcieli uwierzyć w jego opowieść, jak został porzucony. Powoli wyssali z niego energię życiową, pozwalając mu się wykrwawiać dzień po dniu. Chcieli, jak powiedział jeden z nich, całkowicie opróżnić jego umysł, pozostawiając czystą kartę, na której zamierzali zapisać radykalną wersję przyszłości, jaka czekała ich wszystkich. Wykrwawiają go, oznajmił z uśmiechem jego rozmówca, dla jego własnego dobra, by oczyścić go z toksyn przeszłości. Każdego dnia odczytywał mu ich manifest, po czym recytował imiona i nazwiska tych, którzy sprzeciwiali się rebelianckiemu reżimowi i zostali zgładzeni. Większość z nich była Chanowi obca. Kilku jednak znał, choćby z widzenia - głównie mnichów i chłopców w swoim wieku. Niektórzy z tych chłopców dokuczali mu, obciążając jego dziecięce barki brzemieniem wyrzutka.

Po jakimś czasie w programie dnia pojawił się nowy element. Po odczytaniu fragmentu manifestu Chan musiał go powtórzyć. Robił to z coraz większym przekonaniem.

Któregoś dnia, po obowiązkowej recytacji i powtarzaniu, jego rozmówca odczytał listę nowych ofiar rewolucji. Zamykał ją Richard Wick, misjonarz, który go przygarnął, zamierzając przywrócić cywilizacji i Bogu. Nie sposób wyrazić wszystkich emocji, jakie wywołała w Chanie ta wiadomość, ale dominujące było poczucie oderwania. Znikło ostatnie ogniwo łączące go ze światem zewnętrznym. Był sam jak palec. We względnej intymności latryny poczuł szlochać, sam nie wiedząc czemu. Jeśli kiedykolwiek kogoś nienawidził, to człowieka, który

wykorzystał go, po czym porzucił emocjonalnie. Teraz zaś, nie wiedząc czemu, oplakiwał jego śmierć.

Tego samego dnia wyprowadzono go z betonowego bunkra, w którym przebywał od chwili wzięcia w niewolę. Mimo że z nisko wiszących chmur lał się deszcz, on mrużył oczy w świetle dnia. Minęło wiele czasu i zaczęła się pora deszczowa.

Leżąc więc na klatce schodowej, zdał sobie sprawę, że dorastając, nigdy nie kierował sam własnym życiem. Najbardziej deprymujące było to, że działo się tak nadal. Żył w złudzeniu, że jest wolnym strzelcem, wiele trudu kosztowało go zdobycie pozycji w biznesie, który - jak naiwnie wierzył - jest rajem dla wolnych strzelców. Teraz zrozumiał, że z chwilą, gdy wziął pierwsze zlecenie od Spalki, ten manipulował nim, a teraz posunął się najdalej.

Jeśli ma się kiedykolwiek wyzwolić z okowów, musi coś zrobić ze Stiepanem Spalka. Wiedział, że go poniosło podczas ostatniej rozmowy telefonicznej, i teraz tego żałował. Chwilowym atakiem gniewu, tak dla niego niezwykłym, osiągnął tylko tyle, że Spalko będzie się mieć na baczności. Zdał sobie sprawę, że gdy Bourne usiadł obok niego na ławce w parku w Alexandrii, jego dotychczasowy lodowaty spokój zniknął, a w świadomości pojawiły się emocje, których nie potrafił ani nazwać, ani tym bardziej zrozumieć. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że już nie wie, czego chce od Jasona Bourne'a.

Usiadł i rozejrzał się. Był pewien, że coś usłyszał. Wstał i położył dłoń na poręczy. Napiał mięśnie, gotowy do walki. O, znowu. Odwrócił głowę. Co to za dźwięk? Gdzie go już słyszał?

Serce zaczęło bić szybciej, podeszło do gardła. Dźwięk rozbrzmiewał już w całej klatce schodowej, odbijając się echem w jego głowie, bo to on wołał:

- Lee-Lee! Lee-Lee!

Ale Lee-Lee nie mogła mu odpowiedzieć. Lee-Lee nie żyła.

Rozdział 19

Podziemne wejście do klasztoru skryło się w cieniu najgłębszej szczeliny w północnej ścianie wąwozu. W świetle zachodzącego słońca widać było, że szczelina jest w istocie jaskinią, wiekami temu służyła mnichom, którzy wybrali to miejsce na swój dobrze strzeżony dom. Może byli to mnisi-wojownicy, bo rozbudowane fortyfikacje świadczyły, że rozegrano tu wiele bitew i przelano немало krwi.

Ekipa cicho podążyła śladem słońca, kryjąc się w przejściu. Spalko i Zina nie mieli już czasu na intymne rozmowy. Nie dawali po sobie poznać, co między nimi zaszło, mimo iż było to pamiętne zdarzenie. Nastąpiła zmiana w sferze lojalności i władzy - a potajemność i milczenie tylko potęgowały efekt. Jakby Spalko wrzucił kamyk do cichego jeziora i patrzył na rozchodzące się fale burzące spokój wody i żyjących w niej stworzeń.

Zostawiając za sobą skąpane w słońcu glazy, zanurzyli się w cień. Włączyli latarki. Spalce i Zinie towarzyszyło dwóch mężczyzn - trzeciego zabrano do odrzutowca czekającego na lotnisku Kazantzakisa, gdzie dyżurował chirurg. Mieli lekkie nylonowe plecaki wypełnione różnymi przyrządami, od puszek z gazem łzawiącym po motki szpagatu. Spalko nie wiedział, co ich czeka, a nie zwykł pozwalać sobie na ryzyko.

Pierwsi szli mężczyźni z odbezpieczonymi półautomatycznymi pistoletami zwisającymi na szerokich pasach przewieszonych przez ramię. Przejście zwężało się tak, że musieli iść gęsiego. Wkrótce niebo znikło zakryte skalną ścianą i znaleźli się w jaskini. Była wilgotna, zatęchła i wypełniona odorem rozkładu.

- Cuchnie jak z otwartego grobu - zauważył jeden z mężczyzn.
- Patrzcie! - krzyknął drugi. - Kości!

Przystanęli, oświetlając wyschnięty szkielet jakiegoś gryzonia, ale niecałe sto metrów dalej napotkali kość udową znacznie większego ssaka. Zina przykucnęła i ujęła kość w dłoń.

- Zostaw! - ostrzegł ją jeden z nich. Dotykanie ludzkich kości przynosi pecha.
- Co ty mówisz? Archeolodzy ciągle to robią - roześmiała się Zina. - Poza tym to wcale nie musi być człowiek. - Mimo wszystko rzuciła kość na ziemię.

Pięć minut później stanęli nad czymś, co bez wątplenia było ludzką czaszką. W świetle latarek z oczodołów wpatrywała się w nich ciemność.

- Jak myślisz, co mogło go zabić? - spytała Zina.
- Pewnie wychłodzenie - odparł Spalko. - Albo pragnienie.
- Biedak.

Szli dalej, coraz bardziej zagłębiając się w skałę, na której zbudowano klasztor. Im dalej, tym więcej było kości, teraz już tylko ludzkich i w większości złamanych lub pękniętych.

- Nie sądzę, żeby tych ludzi zabiło zimno czy pragnienie - odezwała się Zina.
- A co? - spytał jeden z mężczyzn. Nikt jednak nie znalazł odpowiedzi. Spalko szybko przywołał ich do porządku. Wedle jego obliczeń niemal osiągnęli punkt pod blankami klasztoru. Tymczasem światła latarek wydobyły z mroku zaskakującą formację skalną.

- Jaskinia się rozwidla - oznajmił jeden z mężczyzn, świecąc latarką najpierw w lewą, potem w prawą odnogę.

- Jaskinie się nie rozwidlają - zauważył Spalko. Wyszedł przed pozostających i wetknął głowę w lewą odnogę. - Ślepa uliczka - oznajmił. Prze sunął ręką po krawędziach wylotów korytarzy. - To robota ludzi. Stara, może jeszcze z czasów budowy klasztoru. - Wszedł w prawą odnogę, jego głos odbijał się w niej dziwnym echem. - Ta prowadzi dalej, ale jest kręta.

Kiedy wrócił, miał nietęgą minę.

- *To wcale nie jest przejście - orzekł. - Nic dziwnego, że Molnar wybrał to miejsce na kryjówkę doktora Schiffera. Sądzę, że wchodzimy do labiryntu.*

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- *Jak znajdziemy drogę powrotną? - chciała wiedzieć Zina.*

- *Nie wiadomo, co tam jest, ale... - Spalko wyjął mały przedmiot, nie większy niż pudełko do kart. Z uśmiechem zademonstrował im, jak działa. - GPS. Właśnie zaznaczyłem punkt, z którego wyruszamy. - Skinął głową. - Idziemy.*

Już po chwili zrozumieli, że błędzą. Nie minęło pięć minut, a znaleźli się w punkcie wyjścia. - Co się stało? - zapytała Zina. Spalko zmarszczył brwi.

- *GPS tu nie działa.*

Potrząsnęła głową.

- *Czemu?*

- *Najwyraźniej jakiś minerał blokuje sygnał z satelity. - Nie mógł im przecież powiedzieć, że nie wie, dlaczego GPS nie działa w labiryncie. Otworzył plecak i wyjął szpagat. - Postąpimy jak Tezeusz. Idąc, będzie my odwijać sznurek.*

Zina spoglądała na motek z powątpiewaniem.

- *A jeśli sznurka zabraknie?*

- *Tezeuszowi się to nie przytrafiło - odrzekł Spalko. - A my jesteśmy prawie za murami klasztoru, więc miejmy nadzieję, że nam też nie.*

Doktor Felix Schiffer się nudził. Od wielu dni, odkąd jego protektorzy najpierw pod osłoną nocy przewieźli go samolotem na Kretę, potem zaś regularnie przynosili z miejsca na miejsce, tylko wykonywał polecenia. Nigdzie nie przebywali dłużej niż trzy dni. Podobał mu się dom w Ira-klionie, ale i on w końcu mu się znudził. Doktor nie miał nic do roboty. Odmówili przyniesienia mu gazety, nie pozwolili włączyć radia... Telewizora w ogóle nie było, ale zakładał, że i tak nie pozwoliliby mu go oglądać. Ale i tak, pomyślał smętnie, było to lepsze niż zapleśniała kupa kamieni, gdzie mógł spać jedynie na polówce, a ogrzewać się tylko przy ogniu. Jedynym umeblowaniem były ciężkie skrzynie i kredensy, choć strażnicy przynieśli składane krzesła, łóżka polowe i pościel. Nie było kanalizacji, wygodkę urządzili na dziedzińcu i jej smród czuć było w całym klasztorze. Budynek był ponury i zawilgocony, nawet w pełnym słońcu - a co dopiero po zmroku. Nie było nawet światła, żeby czytać - choć i tak nie miał nic do czytania.

Teścił za swobodą. Gdyby był wierzący, modliłby się o wyzwolenie. Tyle dni minęło od czasu, gdy widział się z Laszłó Molnarem i rozmawiał z Aleksem Conklinem! Kiedy pytał o nich strażników, przywoływali najświętsze dla nich słowo: bezpieczeństwo; wszelkie kontakty były po prostu niebezpieczne. Zapewniali go solennie, że wkrótce dołączy do przyjaciela i swego dobroczyńcy. Kiedy jednak pytał o termin, wrzuszali tylko ramionami i wracali do niekończącej się gry w karty. Wyczuwał, że również są znudzeni - przynajmniej ci, którzy akurat nie pełnili warty.

Strażników było siedmiu. Początkowo więcej, ale reszta została w Ira-klionie. Z tego, co zdołał się dowiedzieć, wnioskował, że powinni już się tu zjawić. W związku z tym nie grano dziś w karty - wszyscy członkowie drużyny wyszli na patrol. W powietrzu wyczuwało się napięcie.

Schiffer był dość wysokim mężczyzną o przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu, orlim nosie i szpakowatych włosach. Zanim został zwerbowany przez Agencję Projektów i częściej pokazywał się w miejscach publicznych, zdarzało się, że brano go za Burta Bacharacha. Ponieważ niezbyt dobrze radził sobie w kontaktach z ludźmi, nigdy nie wiedział, jak na to zareagować. Mamrotał coś niewyraźnie i odwracał się na pięcie, a jego oczywiste zakłopotanie tylko utwierdzało ludzi w błędnym mniemaniu.

Wstał i wolno podszedł do okna, lecz nim tam dotarł, zatrzymał go jeden ze strażników.

- Względy bezpieczeństwa - szepnął, choć starał się nie okazywać napięcia.
- Bezpieczeństwo! Bezpieczeństwo! Zamęczycie mnie tym słowem! - zawołał Schiffer.

Na nic się to jednak zdało. Zagoniono go z powrotem na krzesło, z dala od okien i drzwi. Zadrżał w wilgotnym półmroku.

- Brakuje mi mojego laboratorium i pracy! - oznajmił, patrząc w ciemne oczy najemnika.
- Czuję się jak w więzieniu, rozumiesz?

Przywódca grupy, Sean Keegan, widząc, że jego autorytet jest zagrożony, podszedł do Schiffera.

- Proszę usiąść, doktorze.
- Ale ja...
- To dla pańskiego dobra - wyjaśnił Keegan, czarnowłosy i czarnooki Irlandczyk o grubo ciosanych rysach wyrażających ponurą determinację. Przypominał zadziornych uliczników. - Zostaliśmy wynajęci, by pana chronić, i podchodzimy do tego bardzo poważnie.

Schiffer posłusznie usiadł.

- Czy ktoś może mi przynajmniej powiedzieć, co się dzieje?

Przez chwilę Keegan patrzył na niego w milczeniu. Wreszcie przykucnął obok krzesła i stłumionym głosem wyjaśnił:

- Nie chciałem o tym mówić, ale sądzę, że lepiej, aby pan się dowiedział.
- O czym? - spytał Schiffer ze zmartwiałą twarzą. - Co się stało?
- Alex Conklin nie żyje.
- O Boże, nie. - Schiffer otarł czoło, nagle pokryte potem.
- Również od Laszló Molnara od dwóch dni nie mamy wiadomości.
- Chryste!
- Spokojnie, doktorze. Możliwe, że Molnar nie utrzymuje z nami kontaktów przez wzgląd na bezpieczeństwo. - Keegan spojrzał mu prosto w oczy. - Chociaż z drugiej strony ludzie, których zostawiliśmy w Iraklionie, jeszcze się nie pokazali.
- Tego się domyśliłem - odparł Schiffer. - Sądzi pan, że przytrafiło im się coś... złego?
- Muszę zakładać najgorsze.

Po twarzy Schiffera zaczęły spływać strużki lśniącego potu.

- Czyli Spalko mógł się dowiedzieć, gdzie jestem... i jest tu, na Krecie.

Keegan zachował kamienną twarz.

- Tak właśnie myślimy.

Ze strachu Schiffer zrobił się agresywny.

- I co macie zamiar z tym zrobić?
- Obsadziliśmy mury ludźmi z pistoletami maszynowymi, ale wątpię, by Spalko był na tyle głupi, żeby atakować na otwartym terenie. - Keegan potrząsnął głową. - Jeśli tu jest, jeśli po pana idzie, doktorze, nie będzie miał wyboru. - Wstał, przewieszając pistolet maszynowy przez ramię. - Będzie musiał przejść przez labirynt.

Wędrując przez labirynt ze swą drużyną, Spalko z każdym mijanym zakrętem stawał się coraz bardziej podejrzliwy. Labirynt był jedyną logiczną drogą ataku na klasztor - czyli równie dobrze mogli właśnie wchodzić w pułapkę.

Spojrzał na trzymany w dłoni motek szpagatu. Odwinął już dwie trzecie sznurka. Najpewniej znajdowali się już pod klasztorem. Ciągący się za nimi ślad upewniał go, że nie chodzi w kółko. Wierzył, że wybiera właściwą drogę.

- Boję się zasadzki. Zostań z tyłu - szepnął do Ziny. Poklepał jej plecak. - Wiesz, co robić, jeśli wpadniemy w kłopoty.

Zina kiwnęła głową. Mężczyźni ruszyli przed siebie na ugiętych kolanach. Ledwie znikli za zakrętem, gdy usłyszała strzały z pistoletu maszynowego. Szybko otworzyła plecak, wyciągnęła pojemnik z gazem łzawiącym i ruszyła ich śladem, wyznaczonym przez rozwinięty sznur.

Poczuła zapach kordytu, zanim minęła drugi zakręt. Wyjrzała zza występu skały i zobaczyła jednego ze swych towarzyszy leżącego na ziemi w kałuży krwi. Spalko i drugi mężczyzna zostali wzięci w krzyżowy ogień.

Pociągnęła za zawleczkę pojemnika i przerzuciła go nad głowę Spalki. Puszka uderzyła o ziemię, z sykiem potoczyła się w lewo. Spalko klepnął towarzysza w plecy i wycofali się przed rozprzestrzeniającym się gazem.

Usłyszeli kaszel i odgłos torsji. W tym czasie założyli maski przeciwgazowe, szykując się do przypuszczenia drugiego ataku. Spalko rzucił kolejny pojemnik z gazem w prawo, przerywając ogień skierowany na nich z drugiej strony. Niestety, trzy kule zdażyły wcześniej dosięgnąć drugiego z jego ludzi, trafiając w klatkę piersiową i szyję. Padł na ziemię, tocząc z ust krwawą pianę.

Spalko i Zina uciekli, on w prawo, ona w lewo, po drodze zabijając po dwóch obezwładnionych najemników strzałami z pistoletów maszynowych. Oboje jednocześnie zobaczyli schody i ruszyli w ich kierunku.

Sean Keegan pociągnął Feliksa Schiffera, krzyknąwszy do swoich ludzi na murach, aby porzucili stanowiska i wrócili na dziedziniec klasztoru, dokąd włókł teraz przerażonego doktora.

Zaczął działać, gdy tylko poczuł zapach gazu łzawiącego dobywający się z labiryntu. Kilka chwil później usłyszał strzały z broni maszynowej, po których zaległa martwa cisza. Wbiegli dwaj jego ludzie, a on posłał ich kamiennymi schodami w dół, w ślad za resztą, która miała zastawić pułapkę na Spalkę.

Keegan, zanim stał się najemnikiem, przez wiele lat pracował dla IRA i dobrze sobie radził w sytuacjach, gdy przeciwnik ma przewagę liczebną i ogniową. Prawdę powiedziawszy, delectował się nimi, traktując je jak wyzwanie.

Teraz jednak wewnątrz klasztoru wypełniły kłęby dymu, zza których zaczęły dobiegać strzały z broni maszynowej. Ludzie Keegana nie mieli szansy - zginęli, zanim zdołali choćby zobaczyć swoich zabójców.

Keegan też nie miał ochoty ich zobaczyć. Wlokąc za sobą doktora Schiffera, przedzierał się przez labirynt ciemnych, dusznych cel w poszukiwaniu wyjścia.

Zgodnie z planem Spalko i Zina rozdzielili się po wydostaniu z gęstej chmury wywołanej przez wybuch bomby dymnej, którą rzucili na podłogę u szczytu schodów. Spalko metodycznie przeszukiwał pomieszczenia, Zina zaś szukała wyjścia.

To Spalko pierwszy zobaczył Schiffera i Keegana i krzyknął do nich, ale Keegan odpowiedział mu tylko strzałami, zmuszając do ukrycia się za ciężką drewnianą skrzynią.

- Nie masz szans wydostać się stąd żywy! - krzyknął Spalko. - Nie chodzi mi o ciebie. Chcę Schiffera.

- To jedno i to samo! - odkrzyknął Keegan. - Dano mi zadanie, które mam zamiar wykonać.

- W jakim celu? Twój pracodawca, Laszłó Molnar, nie żyje. Janos Vadas też.

- Nie wierzę ci - powiedział Keegan. Schifferem wstrząsnęło łkanie i Keegan uciszył go.

- A jak cię znalazłem? - ciągnął Spalko. - Wydusiłem to z Molnara. Daj spokój. Przecież zdajesz sobie sprawę, że tylko on wiedział, gdzie jesteście.

Cisza.

- Wszyscy nie żyją - oznajmił Spalko, posuwając się o pół kroku do przodu. - Kto ci teraz zapłaci? Oddaj mi Schiffera, a ja ci wypłacę, ile ci się należy... i premię! No i jak?

Keegan już miał odpowiedzieć, gdy Zina, zaszedłszy go od tyłu, wpackowała mu kulę w tył głowy.

Ochlapany krwią doktor Schiffer zaskomlał jak zbity pies. Pozbawiony ostatniego z obrońców, zobaczył, jak zbliża się do niego Stiepan Spalko. Odwrócił się i pobiegł prosto w ramiona Ziny.

- Nie masz dokąd uciekać, Feliksie - odezwał się Spalko. - Rozumiesz to, prawda?

Schiffer szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w Zinę. Zaczął coś bełkotać, a ona przyłożyła dłoń do jego zroszonego potem czoła, odgarniając z niego włosy, jakby był chorym dzieckiem w gorączce.

- Kiedyś byłeś mój - oznajmił Spalko, przekręcając ciało Keegana. - I znowu jesteś mój.
- Wyjął z jego plecaka dwa przedmioty ze stali chirurgicznej, szkła i tytanu.

- O Boże! - wyrwało się Schifferowi.

Zina uśmiechnęła się do niego i ucałowała go w oba policzki, jakby byli przyjaciółmi witającymi się po długiej rozłące. Doktor wybuchnął płaczem.

- Tak się to składa, prawda, Feliksie? - drwił Spalko, zadowolony z efektu, jaki na swoim wynalazcy wywarł rozpylacz NX 20. - A w ten sposób należy je złożyć, prawda, Feliksie? - Po złożeniu NX 20 był nie większy od automatu zwisającego z ramienia Spalki. - Teraz, kiedy mam odpowiedni ładunek, nauczysz mnie, jak tego używać.

- Nie - zaprotestował Schiffer drżącym głosem. —Nie, nie, nie!

- O nic się nie martw - szepnęła Zina, kiedy Spalko chwycił doktora za kark, powodując kolejny spazm przerażenia. - Jesteś w dobrych rękach.

Schody nie miały wielu stopni, jednak zejście po nich było dla Bourne'a bardziej bolesne, niż tego oczekiwał. Z każdym krokiem obolałe żebra sprawiały mu rwący ból. Potrzebował gorącej kąpieli i snu - a nie mógł sobie jeszcze pozwolić ani na jedno, ani na drugie.

Kiedy wrócili do mieszkania, pokazał Annace ślady na stolku do fortepianu. Zakłęła cicho. Wspólnymi siłami przesunęli stół pod lampę, a Bourne wspiął się na niego.

- Rozumiesz?

Pokręciła głową.

- Nie mam zielonego pojęcia, co się tutaj stało. Podszedł do sekretarzyka i napisał na kartce: Masz drabinę? Popatrzyła na niego dziwnie, ale kiwnęła głową. Przyniósł ją, napisał.

Kiedy wróciła z drabiną do salonu, wspiął się na tyle wysoko, by zajrzeć do płytkiej misy z mlecznego szkła. Znalazł w niej to, czego szukał. Ostrożnie sięgnął ręką i ujął w palce maleńki przedmiot. Zszedł z drabiny i pokazał jej go na wyciągniętej dłoni.

- Co, do...? - urwała, potrząsnąwszy głową.

- Masz szczypcę? - spytał.

Otworzyła drzwi płytkiej szafy, znów spoglądając na Bourne'a z zaciekawieniem. Podała mu szczypcę. Umieścił małe prostopadłościan między żebrowanymi końcami i ścisnął, gruchocząc go.

- To miniaturowy nadajnik - wyjaśnił.

- Jak to? - Jej ciekawość zmieniła się w zdumienie.

- Po to włamał się tutaj ten człowiek z dachu. Włożył go do lampy. Nie tylko obserwował nas, ale i podsłuchiwał.

Rozejrzała się po pokoju i zadrżała.

- Boże, to mieszkanie już nigdy nie będzie takie samo. - Odwróciła się do Bourne'a. - Czego on chce? Czemu śledzi każdy nasz ruch? Chodzi o doktora Schiffera, prawda?

- Być może - odparł Bourne - ale nie wiem tego na pewno. - Nagle zakręciło mu się w głowie.

wie. Starając się nie zemdleć, opadł na sofę.

Annaka pobiegła do łazienki po środek dezynfekujący i bandażę, a on wsparł głowę na poduszkach i spróbował nie myśleć o minionych wydarzeniach. Musiał się skoncentrować na tym, co trzeba zrobić teraz.

Annaka przyniosła tacę z porcelanową miską z gorącą wodą, gąbkę, ręcznik, worek z lodem, buteleczkę jodyny i szklankę wody.

- Jasonie?

Otworzył oczy.

Podala mu szklankę wody, a kiedy wypił, worek z lodem.

- Policzek zaczyna ci puchnąć - ostrzegła.

Przyłożył okład do twarzy i ból z wolna zmieniał się w odrętwienie. Ale kiedy odwrócił się, by odstawić pustą szklankę na stół i odetchnął głębiej, poczuł ostre ukłucie w boku. Wolno odwrócił zesztywniałe ciało do poprzedniej pozycji. Myślał o Joshui, który zmartwychwstał w jego głowie - jeśli nie w rzeczywistości. Może dlatego zaślepił go gniew na Chana - ponieważ tamten wywołał widmo jego potwornej przeszłości, przywołując w blasku dnia ducha tak drogiego Davidowi Webbowi, że nawiedzał też jego drugą osobowość.

Patrząc, jak Annaka zmywa mu z twarzy zaschniętą krew, przypomniał sobie ich krótką wymianę zdań w kawiarni, gdy załamała się po tym, jak wspomniał o jej ojcu. Wiedział jednak, że musi drążyć ten temat. Sam był ojcem, który w tragicznych okolicznościach stracił rodzinę, ona zaś - córką, która w równie strasznych okolicznościach utraciła ojca.

- Annako - zaczął delikatnie - wiem, że to dla ciebie bolesny temat, ale chciałbym dowiedzieć się czegoś o twoim ojcu. - Poczul, jak dziewczyna sztywnieje, ale brnął dalej: - Możemy o nim porozmawiać?

- Pewnie chcesz wiedzieć, gdzie i kiedy poznał Aleksieja.

Wydawało się, że jest bez reszty zajęta wykonywanymi czynnościami, ale Bourne podejrzewał, że celowo unika jego wzroku.

- Zastanawiałem się raczej nad tym, jakie były wasze wzajemne relacje.

Przez jej twarz przemknął cień.

- Dziwnie osobiste pytanie.

- Widzisz, to przez moją przeszłość... - urwał, nie mogąc ani skłamać, ani powiedzieć jej całej prawdy.

- Którą pamiętasz tylko fragmentarycznie - dokończyła. - Rozumiem. - Wyjęła gąbkę. Woda w misce zabarwiła się na różowo. - No cóż, Janos Vadas był idealnym ojcem. Przewijał mnie, gdy byłem niemowlakiem, czytał mi do poduszki, śpiewał kołysanki, gdy byłem chora. Zawsze pamiętał o moich urodzinach i był ze mną, gdy go potrzebowałam. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, jak dawał sobie z tym wszystkim radę. - Powtórnie wyjęła gąbkę, bo Jason znów zaczął krwawić. - Zawsze byłem na pierwszym miejscu. I nigdy nie przestawał mi mówić, jak bardzo mnie kocha.

- Byłaś szczęśliwym dzieckiem.

- Szczęśliwszym niż ktokolwiek z moich przyjaciół, niż ktokolwiek, kogo znam. - Starala się zatamować krew.

Bourne jakby wpadł w trans. Myślał o Joshui i o pozostałych członkach swojej rodziny - o wszystkich rzeczach, których nigdy z nimi nie robił... wszystkich ulotnych chwilach, które zapamiętuje się, gdy dziecko rośnie.

Annace w końcu udało się powstrzymać krwawienie. Zajrzała pod worek z lodem, ale jej twarz nie wyrażała niczego. Usiadła w kucki, z rękami na podolku.

- Zdejmij kurtkę i koszulę. Muszę się przyjrzeć twoim zębom. Widziałam, jak krzywisz się z bólu, kiedy chciałeś odstawić szklankę.

Wyciągnęła rękę, a on oddał jej worek z lodem. Zważyła go w dłoni.

- Pójdę po więcej lodu.

Nim wróciła, rozebrał się do pasa. Wielka czerwona pręga na lewym boku już napuchła. Ostrożnie badał ją palcami.

- *O Boże, trzeba by cię obłóżyć lodem całego!*
- *Przynajmniej niczego sobie nie zламаłem.*

Znowu podała mu worek ze świeżym lodem. Syknął z bólu, przykładając go do opuchlizny. Annaka znów usiadła w kucki, lustrując go spojrzeniem. Szkoda, że nie wiedział, o czym ona tak rozmyśla.

- Pewnie nie możesz uwolnić się od myśli o synu, który zginął tak młodo.

Zagryzł zęby.

- Rzecz w tym, że... Człowiek na dachu - ten który nas śledził - przybył za mną aż ze Stanów. Powiedział, że chce mnie zabić, ale wiem, że kłamie. Raczej chce, żebym go do kogoś doprowadził, dlatego nas szpiegował.

- *Do kogo? - zaniepokoiła się Annaka.*
- *Do człowieka nazwiskiem Spalko.*
- *Stiepan Spalko? - spytała zaskoczona.*
- *Tak. Znasz go?*

- Oczywiście, że go znam. Jak każdy na Węgrzech. To szef Humanistas Ltd., międzynarodowej organizacji charytatywnej. – Zachmurzyła się. - Teraz naprawdę mnie zaniepokoiłeś, Jasonie. Ten człowiek jest niebezpieczny. Jeśli chce dostać się do pana Spalki, powinniśmy skontaktować się z władzami.

Potrząsnął głową.

- I co im powiemy? Że uważamy, że człowiek, którego znamy jedynie jako Chana, chce skontaktować się ze Stiepanem Spalka? Nawet nie wiemy po co. Jak myślisz, co na to powiedzą? Dlaczego ten wasz Chan po prostu do niego nie zadzwoni?

- *W takim razie powinniśmy przynajmniej skontaktować się z kimś z Humanistas.*
- *Dopóki nie wiem, co tu jest grane, dopóty nie chcę się z nikim kontaktować. To tylko skomplikuje sprawy, a i tak mam już za dużo pytań, na które nie znam odpowiedzi.*

Podniósł się, podszedł do sekretarzyka i usiadł przed laptopem Annaki.

- *Mówiłem ci, że mam pewien pomysł. Mogę skorzystać z twojego komputera?*
- *Oczywiście - powiedziała, wstając.*

Zabrała miskę, gąbkę i inne przybory i wyszła z nimi do kuchni. Bourne włączył laptopa. Otworzył przeglądarkę, słysząc wodę płynącą z kranu. Wszedł do amerykańskiej sieci rządowej i zaczął przeszukiwać serwisy. Nim wróciła, znalazł ten, którego szukał.

Agencja miała wiele serwisów, dostępnych dla każdego użytkownika Internetu, ale też wiele innych, zaszyfrowanych, chronionych hasłem, stanowiących elementy osławionego intranetu CIA.

Annaka zauważyła, że Bourne jest bardzo skrzywiony.

- Co się stało? - zapytała, stając za jego plecami. Oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia. - Co ty, u diabła, robisz?

- *To co widać - odparował Bourne. - Hakuję główną bazę danych CIA.*
- *Jak?*

- Nie pytaj. - Palce Bourne'a śmigają po klawiaturze. - Wierz mi, nie chcesz tego wiedzieć.

Alex Conklin znał tylko wejście od frontu, pewnie dlatego, dostarczano mu aktualne szyfry w każdy poniedziałek o szóstej rano. Deron, artysta wśród fałszerzy, nauczył Bourne'a, jak włamywać się do rządowych baz danych. W jego zawodzie taka umiejętność była nieodzowna.

Rzecz w tym, że należący do CIA firewall - program zabezpieczający dostęp do danych - był szczególnie kłopotliwy. Nie tylko co tydzień zmieniano hasło, ale także powiązany z hasłem zmienny algorytm. Deron jednak pokazał Bourne'owi, jak oszukać system, by sądził, że znasz hasło, i sam je podał.

Sposobem na ominięcie firewalla był algorytm stanowiący pochodną głównego algorytmu szyfrującego pliki CIA. Bourne znalazł tę formułę, ponieważ Deron kazał mu wykuć ją na pamięć.

Jason wszedł na stronę CIA, gdzie wyświetlone zostało okno z pytaniem o aktualne hasło. W jego miejsce wpisał algorytm zawierający o wiele dłuższy łańcuch znaków alfanumerycznych, niż mieściło się w oknie. Po odczytaniu pierwszych trzech zestawów znaków program rozpoznawał, czym są, i zawieszał się na chwilę. Sztuka, mówił Deron, polega na tym, by zakończyć algorytm, zanim program się zorientuje, co jest grane i odmówi dostępu. Łańcuch znaków był niezwykle długi i nie pozostawiał czasu na błędy ani choćby chwilowe wahanie. Bourne zaczął się denerwować. Nie sądził, by oprogramowanie zawiesiło się na tak długo.

W końcu skończył wklepywać algorytm. Okno znikło i wyświetliła się inna strona.

- Jestem w środku - oznajmił Bourne.
- Czysta alchemia - szepnęła zafascynowana Annaka.

Bourne przeszedł do serwisu Wydziału Taktycznych Broni Obezwładniających. Wpisał nazwisko Schiffera, ale czekało go rozczarowanie -nie znalazł wielu materiałów na jego temat. Nie można było się dowiedzieć, czym zajmował się Schiffer ani też skąd się wziął. Gdyby Bourne nie znał prawdy, mógłby uwierzyć, że doktor Felix Schiffer jest drugorzędnym pracownikiem naukowym, który nie przedstawia szczególnej wartości dla WTBO.

Była jeszcze jedna możliwość. Skorzystał z furtki, którą kazał mu zapamiętać Deron, tej samej, z której korzystał Conklin, by mieć oko na wydarzenia rozgrywające się za kulisami Departamentu Obrony. Wszedł do serwisu Agencji Zaawansowanych Projektów Obronnych i odszukał archiwa. Na szczęście rządowi informatycy niespiesznie usuwali stare pliki. Znalazł akta Schiffera, z których mógł się dowiedzieć nieco więcej. Był absolwentem MIT. Zaraz po dyplomie jedna z dużych firm farmaceutycznych powierzyła mu własne laboratorium. Pracował tam niecały rok, ale odchodząc, zabrał ze sobą innego naukowca, doktora Petera Sido, z którym współpracował przez pięć lat, zanim zwerybował go rząd i zaczął pracę w AZPO. Nie wyjaśniono, dlaczego przeszedł do sektora państwowego, ale wielu naukowców tak robi. Są nieprzystosowani do życia społecznego, podobnie jak niektórzy więźniowie, którzy po odsiadce popełniają kolejne przestępstwo tylko po to, by znów znaleźć się w dobrze zdefiniowanym świecie, gdzie nie trzeba o nic się troszczyć.

Bourne odkrył, że Schiffera przydzielono do Biura Nauk Obronnych, które zajmowało się systemami broni biologicznej. W AZPO doktor Schiffer pracował nad sposobem biologicznego „oczyszczania” pomieszczenia, w którym umieszczono zarazki wąglika.

Na kolejnych stronach nie było nic ciekawego. Bourne'owi nie dawał spokoju fakt, że informacje, które uzyskał, w ogóle nie tłumaczyły szczególnego zainteresowania Conklina.

Annaka spojrzała mu przez ramię.

- Czy jest tu jakaś wskazówka, która pozwoli nam odkryć, gdzie może się ukrywać doktor Schiffer?

- Raczej nie.
- No dobra. - Położyła mu ręce na ramionach. - W spiżarni pusto, a my musimy coś zjeść.
- Zostanę tu, jeśli nie masz nic przeciwko temu, i trochę odpocznę.
- Słusznie, nie powinieneś wychodzić w takim stanie. - Uśmiechnęła się, wkładając płaszcz.
- Skoczę do sklepu na rogu i przyniosę nam coś do jedzenia. Masz jakieś szczególne życzenia?

Potrząsnął głową i odprowadził ją wzrokiem do drzwi.

- Bądź ostrożna.

Odwróciła się i wysunęła z torebki pistolet.

- Nie martw się o mnie, dam sobie radę. - Otworzyła drzwi. - Do zobaczenia za kilka minut.

Słyszał, jak wychodzi, ale jego uwagę znów pochłonął ekran komputera. Czuł, jak serce bije mu coraz szybciej, i bezskutecznie próbował je uspokoić. Wciąż się wahał. Wiedział, że musi to zrobić, ale czuł, że go to przeraża.

Jego dłonie, jakby należały do kogoś innego, przez kolejne pięć minut przechodziły przez firewalle armii amerykańskiej. Tu pojawił się pewien problem. Wojskowi informatycy niedawno zaktualizowali firewalle, dodając trzecią warstwę zabezpieczeń, o której Deron nic mu nie powiedział - może sam o niej nie wiedział. Palce Bourne'a uniosły się niczym palce Annaki nad klawiaturą fortepianu i przez chwilę zawahały. Jeszcze mogę się wycofać, pomyślał, to żaden wstyd. Przez całe lata sądził, że nie może patrzeć na nic, co dotyczy jego pierwszej rodziny, w tym na dane z wojskowych baz danych. I tak dręczyła go ich śmierć, nawiedzało poczucie winy, że ich nie uratował, że spokojnie siedział na naradzie, gdy myśliwiec zasypał ich gradem pocisków. Wciąż od nowa zadreślał się wyobrażeniem ostatnich minut ich życia. Dao, dziecko wojny, na pewno rozpoznała leniwy pomruk silników nadlatującego samolotu pod gorącym letnim niebem. Z początku mogła go nie zobaczyć, ponieważ nadlatywał od strony słońca, lecz kiedy ryk silników zbliżył się, gdy metalowy kadłub przysłonił słońce - zrozumiała. Nawet gdy strach chwycił ją za serce, z pewnością na próżno próbowała osłonić sobą dzieci przed pociskami, które już przebijały powierzchnię mulistej rzeki. „Joshua! Alyssa! Chodźcie do mnie!”, wołała, jakby mogła ich ocalić przed tym, co nieuniknione...

Siedzący przy komputerze Annaki Bourne zdał sobie nagle sprawę, że płacze. Łzy płynęły mu z oczu strumieniem, na co od wielu lat sobie nie pozwalał. Otrząsnął się, otarł policzki rękawem i czym prędzej zajął swoim zadaniem, z obawy że się rozmyśli.

Znalazł sposób na obejście ostatniego poziomu zabezpieczeń. Po pięciu minutach od rozpoczęcia tej żmudnej pracy był już zalogowany. Nie czekając, aż znów zawiodą go nerwy, przeszedł do archiwów rejestru zgonów, w polach przeznaczonych na dane wpisał: Dao Webb, Alyssa Webb, Joshua Webb oraz daty śmierci. To moja rodzina, myślał, wpatrując się w te imiona. Prawdziwi, żywi ludzie, którzy śmiali się i płakali, którzy przytulali się i mówili do mnie „kochanie” i „tato”. Gdzie są teraz? Zostały tylko imiona na ekranie komputera. Rekordy w bazie danych.

Serce mu się krajało i poczuł, jak powraca szaleństwo, które opanowało go na wiadomość o ich śmierci. Nie mogą sobie teraz na to pozwolić, pomyślał, to mnie rozprasza. Owładnięty bólem nie do zniesienia, nacisnął w końcu klawisz „Enter”. Teraz nie mógł się już wycofać. „Nigdy się nie wycofuj” - to było jego motto od chwili, gdy zwerbował go Alex Conklin. Zwerbował, by zmienić w innego Davida Webba, a w końcu w Jasona Bourne'a. Więc dlaczego wciąż słyszał ich głosy? „Kochanie, tęskniłam!” „Tato, wróciłeś!”

Pogrążony we wspomnieniach, nie od razu zareagował na to, co zobaczył na ekranie. Gapił się na informację przez kilka minut, nie zdając sobie sprawy z jej potworności.

W końcu ze wszystkimi przerażającymi szczegółami zobaczył to, czego miał nadzieję nigdy nie oglądać. Zdjęcia poszarpanego pociskami ciała ukochanej Dao z groteskowo zniekształconą twarzą. Na drugiej stronie - zdjęcia ciała i główki małej Alyssy jeszcze bardziej zniekształconych z powodu kruchości dziecka. Bourne siedział przed komputerem, sparaliżowany przerażeniem i rozpaczą. Ale musiał pójść dalej. Jeszcze jedna strona. Jeszcze jeden zestaw zdjęć, by dopełniła się jego tragedia.

Przeszedł na trzecią stronę, przygotowując się na widok zdjęć Joshui. Ale żadnych zdjęć nie było.

Zamarł na moment. Najpierw pomyślał, że to błąd komputera, że trafił na inną stronę archiwów. Ale nie, dane się zgadzały: Joshua Webb. Poniżej zobaczył słowa, które wbiły się w jego głowę niczym rozżarzone ostrze. Trzy sztuki odzieży, wymienione poniżej, część jednego buta (bez podeszwy i obcasa) znaleziono dziesięć metrów od ciała Dao i Alyssy Webb. Po godzinie poszukiwań Joshua Webb został uznany za zmarłego. NZC.

NZC. Akronim wojskowy. Nie znaleziono ciała! Bourne'a przeszedł dreszcz. Szukali go przez godzinę - tylko przez godzinę? Czemu mu o tym nie powiedzieli? Złożył w ziemi trzy trumny, rozdarty bólem, żalem i poczuciem winy. A ci skurwiele przez cały czas wiedzieli! Odchylił się na krześle z pobladłą twarzą i drżącymi dłońmi. Ogarnął go niepokonany gniew.

Pomyślał o Joshui... pomyślał o Chanie.

W głowie zapłonęła mu potworna myśl, którą starał się zdusić od momentu, gdy ujrzał posążek Buddy na szyi Chana: a jeśli Chan to naprawdę Joshua? Jeśli jego syn stał się maszyną do zabijania... potworem! Bourne aż za dobrze wiedział, jak łatwo popaść w szaleństwo zabijania w azjatyckiej dżungli. Istniała jednak inna możliwość i tę oczywiście by wołał: spisek mający na celu przekonanie go, że to Joshua, był zakrojony na o wiele szerszą skalę i bardziej skomplikowany, niż Bourne początkowo przypuszczał. A jeśli tak, jeśli rejestr został sfalszowany, wówczas należało przyjąć, że został zorganizowany na najwyższych szczeblach amerykańskich instytucji rządowych. Dziwne, ale głowienie się nad tak dla niego zwyczajnymi teoriami spiskowymi tylko zwiększyło jego poczucie oderwania.

Oczami duszy ujrzał, jak Chan pokazuje posążek Buddy, mówiąc: „Ty mi go dałeś - tak, ty. A potem mnie porzuciłeś, żebym zginął”.

Bourne poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Zerwał się z sofy, przebiegł przez pokój i ignorując ból, wpadł do łazienki, gdzie zwymiotował.

W pomieszczeniu operacyjnym skrytym we wnętrzu centrali CIA oficer dyżurny przed ekranem komputera chwycił za telefon i wykręcił numer. Poczekał chwilę, by usłyszeć mechanicznym głosem wypowiedzianą komendę: „Mów”. Poprosił o połączenie z dyrektorem. Głos dzwoniącego został zanalizowany. Sprawdzono, że odpowiada wzorcowi z listy oficerów dyżurnych. Przełączono rozmowę. Męski głos poprosił go, by zaczekał. W chwilę potem w słuchawce dało się słyszeć mocny baryton Starego.

- Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć, że ktoś uruchomił alarm wewnętrzny. Przeszedł przez wojskowego firewalla i uzyskał dostęp do zapisów rejestru zgonów dotyczących następujących osób: Dao Webb, Alyssa Webb, Joshua Webb.

Krótko, nieprzyjemna chwila ciszy.

- Webb, synu? Jesteś pewien, że Webb?

Nagły niepokój w głosie dyrektora sprawił, że młody oficer aż się spocił z nerwów.

- Tak jest.

- Gdzie znajduje się ten haker?

- W Budapeszcie.

- Alarm zadziałał? Mamy adres IP?

- Tak. Jest. Fo utca numer 106/108.

Dyrektor CIA uśmiechnął się ponuro w swoim biurze. Tak się przypadkiem złożyło, że właśnie przeglądał najnowszy raport Martina Lindrosa. Żabojady przejrzały już wszystko, co pozostało po wypadku, w którym miał zginąć Jason Bourne, i nie znalazły ani śladu ludzkich szczątków. Ani kawałeczka. Nie było zatem dowodu, że Bourne faktycznie nie żyje, mimo naczynego świadectwa oficera Quai d'Orsay. Stary zacisnął pięść i gniewnie uderzył nią w stół. Bourne znów ich zwiódł. A jednakjakoś wcale go to nie zdziwiło. W końcu Bourne'a szkolili najlepszy szpieg, jakiego kiedykolwiek wydała agencja. Ileż to razy Alex Conklin aranżował własną śmierć w terenie... choć chyba nigdy w tak spektakularny sposób.

Oczywiście, myślał Stary, możliwe, że to ktoś inny przeszedł przez fi-rewalla armii amerykańskiej, by dostać się do starych wpisów dotyczących pewnej kobiety i jej dzieci, którzy nie należeli nawet do rodzin wojskowego i których znała tylko mała grupka żyjących osób. Ale czy to prawdopodobne?

Nie, pomyślał z rosnącym podekscytowaniem, Bourne nie zginął w tej eksplozji cysterny na przedmieściach Paryża; przebywał w Budapeszcie -tylko dlaczego właśnie tam? - i w końcu popełnił błąd, który mogli wykorzystać. Dyrektor nie miał pojęcia, czemu Bourne interesował się rejestrem zgonów swoich bliskich, ale też i nie obchodziło go to, poza faktem, że poszukiwania Bourne'a otworzyły furtkę do jego eliminacji.

Chwycił za telefon. Mógłby przydzielić to zadanie podwładnemu, chciał jednak poczuć satysfakcję z osobiście wydanego rozkazu tej eliminacji. Mam cię, sukinsynu, myślał, wybierając numer za oceanem.

Rozdział 20

Jak na miasto założone pod koniec XIX wieku na trasie brytyjskiej linii kolejowej z Mombasy do Ugandy, Nairobi miało przygnębiająco banalną architekturę, złożoną w dużej mierze z wysmukłych nowoczesnych wysokościowców. Miasto leżało na płaskiej równinie sawanny, która przez wiele lat była domem Masajów, zanim przybyła tu zachodnia cywilizacja. Obecnie było to najszybciej rozwijające się miasto w Afryce Wschodniej, co wiązało się ze zwyczajnymi problemami wzrostu: starym i nowym myśleniem, bogactwem i ubóstwem, rozdzielającymi społeczeństwo tak, że aż leciały skry i wszyscy z utęsknieniem wyczekiwali spokoju. Przy wysokim bezrobociu często dochodziło do zamieszek, a po zmroku lepiej było nie wychodzić z domu, zwłaszcza w okolicy parku Uhuru, na zachód od centrum.

Żadna z tych niedogodności nie obchodziła grupy, która właśnie wyjechała z lotniska Wilsona w dwóch opancerzonych limuzynach, mimo że pasażerowie dostrzegali oznaki świadczące o przemocy, widzieli prywatnych strażników patrolujących centrum miasta i obszary położone na zachód od niego, gdzie znajdowały się ministerstwa i ambasady, Latema Road i River Road. Minęli bazar, gdzie obok tanich bawełnianych sukienek i materiałów w plemiennych wzorach można było kupić każdy rodzaj ekwipunku wojskowego, od miotaczy ognia poprzez czołgi aż po ręczne wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze.

Spalko siedział w pierwszej limuzynie, wraz z Hasanem Arsienowem. Za nimi w drugiej jechali Zina oraz Mahomet i Ahmed, dwaj najbardziej doświadczeni przyboczeni Arsienowa. Obaj nie zatroszczyli się, by ogolić gęste, kręcone brody. Nosili tradycyjne czarne szaty i ze zdumieniem spoglądali na zachodnie ubranie Ziny. Uśmiechała się do nich, ciekawa, czy w wyrazie ich twarzy nie nastąpi jakaś zmiana.

- Wszystko gotowe, Szejku - oznajmił Arsienow. - Moi ludzie zostali dokładnie przeszkoleni i przygotowani. Mówią płynnie po islandzku, wykuli na pamięć rozkład pomieszczeń w hotelu i procedury, które przedstawiłeś. Czekają tylko na mój ostateczny rozkaz.

Spalko, patrząc przez okno na tłumy tubylców i cudzoziemców, których zachodzące słońce malowało na czerwono, uśmiechnął się do własnych myśli.

- Czyżbym wyczuwał w twoim głosie nutę sceptycyzmu?

- Jeśli tak - zaproponował szybko Arsienow - to tylko dlatego, że bardzo na to czekamy. Całe życie czekałem na sposobność uwolnienia się spod rosyjskiego jarzma. Mój lud zbyt długo był wyrzutkiem, od stuleci oczekiwał, że zostanie przyjęty do wspólnoty islamskiej.

Spalko obojętnie skinął głową. Dla niego opinia Arsienowa przestała się liczyć, podobnie jak sam Arsienow.

Tego wieczora cała piątka zebrała się w wynajętej przez Spalkę jadalni na najwyższym piętrze hotelu 360 na Kenyatta Avenue. Stamtąd, tak samo jak i z ich pokoi, rozciągał się widok na miasto i Park Narodowy Nairobi, pełen żyraf, antylop gnu, gazel Thompsona, bawołów, nosorożców, lwów i lampartów. Przy jedzeniu nie rozmawiali o interesach i nikt nie mógłby się domyślić, w jakim celu się tu spotkali.

Scena zmieniła się, gdy sprzątnięto po posiłku. Zespół z Humanistas Ltd., który przybył do Nairobi przed nimi, wtoczył do pomieszczenia zestaw komputerowy. Ustawiono ekran i Spalko uruchomił prezentację w programie Powerpoint, ukazującą wybrzeże Islandii, Reykjavik i jego okolice, widok z lotu ptaka na hotel Oskjuhlid oraz zdjęcia hotelu z zewnątrz i od wewnątrz.

- System klimatyzacji, jak widzicie tu i tu, został wyposażony w najnowocześniejsze czujniki ruchu oraz wykrywacze ciepła działające w podczerwieni - powiedział. - Tu mamy

panel sterowania, który, jak każdy system w hotelu, wyposażono w odrębny obwód elektryczny i zabezpieczenie zasilane bateriami.

Następnie szczegółowo omówił plan, od momentu przybycia do hotelu, do chwili opuszczenia budynku. Wszystko było zaplanowane, wszystko gotowe.

- Jutro o wschodzie słońca- oznajmił, wstając. Inni też wstali. – La illaha ill Allah.
- La illaha ill Allah - odpowiedzieli poważnym chórem pozostali.

Tej samej nocy Spalko leżał w łóżko i palił papierosa. Mimo iż w pokoju paliła się jedna lampa, widział mieniące się światła miasta i drzewiastą ciemność położonego dalej parku safari. Można by sądzić, że rozmyślał, w rzeczywistości jednak tylko oczyszczał umysł. Czekał.

Ahmed słyszał odległe ryki zwierząt. Usiadł na łóżku, przecierając oczy. Zwykle spał twardym snem i teraz nie bardzo wiedział, co robić. Znow się położył i leżał nieruchomo przez jakiś czas, ale bicie serca nie dawało mu zasnąć i nie pozwalało zmrużyć oczu.

Przez jakiś czas myślał o nadchodzącym dniu i obietnicy, jaką niósł ze sobą ten dzień. Niech będzie wolą Allaha, by był to dla nas nowy początek, modlił się.

Westchnął, znow usiadł na łóżku, zwiesiwszy nogi nad podłogą, wreszcie wstał. Włożył dżinsy i koszulkę, zastanawiając się, czy kiedyś do nich przywyknie. Da Allah, że nie.

Otworzył drzwi pokoju i zobaczył w korytarzu Zinę. Szła z dziwną gracją, bezszelestnie, prowokująco kołysząc biodrami. Kiedy przeszła obok niego, oblizal wargi i wciągnął w nozdrza jej zapach.

Wyjrzał zza drzwi. Zastanawiał się, dokąd zmierza - szła w kierunku przeciwnym niż jej pokój. Po chwili znał już odpowiedź. Otworzył szeroko oczy, widząc, jak cicho puka do drzwi pokoju Szejka, które otwierają się natychmiast. Może Szejk wezwał ją, by ukarać za brak dyscypliny, który umknął uwagi Ahmeda?

Potem jednak usłyszał, jak Zina mówi tonem, którego nigdy u niej nie słyszał: „Hasan śpi”. Wtedy zrozumiał wszystko.

Spalko usłyszał ciche pukanie, odwrócił się, by zgasić papierosa, po czym wstał, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. W korytarzu stała Zina.

- Hasan śpi - oznajmiła, jakby musiała wyjaśniać swoją obecność.

Bez słowa cofnął się, żeby weszła. Cicho zamknęła za sobą drzwi. Chwycił ją i rzucił na łóżko. Kilka chwil później krzyczała już z rozkoszy, oddając mu swe nagie ciało. Uprawiali miłość z taką dzikością, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata. A kiedy zdawało się, że już jest po wszystkim, położyła się u jego boku, głaszcząc go, pieszcząc i szepcząc mu do ucha najskrytsze pragnienia w tak wyrazistych słowach, aż w końcu, rozpalony, wziął ją znowu.

Później położyła się w jego objęciach, z jej półotwartych ust unosił się dym papierosa. Było ciemno, oświetlały ich tylko światła mrugające w nocnym Nairobi, i Zina zaczęła szeptać. Od kiedy dotknął jej po raz pierwszy, pragnęła go poznać. Nic nie wiedziała o jego przeszłości - chyba nikt o niej nie wiedział. Gdyby z nią porozmawiał, gdyby odkrył przed nią swe sekrety, wiedziałaby, że związał się z nią równie mocno, jak ona z nim.

Powiodła opuszką palca od jego ucha do nienaturalnie gładkiej skóry policzka.

- Powiedz mi, co się stało.

Spojrzenie Spalki z wolna odzyskiwało ostrość.

- To było dawno.

- Więc tym bardziej powinieneś mi opowiedzieć.

Odwrócił głowę i popatrzył jej w oczy.

- *Naprawdę chcesz wiedzieć?*
- *Tak, bardzo.*
Westchnął.
- *Mieszkałem wtedy z moim młodszym bratem w Moskwie. Zawsze pakował się w kłopoty przez swój nałóg.*
- *Narkotyki?*
- *Chwała Allahowi, nie. Po prostu był hazardzistą. Nie mógł się po wstrzymać przed robieniem zakładów, nawet wówczas, gdy skończyły mu się pieniądze. Pożyczał je ode mnie, a ja oczywiście zawsze mu coś dawałem, bo wymyślał różne historyjki, a ja bardzo chciałem w nie wierzyć. Obrócił się na bok, wyjął papierosa i zapalił.*
- *W końcu nadszedł czas, kiedy jego opowieści stały się mniej wiarygodne, a może to ja przestałem mu wierzyć. W każdym razie powiedziałem „dość”, wierząc naiwnie, jak się później okazało, że przestanie. - Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym. - Ale nie przestał. Jak myślisz, co zrobił? Zwrócił się do ludzi, do których za żadne skarby nie powinien się zwracać, bo tylko oni chcieli pożyczać mu pieniądze.*
- *Mafia.*
- *Oczywiście - potaknął. - Wziął od nich pieniądze, wiedząc, że jeśli przegra, nigdy im nic nie odda. Wiedział, co mu zrobią, ale nie mógł się powstrzymać. Postawił i, jak niemal zawsze, przegrał.*
- *No i...?*
- *Czekali, aż im odda, a gdy tego nie zrobił, przyszli po niego.*
Spalko zapatrzył się w żar papierosa. Okna były otwarte. Pośród dalekich odgłosów ulicy i szelestu palmowych liści od czasu do czasu dały się słyszeć ryki zwierząt.
- *Na początku tylko go pobili - powiedział niemal szeptem. - Nie byli zbyt groźni, bo wierzyli jeszcze, że przyniesie im tę forszę. Kiedy przekonali się, że nie ma nic, zastrzelili go na ulicy jak psa.*
Skończył papierosa, ale niedopalek dalej żarzył mu się w palcach. Wydawało się, że o nim zapomniał. Zina milczała, czekała na dalszy ciąg.
- *Minęło pół roku - podjął Spalko, rzucając niedopalek za okno. - Zrobiłem, co do mnie należało, opłaciłem, kogo trzeba, i w końcu dostałem swoją szansę. Mafioso, który rozkazał zabić mego brata, co tydzień chodził do fryzjera w hotelu Metropol.*
- *Nie mów mi - przerwała Zina - że przebrałeś się za fryzjera i gdy usiadł w fotelu, podciąłeś mu gardło brzytwą.*
Patrzył na nią przez chwilę i w końcu wybuchnął śmiechem.
- *Dobre! Jak w filmie. - Potrząsnął głową - W rzeczywistości nie mogłoby się udać. Facet korzystał z usług tego samego fryzjera od piętnastu lat i w życiu nie zgodziłby się na nikogo innego. - Pochylił się i pocałował ją w usta. - Nie bądź rozczarowana, tylko wyciągnij z tego naukę. - Przytulił ją mocniej do siebie. Gdzieś w parku zaryczał lampart. - Nie, poczekałem, aż go ogolą i ostrzygą, aż się odpręży pod czulą opieką. Czekałem na ulicy przed hotelem, w miejscu tak zatłoczonego, że wybrałby je tylko szaleniec. Kiedy nadszedł, zastrzeliłem i jego, i jego goryli.*
- *A potem udało ci się uciec.*
- *W pewnym sensie. Wtedy tak, ale sześć miesięcy później, w innym mieście... w innym państwie rzucono we mnie z przejeżdżającego samochodu koktajlem Mołotowa.*
Dotknęła palcami zrekonstruowanej skóry jego twarzy.
- *Podobasz mi się taki niedoskonały. Ból, jaki zniosłeś, czyni cię... heroicznym.*
Spalko nie odpowiedział, a po pewnym czasie usłyszał, jak jej oddech staje się głębszy. Zapadła w sen. Oczywiście nie powiedział ani słowa prawdy, ale musiał przyznać, że wymyślił niezłą historię - rzeczywiście jak w kinie! A prawda? Niemal jej już nie pamiętał - tyle czasu poświęcił na konstruowanie swojej legendy, że czasem sam się w niej gubił. Nigdy nikomu nie

wyjawi prawdy, bo utraciłby wówczas przewagę. Gdy ludzie cię znają, myślą, że jesteś ich własnością, że prawda, którą podzieliłeś się w chwili słabości, zwanej intymnością, zwiąże cię z nimi.

Pod tym względem Zina nie różniła się od reszty; poczuł w ustach gorzki smak rozczarowania. Ale w końcu inni ludzie zawsze go rozczarowywali. Po prostu nie należeli do jego sfery, nie pojmowali niuansów tego świata tak jak on.

Bywali zabawni - lecz tylko przez chwilę. Z tą myślą zapadł w otchłań głębokiego, spokojnego snu. Kiedy się obudził, Ziny już nie było, wróciła do niczego niepodważającego Hasana Arsienowa.

O świcie, po lekkim śniadaniu, wsiedli w piątkę do range-roverów dostarczonych i kierowanych przez członków zespołu Humanistas, i pojechali na południe, ku brudnym slumsom rosnącym niczym ropiejący wrzód na ciele Nairobi. Nikt się nie odzywał, jakby przygniotło ich, nawet Spalkę, rosnące napięcie.

Choć ranek był pogodny, nad slumsami zawisła mgła toksycznych oparów, stanowiąca wyraźny dowód braku urządzeń sanitarnych i wciąż krążącego widma cholery. Stały tu rozklekotane chatynki z blachy i kartonu, drewniane szopy i betonowe bloki, które można by wziąć za bunkry, gdyby nie wywieszane na sznurkach pranie, łopoczące na wietrze. Były też hałdy świeżej ziemi, których zagadka wyjaśniła się dopiero, gdy ujrzeli zwęglone szczątki domostw strawionych przez ogień, buty ze spalonymi podeszwami i strzępy błękitnej sukienki. Tych kilka przedmiotów było świadectwem żalostnego ubóstwa doskwierającego ludziom. Życie tu - czy raczej wegetacja - było niewyobrażalnie chaotyczne i ponure. Nawet w świetle poranka w slumsach zdaje się panować mrok. Wisi nad nimi jakieś fatum, przywodzące na myśl bazar, czaraorynkowa natura ekonomii miasta, która w jakiś sposób odpowiadała za ponury krajobraz przesuwający się za oknami wolno jadących samochodów. Spowalniały ich tłumy ludzi wylewające się z wyboistych przejść i chodników na żłobione koleinami jezdnie. Nie było tu sygnalizacji świetlnej - a nawet gdyby była, i tak nie ominęliby hord cuchnących żebraków i handlarzy oferujących swoje żalostne towary.

Wreszcie znaleźli się mniej więcej w środku slumsów i weszli do cuchnących jeszcze dymem zgłiszczy piętrowego domu. Podłogę pokrywał popiół, biały niczym zmielone na proszek kości. Kierowcy wnieśli dwa kufry ze sprzętem.

W kufrach znaleźli wyposażone w aparaty tlenowe srebrzyste kombinezony, które Spalko kazał im włożyć. Następnie wyjął NX 20 z futerału znajdującego się w jednej ze skrzyń i starannie złożył urządzenie. Czeczeni przypatrywali się uważnie. Podał je Hasanowi Arsienowowi, a sam wydobyl małe, ale ciężkie pudełko, które dał mu doktor Peter Sido. Otworzył je ostrożnie. Wszyscy zobaczyli fiolkę z gazem, małą, a jednak tak zabójczą. Zwolnili oddech, jakby już bojąc się zaczerpnąć powietrza.

Spalko kazał Arsienowowi trzymać NX 20 na wyciągnięcie ręki. Otworzył tytanowy panel u góry urządzenia i umieścił fiolkę w komorze ładowniczej. Wyjaśnił, że z NX 20 nie można jeszcze strzelać. Doktor Schiffer wbudował w urządzenie szereg zabezpieczeń chroniących przed przypadkowym lub przedwczesnym rozpyleniem. Pokazał im uszczelniającą blokadę, która uruchomi się po zamknięciu i zabezpieczeniu górnego panelu. Mówiąc to, zamknął go, odebrał NX 20 Arsienowowi i poprowadził ich na schody, które oparły się działaniu ognia tylko dlatego, że odlano je z betonu.

Weszli na piętro i zgromadzili się przy oknie. Szyby, jak cały budynek, uległy zniszczeniu, została tylko rama. Przez nią widzieli głodnych i chorych ludzi. Bzyczały muchy, kulawy pies przysiadł na tylnych łapach i załatwiał się na środku targowiska, gdzie w pyle i brudzie rozkładano używane rzeczy. Nagie dziecko z płaczem biegło po ulicy. Zgarbiona stara kobieta chrząknęła i splunęła na chodnik.

Wszystko to umykało uwagi ludzi zgromadzonych przy oknie. Śledzili każdy ruch Spalki, chłonęli każde jego słowo. Matematyczna precyzja, z jaką działała broń, była jak magiczne zaklęcie rozpraszające ich obawy.

Spalko pokazał im dwa spusty, w jakie wyposażono NX 20. Mniejszy umieszczony tuż przed większym. Mniejszy, jak objaśnił, wyrzucał ładunek z komory ładowniczej do strzelniczej. Następnie uszczelniało się ją, naciskając przycisk z lewej strony broni - i NX 20 był gotowy do strzału. Spalko nacisnął mały spust, potem przycisk i poczuł, jak broń lekko drży, jakby zwiastując nadchodzącą śmierć.

Tępo zakończona lufa urządzenia była nieestetyczna, ale praktyczna. W odróżnieniu od broni konwencjonalnych, NX 20 nie wymagał starannego celowania. Spalko wystawił lufę przez okno. Wstrzymali oddechy, patrząc, jak kładzie palec na większym spuście.

Życie na zewnątrz biegło na swój chaotyczny sposób. Młody człowiek trzymał pod brodą miskę z kleikiem kukurydzianym, wybierając papkę dwoma palcami na oczach śledzącej każdy jego ruch grupy wygłodniałych ludzi. Przejechała niesamowicie chuda dziewczyna na rowerze. Kilku bezzębnych mężczyzn gapiło się na kupę ziemi, jakby próbując z niej odczytać smutną historię swego życia.

Bezpieczni w swoich skafandrach, usłyszeli tylko cichy syk. Nic innego nie świadczyło o rozpyleniu substancji, dokładnie tak, jak to opisał doktor Schiffer.

W napięciu obserwowali ulicę, sekundy wlokły się niemiłosiernie. Każdy zmysł był wyczulony. Słyszeli, jak puls dudni im w uszach, czuli ciężkie bicie serca. Wstrzymali oddech.

Według doktora Schiffera pierwsze oznaki działania rozpylacza powinno się zauważyć w ciągu trzech minut. Była to jedna z ostatnich rzeczy, jakie powiedział, nim Spalko i Zina rzucili jego ciało, z którego już niemal uszło życie, w głąb labiryntu.

Spalko, który do tej pory śledził wskazówkę sekundnika na zegarku, po trzech minutach podniósł wzrok. Zdębiał. Kilkunastu ludzi padło na ziemię, nim zabrzmiał pierwszy krzyk. Szybko zresztą ucichł, ale inne głosy podjęły zawołanie, zanim ci, co je wydali, upadli na ulicę, wijąc się z bólu. Śmierć rozprzestrzeniała się jakby po spirali, niosąc ze sobą chaos i ciszę. Nie było przed nią kryjówek, nie było ucieczki, nie umknął jej nikt, nawet ci, którzy zerwali się do ucieczki.

Spalko skinął na Czeczenów, żeby zeszli za nim po betonowych schodach. Kierowcy czekali w pogotowiu. Spalko rozłożył NX 20. Schował rozpylacz, zamknęli kufry i zanieśli je do range-roverów.

Cała drużyna przeszła się po okolicy- cztery przecznice w każdą stronę. Wszędzie było tak samo, martwi i umierający. Wrócili do pojazdów z poczuciem triumfu. Kierowcy ruszyli, gdy tylko wszyscy wsiedli. Objechali obszar o promieniu kilometra - doktor Schiffer powiedział Spalce, że taki właśnie jest zasięg rozpylacza NX 20 - i Spalko z zadowoleniem stwierdził, że nie kłamał.

Zastanawiał się, ilu ludzi umrze w ciągu godziny, zanim ładunek przestanie działać. Przesłał liczyć ciała, gdy doszedł do tysiąca, ale przypuszczał, że ostatecznie będzie ich trzykrotnie więcej - może nawet pięciokrotnie.

Przed opuszczeniem umarłego miasta kazał kierowcom wznieść pożar. Płomienie szybko wspięły się pod niebo.

Ogień zniszczy ślady wydarzeń dzisiejszego ranka. Nikt nie może się o nich dowiedzieć, przynajmniej dopóki nie zakończą misji w Reykjaviku.

Zostało tylko czterdzieści osiem godzin, myślał uradowany Spalko. Już nic nas nie powstrzyma.

Teraz świat należy do mnie.

Część 3

Rozdział 21

To może być krwotok wewnętrzny - oznajmiła Annaka, spoglądając znowu na paskudną opuchliznę na boku Bourne'a. - Musimy cię zabrać do szpitala.

- Chyba żartujesz - mruknął. Rzeczywiście, ból się nasilił; gdy oddychał, czuł, jakby wgnieciono mu kilka żeber, ale o wizycie w szpitalu nie było mowy, przecież był poszukiwany.

- No dobrze - zgodziła się. - Jedziemy do lekarza. - Uniosła rękę, nim zdążył zaprotestować. - To przyjaciel rodziny, bardzo dyskretny. Ojciec często korzystał z jego porad.

Bourne potrząsnął głową.

- Możesz pójść do apteki, ale to wszystko.

Bojąc się, że zmieni zdanie, Annaka chwyciła płaszcz i torebkę i obiecała szybko wrócić.

Właściwie ucieszył się, że nie ma jej przez chwilę. Chciał zostać sam na sam ze swymi myślami, skulił się na sofie i przykrył koldrą. Miał zamęt w głowie. Był przekonany, że kluczem do wszystkiego jest doktor Schiffer. Musi go znaleźć, żeby dotrzeć do osoby, która zleciła zabicie Aleksa i Mo, i która go wrobiła. Problem w tym, że nie zostało mu wiele czasu. Schiffer zaginął już jakiś czas temu, Molnar nie żył od dwóch dni. Jeśli, jak się obawiał, podczas przesłuchania ujawnił miejsce, w którym przebywa Schiffer, należało założyć, że doktor jest już w rękach wroga. A to znaczyło, że ten wróg ma już w rękach wynalazek Schifferra - jakiś rodzaj broni biologicznej o nazwie kodowej NX 20 na wzmiankę o której tak gwałtownie zareagował Leonard Fine, kontakt Conklina.

Ale kim jest ten wróg? Jedyne osobę, o której słyszał, to Stiepan Spalko, szanowany powszechnie filantrop. Według Chana to właśnie Spalko zlecił zabójstwo Aleksa i Mo, i wrobił w nie Bourne'a. Chan mógł jednak kłamać. W końcu chciał dorwać Spalkę z siebie tylko wiadomych powodów.

Chan!

Sama myśl o nim sprawiła, że w sercu Bourne'a wezbrały niechciane emocje. Z trudem skoncentrował swój gniew na amerykańskim rządzie. Okłamali go, uczestniczyli w zмовie, której celem było ukryć przed nim prawdę. Dlaczego? Co chcieli ukryć? Czy uważali, że Joshua mógł przeżyć? A jeśli tak, to dlaczego nie chcieli, żeby Bourne się o tym dowiedział? Co zamierzali? Objął głowę rękami. Coś dziwnego działo się z jego oczami - rzeczy, które w jednej chwili wydawały się bliskie, w następnej się oddalały. Pomyślał, że traci rozum. Z nieartykułowanym krzykiem zrzucił z siebie koldrę, zerwał się z sofy i nie bacząc na ukłucia bólu w boku, skoczył do kurtki, pod którą ukrył ceramiczny pistolet. Wziął go do ręki. W odróżnieniu od stalowej broni pistolet był lekki jak piórko. Trzymając za kolbę, zgiął palec na spuście. Wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, jakby chciał siłą woli przywołać wojskowych oficjeli, odpowiedzialnych za ukrycie przed nim faktu, że nigdy nie odnaleziono ciała Joshui, za to zdecydowano, że najprościej będzie ogłosić, iż został zabity, choć nie wiedzieli tego na pewno.

Ból narastał, każdy oddech wywoływał potworny spazm. Musiał wrócić na sofę i przykryć koldrą. Znowu w ciszy mieszkania, nieproszona, pojawiła się myśl: a jeśli Chan mówił prawdę, jeśli jest Joshua? I niezmiennie przerażająca odpowiedź: jeśli tak, to jego syn jest zabójcą, brutalnym mordercą bez wyrzutów sumienia, bez poczucia winy, bez jakichkolwiek ludzkich uczuć.

Jason Bourne opuścił głowę z rozpaczą, jakiej nie zaznał jeszcze nigdy od czasu, gdy stworzył go Alex Conklin.

Kiedy Kevinowi McCollowi przekazano rozkaz wyeliminowania Bourne'a, leżał właśnie na Ilonie, młodej Węgierce, atletycznej, dobrze zbudowanej i pozbawionej zahamowań. Potrafiła wyprawiać niesamowite rzeczy z nogami i robiła je właśnie w chwili, gdy zadzwonił telefon.

Tak się złożyło, że znajdowali się w tureckiej łaźni Kiralya na Fo utca. Była sobota - dzień dla kobiet - więc Ilona musiała przemycić go do środka. To jednak tylko podnieciło go jeszcze bardziej. Jak każdy w jego sytuacji, szybko przywykł do życia ponad prawem - a nawet do bycia prawem.

Z pomrukiem niezadowolenia wydostał się z jej objęć i sięgnął po komórkę. Nie było mowy, by nie odebrać telefonu - kiedy dzwonił, oznaczało to zlecenie. Bez słowa wysłuchał, co ma do powiedzenia dyrektor CIA. Musiał ruszać. Zlecenie było pilne, a cel w zasięgu ręki.

Tęsknie spoglądając na błyszczące od potu ciało Ilony skąpane w delikatnym świetle odbitym od mozaikowych kafelków, zaczął się ubierać. Był postawnym mężczyzną o płaskiej, niewzruszonej twarzy. Jego obsesją była siłownia, i to było widać. Muskuly grały przy każdym ruchu.

- Jeszcze nie skończyłam - zaprotestowała Ilona, pożerając go spojrzeniem ogromnych ciemnych oczu.

- Ani ja - stwierdził McColl, wychodząc.

Na pasach startowych portu lotniczego Nelsona w Nairobi stały dwa odrzutowce. Oba należały do Stiepana Spalki. Na obu widniało logo Humanistas Ltd. Pierwszym Spalko przyjechał z Budapesztu, drugi przywiózł ludzi z zespołu Humanistas, którzy teraz przesiedli się do odrzutowca szefa, wracającego do Budapesztu. Ich samolot miał zabrać Arsienowa i Zinę do Islandii, gdzie spotkają się z resztą terrorystów przybyłych z Czeczenii przez Helsinki.

Spalko patrzył na Arsienowa, Zina stała krok z tyłu, za czeczeńskim przywódcą, co Arsienow mógł brać za objaw szacunku, i pożerała Szejka wzrokiem.

- Dotrzymałeś obietnicy, Szejku - powiedział Arsienow. - Ta broń na pewno przyniesie nam zwycięstwo w Reykjaviku.

- Wkrótce otrzymacie wszystko, co się wam należy - przytaknął Spalko.

- Nasza wdzięczność nie ma granic.

- Nie doceniasz własnych zasług, Hasanie. - Spalko otworzył skórzaną aktówkę. - Tu są wasze paszporty, identyfikatory, mapy, diagramy, najnowsze zdjęcia... wszystko, czego potrzebujecie. - Wręczył Arsienowi zawartość teczek. - Spotkanie z łodzią jutro o trzeciej. - Zmierzył go wzrokiem. - Niech Allah doda wam siły i odwagi. Niech kieruje waszą zbrojną pięścią.

Kiedy Arsienow się odwrócił, zajęty cennym ładunkiem, odezwała się Zina.

- Oby nasze następne spotkanie było początkiem wielkiej przyszłości, Szejku.

Spalko uśmiechnął się.

- Przeszłość umrze - stwierdził, a jego oczy mówiły znacznie więcej - aby ustąpić miejsca wspaniałej przyszłości.

Zina zaśmiała się cicho i podążyła za Arsienowem wchodzącym po trapie na pokład samolotu.

Spalko patrzył, jak zamykają się za nimi drzwi, po czym ruszył do swojego odrzutowca. Wyciągnął komórkę, wybrał numer, a kiedy usłyszał znajomy głos, rzucił bez wstępów:

- Bourne'owi za dobrze idzie. Nie mogę sobie pozwolić, żeby Chan zabił go na oczach świadków... tak, wiem, jeśli w ogóle ma zamiar to zrobić. Chan to intrygujący osobnik, zagadka, której nigdy nie rozwiklałem, ale teraz, gdy stał się nieprzewidywalny, muszę założyć, że postępuje według własnego planu. Jeśli Bourne umrze, Chan przepadnie jak kamień w wodę i nawet ja go nie odzyskam. Nic nie może zakłócić tego, co stanie się za dwa dni. Czy

wyrażam się jasno? Dobrze. Teraz słuchaj. Jest tylko jeden sposób, żeby zneutralizować ich obu.

Łut szczęścia sprawił, że mieszkanie Annaki Vadas znajdowało się zaledwie cztery przecznice na północ od łaźni. Co więcej, McColl otrzymał nie tylko jej dane, ale i zdjęcie w postaci pliku JPG, który pobrał na telefon. Bez trudu ją rozpoznał, kiedy wyszła z domu przy Fo utca 106/108. Zachwycił go jej uroda i pewny krok, patrzył, jak chowa telefon komórkowy, otwiera drzwi niebieskiej skody i siada za kierownicą.

Annaka już miała włożyć kluczyk do stacyjki, gdy z tylnego siedzenia podniósł się Chan.

- Powinienem powiedzieć o wszystkim Bourne'owi - stwierdził.

Nie odwróciła się - dobrze ją wyszkolono. Patrząc na niego w lusterku, rzuciła krótko:

- Niby o czym? Nic nie wiesz.

- Wiem wystarczająco dużo. Wiem, że to ty sprowadziłaś policję do mieszkania Molnara. Wiem też, dlaczego to zrobiłaś. Bourne był zbyt blisko, prawda? Prawie się dowiedział, że to Spalko go wrobił. Powiedziałem mu o tym, ale wygląda na to, że nie wierzy w nic, co mówię.

- A czemu miałby wierzyć? Nie jesteś dla niego wiarygodny. Przekonał sam siebie, że stanowisz część rozległego spisku, którego celem jest manipulowanie nim.

Chan złapał w żelazny uchwyt jej rękę, gdy sięgnęła do torebki.

- Nie rób tego. - Zabrał torebkę i wyjął z niej pistolet. - Już raz próbowałaś mnie zabić, ale drugiej szansy nie dostaniesz.

Patrzyła na odbicie jego twarzy, próbując odczytać z niej emocje.

- Myślisz, że okłamuję Jasona co do ciebie, ale tak nie jest.

- Ciekawe - powiedział, ignorując jej słowa - jak go przekonałaś, że kochałaś ojca. Przecież w rzeczywistości go nienawidziłaś.

Siedziała w milczeniu, oddychając powoli i zbierając myśli. Wiedziała, że jest w straszliwym niebezpieczeństwie, i zastanawiała się, jak się z niego wydobyć.

- Musiałaś się ucieszyć, gdy go zastrzelili - ciągnął Chan - choć, o ile cię znam, żałowałaś, że nie zrobiłaś tego sama.

- Jeśli chcesz mnie zabić, zrób to od razu i oszczędź mi tej gadaniny.

Ruchem kobry wychylił się do przodu i chwycił ją za gardło. Nareszcie się przestraszyła, a przecież o to od początku mu chodziło.

- Nie zamierzam ci niczego oszczędzać, Annako. Czy ty oszczędziłaś mi cegokolwiek, kiedy mogłaś to zrobić?

- Nie myślałam, że muszę się z tobą cackać.

- W ogóle rzadko myślałaś o mnie, gdy byliśmy razem - stwierdził.

Obdarzyła go zimnym uśmiechem.

- Ależ myślałam o tobie nieustannie.

- A każdą z tych myśli powtarzałaś Stiepanowi Spalce. - Mocniej zacisnął dłoń na jej gardle. - Prawda?

- Po co pytasz, skoro znasz odpowiedź? - Z trudem łapała powietrze.

- Jak długo ze mną pogrywał?

Annaka na moment zamknęła oczy.

- Od początku.

Chan zazgrzytał zębami ze złości.

- Na czym polega ta gra? Czego ode mnie chce?

- Tego nie wiem. - Wydała z siebie świszczący odgłos, bo ścisnął ją tak mocno, że odciął

dopływ powietrza do tchawicy. Gdy rozluźnił uścisk, dodała ciekawym głosem: - *Rań mnie, ile chcesz, i tak dostaniesz tę samą odpowiedź, bo taka jest prawda.*

- *Prawda! - Roześmiał się szyderczo. - Nie poznałabyś prawdy, nawet patrząc jej prosto w oczy. - Jednak uwierzył jej. Zbrzydziła go jej bezytyteczność. - Co masz zrobić z Bourne'em?*

- *Trzymać go z dala od Stiepana.*

Kiwnął głową, przypominając sobie rozmowę ze Spalką.

- *To ma sens.*

Kłamstwo łatwo przeszło jej przez usta. Zabrzmiało wiarygodnie nie tylko dlatego, że miała lata praktyki, ale i dlatego, że do czasu ostatniego telefonu od Spalki taka właśnie była prawda. Teraz jednak plany Spalki się zmieniły. Oceniała, że to, co powiedziała Chanowi, przysłuży się temu nowemu celowi. Może ich spotkanie okaże się w końcu owocne, pod warunkiem że wyjdzie z niego żywa.

- *Gdzie jest teraz Spalko? - zapytał. - W Budapeszcie?*

- *Wraca właśnie z Nairobi.*

- *A co robił w Nairobi? - spytał zaskoczony Chan.*

Zaśmiała się, ale jego ręce nadal boleśnie wbijały się jej w gardło i zabrzmiało to jak suchy kaszel.

- *Naprawdę myślisz, że by mi powiedział? Chyba wiesz, jaki jest tajemniczy.*

Przysunął usta do jej ucha.

- *Wiem, jacy tajemniczy byliśmy my, Annako... tyle że nagle okazało się, że to żadna tajemnica, prawda?*

Popatrzyła mu w oczy - w lustrze.

- *Nie mówiłam mu wszystkiego. - Dziwnie było nie móc spojrzeć mu w twarz. - Niektóre sprawy zachowałam dla siebie.*

Chan skrzywił pogardliwie usta.

- *Chyba nie chcesz, żebym w to uwierzył.*

- *Wierz, w co chcesz - odparła beznamiętnie - przecież zawsze tak robiłeś.*

Znów nią potrząsnął.

- *O co ci chodzi?*

Złapała oddech i zagryzła dolną wargę.

- *Nie rozumiałam, jak bardzo nienawidzę swojego ojca, póki nie zaczęłam przebywać w twoim towarzystwie. - Połuźnił uścisk. Spazmatycznie przelknęła ślinę. - Ty, ze swoją niezmienną wrogością wobec twojego ojca, oświeciłeś mnie. Pokazałeś mi, jak cierpliwie czekać, rozkoszując się myślą o zemście. Masz rację, kiedy go zastrzelono, żałowałam, że sama tego nie zrobiłam.*

Jej słowa wprawiły go w osłupienie. Jeszcze przed chwilą nie zdawał sobie sprawy, że tak bardzo się przed nią odsłaniał. Poczul wstyd i urazę. Zdołała wślizgnąć się podstępnie w jego życie, a on niczego nie zauważył.

- *Byliście razem przez rok - stwierdził. - Dla ludzi takich jak my to całe życie.*

- *Trzydzieści miesięcy, dwadzieścia jeden dni i sześć godzin - sprecyzowała. - Pamiętam dokładnie moment, w którym cię rzuciłam, bo właśnie wtedy zrozumiałam, że nie mogę cię kontrolować, tak jak tego chciał Stiepan.*

- *Czemu? - zapytał od niechcienia.*

Znów spojrzała mu w oczy i nie spuściła wzroku.

- *Bo kiedy byłam z tobą, nie potrafiłam już kontrolować siebie samej.*

Mówiła prawdę, czy znowu go zwodziła? Chan, tak pewien wszystkiego, nim w jego życie wkroczył Jason Bourne, nie wiedział. Znów poczul się zawstydzony i rozżalony zarazem - a nawet trochę przestraszony, że zawodziły go zdolności obserwacji i instynkt, którym tak się szczycił. Mimo starań jego postrzeganie zostało zakłócone przez emocje, rozprze-strzeniające się w nim niczym trujący opar zaciemniający osąd. Czuł, że pożąda jej jak nigdy

dotąd. Pragnął jej tak bardzo, że nie mógł się powstrzymać, i przycisnął usta do cudownej skóry jej karku.

Robiąc to, przegapił cień, który nagle padł na wnętrze skody. Annaka spostrzegła go jednak i odwróciwszy wzrok, zobaczyła krzepkiego Amerykanina, który szarpnięciem otworzył tylne drzwi i kolbą pistoletu uderzył Chana w tył głowy

Chan rozluźnił uścisk, jego ręka opadła, a on sam nieprzytomny osunął się na siedzenie.

- Witam, pani Vadas - powiedział Amerykanin nienagannym węgierskim. Uśmiechnął się, zgarniając wielką dłonią jej pistolet. - Nazywam się McColl, ale proszę mówić do mnie Kevin.

Zina śniła o pomarańczowym niebie, pod którym współczesna horda -armia Czeczenów z rozpylaczami NX 20 - zesła z Kaukazu na stepy Rosji, by siać spustoszenie wśród swych prześladowców. Ale siła eksperymentu Spalki była tak wielka, że cofnęła ją w czasie. Znow była dzieckiem, siedziała w nędznej chalupie rodziców. Matka spojrzała na nią z bólem i powiedziała: „Nie mogę wstać. Nawet po wodę. Już dłużej nie mogę...”

Ktoś musiał dbać o rodzinę. Zina miała wtedy piętnaście lat. Była najstarsza z czwórki dzieci. Kiedy przybył dziadek - teść matki - zabrał ze sobą tylko jej brata Kantiego, dziedzica klanu. Innych - w tym jego synów - albo zabito, albo wysłano do obozów w Pobiedienskoje i Krasnej Turbinie.

Zina przejęła obowiązki matki; zbierała złom i przynosiła wodę, ale w nocy, mimo zmęczenia, sen nie nadchodził. Nawiedzała ją wizja zapłakanej twarzy Kantiego, przerażonego, że musi opuścić rodzinę, zostawić wszystko, co zna.

Trzy razy w tygodniu szła przez pola pełne min przeciwpiechotnych, by zobaczyć Kantiego, ucałować jego blade policzki i przekazać mu wieści z domu. Któregoś dnia znalazła tylko ciało dziadka. Po Kantim nie było śladu. Wkroczyły rosyjskie siły specjalne, zabiły jej dziadka i zabrały brata do Krasnej Turbinie.

Przez następne pół roku próbowała dowiedzieć się czegoś o Kantim, ale była wtedy zbyt młoda i niedoświadczona, poza tym nie miała pieniędzy, nie mogła więc znaleźć nikogo chętnego do rozmowy. Trzy lata później matka zmarła, siostry znalazły się w sierocińcach, a ona dołączyła do rebeliantów. Nie wybrała łatwej drogi - musiała znosić groźby mężczyzn, nauczyć się pokory, a nawet służalczości, zidentyfikować swoje, jak wówczas myślała, skromne przymioty i oszczędnie nimi gospodarować. Jednak wyjątkowy spryt szybko jej pozwolił odkryć, jak grać w tę grę. W odróżnieniu od mężczyzn, którzy awansowali dzięki strachowi, jaki budzili, musiała używać w tym celu wrodzonych atutów. Przez rok znosiła trudy oddawania się kolejnym opiekunom, aż w końcu przekonała jednego z nich, by przypuścił nocny szturm na obóz w Krasnej Turbinie.

Tylko dlatego dołączyła do rebeliantów i przeszła przez całe to piekło, a jednocześnie bała się tego, co może tam znaleźć. Ale nie znalazła niczego, żadnego śladu miejsca pobytu brata, jakby Kanti w ogóle nie istniał...

Obudziła się, z trudem łapiąc powietrze. Rozejrzała i przypominała sobie, że leci samolotem Spalki na Islandię. Oczami duszy, wciąż na wpół pogrążona w śnie, widziała załzawioną twarz Kantiego i czuła gryzący smród ługu dobywający się z dołów na zwłoki w Krasnej Turbinie. Opuściła głowę. Niepewność ją dobijała. Gdyby wiedziała, że jej brat nie żyje, może zdławiłaby w sobie poczucie winy, ale jeśli jakimś cudem przeżył, do końca życia wyrzucałaby sobie, że go nie uratowała przed tym, co zrobili mu Rosjanie.

Poczuła, że ktoś się zbliża. Podniosła wzrok. To Mahomet, jeden z dwóch poruczników, których Hasan przywiódł do Nairobi, by byli świadkami otwarcia ich bramy do wolności. Drugi porucznik, Ahmed, ignorował ją od czasu, gdy zobaczył jej zachodnie stroje. Mahomet

miał posturę niedźwiedzia, oczy koloru tureckiej kawy i długą kręconą brodę, którą przeczesywał palcami, gdy był zaniepokojony. Stał teraz nad nią, przechylony nad oparciem siedzenia.

- Wszystko w porządku, Zino? - zagadnął.

Spojrzała na Hasana i zobaczyła, że śpi. Wygięła usta w lekkim uśmiechu.

- Śniłam o naszym nadchodzącym tryumfie.

- Będzie wspaniały, prawda? Wreszcie nastąpi sprawiedliwość! W końcu wyjdziemy z cienia!

Widziała, że chce usiąść koło niej, ale nic nie powiedziała. Będzie musiał zadowolić się tym, że go nie odpędzi. Przeciągnęła się, wypinając piersi, i z rozbawieniem obserwowała, jak Mahomet otwiera szeroko oczy. Brakuje tylko, żeby wywalil język, pomyślała.

- Napijesz się kawy? - zaproponował.

- Czemu nie? - Mówiła obojętnym głosem, wiedząc, że Mahomet czeka na zachętę. Jej pozycja, umocniona przez ważne zadanie, jakie powierzył jej Szejek, najwyraźniej robiła na nim wrażenie. Ahmed natomiast, jak większość czeczeńskich mężczyzn, widział w niej tylko kobietę, podczłowieka. Przez moment zawiodły ją nerwy, gdy uświadomiła sobie, jak wielką barierę kulturową próbuje pokonać. Ale po chwili wróciła jej jasność umysłu, plan, który ułożyła za poduszczeniem Szejka, był rozsądny, miała pewność, że się powiedzie. Gdy Mahomet odwrócił się, by odejść, odezwała się, myśląc właśnie o tym planie.

- Skoro już idziesz do kambuza, sobie też przynieś filiżankę.

Kiedy podał jej kawę, upiła łyk, nie prosząc go nawet, by usiadł. Stał, opierając się o fotel, z filiżanką w dłoniach.

- Powiedz mi - odezwał się - jaki on jest?

- Szejek? Czemu nie spytasz o to Hasana?

- Arsienow nic nie mówi.

- Może jest zazdrosny o swoją pozycję - odrzekła, przyglądając się Mahometowi znad filiżanki.

- A ty?

Roześmiała się cicho.

- Mnie nie przeszkadza dzielenie jej z kimś. - Upiła kolejny łyk kawy. - Szejek jest wizjonerem. Widzi świat nie taki, jaki jest teraz, ale taki, jaki będzie za rok... za pięć lat! Przebywanie w jego obecności to niezwykle przeżycie. To człowiek, który kontroluje się pod każdym względem i ma wpływ na całym świecie.

Mahomet odetchnął z ulgą.

- Więc naprawdę jesteśmy ocaleni.

- O tak, ocaleni. - Zina odstawiła filiżankę. Wyjęła brzytwę i krem do golenia, które znalazła w bogato wyposażonej toalecie. - Chodź tu, usiądź przy mnie.

Mahomet nie wahał się długo. Usiadł tak blisko, że ich kolana się zetknęły.

- Nie możesz pojawić się w Islandii z taką brodą!

Mierzył ją ciemnymi oczami, przeczesując palcami zarost. Zina zabrała mu ręce z brody, a potem otworzyła brzytwę i nałożyła mu krem na prawy policzek. Przejechała ostrzem po skórze. Mahomet zadrżał, a gdy zaczęła go golić, przymknął oczy.

Ahmed uniósł się w fotelu i przyglądał się całej scenie. Połowa twarzy Mahometa była już ogolona, a Zina nie przerywała pracy. Ahmed wstał i podszedł do nich. W milczeniu patrzył, jak Mahomet traci zarost, w końcu odchrząknął i zapytał:

- Mogę być następny?

- Nie spodziewałem się, że facet będzie miał taki marny pistolecik - stwierdził Kevin McColl, wyciągając Annakę ze skody. Z pogardą odrzucił broń.

Annaka podążyła za nim pokornie, zadowolona, że wziął jej pistolet za broń Chana. Stała na chodniku ze wzrokiem wbitym w ziemię, uśmiechając się pod nosem. Jak wielu męż-

czyżn, McColl nie mógł sobie wyobrazić, że kobieta nosi przy sobie broń ani że mogłaby jej użyć. Musi dopilnować, żeby ta niewiedza nie wyszła mu na dobre.

- Po pierwsze, chcę cię zapewnić, że nic ci się nie stanie. Musisz tylko szczerze odpowiadać na moje pytania i słuchać moich poleceń. - Nacisnął kciukiem na nerw po wewnętrznej stronie jej łokcia, by zrozumiała, że mówi serio. - Rozumiemy się?

Skinęła głową i krzyknęła z bólu, gdy mocniej wbił kciuk.

- Kiedy pytam, masz odpowiadać.

- Rozumiem - wykrztusiła.

- To dobrze. - Poprowadził ją w podcień bramy domu pod numerem 106/108. - Szukam Jasona Bourne'a. Gdzie on jest?

- Nie wiem.

Kolana ugięły się pod nią z bólu, gdy jeszcze mocniej nacisnął na łokieć.

- Spróbujemy jeszcze raz - podjął. - Gdzie jest Jason Bourne?

- Na górze - odparła ze łzami w oczach. - W moim mieszkaniu.

Rozluźnił uchwyt.

- Widzisz, jakie to proste? A teraz prowadź na górę.

Otworzyła drzwi kluczem. Weszli do środka. Włączyła światło i wspięli się po szerokich schodach. Kiedy znaleźli się na trzecim piętrze, McColl zatrzymał ją.

- Słuchaj uważnie - powiedział cicho. - Masz udawać, że wszystko jest w porządku. Jasne?

- Tak - szepnęła.

Przyciągnął ją do siebie, kryjąc się za jej plecami.

- Jeśli go ostrzeżesz, wypatroszę cię. - Pchnął ją do przodu. - No, zaczynamy.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i weszła do mieszkania. Jason leżał na sofie z półprzymkniętymi oczami. Uniósł wzrok.

- Sądzilem, że jesteś...

McColl odepchnął Annę i uniósł broń.

- Tatusz wrócił! - zawołał, wycelował pistolet i nacisnął spust.

Rozdział 22

Annaka, która czekała na pierwszy ruch McColla, wbiła łokieć w jego ramię, podbijając broń. Pocisk uderzył w ścianę nad głową Bourne'a.

McColl zawył z wściekłości i szybko sięgnął w jej kierunku lewą ręką, a pistolet trzymany w prawej ponownie wymierzył w Jasona. Wplótł palce we włosy Annaki, chwycił mocno i pociągnął gwałtownie do tyłu. W tej samej chwili Bourne wydobył spod kołdry ceramiczny pistolet. Chciał strzelić intruzowi w pierś, ale że między nimi stała Annaka, zmienił zdanie i strzelił mu w prawe ramię. McColl wypuścił pistolet, z rany trysnęła krew. Annaka krzyknęła, gdy zabójca zasłonił się nią, przyciągając ją do piersi.

Bourne przykląkł na jedno kolano i wodził lufą za przeciwnikiem, który zasłaniając się Annaka, wycofywał się ku otwartym drzwiom.

- To jeszcze nie koniec - warknął do Bourne'a. - Nigdy nie zdarzyło mi się nie wykonać zlecenia - oświadczył złowróżbnie, uniósł Annakę i niemal rzucił nią w Jasona.

Bourne złapał dziewczynę, nim wpadła na sofę. Odsunął ją i pomknął ku drzwiom, ale zdążył tylko zobaczyć, jak zamykają się drzwi windy. Pobiegł po schodach, lekko utykając, czuł palący ból w boku, nogi miał słabe, oddychał z coraz większym trudem. Chciał się zatrzymać, żeby zaczerpnąć więcej powietrza, a jednak biegł dalej, przeskakując po dwa, trzy stopnie. Na ostatnim półpiętrze poślizgnął się, niefortunnie postawiwszy lewą stopę na krawędzi stopnia, i runął w dół, ni to spadając, ni to zjeżdżając. Podniósł się z jękiem i wpadł przez drzwi do holu. Zobaczył krew na marmurowej podłodze, lecz ani śladu zabójcy. Zrobił krok do przodu i nogi się pod nim ugięły. Oszołomiony, usiadł na ziemi z pistoletem w jednej ręce, drugą złożony na udzie. Miał wrażenie, że nie pamięta, jak się oddycha.

Muszę dopaść drania, pomyślał, w głowie słyszał jednak jakiś potworny hałas. W końcu zrozumiał, że to serce tak bije, ale nie był w stanie się poruszyć. Jedno wiedział, zanim nadbiegła Annaka - agencja nie wierzy już w jego śmierć.

- Jasonie! - Uklęka i objęła go ramieniem, zatroskana.*
- Pomóż mi wstać - poprosił.. Podniósł się z jej pomocą.*
- Gdzie on jest? Dokąd poszedł? - spytała.*

Nie potrafił jej odpowiedzieć. Chryste, pomyślał, może ona ma rację, może naprawdę trzeba mi lekarza?

Czy to jad w sercu tak szybko ocucił Chana? Wydostał się ze skody kilka minut po napaści. Bolała go głowa, ale jeszcze bardziej zostało zranione jego ego. Odtworzył całą scenę w myślach, uzyskując nieprzyjemną pewność, że to niebezpieczne uczucie do Annaki naraziło go na niebezpieczeństwo.

Czy trzeba więcej dowodów, by dojść do wniosku, że emocje należy uciszać za wszelką cenę? Drogo za nie zapłacił w przypadku rodziców, potem Richarda Wicka, a teraz - Annaki, która od początku pracowała na rzecz Stiepana Spalki.

A sam Spalko? „Nie jesteśmy sobie obcy. Dzielimy najbardziej intymne tajemnice”, powiedział tej nocy w Groznych. „Lubię myśleć, że nie jesteśmy tylko biznesmenem i klientem”.

Spalko chciał przyciągnąć Chana, całkiem jak Richard Wick. Twierdził, że pragnie być jego przyjacielem, wprowadzić go w swój ukryty, tajny świat. „Swoją reputację zawdzięczasz w dużej mierze moim zleceniom”. I Spalko, i Wick wierzył, że są dobroczyńcami. Wydawało się im, że żyją na wyższym poziomie, że należą do elity. Spalko, tak jak Wick, okłamał Chana, by wykorzystać go do własnych celów.

To, czego chciał, teraz nie miało już znaczenia. Sam Chan pragnął jedynie zemścić się na Spalce za dawną niesprawiedliwość, ale ukoić mogła go tylko śmierć Stiepana Spalki. Będzie to pierwsze i ostatnie zlecenie, jakie przyjmie od samego siebie.

Przykucnął w podcieniu bramy, rozcierając guza na potylicy, gdy usłyszał jej głos. Wzniósł się z oddali, z cieni, cichnąc w głębinach, w szmerze fal.

- Lee-Lee - wyszeptał. - Lee-Lee!

Wzywała go. Wiedział, czego ona pragnie. Chciała, by dołączył do niej w głębinach. Skrył obolałą głowę w dłoniach i załkał, jakby wypuszczał z płuc ostatnią bańkę powietrza. Lee-Lee. Od tak dawna o niej nie myślał... czy na pewno? Śnił o niej niemal każdej nocy, chociaż dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Dlaczego? Co się zdarzyło, że wspomnienie o niej wróciło z taką siłą po długim czasie?

Usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Wystawił głowę w samą porę, by zobaczyć postawnego mężczyznę wybiegającego z bramy. Jedną ręką ścisnął drugą, zostawiając za sobą krwawy ślad, i Chan wydedukował, że zmierzył się z Jasonem Bourne'em. Uśmiechnął się nieznacznie, wiedział bowiem, że musi to być człowiek, który go zaatakował.

Poczuł przemożną chęć zabicia go, ale zapanował nad sobą, bo przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Wyszedł z cienia i podążył za sylwetką umykającą Fo utca.

Synagoga Dohanya była największa w Europie. Zachodnia ściana miała fasadę z bizantyjskiej cegły w błękitach, czerwieni i żółci, kolorach Budapesztu. Nad wejściem widniał ogromny witraż, wyżej wznosiły się dwie wielokątne mauretańskie wieże zwieńczone złożonymi miedzianymi kopułami.

- Pójdę po niego - powiedziała Annaka, kiedy wysiedli ze skody. Próbowano ją skierować do innego lekarza, nalegała jednak, że musi zobaczyć się z doktorem Ambrusem, który jest starym przyjacielem rodziny. W końcu dostała ten adres. - Im mniej ludzi cię zobaczy, tym lepiej.

Bourne nie mógł się nie zgodzić.

- Annako... nie potrafię już zliczyć, ile razy ratowałaś mi życie.

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Więc przestań liczyć.

- Ten człowiek, który cię zaatakował...

- Kevin McColl.

- To specjalista z agencji. - Bourne nie musiał jej mówić, o jakiego, rodzaju specjalistę chodzi, co stanowiło kolejną zaletę Annaki. - Dobrze sobie z nim poradziłaś.

- Póki nie użył mnie jako tarczy - skwitowała gorzko. - Nie powinnam była pozwolić...

- Wyszliśmy z tego. Tylko to się liczy.

- Ale on ci groził!

- Następnym razem będę gotowy.

Uśmiechnęła się lekko. Zostawiła go na dziedzińcu z tyłu synagogi, gdzie mógł zache-kać, nie obawiając się, że ktoś go znajdzie.

Istvan Ambrus, lekarz Janosa Vadasa, uczestniczył w nabożeństwie, ale nie oponował, gdy Annaka przysłała po niego, utrzymując, że to pilne.

- Oczywiście. Z przyjemnością ci pomogę, w miarę moich możliwości - powiedział, podnosząc się z miejsca. Razem przeszli przez synagogę oświetloną wspaniałymi kandelabrami. Za ich plecami wznosiły się wielkie ograny z pięcioma tysiącami puszczalek, rzecz niezwykła w żydowskiej świątyni. Niegdyś grali na nich wielcy kompozytorzy, Franciszek Liszt i Camille Saint-Saens.

- Śmierć twojego ojca była dla nas strasznym ciosem. - Wziął ją za rękę i lekko uścisnął. Miał silne dłonie chirurga lub murarza. - Jak sobie dajesz radę, moja droga?

- *Tak dobrze, jak tylko mogę - odpowiedziała miękko, prowadząc go na zewnątrz.*

Bourne siedział na dziedzińcu, pod którym spoczywały ciała pięciu tysięcy Żydów zgładzonych zimą 1944 roku, kiedy Adolf Eichmann zmienił synagogę w punkt zbiorczy, z którego wysłał ponad pięćdziesiąt tysięcy Żydów do obozów koncentracyjnych. Dziedziniec, położony między łukami wewnętrznych loggii, wypełniały blade kamienie pamiątkowe oplecione ciemnozielonym bluszczem. Zimny wiatr szeleścił liśćmi, mogło się wydawać, że słychać odległe głosy zmarłych.

W tym miejscu trudno było nie myśleć o ich straszliwych cierpieniach w tamtych mrocznych czasach. Zastanawiał się, czy znów nie nadciąga taki kataklizm. Podniósł wzrok i ujrzał Annkę w towarzystwie pulchnego, żwawego człowieka z cienkim wąsikiem i rumianymi policzkami. Mężczyzna ubrany był w elegancki brązowy garnitur. Buty na jego drobnych stopach błyszczwały.

- *Więc pan jest tą osobą w opłakanym stanie - powiedział, gdy Annka przedstawiła ich sobie i zapewniła, że Bourne dobrze włada ich językiem. - Nie, niech pan nie wstaje - ciągnął. Usiadł obok Bourne'a i zaczął badanie. - Cóż, opis Annki nie oddaje pana stanu. Wygląda pan jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa.*

- *Tak się właśnie czuję, doktorze. - Bourne skrzywił się mimowolnie, gdy palce doktora Ambrusa dotknęły szczególnie bolesnego miejsca.*

- *Kiedy wszedłem na dziedziniec, był pan pogrążony w myślach - powiedział lekarz. - To w pewnym sensie straszliwe miejsce, ten dziedziniec przypomina o tych, których straciliśmy, o wszystkich, których straciła ludzkość w czasie holokaustu. - Miał zaskakująco delikatne i zwinne palce, gdy badał Bourne'a. - Ale tamte czasy nie były aż tak ponure. Zanim zjawił się Eichmann, kilku księży pomogło rabinom ocalić dwadzieścia siedem zwojów Tory z arki w synagodze. Księża zabrali je i zakopali na chrześcijańskim cmentarzu. Bezpiecznie doczekały tam końca wojny. - Uśmiechnął się smutno. - Jaki z tego wniosek? Światło można znaleźć nawet w największej ciemności, współczucie - w najbardziej nie oczekiwanych miejscach, a pan ma dwa pęknięte zębra.*

Podniósł się.

- *Chodźcie ze mną. W domu mam wszystko, czego trzeba, by pana poskładać. Za jakiś tydzień ból ustąpi i wróci pan do zdrowia. - Pogroził mu palcem. - Ale musi mi pan obiecać, że teraz będzie odpoczywać. Żadnych forsownych ćwiczeń. Najlepiej byłoby, gdyby w ogóle pan nie ćwiczył.*

- *Tego nie mogę panu obiecać, doktorze.*

Doktor Ambrus westchnął.

- *Czemu mnie to nie dziwi? - podsumował, zerkając na Annkę.*

Bourne wstał.

- *Prawdę powiedziawszy, obawiam się, że będę musiał robić wszystko, co pan mi odradza. W związku z tym muszę pana poprosić, by zrobił pan, co tylko możliwe, żeby ochronić uszkodzone zębra.*

- *Może przydałaby się panu zbroja? - Doktor zaśmiał się z własnego żartu, ale szybko przestało mu być wesoło, gdy ujrzał wyraz twarzy Bourne'a. - Dobry Boże, człowieku... z czym pan się chce zmierzyć?*

- *Gdybym tylko mógł panu powiedzieć - odrzekł Bourne ponuro.*

Doktor Ambrus, choć trochę zakłopotany, potrafił dotrzymać słowa. Zabrał ich do swego domu na wzgórzach Budy, gdzie miał mały gabinet lekarski. Za oknem pięły się róże, jednak donice na geranium stały puste -było jeszcze za chłodno. Gabinet miał kremowe ściany, a szafki ozdobiono oprawionymi w ramki zdjęciami żony i dwóch synów doktora.

Lekarz posadził Bourne'a na stole, a sam, mrucząc coś pod nosem, zaczął metodycznie przeszukiwać szafki, wyjmując z nich różne przedmioty. Wrócił do pacjenta, kazał mu rozebrać się do pasa i skierował na niego światło lampy. Wreszcie zabrał się do pracy. Ciasno owinął żebra Bourne'a trzema różnymi warstwami opatrunku - z bawełny, spandeksu i podobnego do gumy materiału, które wedle jego słów zawierał kewlar.

- Lepiej się nie da - zawyrokował, gdy skończył.

- Nie mogę oddychać - westchnął Bourne.

- Dobrze. To znaczy, że udało nam się zminimalizować ból. - Potrząsnął małą brązową buteleczką z plastiku. - Dalbym panu środki przeciwbólowe, ale komuś takiemu jak pan raczej się nie przydadzą. Spowolniłyby zmysły i refleks... i następnym razem zobaczyłbym pana w kostnicy.

Bourne uśmiechnął się, słysząc ten żart.

- Zrobię wszystko, żeby oszczędzić panu tego widoku. - Sięgnął do kieszeni. - Ile jesteśmy winni?

Doktor Ambrus uniósł dłonie.

- Ależ proszę...!

- Jak mam ci dziękować, Istvanie? - zatroskała się Annaka.

- Móc cię znowu oglądać, moja droga, to wystarczająca zapłata. - Doktor Ambrus ujął jej twarz w dłonie i ucałował ją w oba policzki. - Obiecuj mi, że w najbliższym czasie wpadniesz na obiad. Bela tęskni za tobą, przyjdź, moja droga. Przyjdź. Zrobi dla ciebie ten gulasz, który tak lubiłaś jako dziecko.

- Obiecuję, Istvanie. Już wkrótce.

Zadowolony z obietnicy doktor Ambrus pozwolił im odejść.

Rozdział 23

Trzeba coś zrobić z Randym Driverem - powiedział Lindros. Dyrektor CIA skończył podpisywać plik papierów, dołożył go do innych dokumentów i dopiero wtedy podniósł wzrok.

- Podobno zdrowo cię opieprzył.

- Nie rozumiem. To dla pana zabawne, szefie?

- Wybacz mi, Martin - powiedział Stary ze złośliwym uśmiechem, którego nie próbował ukryć. - Tak mało mam ostatnio rozrywek.

Słoneczny refleks przez całe popołudnie odbijający się od trzech żołnierzy wojny o niepodległość z pomnika za oknem zniknął, sprawiając, że brązowe postaci otulone cieniem wyglądały na zmęczone.

- Chcę, żeby się tym zajęto. Chcę dostępu...

Twarz Starego pociemniała.

- „Chcę, chcę...” Ile ty masz lat, trzy?

- Powierzył mi pan kierowanie śledztwem w sprawie zabójstw Conklina i Panova. Wypełniam tylko pańskie polecenia.

- Śledztwem? - Oczy dyrektora rozbłysły gniewem. - Nie ma żadnego śledztwa. Powiedziałem ci wyraźnie, Martin, że to ma się skończyć. Wykrwawiamy się na śmierć przez tę sukę. Rana musi przyschnąć, żeby o tym zapomnieć. Ostatnie, czego bym chciał, to żebyś się rozbił po obwodnicy waszyngtońskiej jak słoń w składzie porcelany. - Gestem dłoni uciął protesty zastępcy. - Powieś Harrisa, i zrób to tak głośno i otwarcie, by doradczynie do spraw bezpieczeństwa miała pewność, że wiemy, co robimy.

- Skoro pan tak mówi, szefie... Ale, z całym szacunkiem, to byłby najgorszy błąd, jaki moglibyśmy w tej chwili popełnić. - Rzucił na biurko dyrektora, który patrzył na niego z otwartymi ustami, komputerowy wydruk przesłany przez Harrisa.

- Co to? - zapytał Stary. Zawsze żądał streszczenia, zanim cokolwiek przeczytał.

- To fragment komputerowego dossier gangu Rosjan dostarczających nielegalną broń. Pistolet użyty do zabicia Conklina i Panova też tam jest. Był fałszywie zarejestrowany na Webba. To dowodzi, że Webb został wrobiony i nie zabił dwóch swoich najlepszych przyjaciół.

Dyrektor zaczął czytać wydruk. Zmarszczył grube siwe brwi.

- To niczego nie dowodzi, Martinie.

- Z całym szacunkiem, szefie, ale nie rozumiem, jak może pan nie dostrzegać faktów leżących przed panem czarno na białym.

Stary westchnął, odsunął od siebie wydruk i oparł się w fotelu.

- Dobrze cię wyszkoliłem, ale teraz widzę, że wiele jeszcze musisz się nauczyć. - Wskazał wydruk na biurku. - To mówi mi jedynie, że za broń, której Jason Bourne użył, by zabić Aleksa i Mo Panova, zapłacono przekazem z Budapesztu. Bourne ma nie wiem ile kont w zagranicznych bankach, głównie w Zurychu i Genewie, więc czemu niby nie miałby mieć jakiegoś w Budapeszcie? - Chrząknął. - To sprytny trik, jeden z wielu, których Alex go nauczył.

Lindros niemal zachwiał się z rozczarowania.

- Więc nie sądzi pan...

- Chcesz, żebym zaniósł ten tak zwany dowód tej suce? - Dyrektor potrząsnął głową. - Wepchnęłaby mi go z powrotem do gardła.

Pierwsze, co przyszło Staremu do głowy, to, że Bourne włamał się w Budapeszcie do amerykańskiej rządowej bazy danych, bo przecież z tego Właśnie powodu on sam uruchomił

Kevina McColla. Nie musi mówić o tym Martinowi; tylko by się zdenerwował. Nie, pomyślał z zawziętością dyrektor, pieniądze na narzędzie zbrodni pochodziły z Budapesztu, i tam właśnie uciekł Bourne. Kolejny dowód jego winy.

Lindros przerwał te rozmyślenia.

- Więc nie wyraża pan zgody, by wrócić do Drivera...

- Martin, dochodzi wpół do ósmej i burczy mi już w brzuchu. - Dyrektor podniósł się. - Żeby ci pokazać, że nie mam żalu, zapraszam cię na kolację.

*Occidental Grill był rządową restauracją, w której dyrektor miał własny stół. Czeka-
nie w kolejkach było dla cywili i funkcjonariuszy niskiej rangi, nie dla niego. Tutaj jego wła-
dza wynurzała się ze świata cieni, by objawić się całemu Waszyngtonowi. Niewielu w tym
mieście miało taką pozycję. Po ciężkim dniu nie było nic lepszego niż z niej skorzystać.*

*Zostawili wóz parkingowemu i wspięli się po długich granitowych schodach prowadzą-
cych do restauracji. Przeszli wąskim korytarzem obwieszonym zdjęciami prezydentów i innych
słynnych polityków, którzy tu jadal. Jak zawsze, dyrektor zatrzymał się przed fotografią J.
Edgara Hoovera z nieodłącznym jak cień Clyde'em Tolsonem. Oczy Starego wwiercały się w
zdjęcie, jakby chciał ogniem wymazać tę dwójkę z panteonu wiszących na ścianie sław.*

*- Bardzo dokładnie pamiętam, jak przechwyciliśmy notatkę Hoovera, w której żądał od
swoich bezpośrednich podwładnych, aby postarali się znaleźć coś, co połączy Martina Luthe-
ra Kinga i Partię Komunistyczną z demonstracjami przeciw wojnie wietnamskiej. - Potrząsnął
głową. - Co za czasy!*

- To już historia, szefie.

- Haniebna historia, Martinie.

*Z tym oświadczeniem przeszedł oszklonymi drzwiami do właściwej restauracji. Sala po-
przedzielana była drewnianymi i szklanymi przepierzeniami, a bar wyłożono lustrami. Jak
zwykle na stół czekała kolejka, którą dyrektor przeciął niczym transatlantyk flotyllę moto-
rówek. Stanął przed podium, które zajmował elegancki siwy szef sali.*

Ten odwrócił się, przyciskając do piersi kilka wąskich menu.

*- Pan dyrektor! - Jego oczy otwarły się szeroko, a rumiana zwykle twarz zbladła. - Nie
mieliśmy pojęcia, że będzie pan dziś u nas jadł.*

- Od kiedy to potrzebujesz uprzedzenia, Jack? - zapytał Stary.

*- Czy mogę panu dyrektorowi zaproponować drinka przy barze? Mamy pana ulubioną
whisky.*

Stary poklepał się po brzuchu.

- Jestem głodny. Darujemy sobie bar i pójdziemy prosto do mojego stolika.

Szef sali wyglądał na zakłopotanego.

- Proszę dać mi chwilę, panie dyrektorze - powiedział, oddalając się pośpiesznie.

- O co mu, u licha, chodzi? - wymamrotał Stary z irytacją.

*Tymczasem Lindros rzucił okiem na narożny stół dyrektora, zobaczył, że jest zajęty, i
zbladł. Stary zauważył to i obrócił się, wypatrując poprzez tłum kelnerów i klientów swojego
ukochanego stolika, przy którym na honorowym, zarezerwowanym dla niego miejscu siedziała
teraz Roberta Alonzo-Ortiz, doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego. Była pogrą-
żona w rozmowie z dwoma senatorami z Komisji Wywiadu.*

- Zabiję ją, Martinie. Jak Boga kocham, rozerwę tę sukę kawałek po kawałku.

Szef sali wrócił spocony pod kołnierzykiem.

*- Przygotowaliśmy stół, panie dyrektorze, czteroosobowy stół do panów wyłącznej
dyspozycji. I wszystkie drinki na koszt firmy. Czy tak będzie w porządku?*

Stary zagryzł wargę, by zdusić wściekłość.

- Tak, w porządku - powiedział, zdając sobie sprawę, że nie ukryje rumieńców. - Prowadź, Jack.

Szef sali poprowadził ich, starannie omijając stół dyrektora - i Stary był mu za to wdzięczny.

- Mówiłem jej, panie dyrektorze - niemal bezgłośnie tłumaczył Jack - że akurat ten stół jest pański, ale nalegała. W ogóle nie chciała mnie słuchać. Cóż mogłem zrobić? Drinki przysnę za sekundę. - Mówił to, usadzając ich w pośpiechu, podając menu i karty win. - Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić, panie dyrektorze?

- Dziękuję, Jack, nie. - Stary wziął menu.

Po chwili rosły kelner z bokobrodami przyniósł butelkę whisky i karafkę wody.

- Z pozdrowieniami od szefa - powiedział.

Jeśli Lindros miał jakiś złudzenia, że dyrektor jest spokojny, pozbył się ich w chwili, gdy Stary podniósł do ust szklankę whisky. Ręka mu drżała, a oczy błyszczały z wściekłości.

Lindros dostrzegł swoją szansę i jako dobry taktik, wykorzystał ją.

- Doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego chce, żeby sprawę tego podwójnego morderstwa załatwiono tak sprawnie i dyskretnie, jak to możliwe. Jeśli jednak podstawowe przesłanki takiego rozumowania - przede wszystkim, że to Jason Bourne jest winny - są fałszywe, cała reszta się rozsypuje, łącznie z jednoznacznym stanowiskiem doradczyni.

Stary podniósł wzrok i wbił przenikliwe spojrzenie w swego zastępcę.

- Znam cię. Masz już jakiś plan, prawda?

- Tak, panie dyrektorze, mam, i jeśli się nie mylę, doradczynie i jej ludzie wyjdą na głupców. Ale żeby do tego doprowadzić, potrzebuję pełnej współpracy Randy'ego Drivera.

Pojawił się kelner z sałatkami.

Stary poczekał, aż zostaną sami, i nalał obu whisky. Z wymuszonym uśmiechem zapytał:

- To zamieszanie z Randym Driverem... uważasz, że to potrzebne?

- Bardziej niż potrzebne. Niezbędne.

- No, jeśli niezbędne... - Dyrektor zanurzył widelec w sałatce i spojrzał na kawałek pomidora nabity na ząbki. - Podpiszę papiery z samego rana.

- Dziękuję, szefie.

Stary zmarszczył brwi.

- Podziękować mi możesz tylko w jeden sposób: przynosząc amunicję, która pośle tę sukę tam gdzie jej miejsce.

McCull wiedział, że zaletą posiadania dziewczyny w każdym porcie jest to, że zawsze miał się gdzie zaszyć. W Budapeszcie była oczywiście kryjówka agencji, nawet kilka, ale wolał się nie pokazywać z krwawiącym ramieniem w żadnym oficjalnym przybytku, bo byłoby to równoznaczne z przyznaniem się przelożonym, że nie wykonał zlecenia dyrektora. W tej sekcji CIA liczyły się wyłącznie wyniki.

Ilona była w domu, kiedy, przyciskając ranną rękę do boku, doczłapał do jej drzwi. Miała ochotę, jak zawsze, ale ten jeden raz on jej nie miał, gdyż czekała go inna robota. Kazał jej zrobić sobie coś do jedzenia, coś pożywnego, żeby odzyskać siły. Wszedł do łazienki, rozebrał się do pasa i zmył krew z prawego ramienia. Potem polał ranę wodą utlenioną. Palący ból rozszedł się w górę i dół ręki sprawiając, że nogi ugięły mu się w kolanach i na chwilę usiadł na sedesie, żeby się pozbierać. Ostry ból przeszedł w pulsujący, pozwalając na ocenę obrażeń: rana była czysta, kula przeszła mięsień na wylot i wyszła z drugiej strony. Pochylił się, oparł łokieć na krawędzi umywalki i raz jeszcze polał ranę wodą utlenioną; aż zagwizdał przez obnażone zęby. Potem wstał i zaczął szperać po półkach, ale nie znalazł sterylnych gazików, za to pod umywalką znalazł rolkę taśmy izolacyjnej. Odciął kawałek nożyczkami do paznokci i ciasno owinął ranę.

Ilona tymczasem przygotowała mu posiłek. Usiadł i zaczął pochłaniać jedzenie, nie zwracając uwagi na jego smak. Było ciepłe i sycące, i to wystarczyło. Stała za nim, kiedy jadł, masując potężne mięśnie jego barków.

- Jesteś taki spięty - powiedziała. Była niewysoka i szczupła, często się uśmiechała, miała błyszczące oczy i krągłości wszędzie tam, gdzie trzeba. - Co robiłeś po wyjściu z łaźni? Tam byłeś całkiem rozluźniony.

- Pracowałem - odparł lakonicznie. Wiedział z doświadczenia, że nie oplaca się ignorować jej pytań, choć zupełnie nie miał ochoty na rozmowę. Musiał zebrać myśli, zaplanować drugą i ostateczną próbę zabicia Jasona Bourne'a. - Mówiłem ci, że mam nerwową pracę.

Sprawne palce dalej wygniatały z niego napięcie.

- No to ją rzuć.

- Kocham tę robotę - powiedział, odsuwając talerz. - Nigdy bym jej nie rzucił.

- A mimo to jesteś smutny. - Wyciągnęła do niego rękę. - Chodź do łóżka. Zrobi ci się lepiej.

- Ty idź - powiedział - i zaczekaj na mnie. Muszę podzwonić służbowo. Kiedy skończę, będę cały twój.

Do małego, anonimowego pokoju w tanim hotelu poranek wdarł się okrzykami z ulicy, budapeszteński hałas przenikał ściany, jakby były z papieru, budząc Annkę z niespokojnego snu. Przez jakiś czas leżała bez ruchu w szarym świetle poranka na podwójnym łóżku, tuż obok Bourne'a. Potem odwróciła głowę i zaczęła się w niego wpatrywać.

Jak wiele zmieniło się w jej życiu, odkąd spotkała go na schodach kościoła Świętego Mateusza! Ojciec nie żył i nie mogła wrócić do własnego mieszkania, bo adres znał i Chan, i CIA. W gruncie rzeczy nie było w jej mieszkaniu nic, za czym by tęskniła, poza fortepianem. Ból rozłąki, jaki odczuwała, był podobny do tego, który, jak czytała, odczuwają rozdzielone bliźniaki jedno jajowe.

A co z Bourne'em, co czuła do niego? Nie bardzo mogła to ocenić, bo już w dzieciństwie wykształciła w sobie mechanizm zakręcający kurek emocji. Mechanizm ten - przejaw instynktu samozachowawczego, całkowita zagadka nawet dla specjalistów badających takie przypadki - był schowany tak głęboko w jej umyśle, że sama nie mogła go osiągnąć - co zresztą było kolejnym przejawem instynktu samozachowawczego.

Oczywiście, okłamała Chana, że przy nim traci kontrolę nad sobą. Rzuciła go, bo Stiepan kazał jej odejść. Nie miała nic przeciwko temu; wręcz podobał jej się wyraz twarzy Chana, kiedy mu powiedziała, że to już koniec. Zraniła go i to było przyjemne. Widziała, że mu na niej zależy, ciekawiło ją to, ale nie mogła tego zrozumieć. Jej też dawno temu i daleko stąd zależało na matce, ale na co jej się to uczucie przydało? Matka nie zdołała jej ochronić; gorzej - umarła.

Powoli, ostrożnie odsunęła się od Bourne'a i wstała. Sięgała właśnie po płaszcz, kiedy Jason, przechodząc z głębokiego snu wprost do pełnej przytomności, miękko wypowiedział jej imię.

Annaka wzdrygnęła się i odwróciła.

- Myślałam, że śpisz. Obudziłam cię?

Patrzył na nią bez mrugnięcia.

- Dokąd idziesz?

- Ja... potrzebujemy nowych ubrań.

Spróbował wstać.

- Jak się czujesz?

- W porządku. - Nie miał ochoty wysłuchiwać wyrazów współczucia. - Poza ciuchami potrzebujemy jeszcze kamuflażu.

- My?
- McColl wiedział, kim jesteś, czyli miał twoje zdjęcie.
- Ale dlaczego? - Potrząsnęła głową. - Skąd w CIA dowiedzieli się, że jesteśmy razem?
- Nie dowiedzieli się, a przynajmniej nie mogą mieć pewności. Jedyne sposoby, w jakie mogli cię znaleźć, to przez adres twojego komputera.

Musiałem uruchomić jakiś alarm, kiedy włamałem się do rządowej sieci wewnętrznej.

- O mój Boże. - Włożyła płaszcz. - Tak czy inaczej, bezpieczniej będzie, jeśli to ja wyjdę na ulicę.

- Znasz jakiś sklep z przyborami do charakteryzacji?

- Niedaleko jest dzielnica teatralna. Na pewno coś znajdę.

Bourne wziął z biurka kartkę, ogryzek ołówka i zrobił w pośpiechu listę.

- Tego będziemy potrzebować - powiedział. - Zapisałem też swoje rozmiary. Wystarczy ci pieniędzy? Ja mam dużo, ale w dolarach.

Potrząsnęła głową.

- To zbyt niebezpieczne. Musiałabym pójść do banku i wymienić je na forinty, a to mogłoby zwrócić czyjąś uwagę. W mieście jest mnóstwo bankomatów.

- Bądź ostrożna - ostrzegł ją.

- Nie martw się. - Spojrzała na listę. - Powinnam być z powrotem za kilka godzin. Nie wychodź z pokoju do tego czasu.

Zjechała ciasną, trzeszczącą windą. W małym holu nie było nikogo poza recepcjonistą. Podniósł głowę znad gazety, spojrzał na nią znudzony i wrócił do lektury. Wyszła w tętniący życiem Budapeszt. Obecność Kevina McColla, jako czynnik komplikujący, zaniepokoiła ją, ale Stiepan rozwiał jej obawy, kiedy zadzwoniła do niego z tą wiadomością. Przekazywała mu informacje, dzwoniąc do niego ze swojego mieszkania przy odkręconej w kuchni wodzie.

Wchodząc w strumień przechodniów, spojrzała na zegarek. Było tuż po dziesiątej. Wypiła kawę z rogalikiem w kawiarni na rogu i skierowała się do bankomatu, mniej więcej dwie trzecie drogi do dzielnicy handlowej. Wsunęła kartę, wypłaciła pieniądze do wysokości limitu, włożyła zwitek banknotów do portmonetki i z listą Bourne'a w dłoni ruszyła na zakupy.

Po drugiej stronie miasta Kevin McColl wszedł do banku, w którym Annaka Vadas miała rachunek. Pomachał legitymacją i po jakimś czasie wpuszczono go do oszklonego biura dyrektora oddziału, dobrze ubranego mężczyzny w konserwatywnie skrojonym garniturze. Podali sobie ręce, przedstawiając się wzajemnie, po czym dyrektor wskazał McCollowi wyściełane krzesło naprzeciwko siebie.

Splótł palce i zapytał:

- W czym mogę panu pomóc, panie McColl?

- Szukamy międzynarodowego zbiega.

- A dlaczego nie bierze w tym udziału Interpol?

- Bierze - odparł McColl - podobnie jak Quai d'Orsay w Paryżu, który był ostatnim przystankiem zbiega przed przyjazdem do Budapesztu.

- Jak się nazywa ten poszukiwany?

McColl wyciągnął ulotkę CIA, rozwinął ją i położył na biurku przed dyrektorem, który obejrzał ją przez okulary.

- A tak, Jason Bourne. Oglądam CNN. - Podniósł wzrok znad złotych oprawek. - Mówi pan, że jest w Budapeszcie.

- Widziano go tutaj.

Dyrektor odsunął ulotkę.

- Jak zatem mogę pomóc?

- Był w towarzystwie państwa klientki. Annaki Vadas.

- Ach tak? - Dyrektor zmarszczył brwi. - Jej ojciec nie żyje, został zastrzelony dwa dni temu. Sądzi pan, że ten Bourne go zabił?

- Możliwe. - McColl trzymał niecierpliwość na wodzy. - Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan sprawdzić, czy pani Vadas korzystała z ban komatu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Jasne. - Dyrektor pokiwał głową ze zrozumieniem. - Uciekinier potrzebuje pieniędzy. Może ją zmusić, żeby mu ich dostarczyła.

- No właśnie. - Koleś, pomyślał McColl, rusz w końcu tylek.

Dyrektor odwrócił się do komputera i zaczął stukać w klawiaturę.

- Zobaczmy więc. Tak, jest tutaj. Annaka Vadas. - Potrząsnął głową. - Taka tragedia. A teraz, jeszcze to.

Patrzył na ekran, gdy nagle rozległ się brzęczyk.

- Wygląda na to, że miał pan rację, panie McColl. Numeru PIN Annaki Vadas użyto w bankomacie przed niespełną półgodziną.

- Adres - rzucił McColl, pochylając się do przodu.

Dyrektor zapisał adres bankomatu na karteczce z notesu i wręczył ją McCollowi, który już wstał i ruszył do drzwi, rzucając przez ramię „Dziękuję”.

W recepcji hotelu Bourne zapytał o najbliższą kafejkę internetową. Przeszedł dwanaście przecznic do AMI Internet Cafe na Vaci utca 40. Wnętrze było zadymione i tłoczne, ludzie siedzieli przy komputerach i palili, sprawdzali e-maile, szukali czegoś lub po prostu surfowali w sieci. Zamówił podwójne espresso i rogalik u dziewczyny z nastroszoną fryzurą, która dała mu kartkę z wydrukiem godziny rozpoczęcia i numerem jego stanowiska, po czym zaprowadziła do wolnego komputera.

Usiadł i zaczął pracę. W polu „Szukaj” wpisał nazwisko Petera Sido, byłego współnika doktora Schiffera, ale nie znalazł nic. Samo w sobie było to dziwne i podejrzane. Jeśli Sido był naukowcem o jakichkolwiek osiągnięciach - a Jason zakładał, że był, skoro pracował z Feliksem Schifferem - gdzieś w sieci musiało pojawić się jego nazwisko. To, że tak nie było, skłoniło Bourne'a do uznania, że nieobecność ta jest celowa. Trzeba spróbować innej drogi.

W nazwisku Sido było coś, co wydawało się znajome jego lingwistycznej wiedzy. Rosyjskie? Słowiańskie? Przejrzał strony w tych językach, ale i tam nic nie znalazł. Coś podpowiedziało mu, żeby spróbować z węgierskim, i to był strzał w dziesiątkę.

Okazało się, że węgierskie nazwiska niemal zawsze coś znaczyły. Mogły być na przykład patronimiczne, czyli pochodzić od imienia ojca, określać miejsce pochodzenia danej osoby jej zawód lub zajęcie - widział, że Vadas oznacza myśliwego - albo pochodzenie etniczne - Sido to po węgiersku Żyd.

Zatem Peter Sido był Węgrem, tak jak Vadas. Conklin wybrał sobie do współpracy Vadasa. Zbieg okoliczności? Bourne nie wierzył w zbiegi okoliczności. Był w tym jakiś związek; wyczuwał go. Wszystkie światowej klasy węgierskie szpitale i ośrodki badawcze znajdowały się w Budapeszcie, czy zatem Sido też tu był?

Dłonie Bourne'a zatańczyły na klawiaturze, otwierając internetową książkę telefoniczną Budapesztu. Oto i doktor Peter Sido. Zanotował adres i numer telefonu, po czym wylogował się, zapłacił za czas użytkowania, zabrał podwójne espresso i rogalik do części kawiarnianej, gdzie usiadł przy narożnym stoliku z dala od innych klientów. Ugryzł rogalik, sięgnął po kórkę i wystukał numer Sidy. Upił tyk kawy. Po kilku sygnałach usłyszał kobiecy głos.

- Halo - powiedział pogodnym głosem. - Pani Sido?

- Tak...?

Rozłączył się, nie odpowiadając, i łapczywie zjadł resztę śniadania. W oczekiwaniu na zamówioną taksówkę patrzył kątem oka na drzwi wejściowe i przyglądał się każdemu wcho-

dzącemu na wypadek, gdyby był to McColl lub inny agent CIA przysłany tu, żeby go sprzątnąć. Upewniwszy się, że nie jest obserwowany, wyszedł na ulicę, wsiadł do taksówki i podał kierowcy adres doktora Sido. Po niecałych dwudziestu minutach samochód zatrzymał się przed małym domem z kamienną fasadą, frontowym ogródkiem i żelaznymi balkonikami na każdym piętrze.

Bourne wszedł po schodach i zastukał. Drzwi otworzyła korpulentna kobieta w średnim wieku, z łagodnymi piwnymi oczami i miłym uśmiechem. Miała ciemne włosy spięte z tyłu w kok i była gustownie ubrana.

- Pani Sido? Żona doktora Sido?

- Zgadza się. - Patrzyła na niego pytająco. - W czym mogę pomóc?

- Nazywam się David Schiffer.

- Tak?

Uśmiechnął się czarująco.

- Kuzyn Feliksa Schiffera, pani Sido.

- Przykro mi - powiedziała żona Petera Sido - ale Felix nigdy o panu nie wspominał.

Bourne był na to przygotowany. Zachichotał.

- I nic dziwnego. Widzi pani, straciliśmy ze sobą kontakt. Dopiero co wróciłem z Australii.

- Z Australii! O mój Boże. - Odsunęła się na bok. - Ależ proszę wejść, proszę. Niech pan nie myśli, że chcę być nieuprzejma.

- Absolutnie nie - odparł Bourne. - Jest pani po prostu zdziwiona, jak byłby każdy na pani miejscu.

Poprowadziła go do małego saloniku, wygodnego, choć ciemnego, i poprosiła, żeby usiadł. Powietrze pachniało drożdżami i cukrem. Usiadłszy na wyścielonym krześle, kobieta spytała:

- Napije się pan kawy czy herbaty? A może placzka drożdżowego? Dziś upiekłam.

- Mój ulubiony - odpowiedział. - A do tego kawa. Dziękuję.

Uśmiechnęła się i ruszyła do kuchni.

- Nie jest pan częściowo Węgrem, panie Schiffer?

- Proszę mówić mi David - powiedział, wstał i poszedł za nią. Nie znał historii rodziny, więc wkroczyłby na grząski teren, gdyby rozmowa zeszła na Schifferów. - Czy mogę w czymś pani pomóc?

- Dziękuję, Davidzie. I mów mi Eszti. - Wskazała przykrytą blaszkę z ciastem. - Ukrój nam po kawałku.

Na drzwiach lodówki zauważył wśród kilku zdjęć rodzinnych fotografię młodej, bardzo ładnej kobiety. Ręką przyciskała do głowy szkocki beret, włosy jej rozwiewał wiatr. Z tyłu widać było londyńską Tower.

- Twoja córka? - zapytał.

Eszti spojrzała na zdjęcie i uśmiechnęła się.

- Tak, Roza, najmłodsza. Uczy się w Londynie. W Cambridge - po wiedziała ze zrozumiałą dumą. - Starsze są tutaj, z rodzinami - wyszły szczęśliwie za mąż, dzięki Bogu. Roza jest ambitna. - Uśmiechnęła się znowu. - Powiedzieć ci coś w tajemnicy, Davidzie? Kocham wszystkie moje dzieci, ale Rozę najbardziej. Peter też. Sądzę, że widzi w niej coś z siebie. Ona ubóstwia nauki ścisłe.

Efektem kilku kolejnych minut krzątania się po kuchni był dzbanek kawy i talerzyki z ciastem na tacy, którą Bourne zaniósł do salonu.

- Więc jesteś kuzynem Feliksa - powiedziała, kiedy usiedli, on na krześle, ona na sofie. Między nimi stał niski stolik, na którym Bourne postawił tacę.

- Tak, i chętnie usłyszałbym coś o nim - odparł Bourne, gdy nalewała kawę. - Tyle że, widzisz, nie mogę go znaleźć, więc pomyślałem sobie... No cóż, miałem nadzieję, że twój mąż

mi pomoże.

- Nie wydaje mi się, żeby wiedział, gdzie jest Felix. - Podala mu kawę i talerzyk z ciastem. - Nie chciałabym cię niepokoić, Davidzie, ale ostatnio był jakiś zdenerwowany. Oficjalnie już od jakiegoś czasu nie pracowali ze sobą, ale utrzymywali ostatnio kontakt listowny. - Wlala śmietankę do swojej kawy. - Wiesz, nigdy nie przestali być dobrymi przyjaciółmi.

- I ta niedawna korespondencja dotyczyła spraw prywatnych?

- Tego nie wiem. - Eszti zmarszczyła brwi. - Przypuszczam, że miała jednak coś wspólnego z ich pracą.

- Ale co? Przyjechałem kawał drogi, żeby znaleźć kuzyna i szczerze mówiąc, zaczynam się trochę martwić. Wszystko, co ty lub twój mąż mi powiecie, może mi pomóc.

- Oczywiście, Davidzie, doskonale cię rozumiem. - Ugryzła kawałek ciasta. - Jestem pewna, że Peter z radością cię zobaczy. Ale teraz jest w pracy.

- Mogłabyś podać mi jego numer?

- Nie na wiele by ci się zdał. Peter w pracy nigdy nie odbiera telefonów. Będziesz musiał pójść do kliniki Eurocenter Bio-I na Hattyu utca 75. przy wejściu musisz przejść przez bramkę detektora metali, a potem jeszcze zatrzymają cię przy recepcji. Z powodu prowadzonych tam prac są wyjątkowo czuli na sprawy bezpieczeństwa. Żeby wejść do części, gdzie pracuje Peter, trzeba mieć specjalny identyfikator, biały dla gości, zielony dla lekarzy, niebieski dla asystentów i personelu pomocniczego.

- Dziękuję za informacje, Eszti. Czy mogę spytać, w czym specjalizuje się twój mąż?

- Jak to, Felix ci nie mówił?

Bourne przelknął łyk doskonałej kawy.

- Jak pewnie dobrze wiesz, Felix jest bardzo skryty. Nigdy nie rozmawiał za mną o swojej pracy.

- Oczywiście. - Eszti zaśmiała się. - Peter też jest taki i biorąc pod uwagę dziedzinę, którą się zajmuje, to chyba lepiej. Jestem pewna, że gdybym dokładnie wiedziała, co robi, nie mogłabym spać. No cóż, jest epidemiologiem.

Serce Bourne zatrzymało się na jedno uderzenie.

- Musi mieć do czynienia z ohydnyimi zarazkami. Wąglik, ptasia grypa, argentyńska gorączka krwotoczna...

Twarz Eszti spochmurniała.

- Nie, nie, proszę, nie mów dalej! - Zamachała pulchną dłonią. - To właśnie są rzeczy, z którymi ma do czynienia Peter i o których nie chcę nic wiedzieć.

- Wybacz. - Bourne pochylił się do przodu i nalał jej jeszcze kawy, za co podziękowała z uśmiechem.

Usiadła głębiej i pijąc kawę, popatrzyła przed siebie w zamyśleniu.

- Coś sobie przypominałam, Davidzie. Nie tak dawno temu Peter wrócił wieczorem do domu bardzo podekscytowany, tak bardzo, że jeden raz zapomniał się i coś mi powiedział. Robiłam obiad, on spóźnił się bardziej niż zwykle, a ja musiałam robić wszystko jednocześnie - pieczeń łatwo wysuszyć na wiór, więc ją wyjęłam z kuchni i włożyłam znowu, kiedy wreszcie stanął w drzwiach. Nie byłam zadowolona, to pewne. - Łyknęła kawy. - O czym to ja...

- Doktor Sido wrócił z pracy bardzo podekscytowany – odpowiedział Bourne.

- A tak, właśnie. - Wzięła w palce kawałek ciasta. - Powiedział, że kontaktował się z Feliksem, który dokonał przełomu w tym czymś, nad czym pracuje od ponad dwóch lat.

Bourne'owi zaschło w gardle. Wydawało mu się dziwne, że losy świata leżą teraz w rękach gospodyni domowej, z którą popija sobie kawę, zagryzając domowym ciastem.

- Czy twój mąż powiedział ci, co to jest?

- No właśnie! - zawołała Eszti. - Właśnie to go tak wtedy podekscytowało. Jakiś rozpylacz biochemiczny, według Petera niezwykle jest w nim to, że jest przenośny. Można go prze-

nieść w futerale do gitary, tak powiedział. - Łagodne oczy spojrzwały na niego. - Czy to nie dziwne jak na naukowe coś?

- Rzeczywiście, interesujące - odparł Bourne, dopasowując w myślach elementy układanki, której rozwiązywanie niejedną raz niemal przyplacił życiem.

Wstał.

- Obawiam się, że muszę już iść. Bardzo dziękuję za gościnność i poświęcony mi czas. Wszystko było doskonale, zwłaszcza placek.

Zarumieniona i uśmiechnięta odprowadziła go do drzwi.

- Koniecznie wpadnij jeszcze, Davidzie, w szczęśliwszych okolicznościach.

- Zrobię tak - zapewnił.

Wyszedł na ulicę. Informacje od Eszti Sido potwierdzały jego najgorsze obawy. Wszyscy chcieli dostać w swoje ręce doktora Schiffera, bo stworzył przenośne urządzenie do rozsiwania w powietrzu chemicznych i biologicznych patogenów. W wielkim mieście, Nowym Jorku czy Moskwie, mogłoby to oznaczać śmierć tysięcy ludzkich istnień, bez możliwości uratowania kogokolwiek w obszarze rozpylania. Prerażający scenariusz, który się spełni, o ile nie znajdzie doktora Schiffera. Jeśli ktokolwiek coś wiedział na ten temat, był to Peter Sido. Już sam fakt, że był ostatnio podekscytowany, potwierdzał to przypuszczenie.

Musi spotkać się z doktorem Sido, im szybciej, tym lepiej.

- Zdaje pan sobie sprawę, że sam pan się prosi o kłopoty – powiedział Fejd al-Saud.

- Wiem - odparł Jamie Hull. - Ale to Borys mnie do tego zmusza.

Wiesz równie dobrze jak ja, że z niego kawał skurwysyna.

- Przede wszystkim - zauważył chłodno Fejd al-Saud - jeśli obstaje pan przy nazywaniu go Borysem, to nie mamy o czym rozmawiać. Skoczycie sobie, panowie, do gardeł. - Rozłożył ręce. - Być może coś mi umknęło, proszę mi więc łaskawie wytłumaczyć, panie Hull: dlaczego chce pan skomplikować zadanie, które i bez tego wystawia na próbę nasze kwalifikacje w dziedzinie ochrony?

Obaj agenci sprawdzali właśnie system wentylacyjny hotelu Oskjuhlid, w którym wcześniej zamontowali czujniki ruchu oraz podczerwieni wykrywające zmiany temperatury. Ten wypadek nie wchodził w zakres codziennych inspekcji systemu, których dokonywała cała trójka agentów.

Za niecałe osiem godzin miała przybyć pierwsza grupa przedstawicieli negocjujących stron. Dwanaście godzin później mieli się pojawić przywódcy i rozpocząć szczyt. Nie było żadnego marginesu błędu dla agentów, w tym również dla Borysa Iljicza Karpowa.

- Chcesz powiedzieć, że ty nie uważasz go za skurwysyna? – spytał Hull.

Fejd al-Saud porównywał jedno z rozgałęzień ze schematem, który trzymał zawsze przy sobie.

- Szczerze powiedziawszy, mam co innego na głowie.

Zadowolony ze stanu rozgałęzienia, ruszył dalej.

- No dobra, skończmy z tymi uprzejmościami. Fejd odwrócił się do Hulla.

- Słucham?

- Chodzi mi o to, że we dwóch tworzymy zgrany zespół, świetnie się rozumiemy, jesteśmy równie dobrzy, jeśli chodzi o kwestie bezpieczeństwa.

- Chodzi panu o to, że świetnie wypełniam pańskie polecenia. Hull poczuł się dotknięty.

- Czy tak powiedziałem?

- Nie musiał pan, panie Hull. Jak większość Amerykanów, łatwo pana rozszyfrować, kiedy nie macie pełnej kontroli nad wszystkim, wściekacie się.

Hull poczuł, że przepelnia go oburzenie.

- Nie jesteśmy dziećmi! -krzyknął.

- Czyżby? - powiedział Fejd al-Saud spokojnie. - Czasami przypominacie mi mojego sześćioletniego syna.

Hull miał ochotę wyjąć swojego glocka 31 kaliber .357 i wepchnąć lufę w twarz Araba. Jak mógł mówić w taki sposób do przedstawiciela rządu Stanów Zjednoczonych? Na miłość boską, to tak jakby napluł na flagę. Ale co by mu dał taki pokaz siły? Bardzo niechętnie musiał przyznać, że trzeba spróbować innej drogi.

- No dobrze, więc co ty na to? - zapytał najspokojniej, jak mógł. Fejd al-Saud wydawał się nieporuszony.

- Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby pan i pan Karpow rozwiązali swoje spory między sobą.

Hull potrząsnął głową.

- Niemożliwe, przyjacielu, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Niestety, Fejd al-Saud istotnie o tym wiedział. Hull i Karpow głęboko zasklepili się we wzajemnej wrogości, a najlepsze, czego można było od nich oczekiwać, to że ograniczą wzajemne ataki do okazjonalnych przytyków, nie dążąc do otwartej wojny.

- Sądzę, że najlepiej się wam przysłużyć, zachowując pozycję neutralną - powiedział. - Jeśli nie ja, kto was powstrzyma od rozszarpania się nawzajem?

Kupiwszy wszystko, czego potrzebował Bourne, Annaka wyszła ze sklepu z męską odzieżą. Gdy zdążyła w stronę dzielnicy teatralnej, zauważyła w witrynie odbicie jakiegoś ruchu za swoimi plecami. Nie zawahała się ani nawet nie zgubiła kroku, tylko zwolniła, upewniając się, że jest śledzona. Spokojnie przeszła przez ulicę i zatrzymała się przed szybą sklepu. Rozpoznała Kevina McColla, gdy przechodził przez jezdnię w ślad za nią, pozornie kierując się w stronę kawiarni na rogu. Wiedziała, że musi go zgubić, zanim wejdzie do sklepu charakterystycznego.

Upewniwszy się, że McColl tego nie widzi, wyciągnęła komórkę i wystukała numer Bourne'a.

- Jason - powiedziała miękko - McColl mnie znalazł.

- Gdzie teraz jesteś? - zapytał.

- Na początku Vaci utca.

- Jestem niedaleko.

- Miałeś nie opuszczać hotelu. Co robisz?

- Odkryłem trop.

- Serio? - Serce zabiło jej szybciej. Czy dowiedział się o Stiepanie? - Co takiego?

- Najpierw zajmijmy się McCollem. Pójdź na Hattyu utca 75 i zaczekaj na mnie w recepcji.

Mówił dalej, przekazując jej szczegółowe instrukcje. Wyслуchała go uważnie, po czym spytała:

- Jason, na pewno dasz radę?

- Po prostu rób, co ci każe - odparł szorstko - a wszystko będzie dobrze.

Rozłączyła się i zadzwoniła po taksówkę. Podala kierowcy adres, który Bourne kazał jej powtórzyć na głos. Gdy odjeżdżali, odwróciła się, ale nie zobaczyła McColla, choć była pewna, że ją śledzi. W chwilę potem obtłuczony ciemnozielony opel przebił się przez ruch uliczny, wpychając się za jej taksówkę. Annaka, patrząc w lusterko boczne, rozpoznała potężną sylwetkę za kierownicą opła i uśmiechnęła się pod nosem. Kevin McColl połknął haczyk. Oby tylko plan Bourne'a zadziałał.

Stiepan Spalko, dopiero co wróciwszy do siedziby Humanistas Ltd. w Budapeszcie, przeglądał właśnie szyfrowane komunikaty światowych służb specjalnych, szukając wiadomości o szczycie, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy.

- Co jest? - zapytał zwięźle.

- Jadę spotkać się z Bourne'em na Hattyu utca 75 - odparła Annaka.

Spalko odwrócił się i odszedł kawalek od techników siedzących przy komputerach de-szyfrujących.

- Wysyła cię do kliniki Eurocenter Bio-I - powiedział. - Wie o Peterze Sido.

- Powiedział, że ma nowy obiecujący trop, ale nie chciał mi powiedzieć jaki.

- Zacięty gość - mruknął Spalko. - Zajmę się Sido, ale ty musisz trzymać go z dala od jego biura.

- Wiem o tym - odparła Annaka. - Tak czy inaczej, uwagę Bourne'a odwróci najpierw ścigający go agent CIA.

- Annako, nie chcę, żeby Bourne zginął. Żywy jest dla mnie zbyt cenny, przynajmniej na razie. - Umysł Spalki porządkował możliwości, odrzucając jedną po drugiej, aż ustalił właściwą. - Resztę zostaw mnie.

Siedząca w taksówce Annaka kiwnęła głową.

- Możesz na mnie liczyć, Stiepanie.

- Wiem.

Patrzyła na przesuwany się za oknem Budapeszt.

- Nie podziękowałam ci jeszcze za zabicie ojca.

- Zasłużył na to od dawna.

- Chan sądzi, że jestem wściekła, bo nie zrobiłam tego sama.

- Ma rację?

W jej oczach pojawiły się łzy, otarła je z pewnym zniecierpliwieniem.

- Był moim ojcem, cokolwiek zrobił... jednak był moim ojcem. Zajmował się mną.

- Dość kłopotliwie, Annako, nigdy naprawdę nie wiedział, jak to robić.

Pomyślała o kłamstwach, które opowiadała Bourne'owi bez mrugnięcia okiem, o idealnym dzieciństwie, o którym marzyła. Ojciec nigdy nie czytał jej na dobranoc, nie przewijał jej. Nigdy nie przyszedł na zakończenie roku - wydawało się, że zawsze był gdzieś daleko; o urodzinach też nigdy nie pamiętał. Kolejna łza spłynęła jej po policzku do kącika ust; słony smak pasował do gorzkich wspomnień.

Potrząsnęła głową.

- Wygląda na to, że dziecko nigdy nie może całkowicie potępić swego ojca.

- Ja potępiłem swojego.

- To co innego - powiedziała. - A poza tym wiem, co czuleś do mojej matki.

- Kochałem ją, tak. - Przywołał w myślach obraz Susy Vadas, jej duże, świetliste oczy, uśmiech, którym otwierała ludzkie serca. - Była wyjątkowa, niezwykła, prawdziwa księżniczka, zgodnie ze znaczeniem swego imienia.

- Byleś takim samym członkiem jej rodziny jak ja - powiedziała Annaka. - Potrafiła w ciebie wejrzeć, Stiepanie. Nie musiałeś jej o niczym mówić, a i tak czuła, przez co przeszedłeś.

- Długo czekałem, żeby zemścić się na twoim ojcu, Annako, ale nigdy bym tego nie zrobił, gdybym nie był pewien, że ty również tego chcesz.

Roześmiała się, całkiem już wróciwszy do siebie. Chwila emocjonalnej słabości teraz budziła w niej niesmak.

- Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę, Stiepanie? Pamiętaj, kogo próbujesz oszukać. Znam cię, zabiłeś go, kiedy było ci to na rękę. I dobrze zrobiłeś, powiedziałby wszystko Bourne'owi, a on zaraz by się do ciebie dobrał. Fakt, że ja też pragnęłam śmierci mego ojca, to czysty zbieg okoliczności.

- Nie bierzesz pod uwagę tego, jak ważna jesteś dla mnie.

- To może prawda, Stiepanie, ale dla mnie bez znaczenia. Nie umiała bym stworzyć więzi uczuciowej, nawet gdybym chciała spróbować.

Martin Lindros wręczył dokumenty Randy'emu Driverowi, dyrektorowi Wydziału Taktycznych Broni Obezwładniających we własnej osobie. Driver, patrząc na Lindrosa tak, jakby go chciał upokorzyć, wziął papiery bez słowa i rzucił na biurko.

Stał w pozie komandosa, wyprostowany, z wciągniętym brzuchem, napiętymi mięśniami, jakby zaraz miał ruszyć do walki. Spojrzenie blisko osadzonych niebieskich oczu wydawało się przeszywać na wskroś. Ulotny zapach środka odkażającego unosił się w wypełnionym metalowymi meblami biurze, jakby Driver chciał odkazić to miejsce przed przyjściem Lindrosa.

- Widzę, że harowałeś jak mrówka od czasu naszego ostatniego spotkania - powiedział, nie patrząc na Lindrosa. Najwyraźniej uznał, że nie zdoła go upokorzyć samym spojrzeniem, i przeszedł do słów.

- Zawsze haruję - odparł Lindros. - A ty tylko przysporzyłeś mi niepotrzebnej roboty.

- Cieszę się. - Twarz Drivera niemal zaskrzypiała od wysiłonego uśmiechu.

Lindros przestąpił z nogi na nogę.

- Dlaczego uważasz mnie za wroga?

- Pewnie dlatego, że nim jesteś. - Driver usiadł za swoim biurkiem ze stali i matowego szkła. - Jak inaczej nazwać kogoś, kto przychodzi rozkopać mój ogródek?

- Po prostu prowadzę śledztwo...

- Nie pieprz, Lindros! - Driver z pobielatą twarzą skoczył na równe nogi. - Polowanie na czarownice wyczuwam z daleka! Jesteś fagasem Starego. Nie oszukasz mnie. Tu nie chodzi o zabójstwo Aleksa Conklina.

- Czemu tak uważasz?

- Bo to śledztwo dotyczy mnie!

To ciekawe. Lindros zdawał sobie sprawę z uzyskanej przewagi i wykorzystał ją, uśmiechając się tajemniczo.

- Dlaczego mielibyśmy cię sprawdzać, Randy?

Starannie dobrał słowa, użył liczby mnogiej, by dać Driverowi do zrozumienia, że działa z pełnym poparciem dyrektora CIA, a imienia, żeby go całkiem wyprowadzić z równowagi.

- Dobrze wiesz dlaczego! - warknął Driver, wpadając w przygotowaną przez Lindrosa pułapkę. - Wiedziałeś to już za pierwszym razem, kiedy tu wpadłeś. Widziałem to w twojej twarzy, kiedy chciałeś rozmawiać z Feliksem Schifferem.

- Chciałem dać ci szansę na usprawiedliwienie, zanim pójdę z tym do dyrektora. - Bawiło go podążanie ścieżką wskazywaną przez Drivera, choć nie miał pojęcia, dokąd go zaprowadzi. Z drugiej strony musiał być ostrożny. Jeden fałszywy ruch, jeden błąd, a Driver popłapie się w tym, że nic nie wie, i zamilknie, czekając na adwokata. - Jeszcze nie jest za późno.

Driver patrzył na niego przez chwilę, przyłożył dłoń do spoconego czoła, zgarbił się lekko i zapadł głębiej w fotel.

- Boże, co za syf- wymamrotał. Całe powietrze z niego uciekło, jakby dostał potężny cios w brzuch. Przesunął wzrokiem po reprodukcjach Marka Rothko na ścianie, jakby w nadziei, że w którejś z nich otworzy się przejście i będzie mógł uciec. Wreszcie pogodzony z losem spojrzał na mężczyznę stojącego cierpliwie przed nim.

Wskazał ręką krzesło.

- Siadaj, wicedyrektorze. - Jego głos był smutny. Kiedy Lindros usiadł, zaczął mówić: - Wszystko zaczęło się od Aleksa Conklina. Zawsze zaczynało się od Aleksa, prawda? - Westchnął, jakby nagle wzruszony nostalgią. - Jakies dwa lata temu Alex przyszedł do mnie z propozycją. Za przyjaźnił się z naukowcem z Agencji Zaawansowanych Projektów Obronnych. Ich spotkanie było przypadkowe, choć, szczerze mówiąc, Alex miał takie kontakty, że wątpię,

by cokolwiek w jego życiu było przypadkowe. Zapewne już domyśliłeś się, że naukowcem tym był Felix Schiffer.

Umilkł na chwilę.

- Zapaliłbym cygaro. Pozwolisz?

- Jasne, nie przeszkadzaj sobie - powiedział Lindros. To wyjaśniało zapach: odświeżacz powietrza. Budynek, jak wszystkie gmachy rządowe, objęty był całkowitym zakazem palenia.

- Zapalisz? - zapytał Driver. - Dostałem je od Aleksa.

Lindros odmówił, a Driver wysunął szufladę, wyjął cygaro z humidora i odprawił cały rytuał zapalania. Lindros wiedział, że w ten sposób uspokaja nerwy. Powąchał pierwszy kłębek dymu dryfujący przez pokój. Kubańskie.

- Alex przyszedł się ze mną spotkać - ciągnął Driver. - Nie, inaczej: zaprosił mnie na obiad. Powiedział, że poznał tego faceta z Agencji Projektów, Feliksa Schiffera, że gość nie znosi wojskowych stamtąd i chce odejść. Spytał, czybym mu nie pomógł.

- A ty po prostu się zgodziłeś?

- Oczywiście. General Baker, szef Agencji Projektów, w zeszłym roku podebrał jednego z moich ludzi. - Driver wypuścił kłąb dymu. - Lubię wyrównywać rachunki i chętnie skorzystałem z szansy, żeby dokopać nadętemu dupkowi Bakerowi.

Lindros poruszył się niespokojnie.

- Czy wtedy Conklin powiedział ci, nad czym pracował Schiffer?

- Jasne. Jego działką było manipulowanie nietrwałymi koloniami bakterii. Pracował nad sposobami oczyszczania pomieszczeń z zarazków.

Lindros wyprostował się.

- Na przykład z węglika?

Driver kiwnął głową.

- Na przykład.

- Daleko w tym doszedł?

Driver wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Ale na pewno Schiffer informował cię o postępach, kiedy zaczął już pracować dla ciebie.

Driver zerknął na niego, po czym wystukał coś na klawiaturze. Obrócił monitor, żeby obaj coś zobaczyli. Lindros pochylał się do przodu.

- Dla mnie to jakiś bełkot, ale ja nie jestem naukowcem.

Driver popatrzył na końcówkę swojego cygara, jakby w chwili prawdy nie był w stanie spojrzeć na Lindrosa.

- To jest bełkot, w zasadzie.

Lindros zamarł.

- Co ty mówisz?

Driver wciąż wpatrywał się w koniuszek cygara.

- To nie może być to, nad czym pracował Schiffer, bo jest kompletnie bez sensu.

Lindros potrząsnął głową.

- Nie rozumiem.

Driver westchnął.

- Cóż, to oczywiście możliwe, że Schiffer nie jest wybitnym specjalistą.

Lindros poczuł, jak w brzuchu tworzy mu się lodowata kula przerażenia.

- Ale istnieje też druga inna możliwość, prawda?

- Tak, skoro już o tym wspomniałeś. - Driver oblizal wargi. - Możliwe, że Schiffer pracował nad czymś całkiem innym, o czym miała nie wiedzieć ani Agencja Projektów, ani my.

- Dlaczego go o to nie zapytałeś?

- Bardzo bym chciał. Problem w tym, że nie wiem, gdzie on jest.
- Skoro ty nie wiesz - odparł gniewnie Lindros - to kto ma, u licha, wiedzieć?
- Tylko Alex wiedział.
- Chryste, przecież Conklin nie żyje! - Lindros pochylił się gwałtownie i wytrącił Driverowi cygaro z ust. - Od kiedy nie ma Schiffera?

Driver zamknął oczy.

- Od sześciu tygodni.

Teraz Lindros zrozumiał, że kiedy przyszedł tu po raz pierwszy, Driver był taki wrogi wobec niego ze strachu; po prostu bał się, że agencja wie o jego rażącym naruszeniu zasad bezpieczeństwa.

- Jak mogłeś na to pozwolić?

Wzrok Drivera zatrzymał się na nim przez moment.

- To przez Aleksa. Ufałem mu. Dlaczego miałbym mu nie ufać? Znałem go od lat, był legendą agencji, na litość boską. I co nagle wykręca? Pomaga zniknąć Schifferowi.

Driver spojrział na leżące na podłodze cygaro, jakby stało się czymś groźnym.

- Wykorzystał mnie, Lindros, zagrał mną jak pionkiem. Nie chodziło mu o to, żeby Schiffer był w moim wydziale, żebyśmy go mieli w agencji. Chciał go wyciągnąć z Agencji Projektów, żeby móc go potem ukryć.

- Dlaczego? - spytał Lindros. - Dlaczego miałby to zrobić?

- Nie mam pojęcia. Sam chciałbym wiedzieć.

Ból w głosie Drivera był niemal namacalny i po raz pierwszy Lindros współczuł mu. Wszystko, co kiedykolwiek słyszał o Alexandrze Conklinie, okazało się prawdą. Był mistrzem manipulacji, ukrywał jakieś ciemne tajemnice, nie ufał nikomu - nikomu poza Jasonem Bourne'em, swoim protegowanym. Rozważał przez chwilę, jak na taki obrót sprawy zareaguje dyrektor. Przyjaźnili się z Conklinem od lat, razem dorastali w agencji - to było ich życie. Polegali na sobie, wzajemnie sobie ufali, a teraz spotka go taki bolesny cios. Conklin złamał chyba wszystkie zasady postępowania w agencji, byle dostać to, czego chciał: doktora Feliksa Schiffera. Oszukał nie tylko Randy'ego Drivera, ale i samą agencję. Jak ochronić Starego przed takimi wieściami? Lecz nawet kiedy o tym rozmyślał, wiedział, że ma przed sobą pilniejszy problem.

- Conklin wiedział, nad czym naprawdę pracuje Schiffer, i chciał to mieć - powiedział. - Ale co to było, do diabła?

Driver spojrział na niego bezradnie.

Stiepan Spalko stał na środku Kapisztran ter, nieopodal oczekującej limuzyny. Nad nim wyrastała wieża świętej Marii Magdaleny, jedyna pozostałość po trzynastowiecznym kościele franciszkanów, zniszczonym przez niemieckie bomby w czasie drugiej wojny. Gdy tak czekał, chłodny powiew unosił poły jego czarnego płaszcza i prześlizgiwał mu się po skórze.

Spojrzał na zegarek. Sido się spóźniał. Dawno temu nauczył się nie martwić na zapas, ale waga spotkania była tak wielka, że nic nie mógł poradzić na ułkucia niepokoju. Kurant na szczycie wieży wygrał kwadrans. Sido był bardzo spóźniony.

Patrząc na fale przechodniów, postanowił właśnie złamać zasady i zadzwonić do Sido na komórkę, kiedy ujrzał naukowca spieszącego w jego kierunku z przeciwległej strony. Miał ze sobą coś, co wyglądało jak walizka z próbkami biżuterii.

- Spóźniłeś się - powiedział Spalko lakonicznie.

- Wiem, ale nic nie mogłem zrobić. - Sido otarł czoło rękawem płaszcza. - Miałem problemy z wydostaniem tego z magazynu. W środku był personel i musiałem czekać, aż w chłodni będzie pusto, żeby nie wzbudzać...

- Nie tutaj!

Spalko miał ochotę uderzyć doktora za mówienie o interesach publicznie, ale tylko chwycił go mocno za ramię i niemal zaciągnął w odludny cień rzucany przez posępną barokową wieżę.

- Zapomniałeś trzymać język za zębami wśród obcych, Peter - powiedział. - Jesteśmy częścią elitarnej grupy, ty i ja. Już ci to mówiłem.

- Wiem - odparł nerwowo Sido - Ale trudno mi...

- Nietrudno ci brać moją forszę, co?

Sido uciekł spojrzeniem.

- Tu jest produkt - powiedział. - Wszystko, o co prosileś, i jeszcze trochę. - Podał walizkę. - Ale miejmy to już za sobą. Muszę wracać do laboratorium. Kiedy zadzwoniłeś, byłem właśnie w trakcie ważnych chemicznych obliczeń.

Spalko odsunął jego rękę.

- Zatrzymaj to, Peter, przynajmniej jeszcze przez chwilę.

Szklą okularów Sido błysnęły.

- Przecież powiedziałeś, że potrzebujesz tego teraz, natychmiast. Mówiłem ci, po włożeniu do pojemnika materiał jest żywy jeszcze tylko przez czterdzieści osiem godzin.

- Pamiętam o tym.

- Nie rozumiem cię. Podjąłem wielkie ryzyko, wynosząc to z kliniki w godzinach pracy. Teraz muszę już wracać, bo...

Spalko uśmiechnął się i mocniej ścisnął jego ramię.

- Nie wracasz, Peter.

- Co?

- Wybacz, że nie wspominałem o tym wcześniej, ale cóż, za sumę, którą ci płacę, chcę nie tylko samego produktu. Chcę również ciebie.

Sido potrząsnął głową.

- To niemożliwe. Wiesz o tym!

- Nic nie jest niemożliwe.

- Ale to jest - odparł twardo Sido.

Z czarującym uśmiechem Spalko wyjął z kieszeni płaszcza fotografię.

- Jak to mówią, nie uwierzysz, póki nie zobaczysz - powiedział, podając mu zdjęcie.

Sido spojrzał na nie i przelknął gwałtownie ślinę.

- Skąd masz zdjęcie mojej córki?

Uśmiech nie znikł z twarzy Spalki.

- Zrobił je jeden z moich ludzi. Zwróć uwagę na datę.

- Wczoraj. - Doktorem o władnęła nagle pasja i podał zdjęcie na strzępy. - W dzisiejszych czasach z fotografią można robić cuda - powiedział głucho.

- Owszem. Ale zapewniam, że ta nie była montowana.

- Kłamiesz! Odchodzę! - powiedział Sido. - Puść mnie.

Spalko puścił jego rękę, a kiedy Sido ruszył, krzyknął do niego:

- Nie chciałbyś porozmawiać z Rozą? - Wyjął telefon komórkowy. - Właśnie teraz?

Sido zatrzymał się w pół kroku, odwrócił się do Spalki, a jego twarz pociemniała z gniewu i słabo maskowanego strachu.

- Powiedziałeś, że jesteś przyjacielem Feliksa; myślałem, że także moim przyjacielem.

Spalko nadal trzymał komórkę w wyciągniętej ręce.

- Roza chciałaby z tobą mówić. Jeśli odejdziesz... - Wzruszył ramionami. Jego milczenie kryło w sobie groźbę.

Powoli, ociężale Sido podszedł do niego z powrotem. Wziął telefon wolną ręką i przytknął do ucha. Jego serce biło tak głośno, że nie był w stanie myśleć.

- Roza?

- Tatusi? Tatusiu! Gdzie ja jestem? Co się dzieje?

Panika w głosie córki przebiła doktora ostrzem grozy. Nie pamiętał, by kiedykolwiek tak się bał.

- Kochanie, co się stało?

- Jacyś ludzie przyszli do mojego pokoju, zabrali mnie, nie wiem dokąd, założyli mi kaptur na głowę i...

- Wystarczy - powiedział Spalko, wyjmując aparat ze zdrętwiałych palców naukowca. Rozłączył się i schował telefon.

- Co jej zrobiliście? - Głos Sido drżał.

- Jeszcze nic - odparł Spalko. - I nic się jej nie stanie, Peter, dopóki będziesz mnie słuchał.

Doktor Sido przetknął ślinę, gdy Spalko znów chwycił go za ramię.

- Dokąd... Dokąd idziemy?

- Jedziemy na wycieczkę. - Spalko skierował go w stronę oczekującej limuzyny. - Pomyśl o tym jak o wakacjach, zasłużonym urlopie.

Rozdział 24

Klinika Eurocenter Bio-I zajmowała nowoczesny budynek barwy ołowiu. Bourne wszedł do niego szybkim i pewnym krokiem kogoś, kto wie, dokąd i po co idzie.

Wnętrze kliniki świadczyło o pieniądzach, i to dużych pieniądzach. Hol wyłożono marmurem, między klasycystycznymi kolumnami stały figury z brązu, w ścianach znajdowały się zwieńczone łukami nisze, a w nich popiersia historycznych półbogów biologii, chemii, mikrobiologii i epidemiologii. Szpetna bramka wykrywacza metali wydawała się szczególnie nie na miejscu w tak dostojnym i bogatym otoczeniu. Za nią stał wysoki kontuar, za którym siedziały trzy wyglądające na poirytowane recepcjonistki.

Bourne przeszedł przez wykrywacz bez kłopotu, ceramiczny pistolet nie włączył alarmu. Przy kontuarze przybrał zdecydowaną pozę.

- Alexander Conklin do doktora Sido - powiedział tak szorstko, że zabrzmiało to niemal jak rozkaz.

- Poproszę o dowód tożsamości, panie Conklin - powiedziała jedna z recepcjonistek, nieświadomie reagując i wykonując polecenie.

Bourne podał jej swój falszowy paszport, na który rzuciła okiem, szybko porównała fotografię z jego twarzą i zwróciła go. Wręczyła mu białą plastikową plakietkę.

- Proszę to zawsze nosić, panie Conklin.

Jego ton i zachowanie sprawiły, że nawet nie zapytała, czy Sido go oczekuje, biorąc za pewnik, że „pan Conklin” ma umówione spotkanie. Bourne posłuchał jeszcze jej wskazówek i ruszył.

„Żeby wejść do części, gdzie pracuje Sido, trzeba mieć specjalny identyfikator, biały dla gości, zielony dla lekarzy, niebieski dla asystentów i personelu pomocniczego”, powiedziała mu Eszti Sido, więc następnym zadaniem było znalezienie odpowiedniego pracownika.

W drodze do Oddziału Epidemiologicznego minął czterech mężczyzn, ale żaden nie miał podobnej do niego sylwetki. Potrzebował kogoś o zbliżonej posturze. Idąc, sprawdzał wszystkie drzwi, które nie były oznaczone jako biuro lub laboratorium, szukał pomieszczeń magazynowych i innych miejsc, do których personel medyczny zaglądał rzadko. Nie przejmował się ekipą sprzątającą, bo raczej nie pojawiała się przed wieczorem.

W końcu zobaczył mężczyznę mniej więcej jego wzrostu i wagi. Nosił zieloną plakietkę, z której wynikało, że to doktor Lenz Morintz.

- Przepraszam, doktorze Morintz - powiedział Bourne z nieśmiałym uśmiechem - czy mógłby mi pan wskazać drogę do Oddziału Mikrobiologicznego? Obawiam się, że zmyliłem drogę.

- W rzeczy samej - odparł Morintz. - Zmierza pan wprost do Oddziału Epidemiologicznego.

- Ojej, całkiem zablądziłem.

- Bez obaw. Teraz musi pan pójść...

Kiedy się odwrócił, żeby wskazać kierunek, Bourne uderzył go kantem dłoni, chwycił upadającego i trochę go niosąc, a trochę wlokąc, dotarł do najbliższego składziku, nie zwracając uwagi na palący ból połamanych żeber.

W środku włączył światło, zdjął kurtkę i upchnął ją w rogu. Zdjął Morintzowi kitel i identyfikator. Związał mu ręce za plecami znalezionym plastrem, obwiązał nogi w kostkach i na koniec zakleił usta. Zaciągnął ciało w róg i ułożył je za stertą kartonów. Wrócił do drzwi, zgasił światło i wyszedł na korytarz.

Przez jakiś czas po przyjeździe do kliniki Eurocenter Bio-I Annaka siedziała w taksówce z włączonym licznikiem. Stiepan jasno dał do zrozumienia, że wkroczyli w końcową fazę misji. Każda decyzja, każdy podjęty krok były najwyższej wagi, najmniejszy błąd mógł doprowadzić do katastrofy. Bourne czy Chan? Nie wiedziała, który jest większą niewiadomą, poważniejszym zagrożeniem. Bourne był wytrwalszy, ale za to Chan nie miał skrupułów. Nie mogła nie zauważyć ironii w jego podobieństwie do siebie.

A jednak odkryła ostatnio, że różni ich więcej, niż kiedyś przypuszczała. Po pierwsze, Chan nie potrafił zabić Bourne'a, choć twierdził, że pragnie jego śmierci. Równie zadziwiające było jego zachowanie, kiedy pochylił się, by pocałować ją w kark. Od chwili gdy go rzuciła, zastanawiała się, czy rzeczywiście coś do niej czuł. Teraz wiedziała, że Chan miał uczucia; potrafił przy odpowiedniej motywacji budować więzi emocjonalne. Szczerze mówiąc, nigdy by w to nie uwierzyła, znając jego przeszłość.

- Proszę pani? - Pytanie taksówkarza przerwało jej rozmyślań. – Czy jest tu pani z kimś umówiona, czy mam panią zawieźć gdzieś jeszcze?

Pochyliła się do przodu i wcisnęła mu zwitek banknotów.

- Reszty nie trzeba.

Nie wysiadła jednak, rozglądając się dokoła i zastanawiając, gdzie podział się Kevin McColl. Łatwo było siedzącemu bezpiecznie w biurze Humanistas Stiepanowi mówić jej, żeby nie przejmowała się agentem CIA, ale to ona znajdowała się w terenie z dobrze wyszkolonym niebezpiecznym zabójcą i z ciężko rannym człowiekiem, którego ten pierwszy miał zabić. Kiedy padną strzały, to ona będzie na linii ognia.

W końcu wysiadła, nerwowo rozglądając się za obtłuczonym zielonym oplem. Kiedy się na tym przylapała, z pomrukiem irytacji weszła przez główne drzwi.

W środku wszystko wyglądało tak, jak jej opisał Bourne. Zachodziła w głowę, jak udało mu się zdobyć tę wiedzę w tak krótkim czasie. Trzeba mu przyznać: miał niezwykłą zdolność znajdowania informacji.

Po przejściu przez wykrywacz musiała się zatrzymać i pokazać ochronie zawartość torebki. Wiernie wypełniając instrukcje Bourne'a, podeszła do marmurowego kontuaru i uśmiechnęła się do jednej z recepcjonistek, która podniosła wzrok na tyle długo, żeby ją zauważyć.

- Nazywam się Annaka Vadas - powiedziała. - Czekam na przyjaciela.

Recepcjonistka kiwnęła głową i wróciła do swojej pracy. Pozostałe dwie odbierały telefony lub wprowadzały dane do komputera. Po chwili zadzwonił kolejny telefon i kobieta, która uśmiechnęła się do Annaki, podniosła słuchawkę. Rozmawiała przez moment, po czym, o dziwo, przywołała ją.

Kiedy Annaka podeszła, recepcjonistka powiedziała:

- Pani Vadas, doktor Morintz oczekuje pani. - Pobieźmie spojrzała na jej prawo jazdy i wręczyła białą plakietkę. - Proszę to cały czas nosić, doktor czeka na panią w swoim laboratorium.

Pokazała jej drogę i zadziwiona Annaka poszła we wskazanym kierunku. Gdy dotarła do prostopadłego korytarza, skręciła w lewo i wpadła na mężczyznę w białym kitlu.

- Przepraszam! Co... ? - Podniosła wzrok i zobaczyła twarz Jasona Bourne'a. Do fartucha miał przypięty zielony identyfikator z nazwiskiem doktora Lenza Morintza. Roześmiała się. - Miło mi pana poznać, doktorze Morintz. - Spojrzała z ukosa. - Całkiem nie przypomina pan swojej fotografii.

- Wiesz, jak to jest z tymi tanimi aparatami - powiedział Bourne, ujął ją za ramię i zaprowadził z powrotem za róg. - Nigdy się dobrze nie wychodzi. - Wyjrzał. - No proszę, jest i CIA, zgodnie z rozkładem.

Annaka zobaczyła Kevina McColla pokazującego legitymację jednej z recepcjonistek.

- Jak przedostał się z bronią przez wykrywacz metali? - zapytała.

- Nie przedostała się - odparł Bourne. - Jak sądzisz, czemu cię tu zaprosiłem?

Wbrew sobie spojrzała na niego z podziwem.

- To pułapka. McColl jest tutaj bez broni.

Rzeczywiście był sprytny i wzbudziło to w niej cień obawy. Miała nadzieję, że Stiepan wiedział, co robi.

- Słuchaj, odkryłem, że były współpracownik Schiffera, Peter Sido, pracuje tutaj, a jeśli ktokolwiek wie, gdzie jest Schiffer, to właśnie Sido. Musimy z nim pomówić, ale najpierw załatwmy raz na zawsze sprawę McColla. Gotowa?

Annaka spojrzała raz jeszcze na McColla i z lekkim drżeniem przytaknęła.

Chan skorzystał z taksówki, by pojechać za zielonym poobijanym oplem; wolał nie używać wynajętej skody, na wypadek gdyby podłożono mu pluskwę. Począł, aż Kevin McColl wjedzie na parking, kazał taksówkarzowi jechać dalej, a gdy agent wysiadł ze swojego opla, zapłacił kierowcy i ruszył za tamtym piechotą.

Poprzedniego wieczoru, po tym jak śledził wracającego od Annaki McColla, zadzwonił do Ethana Hearn i podyktował mu numer rejestracyjny opla. W ciągu godziny Hearn podał mu nazwę i telefon wypożyczalni samochodów, z której skorzystał McColl. Udając agenta Interpolu, wydobyl z przestraszonego pracownika nazwisko McColla i jego adres w Stanach. McColl nie podał adresu w Budapeszcie, ale z typową dla Amerykanów arogancją użył prawdziwego nazwiska, nie było więc problemem zadzwonić do swojego kontaktu w Berlinie, by po przepuszczeniu przez bazę danych okazało się, że chodzi o CIA.

Idący przed nim McColl skręcił w Hattyu utca i wszedł do nowoczesnego szarego budynku pod numerem 75, przypominającego średniowieczną twierdzę. Na szczęście Chan zgodnie ze swym zwyczajem odczekał chwilę, ponieważ McColl nagle wyszedł. Chan patrzył z ciekawością, jak rozgląda się dokoła, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy, wyjmując pistolet i wkłada go szybkim, ostrożnym ruchem do śmietnika.

Chan poczekał, aż McColl wróci do środka, i ruszył za nim, wchodząc do holu przez drzwi ze stali i szkła. Tam zobaczył, jak McColl macha swoimi papierami z agencji. Zauważył bramkę i zrozumiał, czemu agent pozbył się broni. Czy to przypadek, czy pułapka zastawiona przez Bourne'a? Chan tak by właśnie zrobił.

Kiedy McColl dostał identyfikator i zniknął w korytarzu, Chan przeszedł przez wykrywacz i pokazał swój identyfikator Interpolu, zdobyty w Paryżu. To oczywiście zaniepokoiło recepcjonistkę, zwłaszcza po tym, jak zobaczyła człowieka agencji, zaczęła więc rozważać głośno, czy nie powinna zaalarmować ochrony lub zadzwonić na policję, ale Chan spokojnie ją zapewnił, że obaj są tu w tej samej sprawie i wyłącznie po to, by porozmawiać. Jakikolwiek zakłócenia tych działań, ostrzegł ją surowo, mogą prowadzić do nieprzewidzianych trudności, których ona z pewnością sobie nie życzy. Nadal zaniepokojona, kiwnęła głową i gestem kazała mu przejść.

Kevin McColl zobaczył przed sobą Annakę Vadas i wiedział, że Bourne musi być gdzieś blisko. Był pewien, że nie zauważyła, że ją śledzi, ale na wszelki wypadek dotknął małej plastikowej płytki na bransolecie zegarka. W środku znajdowała się nylonowa linka nawinięta na małą szpulkę. Wolałby wypełnić zlecenie na Bourne'a za pomocą pistoletu, szybko i skutecznie. Ciało ludzkie, nieważne jak silne, nie mogło zwalczyć strzału w serce, płuco czy mózg. Metody z użyciem zaskoczenia i brutalnej siły, do których musiał się uciec z powodu wykrywacza metali, zabierały więcej czasu i nie były takie czyste. Zdawał sobie sprawę ze zwiększonego ryzyka i ewentualności, że będzie musiał zabić także Annakę Vadas. Ta myśl wywoła-

ła w nim ułkucie żalu. To ładna, seksowna kobieta; zabicie takiej piękności było sprzeczne z jego naturą.

Zobaczył ją teraz, jak zmierza, był tego pewien, na spotkanie z Jasonem Bourne'em; nie wyobrażał sobie innego powodu, dla którego mogłaby tu być. Podążył za nią, postukując w plastikową płytkę na wewnętrznej stronie nadgarstka i czekając na swoją szansę.

Ze swojego stanowiska w składziku Boume ujrzał przechodzącą obok Annakę. Dokładnie nie wiedziała, gdzie był, ale trzeba jej przyznać, że mijając kryjówkę nie odwróciła głowy ani na milimetr. Jego czule uszy wychwyciły kroki McColla, zanim agent pojawił się w polu widzenia. Każdy ma swój sposób chodzenia, specyficzny krok, nie do pomylenia, o ile celowo go nie zmieni. Chód McColla był ciężki i mocny, złowrogi, bez wątpienia chód zawodowego łowcy.

Boume wiedział, że najważniejszym czynnikiem będzie zgranie w czasie. Jeśli ruszy za szybko, McColl zauważy go i zareaguje, niwecząc element zaskoczenia. Jeśli będzie czekał zbyt długo, musiałby zrobić kilka kroków, żeby go dogonić, ryzykując, że McColl go usłyszy. Ale Bourne wymierzył kroki przeciwnika i był w stanie dokładnie przewidzieć, kiedy zabójca znajdzie się w odpowiednim punkcie. Wyrzucił z umysłu cały ból ciała, zwłaszcza złamanych żeber. Nie wiedział, jak bardzo zmniejszą się jego możliwości, ale musiał zaufać potrójnemu opatrunkowi założonemu przez doktora Ambrusa.

Zobaczył Kevina McColla, wielkiego i groźnego, kiedy mijał uchylone drzwi składziku. Wyskoczył i zadał potężny cios oburącz w prawą nerkę, złapał go i zaczął ciągnąć do składziku.

McColl jednak zdołał się obrócić i z grymasem bólu wystrzelił pięścią w pierś Bourne'a. Kiedy ten zatoczył się do tyłu, McColl rozwinął nylonową linkę i rzucił mu się do gardła. Jason zadał mu kantem dłoni dwa wściekłe ciosy, na pewno bardzo bolesne, mimo to McColl, z nabiegłymi krwią oczami, wciąż nacierał z ponurą determinacją. Zarzucił Bourne'owi linkę na szyję i zacisnął tak mocno, że na ułamek sekundy uniósł go z podłogi.

Bourne zaczął walczyć o oddech, co pozwoliło McCollowi jeszcze mocniej zacieśnić pętlę. Wtedy zrozumiał swój błąd, przestał przejmować się oddychaniem, koncentrując na wyswobodzeniu. Uderzył kolanem w krocze przeciwnika. Z McColla uszło nagle całe powietrze i na moment poluzował chwyt na tyle, że Bourne zdołał wsunąć dwa palce między linkę a swoje gardło.

McColl był jednak silny jak tur i otrząsnął się nadspodziewanie szybko. Z rykiem furii włożył całą energię w ramiona, zaciskając linkę jeszcze mocniej niż przedtem, ale Bourne zdołał już zyskać potrzebną przewagę; zgiął palce i skręcił napinającą się linkę, póki nie pękła jak żyłka pod naporem wielkiej ryby. Wyprowadził ręką przy szyi potężny cios ku górze, trafiając McColla pod szczękę. Głowa agenta poleciała gwałtownie do tyłu i uderzyła we framugę, ale kiedy Jason ruszył na niego, McColl łokciami wepchnął go do składziku. Wpadł tam za nim i chwyciwszy nóż do tektury, zamachnął się, rozcinając kitel. Kolejne cięcie i chociaż Bourne zdołał się odchylić, ostrze rozcięło koszulę, odsłaniając zabandażowany bok.

Z uśmiechem triumfu McColl zaatakował słaby punkt przeciwnika. Przerzucił nóż do lewej ręki, zamarkował pchnięcie i zadał potężny cios na pierś Bourne'a. Ale Jason nie dał się oszukać, zdołał zablokować uderzenie przedramieniem.

McColl ujrzał swoją szansę i zamachnął się nożem wprost na odsłoniętą szyję Bourne'a.

Usłyszawszy pierwsze odgłosy walki, Annaka odwróciła się, ale w tej samej chwili dostrzegła dwóch lekarzy kierujących się w stronę skrzyżowania z korytarzem, na którym wal-

czyli Bourne i McColl. Zgrabnie ustawiła się między nimi a lekarzami i zasypała medyków gradem pytań, cały czas prowadząc ich korytarzem, aż minęli skrzyżowanie.

Teraz szybko uwolniła się od lekarzy i ruszyła z powrotem. Wiedziała, że Bourne ma kłopoty, i pamiętając o poleceniu Stiepana, by zachować go przy życiu, pobiegła korytarzem w stronę walczących. Zanim do nich dotarła, wpadli do składziku. Weszła tam przez otwarte drzwi akurat w chwili, kiedy McColl zamierzył się nożem w szyję Bourne'a.

Rzuciła się na niego, wybijając z rytmu na tyle, że ostrze, błyszcząc w świetle, minęło gardło Bourne'a i skrzesało iskry z metalowego wspornika regału. McColl, który miał ją teraz na skraju pola widzenia, obracając się, uderzył lewym łokciem prosto w jej tchawicę.

Annaka zakrztusiła się i odruchowo złapała za szyję, opadając na kolana. McColl zaatakował nożem, tnąc jej płaszcz. Bourne tymczasem chwycił kawałek linki, który nadal trzymał w jednej ręce, i zarzucił go od tyłu na szyję McColla.

McColl wygiął się, ale zamiast sięgać do gardła, uderzył łokciem w połamane żebra Bourne'a. Ten zobaczył z bólu gwiazdy, lecz nie osłabił chwytu i odciągał napastnika od Annaki, słysząc, jak obcasy McColla szorują po płytkach podłogi, gdy walił w jego żebra z coraz większą desperacją.

McCollowi krew napływała do głowy, żyły wystąpiły mu na szyi jak postronki, oczy niemal wychodziły z orbit. Choć popękały mu naczynka w nosie i na policzkach, wargi odsłoniły pobielale dziąsła, a język miotał się w ustach walczących o oddech, agent zdołał zadać jeszcze jeden, ostatni cios w bok Bourne'a. Jason skrzywił się z bólu i poluzował chwyt, a McColl zaczął odzyskiwać równowagę.

W tym momencie Annaka nierozważnie kopnęła go w brzuch. McColl złapał ją za podniesione kolano i wykręcając je brutalnie, przyciągnął do siebie. Otoczył jej szyję lewym ramieniem, a prawą dłoń położył z boku jej głowy. Miał zamiar skrócić jej kark.

Chan, obserwujący to wszystko ze swej kryjówki w małym ciemnym biurze po przeciwnej stronie korytarza, zobaczył, jak Bourne, wystawiając się na ryzyko, puszcza linkę, którą tak umiejętnie owinął wokół szyi McColla, uderza głową zabójcy o półkę, po czym wsadza mu kciuk w oko.

McColl chciał krzyknąć, ale poczuł między szczękami przedramię Bourne'a i dźwięk tylko zabulgotał mu w płucach. Zaczął kopać i młócić pięściami, lecz ani nie umarł, ani nawet nie upadł na ziemię. Bourne trzasnął go kolbą ceramicznego pistoletu w miękki punkt nad lewym uchem. Dopiero teraz McColl opadł na kolana i uniósł ręce, by przycisnąć je do rannego oka. Ale był to tylko wybieg. Błyskawicznie podciął Annakę i pociągnął ją na ziemię morderczymi dłońmi. Bourne, nie mając innego wyjścia, przytknął lufę do jego szyi i pociągnął za spust.

Strzał był prawie bezgłośny, ale dziura w szyi McColla robiła wrażenie. Nawet martwy, McColl nie puszczał Annaki i Bourne, odłożywszy pistolet, musiał odginać zaciśnięte palce jeden po drugim.

Schylił się i podniósł Annakę. Chan widział jego grymas, widział, jak przyciska jedną rękę do boku. Żebra. Są potłuczone, połamane czy wszystko naraz? - pomyślał.

Wrócił w głąb pustego biura. To on spowodował tę kontuzję. Pamiętał siłę, jaką włożył w cios, co czuł w dłoni, kiedy uderzył - niemal elektryczny impuls, który przeszedł go jakby z ciała Bourne'a, ale, co dziwne, uczucie zadowolenia wcale się nie pojawiło. Zamiast tego musiał podziwiać siłę i niezłomną wolę przetrwania tego człowieka, tytaniczną walkę z McCollem, pomimo ciosów, które otrzymywał w najwrażliwszy punkt.

Dlaczego w ogóle o tym myślę? - zapytał sam siebie gniewnie. Przecież Bourne go porzucił. Mimo bezspornych dowodów uparczywie nie chciał wierzyć w to, że Chan jest jego sy-

nem. Z jakiegoś powodu wolał wierzyć, że jego syn nie żyje. Czy to nie oznacza, że od początku go nie chciał?

- Ekipy pomocnicze przyleciały kilka godzin temu - powiedział Jamie Hull dyrektorowi CIA przez bezpieczne łącze wideokonferencyjne. - Zapoznaliśmy ich ze wszystkim. Teraz brakuje tylko szefów.

- Prezydent właśnie leci - odparł dyrektor, wskazując Lindrosowi krzesło. - Za mniej więcej pięć godzin i dwadzieścia minut postawi stopę na islandzkiej ziemi. Mam nadzieję, że jesteś dobrze przygotowany.

- Oczywiście, że tak. Wszyscy jesteśmy przygotowani.

- Doskonale. - Brwi Starego zmarszczyły się jednak bardziej, gdy spojrzał na notatki na biurku. - Powiedz mi, jak sobie radzisz z towarzyszem Karpowem?

- Proszę się nie obawiać - odrzekł Hull. - Mam to pod kontrolą.

- Kamień spadł mi z serca. Relacje między prezydentem a prezydentem Rosji są napięte. Nie masz pojęcia, ile wysiłku kosztowało skłonić nie Aleksandra Jewtuszenki do przyjazdu na szczyt. Czy wyobrażasz sobie, co się stanie, jeśli Jewtuszenko się dowie, że ty i jego najlepszy spec od bezpieczeństwa najchętniej poderżnęlibyście sobie nawzajem gardła?

- To się nigdy nie wydarzy.

- Oby - warknął Stary. - Informuj mnie na bieżąco.

- Tak jest - powiedział Hull i rozłączył się.

Stary okręcił się z fotelem i przesunął dłonią po siwych włosach.

- To już ostatnie wysiłki, Martinie. Czy ciebie też boli myśl, że tkwisz za biurkiem, podczas gdy Hull zajmuje się wszystkim w terenie?

- Tak, szefie.

Lindros, który wciąż trzymał język za zębami, niemal stracił w tym momencie odwagę, obowiązek wygrał jednak ze współczuciem. Nie chciał zranić Starego, bez względu na to, jak ten go ostatnio traktował.

Odchrząknął.

- Właśnie wróciłem od Randy'ego Drivera.

- I...?

Lindros wziął głęboki wdech i powiedział Staremu, co wyznał mu Driver: że Conklin ściągnął doktora Feliksa Schiffera z Agencji Zaawansowanych Projektów Obronnych do CIA z sobie tylko znanych powodów, że specjalnie „zniknął” Schiffera i że w związku ze śmiercią Conklina nikt nie wie, gdzie jest Schiffer.

Stary walnął dłonią w blat biurka.

- Jezu Chryste! Zaginięcie jednego z wydziałowych naukowców tuż przed rozpoczęciem szczytu to katastrofa. Jeśli to babsko coś wyniucha, wylecę na kopach bez żadnych „ale”, „i” czy „jeśli”.

Przez chwilę nic nawet nie drgnęło w wielkim narożnym gabinecie. Twarze światowych przywódców, przeszłych i obecnych, spoglądały ze zdjęć na dwóch mężczyzn z niemą dezaprobatą.

W końcu dyrektor spytał:

- Chcesz powiedzieć, że Alex Conklin sprzątnął naukowca sprzed nosa Departamentu Obrony i umieścił go u nas, żeby móc go potem wyrwać Bóg wie gdzie i po co?

Lindros, siedzący z rękami na kolanach, milczał, ale wiedział, że lepiej nie unikać spojrzenia Starego.

- No cóż... Chciałem przez to powiedzieć, że tu w agencji tak nie postępujemy, a zwłaszcza nie działał tak Alexander Conklin. To byłoby pogwałcenie wszystkich zasad.

Lindros drgnął na myśl o swoich poszukiwaniach w ściśle tajnych aktach Cztery Zero.

- Często tak robił w terenie, szefie. Wie pan o tym.

Rzeczywiście, Stary wiedział o tym aż za dobrze.

- To co innego - zaprotestował. - Ale to stało się tu na miejscu, to osobisty afront wobec agencji i mnie. - Potrząsnął głową. - Nie mogę w to uwierzyć, Martinie. Jasna cholera, musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie!

Lindros był twardy.

- Wie pan, że nie ma. Bardzo mi przykro, że właśnie ja musiałem przynieść panu te wieści.

Do gabinetu weszła sekretarka Starego, podała mu niedużą kartkę i wyszła. Stary rozwinął kartkę.

Pańska żona chciałaby z panem mówić. Twierdzi, że to ważne. Zgniół papier w palcach i podniósł wzrok.

- Oczywiście, że jest inne wyjaśnienie. Jason Bourne. - Stary spojrzał Lindrosowi prosto w oczy i dodał ponuro: - To zrobił Bourne, nie Alex. To jedyne wyjaśnienie, które ma sens.

- Uważam, że pan nie ma racji, szefie - powiedział Lindros, zbierając siły przed ciężką batalią. - Z całym szacunkiem, sądzę, że pozwala pan, by osobista przyjaźń z Alekssem Conklinem rzutowała na pańską ocenę sytuacji. Po przestudiowaniu akt Cztery Zero uważam, że nikt nie był bliżej Conklina niż Jason Bourne, nawet pan.

Stary uśmiechnął się tajemniczo.

- Och, tu masz rację. I właśnie dlatego, że Bourne znał Aleksa tak dobrze, mógł wykorzystać jego zaangażowanie w sprawę doktora Schiffera. Wierz mi, Bourne coś wywąchał i postanowił to mieć.

- Nie ma na to dowodu...

- Ależ jest. - Stary poprawił się w fotelu. - Tak się składa, że wiem, gdzie jest Boume.

Lindros wytrzeszczył na niego oczy.

- Fo utca 106/108 - odczytał dyrektor z kartki. - W Budapeszcie. - Rzucił zastępcy ciężkie spojrzenie. - Czy nie mówiłeś mi przypadkiem, że za broń użytą do zabicia Aleksa i Mo Panova zapłacono z konta w Budapeszcie?

Serce Lindrosa zatrzymało się na ułamek sekundy.

- Tak, szefie.

Stary pokiwał głową.

- Dlatego dałem ten adres Kevinowi McCollowi.

Twarz Lindrosa zbieleła.

- O mój Boże. Muszę porozmawiać z McCollem.

- Rozumiem cię, Martinie, naprawdę. - Stary wskazał głową telefon. - Dzwon, jeśli chcesz, ale wiesz, jaki jest skuteczny. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Bourne już nie żyje.

Bourne zamknął kopnięciem drzwi składziku i zdjął pokrwawiony kitel. Miał już go narzucić na ciało, kiedy zauważył małą diodę migającą przy biodrze McColla. Telefon komórkowy. Przykucnął, wyjął aparat z plastikowego futerału i otworzył klapkę. Zobaczył numer i natychmiast zrozumiał, kto dzwoni. Wpadł w furję.

Odebrał i rzucił dyrektorowi:

- Oby tak dalej, będziecie płacić grabarzom nadgodziny!

- Bourne! - krzyknął Lindros. - Zaczekaj!

Nie zaczekał. Zamiast tego rzucił telefon o ścianę z taką siłą, że aparat otworzył się jak ostryga. Annaka patrzyła na niego badawczo.

- Stary wróg?

- Stary głupiec - warknął Bourne, podnosząc skórzaną kurtkę. Jęknął bezwiednie, gdy ból uderzył w niego jak młotem.

- Wygląda na to, że McColl nieźle cię urządził - stwierdziła Annaka.
Bourne narzucił kurtkę z białą plaketką gościa, żeby ukryć rozdartą koszulę. Był całkowicie skoncentrowany na znalezieniu doktora Sido.

- A co z tobą? Zrobił ci jakąś krzywdę?

Powstrzymała się przed potarciem czerwonego śladu na szyi.

- O mnie się nie martw.

- Zatem nie martwmy się o siebie - powiedział Bourne, biorąc z półki butelkę środka czyszczącego i próbując szmatką zmyć z jej płaszcza krew. - Musimy jak najszybciej dostać się do doktora Sido. Doktora Morintza wcześniej czy później zaczną szukać.

- A gdzie jest Sido?

- Na Oddziale Epidemiologicznym. - Wskazał dłonią. - Chodźmy.

Wyjrzał zza drzwi, upewniając się, że nikogo w pobliżu nie ma. Kiedy wyszli na korytarz, zauważył, że drzwi biura naprzeciwko są uchylone. Zrobił krok w ich kierunku, ale nagle usłyszał głosy zbliżające się z tamtej strony i szybko zawrócił. Potrzebował chwili, żeby się zorientować, gdzie są, a następnie przeszli przez kilka par wahadłowych drzwi do Oddziału Epidemiologicznego.

- Sido jest w 902 - powiedział, przyglądając się numerom na mijanych drzwiach.

Oddział miał kształt kwadratu z otwartą przestrzenią pośrodku. Drzwi do biur i laboratoriów rozmieszczone były w równych odstępach na czterech ścianach, z wyjątkiem metalowych, okratowanych, zamykanych od zewnątrz drzwi wyjściowych pośrodku przeciwległej ściany. Skrzydło musiało znajdować się na tyłach kliniki, bo z oznaczeń na schowkach po obu stronach drzwi wynikało, że wywożono przez nie niebezpieczne odpady.

- To jego laboratorium - powiedział Bourne, przyspieszając kroku.

Annaka, idąc tuż za nim, zauważyła skrzyneczkę alarmu przeciwpożarowego na ścianie, dokładnie tam, gdzie mówił Stiepan. Podniosła szybko w chwili, gdy Bourne zapukał do drzwi laboratorium. Nie było odpowiedzi, nacisnął więc klamkę i właśnie wchodził do środka, kiedy Annaka pociągnęła za rączkę, uruchamiając alarm.

Budynek nagle wypełnił się ludźmi. Pojawiło się trzech strażników; było jasne, że to sprawni fachowcy. Bourne w desperacji przeszukiwał puste laboratorium. Zauważył kubek z niedopitą kawą i monitor z włączonym wygaszaczem ekranu. Nacisnął klawisz „escape” i górną część ekranu wypełniła skomplikowana formuła chemiczna. Poniżej znajdował się tekst: Produkt należy utrzymywać w temperaturze -32° Celsjusza ze względu na jego ogromną wrażliwość. Jakikolwiek ciepło czyni go natychmiast nieaktywnym. W narastającym chaosie Bourne myślał rozpaczliwie. Doktora Sido co prawda nie znalazł, ale musiał tu być niedawno, wszystko wskazywało na to, że wychodził w pośpiechu.

Teraz do pomieszczenia wbiegła Annaka.

- Jason, ochrona sprawdza wszystkim identyfikatory. Musimy się stąd wynosić. - Pociągnęła go za rękaw. - Jeśli dostaniemy się do tylnego wyjścia, mamy szansę ucieczki.

W korytarzu panował chaos. Alarm uruchomił zraszacze, a ponieważ w laboratoriach było pełno łatwopalnych materiałów, nie mówiąc już o zbiornikami tlenu, pracowników ogarnęła panika. Ochrona, próbująca sprawdzić tożsamość każdego, miała trudności z uspokajaniem personelu.

Bourne kierował się z Annaka w stronę drzwi wyjściowych, gdy zauważył torującego sobie w tłumie drogę w ich kierunku Chana. Złapał Annakę i ustawił się pomiędzy nią a nadchodzącym zabójcą. Zastanawiał się, jakie są jego zamiary. Chce ich zabić czy przejąć? Czy sądzi, że Bourne powie mu wszystko, czego się dowiedział o Feliksie Schifferze i rozpylaczu biochemicznym? Nie, w wyrazie twarzy Chana dostrzegł coś innego, jakąś chłodną kalkulację, której wcześniej nie widział.

- Posłuchaj! - zawołał Chan, starając się przekrzyczeć hałas. - Bourne, musisz mnie posłuchać!

Ale Jason, ciągnąc Annakę, wypadł przez metalowe drzwi na alejkę na tyłach kliniki, gdzie zaparkowano ciężarówkę do przewozu odpadów. Przed nią stało sześciu ludzi z karabinami maszynowymi. Bourne rozumiał, że to pułapka, odwrócił się i instynktownie krzyknął coś do Chana, który wyszedł za nimi.

Annaka, odwróciwszy się, zauważyła w końcu Chana i kazała dwóm ze swoich ludzi otworzyć ogień, on jednak posłuchał ostrzeżenia Bourne'a i uskoczył w bok na ułamek sekundy, zanim grad pocisków rozsiekał patrol ochrony, który przybył sprawdzić, co się dzieje. Wewnątrz budynku rozpętało się piekło; pracownicy z krzykiem uciekali w popłochu przez wahadłowe drzwi w stronę głównego wejścia.

Dwóch mężczyzn złapało Bourne'a od tyłu, ale on okręcił się i zaatakował.

- Znajdźcie go! - usłyszał krzyk Annaki. - Znajdźcie Chana i zabijcie!

- Annaka, co...

Patrzył w osłupieniu, jak dwaj mężczyźni, którzy strzelali, przebiegają obok niego, przeskakując nad płataniną podziurawionych kulami ciał.

Zmusił się do działania, kładąc jednego z nich ciosem w twarz, ale jego miejsce natychmiast zajął drugi.

- Uważaj! - ostrzegła Annaka. - On ma broń.

Ktoś wykręcił mu rękę na plecy. Bourne uwolnił ją i uderzył z całej siły, łamiąc nos niedoszłego zwycięzcy. Trysnęła krew i mężczyzna upadł do tyłu z rękami przy rozbitej twarzy.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - spytał Jason.

I wtedy Annaka, uzbrojona w pistolet maszynowy, podeszła do niego i uderzyła kolbą w połamane żebra. Zaparło mu dech, wygiął się w tył, tracąc równowagę. Kolana miał jak w waty, a cierpienie było przez chwilę niewyobrażalne. Chwycili go, jeden z mężczyzn uderzył go w bok głowy i Bourne ponownie zwiotczał w ich rękach.

Tymczasem powróciła dwójka wysłana do przeszukania budynku.

- Nie ma po nim śladu - zameldowali Annace.

- Nieważne - powiedziała, wskazując wijącego się na ziemi człowieka. - Zabierzcie go do samochodu. Szybko!

Odwróciła się do Bourne'a i zobaczyła, że mężczyzna z rozbitym nosem przyłożył mu lufę pistoletu do głowy. Jego oczy błyszczały w furii i wydawał się bliski naciśnięcia spustu.

Annaka odezwała się spokojnie, lecz pewnie:

- Odlóż broń. Mamy go zabrać żywego. - Patrzyła na niego, nie wykonując żadnego gestu. - To rozkaz Spalki, wiesz o tym.

Po dłuższej chwili mężczyzna odłożył pistolet.

- Dobrze - rzuciła. - Do ciężarówki.

Bourne patrzył na nią gniewnie, nie mógł darować jej zdrady.

Uśmiechając się, Annaka wyciągnęła rękę i jeden z mężczyzn podał jej strzykawkę wypełnioną przezroczystym płynem. Pewnym ruchem wbiła ją w żyłę Bourne'a i obraz wkrótce rozmył się przed jego oczami.

Rozdział 25

Hasan Arsienow zlecił Zinie zadbanie o wygląd oddziału, jakby była stylistką. Jak zawsze potraktowała rozkaz poważnie, choć nie bez głęboko skrywanego cynizmu. Niczym planeta krążąca wokół słońca, znalazła się teraz w strefie przyciągania Szejka. Jak to miała w zwyczaju, duchem i ciałem całkowicie opuściła już orbitę Hasana. Zaczęło się tamtej nocy w Budapeszcie: - choć prawdę mówiąc, nasiona musiały zostać zasiane wcześniej, by wydać owoce pod palącym słońcem Krety. Uczepiła się wspomnień wspólnych chwil na śródziemnomorskiej wyspie, jakby była to prywatna legenda, którą dzieliła tylko z nim. Byli Tezeuszem i Ariadną. Szejk opowiedział jej mit o strasznym życiu i krwawej śmierci Minotaura. Razem z nim wkroczyła do rzeczywistego labiryntu i razem z nim zwyciężyła. W gorące drogocennych świeżych wspomnień nigdy nie przyszło jej na myśl, że wpisała się w mit Zachodu, że zbliżywszy się do Stepana Spalki, odsunęła się od islamu, który wykarmił ją i wychował na swym łonie, stając się jej wybawieniem i jedynym pocieszeniem podczas mrocznych dni spędzonych pod rosyjskim jarzmem. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że przyjąwszy jedno, musiała odrzucić drugie. Lecz nawet gdyby stało się inaczej, ze swoją cyniczną naturą i tak dokonałaby tego samego wyboru.

Dzięki jej wiedzy i umiejętnościom mężczyźni, którzy wysiedli o zmierzchu z samolotu na lotnisku Keflavik, byli gładko ogoleni, ostrzyżeni po europejsku, wbici w ciemne garnitury zachodnich biznesmenów i tak uprzejmi, że zupełnie anonimowi. Kobiety nie nosiły hidżabów, tradycyjnych chust zakrywających twarz. Miały europejskie makijaże i eleganckie paryskie stroje. Bez kłopotów przeszli przez odprawę celno-paszportową, używając fałszywych francuskich dokumentów dostarczonych przez Spalkę.

Teraz zgodnie z rozkazami Arsienowa pilnowali się, żeby mówić tylko po islandzku, nawet we własnym gronie. Przy stoisku jednej z wypożyczalni samochodowych w terminalu Arsienow wynajął jeden wóz osobowy i trzy furgonetki dla oddziału, który składał się z sześciu mężczyzn i czterech kobiet. On i Zina pojechali samochodem do Reykjavíku, reszta oddziału ruszyła furgonetkami na południe, do miasteczka Hafnarfjörður, najstarszego portu w Islandii, gdzie Spalko wynajął duży drewniany dom na szczycie skały z widokiem na przystań. Kolorową osadę skromnych domków otaczały od strony lądu gejzery, wypełniając powietrze mgłą, w której traciło się poczucie czasu. Łatwo było sobie wyobrazić, że wśród jaskrawo pomalowanych rybackich łodzi stojących burta przy burcie na brzegu drużyna wikingów przygotowuje długi smukły okręt na kolejną krwawą wyprawę.

Arsienow i Zina jechali przez Reykjavík, zapoznając się z ulicami, które przedtem widzieli tylko na mapach, i próbując się zorientować w specyfice i natężeniu ruchu drogowego. Miasto było malownicze, zbudowane na półwyspie w taki sposób, że prawie z każdego miejsca widziało się białe, przykryte śniegiem szczyty gór i atramentowe wody północnego Atlantyku. Sama wyspa powstała na skutek ruchu płyt tektonicznych, gdy Ameryka oddzieliła się od Europy. Względnie młoda skorupa wyspy była cieńsza niż otaczające ją masy kontynentalne, skąd brała się niezwykle silna aktywność geotermiczna, wykorzystywana do ogrzewania islandzkich domów. Całe miasto podłączone było do rurociągu elektrociepłowni Reykjavík.

W centrum miasta minęli nowoczesny i dziwnie niepokojący kościół Hallgrímskirkja, który wyglądał jak rakieta kosmiczna z literatury science fiction. Była to z pewnością najwyższa budowla w Reykjavíku, który charakteryzował się dość niską zabudową. Odnaleźli gmach Ministerstwa Zdrowia i stamtąd pojechali do hotelu Oskjuhlid.

- Jesteś pewien, że wybiorą właśnie tę trasę? - zapytała Zina.
- Calkowicie. - Arsienow kiwnął głową. - Ta droga jest najkrótsza, a będą chcieli dostać się do hotelu tak szybko, jak to tylko możliwe.

W pobliżu hotelu roilo się od agentów amerykańskiej, arabskiej i rosyjskiej ochrony.

- Zrobili z tego istną fortecę - zauważyła Zina.
- Dokładnie tak, jak pokazują zdjęcia, które przestał nam Szejik - odrzekł Arsienow z lekkim uśmiechem. - Liczebność personelu nie ma dla nas najmniejszego znaczenia.

Zaparkowali i ruszyli od sklepu do sklepu, robiąc rozmaite zakupy. Arsienow czuł się znacznie lepiej w metalowej kapsule wypożyczonego samochodu; wmieszany w tłum, z bolesną wyrazistością zdał sobie sprawę ze swojej obcości. Jakże różnił się od tych szczupłych, jasnoskórych, błękitnookich ludzi! Z czarnymi włosami i oczami, grubymi kośćmi i śniadą cerą czuł się niezgrabny jak neandertalczyk wśród praludzi z Cro--Magnon. Zina, jak się przekonał, nie miała takich problemów. Z niepokojącym entuzjazmem poznawała nowe miejsca, nowych ludzi, nowe myśli. Martwił się o nią, martwił o jej wpływ na dzieci, które będą mieli pewnego dnia.

Dwadzieścia minut po operacji na tyłach kliniki Eurocenter Bio-I Chan wciąż zastanawiał się, czy kiedykolwiek odczuwał silniejszą chęć zemsty na wrogu. Mimo że przewaga liczebna i militarna była po stronie przeciwnika, mimo że jego racjonalny umysł - zwykle panujący nad każdym działaniem - aż nazbyt dobrze rozumiał szaleńczą lekkomyślność zaatakowania ludzi, których Spalko nastął na niego i Jasona Bourne'a, inna część jego osobowości pałała żądzą odpowiedzi ciosem za cios. Co najdziwniejsze, ostrzeżenie ze strony Bourne'a wzbudziło w nim irracjonalne pragnienie, by rzucić się w wir bitwy i rozerwać ludzi Spalki na strzępy. Było to uczucie, które pochodziło z samego rdzenia jego istoty, i tak dojmujące, że pozbawiło go całej siły woli, która nakazywała wycofać się i ukryć przed ludźmi nastanymi przez Annakę. Mógłby załatwić tych dwóch, ale jaki miałby z tego pożytek? Annaka wysłałaby przeciwko niemu następnych.

Siedział w Grendel, kawiarni znajdującej się niecałe dwa kilometry od kliniki, w której teraz roilo się od policjantów i agentów Interpolu. Pił podwójne esspresso i myślał o pierwotnym uczuciu, które wciąż trzymało go w uścisku. Raz jeszcze przypomniał mu się zatroskany wyraz twarzy Bourne'a, gdy spostrzegł, że Chan wpadnie za chwilę w sidła, w których on już był. Jakby bardziej niż na własnym bezpieczeństwie zależało mu na ostrzeżeniu Chana. Ale przecież to niemożliwe, prawda?

Chan nie miał w zwyczaju rozpamiętywać niedawnych wydarzeń, choć teraz właśnie to robił. Kiedy Jason i Annaka ruszyli do wyjścia, próbował ostrzec przed nią Bourne'a, ale było już za późno. Co go do tego skłoniło? Z pewnością niczego takiego nie zaplanował. Podjął decyzję spontanicznie, pod wpływem chwili. Ale czy na pewno? Z wstrząsającą wyrazistością przypomniał sobie, co czuł, gdy zobaczył żebra Bourne'a. Czyżby była to skrucha? Niemożliwe!

Przyprawiało go to o szaleństwo. Nie dawała mu spokoju jedna myśl: moment gdy Bourne dokonał wyboru między pozostaniem bezpiecznie za śmiercionośnym stworem, jakim stał się McColl, a narażeniem się dla Annaki. Do tamtej chwili usiłował oswoić się z myślą, że David Webb, profesor college'u, był Jasonem Bourne'em, międzynarodowym zamachowcem, pracującym w jego zawodzie. Jednak żaden zamachowiec, którego znał, nie wystawiłby się na niebezpieczeństwo, żeby ochronić Annakę.

Kim w takim razie był Jason Bourne?

Potrząsnął głową, zły na siebie. Było to pytanie, które, choć przyprawiało go o szaleństwo, musiał na razie odsunąć na bok. Zrozumiał w końcu, dlaczego Spalko go wezwał, kiedy był w Paryżu. Został wystawiony na próbę, której według Spalki nie przeszedł. Teraz Spalko

widział w nim zagrożenie, a dla Chana stał się wrogiem, przeciwnikiem, godnym tylko jednego sposobu radzenia sobie z wrogami: wyeliminowaniem ich. Chan doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa; powitał je jako wyzwanie. Spalko był głęboko przekonany, że potrafi go pokonać, więc skąd mógł wiedzieć, że ta arogancja tylko podsyci jego gniew?

Chan dopił kawę i otworzywszy kłapkę telefonu komórkowego, wybrał numer.

- Właśnie miałem do Ciebie zadzwonić, ale wolałem poczekać, aż wyjdę z budynku - powiedział Ethan Hearn. - Coś się kroi.

Chan spojrział na zegarek. Nie było jeszcze piątej.

- Co?

- Jakieś dwie minuty temu zauważyłem zbliżającą się furgonetkę HAZMAT-u i zjechałem do piwnicy w samą porę, żeby zobaczyć dwóch facetów i kobietę wnoszących jakiegoś mężczyznę na noszach.

- Ta kobieta to Annaka Vadas - stwierdził Chan.

- Niezła laska.

- Posłuchaj mnie, Ethan - powiedział Chan z naciskiem - jeśli się na nią natkniesz, zachowaj najwyższą ostrożność. Jest cholernie niebezpieczna.

- Wielka szkoda - rozmarzył się Hearn.

- Nikt Cię nie widział? - Chan wolał zmienić temat.

- Nikt - odrzekł Hearn. - Miałem się na baczności.

- Dobrze. - Chan zastanawiał się przez moment. - Czy możesz się dowiedzieć, dokąd dokładnie zabrali tego mężczyznę?

- Już to wiem. Obserwowałem windę, kiedy wieźli go na górę. Jest na trzecim piętrze. To osobiste piętro Spalki; można się tam dostać tylko z kartą do zamka magnetycznego.

- Możesz ją zdobyć? - spytał Chan.

- Wykluczone. Cały czas trzyma ją przy sobie.

- Będę musiał znaleźć jakiś inny sposób.

- Myślałem, że na zamki magnetyczne nie ma mocnych.

Chan roześmiał się chrapliwie.

- Tylko głupcy w to wierzą. Do zamkniętego pokoju zawsze jest jakieś wejście, Ethanie, podobnie jak zawsze jest z niego wyjście.

Wstał, rzucił na stół pieniądze i wyszedł z kawiarni. W tej chwili wolał nie pozostawać w jednym miejscu zbyt długo.

- Skoro już o tym mowa, muszę się dostać do Humanistas.

- Masz kilka możliwości...

- Podejrzewam, że Spalko się mnie spodziewa. - Chan przeszedł przez ulicę, czujnie patrząc, czy nikt go nie śledzi.

- To co innego - przyznał Hearn. Umilkł na moment, zastanawiając się nad problemem, po czym powiedział: - Poczekaj sekundę. Chyba coś mam, ale muszę sprawdzić. Dobra, już jestem. - Roześmiał się z satysfakcją. - Rzeczywiście coś mam. Myślę, że ci się to spodoba.

Arsienow i Zina przyjechali do domu dziewięćdziesiąt minut po pozostałych. Do tego czasu członkowie oddziału przebrali się w dzinsy i bluzy robocze i wprowadzili furgonetkę do dużego garażu. Kobiety zajęły się torbami z żywnością kupioną przez Arsienowa i Zinę, mężczyźni otworzyli skrzynię z czekającą na nich bronią i przygotowali pojemniki z farbą w sprayu.

Arsienow wyjął zdjęcia otrzymane od Spalki i zaczęli malować furgonetkę na oficjalny kolor pojazdu rządowego. Kiedy lakier sechł, wprowadzili do garażu drugą furgonetkę. Używając szablonu, na obu bokach namalowali napis HAFNADFJORDUR FINE FRUIT A VEGETABLES.

Wrócili do domu, w którym unosił się zapach ugotowanego przez kobiety posiłku. Zanim zasiedli do stołu, odmówili modlitwę. Zina, czując przebiegające przez ciało iskry podniecenia, modliła się do Allaha z czystego nawyku, myśląc jednocześnie o Szejku i swojej roli w odniesieniu zwycięstwa, od którego dzielił ich zaledwie jeden dzień.

Rozmowa przy kolacji była ożywiona, pełna napięcia i oczekiwania. Arsienow, który zwykle krzywo patrzył na takie rozprężenie, tym razem pozwolił im na swobodne zachowanie, jednak tylko przez pewien czas. Zostawiwszy kobiety, aby posprzątały, poprowadził mężczyzn z powrotem do garażu, gdzie dokleili oficjalne oznaczenia rządowe na przodzie i bokach furgonetki. Następnie wyprowadzili ją na zewnątrz i zajęli się trzecim wozem, który pomalowali barwami elektrociepłowni Reykjavik.

Potem wszyscy byli wyczerpani i gotowi do snu - następnego dnia musieli wstać wczesnym rankiem. Mimo to Arsienow kazał im powtórzyć role, jakie mieli do odegrania w operacji, wymagając, aby mówili po islandzku. Nie, nie wątpił w nich, cała dziewiątka już dawno dowiodła swej wartości. Wszyscy byli sprawni fizycznie, twardzi psychicznie i, co bodaj najważniejsze, zupełnie pozbawieni skrupułów. Ale żaden nie brał jeszcze udziału w operacji zakrojonej na tak szeroką skalę, o takim znaczeniu i ogólnoświatowych konsekwencjach; bez NX 20 nigdy nie mieliby podobnej okazji. Dlatego Arsienow przyglądał się z satysfakcją, jak mobilizują ostatnie rezerwy sił i wigoru, aby powtórzyć swoje zadania z bezbłędną precyzją.

Pogratulował im, a potem, jakby byli jego rodzonymi dziećmi, powiedział z sercem przepelnionym miłością:

- La illaha ill Allah.

- La illaha ill Allah - odpowiedzieli chórem z takim przywiązaniem płonącym w źrenicach, że Arsienow wzruszył się niemal do łez. Teraz, gdy patrzyli sobie w oczy, uprzytomnili sobie cały ogrom czekającego ich zadania. Sam Arsienow zaś widział w nich wszystkich rodzinę zgromadzoną w dziwnym i obcym kraju tuż przed najwspanialszą chwilą, jakiej ich naród kiedykolwiek doświadczy. Nigdy jeszcze przyszłość nie rysowała mu się z taką jasnością, nigdy jeszcze poczucie misji i słuszności ich sprawy nie wydawało mu się tak oczywiste. Dziękował losowi, że są tu wszyscy razem.

Kiedy Zina wybierała się na górę, położył rękę na jej ramieniu, lecz spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Muszę im pomóc z utleniaczem - powiedziała. Pozwolił jej odejść.

- Niechaj Allah ześle ci spokojny sen - szepnęła, idąc po schodach na górę.

Arsienow leżał w łóżku i jak zwykle nie mógł zasnąć. Obok na wąskiej pryczy Ahmed chrapał jak niedźwiedź. Lekki wietrzyk poruszał zasłonami w otwartym oknie; Arsienow przyzwyczaił się do zimna w młodości; teraz wręcz je lubił. Wpatrywał się w sufit, myśląc, jak zawsze po zmroku, o Chalidzie Muracie, o zdradzie, jakiej się dopuścił wobec swojego mentora i przyjaciela. Pomimo konieczności zamachu jego osobisty brak lojalności wciąż nie dawał mu spokoju. I miał w nodze ranę, która choć dobrze się goiła, pulsowała bólem przypominającym mu o tym, co uczynił. Ostatecznie zawiódł Chalida Murata i nic, co by teraz zrobił, nie było w stanie tego zmienić.

Wstał, wyszedł na korytarz i cicho zszedł po schodach na dół. Spał w ubraniu, jak zawsze, więc wyszedł na mroźne nocne powietrze, wyciągnął papierosa i zapalił. Nie było drzew; nie słyszał żadnych owadów. Nisko nad horyzontem nadęty księżyc płynął przez rozgwieżdżone niebo.

Kiedy Arsienow oddalał się od domu, jego znękany umysł rozjaśniał się i uspokajał. Może po wypaleniu papierosa uda mu się przespać kilka godzin przed zaplanowanym na trzecią trzydzieści spotkaniem z łodzią Spalki.

Miał właśnie zgasić papierosa i zawrócić, gdy usłyszał jakieś szepty. Zaniepokojony, wyciągnął pistolet i rozejrzał się dookoła. Niesione nocnym wiatrem głosy dobiegały zza dwóch wielkich głazów sterczących niczym rogi dzikiej bestii ze szczytu skalnego urwiska.

Wyrzucił niedopałek, przydeptał go i ruszył w stronę głazów. Mimo koniecznych środków ostrożności nie zawahałby się nafaszerować ołowiem ludzi, którzy ich szpiegowali.

Kiedy jednak wyjrzał zza głazu, nie zobaczył niewiernych, lecz Zinę. Rozmawiała ścisłym głosem z inną, potężniejszą postacią, której nie mógł rozpoznać. Podkraśl się trochę bliżej. Nie słyszał słów, lecz zanim zauważył dłoń Ziny na ramieniu nieznanego, rozpoznał tembr głosu, którego używała, kiedy go uwodziła.

Przycisnął pięść do skroni, jakby próbował pozbyć się nagłego bólu głowy. Chciało mu się wyć, gdy patrzył, jak palce Ziny zakrzywiają się niczym odnóża pająka, a paznokcie drapią przedramię - czyje?... Kogo próbowała uwieść? Zazdrość pchnęła go do działania. Rzykując, że zdradzi swoją obecność, podkraśl się jeszcze bliżej i wyjrzał na światło księżycy. Jego oczom ukazała się twarz Mahometa.

Ślepa furia ścisnęła mu gardło; zatrzęsł się gwałtownie na całym ciele. Pomyślał o swoim mentorze. Jak postąpiłby Chalid Murat? Bez wątplenia podszedłby, wysłuchał wyjaśnień obu stron i na tej podstawie dokonałby osądu.

Arsienow wyprężony jak struna podszedł do nich i wyciągnął przed siebie prawe ramię. Mahomet, który stał zwrócony twarzą do niego, zauważył go i raptownie się cofnął, wyrwijąc Zinę. Otworzył szeroko usta, lecz zdjęty przerażeniem nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa.

- Mahomecie, o co chodzi? - zapytała Zina i obróciwszy się, zobaczyła Arsienowa. - Hasan, nie! - krzyknęła w momencie, gdy pociągnął za spust.

Pocisk wleciał w otwarte usta Mahometa i roztrzaskał mu tył czaszki. Siła uderzenia odrzuciła go do tyłu w rozbryzgującą się krew i kawałki mózgu.

Arsienow wycelował pistolet w Zinę. Tak, pomyślał, Chalid Murat na pewno zachowałby się inaczej, ale Chalid Murat zginął, a on, Hasan Arsienow, autor jego śmierci, żyje i przejął po nim dowództwo właśnie z tego powodu. To już inny świat.

- Teraz kolej na ciebie - warknął.

Patrząc w jego czarne oczy, wiedziała, że pragnie, by padła przed nim na kolana i błagała o zmiłowanie. Wiedziała też, że jest teraz głuchy na głos rozsądku i nie potrafiłby odróżnić prawdy od zmyślnego kłamstwa. Dając mu to, czego chciał, wpadłaby w pułapkę, z której nie byłoby ucieczki. Istniał tylko jeden sposób, by go powstrzymać.

- Przestań! - rozkazała z błyskiem w oku. - Przestań natychmiast!

Zacisnęła palce na lufie pistoletu i skierowała ją w niebo, z dala od swojej twarzy. Zerknęła na martwego Mahometa i odwróciła pospiesznie wzrok.

- Co cię opętało? - odezwała się. - I to teraz, kiedy jesteśmy tak blisko urzeczywistnienia naszego celu? Oszalałeś?

Przypomnienie mu o tym, jaki powód sprowadził ich do w Reykjaviku, było sprytnym pociągnięciem. Na chwilę przywiązanie do niej przesłoniło mu ich wspólną misję. Zareagował wyłącznie na dźwięk jej głosu i widok jej dłoni na ramieniu Mahometa.

Nerwowym ruchem schował broń.

- Co teraz zrobimy? - zapytała. - Kto przejmie obowiązki Mahometa?

- To twoja wina - odrzekł urażony. - Sama coś wymyśl.

- Hasanie. - Wolalała go teraz nie dotykać i nie podchodzić bliżej. - Ty nami dowodzisz i to ty musisz podjąć decyzję, nikt inny.

Rozejrzał się dookoła, jakby właśnie ocknął się z transu.

- Sąsiedzi pewnie uznali, że komuś wystrzeliła po prostu rura wydechowa. - Popatrz na nią. - Dlaczego z nim tutaj przyszedłeś?

- Staralam się wyprowadzić go z błędu - odpowiedziała ostrożnie. - Kiedy w samolocie go-

lilam mu brodę, coś głupiego strzeliło mu do głowy. Zaczął mnie podrywać.

Oczy Arsienowa błysnęły złowrogo.

- I jak zareagowałaś?

- A jak ci się wydaje? - odparła z wyrzutem w głosie. - Czyżbyś już mi nie ufał?

- Zobaczyłem, jak go dotykasz, twoje palce... - nie był w stanie mówić dalej.

- Hasan, popatrz na mnie. - Wyciągnęła rękę. - Spójrz na mnie, proszę.

Odwrócił się powoli, jakby się wahał. Ogarnęła ją radość. Panowała nad nim; pomimo błędu w ocenie wciąż miała nad nim władzę. Odetchnąwszy bezgłośnie z ulgą, powiedziała:

- Sytuacja wymagała delikatności. Na pewno to rozumiesz. Gdybym dała mu kosza, gdybym potraktowała go zbyt chłodno, mógłby wpaść w gniew. Obawiałam się, że będzie szukał zemsty i zaszkodzi naszej sprawie. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Cały czas myślałam o naszym zadaniu. To jest teraz dla mnie najważniejsze i dla ciebie też powinno takie być.

Przez długą chwilę stał nieruchomo, ważąc jej słowa. Szumiały fale rozpryskujące się o skalisty brzeg daleko w dole. Nagle kiwnął głową, kwitując tym gestem całą sprawę.

- Musimy się pozbyć zwłok.

- Owiniemy go czymś i weźmiemy ze sobą na umówione spotkanie.

Ludzie Spalki wyrzucą go za burtę, kiedy będą na pełnym morzu.

Arsienow parsknął śmiechem.

- Zino, jesteś najbardziej praktyczną kobietą, jaką znam.

Bourne ocknął się i stwierdził, że siedzi przywiązany do czegoś, co wygląda jak fotel dentystyczny. Rozejrzał się po ciemnym betonowym pomieszczeniu i zobaczył duży otwór odpływu kanalizacyjnego pośrodku wyłożonej białymi płytkami podłogi, zwinięty szlauch wiszący na ścianie, metalowy wózek stojący obok fotela, a na nim tacę, na której ułożono zestaw lśniących instrumentów z nierdzewnej stali, które wyraźnie służyły do zadawania tortur. Spróbował poruszyć nadgarstkami i kostkami, lecz spostrzegł, że szerokie skórzane pasy, które je opinały, są zaopatrzone w takie same solidne sprzączki, jakich używa się w kaftanach bezpieczeństwa.

- Nie możesz się wydostać - powiedziała Annaka za jego plecami, podchodząc bliżej. - Nie warto nawet próbować.

Bourne patrzył na nią przez chwilę, jakby usiłował odzyskać ostrość widzenia. Była ubrana w białe skórzane spodnie i czarną jedwabną bluzkę na ramiączkach - strój, w którym nigdy by się nie pokazała, grając rolę niewinnej młodej pianistki i oddanej córki. Przeklął się w duchu za to, że dał się zwieść antypatii, jaką mu początkowo okazywała. Powinien bardziej uważać, bo Annaka była zbyt pomocna, zbyt wiele wiedziała o domu Molnara. Oglądanie się wstecz niczemu jednak nie służyło, odłożył więc na bok wyrzuty i skoncentrował się na obecnej sytuacji.

- Okazałaś się wspaniałą aktorką - zauważył.

- Nie tylko dla ciebie, dla Chana również. - Uśmiechnęła się leniwie, błyskając białymi zębami i przysunęła jedyne krzesło w pokoju. Usiadła obok Bourne'a. - Widzisz, dobrze znam twój syna. Tak, wiem o tym, wiem więcej, niż myślisz, znacznie więcej. - Roześmiała się dźwięcznym jak dzwoneczek głosem czystej radości, napawając się wyrazem twarzy Bourne'a.

- Przez długi czas Chan nie wiedział, czy jeszcze żyjesz. Wielokrotnie próbował cię odnaleźć, ale zawsze bez skutku. CIA rzeczywiście dobrze cię ukryła. Dopiero z pomocą Stiepana mu się udało. Ale nawet zanim dowiedział się, że jednak żyjesz, każdą wolną chwilę poświęcał rozmyślaniom o zemście na tobie. - Pokiwała głową. - Tak, Jasonie, nienawiść do ciebie przesłaniała mu świat. - Oparłszy łokcie o kolana, pochyliła się ku niemu. - Jak się z tym czujesz?

- Chyłę czoło przed umiejętnościami aktorskimi. - Mimo że wzburzyła w nim potężne emocje, nie zamierzał okazać przed nią słabości.

- Jestem kobietą o wielu talentach.

- I równie wielu obliczach, jak się zdaje. - Potrząsnął głową. - Czy fakt, że ocaliliśmy sobie nawzajem życie, nic dla ciebie nie znaczy?

Wyprostowała plecy, stała się teraz oschła, niemal oficjalna.

- Możemy się zgodzić przynajmniej co do jednego. Często życie i śmierć to jedyne sprawy, które się naprawdę liczą.

- Więc uwolnij mnie - powiedział.

- Tak, zakochałam się w tobie po uszy, Jasonie. - Roześmiała się. - Obawiam się, że takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym życiu. Ocaliłam cię tylko z jednego powodu: dla Stiepana. Ze Stiepanem łączy mnie długa zażyłość. Przez pewien czas był jedynym przyjacielem mojej matki.

- Spalko znał twoją matkę? - spytał Bourne zaskoczony.

Annaka kiwnęła głową. Teraz, gdy był związany i nie stwarzał dla niej zagrożenia, zdawało się, że chce z nim porozmawiać.

- Poznał ją, kiedy mój ojciec ją odesłał.

- Odesłał? Dokąd? - Ciekawość wzięła górę, Annaka potrafiłaby oczarować nawet grzechotnika.

- Do sanatorium. - Oczy Annaki pociemniały, na ułamek sekundy ujawniając ślad prawdziwego uczucia. - Zalałwil, żeby ją przyjęli. Nie było to zbyt trudne; krucha i filigranowa, nie miała siły, żeby się bronić, a w tamtych czasach... było to możliwe.

- Po co miałby to robić? Nie wierzę - oznajmił beznamiętnie Bourne.

- Nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz. - Przez chwilę przyglądała mu się z niepokojąco gadzim wyrazem twarzy. Potem, pchana wewnętrzną potrzebą, podjęła: - Stała się niewygodna. Jego kochanka wymusiła to na nim; pod tym względem był obrzydliwie słaby. - Nieokielznana nienawiść przemieniła jej twarz w ohydny maskę i Bourne pojął, że wreszcie wyjawiała prawdę o swojej przeszłości. - Nigdy się nie dowiedział, że znam prawdę, nigdy się z tym nie zdradziłam. Nigdy. - Odrzuciła głowę do tyłu. - W każdym razie Stiepan odwiedzał tę samą klinikę. Przyjeżdżał do brata... do brata, który próbował go zabić.

Bourne wpatrywał się w nią oniemiały. Nie miał pojęcia, czy okłamuje go, czy mówi prawdę, ale nie mylił się przynajmniej co do jednego - toczyła jakąś osobistą wojnę. Role, które odgrywała z takim powodzeniem, były działaniem ofensywnym, wypadami na terytorium wroga. Patrzył w nieprzejednane oczy Annaki i wiedział, że jest coś potwornego w tym, jak manipuluje ludźmi, którzy się do niej zbliżyli.

Pochyliła się i ujęła palcami jego podbródek.

- Nie widziałeś Stiepana, prawda? Przeszedł rozległą operację plastyczną prawej części twarzy i szyi. Tłumaczy to różnie różnym ludziom, ale prawda jest taka, że brat oblał go benzyną i przystawił do twarzy płonąca zapalniczkę.

- Mój Boże! Czemu? - wzdrygnął się Bourne.

- Kto wie? Jego brat był po prostu groźnym szaleńcem. Stiepan wiedział o tym i jego ojciec również, ale odmawiał przyjęcia tego do wiadomości, dopóki nie stało się za późno. I nawet potem wciąż bronił chłopaka, twierdząc, że to tylko tragiczny wypadek.

- Możliwe, że to prawda - powiedział. - Ale nawet jeśli tak, nie daje ci to wymówki, by spiskować przeciwko własnemu ojcu.

Parsknęła śmiechem.

- Jak możesz tak mówić, skoro ty i Chan próbowaliście się pozabijać? Taka furia w dwóch ludziach, mój Boże!

- Zaatakował mnie. Ja się tylko broniłem.

- Ale nienawidzi cię z pasją, którą rzadko się spotyka. Nienawidzi cię tak bardzo, jak ja

nienawidziłam ojca. A wiesz dlaczego? Ponieważ porzuciłeś go tak samo, jak mój ojciec porzucił moją matkę.

- Mówisz, jakby naprawdę był moim synem - syknął Bourne.

- Ach tak, słusznie, utwierdziłeś się w przekonaniu, że jest inaczej. Jakie to wygodne, prawda? Dzięki temu nie musisz myśleć o tym, jak zostawiłeś go na pewną śmierć w dzikiej dżungli.

- To nie tak! - Bourne wiedział, że nie powinien dać się wciągnąć w ten temat, ale nie potrafił się powstrzymać. - Powiedziano mi, że zginął. Nie miałem pojęcia, że mógł przeżyć. Odkryłem to dopiero później w rządowej bazie danych.

- A zostałeś, żeby sprawdzić? Nie, pochowałeś rodzinę i nawet nie zajrzałeś do trumien! Gdybyś to zrobił, przekonałbyś się, że twojego syna tam nie ma. Nie, tchórze, zamiast tego uciekłeś z kraju.

Bourne usiłował wyrwać się z więzów.

- I to ty prawisz mi kazanie o powinnościach rodzinnych?

- Wystarczy. — Stiepan Spalko wszedł do pokoju z doskonałym wyczuciem czasu sędziego walk bokserskich. - Mam z panem Bourne'em do przedyskutowania sprawy, które są ważniejsze od opowieści rodzinnych.

Annaka wstała posłusznie. Poklepała Bourne'a po policzku.

- Nie chmurz się tak, Jasonie. Nie jesteś pierwszym facetem, którego wykołowałam, i nie będziesz ostatnim.

- Nie - przyznał. - Ostatnim będzie Spalko.

- Annako, zostaw nas teraz samych - powiedział Spalko, obleczonej w lateksowe rękawiczki dłońmi poprawiając na brzuchu fartuch rzeźniczy. Fartuch był czysty i starannie wyprasowany. Na razie nie było na nim ani kropli krwi.

Gdy Annaka wyszła, Bourne skierował uwagę na człowieka, który według Chana winien był śmierci Aleksa i Mo.

- Pan jej naprawdę ufa bez zastrzeżeń?

- Tak, Annaka jest wspańiałą oszustką. - Spalko zachichotał. - Ale ja też wiem o kłamstwach to i owo. - Zbliżył się do wózka i obrzucił ułożone na tacy instrumenty wzrokiem znawcy. - Sądzę, że podejrzenie, iż zdradzi mnie tak samo, jak zdradziła pana, jest naturalne. - Odwrócił się, światło odbiło się od nienaturalnie gładkiej skóry na jego twarzy i szyi. - A może usiłuje pan wbić klin między nas? Dla agenta o pana kwalifikacjach byłaby to standardowa procedura operacyjna. - Wzruszył ramionami, podniósł jeden z instrumentów i obrócił go w palcach. - Panie Bourne, ciekawi mnie, jak wiele zdołał się pan dowiedzieć o doktorze Schifferze i jego wynalazku.

- Gdzie jest Felix Schiffer?

- Nie mógłby pan mu pomóc, panie Bourne, nawet gdyby dokonał pan niemożliwego i zdołał stąd uciec. Doktor Schiffer przestał mi być potrzebny i teraz żadna siła już go nie wskrzesi.

- Zabijeś go - powiedział Bourne - tak jak zabiłeś Aleksa Conklina i Mo Panova.

Spalko wzruszył ramionami.

- Conklin odebrał mi doktora Schiffera, kiedy najbardziej go potrzebowałam. Odzyskałem go, oczywiście. Zawsze dostaję to, czego chcę. Ale Conklin musiał zapłacić za to, iż myślał, że może mi się bezkarnie przeciwstawić.

- A Panov?

- Znalazł się po prostu w złym miejscu w nieodpowiednim czasie - odrzekł Spalko. - To wszystko.

Bourne pomyślał o tym, ile dobra Mo Panov zdziałał w swoim życiu, i poczuł się przytłoczony bezsensownością jego śmierci.

- *Jak może pan mówić o pozbawieniu życia dwóch ludzi, jakby to było pstryknięcie palcami?*

- *Ponieważ takie właśnie jest, panie Bourne - roześmiał się Spalko. - Zresztą pozbawienie życia tych dwóch ludzi to nic w porównaniu z tym, co nas niebawem czeka.*

Bourne starał się nie patrzeć na lśniące przyrządy. Przypomnił sobie sine ciało Laszłó Molnara wepchnięte do jego własnej lodówki. Sam widział, jakie rany mogły zadać narzędzia Spalki.

Pojąwszy, że to właśnie Spalko ponosił odpowiedzialność za męczarnie i śmierć Molnara, zdał sobie sprawę, że wszystko, co opowiedział mu o nim Chan, było prawdą. A jeśli Chan powiedział prawdę o Spalce, to czy nie było możliwe, że od początku mówił prawdę - że rzeczywiście jest Joshua Webbem, jego synem? Fakty sumowały się, odsłaniając prawdę, i Bourne poczuł jej ciężar na swoich barkach, jakby dźwigał na grzbiecie ogromny głaz.

Teraz nie miało to już znaczenia, gdyż Spalko zaczął przebierać w swoich narzędziach tortur.

- *Jeszcze raz pytam: czego dowiedział się pan o wynalazku doktora Schiffera?*

Bourne wbił wzrok w nagą betonową ścianę.

- *Postanowił pan nie odpowiadać - stwierdził Spalko. - Gratuluję odwagi. – Uśmiechnął się czarująco. -I żałuję, że pański gest jest najzupełniej jałowy.*

Przytknął do ciała Bourne'a spiralną końcówkę instrumentu.

Rozdział 26

Chan wszedł do Houdiniego, sklepu mieszczącego się w budynku na Vaci utca 87. Ściany i gabloty malutkiego sklepiku zastawione były akcesoriami iluzjonistycznymi, lamigłówkami i labiryntami wszelkich kształtów i rozmiarów. Dzieci w różnym wieku, ich matki i ojcowie buszowali wśród półek i z podziwem spoglądali na fantastyczne sprzęty, pokazując je sobie palcami.

Chan podszedł do jednej ze sprzedawczyń i powiedział, że pragnie się widzieć z Oszkarem. Dziewczyna zapytała go o nazwisko, po czym podniosła słuchawkę i połączyła się z numerem wewnętrznym. Po krótkiej rozmowie wskazała Chanowi drogę na zaplecze.

Otworzywszy drzwi w głębi sklepu, Chan wkroczył do małego przedsionka oświetlonego pojedynczą nagą żarówką. Ściany miały nieokreślony kolor, w powietrzu unosił się zapach gotowanej kapusty. Kręte metalowe schodki wiodły do gabinetu na pierwszym piętrze. Pokój ten był zavalony książkami - w większości pierwszymi wydaniem dzieł o magii oraz biografiami i autobiografiami słynnych iluzjonistów. Na ścianie nad antycznym dębowym biurkiem wisiała fotografia Harry'ego Houdiniego z autografem. Stary perski dywan leżał na drewnianej podłodze i wciąż wymagał czyszczenia, a olbrzymi fotel o wysokim oparciu wciąż znajdował się na honorowym miejscu, zwrócony przodem do biurka.

Oszkar siedział w dokładnie tej samej pozycji co rok wcześniej, kiedy Chan widział go po raz ostatni. Był to mężczyzna w średnim wieku o sylwetce w kształcie gruszki, krzaczastych bokobrodach i kartoflowatym nosie. Na widok Chana wstał, uśmiechnął się szeroko i okrążywszy biurko, uścisnął mu dłoń.

- Witaj - powiedział, gestem ręki zapraszając Chana, żeby usiadł. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Chan zaczął wyjaśniać, czego potrzebuje. Kiedy mówił, Oszkar notował coś na kartce, kiwając od czasu do czasu głową.

Potem podniósł wzrok.

- To wszystko? - Sprawiał wrażenie zawiedzionego; uwielbiał wyzwania.
- Niezupełnie - odrzekł Chan. - Jest jeszcze zamek magnetyczny.
- No, nareszcie! - Oszkar tryskał teraz radością. Wstał zza biurka i zatarł ręce. - Proszę za mną, przyjacielu.

Poprowadził Chana oklejonym tapetą korytarzem, oświetlonym lampami, które wyglądały na gazowe. Miał specyficzny chód, człapał komicznie niczym pingwin, jednak kiedy widziało się, jak w niespełna półtorej minuty uwalnia się z trzech par kajdanek, słowo „finezja” nabierało zupełnie nowego znaczenia.

Otworzył drzwi i wszedł do swojego warsztatu - sporego pomieszczenia poprzecinanego równymi rzędkami solidnych drewnianych stołów do majsterkowania i metalowych kontuarów. Zaprowadził Chana do jednego z nich i zaczął przetrząsać po kolei szuflady. Po dłuższej chwili wydobył nieduży czarno-srebrny kwadrat.

- Wszystkie zamki magnetyczne są zasilane elektrycznie. Wiesz o tym, prawda? I wszystkie potrzebują ciągłego dopływu prądu, jeśli mają być skuteczne. Każdy, kto instaluje u siebie taki zamek, zdaje sobie sprawę, że jeśli odetnie się prąd, zamek się otworzy. Dlatego zwykle zamki są opatrzone w awaryjne zasilanie, czasami nawet z dwóch źródeł, jeśli właściciel jest chorobliwie ostrożny.

- Ten jest - zapewnił go Chan.
- Rozumiem. - Oszkar kiwnął głową. - W takim razie możesz zapomnieć o próbie odcięcia zasilania. Potrwałoby to zbyt długo i nie miałbyś pewności, że poradziłeś sobie ze wszystkimi

dodatkowymi zabezpieczeniami. - Uniósł palec wskazujący. - Ale niewiele osób wie, że wszystkie zamki magnetyczne są zasilane prądem stałym, więc... - Znow zaczął przeszukiwać szuflady i wydobyl następny przedmiot. - Potrzebny ci jest generator prądu zmiennego o takiej mocy, żeby porazić zamek.

Chan wziął do ręki generator. Okazał się nadspodziewanie ciężki.

- Jak to działa?

- Wyobraź sobie piorun uderzający w system elektryczny. - Oszkar popukał palcem w pokrywę generatora. - To maleństwo przerwie dopływ prądu stałego na dość długo, abyś mógł otworzyć drzwi, ale nie odetnie go całkowicie. Ostatecznie prąd zacznie znowu krążyć i zamek się zamknie.

- Ile będę miał czasu? - zapytał Chan.

- To zależy od modelu zamka. - Oszkar wzruszył ramionami. - Jakieś piętnaście minut, może dwadzieścia, nie więcej.

- Nie mogę po prostu jeszcze raz wywołać porażenia?

Oszkar pokręcił głową.

- Zachodzi duże ryzyko, że w ten sposób zapiecesz mechanizm i żeby się wydostać, musiałbyś wywalić całe drzwi razem z framugą. - Roześmiał się i poklepał Chana po plecach. - Nie martw się, wierzę w ciebie.

Chan spojrzał na niego z ukosa.

- Odkąd to w cokolwiek wierzysz?

- Słusznie. - Oszkar podał mu zapinane na suwak skórzane etui.

W moim zawodzie trudno zachować wiarę.

Dokładnie o drugiej piętnaście nad ranem czasu islandzkiego Arsienow i Zina załadowali owinięte folią ciało Mahometa do jednej z furgonetek i ruszyli wzdłuż wybrzeża na południe w kierunku położonej z dala od ludzkich siedlisk zatoczki. Arsienow siedział za kierownicą. Od czasu do czasu Zina, która studiowała szczegółową mapę terenu, dawała mu wskazówki.

- Wyczuwam podenerwowanie u reszty - powiedział w pewnej chwili. - To coś więcej niż tylko napięcie związane z oczekiwaniem.

- Bo nasza misja jest wyjątkowa, Hasanie.

Popatrzył na nią z ukosa.

- Czasami się zastanawiam, czy w twoich żyłach nie krąży lodowata woda.

Uśmiechnęła się i ścisnęła jego udo.

- Doskonale wiesz, co płynie w moich żyłach.

Kiwnął głową.

- Rzeczywiście. - Musiał przyznać, iż bez względu na to, jak silnie powodowała nim żądza władzy nad swymi ludźmi, najlepiej czuł się w towarzystwie Ziny. Tęsknił za chwilą, gdy wojna dobiegnie końca, gdy wreszcie zrzuci partyzancki mundur i stanie się jej mężem, ojcem ich wspólnych dzieci.

- Zino - powiedział, gdy zjechali z szosy i ruszyli wyboistą drogą biegnącą w dół urwiska. - Nigdy nie rozmawialiśmy o nas.

- Co masz na myśli? - Oczywiście dokładnie wiedziała, o co mu chodzi, i starała się odepchnąć od siebie nagły strach, który ścisnął jej gardło.

Droga stała się bardziej stroma i Arsienow zwolnił. Zina widziała już ostatni zakręt; za nim rozciągała się kamienista zatoka i niespokojne wody północnego Atlantyku.

- Myślę o przyszłości, o naszym ślubie i dzieciach, które będziemy kiedyś mieli. Trudno o lepszy moment, by przysiąc sobie miłość.

Właśnie w tej chwili z całą jasnością uświadomiła sobie, jak dobrą intuicją wykazał się Szejka. Hasan Arsienow bał się śmierci. Wychwyciła to w doborze słów, jakich użył, w jego głosie i w oczach.

Miał wątpliwości. A jeżeli od wstąpienia do partyzantki nauczyła się czegośkolwiek, to tego, że wątpliwości paraliżują inicjatywę, determinację i przede wszystkim zdolność działania. Hasan odkrył przed nią prawdziwe oblicze. Jego strach wywołał w niej taką samą odrazę co u Szejka. Wątpliwości zatrwały mu umysł. Popelniła okropny błąd, próbując zwerbować Mahometa za wcześniej, ale tak bardzo pragnęła przyspieszyć triumf Szejka. Sądząc jednak po gwałtownej reakcji, Hasan musiał zacząć wątpić w nią już wcześniej. Czyżby uważał, że nie może jej już ufać?

Dotarli na miejsce spotkania piętnaście minut przed wyznaczonym czasem. Odwróciła się i ujęła w dłonie jego twarz.

- Hasanie - powiedziała czule - długo kroczyliśmy ramię przy ramieniu w cieniu śmierci. Przeżyliśmy dzięki woli Allaha, ale również dzięki wzajemnej ufności. - Pocałowała go. - Dla tego teraz ślubujemy sobie miłość, ponieważ pragniemy śmierci dla dobra Allaha bardziej, niż inni pragną życia.

- W oczach Allaha, pod prawicą Allaha, w sercu Allaha - wyrecytował błogosławieństwo.

Padli sobie w objęcia, lecz Zina była myślami daleko, gdzieś po drugiej stronie pomocnego Atlantyku. Zastanawiała się, co robi w tej chwili Szejka. Pragnęła zobaczyć jego twarz, poczuć jego bliskość. Już niedługo, pomyślała. Już niedługo wszystkie jej marzenia się spełnią.

Jakiś czas później wysiedli z furgonetki i stanęli na brzegu, wpatrując się w wody oceanu i słysząc szum fal obmywających kamienie. Księżyc zdążył już zniknąć za horyzontem, noc dobiegała końca. Za pół godziny świt obwieści nadejście kolejnego długiego dnia. Znajdowali się mniej więcej pośrodku zatoki między dwoma cyplami, więc przytył był tu łagodniejszy, a fale małe i pozbawione okrutnej siły. Mroźna bryza sprawiła, że Zina zadygotała, ale Arsienow objął ją ramieniem.

Zobaczyli błysk światła, które zamrugalo trzykrotnie. Łódź przybyła. Arsienow włączył latarkę, odpowiadając na sygnał. W oddali zarysował się mglisty kształt kutra rybackiego wpływającego przy wygaszonych światłach do zatoki. Wrócili do furgonetki i wspólnie wynieśli zwłoki Mahometa na brzeg.

- Ale się zdziwią, jak cię znowu zobaczą - powiedział Arsienow.

- To ludzie Szejka, nic ich nie dziwi - odparła Zina, aż nazbyt świadoma faktu, że według historyjki opowiedzianej przez Szejka Hasanowi powinna była znać załogę kutra. Oczywiście, Szejka zdążył już uprzedzić o tym swoich ludzi.

Arsienow włączył znów latarkę i ujrzeli płynącą w ich kierunku, zanurzoną głęboko od ciężaru ładunku szalupę. Byli w niej dwaj mężczyźni i stos skrzyń; na kutrze czekało jeszcze więcej skrzyń. Arsienow zerknął na zegarek; miał nadzieję, że zdąży zakończyć przeładunek przed brzaskiem.

Szalupa zaryła kadłubem w żwir i marynarze wyskoczyli na brzeg. Nie tracili czasu na przedstawianie się, ale zgodnie z instrukcjami traktowali Zinę tak, jakby ją znali.

We czwórkę wyładowali sprawnie skrzynie i poukładali je w furgonetce. Arsienow coś usłyszał, odwrócił się i zobaczył drugą szalupę przybijającą do brzegu. Nie miał już wątpliwości, że skończy przed świtem.

Ułożyli ciało Mahometa w pierwszej, opróżnionej już szalupie i Zina kazała marynarzom wyrzucić j e na pełnym morzu. Usluchali jej bez szemrania, co ucieszyło Arsienowa. Wyraźnie wywarła na nich dobre wrażenie, kiedy nadzorowała przekazanie ładunku.

Później całą szóstką umieścili resztę skrzyń w furgonetce. Ludzie Spalki wrócili do swoich szalup i równie cicho, jak przyплыnęli, ruszyli w drogę powrotną do kutra.

Arsienow i Zina popatrzyli na siebie. Wraz z przybyciem ładunku ich misja nabrała nagle realności.

- Czujesz to, Zino? - zapytał Arsienow, kładąc dłoń na jednej ze skrzyń. - Czujesz czającą się tam śmierć?

Nakryła jego rękę własną dłonią.

- Czuję tylko zwycięstwo.

W bazie czekali na nich pozostali członkowie oddziału, którzy już ufarbowali włosy i włożyli barwne soczewki kontaktowe. Śmierć Mahometa pominięto milczeniem. Spotkał go smutny koniec, a o szczegóły nikt nie pytał - mieli na głowie ważniejsze sprawy.

Ostrożnie wyładowali i otworzyli skrzynie z pistoletami maszynowymi, ładunkami plastiku C4 i kombinezonami HAZMAT-u. Inna skrzynia, mniejsza od pozostałych, zawierała zapakowane w foliowe woreczki i obłożone tłuczonym lodem szalotki. Jasnowłosa i błękitnooki Ahmed założył lateksowe rękawiczki i załadował cebulę do furgonetki z napisem HAFNAR-FJORDER FINE FRUITS & VEGETABLES, siadł za kierownicą i odjechał.

Kiedy Arsienow i Zina zostali sami, otworzyli ostatnią skrzynię. Spoczywał w niej NX 20. Popatrzyli na dwa pojemniki leżące niewinnie w poliuretanowej piance i przypomnieli sobie to, co widzieli w Nairobi. Arsienow spojrział na zegarek.

- Szejek powinien niedługo być.

Rozpoczęła się ostatnia faza przygotowań.

Parę minut po dziewiątej rano wóz dostawczy sklepu meblarskiego Fontana stanął przed bocznym wjazdem do Humanistas Ltd., gdzie został zatrzymany przed dwóch ochroniarzy. Jeden z nich zajrzał do dziennej rozpiski i mimo że zanotowano tam dostawę z Fontany do biura pana Hearn, poprosił o pokazanie listu przewozowego. Potem kierowcę poproszono o otwarcie tylnych drzwiczek furgonetki. Jeden ze strażników wszedł do środka, sprawdził liczbę przedmiotów wyszczególnionych na liście, po czym razem ze swoim partnerem otworzyli każdy karton, oglądając dwa krzesła, kredens, szafeczkę i wersalkę. Wszystkie drzwiczki i szuflady szafeczki i kredensu zostały otwarte, ich wnętrza poddane inspekcji, poduszki na krzesłach i sofie uniesione i obmacane. Stwierdziwszy, iż wszystko jest w porządku, ochroniarze zwrócili list przewozowy i wskazali kierowcy oraz jego pomocnikowi drogę do biura pana Ethana Hearn.

Kierowca zaparkował wóz przy windzie i razem z pomocnikiem wyładowali meble. Musieli obrócić cztery razy, zanim zdołali wwieźć wszystkie sprzęty na piąte piętro, gdzie czekał na nich pan Hearn. Z nieskrywanym zadowoleniem wskazał im, gdzie postawić każdy z mebli, a oni z nie mniejszą radością przyjęli hojne napiwki, gdy wykonali ostatnie z jego poleceń.

Kiedy wyszli, Hearn zamknął za nimi drzwi i zaczął przenosić stosy dokumentów, które zebrały się na jego biurku, układając je w szafeczce w porządku alfabetycznym. W pokoju zapanaowała cisza charakterystyczna dla sprawnie pracującego biura. Po pewnym czasie Hearn wstał i podszedł do drzwi. Otworzywszy je, ujrzał przed sobą kobietę, która dzień wcześniej eskortowała mężczyznę wniesionego na noszach do budynku.

- Ethan Hearn? - Kiedy pokiwał głową, podała mu rękę. - Annaka Vadas.

Uściskał jej dłoń, zauważając, że jest silna i sucha. Przypomniał sobie ostrzeżenie Chana i przybrał zdumiony wyraz twarzy.

- Znamy się?

- Jestem przyjaciółką Stiepana. - Jej uśmiech był olśniewający. - Mogę na chwilę wejść?

Czy właśnie pan wychodził?

- Rzeczywiście jestem umówiony na spotkanie - spojrzął na zegarek - ale mam jeszcze trochę czasu.

- Nie zajmę go panu zbyt wiele. - Usiadła na sofie i założyła nogę na nogę. Kiedy na niego spojrziała, na jej twarzy malowało się skupienie i wyczekiwanie.

Hearn usiadł na obrotowym krześle i obrócił się w jej stronę.

- Jak mogę pani pomóc, panno Vadas?

- Obawiam się, że wszystko pan pokręcił - odparła rozbawiona. - Pytanie brzmi, jak ja mogę pomóc panu?

Potrząsnął głową.

- Chyba nie rozumiem.

Rozejrzała się po gabinecie, nucąc pod nosem. Potem pochyliła się do przodu i oparła łokieć o kolano.

- Myślę, że jest jednak inaczej, Ethanie. - Znów ten uśmiech. - Bo widzisz, wiem o czymś, o czym nie wie nawet sam Stiepan.

Ponownie przybrał bardzo zdziwiony wyraz twarzy i rozłożył bezradnie ręce.

- Za bardzo się starasz - powiedziała krótko. - Wiem, że pracujesz dla kogoś oprócz Stiepana.

- To nie...

Uciszyła go, przykładając palec do ust.

- Widziałam cię wczoraj w garażu. Nie wybrałeś się tam dla zdrowia, a nawet gdyby było inaczej, za bardzo zainteresowało cię to, co się działo.

Był zbyt zdumiony, by zaprzeczyć. Zresztą po co? - zapytał sam siebie. Rozgryzła go, mimo że tak bardzo miał się na baczności. Wpatrywał się w nią oniemiały. Była rzeczywiście piękna, ale i przerażająca.

Przekrzywiła głowę.

- Nie pracujesz dla Interpolu. Nie masz ich nawyków. Dla CIA? Wątpię. Stiepan wiedziałby, gdyby Amerykanie próbowali przeniknąć jego organizację. W takim razie dla kogo?

Hearn nie odpowiedział; nie był w stanie. Za bardzo się bał, że ona już to wie - że wie wszystko.

- Czemu tak pobladleś, Ethanie? - Annaka wstała. - Tak naprawdę nie wiele mnie to obchodzi. Chcę się po prostu zabezpieczyć na wypadek, gdyby sprawy tutaj źle się potoczyły. Będiesz moją polisą ubezpieczeniową. A na razie uznajmy twoją brzydką wścibskość za naszą słodką tajemnicę.

Przemierzyła pokój i zniknęła za drzwiami, zanim Hearn zdołał obmyślić odpowiedź. Siedział przez chwilę zeszywniały ze strachu. Wreszcie podniósł się i otworzył drzwi. Rozejrzał się po korytarzu, upewniając się, czy rzeczywiście poszła.

Następnie zamknął drzwi, zbliżył się do wersalki i powiedział:

- Droga wolna.

Uniósł poduszki i położył je na dywanie. Kiedy płyty pilśniowe zakrywające stelaż zaczęły drżeć, pochylił się i je zdjął. Pod spodem zamiast materaca i drewnianej ramy leżał Chan. Hearn zdał sobie sprawę, że się spocił.

- Wiem, że mnie ostrzegalesz, ale...

- Cicho. - Chan wygramolił się ze schowka, który był nie większy od trumny. Hearn stchórzył, ale on miał na głowie pilniejsze sprawy. - Po prostu dopilnuj, żeby nie popełnić drugi raz tego błędu.

Podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Słyszał tylko ciche, zlewające się w jedno-stajny szum głosy docierające z innych biur na piętrze. Miał na sobie czarne spodnie, buty, koszulę i krótką kurtkę sięgającą do pasa.

- Złóż wersalkę - rozkazał - a potem zajmij się pracą, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego. Musisz zachowywać się tak jak zwykle.

Hearn pokiwał głową, mocując płyty pilśniowe i przykrywając je poduchami.

- Znajdujemy się na piątym piętrze - powiedział. - A ty musisz się dostać na trzecie.
- Pokaż plan.

Hearn siadł przed komputerem i otworzył plik zawierający plany architektoniczne budynku.

- Wyświetl plan trzeciego piętra - polecił Chan, patrząc mu przez ramię.

Kiedy Hearn wykonał polecenie, Chan przestudiował dokładnie rozkład pomieszczeń.

- Co to takiego? - spytał, wskazując palcem ekran.
- Nie mam pojęcia. - Hearn spróbował powiększyć obraz. - Wygląda jak niezagospodarowana przestrzeń.

- Albo - powiedział powoli Chan - pokój przylegający do sypialni Spalki.

- Tylko że nie ma do niego żadnych drzwi - zauważył Hearn.

- Ciekawe. Zastanawiam się, czy Spalko nie wprowadził przypadkiem pewnych zmian bez wiedzy architekta.

Zapamiętawszy rozkład wszystkich pomieszczeń i korytarzy, Chan odwrócił się od komputera. Teraz musiał zobaczyć trzecie piętro na własne oczy. Kiedy dotarł do drzwi, spojrzął na Hearną.

- Pamiętaj. Nie spóźnij się na swoje spotkanie.

- A co z tobą? - zapytał Hearn. - Nie możesz się tam dostać.

Chan potrząsnął głową.

- Im mniej będziesz wiedział, tym lepiej.

W słonecznym islandzkim poranku, wśród mineralnych zapachów niesionych wiatrem znad gorących źródeł załopotwały flagi. Skomplikowana aluminiowa konstrukcja estrady została wzniesiona na skraju płyty lotniska Keflavik w miejscu, które Jamie Hull, Borys Iljicz Karpow i Fejd al-Saud uznali za najbardziej bezpieczne na całym obiekcie. Żaden z nich, nawet towarzyszy Borys, nie byli zbyt uszczęśliwieni faktem, że ochraniający przez nich przywódcy państw postanowili pojawić się na tym publicznym forum, jednak pod tym względem wszyscy politycy byli jednakowi. Uważali za konieczne nie tylko okazać publicznie swoją solidarność, ale również dowieść swej nieustraszoneści. Wszyscy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa zamachu, gdy obejmowali swoje urzędy, i doskonale rozumieli, że ryzyko to wzrosło niepomrotnie, kiedy zgodzili się na uczestnictwo w szczycie antyterrorystycznym. Jeśli chce się zmienić świat, to wydaje się oczywiste, iż może znaleźć się ktoś, kto postara się do tego nie dopuścić.

I tak oto w dniu rozpoczęcia obrad flagi Stanów Zjednoczonych, Rosji i czterech najbardziej wpływowych państw arabskich i łopotwały na mroźnym wietrze; na tkaninie, którą udrapowano estradę, widniało wybrane po drobiazgowych dysputach logo spotkania. Uzbrojeni agenci ochrony obstawili obiekt, a we wszystkich strategicznych miejscach ukryli się snajperzy. Dziennikarze, którzy zjechali się na tę okazję z całego świata, mieli obowiązek stawić się na miejsce na dwie godziny przed rozpoczęciem konferencji prasowej. Zostali metodycznie sprawdzani, zweryfikowano ich akredytacje i pobrano odciski palców, które następnie porównano ze znajdującymi się w kilku bazach danych. Fotografów ostrzeżono, żeby nie zakładali filmów w aparatach, bo ich sprzęt miał być na miejscu prześwietlony promieniami Rentgena. Wszystkie telefony komórkowe zostały skonfiskowane, dokładnie oznaczone i zdeponowane poza obszarem bezpieczeństwa, skąd można je było odebrać po zakończeniu imprezy. Nie pominięto absolutnie niczego.

Gdy prezydent Stanów Zjednoczonych pojawił się na estradzie, Jamie Hull znajdował się tuż obok, razem z agentami Secret Service. Hull był w ciągłym kontakcie radiowym z każdym członkiem swojego kontyngentu oraz z dwoma pozostałymi szefami ochrony. Za prezydentem USA stanął Aleksander Jewtuszenko, prezydent Rosji, któremu towarzyszył Borys i oddział ponurych agentów FSB. Dalej ustawili się czterej przywódcy arabscy, każdy z oddzielną obstawą.

Tłum gapiów i dziennikarzy naparł do przodu, zatrzymując się przed estradą, na którą właśnie weszli dygnitarze. Wypróbowano mikrofony, kamery zaczęły transmisję na żywo. Prezydent Stanów Zjednoczonych stanął na mównicy jako pierwszy. Był wysokim, przystojnym mężczyzną o wydatnym nosie i oczach przypominających ślepie psa łańcuchowego.

- Obywatele świata! - rozpoczął silnym, dźwięcznym głosem wyćwiczonym w wielu zwycięskich kampaniach wyborczych, wygładzonym na konferencjach prasowych i uszlachetnionym podczas licznych rozmów w cztery oczy w Ogrodzie Różanym i Camp David. - Nadszedł wielki dzień dla pokoju i międzynarodowej walki o wolność i sprawiedliwość przeciwko siłom przemocy i terroryzmu. Dzisiaj po raz kolejny stajemy przed wielkim dylematem historii. Czy pozwolimy, by ludzkość stoczyła się w mrok, ogarnięta strachem i bratobójczą wojną, czy też zjednoczymy się i zadamy ostateczny cios naszym wrogom, gdziekolwiek by się skryli?

Siły terroryzmu - ciągnął - sprzysięgły się przeciwko nam. Nie ludźmy się! Terroryzm jest współczesną hydrą, bestią o wielu łbach. Jednak uświadamiając sobie z całą jasnością trudy obranej przez nas drogi, nie zboczymy z niej i nie zaprzestaniemy wspólnych wysiłków w walce pokój. Tylko zjednoczeni zdołamy pokonać wielogłowego potwora. Tylko zjednoczeni mamy szansę uczynić świat bezpiecznym dla nas i naszych dzieci.

Kiedy zakończył przemowę, gruchnęły gromkie brawa. Po nim przed mikrofonem stanął prezydent Rosji, który powiedział mniej więcej to samo. Znowu rozległy się gromkie brawa. Czterej arabscy przywódcy, choć w nieco bardziej mglistych słowach, jeden po drugim także wskazali na palącą potrzebę zjednoczenia sił, aby wyplenić terroryzm raz na zawsze.

Następnie przywódcy odpowiadali przez kilka minut na pytania dziennikarzy, po czym cała szóstka stanęła razem, pozując do zdjęć. Był to wspaniały widok, niezapomniany, gdy wszyscy chwycili się za ręce i unieśli je wysoko w bezprecedensowym akcie symbolizującym solidarność Zachodu ze Wschodem.

Ludzie opuszczali płytę lotniska w radosnym nastroju. Nawet najbardziej sceptycznie nastawieni dziennikarze i fotoreporterzy przyznali, że szczyt rozpoczął się bardzo optymistycznym akcentem.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że to już trzecia para lateksowych rękawiczek?

Stiepan Spalko siedział przy poplamionym krwią stole na krześle, na którym dzień wcześniej siedziała Annaka. Przed nim leżała kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem, którą polubił podczas długich okresów rekonwalescencji między operacjami, jakim poddał się w Stanach Zjednoczonych. Sandwicz spoczywał na talerzu z delikatnej porcelany, a obok stał kryształowy kieliszek napełniony przednim bordeaux.

- Nieważne. Robi się późno. - Postukał w szybką chronometru na swoim nadgarstku. - Właśnie uświadomiłem sobie, panie Bourne, że nasza zabawa dobiega końca. Czuję się w obowiązku powiedzieć panu, jaką ogromną przyjemność sprawił mi pan tej nocy. - Roześmiał się zgrzytliwie. - Czego, obawiam się, nie może pan powiedzieć o mnie.

Przeciął kanapkę na dwa równe trójkąciki dokładnie według zaleceń. Podniósł jeden z nich, ugryzł i żuł powoli, ze smakiem.

- Wie pan, panie Bourne? Sandwicz z bekonem, sałatą i pomidorem jest do niczego, o ile bekon nie został świeżo ugotowany i pocięty na odpowiednio grube plastry.

Przełknął kęs, odłożył kanapkę, podniósł kryształowy kieliszek i przeplukał usta lykiem *bordeaux*. Potem odsunął krzesło, wstał i podszedł do fotela dentystycznego, na którym siedział unieruchomiony Jason Bourne. Jego głowa spoczywała bezwładnie na pierśsiach, a podłogę w promieniu pół metra od niego pokrywały plamy krwi.

Kłykiem zakrzywionego palca Spalko uniósł mu głowę. Oczy Bourne'a, mętne od wielogodzinnych tortur, były podkrążone i zapadnięte, a twarz blada, jakby odpłynęła z niej cała krew.

- Zanim odejdę, muszę podzielić się z panem ironią całej sytuacji. Godzina mojego triumfu jest już blisko. I nie ma najmniejszego znaczenia, że nic mi pan nie powiedział. Liczy się tylko to, że jest pan tutaj w bezpiecznym miejscu i nie może mi pan w żaden sposób zagrozić. - Roześmiał się. - Jaką straszliwą cenę zapłacił pan za milczenie! I na co to wszystko, panie Bourne? Na nic!

Chan zobaczył strażnika stojącego w korytarzu przy windzie i ruszył w kierunku drzwi na klatkę schodową. Przez wzmocnioną drucianą siatką szybko spostrzegł dwóch uzbrojonych ochroniarzy palących papierosy i rozmawiających przy schodach. Co piętnaście sekund jeden z nich wyglądał na korytarz. Klatka schodowa była zbyt dobrze strzeżona.

Zawrócił. Idąc przez korytarz spokojnym, niespiesznym krokiem, wydobyl pistolet pneumatyczny, który kupił od Oszkara. Gdy tylko wartownik go zauważył, Chan uniósł broń i wystrzelił. Nasączone substancją chemiczną ostrze lotki wbiło się w szyję i nieprzytomny mężczyzna osunął się na ziemię.

Chan zerwał się do biegu. Zaciągał właśnie bezwładne ciało ochroniarza do męskiej toalety, gdy przed nim wyrósł drugi strażnik z pistoletem maszynowym wymierzonym prosto w jego pierś.

- Stać! - krzyknął. - Rzuć broń na podłogę i trzymaj dłonie tak, żebym je widział.

Chan wykonał polecenie. Kiedy unosił ręce, nacisnął sprężynowy mechanizm ukryty pod mankietem. Ochroniarz złapał się za gardło. Poczul coś jakby użądlenie osy. Ale nagle odkrył, że nic nie widzi. Była to jego ostatnia myśl.

Chan zaciągnął oba ciała do toalety, a potem wcisnął guzik windy. Chwilę później rozsunęły się podwójne drzwi. Chan wsiadł do kabiny i nacisnął trójkę. Winda ruszyła w dół, kiedy jednak minęła czwarte piętro, stanęła, zatrzymując się na półpiętrze. Wcisnął kilka innych guzików, bez skutku. Winda utknęła, bez wątpienia nieprzypadkowo. Wiedział, że ma niewiele czasu, by wydostać się z pułapki, jaką zastawił na niego Spalko.

Wspiąwszy się na poręcz biegnącą wokół trzech ścian kabiny, sięgnął do klapy wjazdu. Właśnie miał ją otworzyć, gdy cofnął rękę i przyjrzał się jej bliżej. Co to za metaliczny odblask? Wyjął miniaturową latarkę, w którą zaopatrzył go Oszkar, i poświecił na śrubkę w jednym z rogów. Była obwiązana miedzianym drutem. Kolejna pułapka! Gdyby Chan uniósł klapy wjazdu, zdetonowałby ładunek wybuchowy umieszczony na dachu windy.

Wtem nagle szarpnięcie zrzuciło go z poręczy i winda runęła z łoskotem w dół.

Zadzwonił telefon. Spalko odebrał i wyszedł z pokoju przesłuchań. Poczul na twarzy ciepło słońca wlewającego się przez okna do sypialni.

- Tak?

Głos w słuchawce, słowa przyspieszające mu puls. Jest tutaj! Chan! Zacisnął pięść. Teraz miał ich obu. Rozkazał swoim ludziom obstarwić drugie piętro, potem zadzwonił do dyżurki i zlecił uruchomienie alarmu przeciwpożarowego, aby ewakuować z budynku cały cywilny personel Humanistas. Niespełna dwadzieścia sekund później rozległ się jęk syreny. Wszyscy w całym gmachu opuścili swoje biura, wyszli na klatki schodowe, skąd zostali odeskortowani na ulicę. Do tego czasu Spalko zdążył zadzwonić do szofera i pilota, któremu kazał przygotować odrzutowiec czekający w hangarze Humanistas na lotnisku Ferihegy. Zgodnie z wcze-

śniejszymi instrukcjami maszyna była zatankowana i po przeglądzie, a plan lotu został przesłany do wieży.

Przed powrotem do pokoju przesłuchań musiał wykonać jeszcze jeden telefon.

- Chan jest w budynku - oznajmił, gdy Annaka podniosła słuchawkę. - Siedzi uwięziony w windzie. Posłałem ludzi, żeby zajęli się nim, na wypadek gdyby zdołał uciec, ale ty znasz go najlepiej. - Kiedy odpowiedziała, mruknął twierdząco. - Spodziewałem się tego. Rób, jak uważasz. Daję ci w tej sprawie wolną rękę.

Otwartą dłonią Chan uderzył guzik postojowego awaryjnego, ale nic się nie stało, winda wciąż mknęła w dół. Używając jednego z narzędzi od Oszka-ra, pospiesznie zdjął obudowę panelu sterującego. Wewnątrz kłębiło się od kabli, ale od razu zorientował się, że przewody do hamulca bezpieczeństwa zostały odłączone. Zamknął przerwany obwód. Rozległ się metaliczny zgrzyt i kabina zatrzymała się z silnym szarpnięciem. Utkwiwszy między drugim i trzecim piętrzem, Chan wstrzymał oddech i pracował dalej przy kablach.

Na drugim piętrze ludzie Spalki dotarli do zewnętrznych drzwi windy. Otworzyli je kluczem awaryjnym, uzyskując dostęp do szybu. Nad ich głowami widać było poszycie wagonika. Mieli rozkazy; wiedzieli, co robić. Dobyli pistoletów maszynowych i otworzyli zmasowany ogień, który poszatkował podłogę kabiny tak, że oderwała się i runęła w dół. Nikt nie mógł przeżyć takiego ostrzału.

Chan przyłgnął do ściany szybu za drzwiami wagonika i obserwował, jak rozharatana podłoga odrywa się od kabiny. Przed rykoszetami pocisków chroniły go zarówno drzwi, jak i sam szyb. Chwilę wcześniej poprzelaczał kable w panelu w taki sposób, że udało mu się rozsunąć drzwi na tyle, by precyzyjnie się na zewnątrz. Z rozłożonymi szeroko ramionami i nogami wspinał się właśnie na dach wagonika, gdy posypał się grad kul.

Teraz, w głuchej ciszy, która zaległa po kanonadzie, usłyszał bzyczenie, jakby rój os wylęciał z gniazda. Podniósł wzroki zobaczył dwie liny zrzucone w głąb szybu. Chwilę później dostrzegł spuszczone po nich dwóch uzbrojonych po zęby strażników.

Jeden zauważył go i nakierował na niego pistolet maszynowy. Chan wystrzelił ze swojego pistoletu pneumatycznego i broń wyślizgnęła się z bezwładnych dłoni ochroniarza. Kiedy drugi strażnik wziął go na cel, Chan dał susa i złapał się nieprzytomnego mężczyzny, który wciąż wisiał na linie. Drugi ochroniarz, anonimowy i pozbawiony twarzy w swoim hełmie, otworzył ogień, lecz Chan osłonił się przed pociskami ciałem jego towarzysza. Następnie silnym kopnięciem wytrącił strażnikowi pistolet.

Obaj wylądowali na dachu windy. Mały jasny kwadrat śmiertelnościowego plastiku C4 był przylepiony taśmą do klapy wjazdu, gdzie za pomocą miedzianego drutu pośpiesznie zmontowano z niego bombę. Chan widział, że śruby są poluzowane; gdyby któryś z nich przez przypadek uderzył o klapę i wzbudził drganie, potężna eksplozja rozerwałaby całą kabinę.

Nacisnął spust pistoletu pneumatycznego, ale strażnik, który widział, co stało się z jego towarzyszem, uskoczył w bok, przeturlał się i celnym kopnięciem wytrącił Chanowi broń, jednocześnie chwytając pistolet maszynowy nieprzytomnego kolegi. Chan przydepnął jego dłoń obcasem, próbując go zmusić do wypuszczenia kolby. Znow rozległ się terkot karabinów. Ochroniarze na drugim piętrze ponownie zaczęli strzelać.

Wykorzystując zamieszanie, strażnik odepchnął nogę Chana i wyluskał mu spod stopy pistolet. Kiedy oddał strzał, Chan zeskoczył z dachu kabiny i zaczął zsuwać się wzdłuż ściany szybu, aż natrafił na wyciągnięte ramię hamulca awaryjnego. Kuląc się przed gradem ryko-

szetujących kul, zaczął manipulować przy mechanizmie hamulca. Strażnik na górze ruszył za nim i teraz położył się na dachu windy, mierząc w Chana z pistoletu maszynowego. Kiedy zaczął strzelać, Chanowi udało się zwolnić hamulec. Kabina runęła w dół, zabierając ze sobą zszokowanego strażnika.

Chan skoczył, chwytając się najbliższej liny, i zaczął się wspinać na górę. Gdy dotarł do trzeciego piętra i podłączył generator prądu zmiennego do zamka magnetycznego, kabina uderzyła o dno szybu. Wstrząs poluzował klapę wjazdu, detonując ładunek C4. Skłębiony ogień eksplozji buchnął w górę właśnie w momencie, kiedy zamek ustąpił i Chan wygramolił się na zewnątrz.

Przedsiónek trzeciego piętra był wyłożony kremowym marmurem. Kinkiety z matowego szkła dostarczały łagodnego, rozproszonego światła. Gdy Chan podniósł się z posadzki, kilka metrów przed sobą ujrzał Annakę, która widząc go, rzuciła się do ucieczki. Była najwyraźniej zaskoczona i trochę wystraszona. Ani ona, ani Spalko nie spodziewali się, że dotrze aż tutaj. Ruszając za nią w pogoń, zaśmiał się pod nosem. Nie mógł ich winić; dokonał naprawdę niezwykłej sztuki.

Annaka wbiegła do jakiejś sali, zatrzasnęła za sobą drzwi, Chan usłyszał zgrzyt zamkniętego zamka. Wiedział, że musi przede wszystkim dotrzeć do Bourne'a i Spalki, lecz Annaka stanowiła zagrożenie, którego nie mógł zignorować. Jeszcze zanim dopadł drzwi, miał w ręku zestaw wytrychów. Jednym z nich w niespełna piętnaście sekund sforsował zamek. Annaka ledwo zdążyła dotrzeć do następnych drzwi. Rzuciła mu przerażone spojrzenie i wybiegła z pokojem, zatrzasnując je za sobą.

Poniewczasie zrozumiał, że wyraz jej twarzy powinien być wzbudzić jego czujność. Annaka nigdy nie okazywała lęku. Zaniepokoił go jednak wygląd pokoju, w którym się znalazł. Był pozbawiony sprzętów i okien, świeżo pomalowany białą farbą, jakby nie został wykończony. Lecz reakcja przyszła zbyt późno. Usłyszał cichy syk. Podniósł wzrok i zobaczył otwory wentylacyjne, przez które wydobywał się gaz. Wstrzymawszy oddech, dopadł drzwi, za którymi zniknęła Annaka. Z wytrychem w dłoni usiłował otworzyć zamek, ale bez skutku. Zaryglowane od drugiej strony, pomyślał, biegnąc z powrotem do drzwi, którymi wszedł. Nacisnął klamkę i zdał sobie sprawę, że również zostały zaryglowane.

Gaz zaczął wypełniać zamknięty pokój. Chan znalazł się w pułapce.

Oprócz pustego talerza i kryształowego kieliszka po bordeaux Stiepan Spalko poukładał przedmioty zabrane Bourne'owi: ceramiczny pistolet, telefon komórkowy Conklina, nóż sprężynowy i zwitek banknotów.

Bourne, obity i zakrwawiony, od wielu godzin pogrążony był w medytacji delta. Wprowadził się w ten stan, aby przetrwać fale dotkliwego bólu, które rozlewały się po jego ciele za każdym razem, gdy Spalko stosował któryś ze swoich wymyślnych przyrządów, lecz również po to, by zachować wewnętrzne siły i zneutralizować obezwładniające działanie tortur.

Wspomnienia Marie, Alison i Jamiego rozbłyskiwały w jego oczyszczonym umyśle niczym błędne ogniki, lecz jeszcze częściej przypominały mu się lata spędzone w skąpanym w słońcu Phnom Penh. Jego umysł, wyciszony i wprowadzony w stan niezmaconego spokoju, ożywił Dao, Alyssę i Joshuę. Bourne rzucił piłkę do Joshui, ucząc go, jak się obchodzić z rękawicą bejsbolową, którą przywiózł mu ze Stanów. Nagle syn odwrócił się do niego i zapytał: „Dlaczego starałeś się nas powielić? Dlaczego nas nie ocaliłeś?” Bourne zawahał się na moment. Wtem ujrzał twarz Chana. Widział go tak wyraźnie, jakby stał tuż przed nim. Chan otworzył usta i powiedział: „Próbowałeś powielić Joshuę i Alyssę, zastąpić ich nowymi dziećmi. Nawet ich imiona zaczynają się na te same litery”.

Nagle zapragnął wyrwać się z medytacji, porzucić fortecę, którą wznosił, by obronić się przed torturami Spalki, byle tylko uciec przed tą oskarżycielską twarzą, przed tym miazdzącym poczuciem winy.

Wina.

Właśnie od niej uciekał. Odkąd Chan powiedział mu, kim naprawdę jest, uciekał od prawdy tak samo, jak uciekł z Phnom Penh. Myślał, że ucieka przed tragedią, która go spotkała, lecz w rzeczywistości uciekał przed nieznośnym ciężarem winy. Nie potrafił ochronić swojej rodziny, gdy ta najbardziej go potrzebowała. Zatrzasnąwszy drzwi przed prawdą, uciekł.

Na Boga, w tym sensie był - dokładnie tak jak powiedziała Annaka -tchórzem.

Gdy Bourne przypatrywał mu się przekrwionymi oczami, Spalko schował do kieszeni pieniądze i wziął pistolet.

- Wykorzystałem pana, żeby zmylić światowe organizacje wywiadowcze. Dobrze mi się pan w tym przysłużył. - Wycelował pistolet w Bourne'a, mierząc mu prosto między oczy. - Ale już pana nie potrzebuję. - Jego palec zacisnął się na spuście.

W tej chwili do pokoju weszła Annaka.

- Chan przedostał się na nasze piętro - powiedziała.

Spalko nie krył zdziwienia.

- Słyszałem eksplozję. Nie zginął w windzie?

- Jakimś sposobem udało mu się spuścić windę na dół. Wybuchła w podziemiach.

- Na szczęście ostatni ładunek broni został już wyekspediowany. - Dopiero teraz obrócił ku niej wzrok. - Gdzie jest teraz Chan?

- Uwięziony w zamkniętym pokoju. Czas iść.

Spalko kiwnął głową. Nie pomyliła się co do umiejętności Chana. Miał rację, popierając ich zażyły związek. Annaka zdołała poznać Chana lepiej, niż się spodziewał. Teraz jednak spojrział na Bourne'a, przekonany, że nie skończył z nim jeszcze porachunków.

- Stiepanie. - Annaka położyła mu dłoń na ramieniu. - Samolot czeka. Musimy mieć czas, żeby opuścić budynek dyskretnie. Zabezpieczenia przeciwpożarowe są włączone, a tlen został już wypompowany z szybu windy, więc nie ma ryzyka poważniejszych szkód. Ale w recepcji musi być jeszcze ogień, a lada chwila nadjadą wozy strażackie.

Pomyślała o wszystkim. Spalko popatrzył na nią z uznaniem. Potem, bez żadnego ostrzeżenia, zamachnął się i zdzielił Bourne'a ceramicznym pistoletem w głowę.

- Wezmę to cacko na pamiątkę naszego pierwszego i ostatniego spotkania.

Razem z Annaka wyszedł z pokoju.

Leżąc płasko na brzuchu, Chan rozkuwał ścianę małym łomem z zestawu narzędzi, które zamówił u Oszkara. Oczy piekły go i lzały od gazu, a płuca rozdymały się boleśnie od braku tlenu. Miał jeszcze tylko parę sekund, zanim zemdleje, a wegetatywny układ nerwowy przejmie kontrolę nad ciałem i gaz przedostanie się w głąb organizmu.

Oderwał jednak kawałek ściany i natychmiast poczuł chłodny powiew z pomieszczenia po drugiej stronie. Wetknął nos w szczelinę i odetchnął świeżym powietrzem. Potem pospiesznie przygotował mały ładunek plastiku C4, w który zaopatrzył go Oskar.

Zbliżywszy po raz drugi nos do szpary, wziął głęboki oddech i umieścił w niej ładunek, wpychając go głęboko. Następnie wycofał się w odległy kąt pokoju i przycisnął guzik pilota.

Siła wybuchu zawałiła potężną część muru. Nie czekając, aż opadnie kurz i dym, Chan przeskoczył przez dziurę i wbiegł do sypialni Stiepana Spalki.

Promienie słońca wpadały przez okna, w dole skrzyły się wody Dunaju. Chan pootwierał wszystkie okna, żeby wywietrzyć pokój z gazu. Od razu usłyszał syreny, a spojrzawszy w dół, zobaczył wozy strażackie, samochody policyjne i falujący tłum ludzi. Cofnął się i powiódł wzrokiem dookoła, orientując się w przestrzeni na podstawie planów architektonicznych, które widział na ekranie komputera u Hearna.

Ustawił się przodem do tajemniczego pustostanu i zobaczył ścianę wyłożoną lśniącymi drewnianymi panelami. Zaczął opukiwać po kolei każdą płytę. Przy trzeciej usłyszał głuchy odgłos. Nacisnął ją i zakamuflowane drzwi ustąpiły.

Wszedł do pomieszczenia z czarnymi betonowymi ścianami i białymi kafelkami na podłodze i stanął przed zakrwawionym, ciężko pobitym Jasonem Bourne'em. Bourne siedział przywiązany do metalowego fotela dentystycznego, na posadzce wokół czerwieniły się plamy krwi. Był nagi od pasa w górę. Jego ramiona, barki, pierś i plecy pokrywały opuchnięte rany i sińce.

Bourne uniósł głowę i popatrzył na Chana z miną zranionego byka -krwawiącego, ale nieuległego.

- Słyszałem drugą eksplozję - powiedział ochryplym głosem. - Myślałem, że zginąłeś.
- Zawiedziony? - Chan wyszczerzył zęby. - Gdzie on jest? Gdzie Spalko?
- Obawiam się, że przyszedłeś za późno. Wyjechał, a Annaka Vadas razem z nim.
- Od początku dla niego pracowała. Próbowałem cię ostrzec w klinice, ale nie chciałeś słuchać.

Bourne westchnął i zacisnął powieki, jakby próbował nie przyjąć do siebie tej nagany.

- Nie miałem czasu.
- Na słuchanie nigdy go nie masz.

Chan zbliżył się do Bourne'a. Ścisnęło go w gardle. Wiedział, że powinien ruszyć w poгон, lecz coś go powstrzymywało. Spojrzał jeszcze raz na rany zadane przez Spalkę.

- Zabijesz mnie teraz - powiedział Bourne takim tonem, jakby stwierdzał oczywisty fakt.

Chan wiedział, że nigdy nie nadarzy mu się lepsza okazja. Mroczna istota, którą karmił i hodował w swoim wnętrzu, którą stała się jego jedynym towarzyszem, żywiąc się codziennie jego nienawiścią i zatruwając umysł gniewem, nie chciała odpuścić. Nakazywała mu zabić Bourne'a i niewiele brakowało, by oładnęła nim zupełnie. Czuł morderczy impuls promieniujący z podbrzusza i płynący do ramienia. Omijał jednak serce i dlatego Chan nie poddał się jego sile.

Gwałtownie odwrócił się i ruszył z powrotem do luksusowej sypialni Spalki. Chwilę później wrócił ze szklanką wody i garścią buteleczek, które zabrał z łazienki. Przystawił szklankę do ust Bourne'a, przychylając ją powoli, aż spłynęła z niej ostatnia kropla. Porozpiął pasy, uwalniając Bourne'a z pęt.

Jason przyglądał się, jak Chan przemywa i dezynfekuje mu rany, lecz jego ręce spoczywały bez ruchu na poręczach fotela. W pewnym sensie czuł się teraz bardziej obehwładniony niż przed chwilą, gdy był związany. Wpatrywał się w Chana, analizując każdy rys jego twarzy. Czyżby widział usta Dao, swój własny nos? Czy to tylko iluzja? Jeśli to był jego syn, musiał to wiedzieć; musiał zrozumieć, co się stało. Wciąż jednak drążyła go niepewność i strach. Możliwość, że stał oko w oko ze swoim rodzonym synem była dla niego zbyt przytłaczająca. Z drugiej strony cisza, która między nimi zaległa, robiła się coraz bardziej nieznośna. Dlatego postanowił poruszyć jedyny neutralny temat, którym na pewno obaj się interesowali.

- Chciałeś wiedzieć, co takiego szykuje Spalko - powiedział, oddychając powoli i głęboko za każdym razem, gdy środek dezynfekujący drażnił boleśnie jego ciało. - Wykradł broń skonstruowaną przez Feliksa Schiffera, przenośny biodyfuzer. Jakimś sposobem udało mu się nakłonić Petera Sido, epidemiologa z kliniki, aby dostarczył mu odpowiedni materiał biologiczny.

Chan wyrzucił przesiąknięty krwią kawałek gazy i wziął czysty.

- Jaki?

- Wąglika, zmodyfikowany wirus Ebola, nie wiem. Wiem tylko, że to coś śmiertelnie złośliwego.
Chan dalej przemyślał Bourne'owi rany. Posadzka była teraz zasłana krwawymi tamponami.

- Dlaczego teraz mi o tym mówisz? - zapytał podejrzliwie.

- Ponieważ wiem, co Spalko zamierza zrobić z tą bronią.
Chan podniósł wzrok.
Bourne odczuł niemal fizyczny ból, patrząc mu w oczy. Wziąwszy głęboki oddech, mówił dalej:

- Spalce bardzo się spieszyło. Musiał natychmiast opuścić Budapeszt.

- Szczyt antyterrorystyczny w Reykjaviku.
Bourne skinął głową.

- To jedyna sensowna możliwość.
Chan wstał i opłukał ręce wodą ze szlauchu.

- Jeżeli oczywiście można ci wierzyć - mruknął.

- Muszę ich doścignąć - powiedział Bourne. - Conklin ukrył Schiffera u Vadasa i Molnara, bo dowiedział się o planach Spalki. Kryptonim biodyfuzera - NX 20 - odczytałem z notesu w domu Conklina.

- Więc dlatego Conklin został zamordowany. - Chan pokiwał głową. - Ale dlaczego nie przekazał tych informacji agencji? CIA musiała być znacznie lepiej przygotowana do ochrony doktora Schiffera.

- Powodów mogło być kilka - odrzekł Bourne. - Conklin mógł uznać, że mu nie uwierzą, biorąc pod uwagę reputację Spalki jako wielkiego dobroczyńcy. Może nie miał dość czasu; jego informacje były zbyt mało konkretne, by agencja zadziała dostatecznie szybko. Poza tym Alex taki już był. Nie lubił dzielić się swoimi sekretami.
Wstał powoli, podpierając się ręką o fotel. Po godzinach bezruchu jego nogi były jak z waty.

- Spalko zabił Schiffera i trzeba założyć, że uwięził lub zamordował doktora Sido. Muszę go powstrzymać, zanim wymorduje wszystkich na konferencji w Reykjaviku.
Chan odwrócił się i podał Bourne'owi telefon komórkowy.

- Masz. Skontaktuj się z agencją.

- Myślisz, że mi uwierzą? Przecież według CIA to ja zabiłem Conklina i Panova.

- To ja zadzwonię. Nawet biurokraci z CIA muszą potraktować poważnie donos anonimowego obywatela, jeśli chodzi o zagrożenie życia prezydenta Stanów Zjednoczonych.
Bourne pokręcił głową.

- Szefem prezydenckiej ochrony jest niejaki Jamie Hull. Na pewno znalazłby sposób, żeby ukreślić sprawę łeb. - Zalśniły mu oczy. - Zostaje tylko jedna możliwość, ale wątpię, żebym był w stanie poradzić sobie sam.

- Sądząc po tym, jak wyglądasz - zauważył Chan - w ogóle nie jesteś do tego zdolny.
Bourne zmusił się, by spojrzeć Chanowi w oczy.

- Więc tym bardziej powinieneś mi pomóc.

- Oszalałeś!

- Chcesz dorwać Spalkę tak samo jak ja. Widzisz jakieś słabe strony?

- Widzę same słabe strony - prychnął Chan. - Spójrz na siebie! Jesteś wrakiem.
Bourne chodził tam i z powrotem, rozciągając mięśnie, z każdym stawianym krokiem odzyskując siły i zaufanie do swojego ciała. Chan patrzył na niego ze zdumieniem.
Jason odwrócił się do niego.

- Obiecuję, że nie obarczę cię całą ciężką robotą.
Chan nie odrzucił propozycji od razu. Poszedł na niechętne ustępstwo, choć nie wiedział właściwie, dlaczego to robi.

- Po pierwsze, musimy się stąd bezpiecznie wydostać.

- Wiem. Udało ci się wywołać pożar, a teraz w budynku roi się od strażaków i policjantów.

- Gdyby nie ten pożar, nie byłoby mnie tutaj.

Bourne zorientował się, że jego żartobliwy ton nie rozładowuje napięcia. Wręcz przeciwnie. Nie umieli ze sobą rozmawiać. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek się tego nauczą.

- Dziękuję, że mnie uratowałeś - powiedział.

Chan spuścił wzrok, unikając jego spojrzenia.

- Nie pochlebiaj sobie. Chodziło mi o dorwanie Spalki.

- Nareszcie - zauważył Bourne - mam Spalce za co podziękować.

Chan pokręcił głową.

- To się nie może udać. Ja nie ufam tobie, a ty mnie.

- Jestem gotów spróbować - powiedział Bourne. - Ta sprawa jest tego warta, bez względu na to, co zaszło między nami.

- Nie mów mi, co mam myśleć - uciął Chan. - Nie potrzebuję cię do tego; nigdy nie potrzebowałem. - Zdobył się na uniesienie głowy i po patrzył Bourne'owi prosto w twarz. - Okej, umówmy się tak. Zgodzę się na współpracę, ale pod jednym warunkiem. Musisz znaleźć stąd wyjście.

- Nie ma sprawy. - Uśmiech Bourne'a wprowadził go w zakłopotanie. - W przeciwieństwie do ciebie, miałem wiele godzin na zastanawianie się, jak uciec z tego pokoju. Założyłem, że nawet gdyby udało mi się jakoś pozbyć więzów, nie zaszedłbym daleko przy użyciu konwencjonalnych metod. Nie czułem się na siłach stanąć do walki ze szwadronem strażników Spalki. Wymyśliłem więc inne rozwiązanie.

Na twarzy Chana odmalowała się irytacja. Nie mógł znieść, że ten człowiek wie więcej od niego.

- Mianowicie?

Bourne wskazał podbródkiem odpływ.

- Kanalizacją? - spytał Chan z niedowierzaniem.

- Czemu nie? - Bourne ukląkł przy niewielkim okratowanym odpływie. - Otwór jest dostatecznie szeroki, żeby można się było przez niego precyzyjnie przesuwać. - Wsunął ostrze noża sprężynowego między kratę a obudowę. - Pomożesz mi?

Kiedy Chan ukląkł po przeciwnej stronie, Bourne podważył klingą kratę, unosząc ją lekko. Chan podniósł ją wyżej. Odłożywszy nóż, Bourne chwycił za drugi koniec i wspólnie dźwignęli całą kratę.

Chan widział, jak Bourne krzywi się z wysiłku. Ogarnęło go dziwne, obce, a zarazem znane uczucie, rodzaj dumy, który zidentyfikował dopiero po dłuższej chwili i powitał z bólem serca. Było to uczucie, które znał jako dziecko, zanim oszołomiony, porzucony i zagubiony wywedrował z Phnom Penh. Od tamtej pory zdołał skutecznie odgradzić się od niego. Aż do tej chwili.

Odtoczyli kratę na bok i Bourne zebrał z podłogi krwawe strzępy ubrań, które zerwał z niego Spalko, a następnie zawinął w nie telefon komórkowy. Potem wraz z nożem sprężynowym schował go do kieszeni.

- Kto pierwszy? - zapytał.

Chan wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że wcale mu to nie imponuje. Domyślał się, dokąd prowadzi rura kanalizacyjna, i podejrzewał, że Bourne też to wie.

- To twój pomysł.

Bourne opuścił się w głąb okrągłego otworu.

- Odczekaj dziesięć sekund, a potem wskakuj - powiedział na chwilę przed zniknięciem Chanowi z oczu.

Annaka nie posiadała się z radości. Kiedy mknęła ze Spalką jego opancerzoną limuzyną na lotnisko, wiedziała, że nikt i nic ich nie powstrzyma. Awaryjny plan, do którego postanowi-

ła wykorzystać Ethana Hearna, okazał się zbyt cenny, ale nie żałowała, że podjęła tę próbę. Ostrożność zawsze się opłacała, a w chwili gdy rozmawiała z Hearnem, los Spalki zdawał się wisieć na włosku. Teraz, wiedziała, że nie powinna była w niego wątpić. Miał odwagę, umiejętności i środki, by dokonać wszystkiego, nawet tak śmiałego przewrotu politycznego. Musiała przyznać, że kiedy po raz pierwszy powiedział jej, co zamierza, była sceptyczna i jej wątpliwości rozwiały się dopiero, gdy bezpiecznie przeprowadził ją na drugi brzeg Dunaju starym tunelem przeciwlotniczym, który odkrył, kiedy kupił budynek na siedzibę Humanistas. Kiedy zaczął go remontować, postarał się, aby wszelkie informacje o nim zniknęły z architektonicznych planów miasta, więc ten tunel był jego tajemnicą.

Limuzyna i szofer czekali na nich na drugim brzegu w ognistej tunie późnopołudniowego słońca, a teraz mknęli autostradą w kierunku lotniska Ferihegy. Przysunęła się do Stiepana, a kiedy obrócił ku niej twarz, uścisnęła mocno jego dłoń. Gdzieś w tunelu zrzucił z siebie zakrwawiony fartuch i lateksowe rękawiczki. Był ubrany w dżinsy, świeżą białą koszulę i skórzane buty. Nikt by się nie domyślił, że w nocy nie zmrządził oka.

Uśmiechnął się.

- Sądzę, że należy nam się szampan, nie uważasz?

Roześmiała się.

- Myślisz o wszystkim, Stiepanie.

Wskazał kieliszki stojące w niszy w drzwiach po jej stronie. Były kryształowe, nie plastikowe. Kiedy pochyliła się, żeby je wziąć, wyjął z lodówki butelkę szampana. Za oknami po obu stronach autostrady migały bloki, których szyby odbijały kulę zachodzącego słońca.

Spalko zdarł sreberko, wyjął korek i nalał spieniony płyn do szampanek. Odstawił butelkę i stuknęli się kieliszkami w milczącym toaście.

Napili się i Annaka popatrzyła Spalce w oczy. Byli jak brat i siostra, a nawet bliżsi, gdyż inaczej niż rodzeństwo nigdy ze sobą nie rywalizowali. Ze wszystkich mężczyzn, których poznała, Stiepan był najbliższy spełnienia jej pragnień. Chociaż nie szukała życiowego partnera. Kiedy była dzieckiem, wystarczylby jej ojciec, ale niestety złożyło się inaczej. Zamiast niego wybrała więc Stiepana, silnego, władczyego, niezwyciężonego. Stał się dla niej wszystkim, czego córka mogłaby oczekiwać po ojcu. Coraz rzadziej mijali wysokie bloki, wyjechali na przedmieścia. Bezchmurne niebo czerwieniło się w promieniach zachodzącego słońca, wiał słaby wietrzyk - idealne warunki do lotu samolotem.

- Co powiesz na odrobinę muzyki do szampana? - zaproponował Spalko. - Uniósł rękę nad głowę, ku zainstalowanemu pod sufitem odtwarzaczowi CD. - Na co masz ochotę? Na Bacha? Beethovena? Nie, oczywiście. Na Chopina.

Wybrał i nacisnął odpowiedni guzik. Lecz zamiast jednej z lirycznych melodii jej ulubionego kompozytora usłyszała własny głos:

- Nie pracujesz dla Interpolu. Nie masz ich nawyków. Dla CIA? Wątpię. Stiepan wiedziałby, gdyby Amerykanie próbowali przeniknąć jego organizację. W takim razie dla kogo?

Unosząc kieliszek do ust, Annaka nagle zamarła.

- Co tak pobladłeś, Ethanie?

Ku swemu przerażeniu zobaczyła, że Stiepan uśmiecha się szeroko znad szampana.

- Tak naprawdę niewiele mnie to obchodzi. Chcę się po prostu zabezpieczyć na wypadek, gdyby sprawy tutaj źle się potoczyły. Będiesz moją polisą ubezpieczeniową.

Spalko wyłączył nagranie. Zaległa martwa cisza, słychać było tylko stłumiony szum potężnego silnika limuzyny.

- Pewnie się zastanawiasz, jak odkryłem twoją zradę.

Annaka nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Jej umysł uczepił się chwili, gdy Stiepan uprzejmie zapytał, jakiej muzyki chciałaby posłuchać. Całą sobą pragnęła wrócić do tamtego momentu. Porażona szokiem, mogła myśleć tylko o przerażającym rozdarciu w jej życiu i o ziejącej przepaści, która otworzyła się nagle pod jej stopami. Istniało tylko idealne życie sprzed momentu, gdy Spalko włączył nagranie, i katastrofa, która nastąpiła sekundę później.

Czy Stiepan wciąż się uśmiechał tym swoim krokodylim uśmiechem? Nie mogła się skoncentrować. W bezrefleksyjnym odruchu otarła dłonią oczy.

- Mój Boże, Annako, czy to prawdziwe łzy? - Spalko pokręcił smutno głową. - Zawiodłaś mnie, Annako, chociaż Jeśli mam być zupełnie szczery, zastanawiałem się, kiedy mnie zdradzisz. Pod tym względem pan Bourne miał całkowitą rację.

- Stiepan, ja... - zamilkła w pół zdania. Nie poznawała własnego głosu, a przynajmniej nie zniżyłaby się do błagalnych próśb. Jej życie i bez tego było teraz dość żalodne.

Stiepan trzymał coś między palcem a kciukiem, malutki krążek, mniejszy nawet od baterii do zegarka.

- Elektroniczne urządzenie nasłuchowe podłożone w gabinecie Hearn. - Parsknął śmiechem. - Na ironię zakrawa fakt, że właściwie wcale go nie podejrzewałem. Takie pluskwy podkładałam w biurach wszystkich nowych pracowników na co najmniej sześć miesięcy. - Gestem iluzjonisty schował krążek do kieszeni. - Miałas pecha, Annako, a ja miałem szczęście.

Wychylił resztę szampana i odstawił kieliszek. Wciąż nie mogła się ruszyć. Siedziała z wyprostowanymi plecami i łokciami przy bokach, palce zaciskała wokół kryształowej stopki kieliszka.

Popatrzył na nią czule.

- Wiesz, Annako, gdybyś była kimś innym, już byś nie żyła. Ale łączy nas przeszłość, łączy nas jedna matka, że się tak wyrażę, naciągając nieco definicję tego słowa.

- Przekrzywił głowę, wygrzewając się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Pozbawiona porów skóra na jego twarzy lśniła niczym okna bloków, które zostawili daleko z ty-

lu. Teraz, blisko lotniska, tylko z rzadka mijali jakiegokolwiek zabudowania.

- Kocham cię, Annako. - Chwycił ją za rękę. - Kocham cię tak, jak nie mógłbym pokochać nikogo innego. - Pocisk z pistoletu Bourne'a zrobił niespodziewanie mało hałasu. Tułów Annaki odskoczył do tyłu, prosto na jego czekające ramię, a głowa zadarła się gwałtownie. Czuł spazm przebiegający jej ciałem i zorientował się, że kula musiała utkwąć w pobliżu serca. Cały czas patrzył jej w oczy. - Wielka szkoda, prawda?

Czuł jej ciepłą krew spływającą mu po ręce na skórzaną tapicerkę siedzenia. Jej oczy zdawały się uśmiechać, lecz twarz pozostała obojętna. Nawet w chwili śmierci, pomyślał, niczego się nie bała. Cóż, to było coś, nieprawdaż?

- Czy wszystko w porządku, proszę pana? - zapytał szofer.

- Teraz już tak - odrzekł Stiepan Spalko.

Rozdział 27

Dunaj był zimny i ciemny. Boleśnie poraniony Bourne wskoczył do wody pierwszy. Chan miał większe trudności. Przeszywający chłód rzeki nie zrobił na nim wrażenia, jednak w mrocznej toni ożył prześladowający go nocami przerażający koszmar.

Szok zetknięcia z wodą, powierzchnia tak wysoko nad głową, wszystko to sprawiło, że poczuł sznur obwiązany wokół kostki i ciężenie bladego rozkładającego się truchła, które obracało się powoli, opadając na dno. Lee-Lee przywoływała go do siebie, Lee-Lee chciała, żeby do niej dołączył...

Poczuł, jak zapada się w mrok, coraz niżej i niżej. I wtem niespodziewanie coś zaczęło go ciągnąć. Lee-Lee? - pomyślał w panice.

Chwilę później poczuł ciepło innego ciała, większego i pomimo ran wciąż niezwykle silnego. Poczuł, jak ramię Bourne'a oplata go w pasie, i szarpnięcia nóg bijących wodę, gdy płynęli ku powierzchni, z dala od zdradliwego prądu, który porwał Chana.

Wydawało się, że Chan płacze, krzyczy, lecz gdy przedarli się na powierzchnię i ruszyli w stronę brzegu, zamierzył się na Bourne'a, jakby chciał go ukarać, pobić do nieprzytomności. Zdołał jednak zaledwie odtrącić obejmujące go ramię i spojrzeć mściwie na Bourne'a, gdy wdrapywali się na podmurowane kamienne nabrzeże.

- Co ty wyprawiasz? - warknął. - O mało mnie nie utopiłeś!

Bourne otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wskazał tylko w dół rzeki, gdzie z wody sterczał gruby żelazny pal. Po drugiej stronie granatowych wód Dunaju wozy strażackie, karetki i radiowozy policji wciąż oblegały siedzibę Humanistas Ltd. Tłumy gapiów dołączyły do ewakuowanych pracowników, zalewając falami chodniki i wylęgając na jezdnie, a ciekawscy sąsiedzi wychylali się przez okna, by mieć jak najlepszy widok. Łodzie kursujące w górę i w dół rzeki zatrzymywały się i chociaż policjanci gestami nakazywali im płynąć dalej, pasażerowie stawali przy barierkach, aby przyjrzeć się temu, co musieli uznać za początek wielkiej katastrofy. Ale wszyscy się spóźnili. Wyglądało na to, że pożar, który wybuchł w szybie windy, został już ugaszony.

Bourne i Chan ruszyli chyłkiem wzdłuż brzegu i czym prędzej wdrapali się na drabinę. Na szczęście dla nich wszystkie oczy zwrócone były na gmach Humanistas. Kilka metrów dalej część nabrzeża zawałiła się, tworząc wnękę, którą zabezpieczono drewnianymi palami. Wczołgali się do tej prowizorycznej jaskini, kryjąc się w mroku.

- Daj mi swój telefon - powiedział Chan. - Mój jest przemoczony.

Bourne odwinął komórkę Conklina ze szmat i podał Chanowi, który zadzwonił do Oszkara i poinformował go, gdzie są i czego potrzebują. Słuchał przez krótką chwilę odpowiedzi, po czym zwrócił się do Bourne'a.

- Oszkar, mój budapeszteński kontakt, załatwi nam czarter. I przywiezie ci antybiotyki.

Bourne kiwnął głową.

- No dobra, przekonajmy się, ile jest wart ten twój kontakt. Powiedz mu, że potrzebujemy planów architektonicznych hotelu Oskjuhlid w Reykjavíku.

Chan posłał mu gniewne spojrzenie i przez chwilę Bourne obawiał się, że się rozłączy tylko po to, by zrobić mu na złość. Przygryzł wargę. Musiał zapamiętać, żeby na przyszłość rozmawiać z Chanem w łagodniejszy sposób.

Chan powiedział Oszkarowi o planach hotelu.

- Zajmie mu to jakąś godzinę - oznajmił.

- Nie powiedział, że to niemożliwe? - zdziwił się Bourne.

- Oszkar nigdy nie mówi „niemożliwe”.

- Tylko pozazdrościć takiego kontaktu.

Zerwał się mroźny wieczorny wiatr, zmuszając ich do wycofania się w głąb jaskini. Bourne wykorzystał wolny czas na oględziny ran, które zadał mu Spalko. Musiał przyznać, że Chan dobrze się spisał przy opatrywaniu drobnych nacięć pokrywających tors, ręce i nogi. Chan wciąż miał na sobie kurtkę. Teraz zdjął ją i otrzepał z wody. Kiedy to robił, Bourne zauważył mnóstwo kieszonek w podszewce. Wszystkie wyglądały na wypełnione.

- Co tam masz? - zapytał.

- Narzędzia pracy - odparł wymijająco Chan i znów przyłożył do ucha telefon. - Ethan, to ja - powiedział. - Czy wszystko w porządku?

- To zależy - odezwał się Hearn. - W całym tym zamieszaniu odkryłem, że mój gabinet był na podsłuchu.

- Czy Spalko wie, dla kogo pracujesz?

- Nigdy nie wymieniłem twojego imienia. Poza tym zwykle dzwoniłem do ciebie spoza biura.

- Mimo to radzę ci zniknąć.

- Myślałem dokładnie o tym samym - powiedział Hearn. - Cieszę się, że cię słyszę. Po tych eksplozjach nie wiedziałem już, co myśleć.

- Trochę wiary, człowieku - odrzekł Chan. - Dużo na niego masz?

- Wystarczy.

- Zbierz to wszystko i wий stamtąd jak najszybciej. Zemszczą się na nim bez względu na to, co się stanie.

Usłyszał, jak Hearn bierze głęboki oddech.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że chcę się zabezpieczyć. Jeśli z jakiegoś powodu nie będziesz mógł przekazać materiałów mnie, skontaktuj się z... poczekaj chwilę. - Odwrócił się do Bourne'a i spytał: - Znasz w agencji kogoś, komu można by powierzyć informacje inkryminujące Spalkę?

Bourne pokręcił głową, lecz natychmiast przypomniał sobie, co Conklin mówił mu o zastępcy dyrektora.

- Martina Lindrosa - odparł.

Chan kiwnął głową i powtórzył nazwisko Hearnowi, po czym rozłączył się i oddał telefon.

Bourne poczuł się bardzo nieswojo. Chciał znaleźć sposób, żeby nawiązać z Chanem kontakt. W końcu go zapytał, jak zdołał dotrzeć do pokoju przesłuchań. Odetchnął z ulgą, gdy Chan zaczął mówić. Opowiedział Bourne'owi o tym, jak ukrył się w wersalce, o eksplozji w szybie windy i o ucieczce z zaryglowanego pokoju. Nie wspominał jednak o podstępie Annaki.

Bourne słuchał go z rosnącym podziwem, lecz mimo to odczuwał nieuchwytny dystans, jakby rozmowę prowadził ktoś inny. Uciekał od Chana; psychiczne rany były zbyt świeże. Doszedł do wniosku, że przy obecnym osłabieniu nie jest jeszcze mentalnie przygotowany, aby poradzić sobie z dręczącymi go pytaniami i wątpliwościami. Tak więc obaj rozmawiali niezręcznie, ciągle omijając główny problem stojący między nimi niczym forteca, którą można oblegać, ale nigdy zdobyć.

Godzinę później w swojej firmowej furgonetce przyjechał Oszkar z ręcznikami, kocami, nowymi ubraniami i antybiotykami dla Bourne'a. Poczęstował ich gorącą kawą z termosu. Potem wgramolili się na tylne siedzenie, a gdy się przebierali, zebrał ich przemoczone, podarte rzeczy, związał w tłumok i odłożył na bok tylko kurtkę Chana. Potem dał im wodę i jedzenie, które natychmiast pochłonęli.

Jeżeli widok ran Bourne'a go zaskoczył, nie dał tego po sobie poznać, a Chan uznał, że domyślił się, iż misja zakończyła się powodzeniem. Podał Bourne'owi lekkiego laptopa.

- *Kompletne plany hotelu są zapisane na twardym dysku - oznajmił - podobnie jak mapy Reykjavíku i okolic, a także garść podstawowych informacji, które moim zdaniem mogą wam się przydać.*

- *Jestem pod wrażeniem. - Bourne powiedział to do Oszkara, ale myślał również o Ghanie.*

Martin Lindros odebrał telefon tuż po jedenastej przed południem czasu wschodniego. Wskoczył do samochodu i pokonał piętnastominutową trasę do Szpitala imienia Jerzego Waszyngtona w niespełna osiem minut. Detektyw Harry Harris był na ostrym dyżurze. Lindros użył swoich pełnomocnictw i kazał się zaprowadzić do chorego. Na miejscu zasunął parawan przy łóżku i spytał:

- *Co ci się, do cholery, stało?*

Harris łypnął na niego z poduszek. Jego twarz była napuchnięta i posiniaczona. Miał rozciętą górną wargę i zaszytą ranę pod lewym okiem.

- *Wywalili mnie z roboty, ot co.*

Lindros pokręcił głową.

- *Nie rozumiem.*

- *Prezydencka doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego zadzwoniła do mojego szefa. Bezpośrednio. I wymogła na nim, żeby mnie wywalił. Zwolnił bez odprawy i prawa do emerytury. Powiedział mi to wczoraj, kiedy mnie wezwał na dywanik.*

Lindros zacisnął pięści.

- *A potem?*

- *Jak to? Wypieprzył mnie na zbity pysk. Poniżył mnie po tylu latach wzorowej służby.*

- *Jak trafiłeś tutaj?*

- *A, o to. - Harris odwrócił głowę, spoglądając w pustkę. - Zdaje się, że się upilem.*

- *Zdaje ci się?*

Harris popatrzył na niego z błyskiem w oku.

- *Urząłem się jak świnia, okej? Myślę, że przynajmniej tyle mi się należało.*

- *Ale dostałeś jeszcze po głębie.*

- *Taa... Jeśli dobrze pamiętam, między paroma harleyowcami doszło do sprzeczki, która przerodziła się w bójkę.*

- *I pewnie uważasz, że pranie po pysku też ci się należało.*

Harris nie odpowiedział.

Lindros potarł dłońią twarz.

- *Wiem, że obiecałem się tym zająć, Harry. Myślałem, że mam wszystko pod kontrolą, nawet Starego udało mi się przekonać. Nie przyszło mi do głowy, że Alonzo-Ortiz wykona taki ruch.*

- *Pieprzyć ją - powiedział Harris. - Pieprzyć ich wszystkich. - Zaśmiał się gorzko. - Jak mawiała moja mamusia: „Żaden dobry uczynek nie ujdzie kary”.*

- *Słuchaj, Harry, nigdy nie rozgryzłbym sprawy tego Schifferra, gdyby nie ty. Nie zostawię cię. Wyciągnę cię z tego.*

- *Czyżby? Chciałbym wiedzieć jak, do kurwy nędzy?*

- *Jak powiedział Hannibal: „Znajdziemy jakąś drogę, a jak nie, to ją wyrąbiemy”.*

Kiedy byli gotowi, Oszkar zawiózł ich na lotnisko. Bourne, który nie doszedł jeszcze do siebie po torturach, chętnie pozwolił prowadzić komu innemu. Mimo to zachował operacyjną czujność. Z zadowoleniem zauważył, że Oszkar często zerka w lusterko, sprawdzając, czy ktoś nie siedzi im na ogonie. Zdawało się, że nikt ich nie śledzi.

W oddali zamajaczył kształt wieży kontrolnej i chwilę później Oszkar zjechał z autostrady. W pobliżu nie było policjantów. Nic nie wskazywało na żadne zagrożenie. Mimo to Bourne wolał się mieć na baczności.

Nikt ich nie zatrzymał, gdy przejeżdżali po lotnisku w stronę lądowiska przeznaczonego dla usług czarterowych. Samolot już na nich czekał, zatankowany i gotowy do startu. Wysiedli z wozu. Bourne uściśnął Oszkarowi dłoń.

- Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma za co - odparł Oszkar z uśmiechem. - Wszystko jest wliczone w rachunek.

Kiedy odjechał, weszli po schodkach do samolotu.

Pilot powitał ich na pokładzie, po czym złożył schodki i zatrzasnął drzwi. Bourne podał mu cel podróży i pięć minut później oderwali się od ziemi, rozpoczynając dwugodzinny lot do Reykjavíku.

- Za trzy minuty znajdziemy się nad kutrem - oznajmił pilot. Spalko poprawił słuchawkę radiową w uchu, wziął schłodzony pojemnik

Petera Sido i przeszedł na tył samolotu, gdzie przypiął się do uprząży. Mocując zaczep, popatrzył na tył głowy Sido, który siedział przykuty kajdankami do fotela. Jeden z uzbrojonych ludzi Spalki siedział obok niego.

- Wiecie, gdzie go zabrać - powiedział ścisłym głosem do pilota.

- Tak jest. Na pewno będzie to daleko od Grenlandii.

Spalko podszedł do tylnych drzwi i dał znak swojemu człowiekowi, który wstał i dołączył do niego.

- Jak stoimy z paliwem?

- Dobrze - odpowiedział pilot. - Moje obliczenia okazały się trafne.

Spalko wyjrzał przez małe okienko w drzwiach. Lecieli teraz niżej.

Widział atramentowe wody północnego Atlantyku i białe grzbiety wzburzonych fal.

- Trzydzieści sekund - poinformował go pilot. - Wieje dość mocny wiatr z północnego wschodu. Szesnaście węzłów.

- Zrozumiałem. - Spalko poczuł, jak samolot zwalnia. Pod ubraniem miał szczelny siedmiomilimetrový kombinezon. Inaczej niż w kombinezonie do nurkowania, który utrzymuje ciepłotę organizmu dzięki warstewce wody między ciałem a neoprenem, jego kombinezon zakrywał stopy i dłonie, by nie dopuścić wody do środka. Pod spodem miał dodatkową warstwę materiału tkanego z mikrowłókien, co wzmacniało ochronę przed zimnem. Mimo to, gdyby nie wymierzył dokładnie skoku, zetknięcie z lodowatą wodą mogło go sparaliżować, a nawet skończyć się śmiercią. Wszystko musiało pójść zgodnie z planem. Przymocował pojemnik łańcuchem do lewego nadgarstka i założył rękawice.

- Piętnaście sekund - powiedział pilot. - Wiatr stały.

Dobrze, nie będzie niekontrolowanych podmuchów, pomyślał Spalko. Skinął głową do swojego człowieka, który nacisnął klamkę i drzwi otworzyły się na oścież. Wycie wiatru wypełniło kabinę samolotu. Pod spodem nie było niczego poza siedmioma tysiącami metrów powietrza i oceanem, który byłby twardy jak beton, gdyby uderzył w jego powierzchnię przy swobodnym upadku.

- Już! - krzyknął pilot.

Spalko skoczył. Wiatr smagał go po twarzy, powietrze szumiało w uszach. Spalko wygiął się w łuk. W ciągu jedenastu sekund osiągnął prędkość siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, zabójczą przy upadku. Mimo to nie miał wrażenia, że spada. Czuł raczej lekki nacisk masy powietrza.

Spojrzał w dół, zobaczył kuter i, wykorzystując opór powietrza, poszybował w jego kierunku, aby zrekompensować wpływ szesnastowęzłowego wiatru z północnego wschodu. Sko-

rygowawszy swoją pozycję, zerknął na wysokościomierz. Na wysokości siedmiuset sześćdziesięciu metrów pociągnął za sznurek spadochronu, poczuł lekkie szarpnięcie i usłyszał cichy szelest nylonu, gdy otworzyła się czasza. Jeden metr kwadratowy oporu powietrza, jaki zapewniło mu ciało, wzrósł do dwudziestu pięciu metrów. Spadał teraz z prędkością czterech metrów na sekundę.

Nad nim wznosiła się świetlista kopuła nieba, pod nim rozpościerał się ogrom północnego Atlantyku, niespokojny, rozkołysany, lśniący niczym mosiądz w promieniach późnopołudniowego słońca. Zobaczył podskakujący na falach kuter, a w oddali wdzierający się w ocean łuk półwyspu, na którym zbudowano Reykjavik. Wiatr zniósł go z obranego kursu i przez dłuższy czas musiał go korygować. Odetchnął głęboko, rozkoszując się lotem.

Zdawał się zawieszony w przestrzeni. Zanurzony w kapsule niezmiernego błękitu, pomyślał o drobiazgowych planach, latach ciężkiej pracy, układach i manipulacjach, dzięki którym dotarł aż do tego punktu, szczytowego w swoim życiu. Pomyślał o roku spędzonym w Ameryce, w tropikalnym Miami, o bolesnych zabiegach i operacjach odtwarzających i remodelujących jego zeszpeconą twarz. Musiał przyznać, że z przyjemnością opowiedział Annace historyjkę o fikcyjnym bracie, ale z drugiej strony jak inaczej mógłby wytłumaczyć swoją obecność w sanatorium? Nigdy nie mógłby jej wyjawić, że miał płomienny romans z jej matką. Wystarczyło tylko przekupić lekarzy i pielęgniarzy, aby spędzić trochę czasu sam na sam z ich pacjentką. Jakże łatwo zdemoralizować człowieka, pomyślał. Większość swoich sukcesów zawdzięczał stosowaniu tej zasady.

Jaką wspaniałą kobietą była Sasa! Nigdy przedtem ani później nie spotkał takiej jak ona. W sposób zupełnie naturalny przyjął, że Annaka będzie taka jak matka. Oczywiście, był wtedy znacznie młodszy, więc można mu było wybaczyć głupotę.

Co by pomyślała Annaka, zastanawiał się teraz, gdyby powiedział jej prawdę: że lata temu służył w mafii, a boss, mściwy, sadystyczny potwór, wysłał go, aby załatwił jego porachunki, wiedząc doskonale, że może to być pułapka. I rzeczywiście - wpadł w zasadzkę, stracił pół twarzy. Zemścił się potem na Władimirze, ale nie w tak heroiczny sposób, jak odmalował to w opowieści dla Ziny. To, co zrobił, było haniebne i wstydlive, lecz w tamtych czasach nie miał dość władzy, by działać samodzielnie. Teraz było inaczej.

Znajdował się ponad dwieście metrów nad ziemią, kiedy wiatr zmienił raptownie kierunek. Zaczęło go znosić coraz dalej od kutra i mimo wszelkich prób nie udało mu się skorygować kursu. Pod sobą spostrzegł błysk światła na pokładzie łodzi i zorientował się, że załoga pilnie obserwuje jego lot. Kuter ruszył w jego kierunku.

Horyzont się podniósł, a ocean zaczął zbliżać się gwałtownie, wypełniając jego pole widzenia. Wiatr nagle ucichł.

Spalko najpierw nogami, potem resztą ciała zanurzył się w wodzie. Mimo że był na to psychicznie przygotowany, szok wywołany lodowatą wodą pozbawił go tchu. Ciężar pojemnika pociągnął go w dół, lecz prędko przeciwstawił mu się potężnymi nożycowymi pchnięciami nóg. Wypłynął na powierzchnię z zadartą głową i wziął głęboki oddech, uwalniając się jednocześnie od spadochronu.

Usłyszał łoskot silników odbijający się echem w głębinach i niewiele myśląc, rzucił się w tamtym kierunku. Wkrótce jednak wobec siły fal zrezygnował z pomysłu dopłynięcia do kutra. Kiedy statek wreszcie się zbliżył, był u kresu wytrzymałości. Wiedział, że bez hermetycznego kombinezonu już miałby hipotermię.

Członek załogi rzucił mu linę, a po burcie spuszczone sznurową drabinkę. Wspiął się po niej, przez całą drogę na górę walcząc z oceanem.

Potężne ramię wyciągnęło się, pomagając mu wejść na pokład. Podniósł wzrok i ujrzał twarz o przenikliwych błękitnych oczach, okoloną gęstymi blond włosami.

- La illaha ill Allah - powiedział Hasan Arsienow. - Witamy na pokładzie, Szejku.

Spalko wstał, a członkowie załogi owinęli go w koce.

- *La illaha ill Allah - odrzekł. - Prawie cię nie poznałem.*
- *Kiedy pierwszy raz po rozjaśnieniu włosów popatrzyłem w lustro, też się nie poznałem.*
Spalko przyjrzał się twarzy dowódcy terrorystów.
- *Jak się sprawdzają soczewki kontaktowe?*
- *Nikt z nas nie miał z nimi problemów. - Arsenow nie mógł oderwać wzroku od metalowej skrzynki w dłoni Szejka. - Jest tutaj.*

Spalko pokiwał głową. Spojrzał Arsenowowi przez ramię i zobaczył Zinę stojącą w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Jej złociste włosy powiewały na wietrze, bez zmrużenia powiek patrzyła na niego kobaltowymi oczami.

- *Kierunek ład - rozkazał Spalko załodze. - Chcę się przebrać w suche rzeczy.*

Zszedł do przedniej kabiny, gdzie na koi czekały na niego starannie złożone ubrania, a na pokładzie pod nią para porządných czarnych butów. Odpiął pojemnik i postawił go na koi. Kiedy zrzucił z siebie kombinezon, zerknął na nadgarstek, by zobaczyć, jak mocno stalowa obręcz poraniła mu skórę. Potem zatarł energicznie ręce, przywracając krążenie krwi.

Stał tyłem, gdy drzwi otworzyły się i szybko zamknęły. Nie odwrócił się, nie musiał widzieć, kto wszedł do kabiny.

- *Zaraz cię rozgrzeję - powiedziała zmysłowym głosem Zina.*

Chwilę później poczuł dotyk jej piersi i żar łędźwi na plecach i pośladkach. Euforia skoku ze spadochronem wciąż rozpalala mu zmysły, podsycona przez świeże wspomnienie ostatecznego zakończenia jego długiego związku z Annaka Vadas. Wszystko to sprawiło, iż nie mógł się Zinie oprzeć.

Odwrócił się i usiadł na brzegu koi, a ona przywarła do niego całym ciałem. Była jak samica w rui. Widział żar w jej oczach, słyszał jej pomruki rozkoszy. Zatraciła się z nim kompletnie, dając mu chwilowe spełnienie.

Mniej więcej dziewięćdziesiąt minut później Jamie Hull zszedł do podziemnego garażu, by skontrolować straż przy bocznej bramie, gdy zauważył Karpowa. Szef rosyjskiej ochrony wyraził zdziwienie na jego widok, lecz Hull nie dał się nabrać. Odnosił wrażenie, że Borys ostatnio go śledzi, ale może po prostu padł ofiarą paranoi. Chociaż miało to swoje uzasadnienie. W hotelu przebywali obecnie wszyscy przywódcy zaproszeni na szczyt antyterrorystyczny. Nazajutrz o ósmej rano rozpoczną się obrady, a dla niego okres najwyższego ryzyka. Wprost przerażała go myśl, że jakimś sposobem towarzyszy Borys zwąchał to, co odkrył Fejd al-Saud, i to, co Hull uknuł z szefem arabskiej ochrony.

Dlatego też, aby Borys nie wyczuł jego obaw, Hull przylepił do twarzy szeroki uśmiech. Był gotowy na wszystko, byle tylko Rosjanin niczego się nie domyślił.

- *Widzę, że pracuje pan po godzinach, drogi panie Hull – powiedział Karpow tubalnym głosem spikera radiowego. - Ktoś musi czuwać, aby spać mógł ktoś, co?*

- *Będę miał dość czasu, żeby się wyspać, kiedy konferencja się skończy, a wraz z nią nasza robota.*

- *Nasza robota nigdy się nie kończy. - Karpow był ubrany w jeden ze swoich fatalnych serżowych garniturów. Wyglądał w nim, jakby był zakuty w niezgrabny pancerz. - Choćbyśmy nie wiem ile działali, zawsze czeka nas kolejne zadanie. To jeden z uroków naszej pracy, mam rację?*

Hulla korciło, żeby zaprzeczyć, ale ugryzł się w język.

- *A jak tutejsza ochrona? - Karpow rozglądał się dookoła swoimi paciorkowatymi czarnymi oczami. - Zgodna z wysokimi amerykańskimi standardami, mam nadzieję?*

- *Dopiero sprawdzam.*

- *W takim razie przyda się panu pomoc, prawda? Co dwie głowy, to nie jedna.*

Hull opadł nagle z sił. Nie pamiętał już, jak długo tkwił w tym zapomnianym przez Boga kraju ani kiedy miał okazję porządnie się wyspać. I ani jednego drzewa, po którym można by się było zorientować, jaka jest pora roku! Miał objawy dezorientacji podobnej do tej, na jaką cierpią czasami marynarze na łodziach podwodnych.

Przyglądał się, jak wartownicy zatrzymują furgonetkę firmy gastronomicznej, przepytują kierowcę i sprawdzają ładunek. Nie zauważył żadnego błędu w procedurze ani w samej metodzie.

- Czy ten kraj nie działa na ciebie dołująco? - spytał Borysa.

- Dołująco? Toż to istny raj, przyjacielu - zachnął się Karpow. – Jak chcesz się naprawdę zdołować, spędź zimę na Syberii.

Hull zmarszczył brwi.

- Zesłali cię na Syberię?

Borys parsknął śmiechem.

- Tak, ale nie w tym celu, co myślisz. Pracowałem tam jako agent operacyjny kilka lat temu, kiedy napięcie z Chinami sięgnęło szczytu. Wiesz, tajne manewry wojskowe, akcje wywiadowcze, a wszystko w najmroczniejszej, najzimniejszej krainie, jaką możesz sobie wyobrazić. - Karpow westchnął. - Chociaż jako Amerykanin pewnie w ogóle nie potrafisz wyobrazić sobie czegoś takiego.

Hull wciąż krzywił usta w dobrodusznym uśmiechu, choć kosztowało go to wiele cierpliwości. Na szczęście przed bramę zajechała następna furgonetka. Z elektrociepłowni Reykjavik. Z jakiegoś powodu wzbudziła zainteresowanie Borysa i Hull podążył za nim w kierunku punktu kontroli. W samochodzie siedziało dwóch mężczyzn w uniformach.

Karpow wziął do ręki kartę ze zleceniami podaną posłusznie przez kierowcę jednemu z wartowników i zaczął czytać.

- O co chodzi? - zapytał typowym dla siebie agresywnym tonem.

- Kwartalny przegląd instalacji geotermicznej - odparł kierowca.

- Musicie robić to akurat teraz? - Karpow hupnął spode łba na szofera.

- Tak jest, proszę pana. Całe miasto jest podłączone do tej samej sieci. Gdybyśmy nie przeprowadzali regularnych kontroli, narazilibyśmy na awarię cały system.

- Cóż, nie możemy do tego dopuścić - powiedział Hull. Skinął głową na jednego z wartowników. - Przeszukaj wóz. Jeśli nic nie znajdziesz, możesz ich przepuścić.

Odszedł od furgonetki, a Karpow za nim.

- Nie lubisz tej roboty, co? - zauważył Rosjanin.

Zapomniawszy się na chwilę, Hull obrócił się na pięcie i stanął z nim oko w oko.

- Lubię - warknął, lecz zmiarkował się natychmiast i dodał z uśmiechem: - Nie, masz rację. Wolę robotę, jak by to powiedzieć... bardziej siłową.

Karpow pokiwał głową z wyraźną sympatią.

- Rozumiem. Nie ma to jak zabijanie.

- Dokładnie - rzekł Hull, wczuwając się w rolę. - Weźmy na przykład ten najnowszy rozkaz. Czego bym nie dał, żeby znaleźć Jasona Bourne'a i władować mu kulę w łeb.

Karpow uniósł krzaczaste brwi.

- Wydaje mi się, że dla ciebie ten rozkaz to sprawa osobista. Powinieneś się strzec takiego zaangażowania, przyjacielu. Silne uczucia osłabia ją zdolność oceny sytuacji.

- Pieprzę to - odrzekł Hull. - Bourne dostał to, czego pragnąłem najbardziej. To, co powinno być moje.

Karpow zastanawiał się przez moment.

- Zdaje się, że źle pana oceniłem, drogi panie Hull. Zdaje się, że jest w panu więcej z wojownika, niż myślałem. - Klepnął Amerykanina po plecach. - Co powiesz na wymianę wojennych opowieści przy wódce?

- Myślę, że da się to załatwić - odrzekł Hull, gdy furgonetka elektro ciepłowni Reykjavik

wjeżdżała na teren hotelu.

Stiepan Spalko, ubrany w uniform pracownika ciepłowni Reykjavik, z barwnymi soczewkami kontaktowymi i sztucznym szerokim nosem przyklepionym do twarzy, wysiadł z furgonetki i powiedział kierowcy, żeby na niego zaczekał. Z formularzem zlecenia w jednej dłoni i niewielką skrzynką na narzędzia w drugiej ruszył przez labirynt korytarzy w podziemiu hotelu. Plan architektoniczny budynku migał mu przed oczami niczym trójwymiarowy obraz z rzutnika. Orientował się w olbrzymim kompleksie lepiej niż niejeden z pracowników.

Zajęło mu dwanaście minut, nim dotarł do sektora, w którym nazajutrz miały się zacząć obrady szczytu antyterrorystycznego. W tym czasie czterokrotnie zatrzymywali go agenci ochrony, mimo że miał przypięty identyfikator. Ruszył na schody, zszedł na trzeci poziom pod ziemią, gdzie znów zatrzymał go strażnik. Był na tyle blisko węzła grzewczego, by jego obecność nie wzbudzała podejrzeń. Jednocześnie znalazł się na tyle blisko podstacji systemu wentylacyjno-klimatyzacyjnego, że ochroniarz postanowił mu towarzyszyć.

Spalko przystanął przy skrzynce instalacji elektrycznej i otworzył klapkę. Cały czas czuł na sobie czujny wzrok strażnika.

- Długo tu pan jest? - zapytał po islandzku, otwierając pojemnik z narzędziami.
- Mówi pan może po rosyjsku? - odrzekł ochroniarz.
- Tak się składa, że owszem. - Spalko zaczął grzebać w narzędziach. - Jest pan tu od ilu, dwóch tygodni?
- Od trzech - przyznał się strażnik.
- I przez ten czas zobaczył pan cokolwiek z naszej pięknej Islandii? - Znalazł przedmiot, którego szukał, i ukrył go w dłoni.

Rosjanin pokręcił głową, co Spalko wykorzystał jako pretekst do rozpoczęcia uczonego wykładu.

- W takim razie pozwoli pan, że go oświecę. Islandia jest wyspą o powierzchni stu trzech tysięcy kilometrów kwadratowych, której średnia wysokość nad poziomem morza wynosi pięćset metrów. Nasz najwyższy szczyt, Hvannadalshnukur, ma wysokość dwóch tysięcy stu jedenastu metrów, a jedenaście procent powierzchni kraju pokrywają lodowce, w tym największy w Europie lodowiec Vatnajokull. Nasz parlament, Althing, składa się z sześćdziesięciu trzech posłów wybieranych co cztery...

Jego głos ucichł, gdy strażnik, śmiertelnie znudzony przewodnikowym belkotem, odwrócił się i odszedł. Spalko natychmiast wziął się do pracy. Przyciskał małe dyski do dwóch par przewodów, aż upewnił się, że wszystkie cztery kolce przebiły izolację.

- Gotowe - oznajmił, zatraskując skrzynkę.
- A teraz dokąd? Do węzła grzewczego? - zapytał strażnik.
- Nie - powiedział Spalko. - Najpierw muszę się zameldować u szefa. Wracam do samochodu. - Pomachał strażnikowi na odchodne.

Wrócił do furgonetki, wszedł i poczekał, aż nadejdzie następny ochroniarz.

- Jak tam? Wszystko w porządku?
- Na dzisiaj skończyliśmy. - Spalko uśmiechnął się z triumfem, notując coś w formularzu. Spojrzał na zegarek. - Oj, zasiedzieliśmy się tu dłużej, niż myślałem. Dzięki za ochronę.
- Nie ma sprawy. Taką mam robotę.

Kiedy kierowca przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił bieg, Spalko powiedział:

- Oto zaleta próbnych akcji. Będziemy mieli dokładnie trzydzieści minut, zanim zaczną nas szukać.

Wyczarterowany odrzutowiec bujał po niebie. Obok Bourne'a w rządzie po przeciwnej stronie siedział Chan, wpatrując się prosto przed siebie w pustkę. Jason zamknął oczy. Głównie

ne oświetlenie było wyłączone, paliło się tylko kilka lampek do czytania, rozpraszając tu i ówdzie mrok. Za godzinę mieli wylądować na lotnisku Keflavik.

Bourne siedział bez ruchu. Chciał schować głowę w dłoniach i zapłakać nad grzechami przeszłości, ale przy Chanie nie mógł okazać niczego, co można by zinterpretować jako słabość. Próbnym rozejm, jaki udało im się wypracować, był kruchy niczym skorupka jaja. Tyle rzeczy mogło go zmiażdżyć. Emocje kotłowały się w jego piersi, sprawiając, że z trudem oddychał. Ból, który nie opuszczał jego znękanego torturami ciała, był niczym w porównaniu z cierpieniem wewnętrznym. Chwycił poręczę fotela tak mocno, że chrupnęło mu w kłykciach. Wiedział, że musi odzyskać panowanie nad sobą, tak samo jak wiedział, że nie wysiedzi na tym fotelu ani chwili dłużej.

Wstał i niczym lunatyk przeszedł na drugą stronę, zajmując miejsce przy Chanie. Zdawało się, że młody mężczyzna w ogóle nie zauważył jego obecności. Gdyby nie przyspieszony oddech, można by uznać, że jest pogrążony w głębokiej medytacji.

Z sercem walącym niczym młot o obolale żebra, Bourne odezwał się cicho:

- Chcę wiedzieć, czy jesteś moim synem. Jeśli jesteś Joshua, muszę to wiedzieć.
- Innymi słowy, nie wierzysz mi.
- Chcę ci wierzyć - powiedział Bourne, usiłując zignorować ostry niczym brzytwa ton w głosie Chana. - Na pewno to wiesz.
- Jeśli chodzi o ciebie, niczego nie jestem pewien. - Chan odwrócił się ku niemu z gniewem.
- Czy w ogóle mnie pamiętasz?
- Joshua miał sześć lat, był tylko dzieckiem. - Bourne'a ścisnęło w gardle. - A potem doznałem amnezji.

- Amnezji? - zdumiał się Chan.

Bourne opowiedział mu, co się stało.

- Bardzo niewiele pamiętam sprzed tego okresu - zakończył. - Większość wspomnień dotyczy Jasona Bourne'a, o Davidzie Webbie nie pamiętam prawie nic. Tylko od czasu do czasu jakiś zapach, dźwięk lub głos sprawia, że przypominam sobie jakiś fragment. Ale to tylko strzępy, oderwane i niespójne.

Bourne odszukał w półmroku ciemne oczy Chana, usiłując wyczytać z nich jakiś znak, cokolwiek, co wyrażałoby jego myśli lub uczucia.

- Naprawdę. Jesteśmy sobie zupełnie obcy. Dlatego zanim zabrnijemy dalej... - urwał, przez moment niezdolny wydusić ani słowa. Potem ogromnym wysiłkiem woli zmusił się, by mówić dalej, gdyż cisza, która tak szybko narastała między nimi, była gorsza od wybuchu, który musiał nadejść. - Spróbuj to zrozumieć. Potrzebuję namacalnego dowodu, czegoś nie do obalenia.

- Pierdol się!

Chan wstał, gotów odejść, lecz tak jak w pokoju przesłuchań Spalki coś przykuło go do ziemi. A potem usłyszał w głowie głos Bourne'a, słowa wypowiedziane na dachu w Budapeszcie: „To właśnie twój plan, tak? Ta cała chora historia o tym, że jesteś Joshua... Nie doprowadzę cię do tego Spalki ani do kogo tam chcesz się dostać. Nie będę pionkiem w niczyjej grze”.

Zacisnął dłoń na posątku Buddy na szyi i usiadł z powrotem w fotelu. Obaj byli pionkami w grze Stiepana Spalki. To Spalko doprowadził do ich spotkania, a teraz, o ironio, właśnie wspólna nienawiść do niego mogła ich połączyć przynajmniej na jakiś czas.

- Jest coś takiego - odezwał się głosem, który ledwo poznawał. - Mam koszmarne sny o tym, że jestem pod wodą. Tonę, spadam coraz głębiej, bo jestem przywiązany do jej martwego ciała. Ona mnie woła, słyszę jej głos, czy też raczej to ja ją wołam.

Bourne przypomniał sobie Chana szarpiącego się w wodach Dunaju, panikę, która ściągała go w głąb rwącego rzecznej nurtu.

- Co mówi ten głos?

- To mój głos. Wołam „Lee-Lee, Lee-Lee”.

Serce Bourne'a zamarło. Nagle z głębin jego zszarganej pamięci wypłynęło wspomnienie Lee-Lee. Na jeden drogienny moment ujrzał jej owalną twarz o jasnych oczach i prostych kruczoczarnych włosach.

- O Boże! - wyszeptał. - Joshua nazywał tak Alysę. Nikt inny tak na nią nie mówił. Nikt oprócz Dao nie znał tego przezwiska.

Lee-Lee.

- Jedno z najbardziej wzruszających wspomnień z tego okresu, jakie udało mi się przypomnieć dzięki terapii, dotyczy twojej siostry – podjął Bourne. - Zawsze chciała być blisko ciebie. Kiedy w nocy przyśniło jej się coś strasznego, tylko ty potrafiłeś ją uspokoić. Nazywałeś ją Lee-Lee, a ona mówiła do ciebie Joshy.

Moja siostrzyczka. Lee-Lee. Chan zamknął oczy i natychmiast znalazł się w mętnej wodzie rzeki w Phnom Penh. Zobaczył, jak jej martwe, przeszyte pociskami ciało wpada do wody. Lee-Lee. Czteroletnia dziewczynka. Martwa. Jej jasne oczy - oczy ich taty - wpatrują się w niego ślepo, oskarżycielsko. „Dlaczego ty?” - zdawały się pytać. „Dlaczego ty, a nie ja?” Wiedział jednak, że przemawia przez niego poczucie winy. Gdyby Lee-Lee mogła mówić, powiedziałyby: „Cieszę się, że nie umarłeś, Joshy. Jak to dobrze, że jedno z nas zostanie z tatusem”.

Chan zakrył dłonią twarz, odwracając się do okna. Pragnął umrzeć, żałował, że nie utonął w tamtej rzece, że to nie Lee-Lee przeżyła. Nie mógł znieść tego życia ani sekundy dłużej. Tu nic mu przecież nie pozostało. Umierając, dołączyłby chociaż do siostry...

- Chan.

To był głos Bourne'a. Ale nie mógł spojrzeć mu w twarz. Kochał go i nienawidził. Nie potrafił pojąć, jak to możliwe; nie wiedział, jak ma sobie z tym poradzić. Dźwignął się ciężko z fotela, przecisnął między miejscami i ruszył chwiejnym krokiem na przód samolotu, byle dalej od Bourne'a.

Z nieopisanym żalem Jason patrzył, jak syn odchodzi. Z wysiłkiem zapanował nad impulsem zatrzymania go i przytulenia do piersi. Wyczuł, że byłaby to najgorsza rzecz, jaką mógł w tej chwili zrobić, bo biorąc pod uwagę przeszłość Chana, doprowadziłoby to do kolejnej scysji między nimi.

Nie miał złudzeń. Obaj musieli przebyć trudną drogę, nim zaakceptują, że są rodziną. Może było to w ogóle nieosiągalne. Wolał jednak odsunąć tę przerażającą myśl na bok.

Z ciężkim sercem pojął w końcu, czemu tak długo nie dopuszczał do siebie myśli, że Chan może być jego synem. Annaka, niech ją piekło pochłonie, odgadła to bezbłędnie.

Podniósł wzrok. Chan stał nad nim z dłońmi zaciśniętymi kurczowo na oparciu fotela.

- Powiedziałeś, że dopiero niedawno dowiedziałeś się, że byłem zaginiony.

Bourne pokiwał głową.

- Jak długo mnie szukali?

- Wiesz, że nie potrafię na to odpowiedzieć. Nikt tego nie wie - skłamał odruchowo Jason. Nic nie można było zyskać, a wiele stracić na przyznaniu, że władze szukały Chana tylko godzinę. Chciał uchronić syna przed bolesną prawdą.

Chan stał bez ruchu.

- Dlaczego sam nie sprawdziłeś?

Oskarżycielska nuta w jego głosie wbiła Bourne'a w fotel. Krew zastygła mu w żyłach. Odkąd stało się jasne, że Chan to jego syn, zadawał sobie dokładnie to samo pytanie.

- O mało nie oszalałem z żalu - powiedział - ale wątpię, żeby było to dostateczne wytłumaczenie. Nie potrafiłem zmierzyć się z faktem, że zawiodłem was jako ojciec.

Twarcz Chana wykrzywił bolesny grymas, gdy przerażająca myśl zaczęła się wdzierać do świadomości.

- Musiałeś mieć... problemy, kiedy mieszkaliście z mamą w Phnom Penh.

- Co masz na myśli? - Bourne, zaalarmowany wyrazem twarzy syna, zareagował może zbyt ostro.

- No, wiesz. Dlatego że ożeniłeś się z Tajką.

- Kochałem Dao z całego serca.

- Marie nie jest Tajką, prawda?

- Chan, nie wybieramy osób, w których się zakochujemy.

Nastąpiła krótka pauza, a potem, po pełnej napięcia ciszy, która zaległa, Chan powiedział, jak gdyby nigdy nic, jakby to była nic nieznacząca uwaga:

- A potem doszedł do tego problem dzieci mieszańców.

- Nigdy tak tego nie traktowałem - odrzekł Bourne szczerze. - Kochałem Dao, kochałem ciebie i Alyssę. Boże, byliście całym moim życiem. Przez wiele tygodni, miesiące po waszej stracie nie mogłem dojść do siebie. Gdybym nie spotkał Aleksa Conklina, może nigdy bym się nie pozbierał. Ale nawet to zawdzięczam wieloletniej bolesnej i ciężkiej pracy.

Zamilkł na chwilę, wsłuchując się w ich oddechy. Potem odsapnął ciężko i powiedział:

- Ciągle dręczy mnie to, że powinienem był być przy was, bronić was.

Chan długo przypatrywał mu się w milczeniu, ale napięcie zostało przełamane, Rubikon został przekroczony.

- Gdybyś z nami był, też byś zginął.

Odwrócił się bez słowa, a gdy to uczynił, Bourne'owi stanęła przed oczami Dao i zrozumiał, że cały jego świat się zmienił.

Rozdział 28

W Reykjavíku, jak w każdym cywilizowanym miejscu na świecie, są bary szybkiej obsługi. Podobnie jak restauracje wyższych kategorii, codziennie otrzymują dostawy świeżego mięsa, ryb, warzyw i owoców. Firma Hafharfjördur Fine Fruits & Vegetables była jednym z głównych zaopatrzeniowców lokali szybkiej obsługi w Reykjavíku. Samochód dostawczy tej firmy, który podjechał tego ranka do restauracji Kebab Hollin w centrum miasta z transportem sałaty, cebuli i szalotki, był jednym z wielu kursujących codziennie po mieście. Zasadnicza różnica polegała na tym, że w przeciwieństwie do innych nie został przysłany przez firmę Harharfjördur Fine Fruits & Vegetables.

Wczesnym wieczorem wszystkie trzy placówki Kliniki Landspítali były obleżone przez chorych. Lekarze przyjmowali alarmujące liczby pacjentów i przeprowadzali badania krwi. W porze kolacji wyniki potwierdziły, że w mieście panuje wirusowe zapalenie wątroby typu A.

Urzednicy z Ministerstwa Zdrowia gorączkowo zabrali się do pracy, by opanować sytuację. Ich działania utrudniało kilka ważnych czynników: szybkość i zasięg rozprzestrzeniania się szczególnie groźnej odmiany wirusa oraz komplikacje związane z ustaleniem, o które produkty żywnościowe chodzi, i z wykryciem źródła. Wiedzieli też, że z powodu międzynarodowego szczytu oczy świata zwrócone są na Reykjavík. Wysokie miejsce na ich liście podejrzanych produktów zajmowała szalotka, przyczyna ostatnich wybuchów wirusowego zapalenia wątroby typu A w Stanach Zjednoczonych. Ale szalotka była wszechobecna w lokalnych sieciach barów szybkiej obsługi. Nie mogli też wykluczyć mięsa ani ryb.

Pracowali do zmroku. Przesłuchali właścicieli wszystkich firm dostarczających świeże warzywa i wysłali własny personel na inspekcję magazynów, kontenerów i samochodów dostawczych każdej firmy, łącznie z Hafnarfjördur Fine Fruits & Vegetables. Nie znaleziono nic podejrzanego. Po upływie wielu godzin musieli przyznać, że nie są bliżej wykrycia źródła choroby, niż byli na początku.

Tuż po dziewiątej wieczorem urzednicy Ministerstwa Zdrowia podali do wiadomości publicznej, jaka jest sytuacja: w Reykjavíku panuje wirusowe zapalenie wątroby typu A, a że jeszcze nie ustalono źródła choroby, obejmują miasto kwarantanną. Zawisło nad nimi widmo epidemii na pełną skalę. Nie mogli sobie na to pozwolić w momencie rozpoczęcia szczytu antyterrorystycznego, kiedy uwaga całego świata była skierowana na stolicę ich kraju. W wywiadach radiowych i telewizyjnych zapewniali zaniepokojoną opinię publiczną, że robią wszystko, by opanować sytuację. Powtarzali, że Ministerstwo Zdrowia kieruje cały swój personel do czuwania nad bezpieczeństwem publicznym.

Dochodziła dziesiąta wieczorem, kiedy mocno zaniepokojony Jamie Hull szedł korytarzem hotelowym do prezydenckiego apartamentu. Najpierw nagły wybuch wirusowego zapalenia wątroby typu A, potem to nieoczekiwane wezwanie.

Rozejrzał się i zobaczył agentów Secret Service strzegących prezydenta. Dalej w korytarzu byli Rosjanie z FSB i Arabowie chroniący swoich przywódców, których dla bezpieczeństwa ulokowano w jednym skrzydle budynku.

Wszedł do apartamentu drzwiami pilnowanymi przez dwóch wielkich i nieruchomych jak sfinksy agentów Secret Service. Prezydent spacerował nerwowo tam i z powrotem i dyktował przemówienie stenografom. Sekretarz prasowy robił pospieszne notatki laptopie. W pogotowiu stali jeszcze trzej agenci Secret Service. Odgradzali prezydenta od okien.

Hull czekał cierpliwie, dopóki prezydent nie odprawił ludzi z prasy. Przebiegli jak myszy do drugiego pokoju.

- Jamie - powiedział prezydent z szerokim uśmiechem i wyciągnął rękę. - Miło z twojej strony, że przyszedłeś.

Uściskał mu dłoń, wskazał miejsce i usiadł naprzeciwko.

- Liczę na twoją pomoc. Chciałbym, żeby szczyt przebiegł bez zakłóceń.

- Mogę pana zapewnić, panie prezydencie, że wszystko jest pod kontrolą.

- Karpow też?

- Słucham?

Prezydent uśmiechnął się.

- Słyszałem, że ty i pan Karpow potraficie się dogadać.

Hull przełknął z trudem. Zastanawiał się, czy został wezwany, żeby się dowiedzieć, że jest zwolniony.

- Były drobne tarcia - odrzekł na próbę - ale to już przeszłość.

- Miło mi to słyszeć - powiedział prezydent. - Mam wystarczająco dużo kłopotów z Aleksandrem Jewtuszenką. Nie chcę, żeby się na mnie wkurzył z powodu lekceważenia jego szefa bezpieczeństwa. - Klepnął się w uda i wstał. - Przedstawienie zaczyna się jutro o ósmej rano. Jest jeszcze mnóstwo do zrobienia. - Wyciągnął rękę, kiedy Hull również wstał. - Jamie, nikt nie wie lepiej niż ja, jak niebezpieczna może się stać sytuacja. Ale chyba jesteśmy zgodni, że teraz nie ma już odwrotu.

Kiedy Hull był na korytarzu, zadzwonił jego telefon komórkowy.

- Jamie, gdzie jesteś? - warknął Stary.

- Właśnie wyszedłem od prezydenta. Był zadowolony, gdy usłyszał, że wszystko jest pod kontrolą, łącznie z towarzyszem Karpowem.

Ale zamiast zadowolenia, w głosie dyrektora zabrzmiało naglące napięcie.

- Słuchaj uważnie, Jamie. Jest jeszcze jeden aspekt tej sytuacji. Tylko do twojej wiadomości.

Hull rozejrzał się odruchowo i odszedł poza zasięg słuchu agentów Secret Service.

- Doceniam pańskie zaufanie do mnie, panie dyrektorze.

- Chodzi o Jasona Bourne'a - wyjaśnił Stary. - Nie zginął w Paryżu.

Hull na moment stracił zimną krew.

- Co?! Bourne żyje?!

- Żyje i wierzga. I żebyśmy się dobrze zrozumieli, tej rozmowy nigdy nie było. Jeśli kiedykolwiek komuś o niej wspomnisz, wyprę się, że w ogóle miała miejsce, i dobiorę ci się do dupy, jasne?

- Tak jest.

- Nie mam pojęcia, co Bourne teraz kombinuje, ale zawsze podejrzewałem, że skieruje się w twoją stronę. Może nie zabił Aleksa Conklina i Mo Panova, ale jest jasne jak cholera, że wykończył Kevina McColla.

- Jezu... Znałem McColla.

- Wszyscy go znaleźliśmy, Jamie. - Stary odchrząknął. - Nie możemy tego puścić płazem.

Wściekłość Hulla natychmiast zniknęła. Zastąpiło ją podniecenie.

- Niech pan to zostawi mnie.

- Bądź ostrożny, Jamie. Przede wszystkim masz chronić prezydenta.

- Oczywiście. Rozumiem. Ale może pan być pewien, że jeśli Jason Bourne zjawi się tutaj, już nie wyjdzie z tego hotelu.

- Mam nadzieję, że go wyniosą - odparł Stary. - Nogami do przodu.

Dwaj Czeczeni czekali przed furgonetką ciepłowni, kiedy zza rogu wyjechał samochód służby zdrowia wysłany do hotelu Oskjuhlid. Furgonetka była zaparkowana w poprzek ulicy, wokół rozstawili plastikowe pomarańczowe pacholki i wyglądali na bardzo zajętych.

Samochód służby zdrowia zatrzymał się gwałtownie. - Co wy robicie?! - zawołał jeden z pracowników służby zdrowia. - Mamy sytuację alarmową.

- Pierdol się, człowieku! - odkrzyknął po islandzku jeden z Czeczenów.

- Co powiedziałeś? - Wkurzony pracownik służby zdrowia wysiadł z samochodu.

- Ślepy jesteś? Mamy tu pilną robotę- wyjaśnił Czeczen. - Pojedź inną drogą, kurwa.

Drugi pracownik służby zdrowia wyczuł, że sytuacja może się zrobić niebezpieczna, i też wysiadł. Arsienow i Zina wyskoczyli uzbrojeni z tylnych drzwi furgonetki i zapędzili przerażonych pracowników służby zdrowia do środka.

Potem wraz z trzecim członkiem grupy podjechali porwanym samochodem pod hotelowe wejście dla dostawców. Czwarty Czeczen prowadził furgonetkę elektrociepłowni, żeby zabrać Spalkę i resztę.

Byli ubrani jak pracownicy państwowi i pokazali identyfikatory Ministerstwa Zdrowia, które zdobył Spalko. Arsienow odpowiedział na pytanie po islandzku, a kiedy amerykańscy i arabscy wartownicy nie zrozumieli go, przeszedł na kulawy angielski. Wyjaśnił, że przysłano ich, by się upewnili, czy w kuchni hotelowej nie ma źródła wirusowego zapalenia wątroby typu A. Nikt - zwłaszcza służby bezpieczeństwa - nie chciał, żeby któryś z dygnitarzy padł ofiarą groźnego wirusa. Wpuszczono więc ich i skierowano do kuchni. Członkowie grupy poszli tam, ale Arsienow i Zina zamierzali dotrzeć gdzie indziej.

Bourne i Chan wciąż studiowali schematy różnych podsystemów hotelu Oskjuhlid, kiedy pilot oznajmił, że lądują na lotnisku Keflavik. Bourne, który spacerował po pokładzie, podczas gdy Chan siedział z laptopem, wrócił niechętnie na swoje miejsce. Był cały obolały i w ciasnym fotelu lotniczym nie mógł się wygodnie. Starał się nie poddawać uczuciom związanym z odnalezieniem syna. Ich rozmowy były niezręczne i miał wrażenie, że Chan instynktownie broniłby się przed okazywaniem silnych emocji.

Proces pojednania był trudny dla nich obu. Ale Bourne podejrzewał, że gorszy dla Chana. To, czego syn potrzebuje od ojca, jest dużo bardziej skomplikowane niż to, czego ojciec potrzebuje od syna, żeby go bezwarunkowo kochać.

Bourne musiał przyznać, że boi się Chana. Nie tylko tego, co z nim zrobiono, kim się stał, ale również jego odwagi, inteligencji i sprytu. Uciekł z zaryglowanego pomieszczenia, jakby dokonał cudu.

Była jeszcze jedna, najistotniejsza przeszkoda na drodze do ich wzajemnej akceptacji i ewentualnego pojednania. Żeby zaakceptować Bourne'a, Chan musiał zrezygnować ze wszystkiego, czym było jego życie.

Odkąd usiadł obok ojca na staromiejskiej parkowej ławce w Alexan-drii, był w stanie wojny z samym sobą. Zmieniło się tylko to, że teraz ta wojna toczyła się otwarcie. Chan widział wszystkie okazje do zabicia Bourne'a, jakby patrzył w lusterko wsteczne. Ale dopiero teraz rozumiał, że nie skorzystał z nich rozmyślnie. Nie mógł skrzywdzić Bourne'a, ale nie mógł też otworzyć przed nim serca. Pamiętał desperacki impuls, żeby rzucić się na ludzi Spalki na tyłach kliniki w Budapeszcie. Powstrzymało go tylko ostrzeżenie Bourne'a. Wtedy myślał, że kieruje nim żądza zemsty na Spalce. Teraz wiedział, że to było zupełnie inne uczucie: przywiązanie jednego członka rodziny do drugiego.

A jednak uświadamiał sobie ze wstydem, że boi się Bourne'a. To był przerażający człowiek o wielkiej sile, odporności i inteligencji. Chan czuł się przy nim gorszy, jakby nie dokonał w życiu niczego ważnego.

Wylądowali z krótkim piskiem opon. Samolot pokołował z ruchliwego pasa startowego w stronę odległego krańca lotniska, gdzie kierowano wszystkie prywatne maszyny. Chan wstał i ruszył przejściem między siedzeniami do drzwi.

- Chodźmy - powiedział. - Spalko ma nad nami co najmniej trzy godziny przewagi.

Bourne zagroził mu drogę.

- Nie wiadomo, co nas czeka na zewnątrz. Wyjdę pierwszy.

Chan wybuchnął tłumionym dotąd gniewem.

- Powiedziałem ci już, żebyś mi nie mówił, co mam robić! Mam własny rozum i sam podejmuję decyzje. Tak było zawsze i tak będzie.

- Masz rację. Nie chcę ci nic narzucać. - Jason powiedział to z sercem w gardle. Ten obcy był jego synem. Wszystko, co Bourne mówił i robił, mogło mieć za jakiś czas przykre konsekwencje. - Ale zauważ, że dotąd byłeś sam.

- A czyja to wina? Jak myślisz?

Trudno było przełknąć obrazę, lecz Bourne zmusił się do zignorowania oskarżenia.

- Nie ma sensu rozmawiać o winie - odrzekł spokojnie. - Teraz pracujemy razem.

- I mam ci się po prostu podporządkować? - odparował Chan. - Dlaczego? Uważasz, że na to zasługujesz?

Byli już prawie przy terminalu. Bourne zrozumiał, jak kruche jest odprężenie między nimi.

- Byłbym głupi, gdybym uważał, że zasługuję na coś z twojej strony. - Zerknął przez okno na jasne światła terminalu. - Chodziło mi o to, że jeśli pojawi się jakiś problem, jeśli wpadniemy w zasadzkę, to ja, a nie

ty...

- Czy nie słuchałeś niczego, co ci mówiłem? - zapytał Chan i przepchnął się obok Bourne'a. - Nie liczy się dla ciebie nic, co zrobiłem?

Pojawił się pilot.

- Otwórz drzwi - rozkazał mu Chan. - I zostań na pokładzie. Pilot posłusznie otworzył drzwi i opuścił schodki na płytę lotniska. Bourne zrobił krok wzdłuż przejścia między siedzeniami.

- Chan...

Miażdżące spojrzenie syna go zatrzymało. Patrzył przez szybę, jak Chan schodzi na dół. Na płycie podszedł do niego urzędnik imigracyjny. Chan pokazał mu paszport i wskazał samolot. Urzędnik ostemplował paszport i skinął głową.

Chan odwrócił się i wbiegł po schodkach. Podszedł przejściem między siedzeniami, wyciągnął spod kurtki kajdanki i przykuł się do Bourne'a.

- Nazywam się Chan LeMarc i jestem inspektorem Interpolu - oznajmił, wetknął laptopa pod pachę i zaczął prowadzić Bourne'a do drzwi. - Jesteś moim więźniem.

- A jak się nazywam? - zapytał Jason.

Chan wypchnął go na zewnątrz.

- Ty? Jesteś Jasonem Bourne'em, poszukiwanym przez CIA, Francuzów i Interpol za zabójstwo. To jedyny sposób, żeby ten gość wpuścił cię do Islandii bez paszportu. Jak wszyscy jego koledzy na świecie, czytał okólnik CIA.

Urzędnik imigracyjny cofnął się na bezpieczną odległość, gdy go mijali. Kiedy przeszli przez terminal, Chan natychmiast otworzył kajdanki. Przed budynkiem wsiedli do pierwszej taksówki w rzędzie i podali kierowcy adres niecały kilometr od hotelu Oskjuhlid.

Spalko siedział na miejscu pasażera w furgonetce ciepłowni i trzymał chłodziarkę między nogami. Czecheński rebeliant jechał ulicami śródmieścia do hotelu Oskjuhlid. Zadzwoił telefon komórkowy Spalki. Wiadomość nie była dobra.

- Udało nam się zamknąć pokój przesłuchań, zanim do budynku wešla policja i strażacy - zameldował z Budapesztu jego szef bezpieczeństwa. - Ale mimo dokładnego przeszukania całego gmachu nie znaleźliśmy Bourne'a ani Chana.

- Jak to możliwe? - zapytał Spalko. - Jeden był związany, a drugi uwięziony w pokoju wypełnionym gazem.

- Nastąpiła eksplozja- wyjaśnił szef bezpieczeństwa i opisał szczegółowo, co znaleźli.

- Niech to szlag! - W rzadkim wybuchu gniewu Spalko walnął pięścią w tablicę rozdzielczą furgonetki.

- Rozszerzamy obszar poszukiwań.

- Dajcie sobie spokój - uciął Spalko. - Wiem, gdzie oni są.

Bourne i Chan szli do hotelu.

- Jak się czujesz? - zapytał Chan.

- W porządku - odrzekł Bourne trochę za szybko.

Chan zerknął na niego.

- Nie jesteś nawet zeszywniały i obolały?

- No dobra, jestem - przyznał Bourne.

- Antybiotyki, które dał ci Oszkar, są najwyższej klasy.

- Nie martw się - odparł Bourne. - Biorę je.

- Dlaczego myślisz, że się martwię? - Chan wskazał przed siebie. - Spójrz na to.

Hotel otaczał kordon miejscowej policji. Dwa punkty kontrolne obsadzone przez policjantów i siły bezpieczeństwa z różnych krajów były jedynymi drogami do budynku. Kiedy na to patrzyli, do punktu kontrolnego na tyłach hotelu podjechała furgonetka z ciepłowni.

- Możemy się dostać tylko tamtędy - powiedział Chan.

- Jest jeden sposób - odrzekł Bourne. Kiedy furgonetka przejechała przez punkt kontrolny, zobaczył dwóch wychodzących pracowników hotelowych. Wyłonił się zza niej.

Zerknął na Chana, który skinął głową. On też ich zobaczył.

- Co o tym myślisz? - zapytał Bourne.

- Wygląda na to, że skończyli dyżur - odparł Chan.

- Też tak myślę.

Pracownicy hotelowi rozmawiali z ożywieniem. Zatrzymali się tylko na moment przy punkcie kontrolnym, żeby pokazać identyfikatory. Normalnie zaparkowaliby swoje samochody w podziemnym garażu hotelowym, ale od przyjazdu służb bezpieczeństwa cały personel hotelu musiał parkować na ulicach wokół budynku.

Poszli jak cienie za dwoma mężczyznami. Skręcili za nimi w boczną ulicę, gdzie zniknęli z oczu policjantom i siłom bezpieczeństwa. Zaczekali, aż hotelarze podejść do swoich samochodów, i zaatakowali z tyłu. Załatwili ich cicho i szybko. Zabrali im kluczyki, otworzyli bagażniki i władowali tam nieprzytomnych mężczyzn. Wzięli ich identyfikatory hotelowe i zatrzasnęli bagażniki.

Pięć minut później pojawili się przy punkcie kontrolnym od frontu budynku, żeby nie mieć kontaktu z policjantami i ludźmi z sił bezpieczeństwa, którzy wcześniej sprawdzali dwóch wychodzących hotelarzy.

Przeszli przez kordon bez przeszkód. Wreszcie dostali się do hotelu Oskjuhlid.

Czas rozstać się z Arsienowem, pomyślał Stiepan Spalko. Ten moment zbliżał się od dawna, odkąd Spalko zdał sobie sprawę, że nie może dłużej znieść słabości Arsienowa. Arsienow powiedział mu kiedyś: „Nie jestem terrorystą. Chcę tylko, żeby mój naród dostał to, co mu się należy”. Taka dziecinna postawa to fatalna wada. Arsienow mógł się oszukiwać, jak długo chciał, ale bez względu na to, czy żądał pieniędzy, wypuszczenia więźniów czy zwrotu ziemi, nie cele, lecz metody określały go jako terrorystę. Jeśli nie dostawał tego, czego chciał,

zabijał ludzi. Wrogów i cywilów; mężczyzn, kobiety, dzieci - to nie robiło mu różnicy. Siał terror i zbierał śmierć.

Spalko kazał mu zabrać Ahmeda, Karima i jedną z kobiet na dół do podstacji systemu klimatyzacyjnego, skąd napływało powietrze do sali obrad. To była drobna zmiana planu. Miał tam iść Mahomet z tą trójką. Ale Mahomet nie żył, a ponieważ zabił go Arsienow, przyjął zadanie bez pytań i narzekań. Musieli teraz ściśle trzymać się wyliczonego czasu.

- Mamy dokładnie trzydzieści minut - powiedział Spalko. - Potem, jak wiemy z poprzedniego razu, przyjdzie nas sprawdzić ochrona. - Spojrzał na zegarek. - Co oznacza, że mamy dwadzieścia cztery minuty na wykonanie zadania.

Kiedy Arsienow wyszedł z Ahmedem i pozostała dwójka, Spalko odciągnął Zinę na bok.

- Wiesz, że ostatni raz widzisz go żywego?

Przytaknęła.

- Nie masz żadnych oporów? - spytał.

- Wręcz przeciwnie - odparła. - To będzie ulga.

Spalko skinął głową.

- Chodźmy. Nie ma czasu do stracenia.

Hasan Arsienow objął dowodzenie swoją małą grupą. Mieli do wykonania ważne zadanie i musiał być pewien, że je wykonają. Skręcili za róg i zobaczyli wartownika z sił bezpieczeństwa na stanowisku w pobliżu kraty wielkiego wywietrznika.

Poszli bez wahania w jego kierunku.

- Stać - rozkazał i wycelował w nich pistolet maszynowy.

Zatrzymali się przed nim.

- Jesteśmy z ciepłowni - powiedział Arsienow po islandzku i na widok tępej miny wartownika powtórzył to po angielsku.

Wartownik zmarszczył brwi.

- Tu nie ma przewodów grzewczych.

- Wiem- odrzekł Ahmed; złapał jedną ręką pistolet maszynowy wartownika, drugą walnął jego głową o ścianę.

Gdy wartownik zaczął osuwać się na ziemię, znów go uderzył, tym razem kolbą pistoletu.

- Pomóżcie mi tutaj - rozkazał Arsienow i wetknął palce w otwory kraty wywietrznika.

Karim i kobieta dołączyli do niego, ale Ahmed dalej okładał wartownika kolbą, choć było jasne, że mężczyzna jest nieprzytomny i prawdopodobnie nie ocknie się przez jakiś czas.

- Ahmed, oddaj mi broń! - krzyknął Arsienow.

Ahmed rzucił mu pistolet maszynowy, potem zaczął kopać leżącego wartownika w twarz. Popłynęła krew i w powietrzu zapachniało śmiercią.

Arsienow odciągnął Ahmeda od wartownika.

- Kiedy wydaję ci rozkaz, to go wykonuj, bo, na Allaha, skręcę ci kark! Ahmed ciężko dyszał. Zmiażdżył Arsienowa wzrokiem.

- Mamy wyliczony czas - przypomniał wściekle Arsienow. - To nie pora, żebyś się wyżywał.

Ahmed roześmiał się. Strząsnął z siebie rękę Arsienowa i poszedł pomóc Karimowi przy kracie. Władowali wartownika do przewodu wentylacyjnego, potem pojedynczo wpełzli za nim. Ahmed, jako ostatni wchodzący, umieścił kratę z powrotem na miejscu.

Musieli przeczłogać się po wartowniku. Kiedy przyszła kolej Arsienowa, przycisnęła palce do jego tętnicy szyjnej.

- Nie żyje - oznajmił.

- I co z tego? - spytał zaczepnie Ahmed. - Niedługo wszyscy będą sztywni.

Posuwali się na czworakach przewodem wentylacyjnym, dopóki nie dotarli do rozgałęzienia. Dokładnie przed nimi był pionowy szyb. Wyjęli sprzęt. Umocowali aluminiową poprzeczkę w górnym otworze szybu, przyczepili do niej linę i zrzucili w dół. Arsienow schodził pierwszy. Owinął linę wokół lewego uda i przeciągnął nad prawym. Opuszczał się wolno, zmieniając ręce. Wyczuwał po lekkim drżeniu liny, kiedy dołączają do niego następni członkowie grupy.

Zatrzymał się tuż nad pierwszą skrzynką rozdzielczą. Włączył miniaturową latarkę i oświetlił ścianę szybu. Zobaczył pionowe kable elektryczne. W ich gąszczu lśniło coś nowego.

- Czujnik ciepła! - zawołał w górę.

Karim, ekspert od elektroniki, był tuż nad nim. Kiedy Arsienow oświetlał latarką ścianę, Karim wyjął szczypce i kawałek przewodu z zaciskami krokodylkowymi na końcach. Ominął ostrożnie Arsienowa i zawisł nieco powyżej zasięgu detektora. Wierzgnął jedną nogą, zbliżył się do ściany i chwycił kabel. Przebiegł palcami po przewodach, przeciął jeden i umocował na nim zacisk. Potem usunął izolację z innego przewodu i przyczepił do niego drugi zacisk.

- Droga wolna - powiedział cicho.

Opuścił się do poziomu czujnika, ale nie zabrzmiał alarm. Udało mu się obejść obwód. Według sensora, wszystko było w porządku.

Karim przepuścił Arsienowa i zeszli na dno szybu. Mieli w zasięgu serce podsystemu klimatyzacyjnego sali obrad.

- Naszym celem jest podsystem klimatyzacyjny sali obrad - powiedział Bourne, kiedy szli z Chanem przez hol hotelowy. Chan niósł pod pachą laptopa, który dostali od Oskara. - To najlepsze miejsce do aktywacji ich dyfuzora.

O tak późnej porze w wysokim i zimnym holu nie było nikogo poza służbami bezpieczeństwa i pracownikami hotelu. Dygnitarze byli w swoich apartamentach. Spali lub przygotowywali się do rozpoczęcia szczytu, co miało nastąpić za kilka godzin.

- Ochrona niewątpliwie doszła do tego samego wniosku – odparł Chan - co oznacza, że kiedy zbliżymy się do podstacji, będą chcieli wiedzieć, co tam robimy.

- Pomyślałem o tym - odrzekł Bourne. - Czas, żebyśmy wykorzystali mój stan zdrowia.

Przeszli bez przeszkód przez główną część budynku i znaleźli się na ozdobnym dziedzińcu wewnętrznym z geometrycznymi żwirowymi ścieżkami, wiecznie zielonymi krzewami i kamiennymi ławkami o futurystycznych kształtach. Po drugiej stronie była część konferencyjna. W środku zeszli po trzech kondygnacjach schodów. Chan włączył laptopa, sprawdzili rozkład pomieszczeń i upewnili się, że są na właściwym poziomie budynku.

- Tędy - powiedział Chan, zamknął komputer i ruszyli dalej.

Ale oddalili się tylko trzydzieści metrów od schodów, kiedy szorstki głos ostrzegł ich:

- Jeszcze jeden krok i obaj jesteście martwi.

Na dnie szybu wentylacyjnego czeczeńscy rebelianci czekali przykucnięci, z nerwami napiętymi do granic wytrzymałości. Czekali na ten moment od miesięcy. Byli gotowi, rwali się naprzód. Drżeli z podniecenia i chłodu - im głębiej pod hotelem, tym było zimniejsze. Musieli tylko przeczołgać się krótkim przewodem wentylacyjnym, by dotrzeć do przekaźników systemu klimatyzacyjnego, ale od celu odgradzały ich służby bezpieczeństwa w korytarzu na zewnątrz kraty. Czeczeni byli unieruchomieni, dopóki tamci nie pójdą na obchód.

Ahmed spojrział na zegarek. Zostało im czternaście minut na wykonanie zadania i powrót do furgonetki. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Spocił się też pod pachami. Strugi potu spływały mu po ciele i drażniły skórę. Miał sucho w ustach i oddychał płytko. Zawsze tak było w akcji. Walilo mu serce i drżał na całym ciele. Jeszcze nie ochłonął po naganie od Arsienowa. Dostał ją przy innych, co było podwójnie obraźliwe. Kiedy teraz wytężał słuch, pa-

trzył na Arsienowa z pogardą. Po tamtej nocy w Nairobi stracił dla niego cały szacunek. Nie tylko dlatego, że Arsienow został rogowcem; również dlatego, że nie miał o tym pojęcia. Ahmed wykrzywił w uśmiechu grube wargi. Przyjemne uczucie, mieć przewagę nad Arsienowem.

W końcu usłyszał, że głosy się oddalają. Skoczył naprzód, gotów na spotkanie ze swoim przeznaczeniem, ale potężne ramię powstrzymało go boleśnie.

- Jeszcze nie - syknął.

- Przecież odeszli - odparował Ahmed. - Tracimy czas.

- Ruszymy, kiedy wydam rozkaz.

Następny afront, pomyślał Ahmed. Tego już za wiele. Splunął z pogardliwą miną.

- Dlaczego mam słuchać twoich rozkazów? Ja czy ktokolwiek z nas? Nie potrafisz nawet utrzymać swojej kobiety tam, gdzie jej miejsce.

Arsienow rzucił się na niego. Walczyli przez chwilę, ale siły były równe. Reszta stała z boku. Bali się wtrącić.

- Nie będę dłużej tolerował twojej bezczelności - ostrzegł Arsienow. - Albo słuchasz moich rozkazów, albo już po tobie.

- Więc mnie zabij - odparł Ahmed. - Ale wiedz jedno: w Nairobi, tam tej nocy przed demonstracją, Zina poszła do pokoju Szejka, kiedy spałeś.

- Łżesz! - odparował Arsienow, myśląc o obietnicy, którą on i Zina złożyli sobie w kryjówece. - Zina nigdy by mnie nie zdradziła.

- Przypomnij sobie, gdzie był mój pokój. Ty je przydzielałeś. Widziałem ją na własne oczy.

W oczach Arsienowa błysnęła nienawiść, ale puścił Ahmeda.

- Zabilbym cię na miejscu, gdyby nie to, że wszyscy mamy do odegrania ważne role w tej operacji. - Skinął na innych. - Idziemy.

Karim, ekspert od elektroniki, ruszył pierwszy, za nim poszła kobieta i Ahmed. Arsienow zamykał tyły. Karim wkrótce podniósł rękę i zatrzymał ich.

Arsienow usłyszał jego cichy głos:

- Czujnik ruchu.

Zobaczył, że Karim kuca i przygotowuje swój sprzęt. Był wdzięczny za obecność tego specja. Ileż bomb skonstruował dla nich Karim przez lata... Wszystkie zadziałały bezbłędnie, nigdy się nie pomylił.

Jak przedtem, Karim wyjął kawałek przewodu z zaciskami krokodylkowymi na końcach. Ze szczypcami w jednej ręce odszukał właściwe przewody w instalacji elektrycznej, oddzielił je, przeciął jeden i przyczepił zacisk do odsłoniętej miedzianej końcówki. Potem usunął izolację z innego przewodu i założył drugi zacisk, tworząc obejście obwodu.

- Droga wolna - oznajmił i weszli w zasięg czujnika ruchu.

Włączył się alarm. Przerażliwy dźwięk w korytarzu ściągnął służby bezpieczeństwa. Wartownicy nadbiegli z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału.

- Karim! - krzyknął Arsienow.

- To pułapka! - jęknął Karim. - Ktoś zamienił przewody!

Chwilę wcześniej Bourne i Chan odwrócili się wolno i zobaczyli amerykańskiego wartownika. Był w mundurze wojsk lądowych i miał sprzęt do tłumienia zamieszek: Zrobił krok naprzód i spojrział na ich identyfikatory. Odprężył się trochę i opuścił pistolet maszynowy, ale wciąż żywił pewne podejrzenia.

- Co tu robicie na dole, koledzy?

- Jesteśmy z obsługi technicznej - wyjaśnił Bourne. Pamiętał furgonetkę z ciepłowni wjeżdżającą do hotelu i coś w materiale, który Oszkar załadował do laptopa. - Padł system ogrzewania. Mamy pomóc ekipie przysłanej z ciepłowni.

- Jesteście w złej części budynku - powiedział wartownik i wskazał właściwy kierunek. - Musicie wrócić tak, jak tu przyszlście, i dwa razy skrócić w lewo.

- Dzięki - odrzekł Chan. - Widocznie zablądziliśmy. Normalnie pracujemy w innej części hotelu.

Kiedy się odwrócili, żeby odejść, pod Bourne'em ugięły się nogi. Jęknął i upadł.

- Co jest, do cholery? - zapytał wartownik.

Chan przykleknął obok Bourne'a i rozpiął mu koszulę.

- Jezu Chryste - powiedział wartownik, kiedy się pochylił i zobaczył poraniony tors Bourne'a. - Co mu się stało, do cholery?

Chan sięgnął w górę, złapał go za mundur, szarpnął mocno w dół i walnął jego skronią o betonową podłogę. Kiedy Jason wstał, Chan rozebrał wartownika.

- To bardziej twój rozmiar niż mój - powiedział i wręczył ojcu mundur. Bourne włożył go szybko, a Chan odciągnął nieprzytomnego żołnierza pod ścianą.

W tym momencie zabrzmiał alarm włączony przez czujnik ruchu i wystartowali biegiem w kierunku podstacji.

Sily bezpieczeństwa były dobrze wyszkolone i - co chwalebne - Amerykanie i Arabowie, którzy pełnili służbę na tej zmianie, współpracowali ze sobą bezbłędnie. Każdy rodzaj czujnika miał alarm o innym dźwięku, więc od razu rozpoznali, że zadziałał czujnik ruchu, i wiedzieli dokładnie, gdzie jest. Tak blisko rozpoczęcia szczytu byli w stanie podwyższonej gotowości i mieli rozkaz najpierw strzelać, potem zadawać pytania.

Otworzyli ogień w biegu i posiekali kratę seriami z broni automatycznej. Połowa z nich opróżniła magazynki, ostrzeliwując podejrzaną strefę. Druga połowa została w rezerwie, inni wyważyli łomami zdemolowaną kratę. Znaleźli trzy ciała - dwóch mężczyzn i kobietę. Jeden z Amerykanów zawiadomił Hulla, jeden z Arabów skontaktował się z Fejdem al--Saudem.

Na miejsce przybyły służby bezpieczeństwa z innych sektorów piętra, żeby udzielić kolegom wsparcia.

Dwaj ludzie z sił trzymanyh w rezerwie weszli do przewodu wentylacyjnego i kiedy się upewnili, że nie ma innych przeciwników, zabezpieczyli strefę. Pozostali wyciągnęli na zewnątrz trzy podziurawione pociskami ciała, przybory Karima do omijania czujników i urządzenie wyglądające na pierwszy rzut oka na bombę zegarową.

Jamie Hull i Fejd al-Saud zjawili się na miejscu niemal jednocześnie. Hull rzucił okiem na sytuację i połączył się przez sieć bezprzewodową ze swoim szefem sztabu.

- Od tej chwili obowiązuje alarm czerwony. Przeniknięto przez ochronę. Mamy troje martwych intruzów, powtarzam, troje martwych intruzów. Zaniknąć szczelnie cały hotel, nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać. - Wydawał rozkazy i wysyłał swoich ludzi na zaplanowane stanowiska alarmowe. Potem skontaktował się z agentami Secret Service, którzy byli z prezydentem i jego sztabem w skrzydle dla dygnitarzy.

Fejd al-Saud przykucnął i przyglądał się zwłokom. Ciała były zmasakrowane, ale zakrwawione twarze pozostały nietknięte. Wyjął latarkę ołówkową i oświetlił jedną z twarzy. Potem wyciągnął rękę i dotknął palcem wskazującym oka jednego z martwych mężczyzn. Koniec palca nabral niebieskiej barwy; tęczęwka trupa była ciemnobrązowa.

Ktoś z FSB musiał wezwać Karpowa, bo dowódca jednostki Alfa przybiegł niezdarnymi susami. Nie mógł złapać tchu i Fejd al-Saud domyślił się, że biegł całą drogę.

Fejd al-Saud i Hull zrelacjonowali Rosjaninowi, co się stało. Arab uniósł palec.

- Nosili kolorowe szkła kontaktowe. I proszę spojrzeć tutaj. Ufarbowali sobie włosy, żeby uchodzić za Islandczyków.

Karpow miał ponurą minę.

- Znam go - powiedział i kopnął ciało jednego z zabitych mężczyzn. - Nazywa się Ahmed. To jeden z najwyższych stopniem oficerów Hasana Arsienowa.

- Przywódcy czeczeńskich terrorystów? - zapytał Hull. - Lepiej poinformuj o tym swojego prezydenta, Borys.

Karpow wyprostował się z pięściami na biodrach.

- Chciałbym wiedzieć, gdzie jest Arsienow.

- Wygląda na to, że się spóźniliśmy - powiedział Chan zza metalowej kolumny, skąd obserwował przybycie dwóch szefów sił bezpieczeństwa. - Ale nie widzę Spalki.

- Może wolał nie ryzykować i nie ma go w hotelu - odrzekł Bourne.

Chan pokręcił głową.

- Znam go. Jest jednocześnie egoistą i perfekcjonistą. Musi tu gdzieś być.

- Najwyraźniej nie tutaj - zauważył w zamyśleniu Bourne. Patrzył, jak do Jamiego Hulla i szefa arabskich sił bezpieczeństwa podbiega Rosjanin. Było coś znajomego w tej tępej, brutalnej twarzy z wypukłym czołem i krzacastymi brwiami. Kiedy usłyszał głos tamtego, odezwał się: - Znam tego człowieka. Tego Rosjanina.

- Nie dziwię się - odparł Chan. - Ja też go poznaję. To Borys Iljicz Karpow, szef Alfy, elitarniej jednostki FSB.

- Chodzi mi o to, że znam go osobiście.

- Skąd?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Bourne. - Nie wiem, czy to wróg czy przyjaciel. - Uderzył się pięściami w czoło. - Nie mogę sobie przypomnieć.

Chan odwrócił się do niego i wyraźnie zobaczył udrękę. Poczul niebezpieczny impuls, żeby chwycić Bourne'a za ramię i pocieszyć go. Niebezpieczny, bo nie wiedział, do czego doprowadziłby taki gest, ani nawet tego, co by oznaczał. Poczul dalszą dezintegrację swojego życia, która zaczęła się w momencie, gdy Bourne usiadł obok niego i zapytał: „Kim jesteś?” Wtedy Chan znalazł odpowiedź na to pytanie; teraz nie był pewien. Czy to możliwe, żeby wszystko, w co wierzył, było kłamstwem?

Chan uwolnił się od tych niepokojących myśli, powracając do tego, co on i Bourne znali najlepiej.

- Dręczy mnie tamten obiekt - powiedział. - To bomba zegarowa. Mówiłeś, że Spalko planuje użyć biodyfuzora doktora Schiffera.

Bourne przytaknął.

- Powiedziałbym, że to było klasyczne odwrócenie uwagi, gdyby nie fakt, że jest teraz tuż po północy. Szczyt rozpocznie się dopiero za osiem godzin.

- Dlatego użyli bomby zegarowej.

- Ale dlaczego podkładali ją z takim wyprzedzeniem?

- Luźniejsza ochrona - podsunął Chan.

- To prawda, ale jest również większa szansa wykrycia bomby pod czas jednej z cyklicznych kontroli pomieszczeń - odrzekł Bourne i po kręcił głową. - Czegoś nie dostrzegamy. Wiem to. Spalko kombinuje coś innego. Tylko co?

Spalko, Zina i reszta grupy dotarli do celu. Tutaj, z dala od części konferencyjnej hotelu, ochrona - choć szczelna - miała luki, które Spalko potrafił wykorzystać. Ludzi z sił bezpie-

czeństwa było dużo, ale nie mogli być wszędzie jednocześnie. Po unieszkodliwieniu dwóch z nich Spalko i jego zespół szybko zajęli pozycje.

Byli teraz trzy poziomy poniżej ulicy w wielkim betonowym pomieszczeniu bez okien. Prowadziły tu tylko jedne drzwi. Wzdłuż przeciwległej ściany biegly potężne czarne rury. Na każdej widniało oznaczenie, którą część hotelu obsługuje.

Grupa włożyła skafandry ochronne i dokładnie je uszczelniała. Dwie Czeczenki stanęły na straży w korytarzu tuż przed drzwiami. Wspierał je mężczyzna w środku.

Spalko otworzył większy z dwóch metalowych pojemników, które przyniósł. Wewnątrz był NX 20. Starannie połączył obie połowy i sprawdził, czy wszystkie mocowania dobrze trzymają. Wręczył całość Zinie i otworzył chłodziarkę dostarczoną przez Petera Sido. Szklana fiolka w środku była mała, niemal miniaturowa. Choć w Nairobi widzieli efekt, trudno było uwierzyć, że tak mała ilość wirusa może być zabójcza dla tak wielu osób.

Tak jak w Nairobi, Spalko otworzył komorę ładowniczą dyfuzora i umieścił w niej fiolkę. Zamknął i zaryglował komorę, wyjął NX 20 z objęć Ziny i zagiął palec wokół mniejszego z dwóch spustów. Po ściągnięciu go zawartość fiolki miała być wtrysnięta do komory ogniowej. Potem wystarczyło wcisnąć przycisk z lewej strony łożyska, który ryglował komorę ogniową, i po prawidłowym wycelowaniu ściągnąć główny spust.

Trzymał biodyfuzor w objęciach, jak przedtem Zina. Ta broń wymagała szacunku, nawet od niego.

Spojrzał Zinie w oczy. Błyszczała w nich miłość do niego i fanatyczny patriotyzm.

- Teraz zaczekamy na alarm włączony czujnikiem - powiedział.

Wtedy go usłyszeli. Dźwięk był słaby, ale wyraźny. Wibracje potęgowały nagie ściany betonowych korytarzy. Szejk i Zina uśmiechnęli się do siebie. Spalko czuł napięcie w pomieszczeniu, podsycane słusznym gniewem i oczekiwaniem na długo odkładaną zemstę.

- Chwila nadeszła - powiedział. Wszyscy go usłyszeli i zareagowali.

Niemal słyszał, jak zaczynają zawodzić pieśń zwycięstwa.

Niepowstrzymana siła przeznaczenia popchnęła go naprzód. Ściągnął mały spust i ładunek z groźnym sykiem trafił do komory ogniowej, by czekać na wystrzelenie.

Rozdział 29

- *Wszyscy są Czeczenami, zgadza się, Borys? - zapytał Hull. Karpow przytaknął.*
- *Według kartotek, członkami grupy terrorystycznej Hasana Arsienowa.*
- *Mistrzowskie rozegranie i punkty dla dobrych facetów - ucieszył się Hull.*
Fejd al-Saud drżał w wilgoci i chłodzie.
- *Ilość C4 w tej bombie zegarowej zmiotłaby niemal całą konstrukcję nośną budynku - powiedział. - Sala obrad nad nami zawaliłaby się pod własnym ciężarem i zginęliby wszyscy wewnątrz.*
- *Mieliśmy szczęście, że nadziali się na czujnik ruchu - odrzekł Hull.*
Z upływem minut Karpow miał coraz bardziej ponurą minę.
- *Ale po co podkładać bombę z takim wyprzedzeniem? - powtórzył jak echo pytanie Bourne'a. - Była duża szansa, że ją znajdziemy przed rozpoczęciem szczytu.*
- *Fejd al-Saud odwrócił się do jednego ze swoich ludzi.*
- *Nie można tu podkreślić ogrzewania? Będziemy na dole przez jakiś czas i już zamaram.*
- *Mam! - powiedział Bourne i odwrócił się do Chana. Wziął laptopa, włączył go i przeglądał schematy, dopóki nie znalazł tego, którego szukał. Prześledził trasę od ich obecnej pozycji z powrotem do głównej części budynku i zatrzasnął komputer. - Chodźmy!*
- *Dokąd idziemy? - zapytał Chan w drodze przez labirynt podziemi.*
- *Pomyśl. Widzieliśmy furgonetkę z ciepłowni wjeżdżającą do hotelu. Ten budynek jest ogrzewany przez system, który obsługuje całe miasto.*
- *Dlatego Spalko posłał tych zabitych Czeczenów do podstacji klimatyzacyjnej - odrzekł Chan, gdy skręcili biegiem za róg. - Podłożenie bomby nie miało się udać. Mieliśmy rację, że to było odwrócenie uwagi, ale nie na później, kiedy rano zacznie się szczyt. On uaktywni biodyfuzor teraz!*
- *Zgadza się - przytaknął Bourne. - I nie przez podsystem klimatyzacyjny. Jego celem jest główny system grzewczy. O tej porze wszyscy dygnitarze są w swoich pokojach, dokładnie tam, gdzie uwolni wirusa.*

- *Ktoś idzie - ostrzegła jedna z Czeczenek.*
- *Zabij go - rozkazał Szejk.*
- *Ale to Hasan Arsienow! - krzyknęła druga.*
Spalko i Zina wymienili zaskoczone spojrzenia. Co poszło nie tak? Czujnik zadziałał, alarm się włączył i wkrótce potem usłyszeli serie z broni automatycznej. Jak Arsienow zdołał uciec?
- *Powiedziałem, zabij go! - krzyknął Spalko.*

To, co prześladowało Arsienowa, co kazało mu zawrócić, kiedy tylko wyczuł pułapkę - dzięki czemu uniknął nagłej śmierci, która spotkała jego rodaków - to był strach czający się w nim od tygodnia i przyprawiający go o koszmarnie sny. Mówił sobie, że to poczucie winy, bo musiał zdradzić Halida Murata - poczucie winy bohatera, który musiał dokonać trudnego wyboru, żeby ocalić swój naród. Ale w rzeczywistości jego strach miał związek z Zina. Nie był w stanie przyznać, że widzi, jak Zina się wycofuje stopniowo, lecz nieubłagane, jak tworzy emocjonalny dystans, który - w retrospekcji - stał się oziębłością. Oddalała się od niego już od ja-

kiegoś czasu, jednak do ostatniej chwili nie chciał w to uwierzyć. Ale teraz Ahmed uświadomił mu to wyraźnie. Zina żyła za szklaną ścianą, zawsze trzymała się na uboczu i ukrywała część siebie. Im bardziej się starał, tym dalej się wycofywała.

Zina go nie kocha. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek go kochała. Na-. wet jeśli ich misja zakończy się sukcesem, nie zostaną razem, nie będą mieli dzieci. Ich ostatnia intymna rozmowa była farsą!

Natychmiast poczuł wstyd. Jest tchórzem - kocha ją bardziej niż swoją wolność. Ale wiedział, że bez niej nie będzie wolny. Po jej zdradzie zwycięstwo będzie miało gorzki smak.

Teraz, kiedy zbliżał się zimnym korytarzem do stacji grzewczej, zobaczył, że jedna z jego rodaczek unosi pistolet maszynowy, jakby chciała go zastrzelić. Może w skafandrze ochronnym nie mogła rozpoznać, kto nadchodzi.

- Zaczekaj! - krzyknął. - Nie strzelaj! To ja, Hasan Arsienow!

Otworzyła ogień. Jeden z pocisków trafił go w lewe ramię. Obrócił się w szoku i dał nura za róg, by ukryć się przed rykoszetującą serią.

W tym nagłym oblędzie nie było już czasu na pytania czy spekulacje. Usłyszał następne strzały, ale nie w jego kierunku. Wyjrzał zza rogu. Dwie kobiety były odwrócone do niego plecami i ostrzeliwały w półprzysiadzie dwie postacie zbliżające się korytarzem.

Arsienow wykorzystał okazję. Podniósł się i pobiegł do drzwi stacji grzewczej.

Spalko usłyszał strzały i powiedział do Ziny:

- To nie może być tylko Arsienow.

Zina obróciła swój pistolet maszynowy i kiwnęła głową do wartownika, który rzucił jej drugi.

Za ich plecami Spalko podszedł do ściany z rurami systemu ogrzewania. Na każdej rurze był zawór, a obok wskaźnik ciśnienia. Znalazł rurę biegnącą do skrzydła dla dygnitarzy i zaczął odkręcać zawór.

Hasan Arsienow wiedział, że miał zginąć razem z innymi w podstacji klimatyzacyjnej. „To pułapka! Ktoś zamienił przewody!” - wyjącał Karim tuż przed śmiercią. Spalko je zamienił. Nie chodziło mu tylko o odwrócenie uwagi, jak mówił. Potrzebował kozłów ofiarnych. Na tyle ważnych, żeby ich śmierć zajęła agentów bezpieczeństwa dość długo, a on w tym czasie dotrze do prawdziwego celu i uwolni wirusa. Spalko go wystawił i był w zмовie z Zina.

Jak szybko miłość przerodziła się w nienawiść... Trwało to nie dłużej niż uderzenie serca. Teraz wszyscy jego rodacy są przeciwko niemu, mężczyźni i kobiety, towarzysze broni, z którymi śmiał się i płakał, modlił do Allaha, miał wspólne cele. Czeczeni! Stiepan Spalko omotał ich swoją siłą i charyzmą.

Okazało się, że Halid Murat we wszystkim miał rację. Nie ufał Spalce; nie dałby mu się wciągnąć w to szaleństwo. Arsienow zarzucił mu kiedyś, że jest stary, zbyt ostrożny i nie rozumie nowego świata, który otwiera się przed nimi. Ale teraz myślał tak samo jak Murat: nowy świat to iluzja stworzona przez człowieka nazywającego siebie Szejkiem. Arsienow wierzył w to złudzenie, bo chciał wierzyć. Spalko żerował na tej słabości. Ale dosyć tego, przysięgł sobie Arsienow. Dosyć! Jeśli ma dziś umrzeć, to na własnych warunkach, nie jak bydło zapędzone na rzeź przez Spalkę.

Przywarł do krawędzi wejścia, wziął głęboki oddech i nagle zrobił salto na tle otwartych drzwi. Grad pocisków powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Przetoczył się po betonowej podłodze i podpełzł na brzuchu do otworu. Zobaczył wartownika z pistoletem maszynowym wycelowanym na wysokość pasa. Strzelił mu cztery razy w pierś.

Kiedy Bourne zobaczył dwie terrorystki w skafandrach ochronnych strzelające na przemian z pistoletów maszynowych zza betonowej kolumny, zmroziło mu krew w żyłach. Ukrył się z Chanem za rogim rozgałęzienia w kształcie litery T i odpowiedział ogniem.

- Spalko jest w tamtym pomieszczeniu z bronią biologiczną. Musimy się tam dostać.

Chan wyjrzał zza jego pleców za róg.

- Dopóki tamtym dwóm nie skończy się amunicja, nic z tego. Pamiętasz schematy? Około sześciu metrów za nami jest panel wejściowy. Będziesz musiał mnie podsadzić.

Bourne wystrzelił jeszcze jedną serię i wycofali się.

- Będziesz mógł coś zobaczyć na górze? - zapytał.

Chan skinął głową i wskazał swoją kurtkę.

- Oprócz różnych innych rzeczy mam w rękawie latarkę ołówkową.

Bourne wetknął pistolet maszynowy pod pachę i splótł palce, żeby Chan mógł postawić na nich nogę. Miał wrażenie, że od ciężaru trzasną mu kości. Napięte mięśnie ramienia przeszył ból. Chan odsunął panel i podciągnął się do włazu.

- Czas? - zapytał Bourne.

- Piętnaście sekund - odrzekł Chan i zniknął.

Bourne odwrócił się. Policzył do dziesięciu, skręcił za róg i znów otworzył ogień. Ale niemal natychmiast przerwał ostrzał. Poczul, jak serce wali mu boleśnie w żebra. Dwie Czechenki zdjęły skafandry ochronne. Wyszły zza kolumny i stały teraz przed nim. Zobaczył wokół ich talii połączone ładunki C4.

- Jezu Chryste - powiedział. - Chan! To samobójczynie! Mają na sobie pasy z materiałami wybuchowymi!

W tym momencie zapadła ciemność. Chan przeciął przewody elektryczne w suficie.

Arsienow poderwał się po oddaniu strzałów i popędził przed siebie. Wbiegł do stacji i chwycił padającego wartownika. W pomieszczeniu były dwie osoby: Spalko i Zina. Arsienow użył martwego wartownika jako tarczy i strzelił do przeciwnika z pistoletami maszynowymi w obu rękach. Zina! Dostała i zatoczyła się do tyłu, ale nacisnęła spusty i pociski podziurawiły ciało wartownika.

Arsienow wytrzeszczył oczy, gdy poczul przeszywający ból w piersi, a potem dziwne odrętwienie. Zgasło światło. Upadł na podłogę. Rzęził - miał krew w płucach. Jak we śnie usłyszał krzyk Ziny. Zapłakał nad wszystkimi swoimi marzeniami i przyszłością, która już nie nadejdzie. Wydał ostatnie tchnienie i uszło z niego życie - gwałtownie, brutalnie i boleśnie.

W korytarzu zapadła śmiertelna cisza. Czas jakby się zatrzymał. Bourne stał z pistoletem maszynowym wycelowanym w ciemność. Słyszał płytkie oddechy żywych bomb. Czuł ich strach i determinację. Gdyby wyczuły, że robi krok w ich kierunku, gdyby się zorientowały, że w suficie przemieszcza się Chan, z pewnością zdetonowałyby opasujące je ładunki wybuchowe.

Nasłuchiwał tego, więc złowił uchem dwa bardzo ciche stuknięcia Chana nad swoją głową, które szybko umilkły. Wiedział, że mniej więcej w tym samym miejscu co drzwi do stacji grzewczej jest panel wejściowy. Do myślał się, co zamierza Chan. Ta akcja wymagała od nich obu stalowych nerwów i bardzo pewnej ręki. AR-15 w dłoniach Bourne'a miał krótką lufę, ale kompensował nieprecyzyjność potężną siłą ognia. Strzelał amunicją kaliber .223, a pociski opuszczały wylot lufy z szybkością ponad siedmiuset trzydziestu metrów na sekundę. Bourne bezszelestnie podkradł się bliżej, rozpoznał lekką zmianę w ciemności przed sobą i zamarł. Miał serce w gardle. Wydało mu się, że coś usłyszał. Syk, szept, kroki? Znowu zupełna cisza. Wstrzymał oddech i skoncentrował się na celowaniu wzdłuż lufy AR-15. i

Gdzie jest Spalko? Załadował już broń biologiczną? Zostanie, żeby dokończyć misję, czy zrezygnuje i ucieknie? Wiedząc, że nie ma odpowiedzi na te niepokojące pytania, Bourne przestał o tym myśleć. Skoncentruj się, powiedział sobie. Odpręż się. Oddychaj głęboko i równo. Rytmicznie. Połącz się z bronią w jedną całość.

Wtedy to zobaczył. Błysk latarki Chana. Światło padło na twarz kobiety i oślepiło ją. Nie było czasu na myślenie. Bourne trzymał palec na spuście i zadziałał instynktownie. Błysk z lufy oświetlił korytarz i Bourne zobaczył, jak głowa kobiety rozpryskuje się na krwawą miazgę kości i mózgu.

Pobiegł naprzód w poszukiwaniu drugiej Czeczenki. Rozbłysło światło i zobaczył ją. Leżała z podciętym gardłem obok pierwszej. Moment później z otwartego włazu skoczył na dół Chan. Obaj wpadli do stacji grzewczej.

Chwilę wcześniej, w ciemności cuchnącej kordytem, krwią i śmiercią, Spalko opadł na kolana i szukał na ślepo Ziny. Ciemność go pokonała. Bez światła nie był w stanie wykonać precyzyjnej operacji połączenia lufy NX 20 z zaworem systemu ogrzewania.

Wyciągnął rękę i macał podłogę. Nie zwrócił uwagi, gdzie stała Zina, nie był pewien jej pozycji. Zresztą zmieniła ją, kiedy do pomieszczenia wpadł Arsienow. Sprytnie użył ludzkiej tarczy, ale Zina była sprytniejsza i zabiła go. A sama przeżyła. Słyszał jej krzyk.

Teraz czekał, wiedząc, że żywe bomby ochronią go przed tym, kto jest na zewnątrz. Bourne? Chan? Poczul wstyd, gdy zdał sobie sprawę, że boi się nieznanego przeciwnika w korytarzu. Ktokolwiek to był, rozgryzł jego plan odwrócenia uwagi i zorientował się, że celem ataku jest niezabezpieczony system ogrzewania. W Spalce narastała panika, ale ulżyło mu, gdy usłyszał nierówny oddech Ziny. Przeczolgał się szybko przez kałużę lepkiej krwi do miejsca, gdzie leżała.

Miała mokre, zlepione włosy. Pocałował ją w policzek.

- Piękna Zina - szepnął jej do ucha. - Potężna Zina.

Poczul spazm jej ciała i przestraszył się.

- Zina, nie umieraj. Nie możesz umrzeć. - Potem rozpoznał po słonym smaku jej mokrego policzka, że płacze. Jej piersią wstrząsało ciche łka nie.

Osuszył ustami jej łzy.

- Zina, musisz być teraz silniejsza niż kiedykolwiek przedtem. - Objął ją czule i poczul, że wolno otacza go ramionami. - To chwila naszego wielkiego triumfu. - Odsunął się i wcisnął jej do rąk NX 20. - Tak, tak, wybrałem cię do strzału z tej broni, do urzeczywistnienia przyszłości.

Nie mogła mówić. Oddychała z trudem. Znów przeklął ciemność, bo nie widział jej oczu i nie był pewien, czy go rozumie. Ale musiał zaryzykować. Ujął jej ręce i umieścił lewą na lufie biodyfuzora, a prawą za osłoną na łożysku. Położył jej palec wskazujący na głównym spuście.

- Musisz tylko nacisnąć - szepnął jej do ucha. - Ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie. Potrzebuję czasu.

Tak, potrzebował czasu, żeby uciec. W ciemności czuł się osaczony. Teraz nie mógł nawet zabrać ze sobą NX 20. Musiał uciekać, i to szybko. Schiffer wyraził się jasno - po naładowaniu broń nie może być przenoszona. Pocisk i jego pojemnik są zbyt delikatne.

- Zina, zrobisz to, prawda? - Pocałował ją w policzek. - Masz w sobie dość siły, wiem to. - Próbowała odpowiedzieć, ale położył jej rękę na ustach. Bał się, że nieznanemu przeciwnicy na zewnątrz usłyszą jej zduszony płacz. - Będę w pobliżu, Zina. Pamiętaj o tym.

Potem odsunął się tak wolno i delikatnie, że jej przytępione zmysły nie były w stanie tego zarejestrować. Odwrócił się w końcu, potknął o ciało Arsienowa i rozdarł swój skafander ochronny. Na moment znów się przeraził, że będzie tu uwięziony, kiedy Zina naciśnie spust i

przez dziurę w skafandrze dosięgnie go wirus. W wyobraźni zobaczył wyraźnie, ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami, martwe miasto, które stworzył w Nairobi.

Ale wziął się w garść i zdjął skafander krępujący ruchy. Podkrał się do drzwi cicho jak kot i wymknął na korytarz. Żywe bomby natychmiast wyczuły jego obecność, przesunęły się lekko i stężały.

- La illaha ill Allah - szepnął.

- La illaha ill Allah - odpowiedziały szeptem.

Zagłębił się w ciemność.

Obaj jednocześnie zobaczyli tępy wylot biodyfuzora doktora Feliksa Schiffera wycelowany prosto w nich. Zamarli.

- Spalko uciekł - stwierdził Bourne. - Tu jest jego skafander ochronny. Ta stacja ma tylko jedno wejście. - Przypomniał sobie, jak w korytarzu wyczuł ruch, usłyszał szept i skradające się kroki. - Musiał się wy mknąć w ciemności.

- Tego znam - powiedział Chan. - To Hasan Arsienow. Ale tej kobiety z bronią nie znam.

Terrorystka leżała do połowy uniesiona i podparta zwłokami mężczyzny. Nie mieli pojęcia, jak zdołała się podciągnąć do tej pozycji. Była ciężko ranna, być może śmiertelnie, choć z tej odległości nie potrafili tego stwierdzić. Patrzyła na nich wzrokiem pełnym cierpienia, ale Bourne był pewien, że widzi w jej oczach nie tylko ból fizyczny.

Chan zabrał wcześniej kałasznikowa jednej z żywych bomb i teraz celował w kobietę.

- Nie wyjdiesz stąd - ostrzegł.

Bourne wpatrywał się w jej oczy. Podszedł bliżej i opuścił kałasznikowa.

- Zawsze jest wyjście - odrzekł. Przykucnął obok niej. - Możesz mówić? - zapytał, nie odrywając od niej wzroku. - Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

Przez moment panowało milczenie i Bourne zmusił się, żeby patrzeć na jej twarz, nie na palec zagięty na spuście.

Rozchyliła wargi. Zaczęły drżeć. Szczekała zębami i po jej brudnym policzku spłynęła łza.

- Co cię obchodzi, jak ona się nazywa? - odezwał się pogardliwie Chan. - To nie człowiek, tylko maszyna do zabijania.

- Ktoś mógłby powiedzieć to samo o tobie - odparł Bourne. W jego łagodnym głosie nie było wyrzutu, lecz współczucie całkiem obce jego synowi. Z powrotem skupił uwagę na terrorystce. - To ważne, żebyś mi powiedziała, jak się nazywasz, mam rację?

Otworzyła usta i z wielkim wysiłkiem wyrzuciła:

- Zina.

- Okej, Zina, to koniec gry - powiedział Bourne. - Nic już nie zostało, tylko życie albo śmierć. Wygląda na to, że wybrałaś śmierć. Jeśli naciśniesz spust, trafisz w chwale do nieba i zostaniesz houri. Ale zastanawiam się, czy tak będzie. Bo co po sobie zostawisz? Martwych rodaków, z których przynajmniej jednego sama zastrzeliłaś. Jest jeszcze Stiepan Spalko. Ciekawie, dokąd uciekł. Ale to bez znaczenia. Ważne jest to, że w decydującym momencie opuścił cię. Zostawił cię, żebyś zginęła. Uciekł. Więc domyślałem się, że musisz zadawać sobie pytanie, co będzie, jeśli naciśniesz spust. Okryjesz się chwałą czy zostaniesz potępiona? Biorąc pod uwagę twoje życie, co im odpowiesz, kiedy cię zapytają, kto jest twoim Stwórcą, kto jest twoim Prorokiem? Tylko ludzie prawi pamiętają, wiesz o tym.

Zina płakała. Ale jej pierś dziwnie się unosiła i opadała i Bourne obawiał się, że nagły spazm spowoduje odruchowe ściągnięcie spustu. Musiał do niej dotrzeć natychmiast.

- Jeżeli naciśniesz spust, jeżeli wybierzesz śmierć, nie będziesz mogła im odpowiedzieć. Wiesz o tym. Zostałaś opuszczona i zdradzona przez najbliższe ci osoby. I w zamian ty je zdradziłaś. Ale jeszcze nie jest za późno. Odkupienie jest możliwe. Zawsze jest wyjście.

W tym momencie Chan zdał sobie sprawę, że Bourne mówi to również do niego. Doznał uczucia podobnego do porażenia prądem. Rozeszło się błyskawicznie po jego ciele, dotarło do kończyn i mózgu. Poczul się jak nagi, w końcu odsłonięty, i przestraszył się samego siebie - własnego prawdziwego ja, które pogrzebał tyle lat temu w dżungli południowoschodniej Azji. Tak dawno, że już nie pamiętał dokładnie, gdzie i kiedy to zrobił. Był dla siebie obcy. Nienawidził swojego ojca za to, że uświadomił mu tę prawdę, ale nie mógł dłużej zaprzeczać, że również go za to kocha.

Przyklęknął obok człowieka, którego znał jako swojego ojca, odłożył kałasznikowa tak, żeby Zina go widziała, i wyciągnął do niej rękę.

- On ma rację - powiedział zupełnie innym tonem niż zwykle. – Jest sposób, żebyś się zrehabilitowała za swoje grzechy, zabójstwa i zdradę tych, którzy cię kochali, choć być może nawet o tym nie wiedziałaś.

Przysuwał się centymetr po centymetrze, aż zamknął dłoń na jej ręce. Wolno i delikatnie odgiął jej palec wskazujący na spuście. Puściła broń i pozwoliła, żeby wyjął budyfuzor z jej objęć.

- Dziękuję, Zina - powiedział Bourne. - Chan zajmie się tobą. Wstał, ścisnął krótko ramię syna, odwrócił się i pobiegł cicho korytarzem za Spalką.

Rozdział 30

Stiepan Spalko pędził nagim betonowym korytarzem z ceramicznym pistoletem Bourne'a gotowym do strzału. Wiedział, że strzelanina ściągnie ochronę do głównej części hotelu. Przed sobą zobaczył szefa saudyjskich sił bezpieczeństwa, Fejda al-Sauda, i jego dwóch ludzi. Ukrył się. Jeszcze go nie zauważyli, więc wykorzystał element zaskoczenia. Zaczekał, aż się zbliżą, i otworzył do nich ogień, zanim zdążyli zareagować.

Przez moment stał bez tchu nad leżącymi mężczyznami. Fejd al-Saud jęknął. Spalko dobił go z bliskiej odległości strzałem w czoło. Szef saudyjskich sił bezpieczeństwa szarpnął się i znieruchomiał. Spalko zabrał identyfikatory jednemu z jego ludzi, przebrał się w mundur i pozbył kolorowych szkieł kontaktowych. Kiedy to zrobił, pomyślał o Zinie. Była bardzo odważna, to fakt, ale miała fatalną wadę - fanatyczną lojalność wobec niego. Chroniła go przed wszystkimi, zwłaszcza przed Arsienowem. Musiał przyznać, że to mu się podobało. Ale jej ślepa miłość, odrażająca słabość do poświęceń, sprawiła, że ją zostawił.

Usłyszawszy odgłos szybkich kroków z tyłu, ruszył dalej. Spotkanie z Arabami było jak miecz obosieczny - wprowadziło mu przebranie, ale i spowolniło go. Kiedy zerknął przez ramię, zobaczył postać w mundurze sił bezpieczeństwa. Zaklął. Poczul się jak Achab, który ścigał swoje przeznaczenie, dopóki nie nastąpił nieoczekiwany zwrot i ono nie zaczęło ścigać jego. Człowiekiem w mundurze był Jason Bourne.

Bourne zobaczył, że Spalko - teraz w mundurze arabskich sił bezpieczeństwa - otwiera drzwi i znika na klatce schodowej. Przeskoczył nad ciałami ludzi zabitych przez Spalkę i pobiegł za nim. Wmieszał się w chaos w holu. Kiedy z Chanem weszli do hotelu, ta wielka oszklona przestrzeń była cicha i niemal pusta. Teraz roilo się tu od ludzi z sił bezpieczeństwa biegnących tam i z powrotem. Jedni otaczali pracowników hotelu i dzielili ich na grupy według wykonywanych obowiązków i miejsca zatrudnienia, inni zaczęli żmudne i czasochłonne przesłuchania personelu: każdy musiał podać, gdzie i jak długo przebywał przez ostatnie dwa dni. Jeszcze inni byli w drodze do podziemi lub kierowano ich przez sieć bezprzewodową do różnych części budynku. Każdy się spieszył; nikt nie miał czasu na zadawanie pytań dwóm mężczyznom, którzy kierowali się przez zatłoczony hol do drzwi frontowych.

Co za ironia, że Spalko przechodzi między nimi, wtapia się w tło, staje się jednym z nich, pomyślał Bourne. Przez chwilę rozważał, czy wszcząć alarm, ale szybko zrezygnował. Spalko bez wątpienia użyłby blefu - to Bourne był poszukiwany przez CIA za zabójstwo. Kiedy Jason wychodził za Spalką z hotelu, uświadomił sobie jeszcze coś: teraz obaj są tacy sami - dwa kameleony używające kamuflażu do ukrycia prawdziwej tożsamości. Świadomość, że międzynarodowe siły bezpieczeństwa są dla niego takimi samymi wrogami jak Spalki, była dziwna i niepokojąca.

Tuż za progiem zdał sobie sprawę, że hotel jest odgradzony od świata. Patrzył z fascynacją i przerażeniem, jak Spalko bezczelnie wchodzi na parking służb bezpieczeństwa. Plac był wewnątrz zamkniętej strefy, ale całkiem pusty. Nawet ochronie nie wolno było tu przebywać.

Ruszył za Spalką, lecz niemal natychmiast zgubił go wśród rzędów samochodów. Zaczął biec. Z tyłu ktoś krzyknął. Bourne otworzył szarpnięciem drzwi pierwszego pojazdu z brzegu - amerykańskiego džipa. Oderwał plastikową osłonę pod kolumną kierowniczą i pogrzebał w przewodach.

Wtedy odpalił inny silnik i z parkingu wyjechał ukradzionym samochodem Spalko.

Rozległy się kolejne krzyki i odgłosy ciężkich butów na chodniku. Padło kilka strzałów. Bourne koncentrował się na tym, co musiał zrobić. Ściągnął z przewodów izolację i splótł je razem. Wreszcie uruchomił silnik i wrzucił bieg. Wystartował z piskiem opon, skręcił z parkingu i przemknął przez punkt kontrolny.

Nie świecił księżyc, ale to nie była prawdziwa noc. Słońce wisiało tuż poniżej horyzontu i w Reykjavíku panowała mdła ciemność. Bourne ścigał Spalkę slalomem przez miasto i w kierunku południowym.

Zaskoczyło go to, bo spodziewał się, że Spalko pojedzie na lotnisko. Na pewno miał jakiś plan ucieczki i na pewno musiał uciekać samolotem. Im dłużej Bourne o tym myślał, tym mniej był zaskoczony. Poznawał swojego przeciwnika coraz lepiej. Już wiedział, że Spalko nigdy nie stosuje oczywistych rozwiązań. Robi manewry mylące i lubi wciągać wroga w pułapkę, zamiast zabić go od razu.

Więc nie Keflavík. Lotnisko to zbyt oczywista droga ucieczki i Spalko bez wątpienia przewidział, że będzie dobrze strzeżone. Bourne śledził w wyobraźni mapę, którą studiował na laptopie Oszkara. Co leży na południe od miasta? Hafnarfjörður. Osada rybacka. Zbyt mała, żeby mógł tam wylądować samolot, jakiego użyłby Spalko. Wybrzeże! W końcu są na wyspie. Spalko chce uciec łodzią.

O tak późnej porze panował mały ruch, zwłaszcza za miastem. Drogi były wąskie i wily się wzdłuż zboczy wzgórz po lądowej stronie klifów. Kiedy Spalko zniknął za ostrym zakrętem, Bourne został z tyłu. Wyłączył światła i przyspieszył. Za łukiem zobaczył samochód, który ścigał. Miał nadzieję, że Spalko nie widzi go w lusterku wstecznym. Ryzykował, tracąc Spalkę z oczu za każdym zakrętem, ale nie było alternatywy. Musiał jechać tak, żeby Spalko myślał, że zgubił pościg.

Krajobraz zupełnie pozbawiony drzew i z lodowcami w tle stwarzał pośępny nastrój wiecznej zimy; ponure wrażenie potęgowały rzadkie plamy zieleni. Trwał długi pozorny świt, pod bezkresnym niebem szybowały czarne ptaki. Na ich widok Bourne poczuł się jak uwolniony z grobowca w pełnych śmierci czeluściach hotelu. Mimo chłodu opuścił szyby i głęboko oddychał świeżym słonym powietrzem. Kiedy mijal łąkę, do jego nozdrzy dotarł słodki zapach kwiatów.

Po skręcie w kierunku morza droga zwęziła się jeszcze bardziej. Przejechał przez dolinę z bujną roślinnością, potem pokonał zakręt pod górę.

Za łukiem droga znów opadała stromo i oddalała się od czołowej ściany klifu. Dostrzegł Spalkę, ale stracił go z oczu za następnym zakrętem. Kiedy wyjechał na prostą, zobaczył w dole Atlantyk połyskujący w świetle szarego świtu.

Spalko pokonał kolejny zakręt, Bourne za nim. Następny łuk był tak blisko, że Spalko zdążył zniknąć z widoku. Bourne przyspieszył.

Kiedy przejeżdżał zakręt, coś usłyszał. Cichy dźwięk w szumie wiatru był znajomy. Brzmiał jak strzał z jego pistoletu ceramicznego. Przednia wewnętrzna opona eksplodowała i Bourne'a zarzuciło. Kątem oka dostrzegł, jak Spalko biegnie z bronią w rękę do zaparkowanego samochodu. Po chwili stracił go z oczu; był zbyt zajęty próbami wyprowadzania z poślizgu dżipa, który sunął niebezpiecznie ku nadmorskiej krawędzi drogi.

Wrzucił luz, ale to nie wystarczyło. Musiał wyłączyć zapłon, ale bez kluczyka nie mógł. Tylne koła opuściły drogę. Bourne odpiął pas i przytrzymał się. Dżip spadł z klifu. Zdawał się unosić w powietrzu, potem dwa razy przekościółkował. Rozszedł się charakterystyczny zapach przegrzanego metalu i swąd palonej gumy i plastiku.

Bourne wyskoczył, zanim dżip uderzył w ziemię, odbił się od występu skalnego i roztrzaskał. W powietrze wystrzeliły płomienie i w blasku ognia Bourne zobaczył kuter rybacki w zatonie poniżej. Płynął w kierunku lądu.

Spalko dojechał do końca drogi dochodzącej do brzegu zatoczki. Zerknął na płonącego dżipa i powiedział sobie: „Do diabła z Jasonem Bourne'em, już po nim”. Ale wiedział, że nieprędko go zapomni. Bourne pomieszał mu szyki. Przez Bourne'a stracił NX 20 i Czeczenów, którzy byli parawanem jego machinacji. Tyle miesięcy starannego planowania i wszystko na darmo!

Wysiadł z samochodu i przeszedł przez pas drobnych kamieni usianych wodorostami. Płynęła po niego łódź wiosłowa, mimo że był wysoki przypyływ i kuter stał bardzo blisko brzegu. Spalko wezwał go w momencie, kiedy minął szczęśliwie punkt kontrolny przy hotelu. Na pokładzie byli tylko kapitan i jego zastępca. Gdy dobili łodzią do brzegu, Spalko wdrapał się do środka. Zastępca kapitana odepchnął się wiosłem.

Spalko był wściekły, więc podczas krótkiej drogi na kuter nie padło ani jedno słowo. Kiedy dopłynęli do celu, Spalko rozkazał:

- Niech pan się przygotowuje do rejsu, kapitanie.
 - Przepraszam, że pytam - odrzekł kapitan - ale co z resztą załogi?
- Spalko chwycił go za przód koszuli.
- Wydałem panu rozkaz, kapitanie. I oczekuję, że pan go wykona.
- Tak jest - burknął kapitan ze złym błyskiem w oku. - Ale skoro jest nas tylko dwóch, to trochę potrwa.
- Więc lepiej bierzcie się do roboty - rzucił Spalko i zszedł pod pokład.

Woda była zimna jak lód i czarna jak ciemność w podziemiach hotelu. Bourne wiedział, że musi jak najszybciej dostać się na pokład kutra. Trzydzieści sekund po odpłynięciu od brzegu zaczęły mu drętwieć palce rąk i nóg, a po kolejnych trzydziestu sekundach już ich nie czuł.

Dwie minuty potrzebne na dotarcie do kutra wydawały się najdłuższymi w jego życiu. Sięgnął w górę, chwycił grubą linę i wydostał się z wody. Wzdrygnął się na wietrze i zaczął wspinać po linie.

Doznawał dziwnego uczucia, że jest teraz gdzie indziej. Czuł zapach morza, słoną wodę wysychającą na jego skórze i zdawało mu się, że to nie Islandia, lecz Marsylia, że nie wspina się na kuter rybacki w pościgu za Spalką, lecz zakrada na jacht, żeby zlikwidować międzynarodowego zabójcę Carlosa. Bo koszmar zaczął się w Marsylii, gdzie rozegrała się decydująca walka z Carlosem. Bourne wypadł wtedy za burtę po postrzale, omal nie utonął i stracił pamięć.

Gdy teraz chwycił się nadburcia i podciągnął na pokład kutra, poczuł ukłucie niemal paraliżującego strachu. Przegrał kiedyś w takiej samej sytuacji. Poczul się nagle odsłonięty, jakby nosił tamtą porażkę na rękawie. Omal nie stracił odwagi, ale w wyobraźni zobaczył Chana i przypomniał sobie pytanie, które mu zadał, kiedy spotkali się pierwszy raz: „Kim jesteś?” Przypomniał go sobie klęczącego w stacji grzewczej hotelu i wydało mu się, że Chan odłożył na bok nie tylko kałasznikowa, lecz również jakąś część swojego gniewu.

Wziął głęboki oddech, skoncentrował się na czekającym go zadaniu i ruszył przed siebie. Kapitan i jego zastępca byli zajęci w sterówce. Wyłączył ich z akcji bez wielkiego trudu. Wokół nie brakowało lin. Kiedy wiązał im ręce za plecami, usłyszał za sobą głos Spalki:

- Lepiej znajdź kawałek liny dla siebie.

Bourne był przykucnięty. Dwaj marynarze leżeli na boku plecami do siebie. Jason niepostrzeżenie wyciągnął nóż sprężynowy. I natychmiast zrozumiał, że popełnił fatalny błąd. Zastępca kapitana był odwrócony tyłem do niego, ale kapitan zobaczył, że Bourne jest uzbrojony. Spojrzał mu w oczy i - o dziwo - nie wydał żadnego dźwięku ani nie zrobił żadnego ruchu, żeby ostrzec Spalkę. Zamiast tego zamknął oczy, jakby spał.

- Wstań i odwróć się - rozkazał Spalko.

Bourne wykonał polecenie, chowając prawą rękę za udem. Spalko miał na sobie świeżo odprasowane dżinsy i gruby czarny sweter z golfem. Stał na rozstawionych nogach z ceramicznym pistoletem Bourne'a w ręku. Jason znów doznał dziwnego uczucia, że jest gdzie indziej. Spalko miał teraz nad nim przewagę, jak przed laty Carlos. Musiał tylko nacisnąć spust, żeby Bourne dostał i wpadł do wody. Ale tym razem, w zimnym północnym Atlantyku, nie byłoby ratunku, jak kiedyś w ciepłym Morzu Śródziemnym. Szybko by zamarzl i utonął.

- Chyba nie chcesz umrzeć, Bourne?

Bourne zaatakował przy trzasku otwierającego się noża sprężynowego. Zaskoczony Spalko nacisnął spust o wiele za późno. Ostrze przebiło mu bok i pocisk zagwizdał nad wodą. Spalko stęknął i dzielił Bourne'a lufą w policzek. Obaj zalali się krwią. Pod Spalką ugięło się lewe kolano, ale Bourne runął na pokład.

Spalko kopnął go wściekle w złamane żebra, niemal pozbawiając przytomności. Wyrwał nóż z ciała i cisnął do morza. Potem schylił się i zawlókł Bourne'a do burty. Kiedy Jason się poruszył, uderzył go na odlew wierzchem dłoni, podciągnął mniej więcej do pozycji pionowej i przechylił przez nadburcie. Bourne na przemian odzyskiwał i tracił przytomność, ale bliskość czarnej lodowatej wody ocuciła go na tyle, że zdał sobie sprawę, iż jest o krok od śmierci. To się znów działo, jak wiele lat temu. Był taki obolały, że ledwo mógł oddychać, ale musiał myśleć o swoim życiu - obecnym życiu, nie tamtym, które mu odebrano. Nie mógł pozwolić, żeby znów mu je wydarto.

Kiedy Spalko napiął mięśnie, żeby wyrzucić go za burtę, Bourne z całej siły kopnął. Podeszwą buta trafił Spalkę w szczękę. Czeczen złapał się za twarz i zatoczył do tyłu. Wtedy Bourne rzucił się na niego. Spalko nie zdążył strzelić; uderzył go kolbą w ramię. Bourne zachwiał się z bólu, ale zdołał wbić palce w roztrzaskaną szczękę Spalki. Tym go na moment obezwładnił. Wyrwał mu broń, przystawił lufę do gardła i nacisnął spust.

Dźwięk nie był głośny, ale siła uderzenia pocisku poderwała Spalkę z pokładu i odrzuciła za burtę. Wpadł głową do morza.

Przez chwilę unosił się na powierzchni twarzą w dół i kołysał tam i z powrotem na nieustrudzonych falach. Potem poszedł pod wodę, jakby wciągnęło go w głębiny coś wielkiego o potężnej sile.

Rozdział 31

Martin Lindros spędził dwadzieścia minut przy telefonie, słuchając informacji Ethana Hearna o słynnym Stiepanie Spalko. Wszystkie były rewelacyjne i upłynęło trochę czasu, zanim je przyswoił. Najbardziej zainteresowała go wiadomość o elektronicznym przelewie z jednej z wielu fikcyjnych firm Spalki w Budapeszcie na zakup broni od nielegalnie działającej rosyjskiej firmy z Wirginii, którą zlikwidował detektyw Harris.

Godzinę później Lindros miał dwa wydruki elektronicznych akt, które Hearn przesłał mu e-mailem. Wsiadł do samochodu i pojechał do domu dyrektora. W nocy Starego zmogła grypa. Musi z nim być źle, myślał Lindros, skoro nie przyszedł do biura mimo kryzysu w czasie szczytu.

Kierowca zatrzymał samochód służbowy przed wysoką żelazną bramą, wychylił się przez okno i wcisnął przycisk domofonu. Cisza. Lindros zaczął się zastanawiać, czy Stary nie poczuł się lepiej i nie pojechał do biura, nikomu nic nie mówiąc.

Nagle w domofonie zatrzeszczał wiecznie niezadowolony głos. Kierowca zaanonsował Lindrosa. Brama otworzyła się bezszelestnie i w chwilę potem Lindros zastukał mosiężną kołatką do drzwi. W progu stanął dyrektor CIA. Miał pomarszczoną twarz i potargane włosy. Był w grubym szlafroku na pasiastej piżamie i w rannych pantoflach.

- Chodź, chodź, Martin - powiedział i odwrócił się, nie czekając, aż Lindros przestąpi próg. Lindros wszedł i zamknął za sobą drzwi. Stary poczłapał do gabinetu na lewo. W domu panowały ciemności, jakby ni kogo nie było.

Lindros wszedł do przestronnego pokoju z zielonymi ścianami, kremowym sufitem, wielkimi skórzanymi fotelami i sofą. Telewizor wśród półek z książkami wbudowanych w ścianę był wyłączony. Przy wszystkich poprzednich wizytach Lindrosa w tym pokoju był nastawiony na CNN, z dźwiękiem lub bez.

Stary usiadł ciężko w swoim ulubionym fotelu. Na stoliku przy jego prawym łokciu stało duże pudełko chusteczek higienicznych i buteleczki aspiryny, Tylenolu Cold & Sinus, NyQuilu, Vicks VapoRub, Coricidinu, DayQuilu i syropu na kaszel.

- Co to jest, szefie? - spytał Lindros.

- Nie wiedziałem, co mi pomoże - odrzekł dyrektor - więc wyjąłem wszystko z apteczki.

Lindros dostrzegł butelkę bourbona i szklankę. Zmarszczył brwi.

- Co się dzieje, szefie? - Wyciągnął szyję, żeby wyjrzeć przez otwarte drzwi gabinetu. - Gdzie jest Madeleine?

- Madeleine? - Stary uniósł szklankę i wypił łyk whisky. - Pojechała do Phoenix do swojej siostry.

- I zostawiła pana samego? - Lindros zapalił lampę. Stary zamrugnął jak sowa. - A kiedy wróci?

- Hmm... - mruknął Stary, jakby rozważał słowa swojego zastępcy. - Problem w tym, Martin, że nie wiem, kiedy wróci.

- Co się stało, szefie? - zapytał z niepokojem Lindros.

- Odeszła ode mnie. Przynajmniej tak myślę. - Stary miał niewidzące spojrzenie, kiedy opróżnił szklankę bourbona. Zaciśnął mokre wargi, jakby się zdziwił. - Skąd człowiek ma wiedzieć takie rzeczy?

- Rozmawialiście?

- Czy rozmawialiśmy? - Stary ocknął się nagle. Patrzył przez moment na Lindrosa. - Nie. Nie rozmawialiśmy o tym wszystkim.

- Więc skąd pan wie?

- *Myślisz, że sobie to ubzdurałem, co? Burza w szklance wody. – Oczy dyrektora na chwilę ożyły i w jego głosie natychmiast zabrzmiały ledwo tłumione emocje. - Ale zniknęły jej rzeczy osobiste. Bez nich ten dom jest cholernie pusty.*

Lindros usiadł.

- *Współczuję panu, szefie, ale mam coś...*

- *Być może nigdy mnie nie kochała, Martin. - Stary sięgnął po butelkę. - Ale skąd człowiek ma znać taką tajemnicę?*

Lindros pochylił się i delikatnie zabrał mu bourbona. Stary nie wydawał się zaskoczony.

- *Jeśli pan chce, szefie, popracuję nad tym dla pana.*

Stary lekko skinął głową.

- *Dobra.*

Lindros odstawił butelkę.

- *Ale na razie mamy inną pilną sprawę do omówienia. - Położył na stoliku akta od Ethana Hearna.*

- *Co to jest, Martin? Nie jestem teraz w stanie niczego czytać.*

- *Więc panu opowiem - odrzekł Lindros.*

Kiedy skończył mówić, w domu zapadła dzwoniąca cisza. Po jakimś czasie Stary spojrzął na swojego zastępcę zalazanymi oczami.

- *Dlaczego Alex to zrobił, Martin? Dlaczego złamał wszystkie zasady i porwał jednego z naszych ludzi?*

- *Myślę, że dostał cynk, na co się zanosi. Bał się Spalki. Jak się okazało, nie bez powodu.*

Stary westchnął i odchylił głowę do tyłu.

- *Więc to jednak nie była zdrada.*

- *Nie, szefie.*

- *Dzięki Bogu.*

Lindros odchrząknął.

- *Szefie, trzeba natychmiast odwołać wyrok na Bourne'a i ktoś musi z nim pogadać.*

- *Tak, oczywiście. Uważam, że ty się do tego najlepiej nadajesz, Martin.*

- *Tak jest, szefie. - Lindros wstał.*

- *Dokąd się wybierasz?*

- *Do komisarza policji stanowej w Wirginii. Chcę mu podrzucić drugą kopię tych akt. Zamierzam nalegać, żeby detektywa Harrisa przywrócono do służby z rekomendacją od nas. A co do pani doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego...*

Stary wziął akta i pogłodził je lekko. Ożywił się trochę, jego twarz odzyskała normalny kolor.

- *Daj mi czas do jutra, Martin. - W jego oczach znów pojawił się dawny błysk. - Wymyślę coś odpowiedniego. - Roześmiał się po raz pierwszy od bardzo dawna. - Kara musi pasować do zbrodni, mam rację?*

Chan był z Zina do końca. Ukrył NX 20 i jego straszliwy, zabójczy pocisk. Kiedy w stacji grzewczej zaroilo się od ludzi z sił bezpieczeństwa, uznali go za bohatera. Nic nie wiedzieli o broni biologicznej ani o nim.

Czuł się dziwnie. Trzymał za rękę umierającą młodą kobietę, która nie mogła mówić i ledwo oddychała, a jednak wyraźnie nie chciała go puścić. Może po prostu nie chciała umrzeć.

Kiedy Hull i Karpow uświadomili sobie, że Zina jest o krok od śmierci i nie dostarczy im żadnych informacji, przestali się nią interesować i zostawili ją samą z Chanem. A on, choć przyzwyczajony do śmierci, doznawał czegoś nieoczekiwanego. Każdy trudny i bolesny od-

dech Ziny był jej całym życiem. Widział to w jej oczach. Tonęła w ciszy, pogrążała się w ciemność. Nie mógł na to pozwolić.

Jej cierpienie sprawiło, że na powierzchnię wyłynęło jego własne i opowiedział jej o swoim życiu: o porzuceniu, uwięzieniu go przez wietnamskiego przemytnika broni, uczenia się na pamięć wersetów Biblii pod okiem misjonarza i o politycznym praniu mózgu, które robił mu jego rozmówca z Czerwonych Khmerów. A potem wyjawiał jej najbardziej bolesny sekret.

- Miałem siostrę - powiedział cicho. - Lee-Lee byłaby teraz mniej więcej w twoim wieku, gdyby żyła. Była dwa lata młodsza ode mnie, wpatrzona we mnie... A ja... ja byłem jej obrońcą. Chciałem, żeby była bezpieczna. Nie tylko dlatego, że rodzice kazali mi jej strzec. Po prostu uważałem, że tak trzeba. Mój ojciec często był daleko. Więc kiedy szliśmy się bawić, kto miał ją chronić, jeśli nie ja? - Nie wiadomo dlaczego zapiekły go oczy i zaczął niewyraźnie widzieć. Zaczerwienił się ze wsty du i chciał odwrócić głowę, ale dostrzegł w oczach Ziny współczucie. Było dla niego liną ratunkową i wstyd zniknął. Mówił dalej, czując coraz większą bliskość między nimi. - Ale w końcu zawiodłem Lee-Lee. Została zabita razem z moją matką. Ja też powinienem był zginąć, ale ocalałem. - Odnalazł ręką Buddę wyrzeźbionego w kamieniu i zaczerpnął z niego siłę, jak tyle razy przedtem. - Długo się zastanawiałem, po co przeżyłem. Przecież ją zawiodłem.

Kiedy Zina lekko rozchyliła wargi, Chan zobaczył na jej zębach krew. Jej ręka, którą mocno trzymał, ścisnęła jego dłoń i zrozumiał, że Zina chce, żeby mówił dalej. Nie tylko ją uwalniał od cierpienia; również siebie. Choć Zina nie mogła mówić i powoli umierała, jej mózg jeszcze funkcjonował. Słyszała słowa Chana i wzrokiem mówiła, że coś dla niej znaczą.

- Zina - powiedział - na swój sposób jesteście pokrewnymi duszami. Widzę w tobie siebie - wyobcowanego, porzuczonego, całkiem samotnego. Wiem, że to nie będzie miało dla ciebie wielkiego sensu, ale poczuciem winy, że nie ochroniłem siostry, wywołało u mnie bezpodstawną nienawiść do ojca. Widziałem tylko to, że nas porzucił, że mnie porzucił. - W tym momencie dokonał zdumiewającego odkrycia: uświadomił sobie, że rozpoznał w Zinie siebie tylko dlatego, że się zmienił. Była taka jak on kiedyś. O wiele łatwiej planować zemstę na ojcu, niż zmierzyć się z własną winą. Ta świadomość wywołała w nim pragnienie, żeby pomóc Zinie. Chciał jej uratować życie.

Ale jak nikt inny znał tajemnicę śmierci. Wiedział, że kiedy się zbliża, nawet on nie może jej zatrzymać. Gdy nadszedł czas, gdy usłyszał jej kroki i zobaczył w oczach Ziny jej bliskość, pochylił się nad dziewczyną i uśmiechnął do niej uspokajająco.

Wrócił do tego, co mówił Boume, jego ojciec, i przypomniał Zinie:

- Pamiętaj, co masz powiedzieć Indagatorom. „Moim bogiem jest Allah, moim prorokiem Mahomet, moją wiarą islam, moja kibla jest tam, gdzie świątynia Kaaba”. - Zdawało się, że Zina chce mu tyle powiedzieć i nie może. - Jesteś prawa, Zina. Uznają cię za godną chwały.

Poruszyła powiekami i życie zgasło w jej oczach jak płomień, który je ożywił.

Droga powrotna zajęła Bourne'owi trochę czasu. Dwa razy omal nie zemdlał i musiał zjechać na bok. Siedział z czołem przyciśniętym do kierownicy, potwornie obolały i zmęczony, ale chciał znów zobaczyć Chana i to go mobilizowało. Nie zważał na służby bezpieczeństwa; nie obchodziło go nic poza tym, żeby być z synem.

W hotelu Oskjuhlid czekał na niego Jamie Hull. Kiedy Bourne skończył krótką opowieść o roli Stiepana Spalki w zamachu, Hull uparł się, że zaprowadzi go do lekarza, żeby opatrzyć mu świeże rany.

Ambulatorium było pełne poszkodowanych. Leżeli na pospiesznie przygotowanych łóżkach. Ciężko rannych karetka zabrała do szpitala. O zabitych nikt nie miał ochoty rozmawiać.

Hull usiadł obok Bourne'a.

- Spalko ma na całym świecie taką reputację, że nawet kiedy wydobędziemy ciało, będą tacy, którzy nie uwierzą. Wiemy, jaki miałeś udział w tej sprawie i jesteśmy ci wdzięczni. Oczywiście chce z tobą porozmawiać prezydent, ale to później.

Zjawiała się lekarka i zaczęła zszywać Bourne'owi rozcięty policzek.

- To się ładnie nie zagoi - uprzedziła. - Chyba będzie potrzebna konsultacja z chirurgiem plastycznym.

- To nie będzie moja pierwsza blizna - rzekł Bourne.

- Widzę - odparła sucho lekarka.

- Mamy problem, jak wyjaśnić obecność skafandrów ochronnych - ciągnął Hull. - Nie znaliśmy broni chemicznej ani biologicznej. A wy?

Bourne musiał szybko myśleć. Zostawił Chana samego z Zina i biodyfuzorem. Poczul nagle ukłucie strachu.

- Też nie. Byliśmy tak samo zaskoczeni jak wy, Ale nie przeżył nikt, kogo można by zapytać.

Hull skinął głową. Kiedy lekarka skończyła, pomógł Bourne'owi wstać i wyjść na korytarz.

- Wiem, że chciałbyś wziąć gorący prysznic i się przebrać, ale muszę cię natychmiast przesłuchać. - Uśmiechnął się uspokajająco. - To sprawa bezpieczeństwa narodowego. Mam związane ręce, ale przynajmniej możemy to zrobić w cywilizowany sposób przy gorącym posiłku, okej?

Wymierzył Bourne'owi krótki, mocny cios w nerki. Jason opadł na kolana. Kiedy łapał oddech, Hull zamachnął się drugą ręką. Między wskazującym i środkowym palcem trzymał rodzaj sztyletu - krótkie, szerokie trójkątne ostrze pokryte ciemną substancją, bez wątplenia trucizną. Już miał je wbić w szyję Bourne'a, gdy w korytarzu rozległ się cichy strzał. Hull puścił Jasona, który błyskawicznie osunął się pod ścianę. Odwrócił głowę i zobaczył, że Hull leży martwy na brązowym dywanie. W ich kierunku biegł na krzywych nogach Borys Iljicz Karpow. Trzymał w dłoni pistolet z tłumikiem.

- Muszę przyznać - powiedział po rosyjsku, kiedy pomagał Bourne'owi wstać - że w głębi duszy zawsze pragnąłem zabić agenta CIA.

- Chryste... dzięki - wysapał Bourne w tym samym języku.

- Wierz mi, że to była przyjemność. - Karpow spojrział na Hulla. - CIA odwołała wyrok na ciebie, ale jego to nie obchodziło. Wygląda na to, że wciąż masz wrogów we własnej agencji.

Bourne wziął kilka głębokich oddechów. Każdy powodował straszliwy ból. Zaczekał, aż rozjaśni mu się w głowie.

- Skąd wiedziałeś, Karpow?

Rosjanin wybuchnął dudniącym śmiechem.

- Widzę, gaspadin Bourne, że pogłoski o twojej pamięci są prawdziwe. - Otoczył Jasona ramieniem w pasie i podtrzymał. - Pamiętasz...? Jasne, że nie pamiętasz. Spotkaliśmy się kilka razy. Ostatnim razem ocaliłeś mi życie. - Na widok zdumionej miny Bourne'a znów się roześmiał. - To fajna historia, mój przyjacielu. W sam raz do opowiedzenia przy butelce wódki. Albo może przy dwóch, co? Po takiej nocy jak ta, kto wie?

- Byłbym wdzięczny za wódkę - odrzekł Bourne - ale najpierw muszę kogoś znaleźć.

- Chodźmy - powiedział Karpow. - Każę moim ludziom sprzątnąć to ścierwo i razem zrobimy co trzeba. - Wyszczерzył zęby w szerokim uśmiechu i jego rysy straciły brutalny wygląd. - Cuchniesz jak tygodniowa ryba, wiesz o tym? Ale co tam, do cholery, jestem przyzwyczajony do smrodu! - Znów się roześmiał. - Cieszę się, że cię widzę! Przekonałem się, że nielato zdobyć przyjaciół, zwłaszcza w naszej branży. Musimy uczcić to spotkanie, no nie?

- Jasna sprawa.

- A kogo musisz znaleźć tak pilnie, mój przyjacielu, że nie możesz najpierw wziąć gorącego

prysznic i skorzystać z dobrze zasłużonego odpoczynku?

- *Młodego człowieka imieniem Chan. Chyba już go spotkałeś.*
- *Fakt - przyznał Karpow i poprowadził Bourne'a korytarzem. - Wyjątkowy facet. Wiesz, że został do końca z umierającą Czeczenką? A ona do końca nie puściła jego ręki. - Pokręcił głową. - Niebywale.*

Zacisnął wargi.

- *Nie zasługiwała na jego troskę. Bo kim była? Zabójczynią. Wystar czy zobaczyć, co tu chcieli zrobić, żeby się przekonać, jaką była kanałą.*

- *A jednak - odrzekł Bourne - potrzebowała, żeby trzymał ją za rękę.*

- *Nigdy nie zrozumiem, jak on mógł się na to zgodzić.*

- *Może on też jej potrzebował. - Bourne spojrział na Karpowa. - Naprawdę uważasz ją za kanałą?*

- *Owszem - odparł Rosjanin. - Ale w końcu sami Czeczeńcy doprowadzają do tego, że tak o nich myślę.*

- *Nic się nie zmienia, co? - zapytał Bourne.*

- *Tak zostanie, dopóki ich nie wytępiimy. - Karpow zerknął na niego z ukosa. - Posłuchaj, mój przyjacielu idealisto. Oni mówią o nas to samo, co inni terroryści mówią o was, Amerykanach. „Bóg wypowiedział wam wojnę”. Dostajemy gorzką nauczkę, żeby traktować takie oświadczenia poważnie.*

Okazało się, że Karpow wie, gdzie jest Chan - w głównej restauracji, która znów jako tako działała, choć menu było mocno ograniczone.

- *Spalko nie żyje - powiedział Jason, żeby ukryć przyływ uczuć na widok syna.*

Chan odłożył hamburgera i przyjrzał się szwom na spuchniętym policzku Bourne'a.

- *Jesteś ranny?*

Bourne skrzywił się, kiedy siadał.

- *Drobiazg.*

Chan skinął głową, ale nie odrywał wzroku od ojca. Karpow usiadł obok Bourne'a i zawołał do przechodzącego kelnera, żeby podał butelkę wódki.

- *Rosyjskiej - dodał ostro. - Nie tych polskich pomyj. I przynieś szklanki. Tu są prawdziwi mężczyźni, Rosjanin i bohaterowie prawie tak dobrzy jak rosyjscy! - Odwrócił się do swoich towarzyszy. - No dobra. Jest coś, o czym nie wiem?*

- *Nie - odpowiedzieli jednocześnie Bourne i Chan.*

Borys uniósł krzaczaste brwi.

- *Czyżby? W takim razie pozostaje się napić. In vino veritas, w winie prawda, jak mawiali starożytni Rzymianie, a kto by im nie wierzył? Byli cholernie dobrymi żołnierzami i mieli wspaniałych dowódców, ale byliby jeszcze lepsi, gdyby zamiast wina pili wódkę! - Ryknął śmiechem i rechotał, dopóki obaj mu nie zawtórowali. Nie mieli wyboru.*

Kelner przyniósł wódkę i szklanki. Karpow odprawił go gestem.

- *Pierwszą butelkę trzeba otworzyć samemu - wyjaśnił. - Taka jest tradycja.*

- *Bzdura - odparł Bourne, zwracając się do Chana. - To zwyczaj z dawnych czasów, kiedy rosyjska wódka była tak kiepsko destylowana, że często pływała w niej ropa.*

- *Nie słuchaj go. - Karpow zacisnął wargi, ale w oczach miał wesoły błysk. Nappełnił szklanki i bardzo oficjalnie postawił przed nimi. - Wspólne wypicie butelki dobrej rosyjskiej wódki oznacza przyjaźń; mimo ropy. Bo przy butelce dobrej rosyjskiej wódki rozmawia się o starych czasach, o towarzyszach i wrogach, którzy odeszli.*

Uniósł szklankę. Poszli w jego ślady.

- *Na zdarowje! - zawołał i wypił potężny łyk.*

- *Na zdarowje! - powtórzyli jak echo.*

Bourne'owi łzy napłynęły do oczu. Wódka paliła w całym przewodzie pokarmowym, ale moment później po żołądku rozeszło się ciepło i uśmierzyło ból.

Karpow był lekko zaczerwieniony od mocnego alkoholu i z zadowolenia, że jest z przyjaciółmi.

- Teraz się upijemy i zdradzimy sobie wzajemnie nasze tajemnice. Przekonamy się, co to znaczy być przyjaciółmi. - Wziął następny duży łyk. - Ja zaczynam. Oto moja pierwsza tajemnica. Wiem, kim jesteś, Chan. Choć nigdy nie zrobiono ci zdjęcia, znam cię. Dwadzieścia lat w branży wyostrza szósty zmysł. Wiedząc swoje, wymanewrowałem cię na bezpieczną odległość od Hulla, bo gdyby coś podejrzewał, aresztowałby cię, mimo twojego statusu bohatera.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Oho, teraz byś mnie zabił? Tu, przy tym stole przyjaźni? Myślisz, że odizolowałem cię we własnym interesie? Czy nie powiedziałem, że jesteśmy przyjaciółmi? - Pokręcił głową. - Musisz się jeszcze dużo nauczyć o przyjaźni, mój młody przyjacielu. - Pochylił się do przodu. - Zapewniłem ci bezpieczeństwo ze względu na Jasona Bourne'a, który zawsze pracuje sam. Byłeś z nim, więc wiedziałem, że jesteś dla niego ważny.

Karpow znów napił się wódki i wskazał Bourne'a.

- Twoja kolej, mój przyjacielu.

Jason wpatrywał się w swoją wódkę. Czuł na sobie badawcze spojrzenie Chana. Wiedział, jaką tajemnicę chce ujawnić, i bał się, że jeśli to zrobi, Chan wstanie i wyjdzie. Ale musiał im powiedzieć. W końcu podniósł wzrok.

- Kiedy dopadłem Spalkę, w ostatniej chwili omal nie straciłem odwagi. Spalko o mało mnie nie zabił, ale prawda jest taka... prawda jest taka...

- Będzie dla ciebie lepiej, jeśli to powiesz - przynaglił Karpow.

Bourne wlał wódkę do ust, przełknął ten „płyn na odwagę” i odwrócił się do syna.

- Pomyślałem o tobie. Pomyślałem, że jeśli teraz zawiodę, jeśli dam mu się zabić, już nie wrócę. Nie mogłem cię opuścić. Nie mogłem pozwolić, żeby tak się stało.

- Dobrze! - Karpow uderzył swoją szklanką w stół. Wskazał Chana. - Teraz ty, mój młody przyjacielu.

W ciszy, która zapadła, Bourne miał wrażenie, że jego serce za moment przestanie bić. Krew pulsowała mu w głowie, ból w całym poranionym ciele, znieczulony na krótko, powrócił.

- Odjęło ci mowę? - zapytał Chana Karpow. - Twoi przyjaciele otworzyli się przed tobą i teraz czekają.

Chan spojrzał Rosjaninowi prosto w oczy.

- Borysie Iljiczu Karpow, chciałbym się oficjalnie przedstawić. Mam na imię Joshua. Jestem synem Jasona Bourne'a.

Wiele godzin i litrów wódki później Bourne i Chan stali razem w podziemiach hotelu Oskjuhlid. Na dole było zimno i pachniało stęchlizną, ale czuli tylko opary alkoholu. Wszędzie były plamy krwi.

- Pewnie się zastanawiasz, co się stało z NX 20? - zagadnął Chan.

Bourne przytaknął.

- Przez te skafandry ochronne Hull był podejrzliwy. Powiedział, że nie znaleźli broni chemicznej ani biologicznej.

- Ukryłem biodyfuzor - odrzekł Chan. - Czekałem na twój powrót, żebyśmy mogli zniszczyć go razem.

Bourne zawahał się na moment.

- Wierzyleś, że wrócę.

Chan odwrócił się i spojrzał na ojca.

- Chyba wstąpiła we mnie nowa wiara.
- Albo odzyskałeś dawną.
- Nie mów mi...
- Wiem, wiem. Mam ci nie mówić, co myślisz. - Bourne schylił głowę. - Do niektórych rzeczy trzeba się przyzwyczajać dłużej niż do innych.

Chan podszedł tam, gdzie ukrył NX 20. Wyjął biodyfuzor z niszy za zniszczonym betonowym blokiem, który zasłaniała jedna z wielkich rur w stacji grzewczej.

- Musiałem na moment zostawić Zinę, żeby to zrobić, ale nie miałem innego wyjścia. - Trzymał broń ze zrozumiałym respektem, kiedy wręczał ją Bourne'owi. Sięgnął do niszy po mały metalowy pojemnik. - Fiolka z ładunkiem jest tutaj.

- Trzeba to wrzucić do ognia - powiedział Bourne. - Żar stopi i unieszkodliwi ładunek.

Rozległa kuchnia hotelowa była nieskazitelnie czysta. Lśniące powierzchnie z nierdzewnej stali wydawały się jeszcze zimniejsze pod nieobecność personelu. Bourne kazał nielicznej obsłudze wyjść na zewnątrz, Chan podszedł do wielkich gazowych pieców. Bourne nastawił jeden na maksimum. We wnętrzu wyłożonym cegłą ogniotrwałą natychmiast buchnęły wielkie płomienie. Po niecałej minucie było za gorąco, żeby stać w pobliżu.

Włożyli skafandry ochronne, rozebrali broń i każdy wrzucił jedną połowę do ognia. Potem w piecu wylądowała fiolka.

- Jak stos pogrzebowy wikingów - powiedział Bourne, kiedy patrzył, jak NX 20 zapada się do środka. Zamknął drzwi i zdjął skafandry. Od wrócił się do syna. - Dzwoniłem do Marie, ale jeszcze jej o tobie nie mówiłem. Czekałem...

- Nie wracam z tobą - przerwał mu Chan.

Bourne bardzo starannie dobrał następne słowa.

- Nie podjąłbym takiej decyzji.

- Wiem - odrzekł Chan. - Ale chyba miałeś ważny powód, żeby nie mówić o mnie swojej żonie.

W ciszy, która nagle zapadła, Bourne'a ogarnął straszliwy smutek. Chciał się odwrócić, żeby ukryć wyraz swojej twarzy, ale nie mógł. Tłumienie uczuć i ukrywanie ich przed synem miał już za sobą.

- Masz Marie i dwoje małych dzieci - powiedział Chan. - David Webb stworzył sobie nowe życie, w którym nie ma dla mnie miejsca.

Bourne nauczył się wielu rzeczy przez te kilka dni, odkąd pierwszy pocisk gwizdnął ostrzegawczo w kampusie obok jego ucha - między innymi tego, kiedy powinien milczeć w obecności syna. Chan podjął decyzję i koniec. Dyskusje nic by nie dały. Co gorsza, rozbudziłyby na nowo drzemający w nim gniew, który musiał w sobie nosić jeszcze przez jakiś czas. To uczucie było tak toksyczne, tak głęboko zakorzenione, że nie mogło zniknąć w ciągu paru dni, tygodni czy nawet miesięcy.

Bourne wiedział, że Chan podjął mądrą decyzję. Rana była jeszcze zbyt świeża, wciąż bolała, choć już nie krwawiła. Chan słusznie zauważył, że nie może wkroczyć w nowe życie Davida Webba - to nie miałyby sensu. Bourne w głębi duszy przyznawał mu rację. Chan nie pasował do jego obecnego życia.

- Może nie ma miejsca teraz, może nie będzie nigdy. Ale bez względu na twój stosunek do mnie chcę, byś wiedział, że masz brata i siostrę, którzy zasługują na to, by cię poznać i mieć starszego brata. Mam nadzieję, że kiedyś to nastąpi, dla dobra nas wszystkich.

Podeszli do drzwi. Bourne dobrze wiedział, że rozstają się na wiele miesięcy. Ale nie na zawsze. Przynajmniej to musiał uświadomić synowi.

Zrobił krok naprzód i objął Chana. Stali razem w milczeniu. Jason słyszał syk palników gazowych. W piecu nadal buzował ogień i unicestwiał straszliwe zagrożenie dla nich wszystkich.

*Bourne niechętnie puścił Chana. Kiedy przez krótką chwilę patrzył mu w oczy, zobaczył w nich małego chłopca w Phnom Penh i Dao obserwującą ich obu z uśmiechem spod cieni-
stych palm.*

- Jestem również Jasonem Bourne'em - powiedział. - Nigdy o tym niezapominaj.

Epilog

Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych otworzył podwójne orzechowe drzwi swojego gabinetu w zachodnim skrzydle Białego Domu, dyrektor CIA poczuł się tak, jakby wreszcie znów wchodził do nieba po niekończącym się oczekiwaniu w piekle.

Jeszcze nie wyzdrowiał, ale po telefonicznym wezwaniu zdołał się podnieść z ulubionego fotela, wziąć prysznic, ogolić i ubrać. Spodziewał się tego telefonu, odkąd dostarczył prezydentowi ściśle tajny raport z dowodami zebranymi przez Martina Lindrosa i detektywa Harisa/Wiedział, że zostanie wezwany. Mimo to tkwił w piżamie i szlafroku w swoim fotelu i nasłuchiwał dokuczliwej ciszy w domu, jakby mógł w niej usłyszeć echo głosu swojej żony.

Teraz, kiedy prezydent zaprosił go do narożnego gabinetu w kolorach złota i królewskiego błękitu, Stary jeszcze dotkliwiej odczuł pustkę w swoim domu. Tu było jego życie, które mozolnie budował przez dziesięciolecia wiernej służby i zawitych manipulacji. Tu rozumiał zasady i wiedział, jak je wykorzystywać. Tylko tu, nigdzie indziej.

- Cieszę się, że pana widzę - powiedział prezydent z szerokim uśmiechem. - Za rzadko się spotykamy.

- Dziękuję, panie prezydencie - odrzekł dyrektor. - To samo pomyślałem.

- Niech pan siada. - Prezydent wskazał mu wyścielany fotel z cofniętym oparciem. Był w doskonale skrojonym granatowym garniturze, białej koszuli i czerwonym krawacie w niebieskie groszki. Miał lekko za czerwienione policzki, jakby właśnie zakończył sprint pod wiatr. - Kawy?

- Chętnie. Dziękuję, panie prezydencie.

W tym momencie, jakby w odpowiedzi na nieme wezwanie, jeden z asystentów prezydenta wniósł na srebrnej tacy ozdobny dzbanek z kawą i porcelanowe filiżanki na delikatnych spodeczkach. Stary z zadowoleniem zauważył, że są tylko dwie filiżanki.

- Niedługo dołączy do nas doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego - oznajmił prezydent i usiadł naprzeciwko dyrektora. Stary pomyślał teraz, że rumieńce na twarzy prezydenta to nie skutek ćwiczeń fizycznych, lecz oznaka dojrzewania jego potęgi. - Ale przedtem chciałem panu osobiście podziękować za dobrą robotą w ciągu ostatnich kilku dni.

Asystent podał im filiżanki z kawą, wyszedł i cicho zamknął za sobą ciężkie drzwi.

- Wolę nie myśleć, co by się stało z cywilizowanym światem, gdyby nie pański człowiek Bourne.

- Dziękuję, panie prezydencie. Nigdy naprawdę nie wierzyliśmy, że zabił Aleksa Conklina i doktora Panova - odrzekł obłudnie dyrektor - ale przedstawiono nam dowody - jak się okazało fałszywe - i byliśmy zmuszeni działać.

- Oczywiście, rozumiem to. - Prezydent wrzucił do swojej filiżanki dwie kostki cukru i dokładnie zamieszał kawę. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy, choć w naszym świecie - w przeciwieństwie do szekspirowskiego - każde działanie ma swoje konsekwencje. - Wypił tyk kawy. - Niemniej mimo krwawej jatki szczyt, jak pan wie, przebiegł zgodnie z planem. I zakończył się pełnym sukcesem. Zagrożenie jeszcze bardziej nas zjednoczyło. Wszyscy przywódcy, nawet - dzięki Bogu - Aleksander Jewtuszenko, przekonali się, co groziłoby światu, gdybyśmy nadal byli krótkowzroczni i nie współpracowali ze sobą. Podpisaliśmy porozumienie o stworzeniu wspólnego frontu przeciwko terroryzmowi. Sekretarz stanu jest już w drodze na Bliski Wschód, żeby prowadzić dalsze rozmowy. Oddaliśmy pierwszą salwę w kierunku naszych wrogów.

I masz zapewnioną reelekcję, pomyślał dyrektor. Nie mówiąc o dziedzictwie twojej prezydentury. Rozległ się dyskretny dźwięk interkomu. Prezydent przeprosił, wstał podszedł do

biurka. Słuchał przez moment, potem podniósł wzrok. Jego przenikliwe spojrzenie spoczęło na dyrektora.

- Pozwoliłem się odciąć od kogoś, kto mógłby mi udzielić przemyślanej i cennej rady. Nie dopuszczę, żeby to się powtórzyło.

Najwyraźniej nie oczekiwał od dyrektora odpowiedzi, bo polecił przez interkom:

- Niech wejdzie.

Stary potrzebował chwili, żeby wziąć się w garść. Rozejrzał się po przestronnym pokoju z wysokim sufitem, kremowymi ścianami, dywanem w kolorze królewskiego błękitu, ząbkowanymi gzymsami i solidnymi, wygodnymi meblami. Nad dwoma identycznymi kredensami w stylu chippendale wisiały duże olejne portrety kilku republikańskich prezydentów. W rogu stała do połowy zwinięta flaga amerykańska. Za oknami pod warstwą białej mgielki rozciągał się starannie przystrzyżony trawnik z rozłożystym drzewem wiśniowym. Bładoróżowe kwiaty drżały jak dzwoneczki w lekkim wiosennym wietrze.

Drzwi się otworzyły i weszła Roberta Alonzo-Ortiz. Stary zauważył z zadowoleniem, że prezydent nie zmienił pozycji. Nadal stał zwrócony twarzą do doradcy i nie poprosił jej, żeby usiadła. Alonzo-Ortiz miała na sobie czarny kostium, szarą jedwabną bluzkę i praktyczne pantofle na niskim obcasie. Ubrała się jak na pogrzeb, pomyślał wesoło dyrektor. I całkiem słusznie.

Przez moment wyglądała na zaskoczoną obecnością Starego. W jej oczach błysnęła wrogość, potem zrobiła obojętną minę. Miała dziwnie plamistą cerę, jakby taką reakcją wywoływało u niej wyraźnie widoczne tłumienie emocji. Nie przywitała się z dyrektorem, nawet nie kiwnęła mu głową.

- Chcę pani uświadomić pewne rzeczy, żeby miała pani właściwy obraz wydarzeń ostatnich kilku dni - zaczął prezydent tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Wyrok na Bourne'a zaakceptowałem za pani radą. Zgodziłem się również, kiedy poprosiła mnie pani o szybkie załatwienie sprawy zabójstw Aleksa Conklina i Morrisa Panova. Lekkoomyślnie polegałem na pani opinii w kwestii ukarania detektywa Harry'ego Harrisa z policji stanowej w Wirginii za jego akcję pod rondem Waszyngtona. Mogę powiedzieć jedno: jestem niezmiernie wdzięczny, że wyrok nie został wykonany. Ale przeraża mnie zniszczenie kariery doskonałego detektywa. Gorliwość jest cechą godną pochwały, lecz nie wtedy, kiedy ma pierwszeństwo przed prawdą, którą przysięgała pani stawiać na pierwszym miejscu, gdy zaprosiłem panią do współpracy.

Podczas swojej przemowy prezydent stał bez ruchu i nie odrywał wzroku od Roberty Alonzo-Ortiz. Mówił spokojnie, ale dyrektor - który w końcu znalazł go najlepiej - słyszał w jego głosie tłumiony gniew. Prezydent nie był człowiekiem, z którego można robić durnia, który przebacza i zapomina. Pod tym kątem dyrektor przygotował swój raport.

- W mojej administracji nie ma miejsca dla politycznych oportunistów, przynajmniej dla tych, którzy kosztem prawdy chcą chronić własne tyłki. Zamiast pomagać w śledztwie, starała się pani pogryźć fałszywie oskarżonych. Gdyby pani robiła, co należy, moglibyśmy zawczasu wytropić terrorystę Stiepana Spalkę i zapobiec jatce podczas szczytu. Mamy dług wdzięczności wobec dyrektora CIA. Zwłaszcza pani powinna być mu wdzięczna.

Po tych słowach Roberta Alonzo-Ortiz skrzywiła się, jakby prezydent zadał jej potężny cios, co w pewnym sensie z rozmysłem zrobił.

Wziął z biurka pojedynczą kartkę papieru.

- Przyjmuję pani rezygnację i wyrażam zgodę na pani powrót do sektora prywatnego, ze skutkiem natychmiastowym.

Była doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale spojrzenie prezydenta ją powstrzymało.

- Nie radzę - ostrzegł.

Zbladła, kiwnęła lekko głową i wyszła.

Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, Stary wziął głęboki oddech. Spojrzenia jego i prezydenta na moment się spotkały i wszystko stało się jasne. Dyrektor już wiedział, dlaczego prezydent chciał, żeby był świadkiem upokorzenia doradczyni. To były jego przeprosiny. Przez wszystkie lata ciężkiej pracy w służbie kraju dyrektor jeszcze nigdy nie został przeproszony przez prezydenta. Był tak przejęty, że nie miał pojęcia, jak zareagować.

Wstał. Prezydent już był przy telefonie i patrzył gdzie indziej. Stary zatrzymał się na moment, rozkoszując się chwilą swojego triumfu. Potem opuścił tę najświętszą część świątyni i pomaszerował cichymi korytarzami władzy, które były jego domem.

David Webb skończył wieszac w salonie różnokolorowy napis WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO z OKAZJI URODZIN. Marie była w kuchni i dekorowała tort czekoladowy, który upiekła na jedenaste urodziny Jamiego. W domu unosiły się smakowite zapachy pizzy i czekolady. David rozejrzał się i zastanowił, czy balonów nie jest zbyt mało. Naliczył trzydzieści - chyba aż za dużo.

Choć już wrócił do życia Davida Webba, żebra bolały go przy każdym oddechu, a ból w innych częściach ciała przypominał mu, że jest również Jasonem Bourne'em i zawsze nim będzie. Przez długi czas bał się, ilekroć ta strona jego osobowości dawała o sobie znać, teraz jednak, wraz z ponownym pojawieniem się Joshui, wszystko się zmieniło. Miał ważny powód, by znów stać się Jasonem Bourne'em.

Ale nie agentem CIA. Po śmierci Aleksa był z nimi kwita, nawet jeśli sam dyrektor prosił go, żeby został, nawet jeśli lubił i szanował Martina Lindrosa, który uchylił wyrok na niego. To Lindros umieścił go w Szpitalu Marynarki Wojennej w Bethesdzie. W przerwach między zabiegami lekarzy specjalistów z agencji, którzy zajmowali się ranami Webba i dokładnie badali jego pęknięte żebra, Lindros go przesłuchiwał, ale nie męczył zanadto. Pozwalał mu spać i dochodzić do siebie po ciężkich przejściach.

Po trzech dniach Webb niczego bardziej nie pragnął niż powrotu do swoich studentów. I chciał być z rodziną, mimo że czuł w sercu ból i pustkę po rozstaniu z Joshuą. Zamierzał powiedzieć o nim Marie, tak jak opowiedział jej wszystkie inne szczegóły. Ilekroć jednak dochodził do tematu swojego pierwszego syna, zamykał się w sobie. Nie obawiał się reakcji Marie - jej ufał pod tym względem - ale nie był pewien własnej reakcji. Po zaledwie tygodniowej rozłące czuł się z Jamiem i Alison jak obcy. Zupełnie zapomniał o urodzinach Jamiego i Marie musiała mu delikatnie przypomnieć. W jego życiu powstała linia demarkacyjna między okresem przed i po zaskakującym pojawieniu się Joshui. Przedtem mrok smutku, teraz blask ponownego połączenia. Przedtem śmierć, teraz - jakby za sprawą cudu - życie. Chciał zrozumieć wszystko, co się stało, ale nie mógł się tym podzielić z Marie, dopóki sam nie zrozumie.

I teraz, w dniu urodzin swojego młodszego syna, myślał o starszym. Gdzie jest Joshua? Wkrótce po informacji od Oszkara, że przy drodze na lotnisko Ferihegya znaleziono ciało An-naki Vadas, Joshua wymknął się i zniknął tak szybko, jak się pojawił. Wrócił do Budapesztu, żeby ostatni raz zobaczyć Annakę? Webb miał nadzieję, że nie.

W każdym razie Karpow obiecał dochować tajemnicy i Webb mu wierzył. Zdał sobie sprawę, że nawet nie wie, gdzie mieszka jego syn i czy w ogóle ma prawdziwy dom. Nie miał pojęcia, gdzie jest Joshua i co może teraz robić, i to go bolało. Odczuwał brak syna tak dotkliwie, jakby stracił nogę czy rękę. Chciał mu tyle powiedzieć, nadrobić tyle czasu... Cierpliwe czekanie było trudne i bolesne - nie wiedział nawet, czy Joshua jeszcze kiedykolwiek się pojawi.

Przyjęcie urodzinowe już się zaczęło. Dwadzieścioro dzieci bawiło się i wydierało na całe gardło. Rej wodził Jamie, urodzony przywódca, w którego byli wpatrzeni inni chłopcy. Jego szczerą twarz, tak podobną do twarzy Marie, promieniała szczęściem. Webb zastanawiał

się, czy kiedykolwiek widział taką radość na twarzy Joshui. Jamie podniósł wzrok na ojca, jakby łączyła ich telepatyczna więź, i na widok jego spojrzenia uśmiechnął się szeroko.

Webb, który pełnił obowiązki witającego, po raz kolejny usłyszał dzwonek do drzwi. Za progiem stał kurier FedExu z paczką dla niego. Webb pokwitował odbiór, zszedł z przesyłką do piwnicy i otworzył pomieszczenie, do którego był tylko jeden klucz. W środku stał przenośny aparat rentgenowski dostarczony mu przez Conklina. Wszystkie paczki dla Webbów były tu prześwietlane w tajemnicy przed dziećmi.

Sprawdził, czy przesyłka jest bezpieczna, i ją otworzył. W środku była piłka bejsbolowa i dwie rękawice, jedna dla dorosłego, druga - w sam raz dla jedenastolatka. Rozłożył dołączoną kartkę i przeczytał: Dla Jamiego na urodziny - Joshua.

David Webb wpatrywał się w prezent, który znaczył dla niego więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Z góry dochodziła muzyka i śmiech dzieci. Myślał o Dao, Alyssie i Joshui zachowanych w strzępach jego pamięci i ten kalejdoskopowy obraz, wzmocniony ostrym zapachem natłuszczonej skóry, ożył. Dotknął miękkiego lica skóry i przesunął palcami po szwach. Co za wspomnienia się w nim kłębią! Uśmiechnął się gorzko, włożył większą rękawicę i wrzucił piłkę w jej kieszeń. Uwięził ją tam i trzymał mocno jak największy skarb.

Usłyszał lekkie stąpnięcie na szczycie schodów i głos wołającej go Marie.

- Już idę, kochanie - odpowiedział.

Siedział przez chwilę bez ruchu wśród wirujących wokół niego wydarzeń ostatnich dni. Potem odetchnął głęboko i przestał myśleć o przeszłości. Tuląc w dłoni prezent dla Jamiego, wbiegł po schodach i dołączył do swojej rodziny.